

HESTER
BROWNE

HOTEL
SZCZĘŚLIWYCH
ŚLUBÓW

CZY ROSIE, NAJLEPSZA
WEDDING PLANNERKA
W LONDYNIE,
ZORGANIZUJE WRESZCIE
SWÓJ ŚLUB?

MIEJSCE, W KTÓRYM MOŻNA SIĘ ZAKOCHAĆ

zwierciadło

HESTER
BROWNE

HOTEL
SZCZĘŚLIWYCH
ŚLUBÓW

TŁUMACZENIE
Magdalena Wasilewska

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Londyńskie Śluby

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału: THE HONEYMOON HOTEL

Redakcja i korekty: Melanż

Okładka: PAWEŁ PANCZAKIEWICZ

Łamanie i skład: MARIA KOWALEWSKA

Zdjęcia: I strona okładki: Shutterstock

Zdjęcie Autorki: © Dillon

Redaktor prowadzący: MAGDALENA CHOREBAŁA

Dyrektor produkcji: ROBERT JEŻEWSKI

© Havercroft Limited, 2014

© Copyright by Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o., Warszawa 2015

ISBN 978-83-64776-70-0

Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o.

ul. Karowa 31a, 00-324 Warszawa

tel. (22) 312 37 12

Dział handlowy: handlowy@grupazwierciadlo.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Dla Kathryn Taussig,
z miłością i podziękowaniami.*

Prolog

Przylgnęłam do marmurowego filara, starając się zerknąć na gości zgromadzonych w kościele tak, żeby mnie nie zauważyli.

Udało się, jakżeby inaczej. Byli zbyt zajęci podziwianiem misternych, ręcznie robionych różanych dekoracji wieńczących krzesła i czytaniem wierszy wybranych na tę specjalną okazję.

Z tych ostatnich byłam najbardziej dumna. To nawet nie były wiersze, raczej urywki piosenek Cole'a Portera. Nie jakieś tam ckliwe romansidła albo pompatyczne Szekspirowskie frazesy typu: „Czy do letniego dnia mógłbym Cię porównać?”. Serio, zastanówcie się, która kobieta chciałaby być porównana do angielskiego letniego dnia?! Kto o zdrowych zmysłach chciałby być przedstawiany jako: pochmurny, ponury i skrajnie nieprzewidywalny?! Bo tak jest dzisiaj. Przed chwilą przestało padać i w powietrzu, jak zwykle, unosi się specyficznym angielski zapach wilgotnych ubrań i lakieru do włosów. Wypełnia kościół i płynie do mnie ponad głowami gości.

Na pogodę nic nie poradzisz – niby tak, w każdym razie tak sobie powtarzam.

Skupiam uwagę na kilku gościach pogrążonych w rozmowie. Ukryta za filarem próbuję wychwycić, co mówią. Nic z tego, nic nie przebija się przez słodkie brzdąkania harfistki i jej interpretację suity z *Dziadka do orzechów* – kolejny przykład niestandardowej klasyki. Uśmiechy, rozglądanie się, nerwowe oczekiwanie świadczą o tym, że na razie nikogo zbytnio nie obchodzi, że ślub miał się zacząć cztery minuty temu.

Pięć minut temu – tyle pokazuje zegarek od mojej mamy (coś pożyczonego). To oznacza jedno, Anthony spóźnia się już trzydzieści pięć minut.

Żołądek powoli podchodzi mi do gardła, a wraz z nim teoretycznie „uspokajające” śniadanie, czyli owsianka z borówkami. Co mogę zrobić?

Co więcej, poza dzwonieniem, esemesowaniem, dzwonieniem na policję, wysyłaniem jednej z drухen do jego domu... To wszystko już dawno zrobiłam.

Jak dotąd wydaje się, że goście nie zauważyli dwóch dziwnie wolnych krzeseł przy ołtarzu, gdzie Anthony i Phil, drużba, powinni od dawna siedzieć. Na szczęście pozostali druzbowie zachowywali się, jak gdyby nic się nie stało – mogę się założyć, że przynajmniej połowa z nich nie zdaje sobie sprawy, że coś się jednak stało. Nie jest to najbystrzejszy zestaw mężczyzn, jakich poznałam. Winić mogę jedynie wielokrotne urazy głowy, jakich doznali, grając w rugby z Anthonym. Prawda jest taka, że teraz jestem za to niewspółmiernie wdzięczna.

Sześć minut. Wbiega spóźniony gość, zdziwiony, że wcale się nie spóźnił. Siedem.

Najdziwniejsze jest to, że chociaż mój mózg pędzi jak szalony i czuję każdą z trzydziestu spinek wbijających się w moją głowę, to reszta ciała jest nadzwyczaj spokojna, wręcz śpiąca. Przez ostatnie dwadzieścia siedem godzin chodziłam z kąta w kąt, trzęsąc się ogromnie, a teraz moje ręce i nogi są jak z ołowiu. Planowałam i planowałam, ale tego – do spółki z deszczem – nie zaplanowałam. Co gorsza, nie miałam na to żadnego rozwiązania.

Harfistka doszła do końca *Tańca cukrowej wróżki* i spojrzała na mnie znacząco, unosząc brwi.

Zawahałam się, ale zaraz dałam jej znak, by zagrała coś jeszcze.

Zmarszczyła czoło, odrzuciła długie blond włosy i zaczęła grać od początku. Kilka osób spojrzało na nią i stało się jasne, że coś jest nie tak.

Niech ktoś mnie obudzi – błagałam w myślach. – *Albo przynajmniej niech przyśle moją starą nauczycielkę francuskiego przebraną za morsa, żebym wiedziała, że to tylko zły sen.* Wtedy podeszła do mnie Andrea, moja główna drухna, objawiła się z telefonem w jednej ręce i chusteczką w drugiej. Było jasne, że trafiło na nią – miała pecha. Ogromnego, przeogromnego pecha.

Gdzieś na granicy świadomości pojawiła się myśl, że Andrea jest

wykwalifikowanym ratownikiem. To zawsze jest dobry pomysł, by jedna z druhen umiała udzielać pierwszej pomocy. Tak przynajmniej czytałam.

– Rosie – powiedziała cicho. – Mam złą wiadomość.

– Catering nie dojedzie? – wyszeptałam z nadzieją. – Fotograf zgubił scenariusz ceremonii?

– Nie – Andrea przygryzła dolną wargę. – Anthony nie przyjedzie.

Rozdział pierwszy

Ludzie mają różne wyobrażenia o organizatorach ślubów.

Jesteśmy albo beznadziejnymi romantykami (nie ja).

Albo wiecznymi singlami (ja mieszkam z Dominikiem – krytykiem kulinarnym i moim chłopakiem. Jesteśmy razem już dwa lata).

Albo tak nam się spodobała organizacja własnego ślubu i wesela, że postanowiłyśmy zrobić karierę w tym biznesie (to zdarza się TYLKO w filmach. Uwierzcie mi, zrobienie 600 metrów girlandy na własne wesele może i sprawia frajdę, ale przygotowanie tego na czyjś ślub to zwykła niewolnicza praca).

Biorąc pod uwagę moje doświadczenie w tym zawodzie, a trochę już w nim pracuję, by być najlepszym organizatorem ślubów, należy:

Nigdy, ale to nigdy nie myśleć o sobie jako o organizatorze ślubów – to najkrótsza droga do szaleństwa.

Nazywam się Rosie McDonald. Pracuję jako Event Manager.

Jeśli zdecydowałaś się wziąć ślub w londyńskim hotelu Bonneville, usytuowanym w zacisznej uliczce niedaleko Piccadilly, pójdiesz w ślady wielu znakomitości świata filmu, polityki, pisarzy czy członków europejskich rodzin królewskich, którzy przeszli przez przepięknie lśniące mosiężne drzwi obrotowe, kryjąc twarze za ciemnymi okularami.

Eleganckie Art Deco Bonneville kochałam od lat, odkąd pewnego gorącego lata przestąpiłam jego próg, by pracować jako pokojówka. Uwielbiałam każdy centymetr wystroju, a ogród różany darzyłam miłością absolutną. Pamiętam, że było tak od pierwszej nocy tutaj, kiedy leżąc zwinięta w kłębek na moim łóżku, które bardziej przypominało szpitalne niż hotelowe, poczułam magiczny klimat tego miejsca. Nawet gdy nie było w nim ślubnej jaśminowej altany, wiciokrzew nie był opleciony wokół marmurowej fontanny, a na trawniku nie stały rzędy złotych

krzesel, nawet wtedy ciemnozielony ogród odzwierciedlał wspaniałą atmosferę hotelu, która wypełniała go jak zapach białych kwiatów i pszczelego wosku do polerowania mebli. Był tajemniczy, nieprzewidywalnie romantyczny. Cichy zakątek w samym sercu Londynu, który zdawał się należeć tylko do Ciebie... i do Richarda Burtona, i do podstarzałej księżnej z kraju, który już nie istnieje, i...

Od reszty świata oddzielał nas pokryty bluszczem mur. I podczas gdy po drugiej stronie była otwarta przestrzeń Green Park, pełna gwaru turystów i pracowników okolicznych biur, po naszej stronie, tuż za ogromnymi francuskimi oknami i wyłożoną czarno-białymi płytkami podłogą hotelowego lobby, znajdowała się pełna róż i lawendy oaza spokoju. Miejsce wprost idealne, by delektować się filiżanką wyśmienitej herbaty lub czytać scenariusz filmowy, lub – jak w przypadku Clementine Wright – o trzeciej po południu poślubić wyśnionego maklera giełdowego.

Ubrani odświętnie goście przechadzali się już w lobby w oczekiwaniu na największe i najważniejsze wydarzenie, jakie organizowałam w ciągu pięciu lat, odkąd stałam się odpowiedzialna za organizowanie ślubów w Bonneville. Mama Jasona była parlamentarzystką, tata Clementine – kontradmirałem, a plan rozmieszczenia stołów i gości na weselu Wright–Atkinson wymagał więcej planowania niż szczyt G8. A wszystko przez hordy kuzynów Clementine.

Śluby i wesela w Bonneville były kameralne i szykowne. Taka miała być też uroczystość Wright Atkinson, co z racji niewielkiej przestrzeni hotelu, jak i chęci utrzymania rozsądnej liczby gości sprawiło, że zaproszono tylko osoby dorosłe. Nie wszyscy przyjęli to ze spokojem. Jednak byłam weteranem takich wydarzeń i jak na weterana przystało, stawiałam czoła kilku rodzicom, a ich obelgi, prośby, groźby i płacze spływały po mnie jak po kacze. Ktoś musiał, a biedna Clemmie, skulona w moim biurze, zapłakana i skoncentrowana na rozkładaniu chusteczki higienicznej na czynniki pierwsze, raczej się do tego nie nadawała. Zresztą dla mnie imprezy bez dzieci były czysto biznesową, cateringowo-logistyczną sprawą, a nie dramatem wykreślenia z rodziny, jakim mogły

się okazać dla biednej panny młodej.

Nie zrozumcie mnie źle. To nie było tak, że nie zależało mi, by ślub Clemmie był taki, jakim go sobie wymarzyła, zależało mi, naprawdę. Ja po prostu nie mogłabym wykonywać mojej pracy, gdybym płakała tak dużo jak panny młode.

Mając na uwadze kwestię listy gości, zaznaczyłam kolejny punkt na mojej liście „rzeczy ważnych” i mogłam rzucić okiem na przyjezdnych. Z doświadczenia wiem, że im bardziej ekskluzywny ślub, tym mniej dyscypliny wśród gości, jeśli chodzi o ubrania, zaproszenia, dress code i wszystko inne.

W lobby rozbrzmiewał Vivaldi – *Cztery pory roku*, czuć było zapach kalii. Uśmiechnęłam się ciepło i pokierowałam gości w kierunku ogromnych okien. Miałam na sobie zielony zestaw w stylu vintage: marynarkę podkreślającą talię, która była moim atutem, i spódnicę za kolana, które nim zdecydowanie nie były. To był mój ulubiony zestaw. Ważne było, by wyglądać stylowo, ale odróżniać się od gości, stąd *troszeczkę biurowa* koszula i buty na rozsądnym obcasie, nie miałam też kapelusza. Zresztą z moimi włosami i tak nie mogłabym go mieć. Moje krótkie brązowe włosy należały do gatunku nieukładalnych i śliskich. Miałam wrażenie, że nawet kapelusze ześlizgują się z nich w panicznej ucieczce. Miałam za to śliczny, kwiatowy toczek, który miał tę zaletę, że mogłam pod nim ukryć małą słuchawkę, dzięki której pozostali pracownicy mogli ostrzegać mnie przed wszelkimi pożarami wymagającymi ugaszenia. (Nie dosłownie, oczywiście. Chociaż, w sumie...).

Pozostało dwadzieścia pięć minut do marszu weselnego, moment krytyczny całej operacji. Weszłam więc do alkowy, by sprawdzić listy. Całe moje życie skupione było wokół nich, miałam nawet listę list, by mieć pewność, że noszę przy sobie odpowiednie.

Panna młoda: Clemmie – od wczorajszej nocy w apartamencie panny młodej, razem z dwiema druhnami i mamą – *Tik*.

Drużbowie: naliczyłam ośmiu (głównie o imionach Josh i Hugo). Ubrania i butonierki w porządku. *Tik, tik, tik.*

Świadek: obrączki w kieszeni; przemowa zweryfikowana; samochód czeka pod hotelem; kluczyki leżą bezpiecznie w *mojej* kieszeni.

Pan młody: najważniejsza sprawa, Jason jest już w budynku. Zawsze jestem w stresie, dopóki nie zobaczę pana młodego na miejscu, szczęśliwego, uśmiechniętego i zamkniętego w bezpiecznym pomieszczeniu. Jason stał w ślubnej poczekalni, wraz ze szklanką brandy i świadkiem. Dwóch kelnerów roznoszących szampana ciągle miało go na oku.

Nie to, żebym kiedyś *powstrzymała* pana młodego przed zmianą decyzji w ostatniej chwili, ale wolałam o tym wiedzieć wcześniej. To samo tyczyło się panny młodej. Ograniczenie szkód było kolejną częścią mojej pracy i – odpukać – jak dotąd każdy ślub organizowany przeze mnie zakończył się sukcesem.

Jan, pani urzędnik stanu cywilnego i jej zastępca mieli się zjawić o 14.30 i właśnie gdy zmierzałam do recepcji, by ich przywitać, z zawrotną prędkością wpadła na mnie niepowstrzymana, energetyczna różowa piłka – Gemma, moja asystentka i jej różowy kardigan.

– Gemma, co ci mówiłam o bieganiu przed ceremonią? – przypomniałam jej, dodając szeptem: – To straszy gości.

– Przepraszam, Rosie. – Okrągłe, brązowe oczy Gemmy wlepiły się we mnie spod jej kruczoczarnej grzywki, jak gdyby ścigała ją lawina. Z powodu jej tendencji do dramatyzowania nie uznałam tego zachowania za zwiastun nadchodzącej katastrofy. Gemma naprawdę lubiła dramaty, dlatego poza byciem moją asystentką, byciem asystentką Laurence’a Bentleya Douglasa – mojego szefa i właściciela hotelu, aktywnie uczestniczyła w plotkarskim życiu hotelowej recepcji, biorąc wszystkie dodatkowe dyżury.

– Mamy problem na górze – wysyczała.

– Ale prawdziwy problem? – zapytałam z przyklejonym uśmiechem,

jako że tuż koło nas przepłynął jegomość cały obwieszony medalami. – Czy tylko zawirowania?

– Załamanie nerwowe. Kod czerwony.

Zatrzymałam się. Nie mogłam pozwolić, by zawsze wyluzowana i spokojna dekoratorka wewnątrz Clemmie przechodziła teraz załamanie nerwowe.

– Rozumiem – odpowiedziałam, biorąc z tacy krystalicznie czysty kieliszek szampana. – Cóż, pójdźmy to załatwić.

. . .

Wewnątrz apartamentu panny młodej, luksusowego połączenia wielu pokoi utrzymanych w odcieniach fioletu i beżu, gdzie na pewno w latach świetności hotelu odbywały się dzikie rauty, przygotowania powinny iść pełną parą.

Tylko że nie szły. Wszyscy rozmawiali przez komórki, co było pogwałceniem moich reguł. Nic tak nie rujnowało przedślubnego nastroju jak goście panny młodej zadreńczający druhny dobrymi radami albo przesyłający zdjęcia swoich ubrań, by sprawdzić, czy pasują do reszty gości.

Clementine siedziała naprzeciwko ogromnego półokrągłego lustra toaletki, pociągając nosem i esemesując zajadle, podczas gdy makijażystka poprawiała swoje dzieło, a fotograf robił zdjęcia „dokumentalne” matki panny młodej – Lindy, sączącej szampana, próbującej wyglądać spokojnie i wciągać brzuch w tym samym czasie.

– Dzień dobry paniom! – powiedziałam, uśmiechając się szeroko. – Wyglądacie przepięknie! Clemmie, to łyzy szczęścia, mam nadzieję?

Druhny, Hannah i Meg, przestały esemesować i spojrzały na mnie z ulgą.

– Nie wierzę w to, co się stało! – zawyła Clemmie z oczami wlepionymi w telefon. – Wiedziałam, że coś musi pójść źle!

– Na dole wszystko gra – zapewniłam – jeśli chodzi o drużbów,

wszyscy są na miejscu, i tak, zanim zapytasz, wszyscy są ogoleni. Rano posłałam do nich fryzjera, w razie gdyby Jason o tym zapomniał.

Nie pozwalałam, by panowie młodzi „zapominali” o rzeczach tak ważnych jak staranne ogolenie twarzy.

– Naprawdę? – humor Clemmie polepszył się momentalnie, by sekundę później zmarszczka zaniepokojenia znów wypłynęła na czoło. Makijażystka natychmiast zabrała się za pudrowanie.

– Rosie, mamy wielki problem z gośćmi – wyrzuciła z siebie Hannah, bardziej nerwowa druhna.

Meg poszerzyła swój sztuczny uśmiech – Nie mów „problem”.

– Oczywiście, że to nie problem – zapewniłam. – Nie ma takich rzeczy, których nie potrafiłabym naprawić, uwierzcie mi, robiłam to nie raz.

– Nie jestem pewna, czy możesz to naprawić. – Clemmie zaczęła nerwowo przygryzać wargę, przypomniała sobie jednak o idealnie umalowanych ustach, więc tylko nerwowo zacisnęła pięści. – Pamiętasz moją kuzynkę z Cirencester? Katherine?

Niestety. To była bardzo *długa* rozmowa telefoniczna. Trafiło na mnie, bo Clementine panicznie bała się kuzynki Katherine – po trzydziestu minutach ciskania gromów wiedziałam czemu. Delikatnie mówiąc, Katherine nie była zachwycona brakiem zaproszenia dla swojej córki. Na szczęście miałam mnóstwo świetnych wymówek, dlaczego Bonneville preferowało imprezy bez maluchów, począwszy od spraw bezpieczeństwa, po sterczące aranżacje kwiatowe. Ponadto nie byłam w stanie zaakceptować głównych argumentów Katherine, jakimi były wrzaskliwe oskarżenie o naruszenia praw człowieka, dokonane przeze mnie, a dokładniej przez brak zaproszenia Maisie, oraz obrzucenie błotem biednej Clementine – rzekomo samolubnej Panny Młodej z Piekła Rodem.

– Oczywiście, że pamiętam – odpowiedziałam.

– No więc już przyjechała – Clementine przełknęła nerwowo ślinę.

– Cudownie! – poklepałam ją po ramieniu i ukradkiem spojrzałam na zegarek. – Wiedziałam, że groźby bojkotu twojego ślubu to tylko szantaż.

To chyba już wszyscy twoi kuzyni i...

– Nie rozumiesz, Maisie też przyjechała. Jej córka. Mama widziała je obie. – Clementine znowu zmarszczyła czoło. – Katherine przywiozła Maisie pomimo naszych informacji, że *innych dzieci* nie będzie.

Świetnie. W duchu przewróciłam oczami. Zawsze pojawi się taki *ktoś*.

– Clementine, wszystko w porządku. – Od razu zaczęłam obliczanie awaryjnego usadzenia gości. Było to irytujące, ale zawsze brałam pod uwagę pojawienie się trzech niezapowiedzianych gości. – Poproszę pracowników cateringu, by przygotowali dodatkowe nakrycie dla niej obok jej matki...

– Nie, jest jeszcze gorzej! – głos Clemmie załamał się. – Okazuje się, że Katherine ubrała Maisie w sukienkę tego samego koloru co sukienki druhen. To dlatego tak mnie wypytywała o kolory, sukienki i inne takie, by mogła tak samo ubrać Maisie, a nie siebie! Wszystko po to, by dołączyć córkę do moich druhen, mimo że mówiłam jej, iż nie przewiduję obecności żadnego z moich dzieci chrzestnych podczas ceremonii!

Ciągle starałam się mieć współczujący wyraz twarzy, ale w środku aż się gotowałam, oczami wyobraźni okładałam wredną Katherine ciosami karate. To nie był pierwszy raz, gdy tak się stało. Często do jakiejś matki nie docierało, że „bez dzieci” oznacza także *jej* cherubinki i szmuglowała je i tak, bezczelnie dołączając je do procesji panny młodej jak minę dywersyjną, podczas gdy wszyscy pozostali obgadywali to poza plecami panny młodej.

– Patrz, kuzynka Joss już jest wkurzona! – Clemmie wymachiwała mi telefonem przy twarzy. – Przeżyłam tygodnie pełne ludzi próbujących wysepić zaproszenie dla swoich pociech, za każdym razem powtarzałam jak mantrę, że jest mi przykro, ale sprawiedliwie będzie tylko, jeśli nie będzie żadnych dzieci, a teraz oni wszyscy pomyślą, że zrobiłam wyjątek dla Maisie! Rany, to jest ostatnie dziecko, jakie chciałabym mieć jako druhenę! Do jej czwartych urodzin myślałam, że jest chłopcem!

– Clementine! – upomniała ją matka.

– Tilly też by chciała być małą druhenką – odezwała się Meg, patrząc

dziwnie nieobecny wzrokiem. – I nie musiałabym jej zawozić aż do Macclesfield do matki Jacka.

– Powiedziałam już przecież, że mi przykro, Meg...

W tym momencie zadzwonił telefon Hannah i wszystkie oczy zwróciły się w jej kierunku.

– Hmm, to Serena... – wymamrotała. – Pisz, że...

– Niech zgadnę! – nie wytrzymałam. – Możemy sobie darować czytanie.

– To miał być najszczęśliwszy dzień w moim życiu! – Clemmie obróciła się na swoim krześle, piorunując nas dzikim i wygłodniałym wzrokiem, dokładnie takim, jaki gości w oczach wszystkich kobiet, które były na ścisłej diecie przez ostatnie sześć miesięcy. – A wygląda na to, że spędzę go, przepraszając absolutnie każdego rodzica w tym hotelu!

– Obiecuję ci, że nie! – zapewniłam. – Clemmie, popatrz na mnie. Będziesz miała cudowny ślub i wesele, dokładnie tak jak to zaplanowałyśmy. Twój wyjątkowy, cudowny dzień.

To mówiąc, położyłam dłoń na ramieniu i spojrzałam prosto w oczy Clemmie. Nauczyła mnie tego moja była szefowa Caroline wiele lat temu. Na psy też działało.

Po koszmarnie długiej sekundzie i kilku pociągnięciach nosem zdołała się uspokoić, a ja zdobyłam się na uśmiech, doskonale wiedziałam, co robić. To było zwykłe wtargnięcie bez zaproszenia, tylko tyle. Każdy szanujący się Event Manager potrafi dać sobie radę z nieproszonym gościem, nawet gdy przybiera on postać małej druhenki w pistacjowej sukience z satyny!

Maszerowałam dziarsko przez wyłożone wykładziną korytarze Bonneville, które teraz, po tylu latach, znałam jak własną kieszeń, i raz za razem zadawałam sobie w myślach pytanie (jak zwykle przynajmniej dwa razy dziennie): „Co na moim miejscu zrobiłaby Caroline Bentley Douglas?”.

Caroline, pierwsza żona Laurence’a, nauczyła mnie wszystkiego, co

wiem o organizacji ślubów – i o samym Bonneville. Począwszy od bajecznej recepcji udekorowanej błyszczącą słoneczną rozetą i lśniąca podłoga, po delikatnie oświetloną kopułę. Laurence czasem żartował, że Caroline bardziej kochała hotel niż jego, byłam w stanie to zrozumieć. Bonneville miał bowiem osobowość staromodnego londyńskiego jegomościa: miał koneksje, był elegancki, czasem nieznosny, ale zawsze dyskretny. Wspomniana dyskrecja była jego asem w rękawie w czasie szalonego dwudziestolecia międzywojennego; Ritz czy Claridge's może i tonęły w świetle lamp błyskowych i blichtru, ale to do Bonneville przybywały gwiazdy chcące uniknąć rozgłosu. Caroline raczyła mnie tymi wszystkimi historiami podczas mojej pierwszej wakacyjnej pracy pokojówki. Przyjęła mnie wtedy pod swoje skrzydła i przekonała, by studiować hotelarstwo. Tuż po studiach, gdy zostałam jej asystentką, pokazała mi, na czym naprawdę polega ten biznes.

Dziesięć lat później zarządzałam wielkim przedsięwzięciem organizowania supertradycyjnych pakietów ślubnych, projektem wymyślonym przez Caroline, by utrzymać hotel przy życiu. Ciągłe mi matkowała, lecz już nie przy kawie w jej biurze. Kupiła własny hotel w Oxfordshire, opuściła rodzinny biznes, gdy zmęczyło ją urocze, acz chaotyczne władanie Laurence'a, i postanowiła się z nim rozwieść.

Teraz, w sytuacjach awaryjnych jak ta, musiałam polegać na Laurensie. I choć uwielbiałam go szalenie, to nie mogłam obwiniać Caroline, że dała za wygraną. Sama była typem szefowej, która na kolanach sprawdza czystość podłogi pod łóżkiem i przesuwa palcem po wszystkich ramach obrazów; Laurence z kolei twierdził, że ma alergię na kurz. I na wybielacz, mleczko do czyszczenia, stres, pszenicę i... niektóre rodzaje papieru. Potrafił człowieka wyprowadzić z równowagi, szczególnie teraz, gdy jego druga żona (a była recepcjonistka) Ellie puściła go z torbami, a małżeńskie obowiązki, takie jak pilnowanie terminów spotkań i zarządzanie wszystkim dookoła, spadły na mnie i na Gemmę. Wybaczyliśmy mu z jednego powodu – szczególnie ważnego w chwilach takich jak ta – potrafił zjednywać sobie gości. Bycie gospodarzem miał we

krwi. Prawdziwy mistrz ceremonii w swoim własnym hotelu, urodzony pan i władca. A tak na serio, to naprawdę przyszedł tu na świat, nie żartuję, w pokoju 32 podczas imprezy dla jednej z największych agencji nieruchomości w Londynie.

Gdy tak zmierzałam na dół w poszukiwaniu intruzów, rzuciłam okiem na Laurence'a. Jego zgrabna postać była doskonale widoczna na tle garniturów i kwiecistych sukienek. Uwielbiał nasze hotelowe śluby, to znaczy uwielbiał błyszczeć wśród gości, gdy wszystko było już zorganizowane, częstować panów brandy i prawić komplementy paniom – a ja lubiałam, gdy widział mnie w epicentrum świetnie zorganizowanego i dochodowego wydarzenia. Poprzedni dyrektor, Paul, poległ „pod wpływem stresu na stanowisku” i zgłosił się na odwyk do The Priory; bardzo chciałam przejąć ten wakat. Okej, mając trzydziestkę, byłam znacznie młodsza niż większość dyrektorów, ale znałam ten hotel na wylot, co ważniejsze, byłam bez reszty oddana marzeniu, by przywrócić mu dawny blask i szyk. Chciałam, by był na ustach wszystkich, chciałam, by bar wypełniały atrakcyjne pary i gwar sensownych rozmów. Chciałam jego dawnego blasku... prestiżu... splendoru...

Laurence'a nie było na recepcji, tak jak nie było Katherine i Maisie. Przedzierałam się w tłumie, próbując je namierzyć, wyczuliłam zmysły – i znalazłam, przyczajone przy bukszpanie w pobliżu ogrodu, prawie niewidoczne: blondyna w obcisłej sukience w kwiaty, a obok niej nieszczęsna pięciolatka w bladopistacjowej sukienusi z satyny, której rękawki wrzynały się w małe, pulchne rączki.

Nie miałam zamiaru mówić o tym Clemmie, ale kilka par rzucało Katherine gniewne spojrzenia i mamrotało coś pod nosem. Domyślenie się, o co im chodzi, nie wymagało specjalnej inteligencji.

Podeszłam bliżej, pamiętając, by uśmiechać się przyjaźnie: – Przepraszam, czy mam przyjemność z Katherine?

– Tak? – Spojrzała winnym, ale ciągle zadziornym wzrokiem i przyciągnęła Maisie bliżej siebie.

– To cudownie! Zastanawiałam się, czy mogłabym zaoferować tobie

i twojej prześlicznej córeczce specjalne miejsca podczas ceremonii?

– Bo?

– Ze względów bezpieczeństwa nie pozwalamy, by dzieci poniżej jedenastu lat przebywały w promieniu dwudziestu metrów od fontanny. – Wskazałam na spadającą kaskadami wodę i zaczęłam prowadzić mamę i córkę w kierunku rzędów krzeseł. Poszły chętnie, nawet nie zdając sobie sprawy, że ktoś inny wskazuje drogę.

Wraz z upływem lat zdobyłam doświadczenie w prowadzeniu ludzi z jednego miejsca w drugie, tak by mimowolnie szli tam, gdzie tego chciałam: to Caroline mnie tego nauczyła, chciała, bym miała tajną broń w radzeniu sobie z intruzami. To było trochę hipnotyczne kuglarstwo wyuczone na potrzeby naszej pracy.

– Maisie musi mieć dostęp do orszaku panny młodej. – Katherine spojrzała na mnie wyzywająco.

W odpowiedzi uśmiechnęłam się do niej moim najbardziej uprzejmym uśmiechem zatytułowanym *Naprawdę w to wierzysz?* i nic nie powiedziałam. Obie wiedziałyśmy, że blefuje.

– I... muszę wszystko widzieć – wykrztusiła.

– To oczywiste! Krzesła są tak ustawione, by każdy z gości doskonale widział parę młodą – zapewniłam. – Maisie, kochanie, wyglądasz, jakby było ci gorąco. Może miałabyś ochotę na szklanekę soku?

– Nie! Co, jeśli poplamy sobie sukienkę dru..., sukienkę?

– Jestem pewna, że nie, prawda?

Biedna Maisie wyglądała na tak samo podekscytowaną wizją bycia druhenką jak jej matka.

– Wiesz, że przygotowaliśmy dla ciebie specjalne złote krzesło? – zapytałam przebiegle. Koniec końców udało się – zaczęłyśmy odwrót, a że droga była długa, miałam czas wymyślić, jak wepchnąć małą w objęcia Gemmy i co mogłaby robić, by nie było jej ani widać, ani słyhać. Mała prawie druhenka szczyrzyła się do mnie w uśmiechu, a ja po raz kolejny poczułam aurę samozadowolenia – rozwiązałam kolejny

problem, a do ślubu pozostało piętnaście minut.

Upchnąwszy Katherine i Maisie na szarym końcu rzędów krzeseł, tak by od strony ołtarza zasłaniało je kilku zwalistych krewnych, popędziłam na górę, by sprawdzić, czy fotograf zdążył już zrobić wszystkie zdjęcia, jakie miał w scenariuszu, a potem, gdy Gemma potwierdziła z dołu, że wszyscy uczestnicy są na pozycjach, zwarci i gotowi, uścisnęłam Clemmie. Ostrożnie, tak by nie przesunąć rodowego diademu.

– Wyglądasz prześlicznie – zapewniłam, a następnie poprosiłam jej ojca, który stał obok i próbował powstrzymać łzy: – Arturze, proszę nie płacz. Przez ciebie wszyscy zacznijemy.

– Rosie, jest idealnie. – Clemmie wydawała się oszołomiona szczęściem. – Jest dokładnie tak jak marzyłam.

– To prawda – dodał Artur łamiącym się głosem. – Proste, klasyczne wesele, a nie jakieś tam nowomodne widzimisię.

– O to nam chodziło – odpowiedziałam, bo tak właśnie było. Nadszedł moment, w którym naprawdę musiałam skoncentrować się na pracy; Clemmie wyglądała tak promiennie! Zrobiłam, co do mnie należało. Prawie.

– A teraz pozwólcie na dół.

Zawsze powtarzałam moim klientkom, by w dniu swojego ślubu znalazły chwilę dla siebie, jeden moment wolny od zgiełku i gości. Sama też tak zrobiłam. Zatrzymałam się na chwilę, by zobaczyć dokładnie, co osiągnęłam.

Dzisiaj stałam w ogrodzie różanym, patrząc na Clemmie i Jasona składających przysięgę małżeńską nieopodal marmurowej fontanny. Było dokładnie tak, jak przedstawiłam podczas pierwszego organizacyjnego spotkania z Clemmie. Idealny ślub w Bonneville. Zależało mi na stworzeniu ślubu rodem z klasycznego filmu z czasów Złotej Ery Hollywood wzbogaconego typową angielską nutą – czarno-białym wyrafinowaniem, kwitnącymi drzewami wiśni i różami w pełnym rozkwicie.

Moje oczy wędrowały od wpatrzonej w siebie młodej pary w skupieniu wymieniającej się obręczkami, przez wysokie okna hotelu wznoszące się pięć eleganckich pięter ponad nimi, kute balustrady hotelowych balkonów, na których kiedyś aktorki i księżniczki sączyły poranną kawę, patrząc na Green Park; po najbardziej efektowny, kunsztownie zdobiony balkon ze wszystkich – znajdujący się na samej górze luksusowy apartament nowożeńców, w którym Clemmie i Jason spędzą pierwszą noc jako mąż i żona.

Apartament nowożeńców był sercem każdego „mojego” ślubu. Był magiczny. Uwielbiałam go do tego stopnia, że już samo wygładzenie narzuty wielkiego małżeńskiego łóżka z jego półokrągłym, misternie rzeźbionym zagłówkiem sprawiało, że czułam obecność romantycznego ducha hotelu, wyobrażałam sobie pożądanie i każdy nowy początek, którego był świadkiem przez dziesiątki lat. To brzmi dość niedorzecznie, bo nie chodziło tylko o eleganckie apartamenty czy wyszukane wnętrza, kochałam ludzkie historie w Bonneville: sekrety, szept, cały ten szyk poprzednich epok zamknięty w tkaninach każdego pokoju. Koktajle, czarne taksówki, wielkie napiwki, czerwone szminki, schwyte chwile przyjemności, w miejscu stworzonym, by odciąć nas kompletnie od realnego życia, choćby na noc czy dwie. Apartament dla nowożeńców, gniazdko uwite niemalże ponad prawdziwym światem, był esencją Bonneville.

Fala braw od strony ogrodu sprowadziła mnie na ziemię; nowożeńcy – Pan i Pani Atkinson, zwrócili się twarzą do gości i zaczęli kierować się w stronę sal, gdzie miało odbyć się przyjęcie. Musiałam przemieścić się i ja, trzeba było przecież zająć się kolejnym etapem.

Pojedyncze promienie słońca oświetlały miękkie, kremowe wnętrza hotelu, spowijając gości ciepłym światłem. Skąpani poświatą, opuszczali powoli miejsce ceremonii, kierując się do Palm Court na popołudniową herbatę – kolejną część wydarzenia. Ubrani na czarno kelnerzy już płynęli z porcelanowymi paterami pełnymi maleńkich makaroników oraz srebrnymi czajniczkami wypełnionymi herbatą.

Idealnie. I jak w zegarku, gdy zrobiłam już całą brudną robotę, pojawił się Laurence. Olśniewający jak zwykle, dzisiaj w marynarce i czerwonych spodniach, stał właśnie tuż przy wejściu do ogrodu i jak na „mistrza ceremonii” przystało, całował w policzek pannę młodą i z szerokim uśmiechem na twarzy ścisnął dłonie wszystkich dookoła. Pomimo dzielącej nas dużej odległości mogłabym powiedzieć wam, co właśnie mówi; oniemiałe twarze gości były wyraźnie pod wpływem magii, którą zaczął roztaczać.

Szczególnie dobrze radził sobie z Priscillą – ciotką Clemmie. Skoro miałam przykazane wyszukiwanie mu potencjalnych partnerek (dyrektywa Caroline), tę obserwację zanotowałam wyjątkowo wyraźnie. Sprawy sercowe Laurence’a leżały na wątrobie Caroline.

Laurence nie był mężczyzną, który dobrze sobie radzi w pojedynkę, a Caroline miała już powyżej uszu jego telefonów z pytaniem, jak ustawić pralkę... A śluby były niewyczerpanym źródłem odpowiednich pań w odpowiednim (średnim) wieku, które Laurence znał przynajmniej z widzenia, ponieważ zdarzało mu się bywać tu i ówdzie.

Podczas gdy patrzyłam na Priscillę flirtującą dzielnie z Laurence’em i zastanawiałam się, czy wypada mi poprosić Clemmie o numer telefonu ciotki, czy raczej powinnam wziąć go z naszej bazy danych, mój toczek zawibrował.

– Tak, Gemmo?

– Rosie, yyy... ktoś przyprowadził tu swojego psa... Jest w foyer. Co ja mam z nim zrobić?! Zły pies! Nie! Nie wolno!

– Zamknij go w biurze Laurence’a. – Ruszyłam w jej stronę, zwarta i gotowa, by ugasić ten pożar. – Zaraz tam będę.

Przemknęłam szybko mimo gości, kelnerów, ludzi od cateringu, kwiatowych dekoracji, szampana i pomimo że stoper w mojej głowie wciąż głośno tykał, nie mogłam pozwolić, by szeroki uśmiech zniknął z mojej twarzy.

W słoneczny majowy poranek, taki jak ten, w całym Londynie nie sposób było znaleźć miejsca bardziej romantycznego niż hotel Bonneville.

Właściwie to na całym świecie. To jest jedyne miejsce, które rozważałabym, planując swój ślub. Gdybym miała co planować...

Jak już mówiłam, nie chodzi o to, że nie mam chłopaka, bo mam, nie chodzi też o to, że jestem przeciwna małżeństwu, bo przecież lubię je tak samo jak każda inna kobieta. Nawet po Niefortunnym Ślubnym Doświadczeniu – słowo „porzucona” zniknęło z mojego słownika. Chodzi o to, że...

Cóż, pozwólcie, że opowiem wam o moim chłopaku, Dominiku.

Rozdział drugi

Gdy mówiłam ludziom, że moim chłopakiem jest Dominik Crosby, zwykle wybuchali śmiechem i mówili: „Ale nie *ten* Dominik Crosby, prawda?”. I gdy zapewniałam ich, że tak, że mieszkałam w West Kensington z *tym* Dominikiem Crosbym – Londyńskim Krytykiem Kulinarnym Roku (drugi rok z kolei) i bojownikiem o wprowadzenie cichej strefy w restauracjach – śmiałam się znowu, tym razem bardziej nerwowo, i szybko zmieniałam temat.

Kiedy spotkałam go dwa lata temu, nie wiedziałam, że Dominik to *ten* Dominik. Był raczej niskim, charakterystycznym facetem, siedzącym obok mnie przy urodzinowym stole koleżanki ze studiów. Było to w Clerkenwell – urodzinowe przyjęcie, na które czułam się w obowiązku iść, chociaż wcale nie chciałam. Wiedziałam, że tematem przewodnim będzie Rosie i jej Wielkie Białe NieWesele wraz z najnowszym sequelem serii z Anthonyem w roli głównej oraz Leoną z Pracy – jego nową dziewczyną. (Wciąż. W dziewięć miesięcy po moim nie-zamążpójściu był to temat numer jeden. Na szczęście wkrótce potem chłopak innej koleżanki trafił do więzienia za malwersacje finansowe i wszyscy skupili się na Kate).

Powinłam mieć przeczucie co do faceta siedzącego obok mnie po tym, gdy nalegał na odesłanie wszystkich dziesięciu talerzy serwowanej jagnięciny z powodu „jej łykowatości i posmaku wełny przyprawionej płynem Mr Muscle”. Ale spóźniłam się na początek imprezy i przedstawianie gości przez Laurence’a. Musiałam dać mojemu szefowi, który był konfliktofobem, wsparcie (zrobić to za niego) w rozwiązaniu problemu pokojówki z Brazylii, która w ciągu niespełna dwóch tygodni zjadła czekoladki dla gości o wartości 150 funtów. Nie odnotowałam więc za bardzo, że ten elegancki facet w czerwonej koszuli zdołał wygłosić ciętą ripostę na temat jagnięciny w tak czarujący sposób, że nie skłonił

kelnera do wyrzucenia mu zawartości talerza na głowę.

To moja przyjaciółka, Helen, uświadomiła mi, że siedziałam obok najbardziej kontrowersyjnego krytyka kulinarnego w Londynie. Zarządzała restauracją w Bonneville i miała zdjęcia wszystkich liczących się krytyków przyklejone do drzwi hotelowej kuchni. Ułożone w Kolejności Grozy (muszę przyznać, że rzadko tam zaglądałam, za bardzo bałam się szefa kuchni).

W czasie, gdy referowałam niezręczną sytuację odsyłania jedzenia, twarz Helen zmieniała się od zadowolenia do przerażenia i z powrotem.

– Czemu nie powiedziałaś mi, że znasz Dominika Crosby’ego? – wydusiała.

Normalnie była dość skryta i nie wyrażała emocji – jej image był podobny do blondynek w filmach Hitchcocka: schludny szary garnitur, idealny dobierany warkocz, prosta postawa. Tym razem przebliski podekscytowania raz za razem wydostawały się poza jej wystudiowany chłód.

– Mogłabyś go poprosić, by o nas napisał? Chociaż... – zmarszczyła czoło – zawsze jest ryzyko, że wylądujemy na „Liście Wyśmianych”.

– Co masz na myśli?

– Gdy ignoruje jedzenie, a wyśmiewa wszystko inne na chybił trafił. Najgorzej, gdy Dominik Crosby postanawia być zabawny. Wtedy równie dobrze możesz zamknąć knajpę. – Helen wydawała się zadziwiona moim wyrazem twarzy. – Nie czytujesz jego recenzji? W „London Reporter”? I w weekendowych wydaniach? To on jest Facetem w Czerwonych Spodniach.

– Jakie dokładnie weekendowe wydania masz na myśli? – Udawałam zdumioną.

Zamrugła, a potem zorientowała się, że żartuję.

– Nie każdy przesypia całą niedzielę, wiesz?

– To w niedzielę też jest rano?

Godziny pracy moje i Helen były tak samo szalone: nasza przyjaźń była

wykuta z pracy po nocach, plastrów na odciski i paplaniny spowodowanej nadmiarem red bulla. Helen była jedyną osobą, która rozumiała, dlaczego czasami pracuję po osiemnaście godzin na dobę. Tylko ona była w stanie mnie rozśmieszyć po takim dniu morderczej pracy, brutalnie wyliczając, którego z naszych współpracowników chciałyby zamordować na samym początku. I w jaki sposób pozbyłaby się dowodów.

Klepnęła mnie zadziornie w kolano:

– Hej, to cudownie. Nowy facet. Spotkasz się z nim jeszcze?

– To nie jest żaden nowy facet. Nawet mnie nie zauważył – odpowiedziałam bez wahania. – Bardziej zajmowały go bułki. Stwierdził, że drożdże umarły na próżno. I tak mu przykro, że czuje się w obowiązku je pomścić.

– Zamkną to miejsce w ciągu trzech tygodni – westchnęła. – Zapamiętaj moje słowa.

Ale to ona miała rację, a nie ja. Dominik mnie zauważył. W następnym tygodniu dostałam email z pytaniem, czy nie chciałabym mu towarzyszyć podczas wizyty w jednej z restauracji. Dodał też słodko, że oddałabym mu ogromną przysługę „jedząc dodatkowe przystawki i wszystko polane sosem, bo nie lubi śmietany”. Dwa dni później siedzieliśmy w Oknach na Świat, patrząc na cudownie oświetlony Hyde Park, niczym poprządkany błyszczącymi diamentami, a Dominik rozśmieszał mnie tak bardzo, że zapomniałam zjeść cokolwiek. (On nie. Najpierw wyczyścił swój talerz, potem mój – oprócz kawałków polanych sosem).

Patrząc z perspektywy, to wydawało się niedorzeczne, ale czułam się, jakby Dominik był mężczyzną, na którego czekałam całe życie. Po pierwsze, dokładnie wiedziałam, czym się zajmuje, w przeciwieństwie do Anthony’ego, który nigdy nie raczył mnie wprowadzić w arkana swojej pracy. Możliwe, że dlatego, by nie stracić na atrakcyjności. Dominik był zabawny, znał się na branży, jedzeniu, piciu, plotkach i był przystojny w sposób, którego przed obejrzeniem *Piratów z Karaibów* nie potrafiłabym opisać. Potem zdałam sobie sprawę, że jest to jeden z niewielu mężczyzn w Londynie, których mogłabym określić mianem

„zawadiacki”. Cztery miesiące i wiele posiłków później, podczas których rzeczywiście słuchał, co mam do powiedzenia na temat jedzenia (Anthony nie mógł tego znieść, ponieważ „brzmisz, jakbyś wciąż była w pracy”), przeprowadziłam moją elektryczną szczoteczkę do mieszkania Dominika w Kensington, które dzielił z kolekcją nieotwartych wersji recenzenckich książek kucharskich oraz nieużywanym rowerkiem treningowym.

Mieszkaliśmy razem od dwóch lat i zrobiłam już postępy, przenosząc ubrania do jego komody, dostałam także półkę w szafce w łazience, jedyną wolną od specyfików na niestrawność. Zdecydowanie nie był to tradycyjny związek. Przez nasze dziwne godziny pracy nie spędzaliśmy dużo czasu razem na „zakupach w supermarkecie i majsterkowaniu”. Niemniej jednak Dominik uwzględnił mnie w liście kawowej i zakupowej, a ja spisałam wszystkie daty urodzin i rocznic w jego rodzinie, tak by mógł wysyłać życzenia, zanim jego mama każe mu to zrobić. Lubiliśmy chilijskie wino i amerykańskie komedie i żadne z nas nie czepiało się o pracę wieczorami czy długie polegiwanie w łóżku. I rozśmieszaliśmy się nawzajem. Czego można chcieć więcej?

Tak czy owak, czułam, że jesteśmy gotowi na następny krok i ogłoszenie naszego związku. Nie przez ślub – Dominik uważał, że śluby były wymówką dla par, by pójść na zakupy do sklepów z wydumany wyposażeniem kuchennym, a mi nie było do tego spieszno – ale przez kupienie mieszkania razem. Naszego własnego miejsca, gdzie moglibyśmy odpoczywać, gotować, zapraszać przyjaciół na kolację – czyli robić wszystko to, czego w obecnym mieszkaniu Dominika nie sposób było robić, nie widział bowiem sensu w wynajmowaniu mieszkania z odpowiednio urządzonej kuchnią, jeśli wszystkie posiłki, poza śniadaniem, jadał w restauracjach. Umowa najmu kończyła się po świętach Bożego Narodzenia i poważnie zastanawialiśmy się nad połączeniem naszych oszczędności i kupieniem czegoś małego w naszej okolicy. Dominik był za – to była, jak mawiał, rozsądna decyzja, biorąc pod uwagę obecną sytuację na rynku. Dla mnie jego słowa były dowodem, że poważnie myślał o naszej wspólnej przyszłości. Doceniałam

to o wiele bardziej, niż gdyby się oświadczył, jak to zrobił Anthony.

Poza tym, umówmy się, wspólny kredyt na mieszkanie jest na dwadzieścia pięć lat. Dodatkowo, w przeciwieństwie do ślubu, możesz ubezpieczyć się na wypadek, gdyby ta druga strona chciała się wycofać.

W środowy wieczór pchnęłam z impetem drzwi do najnowszego gastropubu poddającego się ostrej jak brzytwa krytyce Dominika, z plikiem ofert nieruchomości na sprzedaż leżącym na dnie mojej torby. Dotyczyły mieszkań znajdujących się na obrzeżach obszaru, który Dominik mógłby rozważyć jako miejsce nadające się do życia, a jednocześnie takich, na jakie było nas stać. Według moich notatek był to dwusetny posiłek, jaki jedliśmy wspólnie poza domem, i wydawał się dobrze wróżyć naszemu związkowi na przyszłość.

Szczegóły ofert upchnęłam do własnego „jedzeniowego notatnika”, oprawionego w skórę zeszytu z moimi inicjałami, gwiazdkowego prezentu od Dominika. No, nie dokładnie moimi, ale inicjałami mojego pseudonimu. BC.

Jak większość partnerek krytyków, byłam obecna w jego recenzjach. Byłam Betty, Betty Confetti, taką ksywkę dał mi Dominik, chcąc tym samym podkreślić fakt, że w ciągu dnia zajmowałam się głównie ślubami. I nawet się rozpoznawałam w tej postaci: Betty jadła z apetytem, od czasu do czasu żartując niewybrednie, chociaż Dominik miał w zwyczaju w trakcie redagowania recenzji przypisywać sobie najlepsze dowcipy, byłam w stanie mu to wybaczyć, w zamian za wszystkie darmowe posiłki.

Dzisiejszy gastropub był w Kensington, tuż za rogiem naszego domu, była to nowo odnowiona speluna nazwana Zjawą, co moim zdaniem pasowało do niej bardzo, gdyż obsługa ubrana w rustykalne stroje zjawiała się przy tobie w trzydziści sekund, nawet zanim zdążyłaś zdjąć płaszcz.

– Genialne porównanie. Podoba mi się. Mogę zapisać? – powiedział Dominik, gdy tylko podzieliłam się z nim moimi spostrzeżeniami. Siedział już przy stoliku, pił wino i chichotał na myśl o tym, że napisze to na twitterze.

– Proszę bardzo. – Sięgnęłam po butelkę znakomitego Clareta, gdzieś ze środka listy win. Helen ustawiała go dużo wyżej w naszej restauracji.

– Ojej, aż tak źle? – podniósł głowę znad notatek, gdy napełniłam swój kieliszek i wypiałam go duszkiem. – Co się dzisiaj wydarzyło? Nie wygrzewasz się już w chwale zaślubin Atkinsonów? Czy nie dodałaś sobie czasem wielkiej gwiazdki za goszczenie parlamentarzystki?

– Dodałam, ale tylko na jakąś godzinę, bo potem Laurence przypomniał sobie, że w przyszłym tygodniu mamy audyt, więc spędziłam cały dzisiejszy dzień na przygotowywaniu każdego działu i porządkowaniu księgowości... – Próbowałam nie myśleć o trudnej do ukrycia panice na twarzy Dina, kierownika baru. – Nie za bardzo wyszło im w barze z księgowaniem, znowu będziemy musieli ogłosić dla nich amnestię.

– A czy Laurence płaci ci za bycie nieoficjalnym dyrektorem hotelu?

– Oczywiście, że nie. Dobrze, że płaci za organizowanie eventów.

– I ciągle nie ogłosił wakatu?

– Nie, wszyscy z napięciem oczekujemy tego, co przyniesie najbliższa przyszłość.

Dominik poszturczał nożem do masła jeden z dodatków, oliwki nadziewane serem feta.

– Doceniam, że Laurence traktuje ten hotel jako swoje hobby, ale ty nie musisz tego wytrzymywać. Moim zdaniem masz trzy opcje. Możesz zostać i być dalej wykorzystywana. Możesz znaleźć pracę gdzie indziej – to nie będzie trudne. Albo możesz zmusić go, by wreszcie zaczął traktować cię poważnie. Chyba nadszedł czas na trudną rozmowę, Rosie.

Dominik uparcie wierzył w skuteczność trudnych rozmów; miał od tego swojego agenta.

– To znaczy jaką?

– Taką... – Wycelował we mnie nożem i zakręcił nim w powietrzu. – Po prostu powiedz temu podstarzałemu, oklapłemu rozpustnikowi, że powinien dać ci stanowisko dyrektora hotelu. Dlaczego nie? To głównie twoje eventy przynoszą zyski. Oślepij go liczbami. Dobrze wiesz, co się

dzieje, gdy pomachasz mu przed nosem cyferkami. Od razu dostaje mroczków przed oczami.

– Cóż...

– Nie cóż... – Uznając wykład za zakończony, Dominik zaczął studiować menu. – Paul od miesiący jest w centrum terapii uzależnień. Ten facet już nie wróci, a Laurence myśli, że nikt z was tego nie zauważy. Przedstaw mu to otwarcie, tak by nie mógł się wykręcić, Rosie – potrafisz to zrobić, umiesz bezboleśnie skłonić ludzi, by zrobili to, co chcesz. Gdy nie rozstawiasz panien młodych po kątach, zrzędzisz o moim cholesterolu albo urządzasz kampanii przeciwko ulotkom pizzerii na klatce schodowej. Powiedz mu, czego chcesz. Pozwól mu negocjować.

– Laurence nie negocjuje – odpowiedziałam. – To była rola Caroline. Za każdym razem, gdy próbuję go o coś poprosić, udaje atak anginy.

– Więc mu na to nie pozwól!

Chleb podano w zrobionym z rafii ptasim gnieździe, z masłem w kształcie jajka. Jajko było nie tylko bladożółte, ale i posypane białoczarnym pieprzem. Dominik zanurkował po pełnoziarnistą bułkę, otworzył ją z chirurgiczną precyzją i zanotował coś w swoim czarnym notatniku. W drugim końcu sali umęczony manager klepnął się nagle w czoło i zaczął machać rękami w naszym kierunku, a ja próbowałam udawać, że tego nie widzę.

– Mogłabym się spytać Caroline, czy... – zaczęłam, ale Dominik mnie powstrzymał.

– Na tym właśnie polega twój problem – powiedział, wpychając chleb do ust. – Laurence tym swoim niedorzecznym sposobem zarządzania hotelem jak jedną wielką szczęśliwą rodziną zrobił z ciebie gosposię. Jesteś cholernym Kopciuszkiem, a Caroline tylko złą...

– Caroline jest bardziej mentorem niż szefem... – zaczęłam, ale Dominik już zdążył się rozkręcić.

– Ona tylko sprawiła, że robisz dla niej wywiad w Londynie, już nie wspominając, że kazała ci zajmować się życiem miłosnym własnego

szefa, podczas gdy on cały czas wylewa na ciebie własne rodzicielskie wyrzuty sumienia. To jest chore. On nie jest twoim ojcem. Jest twoim pracodawcą. A jakoś nie widzę, żeby jego własna rodzina czyściła toalety lub wpychała się do kuchni obierać ziemniaki, a ty?

Żałowałam, że powiedziałam mu o tych toaletach. To było tylko raz, gdy zachorowała cała ekipa sprzątająca.

– No nie, ale żaden z jego synów nie pracuje w tym biznesie...

– Ale obydwie jego żony tak. – Dominik zmarszczył swoje krzaczaste brwi. – Tej Ellie jakoś udało się wynegocjować porażające wynagrodzenie za kilka godzin pracy. Zero godzin pracy, prawdę mówiąc.

Nie chciałam wchodzić na temat Ellie. To była zupełnie inna para kaloszy. Gemma, która zaczęła pracę na recepcji razem z Ellie, nie była w stanie wymówić jej imienia bez spazmu obrzydzenia na twarzy.

– Ale ja nie mam zamiaru za niego wychodzić – westchnęłam ciężko. – Ja tylko chciałabym, by rozważył mnie na stanowisko dyrektora.

– W takim razie nie może traktować cię jak członka rodziny i pracownika w jednej osobie. Nie myl jego zależności od ciebie z docenianiem cię. Rosie, on twoją obecność w hotelu uznaje za oczywistą.

Westchnąwszy, sięgnęłam po koszyk z pieczywem. Jak zwykle Dominik przeszedł prosto do sedna sprawy, jak rakieta namierzająca wyrzuty sumienia. Przeszedł tak dużo terapii, że w końcu przestał się wahać i zaczął mówić innym, co naprawdę myślą.

Wiem, że Laurence traktował ludzi przedmiotowo. To był jeden z powodów, dla którego Caroline w końcu miała go dość i go zostawiła. I niczego się nie nauczył: ciągle zakładał, że ona będzie zdalnie rozwiązywać jego problemy.

– Żeby być z tobą szczerą – powiedziałam – to myślę, że im obojgu jest przykro, że nikomu w rodzinie nie zależy naprawdę na tym hotelu. Ani Joe, ani Alec nigdy nie przejawiali zainteresowania tym miejscem, a jest w ich rodzinie od lat.

Dominik przerwał na chwilę preparowanie bułki.

– Który z nich jest hipisem, a który psycholem? – zapytał.

– Joe jest hipisem – odpowiedziałam odruchowo i zaraz się poprawiłam

– Nie, nie jest hipisem, tylko podróżnikiem. Ma podróżniczy biznes w Stanach...

Spróbowałam sobie przypomnieć, jak dokładnie opisywała to Caroline:

– Planuje przeżycia na pustynnych bezdrożach i uduchowione odnajdywanie siebie w odosobnieniu... tego typu sprawy.

– Czyli opiernicza się, organizując wakacje z adrenaliną dla bogatych dzieciaków po studiach, tak by sam mógł udawać, że jest młodszy – prychnął Dominik. – Ile on ma lat?

Hmm... – próbowałam się doliczyć. – Coś koło dwudziestu ośmiu?

– Dwadzieścia osiem? Ja w jego wieku już od czterech lat pisałem felietony w gazecie!

– A ja pracowałam w hotelu z małymi przerwami od prawie dwunastu – podkreśliłam. Miałam trzydzieści, Dominik trzydzieści pięć lat. Gdy mu pasowało, lubił mówić, jak gdyby miał przynajmniej pięćdziesiąt pięć.

– A co z psycholem?

– Jeśli masz na myśli Aleca, to mieszka razem z Caroline w Oxfordshire. I... – nawet nie wiem, czemu zadawałam sobie tyle trudu, by to dodać, jako że losowe, acz entuzjastyczne pogardzanie ludźmi było jednym z ulubionych hobby Dominika. – Alec nie jest psycholem, odszedł z armii, bo miał dość przeprowadzania się.

Dominik wydał z siebie kpiący dźwięk.

– To wersja Caroline. Nie opuszcza się wojska, bo jesteś zmęczona przeprowadzkami. To jak rezygnowanie z międzynarodowych rozgrywek piłki nożnej, bo ktoś jest znudzony wiadomościami sportowymi.

Już miałam zaprzeczyć, gdy zdałam sobie sprawę, że nie mogę. Prawdę mówiąc, Alec był trochę niestabilny. Przystojny, czarujący jak jego rodzice, z rudą czupryną, ale... energetyczny było chyba eufemistycznym określeniem jego charakteru.

– Myślę, że Laurence powinien uważać się za szczęściarza, że żaden z tych idiotów nie chce mieszać się w rodzinny biznes. Gdybym był nim, robiłbym wszystko, by trzymać ich najdalej, jak to możliwe. Nie chciałabyś przecież, żeby ktoś zastawiał zasadzki na twoich gości w barze czy poddawał ich szamańskim uzdrowicielskim rytuałom w foyer – zauważył Daniel.

Nie widziałam ani Aleca, ani Joego od lat, ale spotykając się od czasu do czasu z Caroline, trudno było wyobrazić sobie któregokolwiek z nich za ladą recepcji.

– Ale on jest w rodzinie od tak dawna. To nie jest zwykły hotel. Laurence kocha Bonneville. Ja kocham Bonneville. To jest...

Już miałam powiedzieć, że jest to więcej niż tylko hotel, że jest częścią historii, ale się powstrzymałam, bo oczy Dominika rozszerzyły się karcąco. Nie zgadzał się z moim pomysłem przypisywania Bonneville osobowości. Jak to on, uważał, że kluczem do sukcesu było podkradzenie przez Helen przyzwoitego szefa kuchni do naszej restauracji.

– To wyjątkowy londyński hotel – kontynuowałam. – I ma potencjał.

Dominik zamaszyście smarował bułkę.

– To nawet lepiej, że żaden z synów nie jest nim zainteresowany. W związku z tym Laurence powinien zachęcić do tego jedyne kompetentnego pracownika, który takie zainteresowanie przejawia – powiedział. – Powinien mianować cię dyrektorem do końca roku. A jeśli tego nie zrobi, powinnaś pomyśleć o znalezieniu pracodawcy, który doceni twój talent.

Tak, pomyślałam, gapiąc się na dziwną filcową dekorację w złotej ramie wiszącą tuż za głową Dominika. (Zawsze zajmował miejsce z widokiem na salę). Mogłam to zrobić. Podwyżka, lepsze stanowisko pracy... zasługiwałam na to. Musiałam tylko zrobić listę, by marzenie się ziściło.

A potem, poza moimi innymi obowiązkami, musiałam tylko zorganizować trzy śluby w miesiącu przez następne pół roku, a potem mogłam porozmawiać z Laurence'em o awansie. Nie wiedziałam, co

ważniejsze.

– Rosie! Czy jest jakiś problem z chlebem?

Popatrzyłam na swój talerz. Moja bułka była pokruszona na kawałeczki. Rozdrabniałam ją, nie zdając sobie z tego sprawy, a teraz miałam przed sobą smutną kupkę organicznego siemienia lnianego i płatków orzechowych.

Dominik promieniał. Prawie mogłam usłyszeć słowa przelatujące mu w mózgu: „Bułka nie była wcale bułką, raczej kolekcją czerstwych okruszków skulonych razem w koszyku na pieczywo, by ochronić się przed zimnem...”.

– Czy była za sucha? – zapytał ponownie.

Zdobyłam się na uśmiech. „Pieczywo było tak suche, że mogłoby prowadzić swój własny tropikalny teleturniej. Stwierdziła Betty”.

– Bardzo dobrze. Powinnaś pisywać własne felietony. Chciałabyś, bym się tym zajął? – Oczy Dominika błysnęły ponad ciemną miękkością jego nowej brody. Helen uważała, że broda była strasznym przewinieniem, ale mi się podobała. Dominik dobrze z nią wyglądał, mojej wyobraźni niewiele brakowało, by dodać jeszcze wysokie buty i szpadę. Rzeczywiście mieliśmy władzę, pomyślałam. Betty i Dominik, królowa i król londyńskiego królestwa restauracji.

– Nie, chyba już nie jestem głodna – powiedziałam nonszalancko. – I kto by pisał żarty do twojego felietonu? Chociaż, w sumie, Betty mogłaby mieć swój własny koktajlowy blog w innej gazecie.

Helen i ja tworzyłybyśmy genialne koktajlowe felietony...

– Wiesz co? Chyba nie powinienem zachęcać cię, byś pracowała jeszcze więcej niż teraz – powiedział, nachylając się w moją stronę. – I tak cię prawie nie widuję...

Zignorowaliśmy złowieszcze skrzywienie stołu, to znaczy ja zignorowałam, bo kto wie, jakie spostrzeżenia na temat umeblowania zanotował Dominik w głowie.

– Masz rację – powiedziałam szybko. – Myślę, że powinnam postarać

się o awans tak szybko, jak to tylko możliwe. Przydałyby nam się dodatkowe pieniądze na wkład własny, prawda?

Dominik nie słuchał. Na jego twarzy gościł szelmowski uśmiezek, który przywodził mi na myśl piratów i szable.

– Szukałam mieszkań... – kontynuowałam temat, który nawet ładnie wpasował się w naszą rozmowę.

– I?

Kątem oka zauważyłam zbliżającego się kelnera. Uśmiechając się nerwowo, zapytał:

– Jesteście państwo gotowi, by zamówić?

Zatrzymałam się na chwilę. Nie chciałam przyspieszać rozmowy. Opowiem o szczegółach przy deserze. Dominik zawsze był szczęśliwszy przy deserze.

– Wiesz już, co chcesz zamówić? – zapytał mnie bardziej dla dobra kelnera niż mojego, ponieważ oboje dobrze wiedzieliśmy, co będę jadła – wszystko to, czego nie lubił Dominik: opcje wegetariańskie, kalmarowate rzeczy, sosy śmietanowe, ciepłe puddingi. Na szczęście były to wszystkie potrawy, które i tak bym wybrała. Tworzyliśmy zgrany zespół.

Popatrzyłam na menu, pisane jakby kredką podczas przerwy w dostawie prądu. W gastropubach zawsze musiał pojawić się rozdźwięk pomiędzy stylem rustykalnym a całą resztą.

– Na początek poproszę kałamarnicę, potem karczocha i risotto z jajami przepiórki.

– Świetny wybór – powiedział kelner i ukłonił się służalczo.

– To już my ocenimy – mruknął pod nosem Dominik. – Ja poproszę kociołek z krewetkami, pasztet z królika, a potem Steak and Kidney Pudding. I jeszcze szpinak i wyciskane ziemniaki, czymkolwiek są. Poproszę je wyściskać od serca, jeśli nie sprawi to problemu.

Kelner zerknął na managera i szefa kuchni, obydwoj stali przy kuchennych drzwiach. Coś zamachali do niego rękami, ale zobaczyli, że patrzę, więc tylko udali, że sprawdzają lampę.

– Więc... – zaczął Dominik, gdy kelner już odszedł. Nachylił się w moim kierunku i poczułam cudny zapach jego wody po goleniu. – Co Betty myśli o wystroju? Była stodoła w Wiltshire? Czy to porzucona wiktoriańska szkoła?

Opuściłam oczy, starając się nie roześmiać. Nawet po dwustu obiadach nie znudziło mi się bycie częścią jego felietonów. W takich momentach byłam wdzięczna, że nam nie wyszło z Anthonym. Przy Dominiku czułam się jak prawdziwy dorosły, mający interesujące życie towarzyskie, będący w centrum wszystkiego, co dzieje się w Londynie.

Porozmawialiśmy trochę o wystroju, przynieśli jedzenie, zjedliśmy je, pożartowaliśmy o talerzach z odzysku, potem przy kawie wyjęłam z torby oferty mieszkań.

– Wiem, że jeszcze nie mamy wystarczająco pieniędzy – powiedziałam, przesuwając wydruki na drugą stronę stołu – ale pomyślałam, że byłoby dobrze, gdybyśmy zaczęli myśleć, w jakiej okolicy chcielibyśmy mieszkać. Znalazłam kilka, które mogą ci się spodobać...

– A gdzie? Bo wiesz, że priorytetem jest odległość do pracy. – Dominik popatrzył podejrzliwie na papiery. – I blisko dobrej piekarni. I przynajmniej cztery stacje metra od hipsterów w kardiganach.

– Na mieszkanie przy hipsterach nas nie stać, nie martw się.

– Pokaż mi swój notes.

Do celów mieszkaniowych miałam specjalny notes. Dominik napił się wody i otworzył go na mapie miasta.

– Tu – powiedział, wskazując na Kensington. – Gdzieś tutaj powinno być dobrze.

– Przepraszam, a czy dostałeś trzystuprocentową podwyżkę, tylko zapomniałeś mi o tym powiedzieć?

Wziął do ręki filiżankę espresso.

– Chcesz, żebym narysował mniejsze kółko?

Dlatego chciałam zacząć szukanie wcześniej, zanim skończy się wynajem. Wiedziałam, że upłynie kilka miesięcy, zanim Dominik

zrozumie, na co naprawdę nas stać.

– Jeśli zamiast dwóch pokoi zdecydujemy się na jeden, wtedy...

– Muszą być dwa – zaczął, gdy wtem w jego kieszeni zadzwonił telefon. Ignorował go przez kilka sekund, co sprawiło mi przyjemność; potem wyciągnął aparat z kieszeni, skrzywił się i odłożył z powrotem.

– Kto to był? – zapytałam.

– Tylko Jacob.

– Jacob z biura? – jeszcze nie dane mi było spotkać żadnego z jego kolegów z pracy. Według Dominika wszyscy pracowali w dziwnych godzinach i najlepiej było zostawić ich w spokoju, ponieważ „pisarze robią najlepsze wrażenie w mailach, w prawdziwym życiu nie są w stanie zredagować własnych słów”.

– Tak, jest w którymś z okolicznych barów. – Popatrzył na jeden z wydruków. – To naprawdę jest mieszkanie? Jesteś pewna, że nie szafka kuchenna?

– Jeśli Jacob jest w okolicy, powiedz mu, by do nas dołączył – zasugerowałam. – Chciałabym go poznać. Píše o muzyce?

Dominik skrzywił się.

– Nie. Píše o winie. Dobry powód, by go tu nie zapraszać. Poza tym, czy nie chciałaś porozmawiać o mieszkaniach?

Spojrzałam na niego bez komentarza. W naszym mieszkanku miałam zamiar organizować najbardziej niesamowite spotkania. Pisarze, szefowie kuchni, restauratorzy, jego znajomi, moi znajomi. Będzie to prawdziwy salon. Salon jedzeniowy. Pomijałam fakt, że będę musiała pracować nie wiadomo ile, by spłacić kredyt.

– To ma niesamowitą kuchnię – powiedziałam z uśmiechem i podsunęłam mu wydruk. W mojej wyobraźni już miał na sobie smoking.

Rozdział trzeci

Przez resztę tygodnia, gdy tylko nie wisiałam na telefonie, rozmawiając z pannami młodymi, lub nie biegałam po hotelu, ustalając spotkania z klientami czy degustacje tortów, układałam w głowie różne scenariusze rozmowy z Laurence'em. Nie chodziło o to, że nie chciałam go prosić, po prostu wiedziałam, że mam tylko jedną szansę, by zrobić to, jak należy. Laurence tak zręcznie potrafił się więc pod czas rozmowy, na którą nie miał ochoty, że zmieniał temat, zanim ktoś go w ogóle zaczął.

Rozwazałam najlepszą taktykę przez cały ślub tamtej soboty – mały, ale bez liczenia się z kosztami, drugi ślub i wesele managera funduszu hedgingowego i jego pierwszej miłości z lat dziecińczych, a obecnie wziętej dekoratorki wnętrz. Do czasu, gdy w poniedziałek rano szłam na cotygodniowe spotkanie w sali konferencyjnej, wymyśliłam (mniej więcej), że najlepiej będzie po prostu go tym zaskoczyć.

Każdego ranka odbywaliśmy krótkie spotkanie w biurze Laurence'a, ale w poniedziałki wszystko było bardziej formalne. Wtopy i brudy były wyciągane spod dywanu, jeśli ich wystarczająco dobrze nie ukryliśmy, każdy więc wołał usiąść. Nawet w najmniejszym z londyńskich hoteli zdarzały się wpadki, które jeżyły włosy na głowie.

Zwykle Gemma robiła notatki. Lecz kiedy tego poranka otworzyłam ozdobione mosiężnymi reliefami, pasujące do lusterek na korytarzu, drzwi sali konferencyjnej, już przebierała nogami, jakby chciała biec gdzieś indziej. Najpewniej do toalety.

– Super, że jesteś – powiedziała, zanim zdążyłam się odezwać. – Laurence powiedział, że dzisiaj ty notujesz, bo ja muszę biec po jego receptę.

– Jego co?

To był właśnie klasyczny styl Laurence'a. Zarządzanie personelem bez jakiegokolwiek troski o nasze spotkania, już nie mówiąc o graniczącym

z geniuszem przerwaniu spraw prywatnych na Gemmę, by ta zajęła się nimi przed cotygodniowym przeglądem wydarzeń – jej ulubionym źródłem plotek. Takie zagranie gwarantowało załatwienie leków z pełną prędkością, by nie stracić żadnego pikantnego szczegółu.

– Powiedział, że jego poziom magnezu i żelaza spadł do niebezpiecznego poziomu. To nie zajmie długo. Dzięki, Rosie. – Wcisnęła mi swój długopis i notatnik i wypadła z pokoju.

Usiadłam przy talerzu pachnących drożdżówek, świeżo upieczonych przez naszą francuską mistrzynię cukiernictwa, Delphine, i otworzyłam notatnik na pustej stronie. Rozejrzałam się, kto przyszedł, i zaczęłam przeglądać notatki z zeszłego tygodnia, zaznaczając jednocześnie dzisiejszych obecnych.

Robienie notatek było pierwszym zadaniem powierzonym mi przez Caroline, gdy przyszedłam do Bonneville po studiach. W ten sposób miałam dowiedzieć się, jak wszystkie działy współpracują ze sobą, tworząc jeden dobrze funkcjonujący organizm. Przywykłam do interpretowania różnych nieparlamentarnych wyrażen, tak by na papierze wyglądały cywilizowanie, sądząc po raczej dosłownym zapisie awantury pomiędzy Dinem, kierownikiem baru, i Samem, konsjerżem, o to, który powinien dostawać napiwki za koktajle po godzinach. Obaj nie przebierali w słowach i trzeba oddać Gemmie, że czytało się to wyjątkowo interesująco. Jeśli nie powiedzie się jej w hotelu, karierę pisarki scenariuszy do brutalnych filmów akcji ma zapewnioną.

Poniedziałkowe spotkanie Szefów Działów, 12 maja 2014.

Obecni:

(zostawiłam lukę na Laurence'a Bentleya Douglasa, dyrektora generalnego)

Rosie McDonald, eventy

Dino Verdi, bar

Diane Holloway, HR

Jean Hogg, pokojówki i ekipa sprzątająca

Zerknęłam, czy nie wszedł ktoś jeszcze, i złapałam fragment rozmowy Diane i Jean, cudownie pulchnej gospodyni. Usłyszałam tylko: „Laurence”, „aktywa” i „stanowisko dyrektora hotelu”, a potem Diane wywróciła oczami i powiedziała „Skąd miałabym wiedzieć”. Rozmawiały o jeszcze nieogłoszonym zastępstwie za Paula na stanowisku dyrektora. Wszystkim nam chodziło to po głowie, jako że wszystkim dostała się jakaś część jego obowiązków.

Aż mi coś zatrzepotało w piersi. A co, jeśli Laurence ogłosi następcę Paula na tym spotkaniu? Będzie za późno na mój plan. Nie, upomniałam siebie, by myśleć szerzej, nie będzie za późno, mam świetne argumenty.

Poczułam nad głową nagły powiew Hugo Bossa i Sam, konsjerż, usiadł obok mnie. „Hej, piękna” – powiedział wprost do ucha. Do moich notatek dodałam: Sam Smith, konsjerż i powiedziałam: „Hej przystojniaku”. Po drugiej stronie stołu Diane zachichotała totalnie nie w stylu szefowej kadr i wiadomo było, że Sam mrugnął do niej swym specjalnym poniedziałkowym mrugnięciem.

Nie przywiązywałam uwagi do słów typu *piękna* w ustach Sama. Do każdego zwracał się w ten sposób, nawet do portierów. Dlatego dostawał najlepsze napiwki, dlatego i jeszcze dzięki umiejętności zdobywania wolnych stolików w najbardziej obleganych restauracjach i najlepszych miejsc na topowego *Króla Lwa*^[1].

Trzeba mu było oddać, że był zabójczo przystojny. Dużo łatwiej ujdzie ci nazywanie kogoś piękną, jeśli sam wyglądasz jak z reklamy Armaniego. Jeśli masz idealnie przycięte włosy, oczy Beckhama i spojrzenie, które nie powinno ci ujść na sucho, ale uchodzi. Poza mną. Po tyłu mrugających wstawionych druzbach nie robi to na mnie wrażenia.

– Słuchaj, panno MoneyPENNY, co wiesz o zastępstwie za Paula? – wymruczał, sięgając po drożdżówkę. – Plotka głosi, że Laurence spędził dużo czasu w swoim biurze w zeszłym tygodniu, z zawieszka NIE PRZESZKADZAĆ na drzwiach.

Po drugiej stronie stołu Diane zastrzygła uszami.

– Tak? – powiedziałam, nalewając kawy najpierw jemu, potem sobie –

Wiesz, jaki jest Laurence. Znalazł pewnie jakąś nową stronę, przez którą może zdiagnozować problemy skórne, dotykając dłonią ekranu.

I widząc złośliwy uśmieszek pojawiający się na jego twarzy, pogroziłam placem: – Tylko mu tego nie mów. Jak tylko zobaczę, że maca ekran, będzie po tobie.

Sam zmarszczył czoło i wpakował sobie kawał drożdżówki do ust:

– Coś się kroi. Zapamiętaj moje słowa. Widział się z prawnikiem. Tym, który wygląda jak grabarz.

– Podśluchiwałeś pod drzwiami? – Obróciłam się na krześle z zainteresowaniem.

– Nie podśluchiwałem, tylko... Powiedzmy, że staram się trzymać rękę na pulsie. Jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

– Nie, nie wiem. Powiedz, co wiesz.

Przysunąwszy się bliżej, tak by Diane nie mogła usłyszeć, wyszeptał:

– Gdy jedna z pokojówek wpadła do niego, by opróżnić kosz na śmieci, rzucił słuchawką.

Zadziwiona uniosłam brwi. Laurence nigdy nie rzucał słuchawką. Zazwyczaj nie pamiętał, co z nią zrobić i kończyło się, że zamiast się rozłączyć, przełączał zdumionego rozmówcę na głośnik, co prowadziło do niezmiernie ciekawych wynurzeń.

– I... – ciągnął Sam – rozmawiał z Caroline.

– Z Caroline? – zaniepokoiłam się.

– Dobry. Obgadujecie Laurence'a? – Wraz z aromatem czosnku objawiła się też Helen, rzucając swoje dokumenty na stół. – Mam do niego sprawę

Dopisałam: Helen Yardley, restauracja.

– Myślałem, że właśnie na tym polega twoja praca? – zakpił Sam i jego twarz rozświetliła się na widok Helen w jej nieodzownym garniturze. – Restauracja i sprawy do Laurence'a? No co ty? Niemożliwe?

– Nie – odpowiedziała Helen. – Moja praca polega na zarządzaniu restauracją, a nie na niańczeniu Laurence'a wściubiającego nos

w nieswoje sprawy, jak robił cały weekend, przeszkadzając cholernie pracowitym socjopatom, jakich tam zatrudniamy. I jeszcze Kevin. Ostatnia rzecz, jakiej mi teraz potrzeba, to Laurence denerwujący Kevina.

– Laurence był w kuchni? – zaczynało być dziwnie. To nie było w jego stylu. Panicznie bał się Helen i troszkę mniej panicznie Kevina Lomaxa, szefa kuchni i tajnej broni Helen w boju o gwiazdkę Michelina. Oboje mieli dostęp do wielkich noży i zwykle byli na coś wkurzeni. W przypadku Helen było to zrozumiałe, jako że jej praca polegała na zarządzaniu monstrualną kolekcją ego rozgrzanych do czerwoności.

Sam wyciągnął się na krześle i skrzyżował ramiona, uśmiechając się szelmowsko:

– Czyli wszystko jasne. Prawnik o wyglądzie grabarza. Laurence węszący w kuchni. Rzucanie słuchawkami. Laurence proszący swoją eks o radę. Jak dla mnie już ma nowego dyrektora albo jest w trakcie rozmów kwalifikacyjnych.

– Raczej chce, by Caroline przyjechała i zrobiła to za niego – prychnęła Helen.

Ze wszystkich sił starałam się ukryć emocje. Spóźniłam się? Czemu wcześniej do niego nie poszłam? „Ponieważ padałaś na twarz, zastępując Paula” – upomniałam się.

Helen wyczuła moje myśli i spojrzała na mnie, mówiąc: – A nie mówiliśmy ci, żebyś to zrobiła? Przecież i tak odwaliałaś całą robotę za Paula, odkąd odszedł.

Jestem pewna, że powiedziała to głośniej, niż powinna, bo Diane z HR-u siedziała po drugiej stronie.

– Powinnaś dostać podwyżkę za wszystkie nadgodziny – dodała, w razie gdyby Diane nie załapała za pierwszym razem. Helen umiała być dobrą przyjaciółką. – Nigdy nie wychodzisz przed 22.00. Do tego jesteś tu w większość weekendów, nadzorując śluby.

Diane udało się utrzymać nic niemówiący uśmiech na ustach – miała wprawę.

– Założę się, że Dominik Crosby nie jest zachwycony twoim trybem pracy. – Ze współczuciem potrząsnęła głową, dalej dając przedstawienie dla Diane, ale też dlatego, że nigdy nie zdarzyło się jej przegapić okazji, by wtrącić coś o Dominiku. – Zauważyłam, że Betty z jego felietonów jest tak zajęta, że od tygodni jej nie widać.

– On to rozumie – dodałam cicho. – Też jest zajęty. Ubiega się o nagrodę dla najlepszego krytyka kulinarnego London Eats and Drinks Awards.

– To druga będzie The Entertainment Power Couple, dla najbardziej wpływowej pary show biznesu. Jesteście wersją Jolie–Pitt świata przekąsek – z powagą skomentował Sam.

– Spadaj – powiedziałam zadowolona.

W tym momencie Helen mnie szturchnęła, skupiając uwagę na Laurensie, który raczył wreszcie przyjść, za nim szedł Tam, szef ochrony, w garniturze specjalnie skrojonym tak, by uwidocznił jego masywne uda, genetycznie stworzone bardziej do kiltu, szczególnie do jego wyżynnej bojowej wersji. Tam zawsze przychodził ostatni. Do ostatniej chwili stojąc przy drzwiach wejściowych albo z powodu oryginalnych, często łamliwych krzeseł art deco, na których by się nie zmieścił, a jeśli nawet, to i tak by go nie wytrzymały, albo z powodu nieukrywanej awersji do cotygodniowej polityki, nad którą przedkładał dyżur przy drzwiach i wypatrywanie potencjalnych intruzów.

Rzuciłam okiem na Laurence’a. Nic nie można było poznać, nawet niebezpiecznie niskiego poziomu magnezu i żelaza. Wręcz przeciwnie, wydawał się raczej radosny.

– Dzień dobry, załogo! – powiedział i zajmując miejsce na czele stołu, charakterystycznie odrzucił przy siadaniu poły marynarki. Rozpoczęliśmy spotkanie.

Zależnie od rodzajów problemów, jakimi musieliśmy się zająć na poniedziałkowych spotkaniach, zebrania mogły się ciągnąć godzinami. Ku mojemu zdziwieniu dzisiejsze zakończyło się już po trzydziestu minutach. Pozostali pospieszili do swoich obowiązków, ja zostałam, ociągając się,

dopóki nie zostaliśmy we trójkę: Laurence, Sam i ja.

Posłałam Samowi mój wzrok mówiący *Spadaj* i ulotnił się przygotowywać szczęśliwemu gościowi stolik otoczony bluszczem.

– Rosie. – Rozpromienił się Laurence – W samą porę.

Pomyślałam, że chodzi mu o notatki. Chciał pewnie trochę podrasować te części, gdzie Helen pytała go o budżet na modernizację kuchni, a potem zapytała, kiedy ostatnio odnawialiśmy jadalnię, a on nie pamiętał.

– Przepiszę tylko notatki i podrzucę ci później – rzuciłam. – Ale wcześniej chciałabym chwilę z tobą porozmawiać?

– Co? A o czym? – Zamarł. – Nie wybierasz się chyba na urlop?

– Ha ha, bardzo śmieszne.

– No to o czym?

– O ślubach i o mnie.

– Dominik się oświadczył? – zapytał i przyłożył rękę do serca.

Spróbowałam zignorować oburzenie i zaskoczenie w jego głosie:

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Dzięki Bogu – powiedział z ulgą, a ja zaczynałam się zastanawiać, czy powinnam wyciągnąć z tego wnioski. – Dałem już dwa tygodnie wolnego Jean na jakiś rejs w czerwcu i nie mogę pozwolić sobie na stratę jeszcze kogoś, kto umie zająć się pokojówkami.

Weszłam za nim do gabinetu. Pokój Laurence'a nie zmienił się wiele od czasów, gdy jego dziadek wywrzaskiwał rozkazy do wielkiego czarnego telefonu, prawie sto lat temu.

Przy oknie z widokiem na ogród stał stolik, a na nim rząd srebrnych ramek ze zdjęciami prominentnych gości, obok gablotka koktajlowa w kształcie globusa. Otwierana codziennie o piątej piętnaście, by przygotować gin z tonikiem dla Laurence'a. Niektóre z butelek pochodziły jeszcze z lat sześćdziesiątych i najprawdopodobniej były od dawna zakazane w Unii Europejskiej. Jedynym ukłonem w stronę dwudziestego pierwszego wieku był komputer, ustawiony dziwacznie pomiędzy zdjęciami Caroline (byli tam także Joe i Alec) z jednej, oraz

Ellie (wraz z Ripley i Ottem, dwójkiem bardzo małych, bardzo blond dzieci Laurence'a z Ellie) z drugiej. Często byłam przywoływana, by włączyć i wyłączyć komputer, gdy ten się zawieszał. Laurence zawsze wcześniej zasłaniał go swoją czerwoną nakrapianą chusteczką, ale ja i tak wiedziałam, co ogląda – przerażające strony z symptomami chorób, nie porno.

– No siadaj, siadaj – pomachał w kierunku skórzanego fotela stojącego naprzeciwko jego biurka, a sam krzywiąc się z bólu, usadowił się ostrożnie w swoim.

Uśmiechnęłam się współczująco, o nic nie pytając. Umiał narzekać, a ja musiałam przyjąć dwóch dostawców confetti o jedenastej, by zademonstrowali ich „cudownie trzepoczące i łatwe do uprzątnięcia” sztuczne płatki róż (podróbki – w ich terminologii). Zapytanie Laurence'a o jego boleści mogło uniemożliwić mi udział w spotkaniu.

– No dobrze, o czym to chciałaś ze mną rozmawiać? – Wydawał się ledwie siedzieć w swoim fotelu, ale to też zignorowałam.

– Chciałam z tobą porozmawiać o mojej roli w hotelu. – Wzięłam głęboki oddech, przygotowując się na dalszą część tyrady.

Przestał się krzywić i stękać, nagle wyglądał na bardzo skupionego. – O twojej roli w hotelu?

– Tak – powiedziałam, rozłożywszy na stole wydrukowane arkusze przedstawiające resztę roku. Podeszłam do tego realistycznie i zignorowałam sugestie Dominika, by przedstawić w nich trzy królewskie wesela odbywające się w naszej oranżerii. – To jest zestawienie dochodów hotelu z organizacji ślubów, a to z innych eventów biznesowych, jakie zorganizowałam. Dodałam także przewidywane liczby za wesela zaplanowane na pozostałą część roku.

Podaliśmy papiery i Laurence zerknął na tabelki. Widać było, że jest pod wrażeniem, bo nie odezwał się ani słowem, chyba że nie był do końca pewny, co ma przed oczami. Nigdy nie był biegły w sprawach finansowych. Od tego był Ray, księgowy. Ray „Dwa Jachty” Temple.

– Czyli... prosisz o podwyżkę? – zaryzykował jak facet wchodzący

boso do ciemnego pokoju pełnego odwróconych pinezek.

No dalej, powiedziałam sobie. To nie jest trudniejsze niż wyrzucenie głównej druhny w imieniu Katie Hicks. To tylko słowa.

– Niezupełnie – mówiąc to, popatrzyłam w bladoniebieskie oczy Laurence’a i kontynuowałam. – Moim zdaniem te liczby pokazują, że dowiodłam moich umiejętności zarządzania działem eventów i czuję się gotowa na nowe wyzwanie. Chciałabym, żebyś rozważył moją kandydaturę na stanowisko dyrektora hotelu.

– Dyrektora hotelu? Tak jakby stanowisko Paula?

– Tak. Tak jakby stanowisko Paula. Bo wiesz, tak się składa, że ostatnio wykonywałam bardzo dużo jego obowiązków. Na przykład generalną inwentaryzację w zeszłym tygodniu, byłam też odpowiedzialna za przygotowywanie harmonogramu dla pokojówek i personelu sprzątającego oraz za nadzór przebudowy naszej strony internetowej.

– No wiem, ale... To jest dość, hmm... ambitna propozycja. Masz dopiero trzydzieści lat.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedziałam – ale przejrzałam budżety, jakimi zarządzam, i jestem w stanie wniesć więcej niż ktokolwiek z zewnątrz. Pracuję w tym hotelu od szesnastego roku życia, każdy pokój znam na wylot, rozumiem rodzinne podejście i wszystkie tradycje. Całkowicie podzielam twoją wizję wskrzeszenia reputacji Bonneville, ale w nowoczesny sposób. To już się dzieje dzięki ślubom. Ludzie zaczęli nas postrzegać jako klasyczne, tradycyjne miejsce zaślubin. Jest to genialny aspekt naszego marketingu. Możemy sprawić, by Bonneville stał się docelowym miejscem podróży poślubnych, jakim był kiedyś, nie tracąc przy tym swojej roli w organizacji ślubów z najwyższej półki. Nie widzisz tego? *Hotel Bonneville... Enklawa Nowożeńców w Londynie.*

Zdałam sobie sprawę, że byłam o krok od walenia rękoma w jego biurko, zupełnie jak na filmie. Coś w gabinecie Laurence’a sprawiało, że czułam taki imperatyw. Pewnie te wszystkie czarno-białe fotografie. Oszołomiona usiadłam z powrotem w fotelu. Serce waliło mi w piersi;

naprawdę wierzyłam w to, co mówię – było to dalekie od tego, co ćwiczyłam z Dominikiem.

Laurence otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale dopadł mnie kolejny napad perswazji.

– Pomyśl, ile będzie cię kosztowała rekrutacja nowego dyrektora – zwróciłam mu uwagę. – A potem jeszcze rozmowy kwalifikacyjne, negocjacje umowy, szkolenia.

Trafiłam. Laurence nienawidził wszystkiego, co pachniało dodatkowym wysiłkiem albo większą ilością czasu spędzonego z Diane, niewydolną, wkurzającą kierowniczką kadr.

– A gdyby tak... – zaczął i wiedziałam po sposobie, w jaki zaczął składać palce tak, by stykały się koniuszkami, metodycznie, jeden po drugim, że próbuje coś naprędce wymyślić, udając, że rozważa wiele możliwych opcji. – A gdybyśmy tak... ustanowili jakiś cel?

– Cel?

– Tak – powiedział i spojrzał na arkusze, które mu wręczyłam. – Co powiesz na to: zwiększysz dochód, który generujesz swoimi ślubami o, hmm, powiedzmy o dwadzieścia procent i załatwisz artykuły o naszym hotelu w trzech krajowych magazynach.

Zamrugałam gwałtownie, próbując obliczyć, ile jeszcze ślubów muszę zorganizować, by zwiększyć dochód o dwadzieścia procent.

– Trzech?

– A czemu nie? – Laurence obruszył się, wzruszając ramionami, jak gdyby załatwienie trzech artykułów w prasie krajowej na poziomie było czymś, co robi codziennie. – Przecież jedno celebryckie wesele to załatwi, prawda?

– Pewnie tak, ale co... – nie dokończyłam. Ewidentnie zapomniał, że na liście jest już jedno takie wesele zaplanowane na niedaleką przyszłość: „Angielskiej Róży”, modelki Flory Thornbury, której matka była dobrą znajomą Caroline. Ale to nie było nic pewnego. Na razie to tylko pierwsze spotkanie przy śniadaniu.

– A potem awansujesz mnie na dyrektora? – Próbowałam utrzymać zuchwałą, ale profesjonalną minę, mimo że serce waliło mi w piersi.

– Nie chciałbym cię poganiać – powiedział oschle. – Ale naprawdę uważam, że jesteś dobrym kandydatem na to stanowisko, więc jeśli zrealizujesz te założenia, to...

– Koniec?

Popatrzył zaniepokojony:

– Koniec? Znaczący... Odejdiesz?

– Nie, kiedy koniec, do kiedy mam to zrobić? – powtórzyłam.

– Do, hm... – Znowu pojawiła się postawa myśliciela (palce itd.) – Do końca przyszłego lata.

O mały włos nie wymyknęło mi się:

Chcesz, żebyśmy radzili sobie bez Paula jeszcze jeden rok? – ale się powstrzymałam. Zamiast tego Laurence usłyszał:

– A mógłbyś dać mi to na piśmie?

– Yyy... Tak.

– A w międzyczasie kto będzie pełnił obowiązki dyrektora? – Odchylił się na krześle i, jak zauważyłam, nie był szczęśliwy ani z powodu otrzymania takiego pytania, ani z faktu, że spotkaliśmy się wzrokiem. – Wydaje mi się, że dobrze nam szło do tej pory, czyż nie? Po tym, jak rozdzieliliśmy obowiązki pomiędzy managerów?

– To jest bardzo dużo dodatkowej pracy – przypomniałam – za niewiele nadgodzin w zamian. Już teraz Gemma jest twoją asystentką, moją i pomaga na recepcji – więcej nie mogę na nią zrzucić.

– Mam kilka rozwiązań w zanadrzu – powiedział tajemniczo.

– Jakich?

Wymamrotał coś pod nosem tak, żebym nie słyszała, i odsunął się od biurka:

– Rosie, poruszyłaś mnie tym, co mówiłaś o podróżach poślubnych. Możesz mnie nazwać starym romantykiem, ale gdy gawędziłem z twoimi

nowożeńcami w tym tygodniu, przypomniały mi się stare dobre czasy, kiedy byłem małym chłopcem i odbywały się tu cudowne wesela. Szczypta *glamour* w Palm Court po tylu latach. Wystrojeni ludzie, kapelusze... Opowiadałem ci już, że kiedyś był tu nawet pracownik szatni oddelegowany wyłącznie do wieszania futer...

Wstał zza biurka i zaczął przechadzać się po pokoju, podnosząc oprawione fotografie i odkładając je zaraz z westchnieniem żalu.

Wiedziałałam, do czego to zmierza. Pomimo pięćdziesięciu lat na karku Laurence był zagorzałym fanem „starych dobrych czasów”, gdy bombardowania Londynu zamieniały go w zgliszcza, ale śmietanka ówczesnej socjety ciągle łapczywie żłopała martini w dawnej piwnicy na wino Bonneville przerobionej na schron przeciwlotniczy. Twierdził, że pamięta takie rzeczy, mimo że z technicznego punktu widzenia, by je przeżyć, musiałby podróżować w czasie.

Zapatrzył się na fotografię Avy Gardner pijącej szampana z jego dziadkiem, lekkomyślnym seryjnym cudzołożnikiem, który, jak wierzyć Caroline, o mały włos nie przegrał hotelu w partyjce scrabble’a. Bonneville ocalał dzięki „potrójnej słownej”:

– To bardzo niezwykle, by hotel pozostawał w rękach jednej rodziny przez tak długo. Często się zastanawiam, co poradziłby mi mój ojciec, gdyby znów był na moim miejscu.

– Taaaak... – skomentowałam, spoglądając ukradkiem na zegarek. Miałam nadzieję, że nie zeszliśmy na temat Ellie i jej kolejnych „babskich wakacji” nierozzerwalnie łączących się z podrzuceniem Ripley i Otta ich ojcu. Dla mnie oznaczało to melancholijny wykład o „znaczeniu rodziny i potrzebie zrozumienia hotelu”, a następnie poproszeniem mnie o opiekę nad młodym potomstwem Laurence’a, czyli czymś, czego unikałam za wszelką cenę. Nigdy wcześniej nie spotkałam dwójki dzieci poniżej pięciu lat tak znudzonych sklepem z zabawkami Hamlejsa i Świętym Mikołajem.

Laurence puścił Avie oko, odłożył zdjęcie na miejsce i spojrzał na mnie w sposób tak uroczo bezpośredni, że rozbroiłby mnie kompletnie, gdybym

nie była na to przygotowana.

Ale byłam, więc odpowiedziałam mu takim samym spojrzeniem i próbując powrócić do tematu, zapytałam:

– Laurence?

Miał minę, jakby chciał coś dodać, po czym zmienił wyraz twarzy.

– Więc... – powiedział. – Poniedziałek rano! Mnóstwo roboty, co?

– Oczywiście. – Szczególnie dla kogoś, kto musi zwiększyć swój ślubny przychód o dwadzieścia procent. Wstałam i gdy byłam już przy drzwiach, przypomniało mi się, że początkowo to Laurence miał do mnie sprawę.

– Zamierzałeś o czymś ze mną porozmawiać.

Zdawał się nie rozumieć, o co mi chodzi, potem chcąc się wykręcić, odwrócił się w stronę komputera i powiedział zagniewanym tonem:

– Nie martw się, to nic ważnego.

Co oczywiście oznaczało, że jest zupełnie inaczej, ale ku mojej irytacji nie mogłam o to zapytać. Uśmiechnęłam się więc i ruszyłam rozgryźć jak najwięcej arkuszy kalkulacyjnych przed przyjazdem ludzi od confetti. I by przegryźć wszystkie biszkipciki Delphine, jakie Helen zdoła wykraść dla mnie z kuchni. By sprostać wyzwaniu Laurence'a, będę potrzebowała poważnych zapasów cukru, ale jednego byłam pewna: wiedziałam, że kto jak kto, ale ja dam radę to zrobić.

Rozdział czwarty

Na szczęście dla mnie pierwsza szansa na osiągnięcie mojego nowego ślubnego celu pojawiła się następnego ranka, w osobie Sadie Hunter i jej matki, Margot. Miałam już za sobą telefoniczną rozmowę z Sadie i teraz pozostawało tylko przekonać jej matkę, z której kieszeni miały zostać pokryte koszty, że Bonneville jest miejscem z ich (głównie Margot) snów.

Te wstępne spotkania z klientami były dla mnie bardzo stresujące. Mimo to lubiałam je, bardzo łatwo było pokazać Bonneville i jego ślubno-weselny potencjał. W przeciwieństwie do innych hoteli, zaprojektowanych z myślą o biznesie i efektywności, Bonneville nie musiał owijać gazą metalowych krzeseł w sali konferencyjnej i ustawiać dodatkowych dekoracji kwiatowych, by ukryć brzydkie drzwi przeciwpożarowe. Począwszy od intymnych altanek w ogrodzie, przez wygięte niczym szyje łabędzi podwójne schody w foyer, po antresolę, na której grali muzycy – we wszystkich miejscach czuć było jego romantyczny charakter. Uwielbiałam ten moment, gdy spacerując po hotelu, po wysłuchaniu moich opowieści o jego wypełnionej gwiazdami przeszłości i ślubach, które się tu odbyły, przyszła panna młoda zdawała sobie sprawę z otwierających się przed nią możliwości. W naszej ofercie mieliśmy ceremonie w ogrodzie – gdzie księżęta oświadczali się aktorkom, w sali balowej – gdzie młode damy i oficerowie zakochiwali się w sobie szaleńczo w czasie wojny – i w przytulnej bibliotece zimą. Każde wydarzenie było skrojone na miarę wizji danej panny młodej. Wizja ta, zwykle po godzinie anegdot, pokrywała się z klasycznym i wyrafinowanym ślubem, jaki chciałam dla niej zorganizować.

Moja praca polegała na łączeniu magicznej atmosfery hotelu z niezbyt romantycznym aspektem finansowym naszych pakietów ślubnych. Była to sztuka biznesowej dyplomacji, której nauczyła mnie Caroline i którą starałam się przekazać Gemmie, nie odnosząc niestety większych

sukcesów.

Już teraz, przygotowując moje biuro na spotkanie z Hunterami, trudno jej było skupić uwagę. Organizację konferencji bądź imprez charytatywnych omawiałam w sali konferencyjnej, jednak do rozmów z przyszłymi pannami młodymi bardziej odpowiednie było moje małe biuro; pastelowy pokój dzienny z akwarelami przedstawiającymi Londyn, który znajdował się tuż obok gabinetu Laurence'a. Przez ogromne okna można było zobaczyć ogród i ślubną fontannę w całej okazałości.

Lubiłam, gdy romantyczny nastrój nadawał ton naszym spotkaniom, dlatego na moim biurku stał wtedy dodatkowy wazon z różowymi i kremowymi różami.

– Gemma? – powiedziałam, gdy bezceremonialnie wrzuciła stertę ślubnych magazynów do kosza na śmieci, zamiast rozłożyć je starannie na stoliku do kawy, jak powinna.

– Co? Przepraszam...

– Pamiętaj, chodzi o delikatne podejście – przypomniałam. – Myśl o hotelu ze snów. Chcę, żeby było dokładnie tak, jak Sadie Hunter sobie wyobrażała, myśląc o swoim ślubie. Jeśli zrobimy to dobrze, zarezerwuje termin jeszcze dzisiaj, zanim pójdzie na spotkania w innych hotelach.

– A zamierza?

– Wszystkie panny młode zamierzają obejrzeć inne miejsca, nawet jeśli twierdzą inaczej. – Zająłam się przygotowywaniem sofy i układaniem na niej okrągłych satynowych poduszek. – Ale my mamy wyjątkowe, spersonalizowane podejście, możemy zaoferować Sadie taki ślub, że poczuje się bohaterką niezwykle romantycznej historii. Odkąd tylko przestąpi nasz próg, chcę, by przeniosła się do romansu z epoki czarno-białego kina, stając przy akompaniamencie kwartetu smyczkowego.

Gemma zatrzymała się, by zanotować to w notatniku, z którym nigdy się nie rozstawała:

– Czy powinniśmy włączyć płytę Elli Fitzgerald?

– Zdecydowanie tak – odpowiedziałam, nie tracąc cierpliwości. –

Włącz płytę Elli Fitzgerald. Poranną kawę wypijemy w salonie tuż po oprowadzeniu po hotelu. Mogłabyś poprosić Delphine, by przygotowała specjalne małe bułeczki? Te urocze w kształcie muszelek. Chciałabym sprzedać Sadie i wesele, i pakiet popołudniowej herbaty dla matek.

Zatrzymałam się na chwilę, by to zanotować, powtarzając pod nosem „popołudniowa herbata”.

– Czy o czymś nie zapomnieliśmy? – rzuciłam w stronę Gemmy.

– Wieczór paniński?

– Podarunek dla druhen – poprawiłam. – Przyszłe panny młode jeżdżą do Blackpool, a orszak druhen zapraszany jest do nas na wieczór koktajli i masażu. Postaramy się przekonać ją do spa i do weekendowych atrakcji dla dziewczyn. A co się tyczy wieczoru kawalerskiego, Sam się tym zajmie, tak by wszystko było pod kontrolą.

Sprzedałam notatki. Panny młode bardzo lubiły naszą propozycję pakietu na wieczór kawalerski. Po rozmowie z Samem pan młody i drużba również.

– Coś przeoczyłam?

Gemma w zamyśleniu przyłożyła długopis do ust:

– Utrzymanie hotelu w kryształowej czystości? Przypomnę Dinowi, by nie wpuszczał facetów z zaopatrzenia głównym wejściem do baru, póki ona nie pójdzie – odpowiedziała po namyśle. – Nie chcemy, by spoceni faceci z beczkami piwa psuli magię hotelu.

– Dobrze. Widzę, że rozumiesz, o co mi chodzi – pochwaliłam.

Sadie wraz z matką przybyły do hotelu, dzierżąc po opasłej teczce dokumentów z kilometrowymi listami pytań. Sadie skupiła się na płatkach róż i miejscu parkingowym dla wynajętego czerwonego autobusu wiozącego gości z kościoła; Margot – na kosztach. Nic strasznego; lubiałam odpowiadać na pytania panien młodych. Robiłam to spokojnie, trzymając się konkretów. Najczęściej były to pytania, które słyszałam już wiele razy.

Sadie poinformowała mnie, że specjalnie na potrzeby ślubu stworzyła

tablicę na Pinterest, zaczęła przeglądać ją teraz na swoim iPadzie, pokazując klimaty, które podobały się jej najbardziej.

– Chciałabym, by tematem przewodnim była Złota Era Hollywood – wyjaśniła, przeglądając galerię zdjęć ukazujących panny młode w rozkloszowanych koronkowych sukniach i zdjęcia oszronionych kieliszków martini. – Styl, elegancja, satyna, romans.

– Doskonale trafiłaś – zapewniłam, nalewając herbatę ze srebrnego czajniczka stojącego na niskim stoliku nieopodal. – Moglibyśmy zarezerwować dla ciebie ten sam apartament, który zwykle rezerwowała Grace Kelly, z oknami wychodzącymi na park?

– Naprawdę? Zatrzymywała się tutaj? – Sadie była pod wrażeniem.

– Naprawdę. Specjalnie dla niej zainstalowaliśmy nadzwyczajnie głęboką wannę z kranami sprowadzonymi z Francji. Miała swój klucz, tak by mogła wchodzić kuchennymi drzwiami nieniepokojona przez fotografów. – Uwielbiałam takie smaczki z dawnych lat. Spędziłam nieskończenie wiele godzin w gabinecie Laurence’a, przeglądając poźółkłe archiwa, zafascynowana listami bagażowymi i notatkami o specjalnych zamówieniach.

Margot Hunter uniosła brwi, mówiąc:

– Myślałam, że zatrzymywała się w Connaught. Na wielu fotografiach stoi przed ich drzwiami...

– Tak, jeśli chciała być widzianą, zatrzymywała się w Connaught – przytaknęłam. – Ale gdy gwiazdy nie chciały być widziane, zatrzymywały się w Bonneville, jeśli wiesz, o co mi chodzi. – Uśmiechnęłam się zagadkowo. – Chciały być traktowane jak zwykli ludzie, co nie było trudne, gdyż etos Bonneville polega na traktowaniu wszystkich gości z atencją godną gwiazdy Hollywood.

– Wow... – westchnęła Sadie i wiedziałam już, że mogę dodać kolejną pannę młodą do mojego spisu.

Wysłałam Gemmę przodem, by oczyściła korytarze z pokojówek i wózków do sprzątnięcia, sama wskazując paniom Hunter drogę do windy,

po drodze kierując ich uwagę na błyszczące mosiężne gwiazdki na suficie oraz ukryte reflektorki, które sprawiały, że cera gości wyglądała równie promiennie jak w świetle świec. To wystarczyło, by Margot Hunter porzuciła praktyczne pytania o krzesła dla gości czy liczbę gniazdek w ścianie w pokojach i dołączyła do pytań córki o urokliwą przeszłość hotelu.

Z ochotą opowiedziałam im, jak sala balowa swingowała przy muzyce granej przez chałturzących trębaczy Pałacu Buckingham i o sekretnym tunelu łączącym Bonneville ze sklepem z parasolkami po drugiej stronie ulicy – nielegalnym klubem jazzowym w latach przedwojennych.

– Cała powierzchnia trzeciego piętra została zaprojektowana, by gościć dygnitarzy podróżujących wraz z liczną świtą. W pokojach znajdują się wewnętrzne drzwi, które można otworzyć, by utworzyły jedno bardzo długie pomieszczenie – tłumaczyłam, prowadząc Sadie i jej matkę wzdłuż korytarza w kierunku apartamentu panny młodej. – To rozwiązanie sprawdza się idealnie podczas ślubnych przygotowań panny młodej. Jej pokój jest nie tylko największy, ma także drzwi, o których wspomniałam, które jeśli chcesz, możesz otworzyć, by przygotowywać się razem z druhnami.

– Ah, to cudownie! – Sadie dosłownie przyklasnęła temu pomysłowi.

– A ja mogłabym mieć na oku Amy – ponuro dodała jej matka. – Chciałabym mieć pewność, że niczego nie pozmienia w swojej sukience, jak to zrobiła na ślubie kuzynki...

– Mamo! Jak możesz? Tylko pomyśl, jaki będziemy mieć cudowny reportaż.

Odzyskałam pewność siebie:

– To wyjątkowy moment, gdy panna młoda otwiera drzwi od jej pokoju i po raz pierwszy pokazuje się rodzinie w sukni ślubnej, niezwykle wzruszająca chwila. I ja kończę cała we łzach.

Gdy wyszłyśmy z za zakrętu, zdziwiona zobaczyłam Gemmę i Maricruz – najlepszą z naszych pokojówek – stojące u białych, podwójnych drzwi apartamentu panny młodej. Obie wyglądały na zakłopotane, co było

normalne w przypadku Gemmy, ale nie Maricruz, która zazwyczaj była aż nazbyt świadoma tego, co się dzieje. Trzymała dłoń na szklanej kłamce, po czym ją zdjęła, potem znowu ją złapała, a potem, gdy zobaczyła mnie z paniami Hunter, puściła gwałtownie, jakby była rozgrzana do czerwoności i schowała dłoń pod fartuszek.

– Dzień dobry, Maricruz! – powiedziałam radośnie. – Skończyłaś już tutaj?

– Ach nie, jeszcze nie. – Próbowała coś mi przekazać wzrokiem, ale nie mogłam zrozumieć, o co jej chodzi.

– Maricruz jest perfekcjonistką – wyjaśniłam Sadie, sięgając w kierunku kłamki. – Wszystko w porządku, Mari, chcemy tylko rzucić okiem.

Maricruz złapała mnie za rękę i krzyknęła:

– Nie! Pokój nie jest jeszcze gotowy!

– Nie jest gotowy? – Skrzywiłam się. Byłam pewna, że nikt nie rezerwował apartamentu panny młodej, osobiście sprawdzałam to w poniedziałek, gdy był już posprzątany po weekendowym ślubie. Sprawdzałam to nawet ponownie wczoraj, przed zanieśieniem świeżych kwiatów. Chciałam mieć stuprocentową pewność, że będzie gotowy na dzisiejszą wizytę.

Spojrzałam na Gemmę, ta tylko wzruszyła ramionami i powiedziała bezgłośnie: *Nie chciała mnie wpuścić.*

– Nie jest gotowy – z uporem maniaka powtarzała Maricruz, zerkając nerwowo na Sadie i jej matkę.

– Czy jest jakiś problem? – zapytała Margot Hunter.

Poczułam nerwowy ucisk w żołądku. Pokój panny młodej był skarbem w mojej prezentacji, dopiero w nim przyszła panna młoda naprawdę zaczynała wyobrażać sobie ślub w naszym hotelu. Ostatnią rzeczą, na jaką mogłam sobie pozwolić, była utrata Sadie Hunter. Posłałam im uspokajający uśmiech, po czym wzięłam Maricruz na stronę i bardzo cicho poprosiłam:

– Maricruz, powiedz mi prawdę, czy to Beatriz tam śpi? To nie byłby pierwszy raz...

– Nie! – Maricruz wyglądała na poruszoną, potem wpadła w panikę. Poruszała oczami raz w lewo, raz w prawo, jakby śledziła mecz tenisa za moimi plecami. – Nie, to nie Beatriz.

– Estella?

– Nie.

Mieliśmy kilka śpiących królewien w zespole pokojówek. Śpiących królewien i pralinkoholiczek. Najeźdźców minibarów zwykle wydawało pobrzękiwanie butelek, ale niektóre dziewczyny pracowały na dwóch lub trzech posadach i wymykały się spać, gdy tylko mogły. Nie winiłam ich za to.

– Czy jest jakiś problem? – Sadie była przez chwilę gdzieś daleko, w świecie swojej wyobraźni, ale teraz nawet ona była zaintrygowana.

– Nie! – Maricruz i ja zaprzeczyłyśmy jednocześnie.

– W żadnym razie! – Musiałam tam wejść i dowiedzieć się, co takiego straszego się wydarzyło, że Maricruz nie chciała mnie wpuścić. – Muszę tylko sprawdzić, czy...

Myślałam intensywnie:

...czy drzwi balkonowe są otwarte. Ten drobiazg bardzo zmienia pierwsze wrażenie, to bardzo ważne, byście zobaczyły ogród. Sekundkę, dobrze? Gemma? Gemma, moja wspaniała asystentka opowie wam w międzyczasie o ślubie, jaki miałyśmy w ten weekend. Tym z tortem croquembouche, Gemmo.

Chwyciłam klamkę i otworzyłam drzwi, przybrałam grobowy wyraz twarzy, by obudzić Sanchezę tak, by widziała moje mordercze nastawienie, ale nie zdążyła krzyknąć. W każdym razie nie przed tym, jak nakryję jej twarz poduszką.

Wślizgnęłam się do pokoju tak, by żadna z pań Hunter nie mogła zapuścić żurawia i zamarłam, zamknąwszy drzwi.

Nie byłam przygotowana na taki widok.

Na satynowej narzucie, rozwalone na brzuchu, leżało półnagie męskie ciało w bokserkach. Ze skołtunionymi blond włosami i ramionami rozciągniętymi tak, jakby chciało objąć cały materac.

Wyglądał tak spokojnie, że gdyby nie delikatne pochrapywanie, rozważałabym obrysowanie jego ciała białą kredą i telefon na policję.

Oparłam się o drzwi, wciąż trzymając klamkę. Zmarszczyłam nos, próbując objąć rozumem wszystko to, co tu zobaczyłam, zanim zobaczy to ktokolwiek inny. Wnioskując po zapachu stęchłego alkoholu unoszącym się w powietrzu, kimkolwiek był, miał za sobą ciekawą noc. Puste buteleczki z minibaru walały się po podłodze pomiędzy rozrzuconymi ubraniami i wszystkimi czterema ręcznikami z łazienki. Jego niebieska koszula wisiała na owalnym lustrze toaletki, a para ciemnych jeansów leżała porzucona przy telewizorze, dokładnie jakby rozrzucał swoje gatki, gdzie popadnie.

Moje oczy zatrzymały się na jego nagich plecach unoszących się w rytm oddechów. Były opalone na złotobrazowy kolor, przywodzący na myśl piaszczyste plaże gorącego kraju, mały kompas widniał na prawej łopacie, a ciemna niebieska gwiazda na dole jego kręgosłupa, tuż powyżej luźnych szarych szortów, wersji XXXXL szkolnego mundurka dla chłopców, do tego wystawały z nich lekko umięśnione nogi. Plecy też miał umięśnione i...

Przywołałam się do porządku. Wystarczy rozbierania wzrokiem (niewiele pracy to wymagało... tylko szorty). Miałam dziesięć sekund, by wykombinować, o co w tym chodzi i co zrobić, by Sadie i Margot nie odniosły złego wrażenia. A potem musiałam dowiedzieć się, która z pokojówek zostawiła apartament panny młodej otwarty.

Gość lunatykujący po północy od jednego pokoju do drugiego / pijackie poszukiwanie łazienki? Nie miałam pojęcia, jak mógł tu wejść, ale wszystko było możliwe – pokojówki znajdowały gości w przedziwnych miejscach. Ten przynajmniej miał gatki na sobie.

Przypadkowy gość błąkał się po kawie w restauracji i padł akurat tutaj? Też się zdarzało. Zwykle po korporacyjnych imprezach.

Zanotować: sprawdzić łazienkę w poszukiwaniu „kompana”.

Przypadkowy facet z ulicy? Bardzo rzadki przypadek, zważywszy na sokoli wzrok portiera Franka. Tylko że oni nie miewali bokserek... w małe żółte kaczuszki.

Odwróciłam wzrok, który zdążył już powędrować do długich opalonych nóg intruza. Zaczęłam szybko myśleć. Najprawdopodobniej gość naszej restauracji. W takim razie Tam z ochrony mógł zarzucić go sobie na ramię i wynieść z pokoju, używając wewnętrznych drzwi, tak by Sadie i Margot niczego nie zauważyły, a ja w międzyczasie pokazałabym im inny apartament.

Już miałam napisać do Tama, by zajął się tą sytuacją, gdy intruz stęknął i poruszył się, starając znaleźć coś ręką. Dłoń poruszała się w górę i w dół, w górę i w dół, jak gdyby każdy najmniejszy ruch sprawiał jej ból.

Stałam zahipnotyzowana. To była szeroka, opalona męska dłoń, zwieńczona kolorową bawełnianą bransoletką na nadgarstku. A sposób, w jaki obmacywała narzutę, był niesamowicie zmysłowy. I wiedziałam, że coś powinnam powiedzieć. Tylko nic nie przychodziło mi do głowy.

W końcu ręka dotknęła telefonu leżącego na poduszce i blondyn podniósł się na jednym łokciu. Gdy tylko otworzył zaspane oczy, zobaczył mnie – stojącą przy drzwiach z rękami na biodrach i wlepiającą w niego wzrok.

Wyraz przerażenia przemknął po jego twarzy, zderzając się z kacem. Wzdrygnął się, wychrypiał: – Cholera! – i znowu wzdrygnął.

Coś było w jego zapuchniętych oczach – niebieskich i wielkich – w sposobie, w jaki patrzył – coś znajomego. Niewiele wiedziałam o włamywaczach do ślubnych apartamentów, nie chciałam także sterczeć tam, gapiąc się na niego, próbując zgadnąć, skąd go znam. Który ze ślubów? Jeden z družbów?

– O rany, hmmm, mogę wszystko wytłumaczyć! – zaczął bełkotliwie łamiącym się głosem. A mnie olśniło.

Przylgnęłam do drzwi, całą sobą pisząc do Tama, nie chciałam, by

cokolwiek z tego, co się tu dzieje, ujrzało światło dzienne, nawet przez dziurkę od klucza.

– Nic nie musisz tłumaczyć – zapewniłam spokojnie, przeczesując wzrokiem pokój w poszukiwaniu szkód. Panował w nim bałagan, ale chyba nic nie było połamane. – Nasza ochrona się tym zajmie. Już idą, więc gdyby mógł się pan ubrać i... i ...

Żółte kaczuszki zaczęły się poruszać. To były bardzo luźne, lekko opadające z tyłu bokserki. Z całych sił starałam się patrzeć na jego ramiona. Na jego bardzo opalone ramiona. Zawsze zwracałam uwagę na męskie ramiona. Anthony miał ładne, wyrzeźbione pływaniem, były moją ulubioną częścią jego ciała. Ramiona tego mężczyzny były jeszcze piękniejsze, szerokie, złotobrązowe...

Wzięłam się w garść i skupiłam wzrok na poduszce.

– Proszę, by pan tu został, dopóki nie przyjdą – dokończyłam i wyszłam, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Twarz mi płonęła.

Rozmowa stojących na korytarzu kobiet wydawała się wyczerpywać możliwości Gemmy, jeśli chodzi o opis croquembouche.

– ...i dużo kremu – zakończyła nieprzekonująco, próbując ukryć fakt, że przysłuchiwała się rozmowie za drzwiami.

Zamknawszy drzwi specjalnym kluczem, obróciłam się, trafiając wprost pod świdrujący wzrok Sadie, Margot, Gemmy i Maricruz.

– Bardzo przepraszam – powiedziałam, opierając się o drzwi i z całych sił trzymając klamkę, w razie gdyby półnagi intruz zdecydował się wstać z łóżka i uciec. – Mój błąd! Na dzisiaj mieliśmy zaplanowane drobne prace renowacyjne. Yyy... zmianę... zagłówka i robotnicy zaczęli wcześniej.

– Naprawdę? – zapytała z niedowierzaniem Margot – Coś było nie tak ze starym?

– Nie! Ten jest specjalnym życzeniem pewnej gwiazdy – dodałam w przyпіywie geniuszu.

– Kogo? – Sadie zapytała z podnieceniem.

– Ach, niestety nie mogę wam powiedzieć – odpowiedziałam, prowadząc je jak najdalej od drzwi. Ktoś szarpał za klamkę? Wydawało mi się, że słyszałam ruch za drzwiami. – A teraz bardzo chciałabym wam pokazać apartament nowożeńców – dodałam, prowadząc je po grubej kremowej wykładzinie w stronę wind, zanim nastrój zostanie zmałowany wielkim ochroniarzem maszerującym, by zająć się intruzem.

– A to nie był apartament nowożeńców? – Margot spojrzała na tajemnicze drzwi.

Zdecydowanie ktoś szarpał za klamkę:

– Halo? – dało się słyszeć stłumione pytanie, a potem jeszcze cichsze: – Oj!

– To był apartament panny młodej. – Dźgałam przycisk penthouse’u. *Szybciej, szybciej.* – To jest apartament nowożeńców. Jest wyjątkowy, mój ulubiony pokój w całym hotelu. Przytulne gniazdko pod samym niebem!

Trajkotałam, jakbym nie była sobą. Spróbowałam uspokoić głos. *Ty tu rządzisz*, powtarzałam w myślach.

To było do mnie niepodobne. Intruzi są prości w obsłudze, rozprawiałam się przynajmniej z jednym rocznie. To dziwne budżetowe wyzwanie Laurence’a musiało wytrącić mnie z równowagi. Przez cały czas myślałam tylko o tym, by nie stracić lukratywnego wesela Sadie.

– Zamknęłaś tam robotników? – zapytała Margot.

Gorączkowo szukałam przekonującej odpowiedzi:

– Skądże! Jeden z nich po prostu sprawdza klamki, musimy to robić od czasu do czasu ze względu na ich wiek – odrzekłam z uśmiechem. – Przecież nie chcielibyśmy, by panna młoda utknęła w apartamencie, prawda?

Uśmiechnęła się, a ja dyskretnie oddelegowałam Gemmę.

– Gemma, czy mogłabyś zajrzeć do robotników i powiedzieć im, że wszystko w najlepszym porządku? I zadzwoń do mnie, jak przyjdzie Tam, OK?

– Tam? A co on... – zafrasowała się Gemma.

– Pomaga przy zagłótku – odpowiedziałam z wystudiowanym uśmiechem. Dłonie pociły mi się niemiłosiernie. Ile mamy czasu, zanim intruz zacznie dobijać się do drzwi? Na milion sposobów nie dałoby się tego wytłumaczyć.

– Ale on jest z ochrony...

– To jest bardzo drogi zagłówek – powiedziałam stanowczo – i bardzo ciężki, a Tam jest bardzo silnym mężczyzną. Gemmo, proszę zadzwoń do mnie, jak już przyjdzie.

Wtem, gdy Sadie i Margot już otwarcie gapiły się na drzwi apartamentu, ocaliła mnie winda. Ze słowami podziękowania dla hotelowego anioła wepchnęłam obie panie Hunter do środka i nacisnęłam przycisk najwyższego piętra z taką prędkością, że prawie przycięłam kardigan Margot zamykającymi się drzwiami. Mój mózg już pracował na najwyższych obrotach, szukając wytłumaczenia dla Laurence'a i tego, co powiem Tamowi, gdy już go zobaczę.

Zabezpieczenia, że mysz się nie przecisnie, tak? *Akurat*. Maricruz byłaby lepsza przy drzwiach niż on.

Oprowadziłam panie Hunter po apartamencie dla nowożeńców bez żadnych perturbacji, ale moje myśli były gdzie indziej. Nie mogłam się skoncentrować ani na wystroju, ani na zagłótku ogromnego łoża wykonanego z masy perłowej, wyrzeźbionego tak, by przypominał ogromną muszlę, ani na śniadaniu z różowym szampanem, ani nawet na malowniczym podwójnym balkonie z ręcznie kutą balustradą oplecioną jaśminem i przepięknym widoku na Green Park.

Ciągle miałam przed oczami skacowanego gościa, rozłożonego na łóżku, w całej jego złocistej okazałości. Jego tatuaż. I jego oczy, które już kiedyś, gdzieś widziałam.

I pomimo to, że Delphine przeszła samą siebie z bułeczkami zaserwowanymi do naszej porannej kawy na dole, SMS od Gemmy kompletnie wybił mnie z rytmu:

Tam sprowadził intruza na dół!

To znaczy ten jeszcze nie tak bardzo, jak kolejny otrzymany pięć minut później:

Laurence chce cię widzieć, jak tylko skończysz.

A potem kolejny:

Laurence kazał ci się pospieszyć.

Odpowiedziałam na pytania Margot dotyczące cateringu i dostarczanych kwiatów, a potem odprowadziłam je do taksówki, gdzie dałam Sadie swoją wizytówkę i uroczą bladoniebieską teczkę ofertową z wytłoczonym złotym logo hotelu. Nigdy nie cisnęłam potencjalnych klientów zbyt mocno – moim zdaniem sprzedaż za wszelką cenę nie była dobrym pomysłem w biznesie ślubnym – ale wiedziałam, że gdyby tylko zobaczyły apartament panny młodej, dobiłybyśmy targu. A tak wyglądało na to, że mamy coś do ukrycia. Margot już była niezwykle podejrzliwa. I jeśli przez to zajście Sadie zdecyduje się wybrać inny hotel, a ja stracę ważny punkt mojego budżetu, osobiście wyprowadzę intruza z terenu hotelu, najchętniej przez podwójny balkon apartamentu nowożeńców.

Gemma kręciła się przed gabinetem Laurence'a, mając tak ucieszoną minę, że na kilometr można było poznać, że usłyszała kawałek dobrej plotki i bardzo chce się nią podzielić.

– Co się dzieje? – zapytałam. – Zadzwonili po policję? Pracownicy recepcji potwierdzili, kim był intruz?

– Coś lepszego – odpowiedziała.

– Co masz na myśli?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego wytrzeszczyła oczy i poklepała się po nosie.

– Na miłość boską! – prychnęłam, zapukałam dwa razy i pchnęłam ciężkie drzwi, wchodząc do pokoju Laurence'a.

Siedział na biurku, a nie na swoim Obrotowym Tronie Władzy, stojącym za nim – co samo w sobie było niezwykle – więc nie od razu zauważyłam, że ktoś siedzi w fotelu po lewej.

– Laurence, musimy porozmawiać z Tamem o ochronie w budynku. Właśnie przeżyłam najbardziej upokarzający moment w... – zaczęłam poirytowana, gdy wtem mój mózg nadążył za oczami i zarejestrował mężczyznę, który odwrócił się na dźwięk mojego głosu.

– O, świetnie... – powiedział z dwuznaczną miną. – Znowu ty.

Połączenie tego, co widzę, z ciągle jeszcze żywą wizją na wpół rozebranego mężczyzny na łóżku zajęło mi chwilę. Włożył koszulę i szorty khaki i sądząc po mokrych włosach i delikatnym zapachu naszego najbardziej luksusowego szamponu, bez wątpienia zdążył dowlec się pod prysznic. Jednak ciągle wyglądał na skacowanego. Bardzo, bardzo skacowanego.

Rozczarowana zauważyłam, że ani Tama, ani Jean, naczelnej gosposi, nie ma w gabinecie. Co oznaczało, że albo Laurence czeka na przybycie któregoś z nich, albo zamierza załatwić tę sprawę osobiście. W każdym razie nie spodobało mi się to wcale, że intruz nie wyglądał na nawet trochę zmartwionego. Beznamiętne oblicze Margot Hunter płynęło mi przed oczami i czułam, że twarz płonie mi dzisiaj drugi raz, tym razem z zupełnie innego powodu.

– Mam nadzieję, że przeprosił pan naszą pokojówkę za szok, jaki pan jej zafundował, i za zdemolowanie apartamentu panny młodej – wypaliłam sarkastycznie.

– Przeproszę – odpowiedział – zaraz po tym, jak pani przeprosi za uwięzienie mnie wbrew mojej woli w pokoju ze skrajnie antyczną klimatyzacją. A to i tak hojność z mojej strony, czego nie można powiedzieć o zaopatrzeniu minibaru.

Szczęka mi opadła pod wrażeniem jego spokoju. Spojrzałam na Laurence'a, który wykonywał właśnie swój na poły zaniepokojony, na poły przerażony konfrontacją półuśmiech.

– Nie wydaje mi się, bym musiała za cokolwiek przeproszać! Nie zamierza mi pan wytłumaczyć swojej obecności w tamtym apartamencie?! – nie wytrzymałam.

– Niech pani tak nie krzyczy, dobrze? – Złapał się za głowę. – I do pani

wiadomości, jeśli ktoś wywiesza na drzwiach zawieszkę *Nie przeszkadzać*, to chyba należy to uszanować i nie przeszkadzać? Boże, miej w swojej opiece wszystkich, którzy chcą tu wziąć ślub, jeśli włamują się nawet do apartamentu panny młodej.

Zatkało mnie. Moje ciśnienie poszybowało do niebezpiecznego poziomu. Gdzieś z tyłu głowy kołatała mi się myśl, że tak musi się czuć Dominik, gdy ktoś zaserwuje mu „bezczenie niedobrego burgera”.

– Czy Gemma powiedziała ci, że ten... gentleman zakłócił spotkanie z niezwykle ważnym klientem? – zapytałam Laurence’a, trochę retorycznie. – Czy opisała ci, w jakim stanie był pokój? W gorszym niż wtedy... wtedy, gdy gościliśmy zespół, o którym nie będziemy rozmawiać?

– A tak, Gemma wspomniała, że poradziłaś sobie bardzo profesjonalnie. – Uśmiechnął się. Coś za dużo się uśmiechał.

Miałam wrażenie, że ominęłam pierwszy rozdział czegokolwiek, co tu się działo. Oparłam dłonie na biodrach:

– Laurence. Ten facet włamał się do apartamentu panny młodej i go zdemolował. Czy mi się coś pomyliło?

– Tylko jeśli chodzi o proporcje – zamruczał blondyn. – Słuchajcie, czy można uszkodzić sobie mózg, pijąc za dużo witamin na kaca?

– Rosie, pamiętasz Josepha? – Laurence familiarnie poklepał intruza po ramieniu.

– Na miłość boską – zajęczał blondyn – nie tak cholernie głośno.

Miałam dość dobrą pamięć do twarzy i imion, ale tych z nikim nie mogłam skojarzyć.

– Joe – pomógł mi Laurence. – Mój syn.

I wtedy sobie przypomniałam.

Rozdział piąty

Joe Bentley Douglas – bo tak z całą pewnością nazywał się mój „intruz” – i ja patrzyliśmy się na siebie, siedząc po dwóch stronach stołu, jak dwójka ludzi, którzy nie przypadli sobie do gustu podczas wieczoru speed dating, by potem spotkać się podczas ważnej rozmowy o pracę.

Laurence był jak zwykle nieświadomy napięcia wiszącego w powietrzu niczym ciężka zupa niezręczności. Cały bulion wstydu.

– Joe, zadziwia mnie, że nie poznałeś Rosie – powiedział. – Teraz pracuje tu jako Event Manager. Jest niezastąpiona.

Podeszłam, by podać mu rękę, ale Joe podniósł swoją w niezręcznym geście *no cześć!* i w końcu przekręcił głowę tak, że mogłam mu się dokładnie przyjrzeć.

Gdy widzieliśmy się ostatnim razem, miał osiemnaście lat i wyrzuciłam go za niedbałość z mojego zespołu zmieniającego pościel. Właśnie skończył szkołę z internatem i cierpiał na wyjątkowo złośliwą alergię na wszystkie przeciwtrądzikowe specyfiki, połączone z chronicznym trądzikiem. Był również bardzo zdołowany, prawdopodobnie w rezultacie trądziku i internatu, ale też płyt Leonarda Cohena, których notorycznie słuchał. W dodatku musiał mieszkać z Laurence'em i Caroline w ich mieszkaniu w hotelu, razem z bratem, który jeszcze wtedy nie był w wojsku, ale ubierał się w wojskowe ciuchy i cały czas coś podpalał.

Oczywiście, że nie obwinałam się za nierozpoznanie Joego, wyglądał zupełnie inaczej, gdy widzieliśmy się ostatnim razem ponad dziesięć lat temu. Pryszczki zniknęły, zamiast pulchnej buzi były teraz niespodziewanie męskie kości policzkowe; był przystojny, na swój niechlujny surferski sposób, z niebieskimi oczami Laurence'a, szerokimi ustami i delikatnym złotym zarostem. Miał też naszyjnik z muszelką na szyi.

Helen byłaby pod wrażeniem, pomyślałam. Ja nie. Naszyjnik wyglądał

obskurnie. Faceci z ozdobami na szyi nie byli w moim typie. Wołałam facetów w garniturach. Takich jak Anthony czy Dominik. Ich wspólną cechą było oddanie krawiectwu.

Wcześniej tego nie zauważyłam, ale poza niebieskimi oczami i szerokimi ustami Laurence'a Joe był wykapaną Caroline, minus energia i pozytywne nastawienie. Nieszczęśliwa postawa nastolatka ciągle chyba miała się dobrze, chociaż to mogło być zmieszanie wszystkich buteleczek z minibaru w jeden diabelski koktajl.

Otaksował mnie wzrokiem, popatrzył na mnie wilkiem, jak niektórzy mogliby powiedzieć.

– Nic się nie zmieniałaś – powiedział. – Rządzisz się jak dawniej.

– Ja? Ja się rządę? – Poczułam, że moja twarz robi się czerwona po raz trzeci dzisiejszego dnia, i miałam nadzieję, że nie zacznie wywlekać starej historii z wyrzuceniem go z mojego zespołu.

– No – patrzył na mnie gniewnie. – Pewnie nawet nie pamiętasz, ale moja mama wrzuciła mnie do twojego zespołu obsługi hotelowej. A ty poprawiałaś sposób, w jaki zakładałem prześcieradło, mówiąc, że robię to po amatorsku.

– Naprawdę? – Udałam nostalgiczny uśmiech.

Przytaknął:

– A potem, gdy zasugerowałem, że hotel powinien nadążać za czasami i zapewniać kołdry, dostałaś szału i zrobiłaś mi wykład na temat tradycyjnych hotelowych standardów.

Na przemian otwierałam i zamykałam usta, nie mogąc temu zaprzeczyć. Satynowe narzuty w apartamencie dla nowożeńców, oczywiście. Cokolwiek innego niż szeleszczący biały len i koce w innych pokojach, absolutnie nie.

Dobrze, no cóż, szczerść za szczerść...

– Jestem zaskoczona, że to pamiętasz – odpowiedziałam chłodno. – Czy nie byłeś w tym zespole tylko przez tydzień?

To była uprzejmość z mojej strony. Joe wytrzymał w nim dwa i pół

dnia, a potem znalazłam go śpiącego w schowku na pościel. Dni numer jeden i dwa upłynęły mu na zabawianiu się z dwiema Hiszpankami, a potem Caroline zdecydowała, że Joe narobi sobie mniej kłopotów, sprząając kieliszki w barze, i go tam przeniosła. W następną sobotę spakował plecak i wyjechał zwiedzać Portugalię, Caroline i ja odetchnęłyśmy z ulgą, a Maria i Lucia płakały przez dwa dni.

– Ciągłe brak kołder, jak widzę – zauważył ironicznie Joe.

– Ponieważ jesteśmy hotelem z tradycjami – odpowiedziałam równie uszczypliwie.

– Rosie z powagą podchodzi do tradycji – wtrącił dumnie Laurence. – Podziela moje zdanie o tym, że Bonneville powinien przyświecać nowoczesnym światłem staroświeckiej gościnności w beznamiętym świecie korporacji.

Joe wymamrotał pod nosem coś, co mogło być słowem „przyświecać”, ale pewnie nie było.

– Myślałam, że byłeś w Ameryce – powiedziałam, chcąc zmienić temat.
– Przyjechałeś na wakacje?

Joe ponownie zmierzył mnie wzrokiem, otworzył usta, ale Laurence wszedł mu w słowo:

– Joe zostanie tutaj ze swoim starym ojcem przez chwilę, prawda?

– Jakbym miał wybór. – Opryskliwa odpowiedź syna nie stała wielkiego uśmiechu z twarzy Laurence’a.

Nie widziałam go tak szczęśliwego od czasu, gdy dowiedział się, że jest jednym przypadkiem na milion mającym uczulenie na granaty, choćby za to posłałam Joemu mój najmiłszy uśmiech dla klientów i wyciągnęłam ku niemu rękę. Tym razem podał mi swoją.

– Jak miło cię znów widzieć – powiedziałam być może trochę za głośno. Na wszelki wypadek, żeby pamiętać, że nie zapomniałam, w jakim stanie zostawił ręczniki w moim przepięknym apartamencie panny młodej. Zmięte i płamiące satynową narzutę.

– Taaa, dzięki – skrzywił się.

– Cudownie – stwierdził Laurence i zeskoczył z biurka. Był tak szczęśliwy, że zapomniał skrzywić się z bólu. – Do rzeczy, Rosie. Poprosiłem cię pierwszą, ponieważ jesteś moją prawą ręką. Potrzebuję twojej pomocy. Joe musi się nauczyć, jak wszystko działa. Spędzi więc kilka miesięcy, chodząc krok w krok za każdym szefem działu, ucząc się od was. I pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli zacznie od twojego.

– Od mojego? – powtórzyłam, słysząc jęk Joego.

I co on miał na myśli, mówiąc: „Joe musi się nauczyć, jak wszystko działa”? Paskudne przecucie formowało się w mojej głowie. Komplement „moja prawa ręka” miał coś ukryć.

– Tak, u ciebie dużo się dzieje – powiedział radośnie Laurence. – Sprawdziłem twój kalendarz i masz zarezerwowane przynajmniej dwa wesela w miesiącu, jak okiem sięgnąć.

– Oczywiście, że mam – odparłam, patrząc mu w oczy. – Mam cel do osiągnięcia.

Nie raczył się do tego odnieść, więc zapytałam:

– Gdy mówisz o pracy Joego w eventach... Co dokładnie masz na myśli?

– Tak, co dokładnie masz na myśli? – włączył się Joe. – Bo od razu ci mówię, że ślubami nie będę się zajmował.

– Dział eventów to nie tylko śluby! – naskoczyłam. Byłam trochę przewrażliwiona na tym punkcie. – Zapewniamy szeroki wachlarz usług związanych z planowaniem eventów. Bale, imprezy, wydarzenia integracyjne dla korporacji. Tylko tak się składa, że śluby i wesela coraz bardziej wpisują się w charakterystykę hotelu. To nie tylko ciasto, noże i... i welony. Jest mnóstwo spraw organizacyjnych, planowanie budżetu, współpraca z klientem. To ciężka praca.

– A nie mówiłaś ostatnio, że przydałaby ci się pomoc? – zapytał Laurence. – Joe może zacząć od razu. Co robisz dzisiaj po południu?

– Nie. Absolutnie nie. Nie może przyjść na spotkanie z klientem tak ubrany – odparłam przerażona. – Przyszłe panny młode nie będą

rozmawiać o swoim ślubie za dwadzieścia tysięcy funtów z kimś mającym na sobie... szorty.

– Cóż, oto cały ja – zaczął buńczucznie Joe, ale Laurence nie dał mu skończyć.

– Joe ma dużo czasu, zdąży skoczyć na King's Road i kupić coś odpowiedniego – powiedział tak stanowczo jak nigdy przedtem.

– Jutro. – Potrzebowałam czasu, by dopasować mój kalendarz.

– Och, na miłość boską. – Joe wstał i natychmiast się zgarbił.

Laurence popatrzył na mnie i uśmiechnął się, jakbyśmy odnieśli spektakularny sukces, a ja byłam tak skołowana, że mogłam tylko uśmiechnąć się w odpowiedzi.

Wychodząc z gabinetu Laurence'a, przy portrecie pani Maude Bentley Douglas, babki Laurence'a i znanej męczicielki, natknęłam się na Gemmę. Trzymała w rękach pęk serwetek w sposób sugerujący, że złapała je i zaczęła iść, jak tylko zobaczyła mnie wychodzącą z pokoju.

Nie nabrała mnie ani trochę, kiedyś sama chętnie podsłuchiwałam. Nadal to robię.

– Gemma. – Złapałam ją za ramię, by nie mogła uciec. – Czy mogłabyś namierzyć Helen i powiedzieć jej, że muszę zorganizować spotkanie na szczycie po lunchu?

– O czym?

– O ślubie Antonii Devereux – zmyśliłam. – Wysłała mi maila z bardzo skomplikowanymi życzeniami dotyczącymi posiłków. Chce stołu ostryg, homarów w akwarium i lodowe rzeźby.

– Naprawdę? Przecież Antonia jest wegetarianką. – Gemma była zdziwiona – Nie pamiętasz?

– To specjalne, etyczne akwarium – improwizowałam. – Będą w nim homary z wolnego chowu... W każdym razie, powiedz Helen, dobrze? O czwartej trzydzieści, jeśli da radę.

– A ja nie powinnam być na tym spotkaniu? Jeśli to spotkanie w sprawie ślubu? – nalegała. – Podczas ostatniej rozmowy oceniającej

Laurence wyraźnie powiedział, że powinnam dostawać więcej kierowniczych zadań przy ich planowaniu.

Laurence raczej tego nie powiedział, biorąc pod uwagę fakt, że Gemma miała tendencje do „ulepszania” wszystkiego, od zamówień na kawę wzwyż, ale mój mózg nie był w dobrym stanie. Byłam zbyt zła na Laurence’a, na Joego, a teraz i na siebie. Wracała do mnie nie tylko wizja Joego i szkód, jakich narobił w apartamencie panny młodej, ale też słowa, które prawie wypowiedziałam na głos w gabinecie, gdy jeszcze nie wiedziałam, kim był. A teraz będę miała go, z tą jego nieszczęsną miną, na każdym spotkaniu, gdzie będzie psuł cele, które obiecałam osiągnąć.

Jęknęłam głośno, zobaczyłam, że Gemma dziwnie się na mnie patrzy, więc wzięłam się w garść.

Naprawdę chciałam pomóc Laurence’owi, ale to nie był dobry miesiąc na niańczenie Joego patrzącego wilkiem na klientów i nienawidzącego mnie za skrytykowanie sposobu, w jaki zakładał prześcieradło dziesięć lat temu. Dodatkowo miałam złe przeczucie co do jego podróżowania po działach. Bardzo złe przeczucie.

Helen będzie miała jakiś plan. Może mogłabym ją przekonać, by wzięła Joego do siebie. Przynajmniej póki nie osiągnę celu z rezerwacjami.

– Rosie? – szturchnęła mnie Gemma. Byłam tak spięta, że nawet jej za to nie zrugalam.

– Co? Dobrze, możesz być na jutrzejszym spotkaniu. Po prostu znajdź Helen i powiedz jej, że muszę się z nią zobaczyć dziś po południu. To pilne. Proszę.

Gemma zrobiła uradowaną minę i pognała korytarzem.

Czemu nie? – pomyślałam, zmierzając do gabinetu. Entuzjazm Gemmy i brak woli Joego mogą się wzajemnie wykluczyć.

„Spotkanie na szczycie” było kodem używanym przeze mnie i Helen w sytuacjach kryzysowych, zdarzających się zwykle kilka razy w tygodniu, by poradzić sobie z presją pracy dla Laurence’a lub mieszkaniem z równie–irytującymi–ale–z–innych–powodów–chłopakami.

Spotykałyśmy się na zewnętrznych schodach przeciwpożarowych, pomiędzy czwartym a piątym piętrem; dokładnie nad kuchnią, więc zimą było tam ciepło i pachniało drożdżówkami, no i był całoroczny uspokajający widok na Green Park. Ponadto Laurence miał lęk wysokości, więc było mało prawdopodobne, że zostaniemy podsłuchane.

Kiedy dotarłam na miejsce o wpół do piątej, Helen siedziała już na metalowych schodkach, opierając swoje długie nogi na znaku: „Uwaga! Niebezpieczeństwo. Proszę się nie wychylać”, trzymając biały kuchenny kubek w jednej ręce, drugą podpierając czoło. Drgnęła, gdy usłyszała moje kroki.

– Słuchaj, nawet nie musisz mi mówić – powiedziała, widząc mój krwiożerczy wzrok. – Sama chciałam rzucić w Dominika cegłą po przeczytaniu recenzji.

– Jakiej recenzji?

Nie miałam czasu przeczytać ostatniej. Zwykle do wydań weekendowych pisał tyrady, a krótsze, bardziej praktyczne wersje tworzył na środy. Środy były zwykle o bardziej przystępnych miejscach, do których mogli pójść normalnie ludzie. Te zwykle irytowały go bardziej.

– Tej pubu Balham, gdzie Betty zrobiła aferę o frytki.

– Betty zrobiła aferę o frytki? – Skrzywiłam się. – To on zrobił aferę i kazał im przynieść ziemniaka z kuchni, żeby ocenić, czy wiedzą, co to takiego. Na mnie to zrzucił?

– Dość błyskotliwie to opisał. Przekomicznie skomentował: „Wy nazywacie to ziemniakiem, dla mnie jest to dekonstruowany substytut węglowodanów”.

– Co? – udawałam wściekłą. Na wpół udawałam. – Ja to powiedziałam! Dominik sobie to przypisał?

Coraz częściej sobie na to pozwalał. Zaczął też przypisywać Betty własne zgryźliwe uwagi, mówiąc: „By restauracje chciały mnie obsługiwać”.

– Przepraszam, myślałam, że wiedziałaś – powiedziała Helen. – Patrz,

mam trochę ciasta z kuchni. Zakładam, że masz ochotę?

Przez fiasko z Hunterami, potem zajście z Joem, nie miałam czasu na lunch, rzuciłam się więc wygłodniała na oferowane ciasto.

– Widziałaś kiedyś, żebyś nie miała ochoty na ciasto?

– Oj. Bo w tej recenzji Dominik napisał, że Betty była... – Helen zwolniła zmieszana. – Na diecie? Ty nie jesteś na diecie.

Spojrzała na mnie wzrokiem, który był dla nas skrótem „Jaja sobie z ciebie robi” i odegrała scenkę rozwścieczonej dziewczyny duszącej irytującego plagiatora.

– Zjedz ciasto, poczujesz się lepiej – powiedziała i, jak zwykle, miała rację. Jak tylko wbiłam widelec w grubą warstwę bezowego kremu, świat wrócił na swoje miejsce. Będzie dobrze. W prawdziwym życiu kochał mnie i kupowaliśmy razem mieszkanie. Betty istniała tylko w świecie recenzji. Nie była mną.

– Ooch. To jest pyszne – wymamrotałam z pełnymi ustami. – Delphine wróciła z ciemnej strony mocy?

Przez ostatnie kilka dni jedliśmy gniewne małe ptysie i ciemne słodczyce z gorzkiej czekolady opuszczające przepastne otchłanie kuchni.

– Chodzi o księżyc. – Helen pociągnęła łyk kawy. – Zauważyłam, że wpływa na cukierników. Musimy tak planować wesela, by unikać pełni. Mów, o czym chciałaś pogadać, jeśli nie o Dominikowej recenzji?

Odkroiłam większy kawałek ciasta uderzona perspektywą nadchodzących tygodni:

– Zgadnij, kto się włamał do apartamentu panny młodej. Nie zgadniesz, powiem ci – Joe Bentley Douglas we własnej osobie.

Ale Helen nie wyglądała na tak zaskoczoną, jak tego oczekiwałam:

– Wiem, słyszałam rozmowę w kuchni. Myślałam, że jest w Kalifornii. Co się stało z chodzeniem po rozżarzonych węglach i surfowaniem?

– Nie mam pojęcia. Nie wspomniał o tym. Ale jest coś jeszcze. Laurence chce, by Joe dowiedział się jak najwięcej o biznesie hotelarskim.

Najwidoczniej do Helen nie dotarły jeszcze najświeższe plotki albo nie

dała Gemmie pochwalić się nowościami, bo opuściła kubek zaskoczona:

– Co?

– Dwa miesiące chodzenia krok w krok za każdym szefem działu. Jestem pierwsza. Chcesz się zamienić?

– Jezu, nie, nie, dopóki nie sprawdzę ksiąg. Matko... – Otworzyła szeroko oczy. – Chyba nie myślisz, że...

Helen przykryła dłonią usta, a ja gestem poprosiłam, by kontynuowała.

– Chyba nie myślisz, że... Laurence szkoli go na dyrektora hotelu?

Gdy tylko to powiedziała, połączyło się to w całość z przeczuciami pączkującymi z tyłu mojej głowy i kamień opadł na dno mojego żołądka.

– Mam nadzieję, że nie. Co Joe wie o prowadzeniu hotelu?

– Czy nie tego ma się właśnie nauczyć? – zasugerowała skruszonym tonem.

– W takim razie – odparłam – nie wygląda na zachwyconego.

– Pewnie, dlatego Laurence kazał mu zacząć od twojego działu. Nie tylko wiesz wszystko o tym hotelu, ale eventy to przecież rozrywka.

– Wcale nie – zaprzeczyłam z przyzwyczajenia. – Może i wygląda to rozrywkowo, ale ja traktuję to bardzo poważnie.

Przewróciła oczami:

– Daj spokój, kto nie lubi ślubów?

– Dominik? – zasugerowałam. – Seamus?

Seamus był chłopakiem Helen. Tak jak Dominik był z branży gastronomicznej, ale z drugiej strony kuchni. Był szefem kuchni w Marden Arms, pretensjonalnego gastropubu w Fulham. Żadnych frytek. Nawet frytek w doniczkach z terakoty. Nawet takich potrójnie smażonych rozłożonych na czynniki pierwsze.

– Nie skomentuję tego – powiedziała. – Mówimy o Joem. Kiedy zaczyna?

– Od teraz. Już zaczął. Laurence wysłał go po porządne ubrania, odpowiednie dla organizacji ślubów... – poprawiłam się – ...dla spotkań

organizacyjnych w naszym dziale. Jest typem wiecznego studenta, ciągle chodzącego w szortach. Jak w ten sposób mógłby pasować do ponadczasowej elegancji Bonneville?

– W szortach? – w głosie Helen nie było dezaprobaty. – Założę się, że ma cudną opaleniznę po tak długim czasie spędzonym na plaży. Jak długim? Dziesięć lat? Ale ty pewnie doskonale o tym wiesz, skoro widziałas go dziś rano w negliżu.

– Nie był w negliżu. – W tym hotelu nic nie mogło pozostać tajemnicą, szczególnie nagość. – Możemy przestać o tym gadać?

– Nie – odpowiedziała radośnie. – To jest już legendarne w kuchni. Czy to prawda, że go uderzyłaś? I że był kompletnie nagi w jacuzzi, gdy weszłaś tam z panną młodą i jej matką?

– Nie, nie i jeszcze raz nie! Leżał na łóżku w bokserkach i... – Schowałam twarz w dłoniach. Skąd oni to wiedzieli? – Czy wszyscy w kuchni nabijają się ze mnie, że wyrzuciłam syna właściciela z pokoju?

– Nie, oczywiście, że nie! Oni... – Helen bez większego sukcesu stłumiła chichot. – Pytają, jak to możliwe, że też właśnie ty znalazłaś nagiego intruza.

– A co mają na myśli mówiąc, że też właśnie ja? – zapytałam oburzona.

– Nic. Nieważne. Zapomnij. Nie rozumiem, o co się pieklisz? Zarządzanie hotelem to niewdzięczna robota, dobrze o tym wiesz. A Joe nie należy do cierpliwych. Daj mu dwa tygodnie, a wsiądzie w samolot do domu. Każ mu organizować prezenty dla gości czy coś. Słuchaj, zapomnij o tym. Potrzebuję twojej rady w dużo ważniejszej sprawie.

Spojrzałam na Helen wzrokiem przypominającym o etyce zawodowej i powiedziałam:

– Jeśli chodzi o Kevina i jego menu, to wiesz, że nie mogę kazać Dominikowi napisać recenzji. Nawet gdyby jedzenie było niesamowite i dałby mu pięć gwiazdek, to i tak wyglądałoby to słabo.

– Chciałabym. – Helen wyglądała na przygnębioną. – Chodzi o Seamusa. Nie wiem, co z tym zrobić.

– Z czym? – zapytałam zaniepokojona. Dość dużo możliwości wpadało do tej kategorii w związku Seamusa i Helen. – Chodzi o zamieszkanie razem?

– Nie, ten temat odłożyliśmy na chwilę, po tym, jak yyy... No, pokłóciliśmy się o... Nieważne już co.

– Mów – rozkazałam stanowczo.

– Jego okulary – jęknęła.

– Jego okulary? Seamus nosi okulary?

– No właśnie nie. I w tym rzecz. W ten weekend była o to wielgachna awantura.

– Ookkeeej – odpowiedziałam bardzo powoli.

Lista rzeczy, o które Seamus potrafił zrobić Wielką Awanturę, była imponująca. Miał prawdziwy talent do bycia obrażanym. Przez te wszystkie lata w obrzydliwy nastrój wprawiały go (kolejność nie ma znaczenia): wegetarianie, awokado, gołąb (wersja gastronomiczna, nie te w parku) i goście zamawiający zupę z jego menu. Albo w ogóle ktokolwiek, kto przychodził do jego restauracji i coś zamawiał, a Seamus uważał, że klient nie jest godzien zamówienia.

Według mnie większość problemów z Seamusem mogłaby być wyleczona, gdyby Helen z nim zerwała. Jednak była moją najlepszą przyjaciółką, więc nigdy jej tego nie zasugerowałam. Mogłam tylko zapytać: – O co poszło tym razem?

Helen wyglądała na bardzo zmieszana, jak gdyby to, co za chwilę powie, było wyjątkowo szalone, ale szczerze mówiąc, po tylu latach nic by mnie nie zaskoczyło:

– No więc w ten weekend po raz kolejny pomylił pastę do zębów z moim kremem do depilacji, no wiesz... I powiedziałam, że chyba powinien iść do okulisty, zanim sobie odrąbie palec albo coś gorszego... – wzruszyła ramionami i pruć dalej – ...i on powiedział, że za żadne skarby tam nie pójdzie, bo na pewno uszkodzą mu jego podniebienie albo kubki smakowe, a on nie może sobie na to pozwolić. A jego zmysły są

doskonale wyostrzone, nie musi widzieć, co kroi, bo czuje to całym sobą. I nie chce, żeby ludzie mylili go z Hestonem Blumenthałem^[2]. Ale zaraz potem przewrócił dwa kieliszki wina na mój dywan i znowu skończyło się awanturą.

Spojrzałyśmy na siebie, myśląc to samo („Helen, chodzisz z szalejącym bobasem”), a potem powiedziała to, co mówiła któraś z nas, gdy tylko miałyśmy rozmowę jak ta, a miałyśmy ich dużo.

– Dobrze, że ma pasję, to sprawia, że jest tak genialny w tym, co robi.

To sprawiało, że był ostatnim facetem, z którym powinna umawiać się tak przemiła osoba jak Helen. Ale jako że Dominik też miewał swoje humory, był jednakowo próżny i przewrażliwiony na punkcie swojego wyglądu, powiedziałam tylko:

– Nie, no, masz rację.

Tym razem Helen patrzyła na mnie smutnym wzrokiem wyjątkowo długo, jak gdyby miała nadzieję, że powiem coś zgoła innego.

– Co? – zapytałam. – Miałam to samo z Dominikiem ostatnio. Wyszedł z restauracji, ponieważ kelner powiedział, że jajka w koszulkach są zrobione z organicznych jajek z wolnego chowu, więc poprosił o przyniesienie jednego z kuchni, by sprawdzić, czy na pewno, i okazało się, że były tylko z wolnego chowu, ale nie organiczne. Zrobił z tego taką aferę, że ktoś nawet umieścił na twitterze jego zdjęcia, gdy wrzeszczy na kelnera. „Ale to ważne, by nie obniżać swoich standardów, prawda?”.

– Tak. No cóż... ojej. – Helen przygryzła dolną wargę i po raz setny zadałam sobie pytanie, czy Seamus ma blade pojęcie o tym, jakim jest szczęściarzem, że się z nią umawia.

Oto kilka rzeczy, które powinniście wiedzieć o Seamusie Lynchu:

1. Jest genialnym szefem kuchni i wygrał mnóstwo nagród za robienie niesamowitych rzeczy z cynamonowym ketchupem itd.
2. Jest totalnym kretynem.

To bardzo krótka lista. Lecz to naprawdę wszystko, co powinniście

o nim wiedzieć. Chociaż jest jeszcze jedna rzecz:

3. Jest klasycznym Seksownym Szefem Kuchni – kilkunastoletni zarost, bardzo krótkie blond włosy, wahania nastrojów godne gwiazdy rocka, potrafi zrobić dla ciebie niesamowity omlet o trzeciej nad ranem, mówi płynnie po francusku i włosku (głównie przekleństwa).

Punkt trzeci nie za bardzo mnie przekonywał; byłam odporna na żyłasty seksapil Seamusa. Dominik bywał niemiły, ale potrafił być też czarujący. A ja nigdy nie ufałam wychudzonym szefom kuchni. Ta ich energia musiała mieć gdzieś ujście. Ale Helen była nim zauroczona i wytrzymywała najbardziej skandaliczne zachowania, więc widocznie miał jeszcze inne talenty, których ja nie byłam świadoma i szczerze mówiąc, nie chciałam być. Byli ze sobą od trzech lat z przerwami (bardziej z przerwami niż bez) i był to bardzo intensywny związek, oparty na dwóch godzinach w miesiącu, kiedy udało im się znaleźć dla siebie czas, jako że oboje pracowali do nocy.

– Skoro musi iść do okulisty, to musi. Nie jesteś jego matką. Nie musisz wytrzymywać z... – zaczęłam, ale mi przerwała, podnosząc rękę.

– Nic nie mów, wiem.

Przygryzłam wargi. Trudno było powstrzymać się od wmaszerowania do domu Helen i zerwania z nim osobiście. Ale zawsze łatwiej dostrzec problemy w związkach innych niż we własnym, prawda? Szczególnie gdy sprawiają, że twój własny nie wygląda aż tak beznadziejnie.

Zerknęłam na zegarek, miałam dziesięć minut do telekonferencji z florystką i panną młodą, która biegała wszędzie z próbnikiem barw sprawdzając, czy wszystko ma odpowiedni odcień i pasuje do jej sukienki. Wyobrażałam sobie, jak robi to z niebem w dniu swojego ślubu, żądając, by chmury były w odcieniu Wimborne White.

. . .

Dzień był przepiękny, słońce ogrzewało drzwi ewakuacyjne, a powietrze

wypełniał ciężki zapach londyńskiego lata dochodzący z dołu: świeżo ściętej trawy, rozgrzanych chodników, róż i lawendy z przydomowych ogródków.

Uwielbiałam tę prywatną stronę hotelu, o której nikt nie wiedział. Możliwość obserwowania przechodniów, gołębi, czarnych taksówek i czerwonych autobusów z wysokości była jak wejście za kurtynę w teatrze i zobaczenie wszystkich ukrytych lin i drzwi.

Helen dokończyła ciasto i odzyskała zimną krew. Znowu przypominała Grace Kelly.

Przyszędł czas na wzajemne zapewnianie.

– Lepiej mieć skomplikowanego faceta niż nudnego – stwierdziła. – Prawda?

– Zdecydowanie – przytaknęłam, myśląc o mojej rozmowie z Dominikiem na temat mieszkania. Przynajmniej zobowiązał się do wspólnego kredytu i był do tego przekonany. Wolałam, by spędził trochę czasu na dojrzewaniu do tej decyzji, niż gdyby miał obiecać coś pośpiesznie, a potem się wycofać...

Dominik by się nie wycofał, nie był Anthonym. Zawsze znałam jego myśli, ponieważ nie miał absolutnie żadnych oporów przed dzieleniem się swoimi opiniami z innymi ludźmi. Anthony był milczkiem. Bardziej uprzejmym niż Dominik, ale – chwila, co też ja mówię? Czy porzucenie panny młodej przed ołtarzem, bo nie mógł znaleźć „odpowiedniego sposobu”, by jej powiedzieć, że nie chce ślubu, to uprzejmość?

– Dużo lepiej – powtórzyłam.

– Dobrze – powiedziała. – A teraz upewnij się, że zadzwonisz do Hunterów w sprawie oferty, a ja idę wymyślać przepyszne menu na ich wesele.

Nie uszło mojej uwagi, że jak na dwie kobiety całymi dniami organizujące idealny początek nowej drogi życia innym ludziom nie robiłyśmy postępów na własnej.

Może właśnie w tym tkwił problem.

Rozdział szósty

Pomimo że mój gabinet był mały, miał trzy idealne cechy: ogromne francuskie okno wychodzące na ogród różany; ścianę cienką na tyle, bym słyszała głośne rozmowy w gabinecie Laurence'a (coś, czego nie był świadomy, ponieważ sama nigdy nie wydzierałam się w agonii, schylając się po drinka, ani nie wrzeszczałam na byłe żony przez telefon); ścianę dużą na tyle, by zmieścił się na niej mój Ślubny Plan Bojowy/Ślubimarz.

Ślubimarz był zmodyfikowaną wersją rocznego terminarza rozpiętą na potężnej tablicy korkowej i tajną bronią w moim drobiazgowym systemie planowania. Pierwotnie nazywałam go Ślubnym Planem Bojowym, ale ostatnio zostało skrócone przez Gemmę do Ślubimarza, „by brzmieć troszkę mniej policyjnie”. Przyczepiony był do tablicy korkowej, bym mogła go obrócić przed spotkaniem z klientką i pokazać obraz Green Park – przecież miała czuć się jak jedyna klientka, na której tak bardzo nam zależało w historii organizacji ślubów – przez resztę czasu służył jako wizualna przypominajka dla mnie i mojego zespołu, byśmy wiedzieli, gdzie dokładnie jesteśmy na wiecznej karuzeli potencjalnie identycznych bukietów i obiadów z łososiem.

Teraz, gdy przyszło mi brać pod uwagę zmodyfikowane przez Laurence'a cele, Ślubimarz był ważniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Podzielono go na miesiące, przyczepiono do niego zdjęcia panny młodej i czasami narzeczonego, jeśli go poznaliśmy, plus temat przewodni, zaproszenie, tak by nic nie umknęło naszej uwadze i notatkom. Niektóre miesiące były zatłoczone bardziej, inne mniej. Już teraz miałam dwa śluby zaplanowane na kwiecień i trzy na maj przyszłego roku, następne Walentynki zarezerwowano już dwa lata temu przez pewną Lauren o gwieździstym spojrzeniu, która już wtedy miała kupioną na wyprzedaży sukienkę Very Wang. Nie byłam pewna, czy jej chłopak o tym wiedział. O sukience i rezerwacji.

Po każdym udanym ślubie do kolumny po prawej stronie dodawałam bukiet. Gemma i Helen myślały, że po to, by wiedzieć, ile ślubów zorganizowałyśmy. Nie powiedziałam im, że oznaczały one malutkie kroczki, którymi zbliżałam się do wyznaczonego przez Laurence'a celu – zwiększenia dochodów o dwadzieścia procent. Cel zostanie osiągnięty, jak tylko przypnę bukiet obok rzymskiego noska Alice Invary w marcu przyszłego roku. Niby Laurence dał mi czas do czerwca, ale pomyślałam, że jeśli dam radę zrobić to wcześniej, mogłabym powalczyć o awans i o podwyżkę za jednym razem. Zyskałabym w ten sposób kolejny argument dla banku, by udzielił mi i Dominikowi kredytu.

Na razie bukiety zdołały Laure Southwell (grudniowe wesele z grzanyim winem, kulami jemioly i ostrokrzewu i futrzana peleryna panny mlodej w starym stylu). Duze towarzyskie wydarzenie – najchętniej Flory Thornbury – dałoby mi i bukiet i wzmiankę w prasie, a ślub Jessie Callum z tematem przewodnim *My Fair Lady* ugruntowałyby moją pozycję.

Jednak najpierw musiałam załatwić siedemnaście klasycznych angielskich wesel, zorganizować, poprowadzić, pomachać nowożeńcom na do widzenia, uregulować faktury, a wszystko to z kompletnie zielonym nowym asystentem, który biegał w krótkich portkach.

To tylko kilka miesięcy, powiedziałam sobie, otwierając kalendarz na dzisiejszej dacie, przygotowując się do reszty dnia. Potem zamknęłam go i zrobiłam sobie dzbanek naprawdę mocnej kawy.

Pierwsze spotkanie Joego z resztą działu nie wróżyło dobrze na przyszłość.

Spóźnił się dziesięć minut, co już mnie rozstroiło (jakbym wcześniej była spokojna wizją obecności synalka właściciela na moich zebraniach). Nie lubiłam spóźnialskich – zabierali cenne dla sprawy minuty – i jak zawsze powtarzałam Gemmie, że jako organizator eventów nie może sobie pozwolić na nawet sekundowe opóźnienia względem planu. To mogło zdecydować o zostaniu bądź ucieczce panny mlodej jako twojej klientki.

Gemma i Helen pojawiły się w moim biurze pięć minut przed czasem,

nie kryjąc ciekawości Joem. Uznałam, że najlepiej będzie, jak to zignoruję.

– Myślę, że powinniśmy zacząć – powiedziałam, przekładając papiery w sposób, w jaki to robią dziennikarki prowadzące wiadomości. Nie chciałam, ale nie mogłam się powstrzymać. Z jakiegoś powodu uznałam, że najlepiej będzie, jeśli założę garsonkę, wzmocnię w ten sposób przekaz, że organizacja eventów to poważna sprawa. A teraz pasek wbijał mi się w ciało. – Już za dwadzieścia dziesiąta.

– Nie – powiedziała Helen tonem jak do dziecka. Skrzyżowała ręce i odchyliła na krześle. – Jeszcze nie wszyscy tu są. Wyluzuj, pewnie się zgubił. Ten hotel jest jak labirynt, jeśli go dobrze nie znasz. Nawet wykładowca jest wszędzie taka sama.

– Ten gabinet jest tuż obok pokoju jego ojca – przypomniałam. – I mieszkał w tym budynku do ukończenia osiemnastego roku życia.

– Powinnam to zapisać? – zapytała Gemma, trzymając w pogotowiu długopis. – „Joe nie przyszedł na czas”?

Już miałam jej odpowiedzieć: „Jasne, czemu nie”, gdy otworzyły się drzwi i objawił się w nich Joe.

Musiałam kilka razy zamrugać oczami, bo na początku nie skojarzyłam, że to był on. Wyglądał kompletnie inaczej niż wczoraj w gabinecie ojca, nie wspominając wyglądu na łóżku w apartamencie panny młodej. Szorty zniknęły, ich miejsce zajęła para chinosów, a górę wieńczyła koszula w kratę – wyglądała, jakby przeleżała tygodnie na dnie kosza na brudną bieliznę, nie tracąc jednocześnie zagnieceń po fabrycznym złożeniu.

Blond włosy ciągle miał długie i w nieładzie i nie był ogolony. No i ciągle miał na szyi obrzydliwy naszyjnik z muszelką. Na tym etapie mogłam go co najwyżej przedstawić florystce, ale na pewno nie komuś stojącemu wyżej w ślubnej hierarchii.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział z na wpół przepraszającym uśmiechem, który, jak zauważyłam, sprawił, że Gemma promieniała. – Zasnęłam. Jet lag.

– Czyli co? – powiedziałam, zanim zdążyłam pomyśleć.

Unióśł brwi, jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś kiedykolwiek zada mu to pytanie z powodu spóźnienia na pierwsze spotkanie. – Jedno i drugie?

– Szok kulturowy pewnie też – radośnie wyrwało się Helen. – Znowu będzie trzeba się przyzwyczaić do herbatki z rana, co?

Joe przeczesał ręką włosy:

– No, właśnie, skąd bierzecie kawę? Bo w porównaniu z tym, co podają w Stanach, wypada dość blado.

Nowy początek, powiedziałam sobie, zanim zalała mnie fala irytacji. *Myśl pozytywnie, bądź miła*. Kawa mogła być dość dziwna, jako że Laurence uważał, że kofeina to dzieło szatana.

– Pomówię z dostawcą! – promiennie zadeklarowała Helen.

– Joe, znasz już Helen? Helen Yardley, manager naszej restauracji, i Gemma Lane, asystentka Laurence’a i moja.

– Młodszy specjalista do spraw organizacji eventów – powiedziała Gemma – albo zastępca organizatorki ślubów, zależnie od okazji.

– Gemmo, przypominam, że to nie zostało jeszcze postanowione – nawet na sekundę nie przestałam się uśmiechać.

Helen uniosła się z krzesła, by podać mu rękę; zawsze robiła to w niezwykle elegancki sposób, który próbowałam kopiować, odkąd ją poznałam, lecz mi nie wychodziło. Mój uścisk dłoni ciągle bardziej przypominał dyrektorski niż ten gwiazdy filmowej.

– Witaj – powiedziała Helen czarująco. – Jak miło w końcu cię poznać, tyle o tobie słyszałam.

– Naprawdę? – odparł Joe, patrząc w moim kierunku – A co powiedziała Rosie? Że musiała wzywać do mnie ochronę?

– Oczywiście, że nie! Nigdy nie powiedziałam, że... – huknęłam.

– Nie powiedziała nam nic poza tym, że będziesz pracował razem z nami – łagodziła sytuację Helen, ciągle się uśmiechając. – Dziś rano miałam krótkie spotkanie z Laurence’em i to on powiedział mi, że będziesz wypracowywał swoją pozycję w hotelu. Laurence będzie

próbował zebrać szefów wszystkich departamentów na oficjalnym obiedzie i przywitać cię w zespole jak należy.

Joe natychmiast się skrzywił, dokładnie jak wtedy, gdy Laurence powiedział mu, że zaczyna od eventów:

– Naprawdę? Prosiłem, by tego nie robił. Nie chciałbym wielkiej afery z powodu synalka szefa płaczącego się po hotelu...

Dostając pracę marzeń podaną na tacy, bez żadnego doświadczenia i chęci otrzymania jej, powiedział, dziwnie przypominający Dominika, głos w mojej głowie. Uciszyłam go.

– Nie martw się. Potraktujemy cię dokładnie tak, jak potraktowalibyśmy zwykłego stażystę – powiedziałam i znowu przełożyłam papiery. – Więc, aha! Spóźniłeś się! Nie rób tego więcej! Siadaj i zaczynamy spotkanie.

Helen spojrzała na mnie dziwnie i zrobiła gest: *przestań przekładać papiery*. Chyba w mojej głowie te słowa brzmiały lepiej.

– Joe? – Gemma zwróciła ku niemu głowę. – Wiesz, zwykle to ja robię notatki, ale gdybyś chciał to robić w przyszłości, jako część zdobywania doświadczenia, tylko powiedz.

– Dzięki – odpowiedział. – Ale nawet nie wiedziałbym, od czego zacząć.

– Ależ ja ci z chęcią pomogę – powiedziała, zrywając się z miejsca. – To bardzo proste...

Chrząknęłam:

– Gemmo, jeśli mogłabyś dzisiaj notować. Siadaj, Joe, i zaczynamy. Mnóstwo pracy przed nami.

Joe usiadł, a ja zauważyłam, że Helen i Gemma jak na zawołanie zaczęły bawić się swoimi włosami. Nawet Helen, której fryzura była zwykle tak mocno przylakierowana, że wytrzymała powódzie w kuchni i wybuchy kucharzy.

– Zwykle na tych spotkaniach omawiamy kalendarz na bliższe i dalsze tygodnie – zaczęłam dziarsko. – To powinno dać ci wgląd w ilość pracy,

z którą zmierzamy się codziennie.

Miałam nadzieję, że mówiąc o ilości pracy, skutecznie odstraszę Joego i całe to jego „tło doświadczeń na łonie przyrody”, ale nic z tego, rozsiadł się na krześle, skrzyżował te swoje długie nogi i zaczął przeczesywać talerz ciastek przyniesiony przez Helen.

– Po pierwsze i najważniejsze, Flora Thornbury przyjeżdża pod koniec tygodnia obejrzeć nasz hotel i być może zdecydować się na wesele w nim w czerwcu przyszłego roku. To może być kluczowe wydarzenie dla naszego hotelu, ponieważ jak wiecie, Flora podpisała właśnie ogromny kontrakt z Marksem i Spencerem. Więc, błagam was, dołóżcie wszelkich starań, by wszystko było bez najmniejszej skazy, w razie gdyby chciała robić zdjęcia. Może wrzuci nas na swój profil na instagramie?

Gemma wydała z siebie głośne westchnięcie i jej długopis poszybował po kartce.

– Potraktujemy ją dokładnie tak samo, jak traktujemy każdą potencjalną pannę młodą w Bonneville, czyli jakby była dla nas jedyną i najważniejszą panną młodą. Zgodnie z naszym ślubnym etosem – dodałam bardziej dla Joego niż dla pozostałych, oni słyszeli to już wielokrotnie. – To sprawi, że poczuje się wyjątkowo od pierwszego spotkania. Nie odnosimy się do innych ślubów mających miejsce w Bonneville, nie robimy żadnych porównań.

– Myślałam, że chodzi o to, by to było najbardziej popularne miejsce w Londynie?

– Dokładnie tak – przytaknęłam.

– No to chyba panny młode chcą wiedzieć, że wiele sław pobrało się właśnie tutaj?

– Zgadza się, marketing szeptany jest naszą najlepszą reklamą.

– No to po co udawać, że jest jedyną panną młodą pod twoją opieką?

Zawahałam się na moment. Była w tym pewna męska logika.

– Cóż, ponieważ każda panna młoda chce się czuć wyjątkowo. Wybiera Bonneville, ponieważ słyszała, że nasze śluby są supereleganckie,

wyrafinowane i romantyczne. I chce wiedzieć, że wybiera zaufane miejsce. Ale jak tylko do nas dotrze, chcemy sprawić, że poczuje się jedyną panną młodą na świecie.

Joe wyglądał na skołowanego. Albo raczej *skołowanego*, chociaż nie mogłam zrozumieć, co niejasnego było w mojej odpowiedzi.

– Nie rozumiem, po co udawać. Czy nie lepiej być szczerym od samego początku? – zapytał.

– Istnieje szczerść i ślubna szczerść – odpowiedziałam.

– A co to ma znaczyć?

– To tak jak „Nie wszystkim druhom jest do twarzy w jasnozielonym” – przyszła z pomocą Gemma – zamiast „Będziesz wyglądać, jakby szły za tobą cztery pory”.

Spojrzałam na nią z ukosa, a Helen parsknęła śmiechem, potem udając kaszel.

– Więc... – kontynuowałam, bo czas naglił. – Flora przyjeżdża i będziemy z nią omawiać pakiety ślubne...

– A nie powinno być na odwrót?

Znowu oderwałam się od notatek, by odkryć, że Joe nie nadąża.

– Słucham?

– Czy to nie ona powinna mówić ci, czego chce? – podniósł obie dłonie w geście wyrażającym dezorientację. – Czy to nie tak działa? Ona przyjeżdża, a my dajemy jej wyjątkowy, spersonalizowany ślub marzeń?

Odłożyłam pióro:

– Widzisz, Joe, śluby są skomplikowane i dlatego, dla dobra wszystkich, muszą być w pewien sposób zorganizowane i przewidywalne. Mamy system, któremu ufamy...

– Czyli nie – powiedział. – Ty organizujesz im ślub, jakiego ty chcesz.

– Nie! – zaprotestowałam. – Oczywiście, że słuchamy ich próśb i staramy się do nich dostosować... w miarę możliwości. Ale nasza praca polega na zorganizowaniu im ślubu, z jakiego słynie Bonneville, a to jest

bardzo tradycyjne wydarzenie. Dlatego do nas przychodzą. Nie idziesz do Chanel po ubrania z sieciówki, prawda?

Joe osunął się na krzesło:

– Dobra, OK. A co z panem młodym? Kiedy on przyjeżdża?

– O ile wiem, to nie przyjeżdża. Gemmo?

– Nie – odpowiedziała. – Nawet nie pamiętam, jak ma na imię.

– Milo – dodałam szybko. – Milo McKnight. Handluje sztuką. Wątpię, by pojawił się na którymkolwiek ze spotkań. Widujemy głównie panny młode z matkami albo druhnami, narzeczonych raczej nie.

– Dlaczego? Przecież to też jego dzień? – wtrącił się znowu Joe.

Gemma obracała głowę raz na mnie, raz na niego, wytrzeszczając coraz bardziej oczy. Najwyraźniej nie oczekiwała, że on aż tak się tym wszystkim przejmie. Ja zresztą też nie. Zdałam też sobie sprawę, że nie mam gotowej odpowiedzi na jego pytanie.

– Narzeczeni nie wydają się tym zainteresowani. A przyszłe panny młode często marzą o tym dniu od dawna. Mają sprecyzowane pomysły – improwizowałam.

– Tak jak ich matki – wtrąciła Helen. – Zwykle ich matki myślą o tym, co też one chciały, zanim ich matki zmusiły je do tego, co same chciały.

Przytaknęłam. Ostatnio przeżyłyśmy najazd tak trudnych matek, że musiałam oddelegować Laurence'a, by spacyfikował je swoim urokiem osobistym.

– Oo, mówisz o Mamzilli z zeszłego tygodnia? – jak zwykle dyskretnie zapytała Gemma. – Czy to nie wtedy pan Bentley Douglas odwiódł ją od pomysłu odnowienia przysięgi z tatą panny młodej?

Zerknęłam na Joego, który naprawdę nie musiał tego wiedzieć, i szybko dodałam:

– Tak zrobił. Ale teraz ona ma nowy pomysł i chce śpiewać. A my musimy wykombinować, jak tego uniknąć.

– Prawa autorskie – rzuciła Helen – lub problem z fortepianem.

– Dlaczego chcecie powstrzymać matkę od śpiewania? – zaatakował Joe – lub odnawiania przysięgi? Czy to nieładne uczczenie trwałości małżeństwa?

– Nie, kiedy mamusia chce być ubrana w swoją suknię ślubną. To tylko chęć popisania się, a biedna panna młoda już jest na płynnej diecie wegańskiej. – Gemma starała się, jak mogła.

Po raz pierwszy od przyjazdu Joe wydawał się skoncentrowany, niestety nie na zadaniu, a na walce:

– Jestem zdumiony, że w ogóle ktokolwiek dostępuje zaszczytu ślubu w tym miejscu.

Teraz już zupełnie mnie zirytował. Z jakiej racji miałabym się tłumaczyć ze strategii organizacji ślubów komuś, kto nawet nigdy nie był na żadnym ślubie w Bonneville?

– Joe, widzę, że jesteś mocno uprzedzony do organizowania ślubów. – Z łatwością sparowałam cios. – Na wielu byłeś?

– Na tyłu, by wiedzieć, że ten dzień powinien należeć do państwa młodych, a nie być wyśnionym balem księżniczki. I tak, jeśli to nazywasz uprzedzeniem, to jestem mocno uprzedzony. – Joe znowu zaatakował. – Ślub powinien być świętem dwojga ludzi, celebrazją ich wzajemnego duchowego oddania się sobie, na ich sposób, a nie wpasować się w styl kanapeczek czy koreczków.

– I to jest właśnie to, co im zapewniamy – powiedziałam stanowczo. – Elegancka celebrazja zawarcia małżeństwa, bez tandetnego blichtru i modnego nonsensu. Idealnie angielska ceremonia w hotelu.

Uniósł brew, po czym zagłębił się w fotelu, krzyżując nogi. Wyglądał na zmęczonego. Wyglądał, jakby naprawdę, *jasne* naprawdę nie chciał tu być.

Myślałam, że jestem dobra w odczytywaniu ludzi, ale za nic nie mogłam wykombinować, co dzieje się pod jego blond czupryną. Był za ślubami? Przeciw? Wszystko jedno, nie miałam zamiaru pozwolić mu, by zniweczył spotkanie z Florą Thornbury. Nawet jeśli Laurence

przygotowywał Joego na dyrektora, chciałam, by było jasne od początku: za żadne skarby nie będzie ingerował w moje eventy.

– Tak więc wymyśliłam, że jak tylko Flara i jej matka zjawią się u nas w piątek, zaczniemy od herbaty, a potem pokażemy apartamenty. Helen, czy mogłabyś przyjść i omówić opcje menu? – wróciłam do tematu.

Helen zdjęła skuwkę swojego srebnego pióra: – Nie ma sprawy, o której?

– Około dziewiętej trzydzieści? Tylko na dziesięć minut.

– Dobrze – zanotowała. – Powiem Delphine, by zrobiła specjalne migdałowe ciasteczka w kształcie serc. Chociaż czekaj, czy supermodelki jedzą ciastka?

Przypomniałam sobie ostatnią kampanię bielizny z jej udziałem, tę z billboardem na ścianie Tate Modern. Nawet w takim powiększeniu nie byłam w stanie zauważyć najmniejszych śladów cellulitu na jej długich nogach.

– Nie. Ale jej matka na pewno.

– Chciałabyś, żebym przyszła robić notatki? – zapytała Gemma.

– Nie – odpowiedziałam stanowczo. – Niech to będzie kameralne spotkanie.

– Proszę? Mogłabym cię wtajemniczyć we wszystkich jej eks, żebyś nie popełniła gafy?

Gemma była zagorzałą czytelniczką pism plotkarskich – wszystkich przedstawiających wpadki gwiazd i informacje, kto z kim jest i kiedy się zaręczyli. Prowadziła nawet własny arkusz kalkulacyjny, w którym na bieżąco zaznaczała związki gwiazd, które zbliżają się do zaręczyn, oraz zapisywała pomysły na ich ślub w naszym hotelu. Przez większość dni dziękowałam Bogu, że nasz podjazd jest za mały na ulubioną opcję Gemmy – szklaną karetę i dwa białe konie.

– Jestem konsultantką świata gwiazd – poinformowała Joego Gemma. – Dbam, by Rosie nadążała za plotkami.

Pochylił się w jej stronę, spojrzał na nią błękitnymi oczami i jak tylko

Gemma się zarumieniła, powiedział tonem guru:

– Gemma, te wszystkie celebryckie newsy to kompletne bzdury. –
A potem, ku mojemu zdumieniu, zwrócił się do mnie z pytaniem. –
Mógłbym uczestniczyć?

Oniemiałam. Nie mogłam odmówić. Nie chciałam się też zgodzić.

– Po co, skoro to bzdury?

– Ponieważ mam się nauczyć, na czym polegają śluby? – odparł niewinnie Joe.

– Eee, no tak. Oczywiście. – Nie miałam wyboru.

Zastanawiałam się, czy to jedyna motywacja. Joe najprawdopodobniej chciał zobaczyć supermodelkę na żywo, pomimo jego wielce oświeconej ignorancji dla celebrytów. Anthony twierdził, że jest aktywnym socjalistą, ale i tak wyrwał mnie kiedyś z pracy, gdy dowiedział się, że Kate Middleton wpadła na herbatę do Palm Court wraz z siostrą.

Joe patrzył na mnie z tajemniczym wyrazem twarzy, przypominając mi niecny plan Laurence'a. Uśmiechnęłam się do niego przyjaźnie. Jak mógłby zaszkodzić? Pewnie i tak się znudzi po pięciu minutach. Zacznie wymyślać wymówki, jak tylko zacznę szczegółowo omawiać catering.

– Dobrze, postanowione – powiedziałam, wracając do planu spotkania.
– A teraz reszta tygodnia. Próbnny obiad Stephanie Miller jutro wieczorem, zaraz po popołudniowej próbie ślubu. Dla przypomnienia, ślub w sobotę, początek o trzeciej, popołudniowa herbata w ogrodzie, kolacja w strojach wieczorowych w sali balowej, potem tańce do pierwszej...

Kątem oka zauważyłam, jak spojrzenie Joego poszybowało do ogrodu i gołębi siedzących na obrzeżach fontanny.

„Spełnienie marzeń księżniczki”. W rzeczy samej. Mocne słowa w ustach kogoś, kto nie wrócił jeszcze ze studenckiej podróży życia.

Rozdział siódmy

Dominik i ja wiele razy jadaliliśmy w restauracjach, ale nie były to spotkania zasługujące na miano romantycznych. Zwykle przy kameralnym stoliku dla dwojga siedzieliśmy we trójkę: ja, on i jego notatnik.

Tym razem był to kameralny lunch dla dziewięciorga, jeśli doliczyć kelnerów, managera, szefa kuchni, sommeliera i faceta od koktajli, którzy krążyli nad nami jak ćmy nad świecą. Byliśmy w nowym barze z owocami morza, *Betty i Sieci*, próbowałam śmignąć przez menu najszybciej jak to możliwe, byśmy zdążyli jeszcze wpaść na dzień otwarty domu w Lambeth, zanim będę musiała wrócić do pracy na spotkanie z florystką o czwartej, ale cały czas ktoś nam przeszkadzał, pytając, czy nam smakuje i czy niczego nie trzeba...

Sytuacja z mieszkaniem ruszyła się o kilka kroczków, to znaczy: byłam na spotkaniu w banku, przypocholebiając się mglistą obietnicą podżyrowania kredytu przez moich rodziców, udało mi się również przekierować uwagę Dominika z jego głównego mieszkaniowego priorytetu, czyli „prysznic tak mocnego, by obierał ziemniaki ze skórki”, na problem sfinansowania naszego wspólnego zakupu.

– ...i wiem, że spodoba ci się to miejsce, bo woda pod prysznicem leci pod tak dużym ciśnieniem, że nie pozwoliłbyś, by dzieci używały go bez nadzoru – no na miłość boską – wymamrotałam, gdy postawiono przed nami kolejne *amuse-bouche*, schowane pod dwoma fikuśnymi srebrnymi przykrywkami. Nawet nie skończyliśmy przeglądać menu. Dopiero co zorientowałam się, jak je otworzyć. Schowane było w dziwnej pomarańczowej siatce, która miała oddawać tematykę restauracji: organiczne owoce morza „inaczej”.

Od dwóch lat prowadziłam mroczne życie jako Betty i wiedziałam już, że enigmatyczna fraza „inaczej” zwykle oznacza „podane w doniczce”.

– Brzmi jak mój typ prysznic – odpowiedział Dominik, nie odrywając

oczu od listy przystawek. – O, co myślisz o spienionej meduzie? Myślisz, że jak to smakuje?

– Jak coś wkurzonego? Podekscytowanego? – podsunęłam mu oferty Old Vintners Development. – Brzmi bardziej jak katastrofa ekologiczna niż przysmak. Popatrz, ostateczny termin wypada w listopadzie, więc gdybyśmy teraz wpłacili zaliczkę, moglibyśmy...

– Ha, świetne. Katastrofa ekologiczna – powiedział, sięgając po notes, a ja przekonywałam siebie, by zareagować. Nie przeszkadzało mi pomaganie mu przy recenzjach, ale nie chciałam, by kradł mi najlepsze teksty. Tak działały na mnie rozmowy z Helen o Seamusie; przez kilka dni byłam zdeterminowana nie dopuszczać, by rzeczy potoczyły się w aż tak złym kierunku.

Ale ku mojemu zdziwieniu Dominik mamrotał pod nosem, pisząc:

– Betty miała więcej współczucia dla meduzy niż chęci, by ją zjeść.

– Dziękuję – powiedziałam udobruchana.

Nie, Dominik na pewno nie był jak Seamus. Seamus był ciężarem, podczas gdy Dominik był... pozytywną stroną nieprzewidywalnego. Interesującą stroną.

Kelner powrócił, robiąc gest niewidzialnego mycia rąk, który przywodził na myśl żel dezynfekujący. Nie podzieliłam się tą uwagą.

– Czy mógłbym przyjąć zamówienie? – zapytał. – Szef kuchni prosił, by przekazać, że jeżeli chcieliby państwo coś spoza menu, wystarczy powiedzieć. Przygotujemy absolutnie wszystko.

– Weźmiemy coś z karty, dzięki – zapewnił Dominik, ciesząc się na myśl, że nie będzie musiał zamówić pieniężej się meduzy.

– Zawsze możemy rzucić na ruszt... burgera? – Kelner uniósł brwi. Gdy Dominika irytowało wyjątkowo wyszukane restauracyjne menu, czasem prosił o burgera. Albo, by sprawdzić, czy kucharz naprawdę potrafi gotować, lub by dowiedzieć się, w jakim czasie stojący na zmywaku pomocnik pobiegnie do najbliższego miejsca, w którym takowe sprzedają i z powrotem.

– Nie będzie potrzeby, wszystko wygląda przepysznie. – Z całego serca nienawidziłam przymilania, jakie pojawiało się w takich sytuacjach. Przychodziła mi do głowy Helen, szalejąca w kuchni, próbując jednocześnie zadowolić krytyka i powstrzymując szefa kuchni od przebicia ściany patelnią, bo krytyk poprosił o sól.

Spojrzałam na menu, próbując przypomnieć sobie, co miałam zamówić. Chociaż raz mogłam zjeść to, na co miałam ochotę. – Poproszę pastę z makreli na początek, a potem, ymm, krewetki na trawniku? Cokolwiek to jest?

– Świetny wybór, a dla pana?

Dominik rozkręcił się, zamawiając dania, które lubił (ha! wykorzystam to w przyszłości), ale jak zauważyłam, bez frytek, po czym zapytał, klepnąwszy się po brzuchu:

– I czy możecie sos zaserwować osobno?

– Bez frytek? – Nie mogłam się powstrzymać. Szczególnie po ostatniej wzmiance, jakoby Betty była na diecie – a nie byłam – i ominięciu nutelli na liście zakupowej. Pomimo że kanapki z nią były jego ulubioną nocną przekąską. Zwykle przynajmniej cztery słoiki tego specyfiku wypełniały „jego” stronę szafki kuchennej.

Udawał zaskoczonego tym pytaniem:

– Chyba że ty chcesz?

– Słyszałam, że jestem na diecie – powiedziałam, ale nie zareagował, spojrzałam więc na kelnera, mówiąc: – To wszystko, dziękuję.

Czy Dominik był na diecie? Wiedziałam, że lepiej nie poruszać tego drażliwego tematu – w końcu spędzałam całe dni z pannami młodymi – może i był. Ciekawe czemu? Zawsze był mocno zbudowany, co akurat mi się podobało, ale może ciągle jedzenie zaczęło dawać mu się we znaki?

– Jak się więc miewa nasz Mały Lord Fauntleroy, Król Dzikiego Pogranicza? – zapytał, gdy na stół wjechała miseczka w kształcie homara wypełniona pieczywem. Nieważne, jak wykrecona była dana restauracja, na stole zawsze pojawiało się pieczywo. Tylko naczynia były inne. –

Zamienił już drzwi obrotowe na tyrolkę?

– Jeszcze nie. – O ile Helen i Gemma były zauroczone Joem, o tyle Dominik nie był pod wrażeniem moich opowieści. Wyjątkowo pogardliwie wyrażał się o osobach, które nie posiadały walizek na kółkach i mówiły o „podróżowaniu” zamiast „wyjeżdżaniu na wakacje”. – Nie wiem, jak długo zamierza zostać w eventach. Wczoraj powiedział, że ślub powinien być świętem danej pary celebrującej swój związek, najlepiej kameralnym – tylko młoda para i urzędnik stanu cywilnego. Wszystko inne to poddawanie się naciskom towarzystwa, by zjeść malutkie ciasteczka.

– Tak powiedział?

Przytaknęłam:

– Przy Delphine. Całe szczęście, że ona ciągle ma problemy z brytyjskim akcentem, bo musiałby sobie wsadzić eklerki zupełnie gdzie indziej.

Na twarz Dominika wypłynął grymas aprobaty.

– Cóż, te malutkie ciasteczka chyba całkiem nieźle pomagają hotelowi jego ojca, prawda? Nie zauważył, że gromadka malusieńkich babeczek ustabilizowała finansowo jego spadek, gdy on sam surfował po świecie? Niewdzięczny próżniak.

Sięgnęłam po bułkę:

– Myślę, że nie chce mu się marnować czasu na gwiazdy czy modę. Jest jednym z tych, którzy zawsze mówią to, co myślą.

Dominik popatrzył z dezaprobatą.

– I to się robi z ludźmi, gdy tylko przeprowadzą się do Kalifornii. Wmawiają im, że powinni być szczerzy do bólu, by potem zdzierać z nich kasę na terapii.

– Martwi mnie to. Uważam, że to nie najlepszy pomysł, by być zawsze szczerym przy pannach młodych. One żyją trochę w innym świecie. – Zagapiłam się na malutkie kryształki soli na talerzu; to było idealne solone masło. – Jeśli zaczniesz tak do nich mówić jak do nas, to przez następne

siedem tygodni będę sprzątała historyczki z podłogi. Laurence nalega, by Joe uczestniczył w każdym spotkaniu.

– Co? Nawet w tym ważnym z supermodelką?

– Nawet. Co więcej, Joe osobiście poprosił, by na nim być. Bóg wie po co.

Dominik zaczął machać nożem do masła, jakby odsyłał służbę.

– Wyślij go po szkocką farbę czy co. Niewidzialne konfetti, figurki państwa młodych... A sama przyjmij modelkę, poprowadź spotkanie, a jemu pozwól pomachać jej na do widzenia. Nie wierzę, że Pani Sfochowana...

– Flora Thornbury.

– ...będzie pod wrażeniem jakiegoś plażowego gostka głoszącego szczerą prawdę na temat przysięgi i grubo wyglądających drухen. – Dominik opadł na krzesło z wyrazem samozadowolenia na twarzy. – Szczerść na ślubie, już to widzę. Tylko totalny kretyń może pomyśleć, że to dobry pomysł. Wyobrażasz sobie? To tak jakby Jamie Hobson powiedział prawdę, że wieczór kawalerski był w Pradze, a nie w Silverstone, jak myślała Sophie? Albo gdybym ja powiedział, co naprawdę myślę o dziwnym torcie na weselu McLintocków?

Nie byliśmy z Dominikiem na wielu weselach jako para, głównie przez moją pracę i jego narzekania na jedzenie pasty z łososia, po raz kolejny. Ostatnio był sam na kilku – miał wielu kolegów jeszcze z czasów studiów i z pracy – a mi nie przeszkadzało, że pójdzie sam. Szczerze mówiąc, chociaż uważałam, że pozbierałam się po historii z Anthonyem, to jeśli nie byłam aktywnie zaangażowana w przygotowania, czułam się na ślubach trochę nieswojo. A Dominik był zadziwiająco wyrozumiały. Nie rozmawialiśmy nigdy na temat Nie-Wesela Roku, poza jedną nocą, gdy byliśmy pijani i Dominik wyznał, że dałby Anthony'emu w mordę, gdyby był jego drużbą. Bardzo mnie to ujęło.

Zobaczyłam czającego się kelnera i nagle zapragnęłam, by ta rozmowa odbywała się zupełnie gdzie indziej, w domu, w naszym mieszkaniu. Na naszej sofie, z nogami na poduszkach. Nie w restauracji, przy kelnerach

próbujących odczytać notatki Dominika. Nieczęsto zdarzało się, byśmy byli dłużej niż dwadzieścia minut razem w domu; zwykle było to dwadzieścia minut wykładu o nowym miejscu serwującym kuchnię fusion w stylu koreańskiej wersji meksykańskiej chimichangi.

Dotarła do mnie śmieszność sytuacji. Naprawdę marzyłam o nudnym wieczorze z chłopakiem i butelką wina zamiast darmowym obiedzie w nowym ekskluzywnym miejscu?

– Rosie? – głos Dominika sprowadził mnie na ziemię. – Przyznaj się. Myślałaś właśnie o tym okropnym przekrzywionym torcie? Tym, który określiłaś jako sterta krzywo ustawionych talerzy do zupy.

– Nie byłam z tobą na ślubie McLintocków – przypomniałam mu. – To musiał być jeden z twoich żartów.

– A tak – udał skruszonego. – Pomyślałem wtedy, że nie dorasta do twoich wysokich standardów.

Poczułam jego stopę na mojej łydce i moje rozbawienie ustąpiło miejsca ciepłemu powiewowi szczęścia, że ten przystojny, zabawny mężczyzna jest moim mężczyzną. Nigdy wcześniej nie poznałam nikogo, kto miałby w oczach iskierki jak Dominik. I całe szczęście. W ten sposób natura wynagradzała to, co przychodziło wraz z dobrodziejstwem inwentarza.

– O czym myślałaś? – zapytał. – Bo wyglądałaś, jakbyś była daleko stąd. O tym mieszkaniu, które idziemy zobaczyć? Pysznic może być świetny. Nie mogę się doczekać, gdy zamieszkamy w miejscu z nowoczesnym ogrzewaniem. Chyba nie wytrzymam jeszcze jednej zimy otulony kocami niczym wiktoriański urwis.

Zawahałam się – nie chciałam, by wyszło, że myślę o weselach, to byłoby nie na miejscu – ale było za późno. Dominik udał urażonego:

– Myślałaś o pracy. Przepraszam, miałem nadzieję, że twoje myśli krążą wokół tematów niezwiązanych z nią.

– Nie. Myślałam o tym mieszkaniu... – zaczęłam, ale zbyt dobrze mnie znał. Przybrał poważny wyraz twarzy, po czym zapewnił:

– Nie przejmuj się. Przecież nie może dać synowi pracy tak po prostu.

– Co przez to rozumiesz?

– Przecież wiem, że tym się martwisz. Nepotyzmem Laurence’a. Ale w ilu działach cudowne dziecko ma pracować? – Dominik zaczął liczyć na palcach. – Eventy, bar, restauracja, obsługa hotelowa, rezerwacje... to już jest rok. Znudzi mu się do tego czasu. Będzie dobrze. A nawet jeśli Laurence jest na tyle durny, by dać plażowemu głupkowi bez doświadczenia najbardziej odpowiedzialną pracę w hotelu, wtedy osobiście napiszę twoją rezygnację i pomogę znaleźć pracę w hotelu, w którym twój szef doceni ją i pozwoli ci mieć życie poza nią. Ach, przystawki! Cudownie!

Przybyła ekipa kelnerów i wystudiowanymi ruchami położyła przed nami zwyczajne granitowe płytki. I chociaż jedzenie pachniało smakowicie, nagle poczułam, że nie jestem głodna.

. . .

Jedną z zapożyczonych amerykańskich tradycji cieszących się coraz większą popularnością na Wyspach była próbna kolacja. Nie proponowałam jej moim klientkom – były to dodatkowe nerwy związane z usadzeniem gości, w momencie gdy większość panien młodych nie potrzebowała dodatkowej dawki stresu lub planu usadzenia gości, lub większej ilości czasu z najbliższą rodziną. Ale jeśli zdarzała się klientka, która albo była Amerykanką, albo naczytała się amerykańskich stron poświęconych ślubom, to mogliśmy zaoferować cudowną kolację w prywatnej jadalni. Nie ukrywam, że podwyższało to mój wypracowany dochód. Wyciszało też możliwe rodzinne wrzenie na długo przed przybyciem zatrudnionego fotografa.

Stephanie Miller była jedną i drugą: bostońska panna młoda, która zdania zaczynała od „widziałam niesamowitą rzecz w Internecie...” albo „Rosie, nie chciałabym sprawiać problemu, ale...”. Ogólnie rzecz biorąc, wołałam zdania „internetowe”; przynajmniej chodziło w nich o coś, co

istnieje naprawdę, w przeciwieństwie do własnych inwencji Stephanie, możliwych tylko w filmach. Robiłam, co mogłam. Jak zawsze.

Jeśli uwagi Stephanie nie zaprzętały dokładne wymiary pralinek podanych na spodkach filiżanek albo wykonanie papierowych postaci wszystkich gości z ich zdjęciami zamiast twarzy, by mogła „wyobrazić sobie ich rozmowę przy stole”, zajmowała się fuzjami i przejęciami firm w jednej z amerykańskich korporacji prawniczych. Z łatwością wyobrażałam ją sobie w pracy. Wiedziała, czego chce, dotyczyło to także osoby jej przyszłego męża, angielskiego Richarda, przystojnego, łysego businessmana, gracza w golfa, którego firmę trzy lata wcześniej przejęła jej firma.

– Wiedziałam, że jesteście dla siebie stworzeni, jak tylko zobaczyłam Richarda po drugiej stronie stołu podczas omawiania procesu likwidacji – powiedziała na naszym pierwszym spotkaniu osiemnaście miesięcy temu. – I nie uwierzysz, on powiedział dokładnie to samo! To było najbardziej przyjacielskie przejęcie firmy w ludzkości!

Richard nie powiedział wiele. Należał do silnych, milczących mężczyzn, co pasowało idealnie do Stephanie, ona mówiła za nich dwoje. Zawsze trzymali się za ręce, a raz – na degustację weselnego tortu przyjechali w pasujących do siebie ubraniach do golfa. Widywałam Stephanie regularnie i w mojej własnej skali Ile Ze Sobą Wytrzymają dawałam im mocne osiem na dziesięć za zgodność.

Dzisiaj po raz pierwszy spotykały się ze sobą obie rodziny, druhny i świadkowie. Zaproponowałam kolację w prywatnej jadalni hotelu na kilka dni przed ślubem – kalendarz przygotowań ślubnych Stephanie nie przewidywał wcześniejszej możliwości – tak na wszelki wypadek, chociaż tym razem nie widziałam ani jednej „deszczowej chmury” na ślubnym niebie.

Byłam tak pewna wszystkich przygotowań, że jak tylko powitałam Stephanie i Richarda i zaprowadziłam ich do pozostałych gości zaproszonych na drinka, pozwoliłam Laurence’owi „porwać mnie” na pół godziny, by wytłumaczyć mu, jak działa drukarka w jego gabinecie. Gdy

ta radośnie wypluwała wyniki badań (próbowałam nie patrzeć), impreza była pod kontrolą Gemmy i obsługi baru.

– Czy wszystko w porządku z Millerami? – zagadnęłam Gemmę przechodzącą z tacą kanapeczek. Co prawda miałam przy sobie teczkę z końcowymi ustaleniami, w razie gdyby Stephanie chciała coś omówić, ale z założenia miał to być relaksujący wieczór. Przyjemna część przygotowań ślubnych.

– Wszystko w porządku.

– Zadowoleni z pokoi? Dostali paczuszki „Witamy w Londynie”, które dla nich zostawiłam? Razem z biletami komunikacji miejskiej?

– Byli zachwyceni. Pani Miller chciałaby ci później osobiście podziękować.

Promieniałam:

– Dobrze, a Hendersonowie?

– Piją wodę, jakby nie widzieli jej od tygodni, ale może to przez to, że drużbowie zaczynają przebąkiwać o wieczorze kawalerskim.

– Lepiej tam pójde – powiedziałam. – Nie chcę, by myśleli, że ich porzuciliśmy!

– Nie martw się, Joe ma wszystko pod kontrolą.

Zatrzymałam się z ręką na klamce:

– Joe? Nie wiedziałam, że Joe miał być na dzisiejszym przyjęciu.

Gemma przybrała minę męczennicy:

– Ty poszłaś coś załatwić, a ja musiałam zająć się kanapeczkami, a on akurat przechodził, więc go zagadnęłam i...

– Byłam tylko w gabinecie Laurence’a, Gemmo! Dlaczego nie przyszłaś do mnie? – ręce zaczęły mi się pocić.

– Drzwi były zamknięte! A ja musiałam dać Helen znać, że matka Stephanie jest na nowej diecie i nie może jeść niczego, co przygotowaliśmy, a ty powiedziałaś, żeby nie zostawiać przyjęcia bez opieki, w razie gdyby czegoś potrzebowali, więc... poprosiłam Joego, by

tam poszedł i miał na nich oko.

Zacząłam szybko myśleć. Joe był obecny po południu, na pierwszej części próby – kto gdzie stoi, kto co mówi, kto komu co podaje, kiedy zaczyna się muzyka, tego typu sprawy. Zaczął być sceptyczny, kiedy Stephanie chciała przećwiczyć moment pierwszego pocałunku, by wyszedł idealnie na filmie i łysa głowa Richarda nie wyglądała niekorzystnie, odbijając światło. W tym momencie wysłałam go do kuchni po aktualne informacje dotyczące kolacji. Nie wrócił do piątej, więc założyłam, że się zmył.

– Nie martw się, wie, kto kim jest – kontynuowała. – I świetnie się odnajduje.

– Naprawdę?

Spojrzała na mnie jak na głupią:

– Jest synem Laurence’a! I ewidentnie ma duże doświadczenie w radzeniu sobie z amerykańskimi matkami. Gdy wychodziłam, ciotka Stephanie zapytała go o Downton Abbey, a on perorował o szkole z internatem.

– I to wszystko?

– Jadła mu z ręki. Nie dosłownie. – Gemma zerknęła na mnie, mrużąc oczy. – Nie wiem, czemu się go czepiasz. Jest w porządku.

Udobruchana, pchnęłam drzwi i moim oczom ukazała się scena daleko odbiegająca od tego, co tworzyłam od tygodnia.

Co prawda szampan znajdował się w srebrnych kubekach, a muzyka Elli Fitzgerald wypełniała niezręczną ciszę, ale gdy patrzyłam na napięte twarze gości, wszystko przypominało bardziej pogrzeb niż przedślubną imprezę.

Joe stał przy drzwiach, rozmawiając z Zarą, jedną z druhen o plakietkach z imionami, czymś, co wymyślił na próbie i nie chciał odpuścić.

– ...ale to ma sens, jak inaczej zapamiętasz te wszystkie imiona. O, cześć, Rosie.

– Cześć, Rosie. Widziałaś Stephanie? – powiedziała Zara, patrząc na mnie bardzo wnikliwie. A coś w jej głosie mnie zaalarmowało.

– Nie, jeszcze nie – odpowiedziałam najspokojniej, jak mogłam. – Czemu? Ma na sobie tę przepiękną sukienkę, którą oszczędzała na ten wieczór?

– Yyy, nie – odpowiedziała. – Zniknęła z dziesięć minut temu i nikt nie wie, gdzie jest. Nie ma jej w pokoju. Joe widział ją ostatni.

Obie spojrzałyśmy oskarżająco na Joego, który częstował się kanapeczkami, jakby był gościem.

– Co? – spytał z pełnymi ustami.

– Joe? – powiedziałam przymilnie, prowadząc go w kąt sali. – Czy mogłabym cię porwać na sekundkę, by omówić sprawę... obiadu?

Straciłam przymilny ton, gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu gości:

– Gdzie Stephanie? – wysyczałam. – Wszystko z nią w porządku? Ktoś jej coś powiedział?

I przez „ktoś” mam na myśli „ciebie”.

Pokręcił głową:

– Nie wiem. Wszystko było w porządku, gdy nagle...

– Gdy nagle co?

– Gdy nagle zaczęła wyglądać, jakby ją zemdliło. Jakby była chora? Najadła się grzybków halucynogennych? – powiedział, jakby go olśniło. – O rany. Ona lubi takie rzeczy?

– Nie! Oczywiście, że nie! – zapiszczałam. Alarm – kolor czerwony. Załamanie. – Stephanie jest prawnikiem w korporacji!

– To nic nie znaczy. – Joe uniósł brwi. – Nie uwierzysz, jakich ludzi zabierałem na festiwal Burning Man. Niektórzy z nich byli...

– Nie mów. – Podniosłam ostrzegawczo rękę. – Nie mam czasu denerwować się przez ludzi, których nie znam.

Przeczesałam wzrokiem salę z hollywoodzkim uśmiechem

przyklejonym do twarzy. Nie przypuszczałam, że Stephanie brała cokolwiek mocniejszego niż koktajl z witamin i suplementów, który wlewała w siebie od roku, ale... może kanapeczki? Czy coś mogło być w kanapeczkach? Któryś z kucharzy opowiadał ostatnio, że wybiera się na festiwal grzybów we Francji. Ale on nigdy... Na pewno Kevin nie pozwoliłby...

Poza zaniepokojeniem na twarzach gości nie mogłam dostrzec żadnych oznak mdłości.

– Chociaż, może ja... – zaczął Joe.

Natychmiast obróciłam głowę:

– Co? Powiedziałaś coś Stephanie?

– Nic ważnego!

– To nie mogło być nic ważnego – zasyczałam z furją. – To musiało być coś ważnego.

Joe podniósł ręce i zaraz je opuścił, jakby nie pamiętał nawet, o czym rozmawiali. Cały czas świdrowałam go wzrokiem, dopóki się nie poddał i nie powiedział: – Ja tylko spytałem ją, gdzie planuje spędzić swoją podróż poślubną.

– Swoją podróż poślubną – powtórzyłam wolno i spokojnie. – To, gdzie planują spędzić ich podróż poślubną?

– Jadą na jakąś nudną wycieczkę po Florencji, coś ze sztuką. A ja powiedziałem, że do Florencji zawsze mogą pojechać, a to jest jedyna szansa, by przeżyli razem przygodę! Dlaczego by nie pojechać na jedną z prywatnych plaż w Ko Samui i tańczyć boso na plaży, pływać nago w oceanie o północy, pojechać w rajdzie przez pustynię czy zrobić coś innego, czego się nigdy nie robiło. Stworzyć własną historię. Pożyć trochę.

– I? – Miałam dziwne uczucie w piersi, jakbym jednocześnie tonęła i unosiła się nad ziemią, jakby zderzały się w niej ołowiane motyle. Stephanie była klasyczną tradycyjnistką, moją idealną bonnevillską panną młodą z „rodzinnym sznurem pereł i w starych koronkach”.

Uwielbiała stare rzeczy, takie jak Florencja. – Nie powiedziała ci, byś przestał być podstarzałym hipisem, że Florencja ma w sobie coś niesamowitego?

– Nie, odpowiedziała mi, że jeszcze nigdy nie pływała nago, no to ja powiedziałem: „Poważnie, kobieto, powinnaś, jest niesamowicie”, a ona na to, że Richard nie jest typem, któremu by to się spodobało, ale...

– I, i? – Szaleńczo pospieszałam go rękoma. Rodzice Stephanie, dwóch друзbów i główna druhna, wszyscy mieli w rękach telefony, esemesowali i chmurzyli się jednocześnie. Czy zakaz telefonów to byłaby dyktatura? Czy to byłoby bardzo źle przyjęte, gdybym żądała, by wszyscy wkładali telefony do pudełka, które potem zamykałabym w moim gabinecie?

Joe zerknął na mnie:

– No i Stephanie przyznała się, że sprawdzała, czy mogliby popływać z delfinami, bo zawsze o tym marzyła, ale Richard powiedział, że to byłby wyzysk delfinów – z czym się akurat zgadzam, w każdym razie zapytałem: „Nigdy nie możesz wybrać, gdzie pojdziecie na wakacje?”. A ona, że nie. No i wtedy zamilkła.

Gapiliśmy się na siebie, a ja walczyłam z chęcią uduszenia go.

– Świetnie. A pięć sekund później ona wypada z pokoju i nikt nie wie, gdzie jest – wysyczałam. – Jesteś pewien, że to wszystko, co jej powiedziałaś?

– Mogłem jeszcze... spytać, czy jest pewna, że chce resztę życia spędzić z kimś, kto uważa, że pływanie z delfinami jest niehigieniczne – przyznał Joe niechętnie, ale i z samozadowoleniem.

Wsadziłam mu teczkę w rękę i wybiegłam z pokoju. Nie obchodziło mnie, czy ktoś mnie widział czy nie, jedyne, co widziałam, to walące się powoli, jak wielopiętrowy tort, wesele za czterdzieści tysięcy funtów.

Rozdział ósmy

Damskie toalety Bonneville były bardziej eleganckie niż w większości innych hoteli. Ściany każdej z nich wykończono ręcznie malowaną tapetą i w każdej pachniało świeżymi kwiatami. Ta na dole, niedaleko spa, była w delikatnym kolorze chińskiej porcelany, jej podłoga pokryta była czarno-białymi kafelkami, a umywalki wykonane były z szarego marmuru. Tuż obok puszystych ręczników stał drogi krem do rąk Joe Malone.

W dużym dekoracyjnym lustrze widziałam własną spanikowaną twarz. Twarzy Stephanie nie byłam w stanie dostrzec, gdyż siedziała zamknięta w jednej z kabin. Mogłam jednak usłyszeć, jak pociąga nosem, miałam więc jako takie pojęcie, co się tam dzieje.

– Stephanie, wszystko będzie dobrze – zapewniłam. – Naprawdę. Cokolwiek to jest, znajdziemy jakieś rozwiązanie. Obiecuję.

Gdy prawie straciłam nadzieję, zamierzając napisać do Jean, by przysłała tu z działu obsługi hotelowej z macierzyńską pierśią (i kluczem otwierającym kabiny), drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich Stephanie. Czerwone, zapuchnięte oczy i nieszczęsny wyraz twarzy nie pasowały do wytwornej sukienki z kolekcji Diane von Fürstenberg i pantofli o czerwonej podeszwie. Wyglądała na winną i przerażoną, jak mała dziewczynka.

– Wszyscy o mnie mówią, prawda? – zapytała łamiącym głosem.

– Nie, oczywiście, że nie – skłamałam. – Powiedziałam, że poszłaś sprawdzić niespodziankę. Nie powiedziałam, co nią jest – przerwałam na moment, po czym dodałam: – Nie martw się, zawsze jako niespodziankę mamy przygotowany tort.

Wargi Stephanie zadrżały, jakby zaraz znowu miała wybuchnąć łzami. Zaprowadziłam ją do maleńkiej aksamitnej sofy stojącej w rogu, posadziłam i podałam pudełko chusteczek.

– Bardzo cię przepraszam, jeśli Joe powiedział coś, co cię zdenerwowało – zaczęłam. – Nie ma jeszcze wprawy w organizowaniu ślubów i nie zdaje sobie sprawy, jakie to stresujące. Stephanie pokręciła głową:

– Nie zdenerwował mnie. – Zacerpnęła powietrza i przykryła dłonią usta, potem zacisnęła wargi. – Joe powiedział coś, co uzmysłowiło mi, że sama o tym myślałam od dłuższego czasu.

Nie wiedziałam, jak na to zareagować, nie mogłam sobie wyobrazić, że ktoś taki jak Stephanie może nie móc wyrazić swoich myśli. Była jednym z niewielu znanych mi ludzi, którzy wyrażali się jasnymi, prawnie wiążącymi zdaniem. Trudno było pomyśleć, co Joe mógł odblokować w jej niezwykle ułożonej głowie.

– Chodzi o Richarda. – Stephanie spojrzała na mnie rozmazanymi oczami i musiałam się powstrzymać, by nie wzdrygnąć się, widząc w nich panikę. – Jest nudny.

– Richard? Nie, nie jest nudny – zaczęłam, ale złapała mnie za rękę.

– Jest. Jest naprawdę cholernie nudny. Oboje jesteście nudni. Jesteście nudną parą! Próbowałam to lekceważyć, ale coś, co powiedział Joe, zmusiło mnie do zastanowienia. Jak nudny musi być facet, który chce spędzić miesiąc miodowy w galeriach? Co za facet nie chce pływać nago ze swoją dziewczyną – ze względów higienicznych? – podnosiła głos coraz wyżej.

– Cóż, nie jestem pewna, czy mój chłopak chciałby... – tu musiałam się zatrzymać.

Mogłam wyobrazić sobie Dominika pływającego nago. Pod warunkiem że byłaby to bardzo ekskluzywna prywatna plaża, oczami wyobraźni widziałam go mknącego wzdłuż niej, śmiejącego się i zrzucającego ubrania, a potem wbiegającego do wody. To ja nie miałam na to ochoty.

– Cóż – poprawiłam się – pływanie nago nie każdemu...

Stephanie wlepiła we mnie wzrok, przerażony i radosny jednocześnie i ściskając mocno moją rękę, powiedziała:

– Rosie, muszę odwołać ślub.

Te słowa przeszły mnie na wylot. Dosłownie jakby mnie dźgnęła nożem. Były ostre, zimne i bardzo bolesne. Próbowałam coś powiedzieć pomimo jej miażdżącego uścisku. Zdenerwowana Stephanie już miała uścisk panny młodej.

– Rozumiem, że czujesz się... wykończona – powiedziałam. – Za tobą bardzo emocjonujący dzień. Spotkanie rodzin, próba ceremonii... nie pozwól, by małe nieporozumienie co do miesiąca miodowego wszystko zepsuło. Ty i Richard jesteście wspaniałą parą. Będziecie ze sobą bardzo szczęśliwi.

Pomyśl o Richardzie. Czy on przeczuwa, że zamierzasz go upokorzyć przed wszystkimi, których zna? Nie powiedziałam tego na głos.

Ale Stephanie i tak nie słuchała; patrzyła w dal szklanym wzrokiem:

– Tak myślisz? A co będzie po ślubie? Czuję się trochę jak na schodach ruchomych – kwiaty, sukienka, dieta – i nie mogę zejść, zanim nie dojadę do góry. Do teraz nikt mnie nawet nie zapytał, czy wiem, co robię?

– Ale przecież byliście na naukach przedmażeńskich! – przypomniałam jej. – Coś chyba jednak tam omawialiście?

My byliśmy na naukach, ja i Anthony. Przerabialiśmy rozwiązywanie konfliktów, odgrywaliśmy świąteczne scenki z udziałem teściów, mówiliśmy szczerze o naszych emocjach i rzeczach dla nas ważnych. Ja mówiłam. On siedział cicho. Coś mnie ścisnęło. Byłam z Anthonym od przyjęcia na studiach z okazji moich dziewiętnastych urodzin, a wcale go nie znałam. Czy Anthony zgodziłby się na pływanie nago? Naprawdę nie miałam pojęcia.

Może takie pytanie powinno się znaleźć w programie nauk.

Stephanie spojrzała na mnie znużona:

– Rosie, byłaś kiedyś na naukach? Pytają cię, kto będzie wyrzucał śmieci, a nie czy jesteś pewna, że chcesz wziąć ślub. Poza tym chcą tylko odbębnić kurs, za który zapłaciłaś. – Osunęła się na oparcie sofy. – Joe był pierwszą osobą, jedyną osobą, która kiedykolwiek zadała mi pytanie, czy

jestem pewna i... nie jestem. Zamierzam to odwołać.

Gdy tylko to powiedziała, mój mózg podzielił się na dwie połówki – jak na filmach, gdy dzielą ekran, by pokazać dwie sceny naraz. Jedna część panicznie próbowała ratować ślub, uspokoić klientkę i wrócić do harmonogramu.

Druga zastanawiała się, czy Anthony też rozmawiał z jakimś Joem dzień przed naszym ślubem. I jeśli tak, co było punktem krytycznym. Nigdy nie powiedział, że coś jest nie tak.

Myśli szaleńczo przepływały mi w głowie jak superkrótkie napady bólu głowy. Poszło o miesiąc miodowy? Miał być w Nowym Jorku. Czy to nudne? Czy ja byłam nudna? Czy myśl spędzenia ze mną reszty życia sprawiła, że spanikował?

Teraz to już nieważne, pomyślałam, odpychając ból. Anthony był za granicą, miał nowe życie, ja też. I dzięki Bogu, że za niego nie wyszłam, wtedy nigdy nie poznałabym Dominika.

– Rosie? – głos Stephanie przywołał mnie do rzeczywistości. – Co ja mam zrobić?

– Nie martw się – powiedziałam automatycznie i złapałam ja za rękę. – Będzie dobrze.

Cholerny, cholerny Joe, myślałam, jak tylko moje połówki mózgu znowu się połączyły w zgodzie, obmyślając, jak uratować kolację Stephanie Miller, zanim stanie się czyjąś przerażającą anegdotą.

– Mam nadzieję, że jesteś z siebie dumny – wyszeptałam do Joego, jak tylko pan i pani Miller chwiejnym krokiem wyszli z hotelowego baru, dyskretnie podtrzymując się nawzajem – dzięki potrójnej brandy, którą wlewał w nich Dino, podczas gdy Stephanie i Richard „rozmawiali” w pokoju, który dla nich znalazłam. Oczywiście, nie był to apartament panny młodej ani też ten z widokiem na ogród, w którym mieli się pobrać w weekend. Na wszelki wypadek pozbyłam się też Gemmy, każąc jej przestawiać stare krzesła.

– Raczej zadowolony – odpowiedział, ale na jego twarzy oprócz

samozadowolenia malował się również żal, taki sam, jaki pojawiał się u Laurence'a, gdy nocna wizyta i Dr Google potwierdzały jego własną diagnozę. – Uchroniłem ich nawzajem przed potencjalnym porzuceniem u ołtarza, a ich rodziny przed potężnym opadem radioaktywnym.

– Tak ci się tylko wydaje. Bomba wybuchła i wszystko właśnie zaczęło opadać – poinformowałam go, wskazując rękami sufit. Nienawidziłam słów „porzucenie przy ołtarzu”. – W kilku pokojach dwa zestawy rodzin obwiniają siebie nawzajem, a potem sami siebie za to, że Stephanie stchórzyła. Kilkoro najlepszych przyjaciół kłóci się o to, czy miała kogoś na boku czy nie. Pan młody zastanawia się, co jeszcze zrobił nie tak, bo przecież nie mogło pójść o Florencję. A tymczasem ja próbuję zgadnąć, czy ślub się jednak odbędzie? Bo to ważna rezerwacja, w szczytowym momencie sezonu ślubnego! I nie chodzi tylko o ślub, ale o pokoje dla gości, zamówienia w barze, dodatkową obsługę...

– Wolałabyś, żeby wyszła za kogoś, kogo nie kocha? – Joe wyglądał na zdziwionego. – Dla dobra twoich wyników finansowych?

Splonęłam rumieńcem. To było dokładnie to, co miałam na myśli... a zarazem wprost przeciwnie.

– Nie! – powiedziałam, biorąc głęboki oddech. Joe był jednak synem szefa, nie powinnam więc mieszać w to moich prywatnych doświadczeń. – My naprawdę serio traktujemy organizację ślubów w Bonneville. Dokładamy wszelkich starań, by spełnić marzenia państwa młodych, ale ich ślub ciągle pozostaje dla nas usługą, którą świadczymy. Mieszanie się do ich związku nie należy do naszych obowiązków. Zapewniamy gościnność, nie amatorską psychoterapię. To nie jest nasza sprawa. Dobranoc! – dodałam radosnym tonem, gdy mijała nas para gości Stephanie, próbująca przekraść się obok nas na chwiejnych nogach i dotoczyć do windy. Jego ręka na jej tyłku sugerowała, że nie obchodziło ich, co się dzieje wokół. Drużba podskoczył i drużna na niego wpadła. Joe i ja uśmiechnęliśmy się jednocześnie, a oni pomachali nam, mamrocząc coś pod nosem.

– Mieszanie współczucia i whisky to niebezpieczna sprawa –

wymruczał Joe, ciągle się uśmiechając.

– Tak samo jak szpilki na hotelowej wykładzinie – dodałam.

I opłacone pokoje, i atrakcyjni przyjaciele w czarnych krawatach, pomyślałam. Cóż, jeśli nie mieliby mieć szansy na małą pijacką niedyskrecję na weselu...

– Dobranoc! – Pomachał Joe, po czym odwrócił się do mnie z zachmurzonym czołem i dużo mniej przyjaznym tonem powiedział: – Wyjaśnijmy sobie coś. Naprawdę jesteś takim biznesowym robotem, że bardziej zależy ci na dochodzie niż na szczęściu ludzi obiecujących sobie wspólne życie?

– Nie jestem biznesowym robotem – zaprotestowałam. – Zakładasz, że nie współczuję biednemu Richardowi, który nie ma pojęcia, o co chodzi Stephanie, a i tak musi poinformować wszystkich, których zna, że ślubu nie będzie. Nie znasz ich, a ja tak! Są idealnie dobraną parą.

– Jak widać nie – wypalił. – I dlaczego biednemu Richardowi? Chyba lepiej odwołać to wszystko, niż skazać go na życie z żoną, która go nie kocha, ale z nim jest, bo nie miała odwagi mu tego powiedzieć? Jeśli o mnie chodzi, uważam, że to powinno należeć do obowiązków organizatora ślubów – sprawdzenie, czy oboje wiedzą, czego chcą.

Nóż wrócił, ostra stal pod żebrami, pozbawiając mnie oddechu i zdrowego rozsądku. Na wpół zapomniany ból sprawił, że wypowiedziałam pierwsze słowa, jakie przyszły mi do głowy.

– A co cię to obchodzi?

– Czasem obcemu łatwiej być szczerym – odpowiedział z powagą, robiąc minę jak Bono. – Rosie, w życiu trzeba być szczerym. Tak, to czasami jest bardzo trudne, ale i tak lepsze od rozwodu po roku małżeństwa.

– A co ty niby o tym wiesz? – wypaliłam. – Mnóstwo ludzi ma przedślubne przejścia. Wszystkie panny młode są rozchwiane przed ślubem! Tak się dzieje, gdy wydajesz cztery tysiące funtów na sukienkę – to mija.

– To takie angielskie – prychnął. – Ani słowa o uczuciach. Przełknij to. To minie. Jakby miłość była jakimś wirusem.

– Wirusy są na zawsze – zachnęłam się. – Ty masz na myśli przeziębienie.

Ustąpiłam miejsca pokojówce przechodzącej ze srebrną tacą obsługi hotelowej. Uchyliła się, przechodząc, jakbym miała ją uderzyć.

– Widzisz to? To jest cudowna kolacja zamówiona do pokoju – powiedziałam, wskazując na cudownie pachnący posiłek, zanim Joe mógł skomentować. – Poprosiłam kuchnię, by wysłali coś specjalnego do Stephanie i Richarda. To naprawdę fajna kolacja na osłodę sytuacji. Nie mów, że jestem nieczuła, bo nie jestem. Bardzo zależy mi na tym hotelu i wszystkich tutaj. Bardzo.

Wyszło bardziej emocjonalnie, niż chciałam. Joe miał minę, jakby miał zapytać, czy doliczyłam im to do rachunku, ale mój wzrok ostrzegł go, że to nie najlepszy pomysł. I bardzo dobrze. Wkurzało mnie, że może mieć tak niskie mniemanie o moich priorytetach.

Przeczesał dłonią swoje gęste, jasne włosy.

– To był długi dzień – powiedział.

– Tak – przytaknęłam i niezręczna cisza zaległa pośród nas. Joe wydawał się zły, ale chyba nie na mnie. Ja gotowałam się w środku, ale nie z jego powodu.

Chociaż nie – byłam na niego wkurzona. Jeśli Joe miał zamiar bawić się w domorosłego mediatora z każdą klientką, nie wytrzymam w tej pracy nawet do sierpnia, nie mówiąc już o osiągnięciu celów.

Jeszcze tylko kilka tygodni, powiedziałam sobie. A potem przekażę go Helen albo Dinowi i będzie mógł się mądrzyć na temat zawartości tłuszczu w tiramisu albo dawać rady na temat serwowania lekkich drinków gościom mogącym wyglądać na alkoholików.

Był tylko jeden problem – zaplanowane spotkanie z Florą Thornbury i jej mamą. Za żadne skarby nie chciałam być na nim z Joem z jego „szczerością” na temat jej byłych chłopaków albo prawdziwych uczuć do

milionera i seryjnego narzeczonego Milo.

(Tak, poszperałam trochę).

Już miałam mu powiedzieć, bardzo spokojnie, że od tej pory musi się trochę wstrzymać ze swoimi komentarzami, gdy rozbroił mnie niesamowicie czarującym uśmiechem. Nie widziałam go wcześniej takim i szalenie mnie to zaskoczyło.

– Co powiesz na drinka w barze przed snem? – zaproponował. – Odprężmy się trochę. Wydaje mi się, że tata Richarda ciągle tam jest. Chyba potrzebuje towarzystwa, a wszystkie druhny poszły spać.

Ta nagła zmiana nastroju mnie poraziła. Podczas gdy Joe wydawał się zrelaksowany, we mnie wciąż jeszcze buzowało. Jak on mógł tak szybko ochłonąć?

– Muszę iść do domu – powiedziałam. – Porozmawiamy o tym jutro rano.

– A nie mamy tego już za sobą? – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się zachęcająco. – Zrobione. Zrozumiałem. Takt. Być bardziej angielskim. Iść dalej. Chodź, napijemy się.

– Prawie północ.

– A co się stanie o północy? – Postukał się w głowę. – Zamienisz się w dynię? Nie, czekaj, to musi być coś hotelowego, co nie? Zamienisz się w wózek obsługi hotelowej?

Chciałam być przyjacielska tak jak on, ale nie mogłam. To całe rozprawianie o porzuceniu przed ołtarzem otworzyło starą ranę i teraz nie mogłam pozbyć się goryczy w głosie. Nie lubiłam, gdy sprawy przybierały taki obrót. Zmusiłam się, by powiedzieć:

– Nie, muszę zobaczyć się z moim chłopakiem. Muszę z nim omówić pewną sprawę. Spotkamy się rano. Jutro mamy pierwsze spotkanie z parą, która przychodzi rozeznąć się w sprawie ślubu... – przerwałam, nie chcąc zadzierać nosa, chociaż pewnie tak zabrzmiało.

– I chcesz, bym siedział cicho? – zakpił.

– Nie! Tylko... pomyśl o tym jak o prezentacji eventu – powiedziałam.

– Nie ślubu. Skomplikowanego, drogiego, eleganckiego przedsięwzięcia. Z dwojgiem ludzi i wzruszającą ceremonią w centrum uwagi.

– Tylko tyle to dla ciebie znaczy? Przedsięwzięcie? Jak podpisywanie umowy kredytowej, ale przy grupie znajomych? – podpuszczał mnie, ale nie byłam w nastroju do żartów. Wiedziałam już, czemu Stephanie miała przy nim emocjonalne torsje. W Joem było coś prowokującego, wyzywającego i jednocześnie destabilizującego. I nie chodziło tylko o to, że był zabójczo przystojny – to musiałam mu przyznać – ale że był... szczerze zainteresowany. Był jak świeże wiosenne powietrze wypełniające pokój. Orzeźwiający, ale też, no cóż...

– Tak. Wyjątkowe przedsięwzięcie wymagające zaangażowania wielu ludzi. – Uniosłam głowę. – Romantyzm zostawiam szczęśliwym nowożeńcom. My koncentrujemy się na pozostałych rzeczach. Tak jest łatwiej.

– Naprawdę? – zapytał miękkiem głosem, jak gdyby mi nie wierzył.

Przez kilka naprawdę długich chwil patrzyliśmy na siebie. *Nie* – pomyślałam – *nie naprawdę, NAPRAWDĘ*. Ale nie miałam siły, by mu to teraz tłumaczyć. Nie po takim dniu jak dzisiaj. Więc nic nie powiedziałam, używając taktyki radzenia sobie z trudnymi sprawami personelu, której nauczyła mnie jego matka. Laurence jej nie znosił.

Joe chyba też był nią poirytowany. Zamrugnął i przeczesnął ręką włosy po raz kolejny, po czym zakasnął.

– OK – powiedział z cierpkim półuśmiechem. – To widzimy się rano.

Zdobyłam się na uśmiech. Idąc wzdłuż korytarza do mojego biura po torbę, czułam jego wzrok na plecach, musiałam skoncentrować się bardziej niż zwykle, by nie zahaczyć obcasem o grubą wykładzinę hotelu.

Rozdział dziewiąty

Obudziłam się rano z pulsującą migreną, po serii dwóch zbyt obrazowych snów, w których naga Stephanie Miller porzucała mnie przed ołtarzem. Pozostali goście też byli nadzy, oburzeni, że nie wspomniano o tym na zaproszeniach, a ja czułam się temu winna. Z ulgą otworzyłam oczy i zobaczyłam Dominika chrapiącego obok mnie. Chrapiącego, śmierdzącego wódką i czosnkiem, ale obok mnie.

Wstałam, zostawiając go w łóżku. Robiąc sobie śniadanie, co chwilę sprawdzałam telefon, w razie gdyby Stephanie lub Richard chcieli się ze mną skontaktować. Ale milczał. Nie było ani wiadomości na pocztce, ani esemesów. Pomimo tego, co powiedziałam Joemu na temat ślubów „jako przedsięwzięć”, czułam się strasznie, myśląc o biednej Stephanie i biednym Richardzie. I czułam się jeszcze gorzej, myśląc o tym, że to ich odwołanie wesela wyrwie dziurę w Ślubimarzu i zaszkodzi moim celom, nawet biorąc pod uwagę kary za odstąpienie od umowy.

Stałam, patrząc się tępo na czajnik, mając przed oczami zboląłą minę Stephanie. Pierwszy raz od wieków – w ogóle pierwszy raz – byłam rozdarta pomiędzy pójściem do pracy, by uprzątnąć ten bałagan, i brakiem chęci, by tam pójść, z tego samego powodu.

Kiedy Dominik pojawił się wreszcie, wyglądając rozpustnie w szlafroku, który dostał od swojej mamy na Gwiazdkę, przewrócił oczami, widząc moje próby równoczesnego jedzenia owsianki, sprawdzania telefonu, łykania ibuprofenu i robienia makijażu.

– Czy nasze nowe mieszkanie – zaczął, nalewając sobie kawy – będzie miało specjalny pokój, w którym będziesz mogła odstawić tę swoją poranną panikę? Przez ciebie czuję się, jakbym zapomniał nauczyć się do egzaminu.

– Chyba znowu przeceniasz nasz budżet – odpowiedziałam, mrugając oczami, by tusz szybciej wysechł. – Możemy sobie pozwolić tylko na trzy

oddzielne pomieszczenia. Poza tym tak rzadko widzę cię rano, że mogę sobie pozwolić na rozkoszowanie się taką chwilą intymności.

– Ależ kochanie, ja również. Dlaczego skończyły się otręby? – Dominik otwierał i zamykał wszystkie szafki kuchenne po kolei. – A nie, poczekaj! Jadłaś moją marmoladę na specjalne okazje?

– Myślałam, że to zwykła marmolada. – Ciągle żadnych wiadomości. Czyżby Stephanie i Richard wyjechali z hotelu? – Przepraszam.

Dominik zaczął zrzędzić pod nosem. Dbał o swoje terytorium, gdy chodziło o jego szafki w kuchni, dolne i górne półki w łazience. Pewnie wyniósł to ze szkoły z internatem. Liczyłam, że to się zmieni, gdy przeprowadzimy się do nowego mieszkania i zaczniemy nowe życie z naszymi szafkami, chociaż nie mogłam pozbyć się wrażenia, że Dominik wpadnie do nowego mieszkania, przejmując te największe.

– Ale nie krępuj się iść na zakupy – dodałam. – Możesz kupić, co tylko chcesz.

Wymruczał coś z siebie, co mogło oznaczać „ale ty lepiej sobie z tym radzisz”.

– Jesteś w domu dziś wieczorem? – zapytałam, gdy usiadł przy barku śniadaniowym z kawą i odgryzł kawałek mojego tosta.

– Yy, nie. Muszę popracować.

– Chcesz, żebym z tobą poszła? Dzisiaj kończę troszkę wcześniej.

– Co?! – zapytał przerażony. – Jezu nie, nie marnuj nocy. To tylko nudny wypad na drinka. Wykorzystaj to, że masz chwilę dla siebie. Weź długą kąpiel, obejrzyj film. Zrelaksuj się.

Zerknęłam na niego z za mojej kawy:

– Ale ja chciałabym pójść z tobą i poznać twoich znajomych z pracy.

To była prawda; przez moje głupie godziny pracy rzadko miałam okazję poznać znajomych Dominika, ale ci, których już znałam, byli świetni. Dodatkowo Caroline zawsze przekonywała mnie, bym wyrabiała sobie kontakty spoza branży hotelarskiej, by zwiększyć szansę rezerwacji korporacyjnych w hotelu, a w pracy Dominika pełno było nie tylko

dziennikarzy, ale i innych popularnych typów z Hoxton – hipsterów posiadających własne pączkujące galerie sztuki czy fundacje dobroczynne – czyli wszystko, co można połączyć ze słowem „eventy”.

– Uwierz mi, nie chciałybyś – powiedział wymijająco.

– Wstydzisz się Betty? – Zrobiłam nadąsaną minę. – Powiedziałaś im, że jestem wysoką blond modelką reklamującą bieliznę? Martwisz się, że nie będę tak samo śmieszna w prawdziwym życiu? Czy – przytknęłam palec do policzka jak Scooby Doo – jest więcej niż jedna Betty?

– Nie bądź śmieszna – odpowiedział. – Jak myślisz, ile posiłków może zjeść jeden człowiek w ciągu tygodnia?

Zaśmiałam się i już miałam go zapytać, czy ma ochotę na więcej tostów, gdy mój telefon w końcu zabrzączał dźwiękiem otrzymanej wiadomości, którą natychmiast musiałam przeczytać.

Była od Stephanie:

Wyjeżdżamy. Ślub odwołany. Musimy wszystko przemyśleć. Będziemy w kontakcie. Dzięki za wszystko. Pozdrawiam, S.

– O cholera – wyszeptałam. Zimna dłoń złapała mnie za serce. Niby to dla ich dobra. A mnie to nie dotyczy, ja byłam tylko ich organizatorem. Ale straciłam właśnie duże wesele. Nie tylko dla mojego działu, ale również dla baru, rezerwacji noclegów – wszystkich. Laurence będzie oczekiwał wyjaśnień.

– Co się stało? – Dominik próbował wyczytać coś z mojej przerażonej twarzy. Byłam mu wdzięczna, że nie próbował obrócić tego w żart.

– Chyba będę musiała iść dzisiaj na drinka – powiedziałam. – Ta para od próbnej kolacji, o której ci opowiadałam? Odwołała ślub.

– O Boże, Rosie, tak mi przykro – powiedział. – To nie twoja wina. Zanim zaczniesz mi wmawiać, że tak.

– A nie? – zapytałam drżącym głosem. – Nie powinnam... zauważyć, że coś jest nie tak?

– Nie! – wykrzyknął. – Ty musisz zadbać, by wino nie śmierdziało korkiem, a druźbowie nie byli narąbani. Wszystko inne zależy od nich samych. I klient ma zawsze rację, pamiętasz?

Uśmiechnęłam się, ale cała się trzęsłam. Co na to powie Joe? Pewnie będzie zadowolony. A ja? Tego niestety nie wiedziałam.

– Jak ja będę wyglądać w oczach Laurence’a po czymś takim? – głos mi się załamał. – Dyrektorzy nie tracą ważnych rezerwacji jak ta w ostatniej chwili, prawda?

– Chodź do mnie. – Wyciągnął ramiona, a ja przytuliłam się mocno, wdzięczna za kojącą chwilę pachnącą zaspanym facetem i moim dobrym żelem pod prysznic. – Zostań dzisiaj wieczorem w domu i porozpieszczaj sama siebie. Zamów coś do jedzenia. I słuchaj, dzisiaj na tym spotkaniu widzę się z asystentką dyrektora. Nie mają jeszcze miejsca na przyjęcie bożonarodzeniowe – powiem im, że mogę im załatwić świetną umowę z pewnym bardzo szykownym hotelem, który znam.

– Mógłbyś? – Rozchmurzyłam się troszkę. – To by pomogło.

– Nie ma problemu – odsunął się ode mnie i poszedł po swoją kawę. – Możesz podziękować mi w formie specjalnej marmolady.

– Wpadnę do Fortnum’s^[3] po drodze z pracy. – Chwyciłam torbę i złapałam marynarkę. Dzień zaczął wyglądać trochę lepiej.

– Kocham cię – powiedziałam i pocałowałam go w głowę, wychodząc.

– Nie zapomnij o marmoladzie – odpowiedział. Nie było tam słowa „kocham”, ale czułam zbyt dużą ulgę, by się tym przejmować.

Byłam zdecydowana nie dopuścić, by przejścia zeszłej nocy wpłynęły na dzisiejsze spotkanie, zaplanowane na popołudnie: Polly Stewart i Dan Clayton, cudowna para, z którą spotkałam się już kilkakrotnie. Polly idealnie pasowała do stylu Bonneville: zakochana w sukniach w stylu vintage, starych filmach i odpowiednich butach. Tematem uroczystości miało być Śniadanie u Tiffany’ego; długa, prosta sukienka dla niej, druhny w turkusach i sznury pereł oplecione wokół tortu. Gdyby Polly mogła wybrać opcję ślubu w czarno-białym świecie, pewnie by wybrała.

Joe stawiał się na spotkaniu w świeżej koszuli i z jeszcze świeższym nastawieniem. Nie wiedziałam, czy Laurence z nim rozmawiał, czy nie albo czy podziękowało to, co powiedziałam mu wieczorem, ale wydawał się zdeterminowany, by się nie wtrącać, robić notatki i uśmiechać życzliwie od czasu do czasu niczym dobroduszny ksiądz.

Jedyną małą przeszkodą była nieoczekiwana prośba Dana, by pierwszy taniec był przy *Perfect Day* zamiast *Moon River*, jak to w sekrecie planowała Polly.

– To moja ulubiona piosenka – zajęczał Dan, gdy zaczęłam dyplomatycznie wydawać dźwięki typu: „Czy jesteś pewien?”. – To klasyk!

Spojrzałam na Polly, która ewidentnie się z tym nie zgadzała.

– To dość... melancholijna piosenka – powiedziałam. – Dość smutna.

– *Perfect Day*? A co w niej smutnego?

– To może swingowa wersja? – zasugerował Joe, budząc się do życia po raz pierwszy tego dnia. – Najlepsze połączenie jednego i drugiego. Pozytywna i klasyczna zarazem!

Polly była przerażona. Dan też, gdy zrozumiał, o co chodzi.

– Myślę, że powinniśmy trzymać się tego, co postanowiliśmy wcześniej – powiedziałam zdecydowanie. – *Moon River* to piękny wybór. Może damy *Perfect Day* jako następny taniec... z gośćmi? Okej? Cudownie. A teraz, czy podjęliście już decyzję, gdzie chcielibyście kroić tort?

Joe już otwierał usta, by coś powiedzieć, ale zdążyłam go kopnąć pod stołem, a w tym czasie Polly zdążyła zmienić temat. Pomachaliśmy Polly i Danowi na do widzenia, stojąc na słonecznych frontowych stopniach. Oczekałam, aż wioząca ich czarna taksówka odjedzie, po czym zwróciłam się do Joego, który beztrąsko wrzucał w siebie pozostałe po spotkaniu słodycze, jakby były miętówkami z baru, a nie ręcznie robionymi pralinkami.

– Zanim zaczniesz czepiać się rzeczy, których nie powinienem był powiedzieć – zaczął, widząc moją minę. – Co to było tym razem? Już

nawet nie mogą sami wybrać własnego pierwszego tańca?

– Tak na marginesie – powiedziałam najbardziej łagodnie, jak umiałam – mógłbyś zadać sobie trud i przeanalizować listę piosenek, które rekomendujemy jako pierwszy taniec.

– My rekomendujemy? A to nie jest jedna z tych rzeczy, którą pary wybierają na wiele lat wcześniej?

– Cóż, tak, ale czasami to, co wydaje się w porządku, gdy siedzisz na kanapie, nie zawsze sprawdza się, gdy weźmiesz pod uwagę takie czynniki jak miejsce, zespół, moment...

– Poważnie?

– Poważnie.

Pchnęłam nasze mosiężne obrotowe drzwi, wchodząc do środka i zmierzając do mojego biura. Po kilku krokach Joe był tuż obok. Jego długie sprężyste kroki wyglądały lepiej niż moje drobiazgowość na szpilkach i w ołówkowej spódnicy. Z jakiegoś powodu to też wyprowadzało mnie z równowagi.

– Czyli wolałabyś, by wybrali odpowiedniego walca, a mi się podoba *Perfect Day*. Nie podobał się mój kompromis? Wersja dla orkiestry? Chociaż, moim zdaniem, gdyby chcieli *Firestarter* The Prodigy, powinnaś im na to pozwolić.

Zatrzymałam się przed rozmazanym obrazem, wybranym przez Ellie w trakcie jej krótkotrwałej fazy przerabiania hotelu, tuż po ślubie z panem Bentleyem Douglasem II. Skończyło się na tym, że wszystko przypominało recepcję. Wyrzuciłam wszystkie jej „dzieła”, ale to jedno przykrywało plamę na tapecie, a Laurence nie zgodził się zapłacić za remont przed powrotem z corocznego oczyszczania organizmu w Mayo Clinic.

– Jazzowa wersja o picciu sangrii z papierowej torebki przy siedzeniu w parku – w sali balowej w stylu art deco tego hotelu? – rzuciłam, nie nabierając powietrza. – Nie. To nie jest to, czego chce Polly. Zdecydowanie nie.

Joe stanął przy mnie: – Ale Dan *lubi* tę piosenkę. Założę się, że to pewnie jedyna rzecz, jaką wybrał na to wesele. Dlaczego robisz z tego taki problem?

– Bo to nie jest... wesoła piosenka.

Joe przechylił głowę i spojrzał na mnie z jedną z tych swoich kalifornijskich min: *odpowiadaj za swoje uczucia*. Czułam, że pod wpływem jego wzroku czerwienieją mi policzki. Wydawało mi się, że zagląda wprost do mojej głowy i szlag mnie trafiał, że musiałam bronić oczywistych rzeczy.

– No dawaj, powiedz to – zachęcił. – Przyznaj się, to ty nie lubisz tej piosenki.

– Nie mówię im, jaki ślub powinni mieć – wycodziłam przez zęby. – Ja po prostu staram się, by wszystko poszło dobrze. A to zaczyna się od wskazywania pewnych rozwiązań już na samym początku. Polly chce *Moon River*, bo marzy jej się walc.

Mówiąc to, wiedziałam, że wcale nie chodzi o Polly, i Dana i Lou Reeda. Chodziło o Stephanie i Richarda i ich odwołany ślub. Ale to Joe powinien o tym wspomnieć, nie ja.

– Czy Dan wie, że czekają go wkrótce lekcje walca? Czy to też zarezerwowałaś za niego?

Przełknęłam i próbowałam nie podnieść głosu:

– Wiem, że uważasz, iż jestem wariatką, która chce wszystko kontrolować, ale na tym polega moja praca, muszę jednocześnie widzieć całość i szczegóły tego obrazu. Czasami pary są tak zaangażowane emocjonalnie, starają się uszczęśliwić rodzinę czy nie przekroczyć budżetu, że pomijają ważne aspekty.

– Albo może ty jesteś zbyt zaangażowana w pilnowanie szczegółów, by widzieć ludzi? – odparł Joe. – Szczegóły są ważne, ale pod koniec dnia są tylko szczegółami. Może dobrze by było spojrzeć z boku, zapytać, czego dana para naprawdę chce i zostawić im trochę miejsca, by mogli oddychać. – Wykonał ekspansywny gest: – Ewoluuować.

Zamknęłam oczy. Kim on myśli, że jest? Egzaminatorem?

– Wydajesz się bardziej zaangażowany w organizowanie ślubów, niż byłeś kilka dni temu.

Joe wzruszył ramionami:

– Pokonałem jet lag. Czuję się bardziej ludzko. Poza tym rozmawiałem z mamą przez telefon dzisiaj rano. Chce, żebym przeprowadził się do niej do Wragley Hall, pomógł Alecowi w jakiejś budowie. Chodzi o pole do golfa? Alec zdobył licencję, by zajmować się materiałami wybuchowymi.

– Chyba sobie żartujesz? – odpowiedziałam bez namysłu. – Ktoś dał mu prawo wysadzać rzeczy w powietrze?

– Wiem. Jakby do tej pory się kogoś o to pytał. – Joe podzielał moje przerażenie. – Jak więc widzisz, wizja bycia tutaj i pomagania przy kilku ślubach stała się sprawą życia i śmierci. Dosłownie.

O to nie mogłam go winić. Zdałam też sobie sprawę, że Caroline będzie na bieżąco z naszymi relacjami za sprawą Joego. Nie chciałam źle przed nią wypaść.

– I – kontynuował już mniej buńczucznie – co do wczorajszej nocy... wyszło trochę niezręcznie. Chyba jestem ci coś winien, jakieś nadgodziny. Nie, żebym zmienił o tym wszystkim zdanie, ale... no...

– Odwołali ślub – powiedziałam krótko.

– Wiem. Słyszałem.

Gapiliśmy się przez chwilę na siebie nawzajem. Szczere oczy Joego lustrowały moją twarz, gdy ja próbowałam wziąć się w garść. Musiałam być naprawdę zmęczona, ponieważ za żadne skarby nie wiedziałam, co myślę. Tylko dziwnie się czułam. Cały ten wkład i wysiłek na nic. A co ze Stephanie i Richardem? Jak wygląda ich rozmowa w tej chwili?

– Słuchaj – powiedziałam, by odzyskać kontrolę nad sytuacją, zanim Helen albo Gemma zobaczą mnie tak roztrzęsioną. – Nie twierdzę, że to my powinniśmy decydować za pannę młodą, ale to jest tak, jak powiedziała Polly: że uspokaja ją fakt, że w tym całym zamieszaniu jest ktoś spokojny na tyle, by powiedzieć tak lub nie. Bo wiem

z doświadczenia, że żadna z zaangażowanych stron nie jest.

– Ty jesteś ekspertem – powiedział Joe i poczęstował mnie jedną z moich własnych pralinek.

Wzięłam kilka po chwili wahania. Raczej nie podjadam między posiłkami.

Były naprawdę smaczne.

Helen i Gemma czekały w moim gabinecie, dojadając zielono-fioletowe resztki makaroników po kolejnej degustacji tortu przez Grace Dewberry. Bo Grace i jej drużyny miały już dwie. Zaczynałam podejrzewać, że Gemma specjalnie dezorientuje Grace, by załapać się na kolejną rundę resztek.

– Zanim zapytasz, mnie tu nie ma – rzuciła Helen, machając makaronikiem w moim kierunku. – Jestem z dostawcą sera.

– I zanim zapytasz, ja powinnam tu być – defensywnie zaczęła Gemma. – Laurence zamknął się w swoim biurze. Przyszła do niego paczka ze Szwecji. Musiałam więc przekierować wszystkie jego telefony do ciebie. Dla ciebie też mam kilka wiadomości.

– Dziękuję, Gemmo – zaczęłam sprawdzać górę notatek. Było ich sporo. Większość od rodziców, druzhen i rodziny Stephanie Miller. Jęknęłam w duchu. To będzie wymagało wielu wyjaśnień.

– Jak tam Polly i Dan? – zapytała Helen. – Wszystko dopięte na ostatni guzik?

– Tak! To znaczy, mam nadzieję. Jak już Dan raczył pofatygować się tu po raz pierwszy, próbował zmienić melodię pierwszego tańca na *Perfect Day*.

– Uuu, smutas. – Gemma zrobiła minę. – Czemu faceci zawsze chcą *Perfect Day*?

– Nie mam pojęcia, ale chcą. Pewnie dlatego, że wykorzystują ją przy montażu *Meczu Dnia*.

– Joe był pomocny? – zapytała Helen.

– Nie, zaproponował remiks obydwu utworów, jakby Lou Reed i Frank

Sinatra byli naturalną parą.

– To nie jest taki głupi pomysł – powiedziała Helen i dodała, widząc moją minę, – Ojej...

Obróciłam się, patrząc na mój Ślubny Plan Bojowy. Widniała tam wielka dziura w miejscu, w którym jeszcze niedawno byli Stephanie i Richard. Potrzebowałam jeszcze czterech terminów zarezerwowanych do końca roku, jeśli chciałam myśleć o wynikach przedstawionych Laurence'owi. Jeszcze cztery. Ślub Thornbury był ważny, ale po stracie Millerów liczył się każdy, nawet najmniejszy.

O tym, czy nadajesz się na dyrektora, świadczy sposób, w jaki radzisz sobie z trudnościami – upomniałam siebie, przygryzając wargę. To może mi wyjść na dobre. Być może.

– Czy Joe powiedział ci, czym się zajmował w Kalifornii? – zapytała rozmarzona Gemma. – Mnie opowiedział o przejażdżkach jeepem o północy, które organizował w Parku Narodowym Joshua Tree. Gdy wyjeżdżali po zmroku, pod gwiazdami, podążając starym szlakiem poszukiwaczy złota i...

Uderzyłam otwartą dłonią w blat stołu, aż podskoczyła:

– Przepraszam. Ale nie zaczynaj. Nie jestem w nastroju na opowiadki o Joem. Dziś rano znowu musiałam wysłuchiwać, jak narzekał Polly i Danowi na to, jak parszywa jest nasza kawa. – Otworzyłam plik Polly, by zapisać notatki z dzisiejszego spotkania. – Nawet Dan zasugerował, by przetrzucił się na herbatę, póki tu jest.

– Ooo. – Gemma zrobiła minę, jakby Joe był biedną wojenną ofiarą, która niespodziewanie pojawiła się przed drzwiami. – Nie możesz go obwiniać. Wydaje się, że miał tam cudowne życie. A teraz musi żyć w deszczowym Londynie.

– Musi mu brakować Kalifornii. Szczególnie pogody – zgodziła się Helen. – Dzisiaj jest lodowato. Chyba dużo surfował, prawda?

– O na pewno, widziałaś jego ramiona? I jest taki opalony.

Nawet nie podniosłam wzroku. Próbowałam zrozumieć wymagania

Polly odnośnie do zdjęć. Bardziej to przypominało film dokumentalny o niej niż pamiątkę ze ślubu. Chciała, by fotograf chodził z nią na przymiarki.

– Lepiej zapytaj Rosie o jego opaleniznę – rzuciła Helen. – Ona sprawdziła wszędzie...

Wyciszyłam rozmowę Helen i Gemmy, jak tylko skończyłam notować, i zajęłam się przeglądaniem maili, które przyszły, gdy mnie nie było.

***Daphne, październikowa panna młoda:** Czy to bardzo wredne z mojej strony, by kazać gościom ubrać się na czarno, by moja biała suknia była bardziej widoczna na zdjęciach? Nie, zupełnie w porządku, Daphne, jeśli tylko chcesz wyglądać, jakbyś wpadła na pogrzeb.*

***Uprzejma odp.:** Daphne, może daj im kilka kolorów do wyboru?*

***Emilia, grudniowa panna młoda:** Czy jest możliwość przenocowania psa mojej mamy w pokoju hotelowym? Czemu nie? Laurence'owi się to może spodobać, on lubi psy.*

***Uprzejma odp.:** Nie ma problemu!*

***Catherine, wrześniowa panna młoda:** Podaj mi proszę uprzejmy sposób pozbycia się głównej druhny. Musiałam ruszyć głową. Czy chodziło o tę zakochaną w panu młodym czy o tę, którą podejrzewałam o zakochanie w pannie młodej? Główne druhny zawsze miały jakiś problem.*

***Uprzejma odp.:** Catherine, to dość delikatna sprawa, zadzwoń do mnie, jak będziesz miała chwilę, by ją omówić.*

Tyle rzeczy do zrobienia, tyle zmartwień. A jeszcze muszę zadzwonić w sprawie kredytu – skup się na tym. Cały ten stres prowadził do czegoś dobrego: mnie i Dominika w naszym wspólnym mieszkaniu...

– Rosie?

Podniosłam wzrok. Helen gapiła się na mnie.

– Czemu on wrócił? – powtórzyła.

– Czemu kto wrócił?

– Joe!

– Nie mam pojęcia. Chyba Laurence mu kazał wrócić i pomóc w hotelu. – Popatrzyłam na nie z dezaprobatą. – Brakuje nam rąk do pracy, jakbyście nie zauważyły.

– Ale dlaczego zostawił swoją firmę? – Gemma nie odpuszczała. – Sprawdziłam ją w Internecie i wszystko wyglądało dobrze, nie wydarzyło się nic strasznego. Miał znanych klientów i w ogóle.

– Nie zawsze musi się wydarzyć coś strasznego, by pójść z torbami – odpowiedziałam, odświeżając maile, by sprawdzić, czy Dominik przejrzał informacje o mieszkaniu, które mu wysłałam. – Czasem wystarczy coś tak małego jak niezapłacenie podatku.

– Nie wygląda na takiego, co nie płaci podatków – Gemma broniła Joego. – Może ktoś złamał mu serce?

– Ooo, tak... – Helen poczęstowała się kolejnym makaronikiem. – Założę się, że albo on złamał komuś serce, jak na wyluzowanego zodiakalnego strzelca przystało, albo jakaś oziębła panna złamała jego.

– Skąd u diabła wiesz, że jest strzelcem? – Bardzo starałam się, by ta rozmowa mnie nie wciągnęła, ale to, co robiły Gemma i Helen, było zaraźliwe.

– Powiedział nam. I moim zdaniem ktoś złamał jego – oświeciła mnie Gemma – Z pewnością.

Skrzywiłam się, patrząc na ekran komputera. Dominik nie przejrzał informacji o mieszkaniu, zamiast tego wysłał mi email z prośbą, bym wymyśliła śmieszny komentarz do nowo otwartej restauracji serwującej kiełbasy w sosieumberland.

Wkurzona zamknęłam pocztę.

– Zgadzam się.

– Co?

Obróciłam się na krześle twarzą do dziewczyn.

– Przyłączam się do rozmowy, zamierzając ją zakończyć. Założę się, że Joe tak wkurzył swoją ostatnią dziewczynę, że mógł albo uciec z kraju, albo ryzykować wyrzucenie przez balkon.

– Ooo, wzruszające – powiedziała Helen. – Czy to nie przypadkiem dlatego, że skrytykował twój ślub z popołudniową herbatą?

Prawie odpowiedziałam „Nie, to przez to, że jest anty-Kupidynem” – ale się powstrzymałam. Byłoby niedyskrecją wyjawiać, dlaczego Stephanie i Richard odwołali ślub.

– Nie, to dlatego, że Joe jest jednym z tych irytujących typów, którzy wszystko czują, a nic nie wiedzą. W każdym razie za kilka tygodni widzę się z Caroline, więc zapytam, dlaczego wrócił, skoro tak bardzo chcecie wiedzieć.

– Naprawdę? Stawiam koktajl, że to przez dziewczynę.

– Ona rzuciła czy on rzucił? – jak błyskawica sprecyzowała Gemma.

Helen pokiwała głową w lewo i w prawo, rozważając różne opcje.

– Yyy, ona jego – zdecydowała. – Myślę, że ona złamała mu serce, a on nie mógł znieść myśli, by tam zostać. Joe jest raczej typem „ten kraj dla mnie już nie istnieje”. – Teatralnym gestem przyłożyła wierzch dłoni do czoła, wyglądając na umęczoną. – „Muszę odejść i zostawić wszystko, jeśli mnie nie kocha”. Albo – dodała – nakryła go w łóżku z kimś innym i teraz jej tata poluje na niego ze strzelbą.

Popatrzyłam na nie.

– Czy my mówimy o tym samym Joem? O Joem z ohydnyimi warkoczykami, które dopiero ostatnio obciął? I w szortach? „Jestem zodiakalnym Strzelcem” Joem?

Gemma mnie zignorowała: – On rzucił. Jest za słodki, by ktoś to mógł zrobić. Poczucie winy, moim zdaniem.

Helen spojrzała na mnie: – Rosie? A ty co myślisz?

– Ja nie obstawiam, bo wiem doskonale, dlaczego wrócił – rzekłam wyniośle. – Laurence i Caroline mu kazali. Albo się znudził. Znam takich facetów jak Joe. Fascynują się czymś przez osiemnaście miesięcy, nudzą się i zwijają.

– Poza tym, że zajmował się tym od studiów – zauważyła Helen. – A interes szedł naprawdę dobrze.

– Przyjechał... by przejąć ten hotel.

Wcale nie poczułam się lepiej. Było jeszcze gorzej. Pewnie Caroline i Laurence chcieli mu jakoś wynagrodzić to, że musiał porzucić swoją firmę.

– To wcale nie wyjaśnia, dlaczego był skacowany i nieszczęśliwy, gdy Rosie go znalazła. – Gemma była niezmordowana. – Dla mnie to było picie, by zapomnieć, szczególnie że w apartamencie panny młodej.

– To był jet lag, do cholery. I tyle – powiedziałam, sięgając po torbę. – Idę coś zjeść. Jeśli dowiecie się jeszcze czegoś fascynującego na jego temat, zostawcie mi kartkę na biurku, bym mogła ją zignorować.

– Nudna jesteś – oznajmiła Helen.

– Wiem – odparłam i wyszłam.

Rozdział dziesiąty

Caroline nie była moją szefową w dosłownym tego słowa znaczeniu, odkąd opuściła Bonneville pięć lat temu, by założyć własny hotel na wsi w Oxfordshire. Nazywał się Wragley Hall i było w nim jak w niebie, tylko z bardziej puszystymi ręcznikami. Wszystko w nim było liliowo-szaro-kremowe, wszędzie pachniało lawendą i woskiem do drewna, mosiężne łóżka przykryte były miękkimi kocami z owczej wełny, a w bibliotece z otwartym kominkiem stały aksamitne fotele. Caroline kupiła go za bezcen jako przeciekającą, opanowaną przez wiewiórki rudę; zakasała rękawy i stworzyła hotel, który określała mianem „hotelu, do którego Laurence powinien był ją zabrać na miesiąc miodowy”.

Często wysyłałam tam zaręczone pary, by odetchnęły od szalu przygotowań ślubnych, gdy baliśmy się, że sytuacja ich przerasta i nie chcieliśmy stracić rezerwacji przez zerwane zaręczyny.

Zastępca dyrektora, którego podwędziła Laurence'owi po rozwodzie, ożywił stare szopy i stworzył w nich luksusowe spa. Zamiast powszechnej pieśni wielorybów słyszało się tam śpiew ptaków i rozkoszny dźwięk niezadawanych pytań o ślub i wesele.

Pomimo ciągłego ruchu w Wragley Hall Caroline odwiedzała Londyn co kilka tygodni, by sprawdzić, jak się mają sprawy i wyciągnąć plotki, które nie dotarły jeszcze do Oxfordshire. Zawsze miała czas na spotkanie ze mną, a ja pomimo że skończyłam studia prawie dziesięć lat temu, ciągle więcej uczyłam się od niej niż podczas nich. Nasze lunche miały z prędkością światła, przelatując przez opowieści z branży i sprawy Laurence'a, które wymykały mi się niechcący. Więc dzisiaj przygotowałam listę.

Pomiędzy gotowanymi krewetkami, tostami i sałatką omówiliśmy sposób, w jaki Bonneville przygotowywał się do Bożego Narodzenia (już za siedem miesięcy); obgadaliśmy randkę Laurence'a z koleżanką

fryzjerki Caroline (porażka; musiała go odwieźć do hotelu, bo uczulił go ananas; ku wielkiemu rozczarowaniu Caroline – „Muszę komuś przekazać to utrapienie, Rosie”); liczbę dodatkowych pracowników niezbędnych w okresie świątecznym; i w rewanżu dałam jej namiary do nowego dostawcy wysokogatunkowej pościeli, którego Jean ściągnęła z Leeds.

Co prawda nie zanotowałam „zapytać o Joego”, ale miałam to w pamięci, jak jeszcze kilka spraw, o których chciałam porozmawiać z Caroline. I nie były to sprawy, o które zakładały się Helen i Gemma, ale dotyczące mnie bezpośrednio: dlaczego Joe wrócił do hotelu i jeśli zamierzał w nim zostać, do którego działu powinnam go jak najszybciej przetrzucić, by nie zrujnował moich planów awansu. Nawet w drodze na lunch otrzymałam email od potencjalnej klientki, z którą spotkaliśmy się kilka dni wcześniej, w którym informowała, że wybrała Ritz, a nie nas. Coś mi mówiło, że pytania Joego o to, jak dokładnie poznała swojego narzeczonego, milionera od funduszy hedgingowych, miały na to wpływ.

Ale z drugiej strony, Caroline była jego matką i nie chciałam jej urazić, pytając, jak długo jeszcze jej syn będzie wchodził mi w drogę.

Na szczęście Caroline sama zaczęła temat, jak tylko odłożyła „przyzwoity” sernik truskawkowy. Lubiłam ją za to, że nigdy nie udawała, że nie ma ochoty na deser. I miło było zjeść coś, na co miałam ochotę, a nie to, na co Dominik nie miał, a chciał opisać.

– Jak tam Joe? – odłożyła widelczyk tak, by leżał schludnie w poprzek talerzyka, i spojrzała na mnie ponad okularami w rogowej oprawie. – Szczerze, wiem, że jestem jego matką, ale jestem też jego *matką*, jeśli wiesz, o czym mówię.

Pociągnęłam łyk miętowej herbaty, próbując znaleźć coś pozytywnego w Joem, by tym zacząć. Laurence wysłał mnie raz na taki kurs, więc teorię znałam: Komplement – niezręczna prawda – komplement.

– No cóż, poznaje pokoje od dołu do góry.

– Co przez to rozumiesz? – Caroline uniosła brwi i wyglądała tak niepokojąco jak jej syn. – Laurence nie ma dla niego miejsca w mieszkaniu, więc Joe tuła się po pokojach, które akurat nie są zajęte?

– Tak ci powiedział? – zdenerwowałam się. O czym jeszcze wiedziała?

– Nie – westchnęła. – Strzelałam, Joe nie mówi mi o wszystkim. Laurence tak strzeże swojego terytorium, że dziwię się, że recepcjonistka mogła tam mieszkać.

Miała na myśli Ellie.

– Myślę, że Laurence chce, by ocenił hotel. – Próbowałam zejść z tematu Ellie i jej wad. – Minęło sporo lat, odkąd ktokolwiek z kierownictwa spał w pokojach, a Joe już zdążył zauważyć wady niektórych.

Jak na kogoś, kto głosił wszem i wobec swoją miłość do spania pod gwiazdami, Joe był wrażliwą męską wersją księżniczki na ziarnku grochu, jeśli chodzi o nasze „brytyjskie” materace, „głośną” klimatyzację i niewystarczającą liczbę ręczników.

– Czyli pewnie daje radę zdążyć na dziewiątą do pracy. Ale co z doświadczeniem? Pomaga ci w eventach, prawda?

– Tak – powiedziałam wolno. Doszliśmy do części z niezręczną prawdą.

– I?

– Hmm, pracuje ze mną od prawie czterech tygodni, więc przypuszczam, że niedługo przeniesie się do następnego działu.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie, ale... – Caroline sięgnęła po miętową herbatę. – Miałam nadzieję, że pobędzie z tobą trochę dłużej. Podoba mu się?

Zaczęłam wiercić się na krześle. To było podchwytliwe pytanie. Powinam wiedzieć, po kim Joe jest taki bezpośredni.

– Nie jestem pewna, czy eventy przypadły mu do gustu – odpowiedziałam.

Caroline była zadziwiona.

– Ależ on miał własną agencję eventową w Kalifornii.

– Wiesz, chodzenie po rozżarzonych węglach i spanie na łonie natury to niedokładnie to samo, co śluby wyższych sfer. – Próbowałam

dyplomatycznie pozbyć się Joego i jednocześnie nie wyjść na niewdzięczną. – Staramy się je organizować w klasycznym stylu Bonneville, jak ty to zaczęłaś robić i... nie jestem pewna, czy to jego styl.

Caroline przekrzywiła głowę w jedną stronę, patrząc na mnie wzrokiem *no dalej, idź się powieś*, a do mnie dotarło, że chyba znalazłam dobry argument. Nie chciałyby przecież, by nasza, jej i moja, ciężka praca nad zaistnieniem w najlepszych londyńskich magazynach dla kobiet poszła na marne, bo Joe nie czuje klimatu, rozdaje nalepki z imionami i pozwala, by obrączki wjeżdżały na wózku zaprzężonym w psy.

– Wydaje mi się, że dla niego tradycyjne angielskie śluby są strasznie nudne – kontynuowałam. – Chciałby więcej tańców, ekscentryzmu i szaleństwa.

– Szaleństwa?

– W zeszłym tygodniu miałam spotkanie z bardzo tradycyjną parą, która chciała mieć bardzo romantyczny hotelowy ślub. Najbardziej ekscentrycznym wymaganiem panny młodej było, by wszyscy goście ubrani byli na czarno i biało, tak by wyróżniały się jej czerwone buty Manolo Blahnika. Joe z całych sił próbował przekonać ich, by goście pana młodego byli ubrani na czarno, a panny młodej na biało.

Caroline zaśmiała się, myśląc, że sobie z niej żartuję, ale potem zdała sobie sprawę, że nie.

– Wyobrazasz sobie zdjęcia? – zapytałam, przypominając sobie moje dramatyczne próby zamknięcia mu ust. – To by wyglądało jak naprawdę słaby klip Pet Shop Boys z lat osiemdziesiątych. Tylko że pan młody podchwycił ten pomysł. Powiedział, że jest genialny, bo on dorabia sobie jako pianista jazzowy. Na to Joe wykrzyknął „Genialne! Do zdjęcia ułożymy wszystkich na podłodze jako ludzkie klawisze, a pan młody będzie udawał, że na nich gra”.

– A panna młoda?

– Była przekonana, że Joe wyśmiewa jej pomysły. I musiałam ją przekupić, dając niezliczone ilości tortu do domu.

– Ojej – zafrasowała się Caroline. – To chyba nie zadziała, jak planowałam.

Jak planowała? Uczucie triumfu zmieszało się z przerażeniem. Wiedziałam, że coś się kryje za nagłym przyjazdem Joego do Bonneville. I jeśli stała za tym Caroline, to było to bardziej przemyślane, niż myślałam.

– Caroline – powiedziałam. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Ach... – machnęła rękami. – Równie dobrze mogę się przyznać. Joe zadzwonił do mnie na tydzień przed swoim przylotem do Londynu, kompletnie nieoczekiwanie, by poinformować mnie, że opuszcza Ziemię Wolnych Ludzi, przyjeżdżając do domu na Wolną Ziemię Darmowego Wiktu i Opierunku. Więc zamiast niańczenia go w Wragley Hall, bo szczerze mówiąc, Rosie, jedno moje dziecko wysadzające w powietrze hotelowy ogród mi w zupełności wystarczy, podrzuciłam go Laurence'owi. Tak dla odmiany.

– Taak – skomentowałam. Co prawda nie była to wersja, którą próbował mi sprzedać Joe, ale zawsze.

Pochyliła się na krzesło, ująwszy podbródek w samozadowoleniu.

– A potem pomyślałam, że to może wszystkim wyjść na dobre. No bo wiesz, Laurence i ja nigdy nie dalibyśmy rady przekonać chłopców, by którykolwiek przejął Bonneville, tylko z powodu koneksji rodzinnych...

– To zrozumiałe – skłamałam. Oczywiście, że nie. A co niby było głównym celem w życiu Laurence'a?

– ...ale skoro nadarzyła się okazja, pomyślałam, że Joe mógłby zdobyć porządne doświadczenie, pracując z kimś, kto naprawdę zna się na rzeczy.

– Z Laurence'em?

– Nie! Z tobą! – Odchyliła się, uśmiechając się złowieszczo. – Myślałam, że to obudzi mojego beznadziejnego eksmęża. Że przestanie traktować cię jak stałe wyposażenie hotelu i oczami Joego zobaczy, ile naprawdę robisz. Kazałam Laurence'owi przerzucać go pomiędzy działami, by zobaczył, co i jak, a że ty robisz praktycznie wszystko,

pomyślałam, że mógłby zacząć od ślubów.

Rozsiadłam się wygodniej. Wiara Caroline w moje umiejętności bardzo mi pochlebiała – ale czy ona jednocześnie nie przygotowywała kontrkandydata na stanowiska dyrektora hotelu? Miał dostać moją posadę tylko dlatego, że był synem właścicieli. Znudzona twarz Joego przemknęła mi przed oczami i moment, w którym dosłownie ziewał, gdy oprowadzałam go po specjalnych pokojach gwiazd filmowych. Prawie zawyłam z niesprawiedliwości.

– Reasumując – zaczęłam najbardziej beznamiętnie, jak mogłam – chcesz, żebym nauczyła Joego, jak prowadzić hotel, by mógł przejąć dyrektorską posadę Paula?

Caroline prawie zakrztusiła się herbatą i zakasłała w bardzo nieelegancki sposób, zupełnie do niej niepodobny. – Nie! Jezu, nie. To znaczy Laurence być może tego chce, ale ja chcę, by Joe pracował potem dla mnie. Dla Wragley Hall.

Tu mnie zgubiła. Jeśli Joe umierał z nudów, pomagając przy ślubach w Bonneville, to zapadnie w śpiączkę znudzenia w Wragley Hall, gdzie goście przylatywali prywatnymi helikopterami, śluby odbywały się przy dźwiękach harfy, a każdy gość płci żeńskiej miał na nogach cieliste szpilki marki LK Bennett, takie jak panie Middleton. Często dlatego, że wspomniani goście to były panie Middleton.

– To cudownie – zaczęłam – ale będę z tobą szczerą, Caroline, jeśli nie masz w planach ceremonii ze zjazdem tyrolką w roli głównej...

– Śluby? Boże, nie! – zagrzmiała. – Nie, nie. Nie chcę, by Joe miał z tym cokolwiek wspólnego. Planuję ruszyć z nowym, ściśle tajnym projektem.

Przysunęła się konspiracyjnie i z oczami błyszczącymi projektową gorączką mówiła dalej. – Nareszcie udało mi się dobić targu z rolnikiem mającym pola za hotelem i kupiłam kawałek lasu, na który polowałam od lat. Zamierzamy go przekształcić w coś na kształt leśnego parku rozrywki dla całych rodzin, gdzie dzieci nie zawracają głowy, gdy rodzice oddają się masażom...

– Budujesz swój własny Center Parcs?^[4]

– Tak! Ale tylko dla grzecznych dzieci. I chcę, żeby Joe się tym zajął. Myślę, że będzie w tym świetny. – Caroline była zachwycona swoim pomysłem. – Ale chcę, żeby najpierw nauczył się, jak wygląda porządna opieka nad klientem, a ja nie mam czasu go uczyć, robiąc za dyrektora, szefa kuchni i niańkę dla Aleca tętniącego energią. Dosłownie. Wragley Hall jest zbyt mały, by wytrzymać jego i jego... energię.

– Ciągłe bez pracy?

– Niestety. Okazuje się, że Legia Cudzoziemska aktualnie nie prowadzi rekrutacji. Drobiazg. Coś mu znajdzie. Na razie może wysadzać bunkry pod pole golfowe.

Mówiła serio.

– Na kiedy to wszystko planujesz? – zapytałam, robiąc kalkulacje w głowie. Jeśli bym się postarała, mogłabym się pozbyć Joego naprawdę szybko. Wykopałabym go do Oxfordshire na długo przed ślubem Flory Thornbury. Nie zdążyłby nawet namieszać tą swoją jazzową wersją *Perfect Day* dla Dana i Polly w listopadzie.

– Czerwiec przyszłego roku.

Wewnętrzna płyta z wesołą melodyjką zatrzymała się ze zgrzytem. „Czerwiec?!”.

– Nie uporządkowałam jeszcze papierów – przyznała. – A to nie jest nauka na dwie minuty, cały ten hotelarski biznes, prawda?

Wizja Joego sabotującego mój Ślubimarz do połowy przyszłego roku przytłoczyła mnie kompletnie. Caroline nie miała pojęcia, ile zależało od tych wyników. Awans, nowe mieszkanie, związek z Dominikiem, być może nawet moje zdrowie psychiczne...

– Wiem, co myślisz – powiedziała łagodnie Caroline. – Zastanawiasz się, co będziesz z tego miała?

– Nie, cieszę się, że...

– Rosie, rozmawiasz ze mną. Gdybyś się nad tym nie zastanawiała, myślałabym, że źle cię wyszkoliłam. Nie, jeśli uda ci się przekonać Joego

do skoncentrowania się na brytyjskiej gościnności i zaangażowania w rodzinny interes – mój, dodam na marginesie, nie jego ojca – wtedy szepnę słówko lub dwa o, powiedzmy, posadzie dyrektora hotelu?

– W Bonneville?

– W Bonneville.

Popatrzyłam jej prosto w oczy. Ona i Joe mieli ten sam prosty nos i piękne złote włosy. Tylko Caroline nie miała w nich obleśnych małych warkoczyków. Zaczęłam się zastanawiać, jak wiele z jej bystrości w interesach tkwi w Joem.

– Szepniesz o mnie słówko – powtórzyłam.

– Nic więcej nie mogę obiecać – odpowiedziała z miną pokerzysty. – Ale wiesz, że znam wiele dobrych słów.

– A czy Laurence o tym wie? O pomysłe z Center Parcs?

Po raz pierwszy wyglądała fałszywie:

– Jeszcze nie. I proszę, nic mu nie mów. Zestresuje się BHP i tyle. Znasz go.

– Nie powiem. – Pominąwszy temat Ellie, Laurence i Caroline byli zgodnym byłym małżeństwem. Poszło o błahostkę, Laurence wyczerpał cierpliwość Caroline, nie doceniając jej przez zbyt wiele lat. – Bo wiesz, Laurence naprawdę cieszy się z przyjazdu Joego. Myślę, że jest szczęśliwy, mając go w hotelu. Wydaje się bardziej zaangażowany.

Caroline westchnęła:

– Wiem, że Joe to dobry chłopak. To znaczy mężczyzna. Wyglądam na matkę dwudziestoósmioletniego syna?

– Nie – odparłam zgodnie z prawdą.

– Dobrze – powiedziała – To nasza nowa mydlano-flanelowa maseczka. Polecaj ją swoim klientkom. A teraz, gdzie jest kelner z rachunkiem?

Odegrałyśmy nasze tradycyjne: „Pozwól mi”, „Pozwól, że ja”, „Ależ nalegam” (dzisiaj wygrała Caroline) i jak tylko kelner odszedł po rachunek, każda z nas rzuciła się na telefon sprawdzać wiadomości.

Miałam cztery związane ze ślubem i jedną od Dominika – poganiał mnie w sprawie żartu o kiełbasie w sosie cumberland. Helen napisała:

Zapytaj Caroline o Joego. Ściskam

„Serio, nie bierze się wolnego poranka tylko dlatego, że szefowa skoczyła do Londynu”.

Jeśli Joe myślał, że się rządę i jestem kontrolującym wszystko czubkiem, to czekała go niemiła niespodzianka w pracy z własną matką.

Spytałaś już? Postawiłam na to dychę. H.

Odłożyłam telefon.

– Tak z ciekawości – zaczęłam zwyczajnie. – Dlaczego Joe wrócił? Miał tam jakieś... problemy?

– Nie, z tego, co wiem, wszystko szło świetnie – odpowiedziała. – Całkiem niezły pomysł, by zarabiać, zabierając innych tam, gdzie i tak zamierzałaś jechać. To i tak więcej niż ostatni pomysł Aleca. Nie spotkałaś może pana młodego, który chciałby zostać uprowadzony przez swoich drużbów? Ale tak porządnie porwany, z workiem na głowie, żądaniami okupu? Słyszałaś o takich?

Zbladłam:

– O ile wiem, to nie. Przepraszam za wsadzanie nosa w nie swoje sprawy. Chodzi o to, że wydawało mi się, że Joe lubił swoje życie tam. I z tego, co mówi, interes szedł nieźle.

Caroline zerknęła na rachunek, zachmurzyła się i położyła na nim kartę kredytową:

– To była dość specjalistyczna branża. Nie opowiadał mi za wiele. Jest bardzo dumny, tak jak jego ojciec. Nienawidzi rozmawiać o pieniądzach, omawiać prywatnych spraw. Myślę, że w końcu tobie powie dużo więcej niż mi.

Przesunęłam łyżeczkę na spodku, by była równoległa do filiżanki.

Byłam ciekawa, czy Caroline widziała kiedyś Joego w takim stanie, jak ja go zobaczyłam pierwszego ranka. Skacowanego i nieporządnego. Nie wyglądał wtedy dumnie, raczej strasznie.

Sama nie wiem, dlaczego zapytałam:

– Myślisz, że chodziło o dziewczynę?

– Nie, nigdy o żadnej nie wspominał – zaprzeczyła.

Wiedziała! Ktoś, kto uważa, że wieczory kawalerskie przy steku i piwie są dobrym pomysłem, nie mógłby mieć dziewczyny, która złamałaby mu serce.

– Czemu pytasz? – Caroline zapytała nieoczekiwanie. – Ojej, jest drażliwy podczas spotkań z druhnami?

– Nie do końca. Chociaż wydaje się trochę... – szukałam dobrego słowa – zafiksowany na upewnieniu się, że na pewno wiedzą, co robią.

– Jak to?

– Kilka razy wspominał umowy przedślubne i podkreśla, że obie strony powinny wiedzieć, na co się piszą. Nie chodzi o formalne umowy, raczej o obietnice typu: nie czepiaj się mojego chrapania przez miesiąc, a ja obiecuję nie zapuszczać wąsów, chyba że dla celów dobroczynnych.

Parę o imionach Rory i Bethan udało mi się przekonać, że on żartuje. Ale nie zanim Bethan wkręcił się w niezbyt delikatne przytyki sezonowego przybierania na wadze, na co najwidoczniej cierpi Rory.

– Zawsze był szczerym dzieckiem – westchnęła.

– Ze szczerym nie miałabym problemu, ale to idzie trochę za daleko – odpowiedziałam. – Niedawno jedna z moich panien odwołała ślub po próbnym obiedzie i chwili rozmowy z Joem o podróży poślubnej. Szykuje nam się duże wesele w przyszłym roku, ale jak tak dalej pójdzie, to nie wiem, czy do niego dojdzie.

Caroline uniosła brwi podekscytowana:

– Thornbury, słyszałam. Słuchaj, jakbyś mogła zaaranżować przyjemne, nieoficjalne spotkanie Mrs. Thornbury z naszym drogim Laurence'em, to mogłabym nawet szepnąć trzy dobre słówka o tobie. – Uśmiechnęła się

perfidnie. – Byłaby idealna dla niego. Bogata, apodyktyczna i, jeśli dobrze pamiętam, trochę przygłucha. Rosie, musimy mu kogoś znaleźć. Dzwoni do mnie cztery razy w tygodniu, pytając, czy pamiętam, czy miał różyczkę. A dzisiaj, kiedy się obudziłam, miałam na poczcie dwa absolutnie przerażające zdjęcia jego... no wiesz... i pytanie, czy zmienił kolor, odkąd ostatnio go widziałam.

– O kurcze.

– Nie wydaje mi się, żeby tę babkę Ellie męczył czymś takim?

– Nie – powiedziałam zgodnie z prawdą. – Nie może, odkąd sąd mu zakazał. To była część postanowień rozwodowych. Żadnych telefonów, które nie dotyczą Ottona i Ripley.

– Otto i Ripley – wymamrotała. – Dobry Boże. W każdym razie... Ojej, to już tak późno? Mam spotkanie z facetem od ogrzewania podłogowego. Podwieźć cię dokądś?

– Pojadę autobusem – odpowiedziałam i ruszyliśmy w stronę gwarnej londyńskiej ulicy.

Caroline pomachała, gdy jej kierowca odjeżdżał spod restauracji, ale mi naprawdę nie przeszkadzała jazda autobusem. Potrzebowałam czasu, by przetrwać wszystko, co usłyszałam, zanim rzucę się wir hotelowych przyjęć.

Rozdział jedenasty

Mimo że utrzymywałam spotkanie z Florą Thornbury w tajemnicy, w piątkowy rano zauważyłam niespodziewanie dużo pokojówek polerujących stoły w Palm Court. Normalnie trudno było natknąć się na trzy na jednym piętrze, nie mówiąc o pięciu w sali spotkań.

Domyśliłam się, że Laurence musiał się wygadać. Był bezwstydnym łowcą celebrytów, chociaż udawał, że do pięt nie dorastają ozłoconym egzemplarzom goszczącym w Bonneville w Starych Dobrych Czasach. Mogłam iść o zakład, że powiedzmy dziesięć po dziesiątej będzie „przypadkiem” przechodził obok Palm Court, mając na sobie nowiutką koszulę i pięćdziesiąt procent więcej Eau Savage.

Mając na uwadze jasną stronę tej sytuacji – dosłownie – pomieszczenie było bez skazy. Każda powierzchnia lśniła – wielki czarny fortepian, szklane blaty stołów, srebrna zastawa. Przebiegłam wzrokiem meble, szukając nierówno ustawionych krzeseł czy niesprzątniętych filiżanek, poprawiłam kilka poduszek. Promienie słońca przedzierały się przez długie francuskie okna wychodzące na ogród, tworząc słoneczne kolumny na parkiecie. Czułam, że jest to pokój stworzony specjalnie, by gwiazdy kina mogły w nim przeglądać poranne gazety, pijąc kawę ze srebrnych filiżanek.

Uwielbiałam go nawet w szare zimowe dni. Flora była modelką, doceni więc miękkie światło i przemyślane rozłożone lustra. Moglibyśmy zrobić przedślubne zdjęcia stylizowane na lata trzydzieste. Ona i drużyna rozłożone w fotelach art deco niczym modelki Cecila Beatona...

Pewnie moja tajna lista fotografów i makijażystek nie będzie potrzebna, ale wzięłam ją na wszelki wypadek, by pokazać, że mamy. Oraz by pokazać, że jestem organizatorką, która lubi mieć wszystko pod kontrolą.

– O której przyjdzie? – wyszeptała jedna z pokojówek, natychmiast uciszona przez koleżankę.

Udałam, że nie wiem, o kim mówią: – Kiedy kto przyjdzie?

– Flora Thornbury!

– Możecie skończyć się z tym bawić? – zapytałam, robiąc ponagląjące ruchy w kierunku dziewczyn majstrujących przy białym bukicie stojącym na fortepianie. Wydawało się, że zajmowały się przesuwaniem jednej i tej samej białej róży o centymetr w lewo i z powrotem, patrząc poządlowie na drzwi wejściowe.

Z niechęcią odkleiły się od wazonu.

– Ja z chęcią wezmę jakieś nadgodziny – powiedziała jedna z nich, przechodząc. – Jeśli, yyy..., szykują się jakieś duże wesela?

– W czerwcu przyszłego roku – powiedziałam, odprawiając je. – A teraz jeśli pozwolicie...

Spotkanie z Florą i Julią Thornbury było zaplanowane na dziesiątą, ale idąc za cwana radą Dominika, powiedziałam Joemu, że spotkamy się w sali balowej o dziesiątej trzydzieści. Nie było to strasznie wredne z mojej strony. Po wszystkich uwagach na temat supermodelek i sławnych gości? Z całego serca nienawidził tego „celebryckiego gówna”, jak zwykł to nazywać, pomimo że mieszkał obok nich i Los Angeles przez lata.

Rozemocjonowana Gemma wpadła do środka. Miała na sobie ulubiony, specjalny zestaw „na rozmowy z klientkami”, bladoniebieski kaszmirowy kardigan, tweedową minispódniczkę i pudrowo-niebieskie buty Mary Janes i kremową jedwabną bluzkę. Wyglądała, jakby miała wybuchnąć z podekscytowania.

Naprawdę mogłam tak pomyśleć, bo potrząsała rękoma w górę i w dół, jakby suszyła lakier do paznokci w superszybkim tempie.

– Już jest! – wyszeptała. – Flora! Jest na recepcji! O mój Boże, jest *taka* piękna! Nie mogłam przestać na nią patrzeć. I ma na sobie jeansy.

Zerknęłam na zegarek: – Dopiero za piętnaście. A ona jest modelką, one nigdy nie są wcześniej. Zwykle ze cztery godziny później.

– Wiem. Było straszne zamieszanie przed hotelem, błyski i myśleliśmy, że to znowu policja, ale to był tylko fotograf i ona jest teraz na recepcji

i rozmawia z Laurence'em. – Gemma rozcapierzyła palce i wybałuszyła oczy. – Znaczy jej matka rozmawia z Laurence'em. Oni się znają?

– Tak, od dawna.

– Tak myślałam. Bo klepał ją po ramieniu – zademonstrowała – jakby była koniem.

Bardzo dobrze, pomyślałam, będę mogła przekazać Caroline dobrą wiadomość. Według informacji w Internecie pani Thornbury rozwiodła się z tatą Flory, bogatym developerem. Była posiadaczką dwóch domów, w tym jednego w Szwajcarii, położonego blisko ulubionej kliniki Laurence'a. Jedynie własna plantacja echinacei czyniłaby ją bardziej idealną.

– Poprosić ją tutaj? – zapytała Gemma.

– Oczywiście, że nie, podejść do recepcji – odpowiedziałam, zbierając teczki i notes. – Widziałas może dzisiaj Joego?

To było bardziej upewnianie się niż pytanie, ponieważ Joe powinien zajmować się tym, o co go poprosiłam mailowo wczoraj wieczorem, czyli być w winiarni Berry Brothers, jednak zawsze istniała szansa, że nie przeczytał maila.

Gemma zawahała się na moment, jakby zmartwiła się jego nieobecnością, a zaraz potem zmieniła zdanie i odpowiedziała: – Nie.

– Dobrze. To znaczy, ojej.

– Chcesz, żebym poszła go poszukać? A może... – zrobiła niewinna minę. – Może lepiej będzie, jeśli będziemy tylko my dwie? Nie chcemy przytłaczać Flory, a Joe i tak by nie umiał omówić wszystkiego, co hotel ma do zaoferowania. Ty pięknie wszystko przedstawiasz, a ja w tym czasie mogę robić notatki i czasami podrzucać pomysły.

Trzeba jej przyznać, że miała taktykę.

– Dobrze powiedziane – powiedziałam. – Ale na wszelki wypadek upewnij się, czy nie ma go w pobliżu, dobrze? I jak to zrobisz, zajmij się proszę kwiatami na ślub Montpellier – nie dzwonili jeszcze z kwiaciarni z informacją, kiedy podrzucą dekoracje na stół. Zajrzyj do nich, jeśli

będzie trzeba, są niedaleko, na Mount Street.

– Na Mount Street? A co ze spotkaniem? Nie dam rady wrócić na czas.

– Na pewno dasz – powiedziałam, wypychając ją w stronę foyer. Szczerze mówiąc, nie chciałam ani Gemmy, ani Joego na tym spotkaniu, dopóki nie dowiem się, czego naprawdę chce Flora Thornbury, i póki nie przekonam jej, że Bonneville i tylko Bonneville zorganizuje ślub z jej najdzikszych – lecz ciągle szykownych – snów.

W mojej pracy spotykałam wiele pięknych panien młodych, ale piękno Flory Thornbury biło je wszystkie na głowę.

Nawet w obcisłych jeansach i białym T-shircie wyglądała, jakby była zrobiona z najdelikatniejszej chińskiej porcelany, przypominała nasz specjalny gregoriański serwis do herbaty, którego używałam tylko w przypadku najdelikatniejszych gości. Jej skóra promieniała bez makijażu, cudowne długie jasne włosy opadały miękką grzywką nad małym noskiem, a gdy się uśmiechnęła – był to najbielszy z uśmiechów, jaki kiedykolwiek widziałam.

Wiele panien młodych wyglądało tak uroczo jak ona, ale dopiero po osiemnastomiesięcznym intensywnym programie naprawczym. Zastanawiałam się, mając nadzieję, że tak było, czy Flora była jedną z tych niezdarnych nastolatek z aparatem na zębach, która nagle w wieku siedemnastu lat przemieniła się w cudownego łabędzia. Sposób, w jaki stała przede mną – na wpół strzegąc należnej jej uwagi, na wpół jej oczekując – dawał do zrozumienia, że raczej od zawsze była piękna.

– Witaj, Floro, witaj, Julio, jestem Rosie – przywitałam się, podając rękę jej i jej matce.

– Cześć Rosie, cudownie cię poznać. – Flora miała delikatny uścisk i pachniała gardeniami. Julia Thornbury pachniała Chanel no. 5 i dużo silniej ścisnęła mi rękę. Jeśli Flora była delikatną porcelaną, Julia była bardziej okrągłą zastawą z kamionki; twarz Flory była jej twarzą – ładny nos, niebieskie oczy, różowe policzki, ale osadzone w dużo delikatniejszej ramie.

– Pomyślałam, że mogłybyśmy zacząć od krótkiej wycieczki po

pokojach, a następnie omówić wszystko na spokojnie w Palm Court – powiedziałam, wskazując podwójne drzwi z łukami ozdobionymi witrażem. – To jedna z mniejszych sal – w niej organizujemy bardziej intymne przyjęcia oraz naszą słynną popołudniową herbatę.

– Dlaczego słynną? – zapytała pani Thornbury.

– Ponieważ jest doskonałym odtworzeniem tradycji popołudniowych spotkań, z której słynął nasz hotel w latach trzydziestych. Nasz cukiernik robi takie same piękne miniciasteczka, jakie stworzył dla Bonneville nasz francuski szef kuchni, serwujemy je na tej samej zastawie, wraz z szampanem, koktajlami czy herbatą. Przenosimy się w czasie – wyjaśniłam z uśmiechem. – Wpadnijcie któregoś popołudnia – sporo naszych panien młodych planuje wesela z popołudniową herbatą. Możemy stworzyć wyjątkowy koktajl specjalnie na twoje przyjęcie.

– Super – skomentowała Flora.

Po szybkim omieszczeniu wzrokiem głównych sal i rzuceniu okiem na jadalnię, gdzie Helen przeszła sama siebie, przedstawiając opcje menu, usadowiłam obie panie na sofie przy oknie, sama siadając w fotelu naprzeciwko, tak by one miały widok na ogród, a ja na podwójne drzwi, a przede wszystkim foyer, gdzie tłumnie przekradali się ludzie z obsługi. Gdyby nie prędkość i ostre łokcie Luizy, z pewnością wybuchłyby w nim zamieszki, po tym jak skinęłam na jedną z dziewczyn, by zajęła się naszą herbatą.

Zajmując się zamówieniami pań Thornbury (ziołowa herbata i English breakfast; cóż za niespodzianka), zauważyłam, że Julia ma ze sobą klasyczny skórzany gruby segregator z wpiętym piórem, podczas gdy Flora wzięła ze sobą zwykły zeszyt. Nie zauważyłam standardowego wyposażenia panny młodej, jakim zwykle była gruba teczka „pomysłów”. Trudno było ocenić, czy to dobrze, czy źle, różnie bywało. Z doświadczenia wiedziałam, że możliwe były trzy warianty: albo Flora nie miała pojęcia, czego chce, ale była otwarta na propozycje (dobrze), albo sama nie wiedziała, czego chce i czekał nas żmudny proces eliminacji, żeby wiedzieć, czego na pewno nie chce, a przypadkiem trafić

w to, czego chce (źle), albo miała całą stronę pomysłów na swoim laptopie, ale go zapomniała (bardzo źle).

Prawda leżała pośrodku, by do niej dojść, potrzeba było drugiej filiżanki herbaty, mnóstwo ogólnikowych kwiatowych komentarzy i wielu „super” wykrzykiwanych przez Floreę. I gdyby nie wielki jak kostka cukru diament lśniący na jej palcu, myślałabym, że jest jedną z dziewczyn, które rezerwują spotkanie ślubne tylko dla przyjemności omawiania problemu braku bzów w grudniu. Miałam więcej niż jedną taką rozmowę w zeszłym roku.

– Opowiedz mi o twojej sukni – poprosiłam zdesperowana i niechcący „włączyłam” Floreę.

– Moja suknia, no dobrze, na razie omawiam ją z kilkoma projektantami – myślałam o koronkach i stylu vintage – mówiąc to, zrobiła kilka gestów wokół chudych ramion. – Zdecydowanie satyna. Chcę wyglądać jak dawne gwiazdy filmowe, falowane włosy, diamenty.

– Ale włosów nie zetniesz – przypomniała Julia.

Flora przewróciła oczami:

– Nie, mamuś, nie zamierzam ich obciąć, chcę czuć, jakby były falowane, przylizane i krótkie.

– Cóż, *vintage glamour* to my. – Uśmiechnęłam się, wskazałam wystrój *art deco* z olśniewającymi palmami i gwiazdami i sięgnęłam po moje pióro. – Jak widzisz. To są kluczowe założenia ślubu?

– Tak, chcę czegoś dość tradycyjnego – westchnęła po królewsku. – Mój narzeczony, Milo.

– Milo McKnight – dorzuciła Julia. – Jest jednym z tych McKnightów od transportu.

– Mmm – przytaknęłam. Znałam Milo – naturalnie nie osobiście, ale z magazynów plotkarskich, które przeglądałam razem z Gemmą raz w miesiącu, by być na bieżąco kto z kim i kiedy może wpaść do naszego baru na drinka po godzinach. Szacowny Milo nie parał się transportem osobiście, tym sposobem wniósł pieniądze do rodziny jego dziadek,

wnuczek miał galerię sztuki w Mayfair. Byłam w niej kilka razy, ale trudno było wykoncypować, co jest sztuką, a co ścianą. Kto klientem, kto obsługą.

– Milo jest tradycjonalistą. Ja również. – Próbowałam się w niej nie zakochać, gdy popatrzyła na mnie wielkimi oczami. – Przyszliśmy tu kiedyś na drinka i poczułam się jak w filmie. Widzę siebie biorącą ślub w tym hotelu.

– Ja też to widzę – zapewniłam żarliwie. Uwaga opinii publicznej byłaby skierowana na nas. I to nie jakaś tabloidowa ustawka typu wzmianka w *Hello!*, Flora miała na to za dużo klasy, raczej nieocenione rekomendacje z ust do ust nadające prestiż temu miejscu. Prawdziwy gwiazdorski ślub. Laurence zemdleje ze szczęścia. I trzy wzmianki w ogólnokrajowych magazynach miałabym w garści. A jeśli jeszcze udałoby mi się namówić Florę do zorganizowania imprez przedślubnych, weekendu spa, obiadu po próbie w restauracji Helen, to obecność wszystkich gości, prominentnych osób, znanych modelek, wynagrodziłaby mi stratę Stephanie Miller z nawiązką.

Dasz radę, powiedziałam sobie. Myśl jak dyrektor, a będziesz dyrektorem.

Uśmiechnęłam się ponad stołem do pań Thornbury. Myślałam, że supermodelki są najgorszymi Bridezillami pod słońcem, a tu proszę – Flora wydaje się zadowolona z pomocy przy organizacji. Julia wydawała się trochę trudniejsza we współpracy – wyczuwałam maleńki ślad „Ślubu, którego nie miałam” – ale radziłam sobie z dużo trudniejszymi.

– Więc... – otworzyłam mój notes na nowej stronie. – O jak dużym weselu mówimy? Oszacowałyście już liczbę gości?

– Sto – odpowiedziała Flora w tym samym czasie co Julia: – Dwieście pięćdziesiąt.

– Czyli pomiędzy sto a dwieście pięćdziesiąt – powiedziałam lekko, gdy obie patrzyły na siebie z nienawiścią. – Duże liczby nie stanowią problemu – wtedy tworzymy dodatkowe przestrzenie na główny posiłek, łączymy dwa w jednym. Niektórym gościom się to podoba – subtelnie

oddzielamy tych, którzy za sobą nie przepadają!

– Dobrze – powiedziała Julia zbyt dobitnie.

– Mamuś...

Zapisałam szyfrem wzmiankę o tym zajściu. Caroline może mieć jakieś plotki o tym, kogo dokładnie Julia chciałaby posadzić w oranżerii.

– Myślałaś już może o dacie? Przyszła wiosna już jest prawie cała zarezerwowana – czerwiec też zaczyna się zapełniać, ale jest jeszcze...

– Chcielibyśmy się pobrać w trzeci weekend czerwca, w naszą rocznicę – powiedziała nieśmiało Flora.

– O, jakie to słodkie – odpowiedziałam z niekłamaną radością. Supermodelka będąca tradycjonalistką i romantyczką – kto by pomyślał? Uroczystość nabierała klasycznych kształtów. Ogromny budżet, tradycyjne wesele – wymarzone zadanie.

I w tym momencie zobaczyłam Joego wchodzącego do foyer. Aż ścisnęło mnie w żołądku. Nie. Naprawdę nie. To nie był dobry moment, by on tu wszedł; ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, był Joe rzucający kolejną bombę niweczącą moje plany: niewinny komentarz, który będzie rósł i rósł, aż wybuchnie, niszcząc wszystko.

– A co z fotografami? – zapytałam szybko. – Musimy dość wcześnie rezerwować ich terminy...

– Mam jednego – wyznała Julia. – Wiesz, Floro, Warren to przyjaciel rodziny, musimy go poprosić, inaczej będzie mu przykro...

Podczas gdy Flora i Julia pasywno-agresywnie nie zgadzały się co do umiejętności Warrena jako ślubnego fotografa wyższych sfer, wystrzeliłam szybkim, ale śmiertelnym wzrokiem w Joego skradającego się w foyer. Byłam niezła w zabijaniu wzrokiem: mocno, by ogłuszyć lubieżnego družbę, szybko, by panna młoda nic nie zauważyła. Krótko mówiąc, taki wzrok potrafił mocno zszokować niczego niepodjęzawającego družbę, ale Joe tylko mi pomachał i dalej garbiąc się, rozmawiał z pokojówką. Zgodnie z moimi instrukcjami do niebieskiej

koszuli i jeansów włożył marynarkę, ale zrobił to w taki sposób, że wyglądało, jakby ktoś narzucił mu ją w pośpiechu.

– Myślę, że czarno-białe zdjęcia to ciekawy wybór – powiedziałam, próbując zawrócić go wzrokiem, na próżno.

– Tak! To byłoby cudowne. – Flora upiła łyk ziołowej herbaty. – Jakbyś już wiedziała, jakiego ślubu chcę.

Następnie złapała jadowity błysk w moim spojrzeniu i obróciła się, by zobaczyć, na kogo patrzę z taką nienawiścią.

Joe był coraz bliżej, nie pozostawił mi wyboru.

Wstałam i poprowadziłam go do krzesła stojącego obok mnie.

– Bardzo przepraszam, to mój tymczasowy asystent Joe. Joe, pozwól, że przedstawię ci Florę i Julię Thornbury – powiedziałam, modląc się w duchu, by nie wypalił z pytaniem o to, która z nich wychodzi za mąż.

– Cześć, dziewczyny. – Machnął niedbale ręką.

Flora zaczęła mówić „cześć”, gdy nagle uważniej mu się przyjrzała: – O mój Boże, Joe Bentley?

Pani Thornbury odstawiła filiżankę z brzękiem: – Joseph?

O Boże. Proszę, nie. Modliłam się, by nie okazało się, że w przeszłości: Alec podłożył ogień pod ich dom w czasie imprezy albo Joe rzucił nastoletnią Florę.

– Dzień dobry, pani Thornbury, dzień dobry, Floro – poprawił się Joe, uśmiechając się uprzejmie do obydwu, grzecznie ściskając ich dłonie, złożył na ich policzkach zwyczajowy powitalny pocałunek (jeden) i usiadł w fotelu z głośnym tąpnięciem.

– A więc Joe. – Poprawił się na krześle, gdy pani Thornbury spojrzała na niego karcąco. – Jak mama? Jak Winston i Horatio?

– Mama ma się świetnie, dziękuję. Winstonowi trochę trzeszczy w kościach, ale nadal biega w ogrodzie.

(Winston i Horatio to labradory. Przyjaciele Caroline zawsze pytali najpierw o psy, potem o dzieci).

– A Alec? – Pani Thornbury przechyliła głowę o milimetr w prawo. – Jakież... wiadomości?

– Nie. Jakiś czas temu opuścił wojsko.

– Dobrze – skomentowała dobitnie.

Joe klepnął się w kolana i spojrzał na mnie:

– Przepraszam, wydaje się, że się spóźniłem. Odwiedzałem winiarnię w sprawie – w sprawie dość niespotykanych prezentów dla drużbów! – Spojrzał na mnie wymownie. – Czy spotkanie nie rozpoczęło się chwilę wcześniej, niż planowano?

Piękny nosek Flory zmarszczył się w rozbawieniu:

– Joe, chyba nie organizujesz mojego ślubu?

– Nie – Joe i ja odpowiedzieliśmy jednocześnie.

– Nie, Joe tylko... robi notatki – dodałam spokojnie. – Od czasu do czasu bierze udział w spotkaniach organizacyjnych.

Mogłam przysiąc, że on się na mnie gapi, ale nie zareagowałam.

– Skoro dużo już wiemy. – Chciałam podsumować spotkanie, póki panie Thornbury ciągle brzmiały, jakby zamierzały zarezerwować datę. Widziałyśmy pokoje, pomówiłyśmy z Helen, ominęłam wizytę w barze i pogawędkę przy koktajlach, ale siła wyższa. – Czy chciałabyś umówić się na próbowanie niektórych wersji naszego weselnego menu? Jak wspominała wcześniej Helen, nasz szef kuchni lubi przygotowywać menu na specjalne zamówienie każdej pary, może masz jakieś ulubione dania, życzenia?

– Tak – odpowiedziała Julia, ponownie wyciągając segregator, ale Flora chrząknęła.

– Rzeczywiście, miałam jeden pomysł – zaczęła dość ogólnie. – Chciałabym pokaz mody w wykonaniu druhen?

– Wybieg dla druhen? – Przeszedł mnie złowieszczy dreszcz.

– No, moja przyjaciółka Lily taki miała. Najpierw wysyłasz do ołtarza druheny, tak jak modelki na pokazie mody. Było niesamowicie. Druheny miały sukienki w różnym stylu i były tak dobre, że aż goście klaskali.

A potem, kiedy Lily wreszcie się pojawiła, to było... zrobiło ogromne wrażenie.

Flora zamilkła na chwilę, czekając na moją reakcję. Gdy ta nie nastąpiła, dodała:

– No wiesz, Lily Maddox? Projektantka?

– Tak! Oczywiście. Oczywiście, że kojarzę. Ona była... panną młodą?

– Nie, ona zaprojektowała sukienki. – Flora utkwiała we mnie wzrok. – Ślub brała Olympia Harvill. Nie, czekaj... – Zastanowiła się. – Nie, to była Jamine Russel. Szła do ołtarza tuż za Lily. Mówię ci, Lily należał się aplauz za sukienkę. Była oszałamiająca.

Flora opadła na fotel, jakby pozbawiona energii, i dodała: – Więc pomyślałam, że to byłoby super.

– Hmm... – Nie wiedziałam, jak odpowiedzieć. Nie powiedziałabym, że wybieg dla druhen byłby „super”, raczej tandetny. I zdecydowanie nie uważałam, że projektant sukienki przyćmiewający pannę młodą to dobry pomysł – nie żeby łatwo było przyćmić Florę.

Spojrzałam na Julię Thornbury, szukając ratunku. Na szczęście podzielała moje zdanie.

– Nie żartuj, Flora – powiedziała ostro. – To poważna okazja, a nie cyrk. Zamierzasz złożyć przysięgę.

– A co z facetami? – wtrącił Joe. – Drużbowie też biorą w tym udział? Też mają różne stroje?

– Ha ha! Oczywiście, że nie – zaczęłam, ale Flora nadal była rozemocjonowana pomysłem i mnie nie słyszała.

– Tak! – wykrzyknęła. – Dlaczego nie? Właściwie to może być naprawdę fajne. Możemy wymyślić cechę wspólną ich stroju, przecież nie muszą mieć smokingów, prawda?

– Zwykle muszą – starałam się nie zabrzmieć sztywno i ponownie zerknęłam na Julię, która wydawała się tracić cierpliwość.

– Kochanie, uważam, że powinni – powiedziała. – Twój tata chciałby założyć smoking.

– Nawet nie wiedziałam, że go zapraszamy – Flora zwróciła się do Joego. – A jeśli byłoby w smokingach, ale w różnych kolorach? Tak by pasowali do druhen? Czy zielone garnitury to słaby pomysł? Pewnie zależy od odcienia, prawda?

Patrzyłam to na jedno, to na drugie, oniemiała nagłą zmianą nastroju. Skąd to się wzięło? Gdzie się podziała tradycyjna stylistyka lat trzydziestych z modelkami Beatona, którą tak się zachwycała dziesięć minut temu?

– Drużbowie noszą różne rzeczy – ocenił Joe, jak gdyby teraz był modowym ekspertem. – Byłem na ślubie w zeszłym roku, na którym byli ubrani w stroje sportowe ulubionej drużyny państwa młodych. Chyba to było Aston Villa. Sukienki druhen też były w barwach klubowych. – Uśmiechnął się. – Dekoracje i babeczki też. Było klimatycznie.

Aston Villa. Aston Villa grał w bordowo-niebieskich strojach. Bordowo-niebieski w eleganckich salach. Czułam, że zaraz zemdleję.

– O Boże, to jest suuuuuuuuper – wyszeptała Flora. – Nie wiem, komu kibicuje Milo – tej drużynie koło nas, mamó?

– Chelsea? – rzucił Joe. – Fulham?

– Piłka nożna to chyba nie jest... – zaczęłam, ale Julia Thornbury ucięła dyskusję. – Nie, Floro. Zdecydowanie nie.

– Rosie ma rację. Rugby byłoby bardziej na miejscu – rzucił pomocnie Joe. – Komu kibicuje Milo? Harlequinom? Może drużbowie w strojach rugby?

Zmrużyłam oczy, starając się zmusić Joego, by się zamknął. Na próżno.

– Mogłabyś zrobić ślub tematyczny – zasugerował. – Stworzyć własny, spersonalizowany strój. Rzut bukietem byłby rzutem zoutu. Ustawić stoliki w grupy Pucharu Sześciu Narodów i zrobić rozgrywki po weselu. Postawić dmuchany zamek. Ogród jest wystarczająco duży...

Mogę go walnąć? Rozejrzałam się w poszukiwaniu inspiracji. Wazonem, dekoracją kwiatową. Jest jakaś możliwość, by ogłuszyć go, subtelnie udając, że odganiem osę?

Zachwycona Flora chwyciła srebrny długopis ze słowami:

– Zdecydowanie to zapiszę. Joe Bentley, kto by pomyślał, że będziesz miał takie genialne pomysły na organizację mojego ślubu.

Obserwowałam jej pełne usta, gdy w swoim notatniku zapisywała słowa „Drużbowie – strój rugby”. Tuż poniżej wcześniej zanotowanych słów „Kwartet smyczkowy grający składanki Cole’a Portera” – opcji zaproponowanej przeze mnie, zanim pojawił się Joe.

– I jeszcze jedna superrzecz, jaką widziałam – mówiła, nie odrywając wzorku od notatek – to był taki jakby taniec od ołtarza?

– Super – powiedział Joe, zanim zdążyłam go powstrzymać. – Jak ten na YouTubie?

– No! To był ten na YouTubie. – Flora promieniała. – Państwo młodzi byli już przy ołtarzu, ksiądz też i zaczął wykonywać taniec, coś jak breakdance, a oni się przyłączyli i potem wyszli, tańcząc, normalnie przepłynęli jak... jak prąd? I wszyscy klaskali i wiwatowali. To było super wzruszające.

– Serio? – powiedziałam przez zaciśnięte zęby. Zabrzmiało okropnie. Więc postarałam się, by mój uśmiech był tak promienny jak nigdy. – Ależ dziwnie. Pewnie wcześniej pobrali się normalnie, bez rozgłosu, w Babington House albo innym londyńskim hotelu?

– Raczej nie... – odpowiedziała. – U św. Łukasza i św. Piotra w Little Ripley.

– I ksiądz nie miał nic przeciwko? – westchnęła Julia.

Flora potrząsnęła głową i płowozłote włosy opadły na jej twarz. Odsunęła je długą dłonią, oślepiając nas blaskiem brylantu wielkim jak kostka cukru, po czym wyjaśniła: – Pozwolili, by kościół zatrzymał cały sprzęt Wi-Fi, który zainstalowali dla kamerzysty, więc nie protestował.

– Niesaamowiteee... – przeciągnął Joe, papugując manierę Flory. Udusić to za mało! Z uśmiechem na ustach zakopałabym go jeszcze głęboko... bardzo głęboko.

Wzięłam się w garść. *Jestem organizatorką ślubów*, przywołałam się do

porządku. Potrafię posterować Florą ku eleganckiej, tradycyjnej uroczystości, z której ma zasłynąć Bonneville. Już widziałam te zdjęcia. Co też Laurence chciał? Trzy ogólnokrajowe magazyny? Będą się ustawiać w kolejce i błagać o możliwość sesji w apartamencie nowożeńców po tym, jak świat zobaczy Florę Thornbury wysiadającą z zabytkowego rolls-royce'a u naszych czarno-złotych drzwi.

– Cóż, to zawsze miło spotkać pannę młodą, która ma własne oryginalne pomysły na ślub – powiedziałam spokojnie.

Julia błysnęła wzrokiem – który u matek panien młodych oznaczał – *Nie-e, żadnych oryginalnych pomysłów, dziękujemy bardzo.* Z rozmów telefonicznych z Julią wiedziałam, że zależało jej na wizytowych strojach i łososiu, z pewnością nie na druźbach w szortach i tańcu u ołtarza. A skoro to ona płaciła za ślub, chciała mieć pewność, że dostanie ślub, jakiego chce.

Gdy tylko nasze oczy się spotkały, próbowałam przekazać jej moje wsparcie. Nie mogłam przecież powiedzieć: „Nie zwracaj proszę uwagi na tego idiotę, to syn właściciela”, skoro ich rodziny znały się od lat, a ja naprawdę potrzebuję tego ślubu. Już otwierałam usta, by powiedzieć coś uspokajającego, ale nim zdążyłam, Joe wystrzelił z kolejnym pomysłem.

– Hej, a myślałaś o hashtagach na twitterze, by goście mogli na żywo komentować ślub?

– Dobrze, dziękujemy za pyszną herbatę – powiedziała Julia tonem kończącym wszelkie dysputy.

– Mówiliśmy już o naszym mistrzu ceremonii? – desperacko próbowałam ją zatrzymać, przyciskała już segregator do piersi jak rozłączający się gorset. Kontakty na trzydzieści lat eventów odpływały do innego hotelu.

Panika ścisnęła mi gardło:

– Albo nasz apartament nowożeńców? Najbardziej romantyczny w Londynie... i stworzymy magiczne miejsce dla całej świty panny młodej w apartamentach na trzecim piętrze.

– Rosie, bardzo mi przykro, ale mamy kolejne spotkanie po drugiej stronie miasta, a mój kierowca jest beznadziejny.

Julia wygładziła spódnicę i wstała, ja za nią. Po chwili Flora rozplątała swoje niekończące się nogi i wstała, Joe – by zareagować – potrzebował znacznie dłuższego czasu i bardziej wymownego spojrzenia.

Wychodząca Flora stanowiła piękny widok, gdy patrzyła tęsknym wzrokiem na przestronny hotelowy salon, jak gdyby żałowała, że opuszcza go tak szybko. Niestety Julię już wymiotło, a wraz z nią moje wszelkie nadzieje na wesele roku.

Tymczasem Joe wyszczerzył zęby w optymistycznym uśmiechu, trzymając kciuki do góry, jakby właśnie własnymi rękoma zapewnił nam rezerwację stulecia.

Wpatrywałam się w niego przerażona, z otwartymi ustami. Nie chodziło o to, że nie wiedział, co zrobił, tylko o to, że był z tego naprawdę dumny.

Przejął. Musiałam porozmawiać z Caroline. Musi odejść, zanim zepsuje wszystko, na co pracowałam, albo go uduszę, jego albo nas oboje.

Rozdział dwunasty

Jak tylko lokaj Frank odprowadził Julię i Florę do czarnego mercedesa z szoferem, pozwoliłam, by uśmiech zniknął z mojej twarzy. Mięśnie policzków bolały mnie od wysiłku, by go utrzymać, gdy tak naprawdę miałam ochotę odrzucić głowę do tyłu i zawyc z frustracji.

– Joe – powiedziałam, nie zadając sobie trudu, by na niego spojrzeć. – Pozwól za mną.

Joe tymczasem machał im zapamiętałe, jakby wywoływał znajomych na koncercie: – Gdzie? Do baru? Poszło znakomicie, prawda?

– Nie. Nie poszło znakomicie. Idziemy do gabinetu Laurence’a.

Obróciłam się i zaczęłam iść tak zamasyście, że moje szpilki robiły dziury w wykładzinie. I mało mnie obchodziło, że wyglądam kaczkowato.

Joe podążał za mną, lecz w znacznie wolniejszym tempie: – Dlaczego?

– Żeby szybko wytłumaczyć się z faktu, dlaczego polegliśmy, dogrywając umowę ślubną z Thornbury. I umowę na obiad po próbie, i na weekendowe spa dla druhen, i na wszystkie inne niezwykle szykowne i dochodowe atrakcje ślubu Thornbury, jakie zaplanowałam.

Z każdym słowem mój głos stawał się bardziej piskliwy, a ja mocniej stapałam wzdłuż korytarza. Wiedziałam, że brzmiałam jak histeryczka, ale nie mogłam się powstrzymać. Tak bardzo pragnęłam tej rezerwacji. Czy on nie słuchał niczego, co do niego mówiłam?

Joe prawie biegł, próbując dotrzymać mi kroku: – Zwolnij. O co ci chodzi?

Zatrzymałam się tak nagle, że na mnie wpadł, a gdy się obróciłam, mój nos był tuż przy jego.

(Dokładniej rzecz biorąc, mój nos był na wysokości jego brody. Joe był wysoki, a ja nie miałam moich najwyższych szpilek. Ale widzicie tę scenę? Stałam w obliczu dezodorantu i głupiego naszyjnika, który

ciągle tam był, tego z muszelką pośrodku).

Dwie kelnerki z baru, które zmierzały w naszym kierunku, obróciły się o 180 stopni i pomknęły przez salon, gdy zobaczyły moją minę.

– Nie masz pojęcia, jak mógłbyś to zrobić lepiej? – zapytałam najspokojniej jak umiałam.

– Nie – odpowiedział. – Zasugerowałem kilka rzeczy, słuchałem, co panna młoda ma do powiedzenia, zgodziłem się z nią. Dokładnie tak jak mi kazałaś. Wyglądały na zadowolone.

Przypomniały mi się zaciśnięte usta wychodzącej Julii Thornbury. Kobiety, której obiecano eklerka, a wręczono pączka z dżemem bez serwetki.

– Nie miałeś zgadzać się ze wszystkim, co mówi panna młoda – powiedziałam spokojnie.

Joe wyglądał na zakłopotanego: – Ale przecież nie zadałem pytań, na które chciałem znać odpowiedź. Na przykład czy ten Milo ma cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie? I czy tata Flory przyjdzie czy nie. To byłoby nie na miejscu.

– Ich lista gości, ich problem! Mój problem to spotkanie, które szło idealnie, dopóki się nie pojawiłeś – powiedziałam powoli, powstrzymując się od krzyku. – Wszystko miałam pod kontrolą. Matka Flory, która bądź co bądź za to płaci, chciała usłyszeć, że jesteśmy w stanie zaproponować wyrafinowaną i tradycyjną cywilną ceremonię ślubną. Tego chciała, gdy rozmawialiśmy przez telefon. I to miała dostać – i to też podobało się Florze, póki nie przyszedłeś! I zacząłeś... zacząłeś... zachęcać Florę szalonymi sugestiami tańczących breakdance druhen oraz oferowaniem rzeczy, których wiesz, że nie zapewniamy.

– Rzeczy, których do tej pory nie zapewnialiśmy – poprawił mnie. – To nie znaczy, że nie możemy tego zrobić w przyszłości. Czy nie powtarzałaś mi, że jesteś po to, by spełniać sny klientek?

Czemu, do diaska, wykorzystywał moje własne słowa przeciwko mnie?

– Nie o to chodzi! Na tym etapie panny młode mają szalone pomysły!

Naprawdę uważasz, że to, czego potrzeba Bonneville, to dmuchany zamek?

– Ale podobał jej się pomysł tańca przy ołtarzu.

– Ale mi nie. To nie jest rozrywka, którą tu oferujemy.

– Ale Rosie – powiedział Joe z irytującym, pełnym świętości głosem – To. Nie. Jest. Twój. Ślub.

– W pewnym sensie jest! To nasz hotel pojawia się w gazetach. – Ciężko wydychałam powietrze nosem. Brzmiałam jak byk. – Wszystkie panny młode są jak owieczki w wielkich spódnicach. Jeśli Flora Thornbury będzie miała drużny paradujące po wybiegu wokół ogrodu, to inni też zechcą, i pozwól, że ci powiem, że z każdą paradującą panną tracisz dziesięć normalnych.

Hotel Świętej Marii stracił połowę rezerwacji w ciągu doby po jednym wpisie blogerki, która umieściła zdjęcia panny młodej wjeżdżającej na ośle tuptającym do ołtarza. A to był bardzo ładny osioł.

– Naprawdę? Jesteś pewna? – zafrapował się Joe. – Przecież nieważne, jak mówią, ważne, by mówili.

Zasłoniłam twarz rękoma, próbując mieć na uwadze, że Joe nie próbuje mnie wkurzyć, tylko myśli w inny sposób. Ale czy to możliwe, by Laurence lub Caroline nic mu nie powiedzieli o ich wizji rozwoju Bonneville? Czy on nie widział odbicia romantycznej kobiecości w każdym zakątku hotelu, romantycznych ławeczkach czy delikatnych filizankach?

– Nie, nie zawsze się to sprawdza. Próbujemy odbudować reputację hotelu, który kiedyś słynął z elegancji i dyskrecji, „bezpieczne sekrety Hollywood”, jak dawniej. To jest romantyczny hotel, klasyczne miejsce, by spędzić w nim miesiąc miodowy. Bonneville to szampan, kwiaty, białe suknie i kwartet smyczkowy grający Cole’a Portera... nie goście wrzucający hashtagi na twittera i drużbowie w strojach Aston Villa.

Joe milczał i gdy już myślałam, że coś do niego dotarło, wywrócił oczami i odezwał się: – Serio, jesteś naprawdę pomyłona. Nie możesz

wszystkiego kontrolować. Wyluzuj trochę.

Szlag mnie trafił. Joe właśnie udowodnił, że a) w ogóle mnie nie słuchał, b) nic nie zrozumiał z organizacji eventów i c) naprawdę nie miał pojęcia, jak bardzo wkurzony będzie Laurence, gdy dowie się o fiasku ślubu Thornbury, zwłaszcza że już mu powiedziałam, że umowę mamy w garści.

– Za to mi płacą! – wybuchnęłam. – Matka Flory chce organizatora, który wszystko będzie miał pod kontrolą i zgodnie z budżetem i nie pozwoli, by Florze odbiło. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak skomplikowane jest najprostsze wesele?

– Co? Nie. Naprawdę. Pojawia się dwoje ludzi, obiecują sobie miłość na wieki, jedzą tort, piją szampana, jadą na wakacje. I tyle.

Nie mogłam w to uwierzyć: – Joe, miałeś kiedyś dziewczynę?

– Co? A co to ma do rzeczy? – Teraz wyglądał na wkurzonego, co sprawiło, że ja również bardziej się zdenerwowałam, bądźmy szczerzy, jaki on miał powód, by się zdenerwować?

– Czy miałeś kiedyś dzie...

– Oduść sobie. Klient ma zawsze rację, tak? Czy to może zbyt amerykańskie podejście? Jeśli panienka chce dmuchany zamek, daj jej dmuchany zamek. To jej dzień, do cholery. – Wyrzucił ręce w powietrze. – Co się tak przejmujesz, sama mówiłaś, że to tylko duża imprezka.

Pominę fakt, że rzeczywiście to powiedziałam. Ale nie to miałam na myśli. Wyjątkowo trudno się z nim kłóciło.

– Jeśli rzeczywiście tak uważasz – odparłam lodowato – to lepiej będzie, jeśli poprosisz Laurence’a, by przeniósł cię do obsługi hotelowej. Będziesz mógł mówić Jean, że to „tylko prześcieradła.

Skrzyżował ręce na piersi: – No i dobrze. Bo to są tylko prześcieradła, może nie? Nie mam z tym problemu i spokojnie mogę powiedzieć to Jean.

– Ha! Zatem powodzenia. Z pewnością pokochasz zsypaną na brudną pościel.

– Hej, hej, hej! Co się tu dzieje? – Wkroczyła Helen, pojawiła się nagle,

wychodząc z ukrytego przejścia w rogu. Była zarumieniona, na jej twarzy malowała się wina i obrzydzenie samą sobą, od razu domyśliłam się, że rozmawiała z Seamusem.

– Nic – odparłam.

– To nie wygląda jak nic.

– Wysłuchiwałem właśnie kazania na temat zapewniania prawidłowej usługi zaślubin od tego oto Robota Romansu. – Pociągnął nosem. – Wyszło na to, że jeżeli nie pasujesz do jej ślubnego szablonu, nie możesz pobrać się w tym hotelu.

– Nie bądź śmieszny. To nie jest to, co powiedziałam – zaczęłam.

– Cóż... – zaczęła Helen, ale przystopowałam ją wzrokiem. Podniosła ręce i kontynuowała: – Masz swój szablon, ale nic w tym złego. My też mamy w restauracji.

– Dokładnie. – Obróciłam się do Joego. – Jeśli każdy zamawiałby na obiad to, czego nie ma w menu, jak miałyby egzystować kuchnia?

– Dając ludziom to, czego chcą? – zasugerował nabożnie. – Ona tylko chciała tanecznie pójść do ołtarza, a nie by goście przyszli nago.

Zamknęłam oczy i zniesmaczona twarz Dominika przepłynęła przede mną z anegdotą na ustach. Wiedziałam, jak on by to załatwił: dałby Joemu wystarczająco dużo liny, by się powiesił. Jeśli dla Joego przemysł hotelarski jest takim utrapieniem, to nie wytrzyma w nim długo, prawda?

– Rosie, potrzebuję twojej opinii w sprawie tortu – dziarsko rzekła Helen i poczułam, jak bierze mnie za rękę. – I potrzebuję jej przed lunchem. Joe, wybaczysz nam? Przepraszam...

– I tak wychodziłem – odpowiedział i wymaszerował przez obrotowe drzwi.

– Hej! Nie! – zaprotestowałam. – Jeszcze nie skończyliśmy...

Helen trąciła mnie mocno: – Zostaw to, dopóki nie ochłoniesz. Musimy pogadać.

– Chyba nie mam ochoty na tort – protestowałam, gdy ciągnęła mnie do gabinetu. – Herbata z dwudziestotrzyletnią modelką reklamującą bieliznę

odebrała mi przyjemność.

– Nie chodzi o tort. – Wepchnęła mnie do środka, zamykając drzwi. Oczy jej błyszczały, a na twarzy pojawiły się różowe plamy. Wiedziałam, że rozmawiała z Seamusem. Równie dobrze mogła mieć spaghetti we włosach.

– Chciałam tylko sprawdzić, czy będziecie na kolacji z okazji wręczenia nagród w przyszły piątek.

– Oczywiście, że tak – odpowiedziałam. Podczas mojej nieobecności położono pocztę na moim biurku i zaczęłam przedzierać się przez oferty balonów na ogrzane powietrze czy jadalne kwiaty. – Dominik od dawna ma wybrany strój, a w ten weekend ćwiczył na mnie swoje cięte riposty. Nie wiem, czy wspominałam, że jest nominowany do nagrody?

– Wspominałaś. Codziennie. Myślałam, że moglibyśmy przed obiadem pójść na drinka i... pogadać.

Popatrzyłam na nią znad sterty listów. Helen i ja często chodziłyśmy na drinka po pracy (a gdy dzień był bardzo słaby – i podczas pracy), ale nigdy nie udało nam się pójść we czwórkę. Nasze godziny pracy sprawiały, że było to tak trudne jak zorganizowanie szczytu G8. Chociaż miało tę zaletę, że nie musiałyśmy zażegnawać konfliktu na linii Seamus-Dominik. A biorąc pod uwagę osobowości obydwu z nich, byłoby to nieuniknione.

– Jesteś pewna? Będzie tam wystarczająco dużo alkoholu, by zatopić centrum Londynu. A Seamus jest, yyy, z pewnością jest utalentowany na wiele sposobów, ale konwersowanie nie jest jego mocną stroną. – Próbowałam się uśmiechnąć. – Więcej mówi do mnie jego mięso w cieście.

Helen bawiła się miską słodkich migdałów stojącą na moim biurku: – Czytałam poradnik o modelowaniu związku według potrzeb i pomyślałam, że jeśli Seamus zobaczy, jak ty i Dominik zachowujecie się wśród ludzi, to może pomyśli... może da mu to do zrozumienia. Jemu jest trudno, bo spędza tyle czasu w pracy. On nie wie, jak być chłopakiem.

Czasem zastanawiałam się, czy Helen słyszy to, co mówi: – A Dominik

i ja jesteśmy parą, na której chcecie się wzorować?

– Tak! – przytaknęła energicznie. – No chodź! To będzie regularna podwójna randka! Wszyscy pracujemy w branży – powinniśmy wychodzić do nowo otwieranych knajp i na imprezy z okazji otwarcia lokali.

Ani jedno, ani drugie nie jest tak fajne, jak wam się wydaje, uwierzcie mi.

– Helen, pochlebia mi, że uważasz mnie i Dominika za wzorową parę, ale wiesz o tym, że równie dobrze zamiast pić sobie z dziubków, możemy zrobić awanturę o ilość wina w kieliszku? – zaznaczyłam. – To ostatnie jest nawet bardziej prawdopodobne.

– Cóż, nawet to byłoby w porządku. Nawet to, jak się spieracie, jest zabawne. Jest wam ze sobą tak dobrze. Zresztą czy ostatnio nie jest lepiej pomiędzy tobą i Dominikiem? – Podała mi migdały. – Znaleźliście już mieszkanie pasujące wam obojgu?

– Jeszcze nie. Ale Dominik naprawdę się w to zaangażował. Bardziej niż myślałam. Dlatego muszę przyspieszyć cały ten awans, by wpłacić połowę sumy za mieszkanie... – gdy tylko zdążyłam to powiedzieć, pojawiła się przed moim oczami twarz Julii Thornbury skreślającej Bonneville z listy potencjalnych ślubnych miejsc. – Chociaż wydaje się, że Joe ostatnio zakręcił ten kurek.

Spojrzałam na Ślubimarcz i na puste miejsce w czerwcu, gdzie powinnam była przyznać sobie srebrną gwiazdkę za Floreę Thornbury. Już nawet przygotowałam srebrne gwiazdki i w ogóle:

– O Boże, jak ja to powiem Laurence'owi? Znowu spadnie mu cukier, gdy usłyszy, że nie zamknęliśmy tego wesela. Caroline też – ona już wirtualnie wydała Julię za Laurence'a.

– Co?

– Chce, żebym znalazła mu żonę numer trzy. Żeby się od niej znowu odczepił.

Helen wybałuszyła oczy:

– Rosie, nie wydaje ci się czasem, że jesteś troszkę zbyt zaangażowana w życie tej rodziny?

Na szczęście nie musiałam odpowiedzieć na to pytanie, bo Gemma wsadziła głowę do gabinetu, mówiąc:

– Laurence chciałby zamienić z tobą słówko. W swoim gabinecie.

Nie zanosilo się na słówko, raczej na jedno długie wycie.

Świetnie.

W ciągu trzydziestu sekund dzielących mnie od opuszczenia mojego biura i zapukania do drzwi Laurence'a, kłóciłam się sama ze sobą, czy zrzucić winę na Joego, czy nie. Zdecydowałam, że nie. Chyba że już tam będzie siedział. Wówczas... wszystkie chwytby są dozwolone w miłości i organizacji ślubów.

Zatem gdy zauważyłam Joego siedzącego na fotelu naprzeciwko Laurence'a, mój mózg wykonał gwałtowny zwrot. Jak on w ogóle zdążył tak szybko tam dotrzeć? Udawał, że wychodzi z hotelu i zakradł się z powrotem, by mnie pogrążyć?

– Aj, Rosie! Siadaj, siadaj. – Laurence machnął w kierunku fotela z jowialnym wyrazem na swojej wisielczej twarzy. Zanim usiadłam, zerknęłam szybko na Joego. Nie spodziewałam się „siadaj, siadaj”.

Tymczasem Joe, jak to on, wydawał się słodko zadowolony sobą. *On nadal uważa, że wszystko świetnie zrobił* – pomyślałam. Żyje w nieświadomości.

– Napijesz się? – zaproponował Laurence. – Sok z granatów? Spirulina? Zielona herbata?

– Dziękuję – odparłam.

– Joe? – Zrobił minę. – Pędy pszenicy?

Cholerne kalifornijskie zdrowotnościowe dyrdymały, pomyślałam gniewnie.

– Więc? – powiedziałam beztrąsko. Wzięłam ze sobą różowy telefon awaryjny, by wyglądać na zabieganą i niezastąpioną, na wszelki wypadek. Helen miała zadzwonić za piętnaście minut, jeśli do tego czasu stąd nie

wyjdę.

– Więc, tak, no cóż, chciałem z wami porozmawiać. – Laurence nalał sobie czegoś zielonego i zdrowego do kieliszka do martini. – Dzwoniła do mnie Julia Thornbury.

Joe i ja wymieniliśmy spojrzenia, a potem on zrobił dziecienną minkę *I?* Którą niestety ja spapugowałam.

Ale to ja byłam profesjonalistką, więc wzięłam głęboki wdech i powiedziałam: – Mogę to wytłumaczyć, że... – Dokładnie w tym samym momencie odezwał się Joe: – Chodzi o to, że...

Lecz Laurence tylko lekceważąco pomachał ręką: – Rosie, nie ma potrzeby, byś wyjawiała mi swoje sekrety negocjacji. Cokolwiek zrobiłaś, trafiło w czuły punkt. Z radością oznajmiam, że Flora Thornbury i jej bardzo sławne nogi wyjdą za mąż w naszym małym hoteliku w czerwcu przyszłego roku.

– Co? Serio? – znowu Joe i ja powiedzieliśmy razem.

– W rzeczy samej. – W życiu nie widziałam Laurence’a tak zadowolonego z siebie, a uwierzcie mi, przez te wszystkie lata widziałam niejedno. – Okazuje się, że jesteś bardzo kompetentną młodą damą, a Joe jest urodzonym organizatorem ślubów! Bardzo świeżym. Bardzo... nowatorskim. Flora bardzo chce, byś pomógł koordynować jej ślub. Ma wrażenie, że ją „czujesz”, cokolwiek to znaczy, mam nadzieję, że nic obraźliwego – dodał jowialnie.

– Flora chce, by Joe pracował przy jej ślubie? – Moje serce, które zdążyło się wznieść na wyżyny mojego mentalnego Ślubimarza i perspektywy tysięcy z portfela Thornburych płynących znowu w moim kierunku, runęło jak bukiet z ołowiu przewiązany ołowianymi wstążkami. Utknęłam z Joem na długo.

– Oczywiście pod nadzorem Rosie. Julia dobitnie podkreślała, że chce, byś ty, Rosie, trzymała pieczę nad weselem, za to Flora nalegała na wkład Joego w sprawie szczegółów. Wyjaśniłem im, że zazwyczaj nie dedykujemy więcej niż jednego organizatora, ale jako że jest to wyjątkowy ślub, z radością zrobię wyjątek od tej reguły i oboje będziecie

do ich dyspozycji, plus ekipa wspierająca. Dobrze powiedziałem, prawda? Podałem im też wasze numery telefonów.

– Aha – powiedziałam słabo.

– Super – zareagował Joe. – Czyli jestem teraz pełnoprawnym członkiem zespołu i zostaję w eventach, zgadza się?

– Ależ nie, tak jak planowaliśmy, będziesz pracował w każdym dziale, ale do czerwca pracujesz razem z Rosie nad tym weselem – wyjaśnił Laurence. – Zakładam, że nie jest to uroczystość, której organizację dacie radę zamknąć w weekend?

– No nie – przytaknęłam słabym głosem, wyobrażając sobie niekończące się spotkania w sprawie ochrony, kwiatów, degustacji tortu itd., wszystko to z personą Joego w tle, jego głupimi pytaniami i niedorzecznymi sugestiami, oraz mną pacyfikującą Florę i Julię.

– Cudownie! Nareszcie okazja godna uczczenia. Zdrówko! Za Thornburych! – Laurence zatarł dłonie i łyknął leczniczego koktajlu.

Cierpiętnicza mina, jaką przybrał, próbując go przełknąć, nie różniła się bardzo od tej, którą miałam po wewnętrznej stronie mojej twarzy.

Rozdział trzynasty

Jak już niejednokrotnie wspominał – tysiące razy, odkąd otrzymał wiadomość – Dominik został nominowany do nagrody London Eats and Drinks Award w kategorii Pisarza Roku. Nie przewidywał jednak wygranej. Nie dlatego, że uważał, że nie jest najlepszy – był o tym święcie przekonany – ale dlatego, że zdobył tę nagrodę już dwa razy w ciągu dwóch ostatnich lat. „A to zaczyna wyglądać, jakbyś miał znajomego w komisji, jeśli wygrywasz więcej niż dwa razy z rzędu”.

– I – zaznaczył w taksówce, jadąc na rozdanie – to zależy, czy dadzą nagrodę Szefa Kuchni Roku Eddiemu Hopkirkowi. Byłoby to niezręczne po recenzji, jaką mu napisałem.

– Nie przypominaj mi o niej – powiedziałam grobowo. Kolorowa groźba śmierci nabazgrana na odwrocie menu, którą Dominik określił jako „rozwiązanie dla osób na diecie, które nie chcą być kuszone w dniu postu, oprawiona w ramkę i powieszona na honorowym miejscu w kibelku, gdzie wyglądała samopotępiająco, a jednak każdy ją zauważał”.

– I nominowali Karyn Chan – przypomniałam. – Tempura o smaku smażonego papierowego ręcznika.

Nie podniósł wzroku znad laptopa; uzupełniał spóźniony artykuł na stronie gazety.

– Zmywaczek! Powiedziałem, że smakuje jak zmywaczek nasączony piwem. – Trącił mnie zadziornie, co nie ułatwiło robienia makijażu na ostatnią chwilę. Laurence zgodził się dać mi wolny wieczór, ale zupełnie jak Kopciuszek, wcześniej musiałam zrobić swoje. – Nie czytasz moich recenzji?

– Tych online, nie. Komentarze pod spodem są zbyt przerażające. I są od kucharzy – zrobiłam przerwę, by spojrzeć na niego znacząco znad puderniczki. – Proszę, nie zdenerwuj dzisiaj nikogo, dobrze? Nie chcę scen.

– Oh, nikt na to nie zwraca uwagi. To część gry – odpowiedział lekceważąco. – Wolą, bym napisał o nich cokolwiek niż wcale. Tak długo jak to jest prawda. Wtedy dużo lepiej wyglądają te miejsca, którymi się zachwycam.

Otworzyłam szeroko oczy, by sprawdzić, czy korektor zatuszował worki pod nimi. Nie zatuszował, ale po tygodniu jak ten nawet cement przemysłowy by tego nie zrobił. Pewnie i przez ray-bany można je było zobaczyć.

– Betty, kochanie, wyglądasz olśniewająco – powiedział, zanim zdążyłam zapytać. Dominik był dobry w dawaniu komplementów, gdy należało. Zamknął laptop i wyciągnął rękę, by objąć moje ramiona. – Nie rozumiem, czemu tak się martwisz moim zachowaniem, gdy będziemy mieli Seamusa Krzykacza przy naszym stoliku. Przy nim będę jak Desmond Tutu. Czy fakt, że jest nominowany, zwiększa prawdopodobieństwo, że upije się i będzie miał kryzys?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Proszę cię, nie podkrecaj go – powiedziałam automatycznie. – Dla dobra Helen.

– Co? Jego nie można nie podkrecić! On jest notorycznie nakrecony. Jest jak gigantyczny, wściekły budzik z wielkim nożem. Nie wiem, co Helen widzi w tym kłótliwym małym rzeźniku. Poza jego wołowinę, która zasługuje na porządne osiem na dziesięć.

Już miałam otwarte usta, by zaprotestować, gdy mrugnął do mnie bezczelnie.

– No dobrze, osiem i pół na dziesięć. Ale jego puddingi są na minusie.

– Helen go kocha, więc nie może być taki całkiem zły. – Przypudrowałam błyszczący się nos, zastanawiając się, czy nie jest za późno na całkowity botox na twarzy. – Puszczaj płazem jego... żywą osobowość, ponieważ jest genialnym szefem kuchni i do końca roku będzie miał kolejną gwiazdkę Michelin.

– Raczej będzie miał nakaz sądowy albo go zlicytują – odparł Dominik radośnie i taksówka zatrzymała się przed wejściem, uniknęłam więc wątpliwej przyjemności obrony reputacji Seamusa Lyncha.

Londyńskie Eats and Drinks Award odbywały się w starym budynku londyńskiego metra – taktowny i neutralny ruch, biorąc pod uwagę fakt, że większość dużych hoteli była nominowana w tej czy innej kategorii.

Helen czekała na nas w foyer. Jak zwykle podczas takich okazji wystawała o pół głowy nad morzem czarnych marynarek. Jej platynowe włosy lśniły pod żyrandolami, jakby kręciła reklamę szamponu. Gdy nas zobaczyła i pomachała, pięciu mężczyzn obróciło się z nadzieją, że być może macha do nich.

Tutaj!, powiedziała bezgłośnie i przepchnęliśmy się do baru, by usiąść obok niej. Szłam pierwsza, wiedziałam z doświadczenia, że inni będą zaczepiać Dominika po drodze, gratulując mu ostatniej recenzji albo, co bardziej prawdopodobne, awanturować się o nią, a ja potrzebowałam szampana.

– Trzymaj. – Helen wręczyła mi kieliszek, gdy tylko znalazłam się w zasięgu, jak sztafeciarski przekazujący pałeczkę. – Już myślałam, że nie zdążysz. Czego tym razem chciała histeryczka Gemma?

– Pomocy przy bilecikach prezentowych na ślub Tabithy. – Westchnęłam błogo, gdy bąbelki dostały się do krwiobiegu. – Wychodzi za Matta, nie Mike’a. Mike to drużba. Mogło wyjść niezręcznie. Joe miał to naprawić, ale znowu zdezerterował. Widziałas się z nim przed wyjściem?

Helen potrząsnęła głową: – Pewnie ukrywa się przed tobą po Incydencie Kawalerskim. Załagodziłaś to?

– Tak jakby. Nie. – Joe ożywił wczorajsze spotkanie z Julią i Florą, oferując organizację weekendu kawalerskiego dla Mila w ramach pakietu ślubnego. Panieńskiego Flory również. Z początku mu na to pozwoliłam: myślałam o degustacji whiskey dla Milo i dekoracji babeczek dla Flory, gdy nagle Joe wyskoczył z dziką sugestią chodzenia po rozżarzonych węglach i burleskowego striptizu dla obu stron, z rodzicami włącznie. Prawie widziałam, jak Julii podniosło się ciśnienie, gdy Flora i Joe zastanawiali się, czy można by zainstalować rurę w sali Clarendon.

– Nie mogę się zdecydować, czy przeszkadza mi to, że się wymiguje,

czy nie – powiedziała ponuro. – Pewnie to dobrze, dla odmiany. Za każdym razem, gdy otwiera usta na spotkaniu, widzę, jak cofa się mój Ślubimarz.

– Zapomnij o Joem. To będzie cudowny wieczór. O popatrz, już skończyłaś drinka – powiedziała. – Napij się jeszcze. Jak moja sukienka?

– Wyglądasz zabójczo – przyznałam zgodnie z prawdą.

Helen była wystarczająco wysoka, wiotka i, co najważniejsze, elegancka, by dobrze wyglądać w długich sukienkach na ramiączkach. Jej lekko nieporządnie zaplecione włosy opadały na jedno ramię, w przeciwieństwie do jej codziennej ulizanej fryzury. I za każdym razem, gdy popijała wino, pobrzękiwały bransoletki na jej nadgarstku.

Ja wybrałam moją zieloną koktajlową sukienkę, która (miałam nadzieję) przy dobrym oświetleniu sprawiała, że wyglądałam trochę jak Joan z *Mad Men*. Miała działającą cuda podszewkę korygującą, która nieznacznie utrudniała jedzenie. Ale główną zaletą było to, że wyglądałam szykownie, lecz nie wulgarnie, i miałam ukrytą kieszonkę na wizytówki.

– Dzięki! Ty też wyglądasz szalowo. – Helen nachyliła się i wyszeptała: – Mam nadzieję, że stanie się to dziś wieczorem!

Ścisnęłam kciuk dłoni, którą nie trzymałam kieliszka, i uśmiechnęłam się: – Na pewno! Coś mi mówi, że Seamus zostanie Szefem Kuchni Roku. Czytałam, że jest jednym z faworytów, zaraz po Karyn Chan.

– Ja nie o tym – powiedziała. – To znaczy o tym też, ale mam nadzieję, że dzisiaj wieczorem Seamus zgodzi się zamieszkać ze mną!

Uśmiechnęłam się, ale w głębi duszy jakiś głos zapiszczał Cooooooooooooo? Nie chciałam, by Helen wpuściła zgryźliwego, nieprzewidywalnego Seamusa do jej maleńkiego, pięknego mieszkanka. Nawet na kilometr blisko niego. Lecz to było skomplikowane; przez te wszystkie lata zgodziłam się już z tyloma wytłumaczeniami zachowania Seamusa, że teraz nie miałam jak się wycofać. Zwykle robiłam to, by uzyskać zapewnienie, że Dominik wcale nie jest za bardzo ekscentryczny. Tak czy siak, niezręcznie było się z tego wymigać. Wcale nie czułam się przez to lepiej.

I wtedy pojawił się Seamus we własnej osobie i Helen zaczęła promienieć w ten drgający sposób co zwykle, gdy z nim była. Seamus też miał drgającą aurę, ale w inny sposób. To był rodzaj drgania, który powinnaś mieć na oku, w razie gdyby zamierzał cię zaatakować.

– Rosie – wyburczał na mój widok. – Sie masz.

– Dziękuję, dobrze, Seamusie – odpowiedziałam i po niezręcznej chwili cmoknęłam go w zarośnięty policzek. Pachniał whiskey, mydłem i dymem, z pikantnym aromatem czosnku.

Helen namówiła go na marynarkę, ale już nie na uczesanie włosów czy ogolenie twarzy, chociaż może był to celowy zabieg, by wyglądał jak gwiazda rocka. A może wyglądał bardziej rockowo niż zwykle, ponieważ niczym Duch Rozdania Nagród pojawił się za nim Dominik.

W przeciwieństwie do seksownego nieładu Seamusa staroświeckie cechy i upodobania Dominika sprawdzały się podczas takich okazji. Uwielbiał muchy, a jego szerokie ramiona były stworzone do wieczorowych strojów. Gdybym mu pozwoliła, założyłby pelerynę, ale że istniało niebezpieczeństwo, iż goście wezmą go za brodatego magika, odstąpiliśmy od tego pomysłu.

– Dobry wieczór, Seamusie! – powiedział. – Jak widzę, wypuścili cię z kuchni?

– Hej, Dominik. Sie masz. Dawnośmy się nie widzieli – odburknął Seamus. – Zabawne.

Cisza zaległa pomiędzy nami. Jak już może wspominałam, Seamus nie należał do wielbicieli gadki o niczym.

– Może pójdziemy do stolika? – zasugerował Dominik. – Czy wolno nam już tam przejść? Nie dam rady dłużej unikać kanapeczek, a za każdym razem, gdy przechodzą, jest mi ich żal. Same z siebie zwijają się ze wstydu.

– Ty mu podrzuciłaś tę kwestię i kazałaś wykuć na pamięć? – zmierzając do stolika, wymruczała Helen, ale tylko uśmiechnęłam się pogodnie.

(Tak zrobiłam).

Nasz stół – dzięki hojności i próżności Laurence’a, aby być widocznym na eventach takich jak ten – był w „dobrej” części sali: nie za daleko od sceny i nie za blisko kibelków. Mieliśmy zabawiać kilku kluczowych współpracowników hotelu – florystkę Shirin, Charliego Nevina – fotografa ślubnego, do tego handlarza winem o imieniu Josh, od którego Helen chciała wydębić lepsze ceny, i Mimi – podróżniczkę i dziennikarkę, która przepięknie opisała Bonneville i nasze cudowne apartamenty ślubne. I która była tak „wielką fanką” Dominika jak on sam.

Dominik brylował na takich ceremoniach. Znał mnóstwo zabawnych historii, mnóstwo plotek, ale też hojnie poświęcał czas rozmówcom, tak więc wkrótce wszyscy pograżyliśmy się w radosnej rozmowie, oprócz Seamusa, który zachmurzył się w połowie pierwszego dania i rozchmurzył na chwilę, gdy Dominik zaczął rozbierać „wieżę z oberżyny na trzy sposoby”.

– Na dwa sposoby byłoby wystarczająco, trzy to już przesada – powiedział, podnosząc ją na czubku swojego noża.

– Jest tylko jeden sposób na oberżynę – zaburczał Seamus. – Wywalić to oślizgłe badziewie.

– Dobrze powiedziane, mój przyjacielu.

Zaryzykowałam spojrzenie na Helen. Uśmiechała się do Wytwornego Josha, ale jej wzrok prześlizgiwał się z Seamusa na Dominika i z powrotem, a gdy nasze oczy się spotkały, wymieniłyśmy się spojrzeniem pełnym ulgi.

Na to pracowałam do nocy i w zaspane poranki, zamyśliłam się, uśmiechając do Helen i Dominika. Ja i moja najlepsza przyjaciółka, przy naszym stole podczas rozdania nagród, razem z naszymi przystojnymi, odnoszącymi sukcesami chłopakami, którzy zostali nominowani do nagrody...

Nagle poczułam ostry ból w łydce; to Helen kopała mnie pod stołem. Ja zsuwałam moje szpilki, Helen nigdy, a zawsze nosiła te z ostrymi czubkami.

– To kategoria Seamusa!

– A teraz jedna z najważniejszych kategorii dzisiejszego wieczoru: Młody Szeł Kuchni Roku...

– Czy to czyjś telefon? – zapytała nerwowo Shirin. – Chyba słyszę czyjś telefon.

– Nie, jestem pewien, że wszyscy powyłączali telefony – powiedział Dominik świętoszkowato – z szacunku. Do towarzystwa.

Wiadomo, że to był mój telefon. Co prawda miał włączone tylko wibracje, ale wibrował, dotykając metalowej miarki, którą zawsze miałam w torebce.

Wszyscy wyglądali na zniesmaczonych, chociaż nie chciało mi się wierzyć, że powyłączali swoje. Przez kilka głośnych buczeń udawałam, że to nie mój, ale w końcu musiałam zareagować. To była część obietnicy dawanej klientkom Bonneville: coś jak telefon do opiekuna z AA, ktoś jest na dyżurze 24/7, by pomóc w załamaniu.

– Wybaczcie, przepraszam – tłumaczyłam się, grzebiąc w torbie, podczas gdy wyczytywano nazwiska kucharzy. – To pewnie Laurence. On dzisiaj się wszystkim zajmuje.

– Jakby coś, jestem zajęta. – Helen ścisła rękę Seamusa tak mocno, że obojgu zbiełały kostki. – Powiedz, że to może zaczekać, aż Seamus wygra.

– Mam nadzieję, że wygra – wymruczał Dominik. – Jeśli tak wygląda, gdy jest szczęśliwy, wolę go nie widzieć rozczarowanego.

– Z Marden Arms Seamus Lynch...

Odebrałam telefon przy dźwiękach głośnego aplauzu: – Rosie McDonald, słucham?

– Cześć Rosie, tu Flora. Muszę ci coś powiedzieć.

O Boże. Tylko nie Flora. Nie teraz.

– Witaj, Floro! – próbowałam zabrzmieć spokojnie, ale nie było to łatwe, biorąc pod uwagę, że musiałam szeptać z Dominikiem wyjącem do ucha. – To nie najlepszy moment. Czy mogę oddzwonić za... dziesięć

minut?

Prawie mogłam usłyszeć focha po drugiej stronie: – To pilne. Mówiłaś, że mogę dzwonić o każdej porze. A do Joego też nie mogę się dodzwonić, ma wyłączony telefon.

Helen zrobiła minę *Kto dzwoni?* Gdy bezgłośnie powiedziałam *Flora*, odegrała scenkę wrzucania telefonu do karafki z wodą, ale pokręciłam głową. To była moja szansa wkraść się w łaski Flory, a niespodziewane sytuacje to moja specjalność.

Światło reflektora przesuwało się po stolikach. Uśmiechnęłam się słabo, gdy wylądowało na naszym, a dokładniej na skwaszonej facjacie Seamusa, potem odchyliłam się dostatecznie daleko, by nie być widoczną, a jednocześnie nie złamać kręgosłupa.

– Uśmiechnij się, Shay! – teatralnym szeptem wysyczała Helen i Seamus zaskoczył wszystkich absolutnie anielskim uśmiechem, który wybił nas z rytmu.

Zamrugałam nerwowo i skupiłam się na Florze, by zakończyć tę sprawę najszybciej, jak to możliwe:

– Jak mogę ci pomóc? – Udawałam, że opieram głowę na dłoni ukrywając telefon.

– Możemy załatwić śnieg na mój ślub? Zawsze chciałam zimowy ślub.
Co?

– Ale wychodzisz za mąż w czerwcu.

– Wiem. Ale czy możemy załatwić śnieg? W zeszłym tygodniu miałam sesję ze śniegiem, było ciepło i był śnieg. Chyba nie prawdziwy, możemy? – Wychwyciłam zwątpienie w jej głosie – Chciałabym, by ogród pokryty był śniegiem, a ja bym wjechała na saniach w futrzanej pelerynie? Jak w Narnii? Albo Szwajcarii?

– A nie byłoby ci za gorąco? Jeśli byśmy przesunęli ślub na grudzień, moglibyśmy...

– Ale w grudniu może padać! Nie chcę, by moi goście zmarzli. – Logiki nie można było jej odmówić. – Czy nie lepiej byłoby mieć śnieg, gdy jest

ciepło?

Dominik mierzył mnie wzrokiem, ale Flora ciągle paplała mi go ucha.

– Flora, w weekend prześlę ci materiały odnośnie do śniegu – wyszeptałam pospiesznie. – Okej? Ale teraz muszę kończyć. Tak, wyślę je dzisiaj. Dzisiaj. Jak wrócę z – gdy będę miała lepszy zasięg.

Zdałam sobie sprawę, że pochylałam się nad stołem niżej i niżej, aż dotknęłam blatu policzkiem: – Pa, Floro. Pa! Pa, Floro.

Rozłączyłam się w momencie przekazania złotej koperty prezenterowi.

– Czy to była Flora? – niewinnie zapytał Dominik.

– Tak. – Potarłam ucho. – To przez Joego. Zakładam się, że powiedział jej coś o sztucznym śniegu. To brzmi jak jeden z jego pomysłów.

– Ciii! – Helen zamachała rękami w moim kierunku.

Wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Seamus wyglądał, jakby miał wszystko gdzieś.

Proszę. Proszę, Boże spraw, by Seamus wygrał – modliłam się. Dla Helen. Załatwię sprawę z Florą i Joem bez narzekania, jeśli sprawisz, by Seamus wygrał.

Cisza się przedłużała.

I nawet namówię Laurence’a, by awansował Gemmę, dodałam, by dobić targu.

– I wygrywa... Seamus Lynch.

– Tak! – zaryczał Seamus i zaczął walić pięścią w powietrze, stół i dekorację na stole, którą na szczęście przed totalną destrukcją uratowała Shirin. Helen była w ekstazie, udało jej się nawet pocałować go w policzek, zanim odepchnął ją, by pomaszerować na scenę po nagrodę – duży złoty widelec z nadzianym London Eye.

Tylko ja zobaczyłam maleńki grymas na twarzy Helen, ale Josh, Nevin i inni ruszyli, by jej pogratulować, a za nimi zrobili to znajomi z sąsiednich stolików. Helen promieniała z dumy.

Na pewno powie coś miłego w swoim przemówieniu, myślałam,

klaszcząc. Seamus miał za co dziękować Helen, za wytrzymywanie z jego niekończącym się kacem, za pranie, za telefony do jego szefa tłumaczące jego nieobecności.

Ale, oczywiście, stało się inaczej. To, co naprawdę powiedział, brzmiało tak: „Zdrówko, dranie, powinienem był to dostać trzy lata temu”, po czym zamachał nagrodą w kierunku tłumu w na wpół dziękczynnym, na wpół grożącym geście i wymaszerował z sali przy gromkiej owacji.

– Facet jest niesamowity – powiedział ktoś przy stoliku za mną. – Założę się, że dostanie własny program telewizyjny.

Niestety, zaniemówiłam, gdy zobaczyłam wyraz bólu malujący się na twarzy Helen. Nie mogłam uwierzyć. Nic? Ani słowa? Żadnego dziękuję za to, co dla niego zrobiła? Już samo to, że nie podziękował swojemu szefowi, zespołowi kucharzy, ale brak słów o Helen...

– Co za kompletny dupek – skomentował Dominik i nie przeszkadzało mi, że powiedział to głośno, nawet byłam wdzięczna.

Wargi Helen zadrgały i żałowałam, że nie siedzę bliżej, by ją przytulić.

– Helen – Sięgnęłam przez stół, ale przybrała już swój lśniący managerski uśmiech.

– Chyba powinniśmy zamówić szampana! – powiedziała promiennie. – Laurence pokrywa koszty stolika, prawda? Zamówmy coś, zanim Seamus wróci.

Po przyniesieniu szampana czekaliśmy jeszcze dziesięć minut na Seamusa, lecz gdy nie wracał, zdecydowałam się otworzyć butelkę. Zaczynała wyglądać na stole jak nieproszony gość.

– Szkoda, że Joego nie ma razem z nami, by świętować wygraną Seamusa – powiedziałam, biorąc uspokajający haust. – Po tym wszystkim, co o nim słyszałam od ciebie. Chociaż znając go, do tej pory już by się gdzieś wymknął. Ciekawe, co wymyślił na dzisiejsze popołudnie, by nie przywiązywać bilecików do dwustu minisłoiczków dżemu truskawkowego?

– Możesz go zapytać. – Helen wskazała głową moje ramię.

Obróciłam się, by zobaczyć Joego stojącego tuż za mną. Moja twarz przybrała kolor krwistej czerwieni.

– Jak długo tu stoisz? – wypaliłam.

– Wystarczająco. Witajcie. Pomyślałem, że powinienem podejść i się przywitać.

Po swojemu machnął ręką w geście powitalnym, ale zupełnie siebie nie przypominał; był ubrany w prawie wieczorowe ubranie, tzn. ciemną marynarkę bez muchy, przycięte porządnie włosy. Był ogolony, nie zauważyłam też naszyjnika z muszelką. Muszę przyznać, że wyglądał dużo lepiej, niż mogłam przypuszczać, ale ciągle miał minę, jakby wolał być teraz w domu, segregując śmieci.

– Joe! – wykrzyknęła Helen. Zdecydowanie miała na sobie managerską maskę. – Pozwól, że ci wszystkich przedstawię.

– Nie wiedziałam, że tu będziesz – powiedziałam, gdy Helen zakończyła prezentację. – Nie myślałam, że takie eventy są w twoim typie.

Skrzywił się:

– Dostałem propozycję nie do odrzucenia. Mama dostała zaproszenia na ostatnią chwilę, do stolika dobrego znajomego i potrzebowała pary. To ona wszystko zorganizowała – dodał, zwracając dłonie ku niebu. – Łącznie z ubraniem mnie, wizytą u fryzjera, tego samego, do którego ciągnęła mnie, gdy miałem dwanaście lat.

– To dlatego cię nie było całe popołudnie?

– Taak, przepraszam. – Wyglądał lekko przepaszająco. – Wmaszerowała dzisiaj do hotelu i wymaszerowała, ciągnąc mnie za sobą, gdy byłaś na spotkaniu. Próbowałem zostawić wiadomość Gemmie, ale...

– W porządku – powiedziałam nonszalancko. – Wszystko było pod kontrolą. Zorientowaliśmy się, że cię nie ma dopiero koło szóstej, czy nawet później.

Spojrzał na mnie znacząco.

– Gdzie siedzisz? – zapytałam, wyginając szyję, by odnaleźć grzywę

natapirowanych włosów Caroline. – Chciałabym z nią porozmawiać.

– Siedzimy razem z jakimiś importerami kawioru. Całkiem interesujący ludzie, pogadaliśmy trochę o etyce. Nie martw się, mama cię znajdzie. Chce coś z tobą omówić. – Joe skrzywił się lekko. – Mam nadzieję, że nie mnie.

– Z pewnością. – Wyszło bardziej cierpko, niż zamierzałam i Helen rzuciła mi spojrzenie *daj spokój!*

– Nie wierz we wszystko, co mówi – odpowiedział.

Nie miałam kiedy odnieść się do tego, co powiedział, bo z przodu sali rozległ się szmer, a prowadzący próbował uciszyć kilkaset podkręconych kawą rozmów.

– Kim jest ten facet? – zapytał Joe teatralnym szeptem. – Powinienem wiedzieć?

– Eee, no tak? – po raz pierwszy odezwała się Mimi dziennikarka. – To Michael McIntyre.

– Kto?

– Michael McIntyre? – powtórzyła tym samym tonem, którym mówimy „książę Karol”.

– Joe był za granicą – wyjaśniłam.

– Gdzie? – Mimi zbaraniała. – Na Marsie?

– Siadaj. – Dominik wskazał wolne krzesło obok mnie: to, na którym siedział wcześniej Seamus. Zdałam sobie sprawę, że nie pojawił się od dwudziestu minut. – Ludzie pomyślą, że jesteś nominowany, a to moja kategoria. Nie żebym miał wygrać – dodał głośno. – Kolejny raz.

Delikatny wyraz zniesmaczenia przemknął po twarzy Joego, ale uśmiechnął się wystarczająco uprzejmie. – Cóż, powodzenia, powinienem wracać. – Lecz gdy się odwrócił, zauważyliśmy, że drogę do stolika Caroline zatarasowały ekipy telewizyjne. Transmitowali całe wydarzenie dla jakiegoś kanału kablówki.

– Zostań z nami, dopóki nie zmienią ujęcia. Miejsce Seamusa jest wolne – zasugerowała Helen. – Pewnie udziela wywiadu albo odbiera

gratulacje od znajomych. Albo coś innego.

Pełen zestaw innych rzeczy, które teraz mógł robić Seamus, przeleciał mi przez głowę i, sądząc po uniesionych brwiach Dominika, przez jego także.

– A teraz przechodzimy do kategorii, dla której nikt nie chce zapowiadać! Krytyk Kulinarny Roku.

– *Której* nikt nie chce zapowiadać – poprawił Dominik wystarczająco głośno, by być słyszany przy wszystkich stolikach dookoła. Słyszał ze swojej bezbłędnej składni.

– Joe, siadaj – syknęłam, uśmiechając się tak, by wszyscy mnie widzieli.

– W tym roku mieliśmy zaciętą konkurencję – ciągnął prowadzący. – Nominowani byli: Marina O’Loughlin, Giles Coren, Dominik Crosby, Steve Morris i Zoe Williams. A teraz trochę smaczku – haha! – fragmentów recenzji każdego z nominowanych, poprosiliśmy kilkoro gości o przeczytanie!

Serce mi stanęło, gdy zobaczyłam szefów kuchni i właścicieli restauracji tłoczących się na scenie, łącznie z Karyn Chan od zmywaczek. Wspinając się na podium, wystrzeliła jadowite spojrzenie w kierunku naszego stolika i wiedziałam już, czyje fragmenty ma wypisane w swoim złotym notatniku.

– To tylko gra – Dominik zapewnił Mimi. – Szefowie kuchni uwielbiają się droczyć.

Utrzymywałam uśmiech, ale serce waliło mi jak oszalałe. Dominik twierdził, że tym razem nie wygra, ale nie mogłam przestać chcieć, by wyczytali jego nazwisko. Zasługiwał na wygraną.

Zerknęłam na Joego, mając nadzieję, że jest pod wrażeniem. Cieszyłam się, że Caroline tu jest – chciałam, by widziała mnie w towarzystwie, gdy nawiązuję znajomości, zdobywam kontakty, jak przystało na potencjalnego dyrektora generalnego Bonneville. Gdy Karyn czytała jakiś wyjątkowo cięty komentarz, Joe podniósł wzrok, spojrzał na mnie i udał,

że się wzdryga na skutek Dominikowej ciętej riposty.

W każdym razie pomyślałam, że udawał. Nie byłam pewna, czy rozumiał kpiący ton tego wieczoru.

– Nagrodę otrzymuje...

– To i tak nie będę ja – przypomniał wszystkim Dominik. – Nie ma problemu.

– ...Steve Morris z *Balham Post*.

Moje serce zamarło z rozczarowania, a Dominik w mgnieniu oka przybrał profesjonalny wyraz twarzy, po czym wstał i zaczął zapamiętane klaskać. Może zbyt zapamiętane? Nie, po prostu wyglądało, jakby robił to z przejęciem. Było OK. W porządku.

Joe pochylił się w moją stronę, mówiąc cicho: – Wydaje się, że cieszy się z wygranej tego gościa.

– Tak jest – odpowiedziałam, klaszcząc. – Dominik jest wielkim fanem sztuki dziennikarstwa.

Potem dołączyła Mimi, Shirin i pozostali, wszyscy wstali, klaskali i współczuli Dominikowi, który zachował się tak uprzejmie, gdy nagle tuż za nim powstało małe zamieszanie.

Przez moment myślałam, że to Steve Morris zmierza na scenę – *Balham Post* nie wykosztowało się na stolik przy scenie – ale potem zorientowałam się, że ludzie rozstępują się, by przepuścić Seamusa, który przedzierał się niestabilnie w naszym kierunku.

– Trochę mu to zajęło! – powiedziała Helen, ale wyraz reprimendy w stylu *oh, ty!* zastygł na jej twarzy, gdy Seamus przepchał się do nas i zaatakował Dominika.

– Ty dwulicowy, gruby gnoju! – wrzasnął i zamierzył się.

– Nie wiem, o czym ty mówisz. I nie jestem gruby. – Dominik cofnął się na krok i podniósł ręce w poddańczym geście. – Strasznie mamrociesz i nie mogę zrozumieć, o co ci chodzi. Coś z... górą?

– Podejdź bliżej, a wbiję ci do głowy morse'em. – Seamus natarł na Dominika, który teraz machał rękoma, zachęcając go do akcji. Co nie było

takie łatwe pomiędzy stolikami.

– Możecie przestać?! – Moja twarz była już purpurowa z upokorzenia.
– Stoicie metr od kamery telewizyjnej!

Obróciłam się. W odległości kilku stolików za nami Steve Morris uśmiechał się skromnie, nieświadom afery wrzającej pomiędzy stolikami tuż przed nim, i przedzierał się przez tłum prosto na nas.

– W moim shepherd's pie nie ma nic przeciętnego. – Seamus plunął w kierunku Dominika. – Ty sepleniący, gruby alfonsie, z głupią badziewną... brodą. Jak śmiałeś obsmarowywać mnie online, a potem zasiadać ze mną przy stole!

– Daj spokój, Shay – błagała Helen, dublując moje „Na miłość boską, ciszej!”.

Seamus zwrócił się do Helen z pogardą: – Odpuść sobie, dobra? Nie jesteś moim szefem.

– Słuchajcie... hej. – Wyjątkowo niewzruszony sytuacją Joe próbował ich uspokoić, wydając z siebie dźwięki, które nie uspokoiłyby nawet Gemmy rozczarowanej kanapką. – Ochłońmy trochę...

Seamus obrócił się do Joego i zobaczyłam, że gdziekolwiek był przez te dwadzieścia minut, nie żałował sobie drinków. Oczy miał krwście czerwone, źrenice jak szpilki. Zamarłam. Będzie afera. Teraz już nie było odwrotu.

Seamus dźgnął palcem twarz Joego: – A możesz się zamknąć, ty...

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jak Seamus chciał nazwać Joego, ponieważ w czasie, gdy Dominik zaczął zdejmować marynarkę (twierdził później, że spinka zaczepiła mu się o podszewkę i nie chciał jej rozerwać), Joe wykręcił rękę Seamusa tak, że dotykał nią swojej własnej łopatki. Sama widziałam, jak Seamus wybałuszył oczy z zaskoczenia, a potem je cofnął, gdy Joe zrobił coś z jego szyją, dotykając jej kciukiem.

Następnie zręcznie usadził zwiotczałego Seamusa na krześle, niczym kucharz zsuwający omlet na talerz, przytrzymując go za kołnierzyk, by nie zsunął się upokarzająco pod stół.

Dominik, Helen i ja gapiliśmy się oniemiałi, Steve Morris również, jako że przechodził obok. Tak jak i pozostali goście obserwujący nadejście Steve'a Morrisa, a teraz i nas na dużym ekranie.

Nigdy wcześniej tak bardzo nie pragnęłam zapaść się pod ziemię. Dosłownie wbijałam sobie paznokcie w dłoń, by obudzić się z tego koszmaru.

– Gdzieś ty się tego nauczyła? – zapytał Dominik, mówiąc w imieniu nas wszystkich. – W szkole z internatem?

– Nie stajesz do walki z bratem w korpusie kadetów bez pewnych przygotowań – wymruczał Joe.

Seamus wydał z siebie niski jęk, udowadniając, że żyje.

– Wiecie co – powiedziała Helen beztróska. – Chyba wystarczy atrakcji na jeden wieczór.

– Też tak myślę – powiedział znany mi głos.

Obróciliśmy się jak na komendę. Jakby za mało było wstydu, za nami stała Caroline, równie spokojna jak Joe. Poziom mojego upokorzenia sięgnął szczytu.

Nie był to najbardziej żenujący moment w moim życiu związany z publicznym upokorzeniem i bezmyślnym facetem, niemniej jednak walka o pierwsze miejsce była zacięta. Aha, i tym razem nie podstawiono mi samochodu, bym mogła się wymknąć, i nie było mojego taty pocieszającego mnie słowami, że nikt nic nie zauważył.

Rozdział czternasty

Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, że musiałam iść do pracy następnego dnia po katastrofie z nagrodami. Niemniej jednak poszłam – musiałam nadzorować wesele pary księgowych ze Stoke Newington.

Źle, ponieważ wcale nie spałam. Przez prawie całą noc leżałam z otwartymi oczami, gapiąc się w sufit i zastanawiając, czy jako prawdziwa najlepsza przyjaciółka nie powinnam była wziąć taksówki, znaleźć Helen, zabrać jej do domu na detoks od tego bezużytecznego, samolubnego marnotrawstwa tlenu, jakim był Seamus. Ale nie odbierała telefonu i nie mogłam się z nią skontaktować. Poddałam się o drugiej nad ranem i przerzuciłam się na myślenie o tym, jak beznadziejnie niedopasowanym społecznie trzeba być, by zgnoić restaurację chłopaka najlepszej przyjaciółki swojej dziewczyny w dniu wspólnej kolacji – i nie mieć za grosz wyrzutów sumienia. Nawet więcej, słyszałam, jak Dominik żartował sobie z tego z dwójką innych dziennikarzy.

Seamus zachował się niewybaczalnie, ale Dominik też nie wyszedł z tego piękny i pachnący różami.

Dłużej nie mogłam ignorować tego, że bardziej zależy mu na recenzjach w gazecie niż na mnie. Cały wieczór był tragiczny, a najgorsze jest to, że wyjdzie z tego wielka prześmieszna anegdota powtarzana z ust do ust przez kilka najbliższych miesięcy. Za każdym razem, gdy wracałam myślami do oczu gości wpatrzonych w nasz chaotyczny stolik, zalewała mnie fala gorącego i lodowatego wstydu.

Dominik powiedział, że jestem głupia. Odmówił wszelkich rozmów na ten temat, w pijanym widzie zwałił się na łóżko i zaczął chrapać jak świnia. A ja przewracałam się z boku na bok wściekła, wyczerpana i w końcu tak poirytowana, że poszłam spać na sofę.

Na szczęście – lub nie – nie ja jedna przyszłam do pracy z gradową miną.

– Wiem, co powiesz i proszę, nie rób tego – powiedziała Helen, wchodząc do apartamentu nowożeńców o wpół do dwunastej. Byłam tam z ostateczną inspekcją przed tym, jak Matt miał przenieść uroczą Tabithę przez próg. Dudniło mi w głowie i walczyłam z przemożnym pragnieniem zwinięcia się na narzucie wielkiego łóża.

– Nic nie zamierzałam powiedzieć – odpowiedziałam.

– To dobrze. – Wręczyła mi plastikowe pudełko pełne ręcznie robionych czekoladek i miętowych pralinek, którymi później miały być wypełnione szklane puchary. Helen wyglądała, jakby spała równie dobrze jak ja.

– Ale kiedyś będę musiała to powiedzieć – zauważyłam. – Nie byłabym najlepszą przyjaciółką, jeśli bym tego nie zrobiła, prawda?

– Nie możesz mi powiedzieć niczego, czego bym nie powtarzała sobie milion razy dzisiejszej nocy. – Helen opadła na szezlong, przytuliwszy poduszkę do piersi. – Nie mogę tego dłużej ignorować. Facet jest kompletnym dupkiem. Nawet nie miał odwagi przyznać, że Joe go znokautował. Najpierw twierdził, że dostał szoku anafilaktycznego od oliwek. A potem zniknął na resztę nocy, nie odbierając moich telefonów. Nadal nie wiem, gdzie jest. O Boże.

Zatopiała twarz w poduszce.

Odsunęłam krzesło toaletki i usiadłam naprzeciwko niej: – Poczęstuj się szampańską truflą. – Podałam jej pudełko. – Zawsze mogę posłać po więcej.

Helen wyciągnęła rękę i wzięła trzy maleńkie, pokryte płatkami złota trufle i bez patrzenia wrzuciła wszystkie naraz do ust. To był zły znak. Jej samokontrola, jeśli chodziło o darmowe hotelowe czekoladki, była zwykle jak ze stali.

Odsunęłam poduszkę od jej twarzy. Oczy miała czerwone, a jej kok stracił sprężystość. Był tak zwiędły jak jej nastrój.

– Helen – powiedziałam delikatnie. – Dobrze się czujesz?

– Nie, nie za bardzo. – Objęła się ramionami. – Powiedz mi to, co

powinnam usłyszeć.

Wzięłam głęboki wdech. Wiedziałam, że chciała usłyszeć, że Seamus jest cudownym geniuszem, niespętanym burżuazyjnymi normami, ale nie mogłam tego zrobić. Nie tym razem. Nawet za cenę odwetu w postaci: „Dominik jest aroganckim dupkiem”.

– Seamus nie zasługuje na ciebie. Powinien być dumny, że jesteś jego dziewczyną, a tymczasem ani trochę cię nie szanuje. To znaczy, jeśli chce zachowywać się jak nieodpowiedzialny gówniarz, to w porządku, ale stawiać cię w takiej sytuacji na oczach wszystkich, z którymi pracujesz? – Rozpostarłam ręce: – Jest na to za stary. Przychodzi czas, by każdy pożegnał się ze skórzanymi spodniami.

– Wiem – jęknęła. – Ale nie mogę kontrolować jego zachowania, prawda? Nie jestem jego matką. A on miał ostatnio dużo stresujących sytuacji w pracy, nagroda i...

– Helen, czy ty słyszysz, co mówisz?! Zapomnij o nim, tu chodzi o ciebie – przerwałam. – Czy ty naprawdę jesteś w tym wszystkim szczęśliwa? Na jakikolwiek sposób? Czy tak mężczyzna powinien traktować swoją kobietę? Nie uważasz, że zasługujesz na więcej? Bo moim zdaniem tak.

To, czego jej nie powiedziałam, to, że dzięki reakcji Joego zauważyłam, jak źle się sprawy mają. Wracało to do mnie raz za razem, gdy leżałam na sofie: pogarda Joego. Ten uprzejmy sposób, w jaki przeprosił Helen za znokautowanie jej chłopaka. Kurtuazyjne skiniecie głowy Dominikowi, gdy ten nie przestawał natrząsać się z sytuacji, nawet gdy Seamus odzyskał świadomość. Prawda była taka, że spojrzenie na wszystko oczami Joego zadziało otrzeźwiająco. Gdyby tylko Joe nie poznał Dominika, gdy ten był... no cóż, gdy ten sam zrobił z siebie kompletnego dupka.

Nie spodobał mi się Dominik, którego spotkał Joe. Nie byłam pewna, czy chciałam zamieszkać z tym Dominikiem.

– Możesz mi odpowiedzieć tym samym – kontynuowałam poirytowana.
– Nie wiem, co Dominik sobie myślał, publikując recenzję. Jakby miał

jakiś problem ze sobą i musiał robić takie rzeczy, by być w centrum zainteresowania. – Poczęstowałam się truflą i starłam kilka okruszków z toaletki. – Czasem zastanawiam się, czy jego mama często go zostawiała samego jako dziecko. Nie winiłabym jej za to.

– To też brzmi jak wymówka. – Helen podniosła brew. – A czy on cię przeprosił?

– Tak jakby... – Dominik wyglądał, jakby było mu przykro. – W sumie nie. Tak jakby... – zdradził mnie głos. Nie mogłam okłamywać Helen, nie, kiedy była tak szczerą, mówiąc o Seamusie. – Nie, nie przeprosił.

Spojrzała na mnie i wiedziałyśmy obie. To musiało się skończyć.

– Zaslugujemy na więcej. – Helen wstała i podeszła do okien wychodzących na Green Park. To był jeden z naszych stałych frazesów. Gdyby nasz dwuosobowy zespół Klub Złych Chłopaków miał motto, to byłyby te słowa po łacinie. Wijące się ponad dwoma skrzyżowanymi kuchennymi nożami.

– To prawda – przytaknęłam, lecz tym razem naprawdę w to wierzyłam. – Helen, Seamus to strata twojego czasu. Na świecie jest wielu dużo lepszych facetów dla ciebie. Rzuć go. Proszę.

Nastąpiła cisza, wiedziałam, co myśli. *Ty też rzuć Dominika. Bo nie jest lepszy.*

Stała tam, trzymając ciężki złoty łańcuch do zasłon, zapatrzona na park niczym kobieta z obrazu.

Potem obróciła się do mnie ze smutnym, lecz zdeterminowanym wzrokiem.

– Wiem – powiedziała. – Joe też to powiedział.

– Joe?

– Mmm... – Zacisnęła wargi. – I on miał rację. Ty też masz rację. Zrobię to. Dzisiaj spakuję wszystkie jego rzeczy, jakie u mnie zostawił, i odniosę do jego mieszkania, gdy będzie w pracy. I zostawię mu liścik.

– Dzisiaj? Mimo że mamy... – Zatrzymałam się w ostatnim momencie.

Spiorunowała mnie wzrokiem: – Co zamierzałaś powiedzieć, „Mimo że

mamy wesele do zrobienia?”.

Tak było. Rozgryzła mnie.

– Yyymmm... nie? Zamierzałam zapytać... a co z twoimi rzeczami?

– Może je zatrzymać. Ciągłe nie mogę wywietrzyć tej zapasowej kołdry, którą mu kiedyś pożyczyłam. Mam najmniejsze mieszkanie pod słońcem, muszę je odgruzować. – Bez charakterystycznego dla niej pietyzmu dla sztuki Delphine wrzuciła trufle do lawendowego naczynia stojącego na toaletce, a miętówki do miseczki przy łóżku. – To zajmie tylko pół godziny, wyrzucę jego śmierdzące converse’y z mojego hallu do torby i wrócę na wesele. Nie martw się, tylko mnie kryj przez trzydzieści minut.

– Nie martwiłam się o wesele – przekonywałam. – Uwierz mi. Kogo obchodzi wesele? Ty jesteś o wiele ważniejsza niż jakikolwiek ślub.

Helen potrząsnęła głową i wiedziałam, że próbuje się nie rozpłakać. Nigdy nie płakała publicznie. Wyznała mi kiedyś, że była to jedna z obietnic złożonych samej sobie w wieku piętnastu lat, kiedy to postanowiła upodobnić się do Grace Kelly.

– Jakie to... ironiczne, prawda? – zapytała, mocno przygryzając dolną wargę. – Że dajemy z siebie wszystko, by stworzyć bajkowy ślub innym parom, a tymczasem obydwie tkwimy z kompletnymi frajerami.

– To się zmieni – powiedziałam przekonana, że tak będzie. – To już się zmienia.

Helen rzuciła mi powłóczyście, pełne zwątpienia spojrzenie i poszła na dół, wydzierać się na pomocników kuchennych.

Ceremonia ślubna Matta i Tabithy miała odbyć się w kościele w Chelsea, do nas mieli przyjechać (czerwonym londyńskim autobusem, z czerwoną kokardą na przedzie) na popołudniową herbatę oraz wieczorne tańce w sali balowej. By potem spędzić pierwszą noc miesiąca miodowego w apartamencie na górze.

Organizowanie ślubów w hotelu sprawiało mi wielką przyjemność – zgrywanie terminów, adrenalina – ale nic nie mogło się równać

z wieczornym przyjęciem, muzyką na żywo, światłem świec i gośćmi w smokingach, to wszystko przywracało staroświecki glamour Bonneville. Korytarze ożywały pod wpływem oświetlenia, zapraszając gości na główne wydarzenie. Tabitha i Matt poznali się na lekcjach salsy, nic dziwnego więc, że zamówili doskonały zespół na ten wieczór i poprosili gości, by założyli ubrania, które pozwolą im się rozluźnić.

Sprawdziłam wszystko w sali balowej, potem poszłam do Palm Court, gdzie za godzinę miała odbyć się popołudniowa herbata. Delphine przeszła samą siebie, przygotowując słodkości na dzisiejszą okazję. Zrobiła około pięciuset minibuleczek, które miały być podane wraz z maleńkimi słoiczkami dżemu (tymi, które tak pieczołowicie opisywałam dzień wcześniej). Na gości czekały cztery rodzaje liściastej herbaty zaparzonej w staroświeckich srebrnych czajniczkach, dwa rodzaje drinków na bazie szampana, nazwane na cześć pana i pani młodej, jeden bezalkoholowy koktajl oraz niezliczona ilość maleńkich kanapeczek i ciasteczek ułożonych na srebrnych paterach.

Cztery osoby z obsługi były zajęte nakrywaniem stołów, zadowolona zauważyłam też Joego, który kręcił się między nimi, zadając pytania.

– Hej, Rosie – przywitał mnie. – Może ty mi powiesz – czemu oni muszą używać linijki, nakrywając do stołu?

– Żeby sztucce i talerze równo leżały – odpowiedziałam zaskoczona, że pyta. – Dzięki temu wszystko wygląda symetrycznie.

– Ale zajmuje strasznie dużo czasu, nie?

Przespacerował się do mnie i poczęstował różowym ciasteczkiem w kształcie muszelki, z samego czubka piramidki stojącej na paterze. Klepnęłam go po dłoni.

– Już dotknąłem – zauważył z ustami pełnymi ciasta. – Nie martw się, tak poprzekładamy pozostałe, że nie będzie widać.

Zmarszczyłam czoło. Nie miałam na to dzisiaj siły: – Keren? Czy Delphine przysłała więcej ciastek? A mogłabyś... dzięki. Joe, zostaw ciastka w spokoju i chodź ze mną, omówimy usadzenie gości.

– Jak Helen? – zapytał, gdy wręczyłam mu listę Tabithy i sprawdził plik eleganckich, ręcznie kaligrafowanych kartek.

– Helen? – Nie byłam pewna, czy powinnam z nim omawiać życie prywatne Helen. Przecież nie wiedział nic o tej ciągnącej się, skomplikowanej historii.

– Tak – kontynuował – po tym jak pijany kretyn Seamus zrobił pośmiewisko z was wszystkich.

Zatkało mnie. Chociaż tak właśnie było: – Dobrze, dzięki, że pytasz.

– Przestań być taka angielska. Ze mną nie byłoby dobrze. Odprawiła gnoja?

Przestałam przesuwać piórem po liście i obróciłam się do niego.

Joe patrzył na mnie i wydawał się szczerze poruszony: – Nie chciałem być niemiły... Wiesz co? Chciałem być niemiły. Co na Boga kobieta taka jak Helen robi z takim idiotą? Nie mogłem uwierzyć w to, jak ją potraktował.

– Cóż, widziałeś tylko mały fragment... – zaczęłam, ale potrząsnął głową.

– Widziałem wystarczająco. Mowa ciała wystarczyła. Helen garbi się, gdy go widzi – zauważyłaś?

Mowa ciała. Zaraz powie mi, że ich znaki zodiaku do siebie nie pasują.

Nie wiem, czemu tak pomyślałam. *Może dlatego, że tego nie zauważyłaś?*, zapytał głos w mojej głowie. *Ponieważ trzeba było zareagować wcześniej?*

I ponieważ zastanawiałam się, o czym myślał Joe, patrząc na mnie i Dominika?

– Jest od niej trochę niższy – powiedziałam, naprawdę nie wiem, czemu to zrobiłam, bo teraz, kiedy zwrócił mi na to uwagę, dotarło do mnie, jak wściekła byłam na Helen, że garbiła się, kiedy była z Seamusem. I mając na sobie koszmarnie buty na płaskiej podeszwie, udawała, że są lepsze dla jej stóp, a przecież sama widziałam, jak potrafiła przebiec całą długość Piccadilly w szpilkach.

Joe prychnął lekceważąco: – Nie mam pojęcia, jakim cudem ogarnia kuchnię, jak nie może sobie poradzić z takim syfem prywatnie. Czemu kobiety to robią? On jej do pięt nie dorasta, to przykre. Jesteś jej najlepszą przyjaciółką, na pewno nieraz jej to mówiłaś?

– Oczywiście, że tak. Ale przekażę twoją ocenę sytuacji – powiedziałam, wykreślając rzeczy z listy trochę zbyt zamasyście. – A poza tym dobrze się bawiłaś?

– Nie bądź złośliwa. Próbuję ją zrozumieć. Lubię Helen i przykro mi, gdy widzę ją w takim stanie. – Naprawdę był poruszony. – Nie lubię przemocy fizycznej, ale Jezu, temu facetowi trudno nie dać w mordę. Czemu Helen nie jest z kimś miłszym? Powiedz mi, Rosie. – Przyciągnął mój notatnik i sprawił, że na niego spojrzałam. – Jesteś ekspertką od par. Czego nie rozumiem?

Naprawdę był zafrapowany, a ja poczułam się miło polechtana – tak jakby – że myślał, że znam sekret atrakcyjności Seamusa: – Sam mi powiedz. Nie jestem ekspertem od par. Wręcz przeciwnie.

– Pomijając fakt, że codziennie organizujesz śluby i wesela.

– Posłuchaj, Joe. – Westchnęłam. – Zgadzam się z tobą, że Seamus to dupek, a Helen zasługuje na więcej. I tak, mam nadzieję, że tym razem przegiął i się rozstana. Ale praca w kuchni to praca pod presją. Konflikty wiszą w powietrzu. Idziesz na ustępstwa. Może poszła o kilka razy za dużo.

Patrzył na mnie, jakby rozważał, czy powiedzieć na głos to, co myśli, czy nie.

– No dawaj. – Skrzyżowałam ramiona. – Powiedz, i tak to zrobisz wcześniej czy później.

– Znowu nie chciałbym być niegrzeczny, ale czy twój chłopak zawsze taki jest?

– Jaki?

– Jakby... musiał wszystko wszystkim tłumaczyć, bo nie są w stanie sami tego zrozumieć tak dobrze jak on?

Joe spędził z Dominikiem jedynie piętnaście minut i zdołał trafić w dziesiątkę, określając jedną z jego najgorszych cech, tę, która wyprowadzała mnie z równowagi. Defensywna część mnie znowu się naprężyła.

– Nie zawsze. – Wzięłam wazon z pojedynczym kwiatkiem i pomaszero wałam do pudła florystki, by go czymś zastąpić. – Tylko gdy jest w towarzystwie ludzi, którzy potrzebują wyjaśnienia. Możemy wrócić do pracy? Goście zaraz tu będą. O Boże, co znowu?

Telefon, który zostawiłam na stole, wibrował teraz zajadle, dzwoniąc dzwonkiem wiadomości na szklanym blacie, niebezpiecznie przesuwając się w kierunku patery pełnej blinów, jak ryba bez wody.

– Sprawdź – powiedział Joe, łapiąc za telefon, zanim zdążyłam go powstrzymać. Miałam nadzieję, że to Dominik napisał coś miłego, najlepiej, że zadzwonił do agencji nieruchomości i zdobył szczegóły, o które prosiłam. Było oczywiście inaczej.

– O Boże – odezwał się Joe, patrząc na wiadomość.

– Nic nie mów. To Flora, która pyta, czy możemy załatwić burzę z piorunami, ale tylko w Palm Court.

– Nie, to od mamy. – Wepchnął mi telefon do ręki. – Do ciebie.

SMS był od Caroline:

Dzięki za listę gości: przedstaw Laurence'a Sally Markham! Była przełożoną szkoły z internatem, prawdopodobnie obeznana z tranem, etc. C

Przygryzłam wargi, rumieniąc się:

– Yyy, tak, udawaj, że tego nie widziałeś.

– Rosie! Czy to etyczne przedstawiać listy gości osobom trzecim? – zapytał. – Szczególnie gdy ta trzecia osoba może się pochwalić długą historią organizowania randek w ciemno mężczyznom z rodziny?

– Wiedziałeś o tym? – wymknęło mi się.

– Nie oficjalnie. Ale tak. Mama jest kolejną osobą, która nie może

przestać zarządzać życiem innych ludzi. – Pogroził mi palcem. – Żebyś ty mi nie zaczęła tańczyć, jak ci zagra.

Moje policzki płonęły: – To się nazywa troska. A ja nie – och, dlaczego ja w ogóle ci się tłumaczę?

Joe uniósł dłonie w geście rozpacz. – Bo tak wpływa na ciebie życie w hotelu. Uważaj, bo zniszczy wszystkie twoje ograniczenia.

– Rosie! – Gemma wpadła jak burza, wymachując specjalnym różowym telefonem zarezerwowanym tylko dla najbardziej wymagających klientek. Dzwonek wygrywał *Crazy Gnarlisa Barkleya*, Gemma raz za razem próbowała zmienić go na *I Do, I Do, I Do, I Do, I Do* ABBY, ale Helen zawsze zmieniała go z powrotem.

– To ona! – wyszeptała, wyglądając jednocześnie na podekscytowaną i przerażoną. – O Boże, o Boże, o Boże!

– Uspokój się – powiedziałam automatycznie. – Kto dzwoni?

– Flora Thornbury – zapiszczała. – Prawdziwa Flora Thornbury!

– A jest jakaś udawana Flora Thornbury? – spytał Joe.

Zrobiłam minę *nie nakręcaj jej*, ale już wyciągnął rękę.

– Dawaj – zażądał. – Założę się, że wiem, po co dzwoni.

– Nie, ja powinnam go odebrać, jestem jej koordynatorką – wyciągnęłam rękę w kierunku Gemmy.

Gemma patrzyła na nas niepewnie. Telefon wydawał z siebie kolejne „craa-aa-aazy” – muszę go zmienić, bo nie brzmi zbyt profesjonalnie.

Joe popatrzył na mnie kpiąco:

– A chcesz słuchać o tym, że nie może się zdecydować, czy Borneo czy Kenia, czy Necker Island na miesiąc miodowy? Bo tego dotyczyła ostatnia godzinna pogawędka.

– Wow... – westchnęła Gemma.

– Tylko nie wracaj do tematu wieczoru kawalerskiego – ostrzegłam. – Żadnych rur.

– Żadnych rur – zgodził się Joe, biorąc telefon z rozgrzanych rąk

Gemmy. – I tak mam lepszy pomysł – weekendowy survival w krzakach w Dartmoor, gdzie Alec będzie ich namierzał bronią z celownikiem laserowym. Żartowałem. Żartowałem! Cześć, Flora, jak się masz?

– To naprawdę Flora Thornbury? – wyszeptała Gemma, gdy Joe oddalił się w stronę oświetlonego słońcem fortepianu.

– Tak – odpowiedziałam, przyglądając mu się, gdy rozmawia z czarującym uśmiechem na jego przystojnej twarzy i niepilnowany częstuje się ciastkami, słuchając mówiącej Flory.

Cześć mnie była wściekła na to, z jaką łatwością zarządza największym budżetem i potencjalnie najważniejszymi kontaktami, które mi się trafiły; druga część odczuwała ulgę, że nie muszę wysłuchiwać jęków Flory dotyczących jej luksusowego miesiąca miodowego, podczas gdy sama od lat nie byłam na wakacjach; a najmniejsza część zazdrościła mu jego spokoju, gdy to robił. Teraz, gdy wywietrzała jego początkowa zręczliwość, zaczął pojawiać się prawdziwy Joe. Z żalem zauważałam, że mówił, co myśli, nie dlatego, że był aroganckim dupkiem, lecz dlatego, że nie widział sensu w udawaniu kogoś, kim nie był.

Tak to jest, gdy odziedziczysz urok po obojgu rodzicach, razem z hotelem i podwójnym zestawem blond genów.

Wróciłam do zadań. Nie był mi dany luksus uroku osobistego, hotelu czy genów. Musiałam zapracować na to, co mam, w pewnym sensie to było lepsze, prawda?

– Dobrze, Gemmo – powiedziałam opryskliwie. – Muszę znaleźć winietkę na stół dla pani Sally Markham.

Rozdział piętnasty

Lato zawsze miało w wirze konfetti i białej pościeli apartamentu nowożeńców, w tym roku nie było inaczej. Weekendy ciepłego lipca i pochmurnego sierpnia pełne były wzdychających gości: starą chłodnię na dole nieprzerwanie wypełniały białe lilie i róże, wyjeżdżały z niej brzęczące skrzynie szampana, a wjeżdżały puste butelki, bywała w niej też Fiona – harfistka, która w sierpniu spotykała się z jednym z pracowników baru.

Ślubimarz spokojnie zmierzał do celu, a ja regularnie wspominałam Laurence'owi o tym, jakie obowiązki dyrektora hotelu obecnie wykonuję. W międzyczasie w biurze eventów Joe radził sobie z większością chimerycznych telefonów Flory dotyczących motyli albo tego, czy wypada grupować gości pod względem wagi. Ja zajmowałam się praktycznymi szczegółami listy Julii Thornbury, takimi jak liczba zapraszanych osób. Było dobrze. Lecz nie dane mi było cieszyć się tym jak zwykle, ponieważ w rezultacie bolesnego wieczoru moja piękna przyjaciółka Helen przemieniła się z pewnej siebie managerki w usychającego z miłości zombie.

Jak postanowiła, tak też zrobiła i odprawiła Seamusa. A ten szczur odszedł ochoczo. Jeden z pomocników kuchennych doniósł mi, że wprowadził się prosto do mieszkania dziewczyny z działu win jednej z dużych restauracji na West Endzie – nie żebym przekazała to Helen.

Zamiast tego zabierałam ją na obiad – zwykle do McDonald's, jako że większość restauracji zaczęła nam się źle kojarzyć – starałam się również zajmować jej myśli takim życiem towarzyskim, na jakie pozwalała praca dla Laurence'a. Lecz fakt pozostawał faktem, że byliśmy skazane na świętowanie cudzych szczęśliwych związków przynajmniej raz w tygodniu, uśmiechając się przy tym szeroko. Starałam się złagodzić trochę makabryczną ironię, przywracając naszą starą zabawę Ślubne

Bingo – trzy panie w identycznych sukienkach Coasta, Skacowani Druźbowie, Ślady Po Samoopalaczu, Znajdź Byłego – ale Helen nie chciała więcej grać.

– Dlaczego bycie w porządku jest takie nudne? – jęczała przez zaciśnięte zęby i wodoodporny tusz do rzęs. – Dlaczego jest takie samotne? Dlaczego zrobienie tego, co należy, jest tak niewiarygodnie bolesne?

– Znajdziesz kogoś innego – zapewniałam przynajmniej cztery razy dziennie (w ślubne weekendy znacznie częściej). – Nigdy nie znajdziesz tego Idealnego, jeśli tkwisz z tym Beznadziejnym.

– Ale jak ja mam go poznać? – wywróciła oczami, patrząc na „paryskie” wesele szczenięcej miłości Calluma i Eithne Riley. – Nawet jak trafię na wolnego faceta przed pięćdziesiątką, będę musiała odegnąć trzy wolne koleżanki panny młodej zaproszone w tym samym celu. Nigdy bym nie uwierzyła, że wesela mają w sobie tyle z *Igrzysk śmierci*.

Wyjęłam croquembouche delikatnie z jej rąk. Zaczęła niebezpiecznie go obskubywać: – On się zjawi – powiedziałam – gdy nie będziesz się tego spodziewać. Przeznaczenie cię nie ominie.

Serio, powinnam wypisywać moje słowa na kamieniach i sprzedawać pannom młodym jako prezenciki dla gości.

Tymczasem, tuż obok stolika z szampanem, dwie kobiety w studniówkowych sukienkach bez ramiączek zaczęły zaczepiać stojącego tam, onieśmiałego mężczyznę.

– Zostaw go im – powiedziałam. – To chłopak drużby.

– Ha! – odpowiedziała Helen i wymaszerowała do kuchni.

Babie Lato poSeamusowego smutku panowało w Londynie aż do ostatniego tygodnia września, a potem nieoczekiwanie przyszła jesień. Powietrze stało się bardziej rześkie i ludzie zaczęli troszkę szybciej chodzić wzdłuż Piccadilly o poranku.

W hotelu też coś się zmieniło.

Na cotygodniowym spotkaniu ślubnym Joe omówił najnowszy pomysł

Flory – suknię zrobioną wyłącznie z płatków róż i cukierkowych serduszek (nawet znalazła szaleńca gotowego to wykonać), po czym zmyli się oboje z Gemmą pod pretekstem usuwania czerwonych lentilek z siedmiu kilogramów tych słodczy z lodowego baru dla Catriony Hale. Zostawili mnie i Helen omówienie planów ciast na pozostałą część roku.

Na dole, w jaskini cukiernictwa Delphine tworzyła nieopisanie piękne torty ślubne, a ostatnio także bardzo realistyczne postaci państwa młodych. Które, niestety, nie zawsze przypadły do gustu pannom młodym, przekonanym, że płynna dieta zdziałała większe cuda, niż myślała Delphine.

– Helen. – Trąciłam ją. – Miałś porozmawiać z Delphine, by była mniej paryska, a bardziej hojna w polewaniu lukrem.

– Co? – podskoczyła, zachmurzyła się, lecz zaraz potem uśmiechnęła się energetycznie. – Przepraszam, byłam myślami gdzie indziej.

Przyjrzałam się jej uważnie. To był inny rodzaj rozkojarzenia niż dotychczasowe zombie: – Wszystko w porządku?

Przytaknęła, ale skoncentrowała się tylko na dwie nanosekundy i znowu odpłynęła w swój prywatny sen na jawie. Jej oczy nie uśmiechały się do mnie, a do jakiegoś bliżej niesprecyzowanego punktu dwa kilometry na prawo od mojej głowy.

Strzeliłam palcami przed twarzą Helen: – Helen? Nie jadłaś nic z puszki na biszkopty szefa kuchni, prawda?

Wzięła się w garść: – Zgadnij co?

– Co? – zmrużyłam oczy. – Proszę, nie mów, że Seamus wrócił? Cokolwiek zrobił, pomyśl o tych króliczkach, o których myślałaś, że są urocze, a one były...

– To nie Seamus – powiedziała pogardliwie. – Zapomnij o tym frajerze. Nie, poznałam kogoś. – Spojrzała w dół, jakby bardzo prywatna myśl pojawiła się w jej głowie i jej naturalna poza została nagle zaburzona przez jej piękny, aczkolwiek trochę głupkowaty uśmiech.

– Serio? – Dziwne uczucie przetoczyło się po moim wnętrzu. – To... to

cudownie! Kiedy?

– W zeszłym tygodniu.

W zeszłym tygodniu? Poczułam się trochę urażona: – Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć?

Po raz pierwszy wyglądała niespokojnie: – Yyy, niedługo. Chciałam najpierw upewnić się, że to nie jest porozstańcza desperacja.

– Więc kto to jest? – pospieszyłam ją. – Jak się poznaliście? No, proszę, chcę wiedzieć wszystko.

Helen poróżowiła: – To trochę oklepane, ale poznaliśmy się w restauracji. Przyszedł za dziesięć, a rezerwacje miał dla dwóch osób dopiero na pierwszą, więc go posadziłam, zrobiłam to co zawsze, nie przejmowałam się nim zbyt, bo mieliśmy mnóstwo pracy. Był zajęty swoim iPhone'em, więc dałam spokój... potem dziesięć po pierwszej zobaczyłam, że on ciągle siedzi sam. Nikt nie przyszedł ani wtedy, ani kwadrans po, więc wysłałam Ritę, by zapytała, czy wszystko w porządku, powiedział, że nie, bo skończył mu się chleb.

– Dalej, dalej! – Zamachałam rękami, bo mimo że desperacko chciałam się wszystkiego dowiedzieć, mój grafik nie pozwalał na opowieść w czasie rzeczywistym.

– W każdym razie kilka minut po wpół do drugiej Rita odebrała telefon od niejakiej Lou dla Wynna Daviesa, z prośbą, by mu przekazać, że nie przyjdzie. – Różowe policzki Helen stawały się coraz czerwiejsze. – Takie wiadomości zawsze przekazuję osobiście, w razie gdyby to było coś bardzo osobistego, więc podeszłam do niego, był trochę zasmucony, biedny facet, i okazało się, że...

Nareszcie.

– ...że to miała być randka w ciemno i babka go wystawiła. Nie pytałam, sam się wygadał, chyba niechcący, ale siedział tam przez pół godziny, jedząc chleb.

– Dziwne – przytaknęłam. – I co zrobiłaś? Zaoferowałaś mu specjalne menu i poprosiłaś, by się pospieszył?

Zachnęła się: – Oczywiście, że nie. Poczęstowałam go kieliszkiem szampana na koszt firmy. Widać było, że się postarał, ładny garnitur, świeżo od fryzjera. I nie jesteśmy tanią restauracją. Pomyślałam, że to dobrze o nim świadczy.

– I?

– I zaczęliśmy rozmawiać i on, yyy... – Helen zaczęła bawić się pasemkiem włosów. – Powiedział, że chciałby zaprosić mnie na kolację, ale martwi się, czy to nie jest ostatnia rzecz, o którą można prosić managera restauracji? Powiedziałam, że nie jest i że bardzo bym chciała odwiedzić to miejsce, które Dominik opisywał w zeszłym tygodniu.

– Fulham Rigger?

– Nie, to drugie. – Zmarszczyła czoło. – Coach and Horsemen.

– Tam chyba nie byłam.

– Byłaś. W Canonbury? Betty tam była i czepiała się masła.

Nie byłam w Canonbury od ponad roku: – Nie, nie byłam, musisz mi powiedzieć, jak jest?

– Bardzo ładnie. Właściwie to byliśmy tam na randce. – Objęła kolana.

– Co? Czemu nic nie powiedziałaś?

– Myślałam, że powiesz, że to trochę za szybko po Seamusie.

Moim zdaniem nie było takiej prędkości jak „za szybko”, jeśli chodzi o zwiewanie od Seamusa, nawet z rakieta na plecach, ale tylko zrobiłam minę wow!

– Oczywiście, że nie! Opowiadaj! Co robi? Skąd jest?

– Ma na imię Wynn, ma trzydzieści lat, jest ze Swansea, jest... – jej pogodny wyraz twarzy zachmurzył się nieco. – Jest...

– Jest kim? Kuchcikiem? – Helen raczej nie umawiała się z nikim poniżej poziomu szefa kuchni, utalentowany sommelier może by przeszedł. – Też jest managerem w knajpie?

– Nie śmieć się – ostrzegła. – To nie jest najbardziej ekscytująca praca.

Ruszyłam głową: – Nie jest... piekarzem?

– Nie, jest dentystą.

– Dentystą?

– Wiem, mało seksowna posada, ale pomyślałam, że może dobrze byłoby, dla odmiany, uciec od biznesu restauracyjnego.

– Cóż, dentyści chyba zajmują się... następstwami biznesu restauracyjnego.

– Podoba ci się? – Spojrzała na mnie niepewnie. – Myślisz, że to nie desperacja po zerwaniu?

Wyglądała na zupełnie odmienioną. To znaczy na przywróconą dawną Helen, promienną, pewną siebie Helen, skandynawską boginię.

– Nie – odpowiedziałam. – Szczerze mówiąc, to najlepsza wiadomość w tym roku.

– Też tak myślę. – Rozpromieniła się i otworzyła kalendarz. – Więc kiedy jesteście wolni na podwójną randkę?

Jak zwykle Dominik nalegał, by zabrać Helen i Wynna na randkę z ocenianiem restauracji.

– Upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu – protestował, gdy dowiedziałam się, że bez pytania zarezerwował Jocques. – Nowy, ekscytujący, przełamujący stereotypy pomysł fusion w Fulham. Do tego ten nowy facet Helen pewnie będzie miał fajne branżowe plotki.

– Nie chcę cię rozczarować, ale nie liczyłabym na to. Chyba że ich solony karmel prowadzi do leczenia kanałowego w Chelsea.

– Co?

– Wynn jest dentystą. – Przycisnęłam telefon ramieniem i zajęłam się przyklepaniem post-itowej karteczki z nazwiskiem niani panny młodej na nowym planie usadzenia gości. Zostało mi tylko jedno miejsce, gdzie mogłam ją wcisnąć, pomiędzy kolegą ze studiów pana młodego i szefem pani młodej. Zrobione. Idealnie. Zwaśniona, na wpół szalona, seryjnie wychodząca za mąż rodzina Issy Livingstone usadzona.

Wstałam i z dumą spojrzałam na swoje dzieło.

– Czyli ustalone – potwierdził Dominik, ewidentnie nie słuchając tego,

co mówiłam. – Spotkamy się na miejscu o wpół do ósmej.

– Chwila, nie powiedziałaś, co to za miejsce? Nie wiem, czy on je mięso, czy może...

– Jaki dziwak nie je mięsa?

– Mnóstwo. Ja sama dużo go nie jem. – Jego codzienne grubiaństwo zaczęło mnie ostatnio wkurzać. Od katastrofy na gali przestało wydawać się czarujące, a zaczęło, cóż, zaczęło być po prostu chamskie.

– Wiesz co, Rosie, zaczynasz zrzędzić jak czyjaś matka – powiedział rozdrażniony. – Z tym że nie moja, bo moja się mnie aż tak nie czepiała.

– To nie jest zrzęczenie, tylko dobre maniery. Mogłeś chociaż...

Rozłączył się. Rozłączył się w trakcie rozmowy ze mną. W niemej furii gapiłam się na telefon. Zrobił to po raz trzeci w tym miesiącu. Bank wreszcie zaakceptował nasze dokumenty kredytowe, lecz perspektywa zrobienia kolejnego kroku na drodze do wspólnego mieszkania nie napawała mnie taką radością, jak oczekiwałam.

– Nienawidzę, gdy rzucasz słuchawką, ty prostacka mendo! – wrzasnęłam do słuchawki akurat w momencie, gdy w drzwiach pojawił się Joe.

– To Issy? – zapytał. – Nie za ostro?

– Nie, to był cholerny Dominik – odpowiedziałam i wkurzyłam się na siebie. Nie miałam zamiaru mu tego mówić. – Mógłbyś pukać, zanim wejdiesz?

Joe oparł się o futrynę: – Czemu? Czyż mógłbym usłyszeć coś, co by mnie zszokowało? Więcej tajnego swatania? Codziennego donoszenia na ojca?

– Nie, ja... – Aaach. Zaćmiło mnie. – Często rozmawiam z pannami młodymi przez telefon. I one nie lubią otwierania drzwi, i trzaskania nimi i przeszkadzania.

W miarę jak mówiłam, z tablicy odkleiła się powoli post-itowa karteczka Główna Druhna i poszybowała powoli na podłogę, by za chwilę w jej ślady poszła Macocha Pana Młodego.

– No jaja sobie robisz? – jęknęłam. Macocha Pana Młodego przez cały czas była przyklejona do panny młodej.

– Co?

Machnęłam w kierunku upokarzających karteczek: – Plan usadzenia gości, najmniej lubiana przeze mnie część przygotowań.

– Oh – westchnął Joe, jak gdyby sobie o czymś przypomniał. – Słuchaj, Issy próbowała się z tobą skontaktować. Zostawiła wiadomość, że jej macocha jednak przyjdzie, więc żebyśmy ją gdzieś upchnęli? Najlepiej blisko młodych, bo inaczej będzie miała jeden z tych swoich dni, cokolwiek to znaczy.

Gapiałam się na ten stolik, już teraz wyładowany po brzegi Ojcem Panny Młodej, jego trzema byłymi żonami, wszystkimi bardzo starannie rozdzielonymi innymi gośćmi. Poświęciłam mnóstwo czasu i znajomości matematycznych obliczeń, by usadzić je tak, by ani się nie widziały, ani nie słyszały. A w końcu i tak musiałam poprosić florystkę o dodatkową, wyjątkowo dużą dekorację na stół, by odciąć jedną z nich.

– Nie ma szans, by zmieścić jeszcze jedną panią Livingstone, nie zawiesiwszy jej na hamaku nad stołem.

Joe zmarszczył nos, sugerując, że histeryzuję. – Przesadzasz.

– Halo? – Pomachałam przed planem.

– Pokaż. – Odkleił się od futryny i wsunął do środka.

Skrzyżowałam ręce na piersi, patrząc, jak zafrapowany próbuje rozgryźć karteczki.

– Różowe – panna młoda, niebieskie – pan młody, czerwone gwiazdki od jeden do pięciu – awanturujący się, złote gwiazdki – single – wyjaśniłam.

Zrobił gest, jakby chciał pobawić się swoim szczerzym warkoczykiem, zapomniawszy, że wszystkie zostały obcięte. Przeczesał więc dłonią włosy i powiedział zafasowany: – Czy to wszystko musi być tak skomplikowane? Nie możemy postawić stołu szwedzkiego i niech siadają, gdzie chcą?

Nie zniżyłam się do udzielenia odpowiedzi.

– A jakby...? – ruszył w kierunku karteczek, po czym stanął. – Nie. Hmm.

– Widzisz? – powiedziałam, czując, że mam słuszość. – To wcale nie jest proste.

– Poczekaj. Nie skończyłem. Popatrz, jeśli przesuniemy tę osobę i tę osobę... – odlepił karteczki.

– Co? No nie za bardzo. To jest pan młody, a to – panna młoda – nie bardzo ruchome postaci.

– Czemu nie? – zdziwił się. – Właśnie najbardziej. Jeśli państwa młodych przesuniesz do ich własnego, specjalnego, najważniejszego stolika... – Wziął długopis z mojego biurka i narysował malutkie kółko tuż przy francuskich oknach, umieszczając przy nim karteczki Issy i Adama. – Masz wolne dwa dodatkowe miejsca, jedno dla macochy i drugie, gdyby tata Issy rzucił aktualną żonę i przyszedł z kolejną. Mówiłaś, że Issy nie lubi przynajmniej połowy osób przy tym stoliku.

Zapatrzyłam się na plan, był jednocześnie totalnie zły i genialny. Jak mogłam tego nie zauważyć wcześniej. Poczułam nieoczekiwany spokój.

– Chciałaś powiedzieć: „To cudowne, Joe” – ponaglił mnie.

– Bardzo niekonwencjonalne.

Prychnął: – Jaki sens ma konwencjonalne, jeśli się nie sprawdza? Rozchmurz się.

Uśmiechnęłam się do niego nieśmiało, by za chwilę uśmiechnąć się na całego. Joe wyglądał na tak zachwyconego tym rozwiązaniem, że nie mogłam się powstrzymać: – Cały czas to powtarzasz.

– I będę powtarzał, dopóki ty też nie zaczniesz – odpowiedział roześmiany od ucha do ucha. – Bez mojego ciągłego przypominania.

...

Nowy facet Helen tak dalece odbiegał od moich wyobrażeń, że gdy

dotarliśmy do Jocques spóźnieni piętnaście minut, jak zawsze, ulżyło mi, gdy zobaczyłam, że ich też jeszcze nie ma.

Dopiero po chwili rozejrzałam się po pustej restauracji i zobaczyłam Helen, siedzącą bardzo blisko faceta, którego wzięłabym za księcia Harry'ego, jeśli nie miałabym na oczach soczewek. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że to Helen i Wynn. Byli tu chyba od wieków, ale nie zauważyliby, jeśli spóźnilibyśmy się jeszcze godzinę lub dwie. Lub nie przyszli wcale.

Nie dało się ukryć, że był to klasyczny początkowy etap zakochania. Dwa egzemplarze menu leżały nietknięte obok nich, podczas gdy oni siedzieli ze splecionymi rękoma, patrząc sobie głęboko w oczy zachłannym spojrzeniem. Dokładnie takim, jakie mamy, gdy wydaje nam się, że znaleźliśmy tę jedną jedyną przeznaczoną osobę. Przez serce przepłynął mi koktajl dziwnych uczuć. Helen wyglądała na szczęśliwą, a ja ciesząc się jej szczęściem, marzyłam, by na mnie ktoś tak kiedyś popatrzył. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek tak było.

Wynn coś do niej powiedział, a ona roześmiewszy się, odwróciła wzrok, zauważyła nas i pomachała.

– Dominik! – zawołałam. Ten już zdążył się przyczepić do błędu w pisowni na tabliczce za drzwiami i maltretował teraz biedną dziewczynę z obsługi. – Dominik!

– ...apostrof powinien być po „s”. Czy to bar Jocquesa? Czy kilku Jocquesów? Co? Odpowiedz, gdy pytam? – Zachmurzył się, a ja wskazałam na Helen. – Co? A no tak. Jesteś pewna, że to on?

– Tak.

– Kurczę.

Próbowałam nie gapić się na nich, gdy zbliżaliśmy się do stolika, wiedziałam, o co chodziło Dominikowi. Wynn był dokładnym przeciwieństwem każdego z dotychczasowych chłopaków Helen. Był rudy, dobrze zbudowany jak gracz rugby i miał na sobie coś, co przypominało kardigan zapinany na suwak. Chociaż mógł to być sweter z pólgołem i suwakiem. Co dziwne, cokolwiek to było, nie wyglądał

w tym źle. Wyglądał... uspokajająco. Nie miał nic z niedożywionego, pobudzonego, złego, umęczonego czy niebezpiecznego.

Nawet wstał, gdy podeszliśmy, i wyciągnął rękę na powitanie, co było niewiarygodną zmianą po Seamusie.

Helen też wstała i przedstawiła nas z entuzjazmem normalnie zarezerwowanym tylko dla goszczących u nas celebrytów. – Hej ludzie, to jest Wynn!

– Hej ludzie? – wymamrotał Dominik. – Co takiego? Gramy od dzisiaj w *Przyjaciółach* czy co? – Szybko uścisnęłam rękę Wynna.

– Cześć! Jestem Rosie, a to jest Dominik.

– A, ten sławny Dominik – powiedział przyjaźnie Wynn. Mówił z delikatnym walijskim akcentem, wiecie – smoki, żonkile i Cymru. – Czytuję twoje felietony co tydzień. Są bardzo zabawne.

Dominik nigdy nie mógł oprzeć się czytelnikom: – Dzięki.

– Trochę się boję, że możemy do niego trafić po dzisiejszej kolacji! – Wynn spojrzał na Helen. – Helen ostrzegała, że wszystko zapisujesz.

– Wynn! – Helen udała obrażoną i szturchnęła go lekko. Tym razem ja osłupiałam. Helen nigdy nie udawała obrażonej. Albo była otwarcie zadowolona, albo bardzo obrażona, nigdy nie udawała nic pomiędzy.

– Jesteście bezpieczni. Dominik zapisuje tylko to, co ja mówię – zapewniłam.

– Ale tylko, gdy jest to śmieszne – dokończył Dominik.

– A wtedy firmuje to swoją osobą.

Helen uniosła brwi.

– Ha ha! – dodałam, by było jasne, że tylko się przekomarzamy, a nie dokańczamy zaciętej kłótni zaczętej przy śniadaniu o „pogardzie Betty dla listy win w restauracji, którą naprawdę lubię i do której chodziłam regularnie, a która teraz nie chce serwować mi niczego zatkanego korkiem”.

– Zamierzasz opisać to miejsce? – zapytał Wynn, gdy usiedliśmy na krzesłach pokrytych materiałem w kratę i czarną skórą.

– Obawiam się, że tak – odpowiedział Dominik, przeglądając menu pasujące do krzesel. – Zamierzam kazać wam zjeść wszystko z sosem i po puddingu na głowę.

– Super. – Wynn rozłożył na kolanach kraciatą serwetkę. – Uwielbiam pudding.

– Niesamowite! Ja też! – wykrzyknęła Helen, jakby właśnie odkryli, że ich matki dorastały na tej samej ulicy, miały urodziny tego samego dnia i stały obok siebie na koncercie Wings w 1978 roku. – Jaki rodzaj?

– Czekoladowe? I bezowe.

– Ja też! To cudownie!

– Cały wieczór tak będzie? – wymamrotał Dominik, gdy oni cudowali w stylu „ty, nie, ty, nie, ty” nad ciepłymi bułkami podanymi z zawrotną prędkością z dodatkowym masłem, w naczyniu w kształcie ostu. – Bo jeśli tak, to muszą mi jeszcze przynieść wiadro w kratę.

– Przestań – wyszeptałam, wiedząc już, jak zostanie to opisane w felietonie. – To urocze, więc nie popsuj.

– Jak mógłbym cokolwiek popsuć? Przecież jest, jakby nas tu nie było.

– Nie bądź wredny. My też na pewno tacy byliśmy. – Lecz nawet jak to mówiłam, nie byłam tego pewna. Nasze wczesne randki upłynęły nad stołami wypełnione ciętymi ripostami i spontanicznymi żartami, podczas gdy Wynn i Helen naprawdę trzymali się za ręce. Dotykali się wzajemnie.

Pocieszające było, że przynajmniej wiedzieliśmy, czym zajęte są ich ręce. Nie jak w przypadku Seamusa i jemu podobnych. Większość takich randek mogła równie dobrze być pojedyncza, jako że często Dominik i ja zostawialiśmy przy stole, kręcąc młynki kciukami, gdy Helen i jej facet „wychodzili na papierosa”. Helen nigdy nie paliła.

– Wszystko w porządku? – zapytał Wynn. – Masz już jakieś uwagi na temat tego miejsca? Bo ten chleb jest przepyszny.

– Podoba mi się gruba sól morską na maśle – dodała Helen. – I wzorek. Chyba u nas też coś takiego zrobię.

– Zamówię wino – zdecydowałam, planując powrót taksówką.

Uwielbiałam Helen, ale trzech dań z nią w takim nastroju na trzeźwo nie wytrzymam.

Spojrzałam w górę, by znaleźć i zawołać kelnera, lecz ten zmierzał już w naszym kierunku.

– Cześć – przywitał się. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy czarny smart należy do kogoś z was?

– Mam nadzieję, że nie – prychnął Dominik. – Czy wyglądamy na ludzi jeżdżących przerośniętym trampkiem wyposażonym w kierownicę?

– To mój – powiedziała Helen.

Dominik wlepił w nią wzrok i ignorując moje kopanie pod stołem, powiedział: – Aha, OK. To ma sens.

– Czy jest jakiś problem? Nikt w niego nie wjechał, prawda? – jęknęła Helen. – Niedawno wrócił od blacharza. Nie jestem zbyt dobra w parkowaniu – wyjaśniła Wynnowi, który tylko się uśmiechnął.

Dominik prychnął, pijąc wino: – Nie umiesz zaparkować smarta? A czy to czasem nie robi się tak, że po prostu stajesz, gdzie popadnie, i wyłączasz silnik?

– Ha, ha, ha... – udałam, że żartuję, po czym szybko gadzim wzrokiem zmierzyłam Dominika. *Nie dzisiaj.*

Kelner wskazał na drzwi: – Przykro mi, ale może chciałabyś wyjść – odholowują go.

– Gdzie zaparkowałaś? – zapytał Wynn.

– Za rogiem... obok kontenera?

Dominik jęknął i mogłam wyczuć jego Monolog Rozwścieczonej Straży Miejskiej dojrzewający w jego umyśle. Jeden z jego ulubionych, zakończony freestyle'ową tyradą o tym, że kary za parkowanie powinny iść na zakup kamer przemysłowych, by zbierać jeszcze więcej mandatów. Przeszedł mnie dreszcz irytacji. Nie chciałam tego dzisiaj. Chciałam, by ten wieczór należał do Helen i Wynna, nie do Dominika.

– Są dość zawzięci – wyjaśniał dalej kelner. – Gdy jeden z naszych klientów rzucił się na maskę, by ratować auto, sam dostał mandat.

– Ale przyjechałam dopiero pół godziny temu! – zawyła Helen, szukając torby pod stołem. – Jakim cudem zdążyli dać mi mandat i zacząć odholowywać.

– Może zaparkowałaś w kontenerze? – dopytywał się Dominik.

– Nie martw się. Jestem pewien, że da się to wyjaśnić. – Wynn odsunął się od stolika i założył swój kardigano-sweter. – Chodź, porozmawiamy z nimi. Spokojnie, kochanie. Nie denerwuj się.

– Powodzenia – zakwicztał Dominik, ale Wynn w odpowiedzi tylko uśmiechnął się uprzejmie.

– Jestem przyzwyczajony do rozmów ze zdenerwowanymi ludźmi. Zadziwiające, jak ta praca uczy uspokajać innych, gdy trzymasz w ręku wiertło.

Patrzyłam zachwycona, jak odprowadza Helen do drzwi, trzymając rękę na jej łopacie, podczas gdy ona w panice bawiła się włosami. W momencie gdy otworzył przed nią drzwi (on otworzył przed nią drzwi!), paniczne ruchy rąk Helen zamieniły się w dużo spokojniejsze wachlowanie.

Odprowadziliśmy ich wzrokiem, lecz niestety mrożone szkło drzwi wejściowych ostatecznie odebrało nam rozrywkę w postaci smarta na lawecie.

– Cóż – powiedział Dominik, gdy kelner przyniósł dodatkowe naczynie z chlebem. – Pomyliłaś się.

– Słucham?

– Powiedziałaś, że idziemy na obiad z Helen i jej nowym chłopakiem, a wyszedł z tego obiad z Helen i jej księgowym.

– Nie – odpowiedziałam udawanym spokojnym tonem. – Wynn na pewno jest jej chłopakiem.

– Nie. Chłopak Helen to melodramatyczny czubek.

– Dominik! Nie słuchałeś, co mówiłam? Helen rzuciła Seamusa po gali rozdania nagród. Wynn jest...

– Nie, nie, nie. – Podkreślił swoje słowa dźgającym powietrze palcem

wskazującym. – Nie tylko Seamus. Wszyscy faceci Helen są: a) melodramatyczni, b) czepiający się wszystkiego lub wszystkich, c) przede wszystkim są szefami kuchni. Machnął w kierunku drzwi: – Ten facet jest normalny i spokojny.

– Wiem... – odpowiedziałam. – I to dobrze.

Opadł na krzesło, odstawiając pantomimę desperacji: – Daję im dwa tygodnie.

– A ja nie – powiedziałam uparcie. – Dlaczego jesteś tak negatywnie nastawiony? Helen mówi, że dopóki nie poznała Wynn, nie zdawała sobie sprawy, jak wyczerpujące jest życie z kimś tak wymagającym jak Seamus. Wynn się nią opiekuje.

– Tak, ale ta nowość szybko jej się znudzi. Kobiety takie jak Helen rozkwitają w dramatach.

– Naprawdę, mógłbyś przestać się czepiać dla samego faktu czepiania. Żadna kobieta nie lubi dramatów. Czasem po prostu muszą z nimi wytrzymywać. To wkurzający efekt uboczny chodzenia z pewnym typem facetów. – Tym razem nie udawałam, że mam zamiar zabić go wzrokiem. *Kobiety takie jak Helen.* To zabrzmiało... To zabrzmiało czysto seksistowsko.

– O co ci chodzi? – zapytał, wrzucając sobie bułeczkę do ust. I przez jedną ulotną, jakże dziwną chwilę pomyślałam: *Dlaczego nie możesz być choć trochę jak Wynn?*

Natychmiast stłamsiłam to uczucie. Kochałam Dominika, ponieważ był kąśliwym, sarkastycznym pisarzem. To mnie zauroczyło. Nie możesz mieć tego i delikatnych wspierających rąk.

Możesz?

– Możesz sobie wyobrazić, co w takiej sytuacji zrobiłby Seamus, gdyby mu odholowali samochód? – napawał się dalej. – Jeśli wcześniej zdołałby odzyskać prawko, oczywiście. Ha! Co to była za noc. Trzeba mu to oddać, z nim nigdy nie bywało nudno. Fajne czasy.

– Nie, Dominiku, nie fajne czasy. Stresujące. – Czułam, że coś

wywraca mi się w żołądku. Nie podobało mi się, że celowo nie słucha tego, co mówię.

– Oj, daj spokój – chichotał. – Kto chce opowiadać dzieciom o koledze mamusi, który nie złożył PIT-u na czas? No? Jak koleżanka mojej mamy, która za każdym razem opowiada o wstawionym księdzu na ślubie jej córki. To nie jest anegdota, to jest antyanegdota.

Wpatrywałam się w drzwi, wyciągając szyję, by zobaczyć, co się dzieje: – Istnieje dobre rozwiązanie, Dominiku. Helen dużo pracuje, potrzebuje kogoś opiekuńczego blisko, a nie dodatkowych stresów...

– Znudzi się tą uprzejmością – upierał się. – Dziewczyny zawsze twierdzą, że chcą masażu, ale od tego są masażyści.

– Tak nie jest – mówiłam, patrząc mu prosto w oczy. – Czasem lubią mężczyzn, którzy przynoszą im kwiaty i wyznają miłość.

Odwzajemnił spojrzenie: – Tego właśnie chcesz?

Czułam, jak spadam coraz niżej. I niżej, i niżej. Oczywiście, że tak: – Czy muszę odpowiadać na to pytanie?

Nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ wracali do nas Helen i Wynn. Wynn wyglądał na spokojnego, Helen na oszołomioną, ale w dobry sposób.

– No? – Dominik walnął w stół. – Co się tam działo? Zabierają twoje mikroautko? Wsadzili już go na swojego buciora?

– Nigdzie go nie zabierają – zachwycała się Helen. – Wynn ich odwiódł.

– Co? – powiedzieliśmy z Dominikiem w tym samym czasie. Dominik miał więcej rozczarowania w głosie.

Helen pokręciła głową w zachwycie: – Nawet... nie dadzą mi mandatu. Okazało się, że znak wisiał nie w tym miejscu, gdzie powinien, więc mandat się nie liczy.

– Podstawowy błąd – odpowiedział Wynn, sadowiąc się na krześle i przeczesując skromnie włosy. – Facet był w sumie dość rozsądny. W każdym razie już po sprawie. Przejrzelście menu? Podpowiecie coś?

Nawet nie mogę powiedzieć, czy kiedykolwiek jadłem... – sprawdził jeszcze raz menu – ym, French-Scottish fusion. Ale zawsze jest ten pierwszy raz, nie?

Zerknął w górę i spotkał się z trzema parami oczu wpatrzonymi w niego w zachwycie.

No, dwie pary w zachwycie; jedna w uwielbieniu.

W ten weekend, pomyślałam, gapiąc się ze świeżą determinacją na listę naleśników nadziewanych głęboko smażonymi składnikami, znajdziemy z Dominikiem mieszkanie, które spodoba się nam obojgu, a on mi zrobi omlet. Albo naprawi gniazdko czy coś takiego. Coś, co da mi ten sam zdumiewający blask dumy, który teraz widać u Helen.

A potem spojrzałam na Dominika, który rozśmieszał Wynna błyskotliwymi uwagami na temat menu i wiedziałam na pewno, że cokolwiek innego wniósł do naszego związku, omlet i gniazdko zawsze będą do mnie wracać. Tak samo jak wspomnienie kwiatów i słów „kocham cię”.

Rozdział szesnasty

W kuchni w mieszkaniu Dominika tuż nad tosterem wisiał kalendarz ze Star Wars. Wypełniony naszymi prywatnymi oraz wspólnymi wydarzeniami: moje śluby na czerwono, kolacje Dominika na niebiesko, wydarzenia w hotelu na zielono, prywatne wspólne wyjścia na czarno. Tych ostatnich nie było dużo. Jakoś nigdy nie mieliśmy czasu w tym samym czasie. Tak naprawdę tylko dzięki życzliwości Dartha Vadera wiedzieliśmy, gdzie przez resztę czasu podziewa się ta druga osoba.

Dzisiaj, niestety, zawiódł nas nawet Darth. Byłam zła, ponieważ był to jeden z eventów, którego naprawdę nie chciałam przeoczyć: udział Dominika w London Reporter Quiz Night.

Przypomniało mi się przy śniadaniu, gdy nakryłam Dominika uczącego się nazwisk zdobywców gwiazdek Michelin.

– Tak mi przykro – powtórzyłam po raz trzeci, sprawdzając jednocześnie moją torbę i maile. – Postaram się zdążyć przed dziesiątą. Wpół do jedenastej, może. Pan młody chce wywieźć pannę młodą o dziewiątej trzydzieści, by zdążyli na lot do Dubaju.

– Nie wysilaj się – odpowiedział. – I nie robię tego w pasywno-agresywny sposób. Serio, nie ma po co się wysilać. Jest OK.

– Ale ja chcę się wysilić – nalegałam. – Chcę cię wspierać. I jestem dobra w muzyce pop – dodałam z uśmiechem. – Bardzo chcę poznać twoich znajomych.

Oboje, ostatnio, staraliśmy się bardziej niż zwykle. Wychodziłam z pracy przed szóstą, poszliśmy obejrzeć kilka mieszkań, żadne z nich, niestety, nie spełniało wygórowanych wymagań Dominika. To był dobry początek, tak powiedziałam wszystkim w pracy. W rzeczywistości osobą pracującą do późna był Dominik, który umówił się kilka razy na zrobienie recenzji z kolegami z pracy: – Łatwy sposób na oddanie przysługi – wyjaśniał. – A ty i tak nie lubisz tajskiego jedzenia.

– Dzisiejszego wydarzenia nie sprawdziłam w kalendarzu, więc...

– Nie, to moja wina. Powinienem zaznaczyć w kalendarzu – Posmarował masłem trzeciego tosta i zaczął gmerać w słoiku z dżemem ubrudzonym masłem nożem. – Nie mam pojęcia, dlaczego tego nie zaznaczyłem. W każdym razie spotkasz wszystkich na przyjęciu świątecznym – kontynuował. – Jako że je organizujesz, za co jestem ci bardzo wdzięczny, zobaczysz ich, co do jednego.

– Nie, ja tobie jestem bardzo wdzięczna. Będę w pracy – przypomniałam. – Nie mogę się wymknąć i pić szampana z gwiazdami dziennikarstwa tylko dlatego, że jesteśmy razem. W każdym razie chcę, by ten wieczór był najlepszy ze wszystkich. Chcę, by wszyscy znani felietoniści mówili tylko o tym, jak wspaniale się bawili.

Złapałam kawałek tosta: – I chcę, żebyś był ze mnie dumny – dodałam.

Dominik popatrzył na mnie.

Nie jestem pewna, dlaczego to powiedziałam. Może to z nerwów przed dzisiejszym weselem. Może tak się przyzwyczałam do sposobu, w jaki Wynn patrzy na Helen, że chciałam, by Dominik tak samo na mnie spojrzał.

– Zawsze jestem z ciebie dumny – uśmiechnął się niepewnie. – Dobrze się czujesz? Znowu dużo mówiłaś przez sen.

– Jestem tylko... troszkę spięta. Ten ślub jest jakiś chaotyczny, Helen ciągle tkwi w walijskim miłosnym transie, nie mam też pewności, czy Joe nie wyskoczy nagle ze swoją falą szczerości. A Laurence jest na nowej diecie wątrobowej – wsadziłam ręce we włosy – i powiedziałam agentowi od mieszkania na Paddington, że będziemy w kontakcie, a to fatalnie, bo powinnam nas stawiać na pierwszym miejscu.

– Rosie, powtarzam przecież, że wszystko w porządku. Nie obrażam się za dzisiaj. Leć i spraw, by ten ślub był cudowny dla... kogokolwiek.

– Natalii i Petera – powiedziałam automatycznie. Nauczycielka i makler, popołudniowa herbata, szwedzki stół, swingujący zespół. Nie puszczać matki panny młodej blisko ponczu.

– Dla Natalii i Petera – powtórzył. – Jesteś cudotwórczynią. Czy czasem się nie spóźnisz?

– Nie jestem. O cholera. – Zerknęłam na zegar kuchenny. Już było dziesięć po ósmej, a florystka miała zacząć przygotowywać stoły trzydzieści po. Zarzuciłam torbę. – Do zobaczenia wieczorem?

– Skoncentruj się na ich dniu – odpowiedział, wsadzając ubrudzony masłem i teraz już okruszkami chleba nóż do słoika z dżemem.

Wiedziałam, że coś jest na rzeczy, gdy pierwszą osobą, którą zobaczyłam w recepcji, był Laurence. Był w marynarce, miał szalik, ale coś mi nie pasowało. To nie był zwykły sflaczały szalik i kapelusz – wyglądał jak ktoś, kto udaje, że wyszedł, narzucając pierwszą lepszą rzecz, jaka wpadła w ręce.

– Rosie! Jak się cieszę, że cię widzę – powiedział z taką emfazą, że mikrogranulki śliny poleciały w powietrze. – Mamy pewne niespodziewane okoliczności.

– Tak? – zapytałam, zmierzając do gabinetu. Nie potrzebowałam niespodziewanych okoliczności, nawet od Laurence’a.

Poszedł za mną, oglądając się na foyer, jak gdyby nie chciał stracić z oczu wielkich obrotowych drzwi: – Chodzi o Ellie. Musiała pilnie jechać do Dublina w sprawach biznesowych i ona tego... no...

Byliśmy w połowie korytarza, gdy usłyszałam daleki huk dochodzący z mojego biura, a zaraz po nim skomlenie, kolejny huk i wrzask ataku.

Zatrzymałam się w miejscu i obróciłam na pięcie: – Laurence – powiedziałam – chyba nie zamierzasz mi powiedzieć, że Otto i Ripley znowu tu są?

Skrzywił się: – Okazuje się, że rano był jakiś kryzys.

Znowu brzdęk i chichot. Serce mi zamarło. To był ten rodzaj złowieszczonego chichotu, który mówił „ciastka na śniadanie”.

– Nie zamierzasz mi też powiedzieć, że oni są teraz w moim biurze... a ty zamierzasz wyjść?

– Gemma jest z nimi i zakazała im dotykać czegokolwiek.

– Tam są wiązanka i prezenty dla gości! – zawyłam.

– Gemma mówiła, że ma coś do zrobienia, a ja muszę iść na ważenie – powiedział przepaszająco, wycofując się powolutku w stronę foyer. – Jeśli nie zostaną zważony przed lunchem, dr Harris nie będzie mógł stwierdzić, czy moje serum działa.

Nie było jeszcze nawet ósmej trzydzieści. Zablokowałam mu drogę: – To są twoje dzieci – protestowałam – a postanowienia sądu i Ellie mówią wyraźnie, że ty i tylko ty masz się nimi zajmować.

– Myślisz, że nie wiem? Ta kobieta jest zadziwiająco pamiętliwa.

Przeczesałam dłonią włosy i się opamiętałam; grzywka niestety była już w pionie: – Laurence, nie mogę się nimi zająć. Dzisiaj mamy ślub i jest mnóstwo pracy do zrobienia. Potrzebna mi Gemma. Aaa!

Olśniło mnie. Spłynął na mnie cudowny, otulający, pocieszający pomysł.

– Joe! – Prawie wystrzeliłam dłonią w powietrze. – To ich przyrodni brat. On może się nimi zająć.

– Co?

– Joe. Czy on w ogóle poznał Ottona i Ripley?

– Hmm, wydaje mi się, że był na ich chrzcie – ale nie...

– Bardzo dobrze, będzie miał okazję bliżej ich poznać. Gdzie on jest?

– Nie widziałem go dzisiaj – zdążył odpowiedzieć Laurence i naszym oczom ukazał się ziewający, rozczochrany Joe, nadchodzący od strony restauracji z połową rogalika w jednej dłoni, z telefonem w drugiej.

Zignorowałam własną irytację na fakt, że ewidentnie nie dostał mojego maila, by był gotowy na wczesne rozpoczęcie dnia i nadzorowanie ostatecznych przygotowań na ceremonię o 14.00, i ułożyłam usta w radosnym uśmiechu.

– Dzień dobry – przywitał się, a potem zobaczył mój uśmiech. – O Boże. Co znowu zrobiłem?

– Laurence ma zadanie dla ciebie – powiedziałam. – A jak zabraknie ci pomysłów, to konsjerż Sam załatwi bilety na *Króla Lwa*. A teraz panowie

wybaczą, muszę iść pomówić z kuchnią o przyjęciu.

I pomknęłam szukać Helen.

Poranek minął w pośpiechu: zaprowadzenie fryzjera i makijażystki do apartamentu panny młodej, upewnienie się, że główna drużyna, Lucy, nie zawłaszczyła sobie wyżej wymienionych; sprawdzenie pokoi; współpraca z urzędnikiem stanu cywilnego; milion innych detali, o które się martwiłam, by panna młoda nie musiała.

Miałam złe przeczucia co do świadka, Stevena.

Stałam właśnie przed wejściem dla pracowników, dzwoniąc dyskretnie do znajomego na Heathrow z pytaniem, czy nie mógłby podnieść klasy nowożeńcom, gdy wpadłam na niego, tak jak ja wiszącego na telefonie. Śmiał się w złowieszczy, bezczelny, kumpelski sposób, który uruchomił mój Świadkowy Alarm.

– ...serio, posikacie się, gdy zobaczycie, co zaplanowałam na przemowę dla Pete’a... No... No... mam nadzieję, że Natalia ma poczucie humoru.

Gdy mnie zobaczył, natychmiast się rozłączył, a minka winowajcy wyjaśniła wszystko. Ale mimo że uprzedziłam Gemmę i Helen, by miały oczy i uszy otwarte, byłyśmy tak zajęte, że żadna z nas nie miała czasu, by tkwić przy nim z nadzieją podsłuchania czegoś więcej.

– Mogłabyś wysłać Joego do drużbów, może coś by podsłuchał – zasugerowała Helen, gdy pomagałyśmy tymczasowym pracownikom dekorować salę balową. Nabierała jesiennego blasku kremowych i herbacianych róż, bluszczu oraz maleńkich dyń z tealightami gotowymi, by zapalić je o zmierzchu.

– Joe jest zajęty pacyfikowaniem przyrodniego rodzeństwa. – Wyrównałam ciężki srebrny nóż, by był idealnie równoległy z połączonym talerzem. – I będzie zajęty do końca wesela.

– Jesteś pewna, że czegoś przez to nie przeoczymy? Jest genialny w infiltrowaniu takich koleś. Wszystko by mu powiedzieli. Zadzwoń do niego, niech pójdzie do baru, nie afiszując się, że jest od nas.

– Po co? Żeby psikus urósł do rangi katastrofy? Nie ma mowy. Wolę

nie widzieć Joego, póki wesele trwa. Niech zajmuje się dziećmi – odpowiedziałam.

Helen spojrzała mi prosto w oczy. Teraz, kiedy Seamus i pozerwaniowy smutek należeli do przeszłości, wróciła jej precyzja operacyjna: – Czy ty przypadkiem nie obcinasz gałęzi, na której siedzisz? Mówię ci, zawołaj Joego, niech się dowie, o co chodzi, bo musisz zniweczyć plan niespodzianki, jakikolwiek by był. Wyślę jedną z dziewczyn, by go zastąpiła z dziećmi, gdy zasną. On jest w tym dobry.

– Dobrze – zgodziłam się. Nienawidziłam tego, że ona ma zawsze rację w sprawach z Joem. – Ale jeśli wyjdzie z tego farsa, będzie na ciebie.

Nawet nie zdążyłam tego przemyśleć, gdy pojawił się Joe, we własnej osobie, a nie rozczochrana poranna wersja.

– Wyluzuj – powiedział, podnosząc irytująco dłoń, zanim zdążyłam się odezwać. – Śpią. Przeniosłem je do dużego pokoju, z dużym łóżkiem... pokoju nowożeńców? Ripley jadła czekoladki na poduszkach.

Szczęka mi opadła, a on się roześmiał:

– To było za proste – powiedział i wykonał gest odstrzeliwania mnie z pistoletu. – Są w mieszkaniu taty. Z tatą. Śpią.

Jak na kogoś, kto zajmował się demonicznymi dziećmi Londynu przez kilka godzin, Joe wyglądał zadziwiająco dobrze. Jeszcze bardziej zadziwiło mnie, że udało mu się nakłonić Laurence'a, by się nimi zajął.

– Wow, masz talent. – Helen była pod wrażeniem.

– Nie ma problemu, były grzeczne. Tylko Ripley przechodzi teraz fazę pieśni i tańca i nie chciała zdjąć butów do stepowania.

– Buty to i tak postępek – odpowiedziałam. – Ostatnio, gdy tu byli, nie chciała zejść z trzykołowego rowerka. Jeździła jak oszalała po restauracji niczym dzieciak z *Lśnienia*. A potem taranowała wózek z kedgeree, póki nie napelnili jej miseczki śniadaniowej. Otto nawet nie taranował. Po prostu stał przy jedzeniu, przerażając kelnera.

Roześmiał się. A ja nie żartowałam.

– Słuchaj, Rosie potrzebuje pomocy – powiedziała Helen, spoglądając

na mnie.

Spiorunowałam ją wzrokiem i powiedziałam: – Hmm, wydaje mi się, że świadek jest w coś zamieszany. Chciałam, żebyś miał na niego oko.

Joe splótł ramiona na piersi i wyglądał „cierpliwie”. To był już postęp po „skonsternowanym”, ale malutki.

– Czy wiesz, czy ci się wydaje? – zapytał. – Czy tylko znowu rozwijasz żelazną kurtynę nad panną młodą?

– Nie, ona wie. Rosie jest jak psy, które wyczuwają tornado – wyjaśniła Helen. – Albo jak konie wyczuwające trzęsienie ziemi.

– Niezłe porównanie. Wytupuje ostrzeżenie kopytami? Raz na „Zgubił obrączki”? Dwa na „Pieprzy druhnę”?

– Możesz przez chwilę być poważny? – zażądałam. – Podśledzałam rozmowę telefoniczną świadka i jestem pewna, że planuje niespodziankę podczas przemowy. A Natalia naprawdę nie lubi niespodzianek. Do tego stopnia, że sama kupiła pierścionek zaręczynowy i zmusiła mnie, bym zdobyła i zreferowała przemówienie Petera.

– My nie możemy się stąd ruszyć i dlatego potrzebujemy twojej pomocy – wytłumaczyła Helen.

Joe okazał zainteresowanie:

– Co? Mam go śledzić? Czy mam z nim pogadać i wybadać, co to jest, co planuje? – Nagle jakby zwątpił, na swój irytujący sposób. – A może to tylko żart? Czy na pewno powinniśmy mieszać się w ostatnie, tylko kumpelskie, chwile świadka i pana młodego? A co, jeśli to coś, o czym Peter powinien się dowiedzieć?

– Nie! – Moc, z jaką krzyknęłam, zaskoczyła mnie samą.

Helen i Joe patrzyli na mnie zaskoczeni.

– Nie – powtórzyłam, poirytowana ignorancją Joego dla uczuć panny młodej. – Od tego jest wieczór kawalerski. To jest dzień Natalii, a ona naprawdę nie doceni zenującego pokazu slajdów... fragmentów ciała pana młodego, czy co tam jest planowane. Nigdy nie lekceważ zaniku poczucia humoru, jaki pojawia się na ślubach. O Boże. – Chwyciłam się za głowę.

– Wiedziałam, że powinnam przejrzeć przemówienie Stevena.

– Nic nie jest idealne, Rosie – powiedział Joe protekcjonalnie, pochylając głowę.

– Moje śluby są tak idealne, jak na to pozwala urząd stanu cywilnego – wycedziłam, zacisnąwszy zęby.

– Ludzie nie pamiętają perfekcyjnych – powiedział Joe. – Pamiętają zabawne. Malutkie rzeczy, które poszły nie tak. To nadaje osobistego charakteru.

Rzuciłam Helen spojrzenie, które mówiło (taką miałam nadzieję) *Dzięki, Helen. Świetny pomysł.*

– Po prostu miej na niego oko – przypomniała Helen, zupełnie niewzruszona zachowaniem Joego i potencjalnym chaosem ogarniającym całe przedsięwzięcie. – Dowiedz się, co planuje, jeśli zdołasz. A potem zduś to w zarodku.

– Po cichu – dodałam. – I powiedz mi, o co chodzi. I nie mów nic Natalii.

Wyszczrzył zęby w iście reklamowym uśmiechu: – Drogie panie, doceniam, że obdarzyłyście mnie zaufaniem. Zostawcie to mnie.

A potem Joe wykonał najbardziej irytujący gest ze wszystkich wykonanych do tej pory: zasalutował, odkręcił się na pięcie i odszedł.

Odwróciłam się do Helen z otwartymi ustami, ale żadne słowa nie padły.

– Nie zaczynaj – powiedziała i dodała, wskazując na serwetki: – Składaj.

Niczym jastrzęb obserwowałam wszystkich drużbów – i Joego – przez kilka najbliższych godzin. Ciągłe dawał mi umówione znaki *wszystko w porządku!*, co martwiło mnie jeszcze bardziej niż knujący świadek. Lecz, szczerze mówiąc, nic nie mogłam zrobić i o drugiej ślubny orszak Natalii Thompson i Petera Lloyda zajechał pod nasze drzwi.

W miękkim jesiennym świetle hotel wyglądał tak romantycznie, że aż zapierało dech w piersiach. Kilka brązowych liści spadało raz po raz

z okolicznych drzew, a w długich oknach odbijały się puszyste chmury dryfujące po błękitnym niebie. A ja, niestety, nie mogłam otrząsnąć się z okropnego uczucia, że pozwoliłam, by Joe zrujnował całe wesele.

Nienaturalnie spokojna atmosfera trwała do dwadzieścia po drugiej, kiedy dramat przybrał twarz Gemmy, najzagorzalszego posłańca złych wiadomości w branży.

– Rosie! Rosie! Od wieków cię szukam! – Gemma tak szybko wybiegła zza rogu, że prawie wpadła na wieżę z białych róż. – O Boże – powiedziała, formując dłonie w szpony paniki. – Coś usłyszałam. Świadek. Steven?

Serce mi zamarło: – Co? Co słyszałaś? Kiedy?

– Rozmawiał przez telefon na zewnątrz. Nie wiem z kim, ale podał im godzinę rozpoczęcia wesela i kiedy będzie przemawiał i powiedział coś takiego: „wtargnij i pomachaj tym”.

– „Pomachaj tym?” – Wlepiłam w nią wzrok. – Bronią? Aktem ślubu? Czym jeszcze możesz pomachać? Nie, nie odpowiadaj.

Przez ogród przeszła fala oklasków, świadcząca o tym, że Natalie była teraz nową panią Lloyd i że goście zaczęli zmierzać w kierunku szampana i miejsca wesela w foyer.

– O nie, już idą! – Gemma była przerażona. Kwartet smyczkowy zaczął grać w małej altance pomiędzy ogrodem a foyer, gdzie kelnerzy stali z tacami szampana. *It Had To Be You* płynęło przez hall.

– Gdzie Helen?

– W kuchni.

– Joe?

– Nie wiem.

Ekstra.

– Powiedz Tamowi, żeby miał oko na drzwi – poleciłam. – A potem znajdź Joego i powiedz, by przykleił się do świadka jak klej.

– OK.

– Jeśli sytuacja znacznie się pogorszy – powiedziałam – po prostu zastosuj taktykę Laurence’a TDS.

– TDS?

– Taktyka Darmowego Szampana. Tata panny młodej rozgadał się w przemówieniu o matce panny młodej i obrzucaniu się błotem przy rozwodzie – wytłumaczyłam szybko, przerzucając się na pierwszych gości płynących do foyer w poszukiwaniu kanapek. – Nie mogłam go powstrzymać, więc Laurence wysłała kelnerów z darmowym szampanem do toastu, nikt go już nie słuchał, zgubił watek, świadek wymyślił toast na poczekaniu, pozamiatane.

– Rosie, jesteś niesamowita – z podziwem powiedziała Gemma.

– Staram się. – Wytężałam wzrok w poszukiwaniu rozrabiającego świadka.

Natalie i Peter wchodzili właśnie do foyer, skąpani światłem padającym z kopuły ponad nimi. Natalie wyglądała promiennie. Peter wyglądał na oszołomionego, lecz szczęśliwego. Steven, świadek, stał zadowolony z siebie, niczym rozrabiaka ze szkolnej drużyny, motywując mnie jeszcze bardziej, by zniweczyć jego nieczne plany.

Joe nie dawał znaku życia. Musiałam to sama załatwić, jak zwykle. Tylko nie mogłam pozbyć się uczucia... rozczarowania?

Włączyłam zestaw bluetooth ukryty w toczku na głowie, połączyłam z Gemmą, mówiąc: – Okej, zaczynamy.

W głównej sali weselnej dwustu gości zajmowało swoje miejsca. Byli to starannie dobrani, nobliwi starsi krewni, szanowani znajomi z czasów studiów oraz inni nauczyciele, wszyscy rozmawiający cicho przy akompaniamencie muzyki dochodzącej z foyer, pobrzękiwaniu sztućców i szkła.

Z jakiegoś powodu ta sielska atmosfera wzbudzała mój niepokój. Ona i fakt, że Joe zniknął i nie odbierał telefonów.

Posiłek przebiegł bez problemów i o czwartej piętnaście, dokładnie tak jak zaplanowałam, dałam umówiony znak Graemowi – ojcu panny młodej

– że nadszedł właściwy moment. (Tym umówionym znakiem był kieliszek brandy podany dyskretnie przez jednego z kelnerów).

Patrzyłam, jak przez trzy sekundy wpatruje się w kieliszek, następnie wypił go szybkim haustem i wstał, a ja wtedy włączyłam mikrofon ukryty w dekoracji na jego stole.

– Panie i panowie, rodzino i przyjaciele... – zaczął i rozpoczęły się przemówienia.

Nacisnęłam słuchawkę, by połączyć się z Gemmą, która sprawdzała toalety, upewniając się, że żadnego z gości nie ominą przemówienia: – I co? – wyszeptałam.

– Nic.

Świadek, Steven, napotkał mój wzrok i uśmiechnął się zwycięsko.

...wtargnij i tym pomachaj... – zadzwoniło w mojej głowie.

Jako że nic nie mogłam zrobić, zmusiłam się do odegnania negatywnych myśli. Może miał rację, może za bardzo chciałam wszystko kontrolować? Co złego może się wydarzyć? Pewnie najwyżej pokaże jakieś zdjęcie Petera w sukience na innym wieczorze kawalerskim. Każdy gracz rugby ma przynajmniej trzy takie. A tu jest ich rodzina. Najwyżej się pośmieją.

Spojrzałam na gości siedzących najbliżej państwa młodych. Cały stół białogłowych ciotek i wujów panny młodej uśmiechających się życzliwie do Graema. Dwóch z nich miało koloratki. Jeden wyglądał na sędziego Sądu Najwyższego.

Chociaż, z drugiej strony...

Przełknęłam.

Przemówienie taty Natalii było słodkie i uczuciowe, o tym, jakim darem Natalia była na niego i Kathryn – jego cudownej żony od trzydziestu czterech lat (dokładnie w ten weekend!). Potem wśród burzy oklasków wstał Peter. Szampan poszybował w górę, a on zaczął tradycyjnym „Moja żona i ja...”.

Nagle zaskrzeczał mój zestaw.

– Czerwony alarm – rozległ się głos Gemmy. – Właśnie rozmawiałam z jedną z pokojówek i ona twierdzi, że chyba ktoś jest w apartamencie nowożeńców?

Zamarłam, rozdarta pomiędzy sprintem na górę, by to załatwić, a zostaniem tutaj i upewnieniem się, że nic się nie stało.

Jeślibym zdjęła szpilki, dotarcie na górę zajęłoby mi dwie minuty. Powrót kolejne dwie. Pobyt tam minutę – jeśli nie byłoby problemu, dziesięć – jeśli by był.

Na sali, ponad głównym stołem, Steven, świadek, spojrzał na mnie wzrokiem, który ewidentnie mówił: *wiem coś, o czym ty nie masz pojęcia, kochanie.*

– Idź, sprawdź, zdaj raport – powiedziałam do słuchawki. – Ja zostanę tutaj, przy świadku.

– Tak jest – rzuciła Gemma, kończąc rozmowę.

Nie kontaktowała się ze mną więcej. Peter zakończył przemówienie, otrzymując ogłuszające oklaski i wstał Steven. Ścisnęło mi żołądek, dałabym sobie rękę uciąć, patrząc na jego rozbiegane oczy, gdy patrzył to na drzwi, to na pana młodego, to znowu na drzwi, że coś dużego było na rzeczy.

– Gdy Pete poprosił, bym był jego świadkiem, byłem zaszczycony – zaczął Steven, łypiąc okiem na pannę młodą. – Spytałem go wtedy, dlaczego wybrał właśnie mnie i on odpowiedział: „Steven, jesteś facetem, którego chciałbym mieć blisko w najważniejszym dniu mojego życia. No i też dlatego, że znasz wielu dobrych prawników, którzy poradzą sobie z konsekwencjami kawalerskiego. Ju– hu”.

– Heeeuuuuurrrrggggghhh! – zaryczał tłum graczy rugby.

Dwóch księży i sędziego Sądu Najwyższego ze stolika najbliższego państwu młodym usztywniło się na krzesłach.

Uśmiech Natalie lekko zeszywniał, a na kości policzkowe wypełził rumieniec.

– Do rzeczy, kiedy mówię, że wszyscy dobrze się bawiliśmy na

kawalerskim Petera, mam na myśli to, że wszyscy cholernie dobrze się bawiliśmy. Bez nazwisk! Ale gdy mówię, że wszyscy się dobrze bawiliśmy, powinienem być chyba bardziej konkretny. Pete, nie martw się, ona oficjalnie już jest twoją żoną!

Natalia zerknęła na mnie nerwowo. Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, ale w myślach ochrzaniłam samą siebie porządnie za to, że nie „wpadłam” do pana młodego na śniadanie, by go wypytać o to czy tamto.

Próbowałam połączyć się z Gemmą: – Masz coś? – wyszeptalam. – Gemma?

Brak odpowiedzi.

– Gemma? Gdzie Joe?

Słowa zamarły mi na ustach. Zobaczyłam ją, zanim zrobili to inni, zbliżającą się przez wysokie podwójne, szklane drzwi niczym fala nieprzyzwoitości.

Kobietę – albo przynajmniej na taką wyglądała; mogła równie dobrze być mało ambitnym transwestytą – w skórzanej minispódniczce i piersiastej górze, z doczepianymi włosami, które idealnie nadawały się, by nimi kręcić wraz z ozdobami na sutkach. Miała zdeterminowaną minę, ale to mogło być z powodu połączenia naszej bardzo śliskiej wykładziny z jej niebotycznie wysokimi lateksowymi szpilekami.

Sparaliżował mnie strach przed podjęciem decyzji. Jeśli się ruszę, to zwróci uwagę, jeśli nie...

Nie mogłam do tego dopuścić. Ale co robić, co robić? Skierować ją gdzie indziej? Powstrzymać Stevena? Kilkoro ludzi przy drzwiach już ją zauważyło i wiadomość niosła się niczym przez głuchy telefon. Jednak chyba jeszcze nie zdawali sobie sprawy, dokąd ona zmierza.

Machałam głową w tę i z powrotem, to na nią, to na Stevena, z twarzą tak czerwoną jak wyciskany pomidor. Nie wiedziałam, co robić. Byłam bezsilna.

Coś białego i plastikowego.

Małe, białe, plastikowe.

Test ciężowy?

Nieemożliwe. Słyszałam już wiele okropnych przemówień świadków, ale to było zdecydowanie najgorsze.

I nagle, gdy już miałam wrzasnąć, udając objawienie Marii Panny na torcie, striptizerka stanęła zszokowana i zniknęła przed szklanymi drzwiami niczym powalone wicherem drzewo.

– ...Peter, oczywiście, zachował się jak gentleman i nalegał, by Swietłana okryła swoje... zażenowanie jego kurtką, ujmijmy to w ten sposób.

– Wooooaaaaarrrrrggggh! – wyli drużbowie, patrząc na drzwi w oczekiwaniu wielkiej niespodzianki.

Nie zdołam opisać ulgi, jaką poczułam, gdy drzwi pozostały szczelnie zamknięte. Boska interwencja. *Dzięki Bogu za śliskie wykładziny*, pomyślałam, idąc w kierunku drzwi, by pozbyć się problemu, zanim zacznę wyc w agonii.

Steven co rusz zerkał na drzwi. Postanowiłam wyłączyć mu mikrofon. Jego donośny głos zabrzmiał jeszcze w sali kilkoma dźwiękami, po czym zamilkł, skonfundowany. Nagle rozległ się dźwięk niczym seria z karabinu maszynowego i drzwi otworzyły się z rozmachem.

O, Boże, co za nowy wysłannik piekieł tym razem?

Mogłam zgadnąć. To była Ripley. Ripley i jej buty do stepowania, wystukująca coś, co mogło być kodem Morsa dla *uratujcie mnie od wtopy stulecia*, na oryginalnym parkiecie restauracji.

Wszyscy obrócili głowy, jak na komendę.

– Happy feet, tupot małych stóp! – wrzasnął piskliwy głosik. – *I've got those happy feet!*^[5].

Tap tap tap tap tappitty-tappitty-TAP.

Krew, która odpłynęła mi z twarzy, teraz wróciła wraz z żądzą zemsty na Ripley i blond loczki, które podskakiwały, gdy przesuwała się w głąb sali, stepując. Z zewnątrz wyglądała niczym aniołek – biała czuprynka, różowe policzki, niebieskie oczka. Wewnątrz, to wiedziałam

z doświadczenia, była bardziej Tinie Tempah^[6] niż Shirley Temple.

Dobłą stroną tego wszystkiego było to, że wszyscy zapomnieli o porażającej mowie Stevena. Nawet księży się ożywili.

Wtem drzwi znowu się otworzyły i wtargnął Joe. Był ubrany w garnitur i, jak zauważyłam, jego włosy były zmierzwione dokładnie jak u modeli pozujących z dziećmi.

– Tu jesteś, ty niegrzeczna... och nie! To ślub! – Rozejrzał się wkoło z czarującym, przepraszającym spojrzeniem à la Hugh Grant.

Ripley, lekko poirytowana faktem, że zabrano trochę należnej jej uwagi, wykonała dziki pokaz szalonego stepowania, tak głośny, że najbliższej siedzący goście złapali się za aparaty słuchowe, po czym zakończyła pokaz gestem „ta-da”. Nie uszło mojej uwagi, że miała ze sobą jeden z malutkich pomarańczowych bukietów zabrany z ostatniego rzędu krzeseł w sali ślubów.

– Bardzo państwa przepraszam – zaczął Joe. – Gdy Ripley zobaczyła pannę młodą, pomyślała, że wygląda tak pięknie, że chciałaby jej dać kwiatki. Byłaś niegrzeczną dziewczynką. To bardzo nieładnie przerywać.

– OOOooo... – jednogłośnie jęknęła jedna trzecia żeńskiej części gości. Chociaż moim zdaniem bardziej z powodu Joego niż Ripley. Kątem oka zauważyłam szerokie ramiona Tama pojawiające się za szklanymi drzwiami, pochylające się nisko i pojawiające się znowu z przewieszonym przez ramię prześcieradłem zakończonym lateksowymi szpilkami. Nigdy, ale to nigdy więcej nie zakwestionuję zwyczaju Laurence’a rekrutowania ochrony ze służb specjalnych.

Steven patrzył przerażony, jak jego superniespodzianka znika nad ramieniem Tama, wyparowuje tak samo jak główny wątek jego przemowy. I gdy cała uwaga skupiona była na Joem i Ripley, złapałam wzrok Stevena i wykonałam palcami gest *mam cię na oku*, którego nauczył mnie Tam. Steven skurczył się w sobie.

– Wybaczcie nam proszę przerwanie przemowy – powiedział Joe, obracając się, by Ripley mogła przekazać prowizoryczny bukiet

i występować drogę powrotną. – Czy moglibyśmy przysłać szampana w ramach przeprosin?

Dał znak kelnerom, by zaczęli napełniać kieliszki.

W tym momencie mogłabym go przytulić. Naprawdę przytulić jego i te jego niepoważne, wystudiowane, nieodpowiedzialne gesty.

– Za druheny! – powiedziałam głośno i wszyscy automatycznie unieśli kieliszki.

– Za druheny!

Steven był skołowany, a dwie druheny wyglądały na lekko wkurzone z powodu niepełnych kieliszków, ale więcej szampana, świeże kieliszki, kawa i herbata już były w drodze. W całym tym zamieszaniu nikt nie zauważył, że wesele przyspieszyło o dwadzieścia minut. Jeśli nawet zauważyli, byli zbyt dobrze wychowani i uspokojeni, by dać to po sobie poznać.

Joe i Ripley zostali zatrzymani przy stoliku dla starszych krewnych, z których wszyscy chcieli porozmawiać ze słodką dziewczynką i jej uroczym opiekunem. Po mniej więcej pięciu minutach nieskrępowanego uroku Joe wziął Ripley na ręce, by uchronić nasze bębenki. Obracając się w kierunku drzwi, mrugnął do mnie porozumiewawczo i zapytał bezgłośnie *OK?*

Byłam pod wielkim wrażeniem jego przemiany. Nie niechlujny, przeszczerzy plażowicz Joe, do którego przywykłam; wyglądał na pewnego siebie, opalonego dojrzałego mężczyznę. Tatę nawet. Nareszcie zrozumiałam, dlaczego Helen uśmiechała się do niego głupkowato, gdy wchodził. I Gemma. I Delphine, kto by pomyślał.

Wyszorował się zadziwiająco przyzwoicie. Szybko myślał. To było trochę szalone... ale zadziało. Zalała mnie fala dziwnego, ciepłego uczucia... wdzięczności. Trochę podziwu. Joe właśnie uratował mnie przed naprawdę, naprawdę wstydliwą katastrofą.

Uśmiechnęłam się do niego i przytaknęłam. *Dzięki*, wyszeptałam. I naprawdę miałam to na myśli.

Joe znowu puścił oko, Ripley pokazała mi język i wyszli, zostawiając mnie, bym dokończyła wesele Natalii i Petera Lloydów – i bym upewniła się, czy Steven nie zrobił nic z ich samochodem nowożeńców.

(Zrobił. Ale udało mi się poprosić konsjerża Sama, by to zmył, zanim zauważą).

Rozdział siedemnasty

Sezon świąteczny zaczął się tradycyjnie od postawienia trzymetrowej choinki w foyer Bonneville, pierwszego grudnia. I od tradycyjnych narzekań Laurence'a na alergię na sosnę i niebezpieczeństwo spadających igieł, następujące zaraz potem.

Jak zwykle nocą wszyscy pracownicy udekorowali drzewko; powiesiliśmy oryginalne srebrne bombki i złote gwiazdy, a o drugiej nad ranem przyniesiono nam kanapki z łososiem i szampana, by Laurence mógł dokonać oficjalnego „włączenia” (gdy tylko znaleźliśmy i wymieniliśmy niedziałającą żarówkę). Lecz w tym roku święta już od lata zaprzętały moje myśli, głównie z powodu największego eventu korporacyjnego, jaki organizowałam do tej pory, a mianowicie przyjęcia gwiazdkowego dla gazety Dominika. Krótko mówiąc, jeśli wypadłoby znakomicie, miałabym dużo więcej pracy w przyszłości, jako że sama gazeta organizowała dwie gale rozdania nagród, a lista gości na tym przyjęciu składała się głównie z prominentnych sponsorów, z których każdy regularnie potrzebował sal na bale, konferencje czy inne eventy.

W tym roku tematem przewodnim gwiazdkowej maskarady balu *London Reporter* byli dobrzy i źli bohaterowie. Jak twierdził Dominik, wszystko tylko po to, by Sally Jackson – redaktorka – mogła spełnić swoje dziecinne marzenia, przebrać się za Wonder Woman i dumnie kroczyć w pelerynie.

– Od października wysyła nam cholerne przypomnienia odnośnie do ubioru – powiedział mi podczas jednego z naszych szybkich wspólnych śniadań. – Przebrania dyktatorów i postaci religijnych są zakazane, na równi z pozostałymi przebraniem, które ktoś mógłby uznać za obraźliwe seksualnie albo które mogłyby naruszać zasady BHP. A to tylko podsumowanie pierwszej strony imprezowych reguł.

– Jak dla mnie może robić, co chce – odpowiedziałam, pociągając łyk

kawy; dzisiaj bez tosta – o wpół do dziewiątej miałam degustację babeczek. – Jestem wystarczająco podekscytowana organizacją eventu z porządnym budżetem, stołem szwedzkim i brakiem osoby, która rozplacze się, jeśli ktoś inny będzie miał taką samą sukienkę jak ona.

– Teraz tak mówisz – odpowiedział ponuro Dominik. – Będzie nagroda za najlepszy kostium. I jeśli ja jej nie dostanę, dopilnuję, żeby ktoś nad tym zapłakał.

Jak większość mądrali w świecie publicystów, Dominik zdecydował się na ironiczną opcję. Zamierzał być Facetem, Który Wymyślił Proces Pieczenia Chleba Chorleywood, czyli system, który zautomatyzował pieczenie chleba na skalę masową. I, zdaniem Dominika, „doprowadził do powstania tych wszystkich nudnych ludzi, którzy chwalą się nietolerancją glutenu i przynudzają o wzdęciach, aż masz ochotę im przywalić, by wypuścić te uwięzione gazy”.

– Ale czy to naprawdę przebranie? Nadal uważam, że powinieneś pójść jako Czarnobrody albo ktoś z tego klimatu – odpowiedziałam. Uzbrojona w pokaźny budżet gazety miałam już za sobą kilka godzin poszukiwań oryginalnych hollywoodzkich dekoracji filmowych do naszej sali balowej. Miałam już pajęczyny, maszyny do suchego lodu, nawet TARDIS z *Doktora Who*. Większość okazów tej kolekcji spoczywała bezpiecznie w mieszkaniu Laurence’a, ukryta przed pracownikami odgrywającymi własne bitwy superbohaterów.

– Pierwsza zasada przebrania: czarny krawat i dowcipna rzecz ekstra – przypomniał. – W moim przypadku nóż do masła i tabletki na zgagę w butonierce.

– Ale twoja broda to taki cudowny punkt wyjścia. Rasputin? Sinobrody? – I dodałam samolubnie, chcąc spełnić własną fantazję: – Świetnie wyglądałbyś w kostiumie pirata.

– Rosie, powinnaś pamiętać, że tam będą robić zdjęcia. – Dominik poczęstował się kolejnym tostem, zużywając resztkę masła. – Ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął, to zdjęcie, gdy krzątam się ubrany jak Robert Mugabe. Są tacy, co zawsze przypną ci nową łatkę. Zapytaj księcia

Harry'ego.

– No liczę na dużą liczbę fotografów – odcięłam się. Dlatego właśnie w tajemnicy wydałam moje oszczędności na czarną godzinę na cudną sukienkę – zamierzałam sprawić, by mnie zauważyli.

Chociaż raz nie zamierzałam zniknąć w tłumie: chciałam być na ustach wszystkich. Po pierwsze, jako super profesjonalny organizator eventów panujący nad najdrobniejszym szczegółem. To była dla mnie wyjątkowa szansa, by stanąć w świetle reflektorów i być zauważoną – przez Laurence'a i przez klientów.

Chciałam też, by ludzie poznali mnie jako drugą połówkę Dominika. Od dwóch lat mieszkaliśmy razem, jako Betty pojawiałam się równie długo, a mimo to przez nasze godziny pracy nie poznałam prawie nikogo z jego znajomych. Jeśli chciałam wyrobić sobie markę jako organizator eventów, musiałam być widoczna na wydarzeniu takim jak to, poznawać ludzi, nakręcać interesy na nowy rok, nawiązywać kontakty. Jeśli chodzi o Dominika, jednego mogłam być pewna, znajdzie się dokładnie w epicentrum wydarzeń, gdziekolwiek by ono było.

W tym sensie, pomyślałam, wkładając jeszcze kilka kromek chleba do tosterka na kolejną dokładkę i zbierając własne rzeczy, to przyjęcie bardzo dobrze wpisywało się w moją listę osiągnięć. I to na kilku polach. A najlepsze było to, że jeśli udałooby mi się zorganizować wszystko, jak należy, spędzałabym czas z Dominikiem, będąc w pracy. By to osiągnąć, podwoiłam liczbę pracowników tymczasowych.

– Cieszysz się, kochanie? – zapytałam go, serwując kolejnego tosta.

– Oczywiście – skrzywił się, zauważywszy pustkę w maselnicy i rekompensując to podwójną dawką Nutelli. – To będzie pamiętna noc.

Aż do popołudnia w dniu przyjęcia wszystko szło tak gładko, że zdołałam nawet umówić się na czesanie w hotelowym spa. Niestety od wpół do czwartej zaczęło się plątać.

Joe i Gemma wpadli do mojego biura jednocześnie niczym para dzielnych maratończyków wbiegających na metę, trzymając się za ręce, by żaden z nich nie był ostatni.

- Nie wściekaj się – zaczęła Gemma – ale trochę się nie dogadaliśmy.
- To moja wina – szarmancko dodał Joe.
- Nie, prawdopodobnie moja – powiedziała Gemma, psując jednak efekt wywróceniem oczami, by podkreślić, że tak, to była wina Joego.
- Po prostu powiedzcie.
- Ci pracownicy tymczasowi, o których prosiłaś na dzisiejsze przyjęcie? Yyy, dobra wiadomość jest taka, że są zarezerwowani – powiedziała Gemma.
- I? – Mierzyłam wzrokiem ich oboje.
- A zła wiadomość jest taka, że na jutro – dokończył Joe. – Obdzwoniłem wszystkich, szukając dodatkowych rąk do pracy, ale są święta i wszyscy są zajęci.
- Powstrzymałam pisk paniki: – Ale my już i tak mamy za mało ludzi do pracy.
- Wiem, dlatego zgłosiłam się do pomocy. Za nadgodziny oczywiście – szlachetnie dodała Gemma.
- Ja też przyjdę – dodał Joe. – Jako że mieszkam na górze i tak byś mnie ściągnęła.
- Świetnie – skomentowałam, obliczając szaleńczo wszystko w myślach. Wizje mnie w nowej sukience, brylującej u boku Dominika, pękły jak bańka. Zostało przekonanie, że mam sześcioro ludzi, ze mną włącznie – roznoszenie kanapek i drinków dla dwustu osób. Siedmioro, jeśli Dino będzie miał spokojną noc w barze i użyczy mi swojego pomocnika.
- Joe błysnął swoim najlepszym uśmiechem skauta: – Będzie fajnie! To tylko impreza – nie zauważą.
- A chcesz się założyć? Nigdy nie wchodzi pomiędzy dziennikarza a drinki – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. No teraz to już na pewno potrzebowałam fryzjera. Moje włosy będą musiały być pokryte warstwą lakieru jak u Helen, jeśli mają wytrzymać kelnerowanie i ciągle wyglądać jak milion dolarów.

Gdy tylko Joe i Gemma wyszli, dotarło do mnie, co Joe miał na sobie: ku czci Bożego Narodzenia nosił hawajskie koszule, kiedy tylko mógł. Dzisiaj miał z Mikołajem na nartach. Taki niby żarcik plażowicza.

– Joe? – krzyknęłam. – Masz wieczorowe ubranie, prawda?

– Nie, oczywiście, że... Oj... Yyyy... Tata chyba ma, zapytam – odpowiedział, lecz widząc moja minę, zaraz dodał: – Nie martw się, Rosie, będzie dobrze. Po prostu rób to, co zawsze. Wpadki czynią życie ciekawszym.

– A ty chyba masz nieskończenie wiele wersji tego zdania? – zapytałam

– Bo to prawda – odpowiedział. – I ty też pewnego dnia to zrozumiesz.

Na szczęście w tym momencie zadzwonił mój telefon, nie musiałam więc męczyć się nad uprzejmą odpowiedzią.

Jak się okazało, oprócz problemu z pracownikami i małym przestojem w metrze, przez który spóźniła się większość młodszych pracowników, moje skrupulatne planowanie uchroniło nas przed resztą zgrzytów przez pierwszą godzinę.

Przybyli goście – w tym Dominik, wyglądający ponuro, lecz dostojnie i zdecydowanie nie jak naukowiec-mechanik-od-wypieku-chleba w tym swoim czarnym krawacie – i ekipa baru zaczęła rozdawać szampana i koktajle. Krążyłam z tacami minihamburgerów i paróweczek i podziwiałam (nie pierwszy raz), jak szybko znikają. Ani jedna osoba nie nawiązała ze mną kontaktu wzrokowego, tak zajęci byli gapieniem się na małe cuda i zastanawianiem się, co zrobić z wykałaczkami po krewetkach.

Większość gości nawet nie przestawała rozmawiać, gdy przechodziłam, co mi nie przeszkadzało, ponieważ planowałam objawić się im ponownie, jak tylko porzucę tacę, poprawię szminkę i odnajdę Dominika, by przedstawił mnie kolegom, jak należy. Na razie łowiłam smaczne kąski plotek i krążyłam między ludźmi, dopasowując twarze do imion, które tak dobrze znałam.

Zadziwiająco przyjemne było to, jak wielu z gości rozmawiało o Dominiku. Musiał być wielką gwiazdą u nich w biurze i oczywiście

wszyscy czytali jego felietony.

– Czytałeś ostatnią recenzję Dominika? – powiedział do kolegi rumiany facet w pelerynie Supermana narzuconej na niebieskie wdzianko, podczas gdy podawałam im kiełbaski w miodowej glazurze. – Cholernie zabawna.

– O, zdecydowanie cholernie zabawna – zgodził się Batman, zanurzając kiełbaskę w gorącym sosie. – Czytałeś, Angus?

– Którą? – Angus miał na sobie smoking i nie byłam pewna, za kogo jest przebrany. Pewnie za Jamesa Bonda. Było ich tu pełno. Jak zwykle na balach przebierańców. – Tę o barze z ostrygami? Cholernie zabawna.

Bar z ostrygami! Rozpromieniłam się. Tam była moja, Betty, najlepsza riposta – której Dominik nie ukradł. Wstrzymałam oddech, licząc, że ją zacytują.

– Nie, ta o szwedzkim miejscu w Pimlico. Ta o knajpie, którą Dominik przezwał Snores-ga-bored^[7]. Prześmieszna. Facet jest genialny.

Roześmiali się aprobująco. Zdecydowałam się powiedzieć o tym Dominikowi i zaczęłam przesuwać się z tacą paróweczek do następnej grupy (dwie Kobiety Koty i Smerf), ale Angus/James Bond zatrzymał mnie, kładąc na ramieniu swoją łapę.

– Pokręć się tu jeszcze, dobrze, kochanie? – wymamrotał z ustami pełnymi mielonej wieprzowiny. – Opuściłem lunch, muszę wrzucić coś na ruszt.

– Oczywiście! – zaćwierkałam. Nie było powodu do obaw, dla nich byłam tylko stojakiem na tacę. *I tak powinno być*, upomniałam się. Nierzucająca się w oczy obsługa. Do tego mogą dalej rozmawiać o Dominiku, a może któryś doda coś o żarcikach Betty Confetti albo wspomni, że powinna mieć własny felieton?

– Czy chodzi o to szwedzkie miejsce przy Ebury Street? – zapytał Superman, a Batman zmarszczył czoło, myśląc.

O mały włos nie wyrwałam się z informacją, że raczej bliżej Ecclestone Place, ale się powstrzymałam. Nie byłam tam osobiście, ale widziałam ją na liście Dominika i miałam nadzieję, że pójdziemy tam razem. Lubię

kłopsy. Ale poszedł tam sam, gdy pracowałam nad obiadem po próbie ślubu. Po aferze Joego ze Stephanie nie miałam odwagi zostawić panny młodej bez opieki na takim spotkaniu.

Batman przytaknął: – No. Dobre miejsce, by zabrać tam Siri. Pasowała tam jak ulał.

– Co? Siri ze sprzedaży?

– O Boże, tylko mi nie mów, że Dominik w końcu położył łapy na Siri Szwedzkiej Piękności? Fartowny dupek – jęknął Angus.

– Z tego, co słyszałem, więcej niż łapy – opowiedział Batman. – A jest na czym kłaść.

Ciągle się uśmiechałam, bo nie od razu dotarło do mnie, o czym mówią. Potem oblał mnie zimny pot.

Siri? Kim do cholery jest Siri?

– Nie wiem, jak mu się to udaje – kontynuował Superman. – Nie, w sumie to wiem. Jest dla nich tak chamski. One to uwielbiają. No i jeszcze darmowe kolacje. Nic dziwnego, że dziewczyny ustawiają się w kolejce.

– Wiesz, co jest naprawdę genialne? – zapytał Batman. – To, że wszystkie umieszcza pod przykrywką Betty. To daje wiele możliwości, jeśli wiecie, co mam na myśli – dokończył z łobuzerskim mrugnięciem.

– Wiemy dokładnie, co masz na myśli. – Parsknęli śmiechem pozostali.

– Ha, ha, ha! Przepraszam, nie załapałem. Angus, co miałeś na myśli?

– Chodziło mu o to... – Superman pospieszył z wyjaśnieniem – ...że jest nieskończenie wiele Betty. Teraz głównie Siri, ale... no cóż. Wiele posiłków, jeden Dominik Crosby.

Krew uderzyła mi do głowy i zrobiło mi się niedobrze. Nie mogłam się zdecydować, czy chcę dalej słuchać, czy mają przestać.

– Co za niegrzeczny chłopiec ten nasz Dominik – powiedział Batman z okropnym kumpelskim podziwem. – Ale czy on nie ma dziewczyny?

– Podobno ma. – Nastąpiła komediowa przerwa. – Biedactwo.

I wszyscy parsknęli śmiechem. Nade mną. Pomimo że nie wiedzieli, że tam stoję.

Nagle usłyszałam dziwny przeciągły jęk i zdałam sobie sprawę, że wydobywa się z moich ust. Faceci podskoczyli, a Batman zdołał wybić wielką tacę z moich drżących rąk, wysyłając burgery, minikiełbaski i ketchup do góry wielkim łukiem. Patrzyliśmy wszyscy, oniemiała, jak wzbijały się w powietrze i opadały, jakby w zwolnionym tempie, deszczem minibułek, maleńkich burgerów i kropel sosu.

Superman był tak przerażony wizją marnotrawstwa jedzenia, że przez jedną surrealistyczną sekundę myślałam, że będzie je łapał ustami jak pies.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? – zaskowyczał jeden z nich, pocierając ketchup na pelerynie. – Całą pelerynę mam brudną!

Chciałam coś powiedzieć, lecz nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Nagle wszystkie inne głosy zaczęły się oddalać i zachwiałam się na niewysokich obcasach. *Biedactwo. Dziewczyny ustawiają się w kolejce. Siri.* Kim była Siri? I dlaczego nigdy wcześniej o niej nie słyszałam?

– Przepraszam – rozległ się głos za mną. – Ona jest nowa. Pozwól mi się tym zająć. Gemma? Możesz mi przynieść serwetki? Oddamy pańską pelerynę do pralni. Proszę się nie martwić. Gemmo, mogłabyś przynieść mop i wytrzeć podłogę w tym miejscu, a ja zabiorę... eee... Poppy do kuchni i dam jej nową tacę. Coś ty sobie myślała? – dodał już do mnie. – Coś ty sobie myślała? Przepraszam, czy mógłbym przejść?

Joe. Byłam tak oniemiała, że nic mnie nie obchodziło. Pozwoliłam, by sterował mną pomiędzy gośćmi, by wyjść z sali balowej do kuchni. Mimo że na zewnątrz było dużo chłodniej, w uszach mi ciągle dzwoniło.

Przeprowadził mnie przez kuchenne drzwi wprost do białokafelkowej kakofonii hotelowej kuchni i potrząsnął.

– Co się stało? – Znowu delikatnie próbował mnie wybić z otępienia.– Nic ci się nie stało? Wyglądasz, jakbyś miała wylew. O Boże! To alergia, jesteś na coś uczulona? W jednym z dipów były orzeszki ziemne...

Brzmiał tak podobnie do Laurence'a, że prawie się roześmiałam, w totalnie szalony sposób, gdy śmiejemy się, gdy trafi nas grom z jasnego nieba, a nasz mózg za wszelką cenę chce trzymać się normalności i myśleć o czymkolwiek, byle nie o tym, co spowodowało szok.

– Rosie? Powiedz coś, proszę. – Jego zmartwiona twarz sprowadziła mnie na ziemię.

– W porządku – odpowiedziałam. Nie mogłam nikomu o tym powiedzieć. Nie, zanim nie będę pewna, że to prawda. – Facet po prostu wytrącił mi tacę. Zaraz tam wrócę. Zaraz, jak tylko posprzątam. Ja tylko muszę... coś sprawdzić.

Wymaszerowałam do mojego biura, na nogach, które zdawały się nie należeć do mnie. Z całych sił powstrzymywałam się, by nie ruszyć biegiem. Kolana mi się trzęsły.

Siri... Ale czy on nie ma dziewczyny?

Zamknęłam za sobą drzwi i ruszyłam do komputera, by przeszukać recenzje Dominika i znaleźć te dotyczące szwedzkiego miejsca. Część mnie była zdesperowana, by dowiedzieć się, że to kłamstwo, że chodziło o recenzję kogoś innego. Dominik nie był jedynym krytykiem kulinarnym w tej gazecie.

Ale mieli rację. Chodziło o recenzję Dominika *Dominik Crosby odwiedza Sztokholm na Ecclestone Place*. Osiem dni temu. Dał im dwie gwiazdki na pięć; słabo – najgorsza obraza, jaką można od niego otrzymać, bo nie zasłużyło nawet na sarkazm.

Oczy ślizgały się po tekście w poszukiwaniu Betty, Betty, Betty.

Znalazłam, w jego felietonie, tak by wszyscy w Londynie widzieli.

...moja urocza towarzyszką, kochana Betty, wybrała ostrygi z koperkowym dressingiem, które znakomicie wpisywały się w nadchodzący wieczór. Na szczęście były tak soczyste jak świeża szwedzka pastereczka...

Wpatrywałam się w ekran, twarz mnie paliła, chociaż w środku czułam lodowaty chłód. Już wcześniej zauważyłam, że Betty pojawia się

w restauracjach, w których nigdy nie byłam, ale myślałam, że to celowy zabieg Dominika, by wykorzystać moje żarty, na które nie było miejsca gdzie indziej. Wiedziałam, że zabiera znajomych z pracy na takie spotkania, ale nigdy wcześniej nie docierało do mnie, że może być jeszcze jakaś Betty – poza mną.

Soczysta. To jakiś żart? Urocza?

Coś we mnie skuliło się i umarło. Gorące łzy napłynęły mi od oczu. Jak mogłam tego nie zauważyć? No jak?

Wstałam na chwilę, marząc, by czas też się zatrzymał, bym zdążyła wymyślić, co z tym zrobić, ale mózg odmówił posłuszeństwa, jakby był skąpany w melasie.

Zabrzęczało walkie-talkie w mojej kieszeni – Gemma martwiła się, gdzie jestem. Kolejna porcja kanapek powinna pójść do gości, potem więcej drinków, potem przemówienia, potem Wielka niespodzianka.

Ową Wielką niespodzianką miała być Sally – redaktor naczelna gazety, która na własną prośbę miała przelecieć nad podłogą sali balowej, pojawiając się niespodziewanie z ukrycia zza dekoracji udającej niebo nad Gotham City i wręczyć nagrody. Cały wczorajszy dzień montowali teatralne uprząże i liny. Miały wyjść zdjęcia stulecia.

Mało co mnie obchodziło w tej chwili. Poprawka – nic mnie nie obchodziło.

Mój wzrok padł na Ślubimarz i kolaż szczęśliwych par. Głupia ironia losu. Cały sens mojej ciężkiej pracy polegał na awansie i początku wspólnego, szczęśliwego życia z ukochanym przy boku. Pracowałam naprawdę ciężko, wierząc, że to dla nas, dla Dominika i mnie. Nasze mieszkanie. Nasza przyszłość.

Muszę go znaleźć, desperacko trzymałam się myśli, że to pomyłka. Muszę dać mu szansę się wytłumaczyć, wyjaśnić, że to tylko plotka. Dziennikarze plotkują cały czas, to ich praca.

Wybiegłam z biura i pomknęłam w kierunku dźwięków dochodzących z sali balowej, mijając po drodze kilku kolejnych Supermanów i Baracka

Obamę, omijając kolejne grupki gości dotarłam wreszcie do Dominika. To znaczy zobaczyłam go stojącego w kącie, pochłoniętego rozmową z dwiema kobietami przebranymi za policjantki. Żadna z nich nie wyglądała na Szwedkę, ale za to obie patrzyły na niego maślanym wzrokiem firmowych imprez integracyjnych. Godzinę temu byłoby mi miło, że mój facet jest tak popularny; teraz było mi niedobrze.

Uśmiechnął się, gdy mnie zobaczył, i pokazał gestem: więcej drinków!

Podeszłam do nich i tak.

– Cześć, kelnerko, potrzeba nam więcej szampana! – powiedział, puszczając do mnie oko, a one zachichotały. – Katie, Heather, to jest Rosie, organizatorka tego cudownego przyjęcia.

– A także jego dziewczyna, Betty – powiedziałam ze zbyt reklamowym uśmiechem. – W felietonach!

Czy one uśmiechnęły się pobłaźliwie? Wydawało mi się, że każda twarz tak się do mnie uśmiecha. Mimowolnie zacisnęłam pięści.

– Dominik, możemy porozmawiać? – spróbowałam powiedzieć to pogodnym głosem.

– Myślałem, że nie lubisz być przedstawiana jako moja dziewczyna – wymamrotał, gdy zaprowadziłam go na bok.

– Nie – odpowiedziałam. – To ty nie lubiłeś mnie tak przedstawiać.

Teraz wiedziałam dlaczego.

– Chciałabym cię o coś zapytać.

– Co? Teraz? – Rozejrzał się nerwowo.

– Tak, teraz. To co?

Gemma pojawiła się obok.

– Gdzieś ty była? – zażądała odpowiedzi. – Musisz powiedzieć Dinowi, by przyniósł więcej szampana. Kończy nam się. A ci tutaj piją, jakby woda była reglamentowana.

– A Joe nie może tego zrobić?

– Przecież to ty zawsze decydujesz o takich rzeczach.

– W takim razie idź i powiedz mu... po prostu idź. Zaraz do ciebie przyjdę.

– Rosie, OK, ty idź, a ja... – zaczął Dominik, ale zatrzymałam go.

– To jest ważne – nalegałam, ale Gemma wciąż stała obok. – To nie do ciebie, do niego! No dalej, po szampana! – przepędziłam ją.

Dominik dalej płynął na fali, mając w nosie resztę świata: – Chodzi o ten incydent wcześniej?

Ścisnęło mnie w żołądku: – Jaki incydent?

– Jedna z twoich tymczasowych obrzuciła dyrektora zarządzającego i redaktora sportowego zawartością tacy z jedzeniem. Zniknęła. Nie przeprosiła. Myślałem, że powinnaś wiedzieć, by ją wywalić, z pozdrowieniami od nas wszystkich.

Wpatrywałam się w niego i nagle ogarnęła mnie fala brawury, przebijając się jakimś cudem przez moje poczucie beznadziei:

– Kto to jest Siri?

Oczy Dominika poruszyły się raz w jedną, raz w drugą stronę. *Dokładnie tak jak opisane są w poradnikach oczy kłamcy*, pomyślałam, gdy pękało mi serce.

– Co, ta z iPhone'a?

– Nie. Ta ze sprzedaży.

– Ach, Siri. – Jego reakcja mówiła wszystko: zbyt wyważona, zbyt ostrożna. – Ta Siri, jest, yyy, koleżanką z pracy...

– Cześć, Rosie, przepraszam, że przeszkadzam, możemy na słówko?

– O, Boże, co znowu? – jęknęłam.

Joe pojawił się nagle ponad ramieniem Dominika.

– Cześć, ee, Dominik. – Machnął ręką na przywitanie i zwrócił się do mnie. – Rosie, Gemma mówiła, że zgodziłaś się, by przynieść więcej szampana z piwniczki. To prawda? Nie chcę się...

– Tak! – zaskrzeczałam. – Tak, zgodziłam się. Po prostu go przynieś! Idź!

Spojrzał na mnie zmartwionym wzrokiem, unosząc brwi w zapytaniu *Na pewno wszystko w porządku?* Odpowiedziałam mu tym samym znakiem *Proszę, spadaj na chwilę*, starając się, by była to najgrzeczniejsza wersja tego, co chciałam przekazać, po czym obróciłam się do Dominika.

Dałam sobie spokój z subtelnością:

– Co jest między tobą i Siri?

– Co? – Próbował mnie zbyć śmiechem.

– Zabrałeś ją na obiad do Sztokholmu.

– Bo jest Szwedką! – prychnął. – A ja chciałem profesjonalnej opinii na temat klopsów! A co? Ktoś coś powiedział?

To była ściema. Zdradziły go oczy. Gdy zdałam sobie sprawę, że kłamie, zalała mnie fala złości i poniżenia.

– Przestań silić się na żarty – wysyczałam. – Nie jestem twoim czytelnikiem. Jestem twoją dziewczyną. Teoretycznie.

I wtedy wzruszył ramionami, jakby zmuszając się, by powiedzieć to, na co nie miał ochoty.

– Rosie... – zaczęła, a ja musiałam się powstrzymać, by nie zakryć mu ust, by go powstrzymać.

O mój Boże, to jest to. Zachwiałam się na myśl o tym, co nastąpi. I tak oto zostanę porzucona na czyimś przyjęciu gwiazdkowym. Przez faceta w przebraniu!

– No i poszedłem z inną kobietą na kolację, wielka mi rzecz. – Rozłożył ręce w geście desperacji, jakby to wszystko było zbyt oczywiste, by tłumaczyć, i podniósł głos do hałasu jak na koncercie Madonny. – Ty cały czas jesteś w pracy, a ja nie mogę chodzić sam, to staje się zbyt oczywiste. Z profesjonalnego punktu widzenia. Jako krytyk.

Serce pękało mi z głośnym hukiem. Najgorsze było to, że wiedziałam, że ma rację. Naprawdę pracowałam w szalonych godzinach. On też. Mówił, że mu to nie przeszkadza.

– Czyli robiłeś to dla dobra kariery? – powiedziałam bez przekonania.

– Słuchaj, no przecież ty i ja, my nie zamierzaliśmy... – nie dokończył.

On i ja nie zamierzaliśmy czego? Pobrać się? Tworzyć związku? Być razem?

– Zamierzaliśmy kupić razem mieszkanie. Nawet pojechaliśmy do Johna Lewisa wybierać zasłony!

Znowu próbował unikać mojego wzroku: – Ale to przecież tylko mieszkanie, prawda? Miejsce, gdzie się mieszka. To nie... małżeństwo.

Poczułam, jakby dał mi w twarz. Dla mnie to było coś więcej. Patrzyłam na niego w osłupieniu, nie mogąc sformułować żadnych myśli.

– O cześć! Słuchajcie, mogę wam zrobić zdjęcie? Uśmiech, Dominik! Ha ha!

Obróciłam się na pięcie. Fotograf. W najgorszym momencie. Ten sam, który miał robić mi cudne zdjęcia, gdy wraz z Dominikiem bryluję pośród dziennikarskich znakomitości. Wznosząc mnie i jego na wyżyny celebryckiego nieba i zapełniając mój kalendarz eventów do końca następnego roku.

A teraz wszystko się rozsypywało.

– Spadaj – warknął Dominik – zanim wsadzę ci ten aparat do gęby.

– Taa, mówili, że jesteś zrzędlivy! Jeden strzał! – Fotograf pstryknął szybko – ja oniemiała i z czerwonymi oczami, Dominik niczym uzbrojony, zbiegły kryminalista. Oraz, co odkryłam później, patrząc na nie na stronie *Reportera*, jeszcze dwie inne kobiety – jedna pożerająca wzrokiem Dominika i druga pokazująca mnie palcem, która ewidentnie obgadywała mnie do ucha koleżanki.

. . .

Jeśli mam być szczerą, to był pomysł Helen. Głos z tyłu głowy mówił mi, że to szalenie nieprofesjonalne. Ale słumiły go inne, wyjące jeden przez drugiego.

– Nie mogę uwierzyć – powtarzała, gdy stałyśmy na tyłach sali balowej, patrząc jak Sally Jackson nadlatuje z góry w swoich złotych butach, wywołując pijackie wycie tłumu. – Nie mogę uwierzyć, że mogłby być

takim kompletnym dupkiem.

Od godziny nie wydobyłam z siebie ani słowa. Nie mogłam. Po prostu się uśmiechałam, sprzątałam kieliszki, nalewałam wino, po prostu pracowałam, włączwszy przedtem autopilota. Działałam tak automatycznie, że w pewnym momencie Joe i Gemma wezwali Helen, by upewniła się, czy przypadkiem nie przedawkowałam czegoś, co sprawia, że zachowujesz się bardzo, ale to bardzo normalnie. Bałam się, że jeśli otworzę usta choć na chwilę, to zacznę płakać albo wyć – sama nie byłam pewna, od czego zacznę.

Nie zauważyłam kopert; to Helen i Gemma je znalazły i posadziły mnie w biurze, żądając wyjaśnień. Joe zasugerował, żeby je wykorzystać jako żart. Niby nikt z nas nie był specjalnie w nastroju do żartów, jednak Helen uznała, że pewne rzeczy nie mogą ujść na sucho.

– Najwyżej będzie na mnie. Żałuję, że nie mogę powiedzieć mu tego w twarz – dodała, wracając do tematu.

– ...nagroda Superbohatera Roku wędruje do Kelly Hutchinson z księgowości za to, że zdążyła wypłacić wszystkim premię, wykorzystując lukę w prawie, zanim urząd skarbowy ją znalazł!

Gromkie brawa.

Dotarło do mnie, że rozstanie z Dominikiem nie tylko złamało mi serce, ale też zniweczyło moje szanse, by znaleźć się w kronice towarzyskiej *Reportera*. Straciliśmy więc szanse na organizowanie prowadzonych przez nich Heart of London Awards. A już samo to wydarzenie zbliżyłoby mnie do tego, by umieścić hotel – i mnie – na świeczniku, prowadząc do nie wiadomo jak licznych innych możliwości.

Nie możesz mu wybaczyć takich rzeczy tylko i wyłącznie ze względu na pracę. Jak by to o tobie świadczyło?

– Dominik nigdy na ciebie nie zasługiwał – ciągnęła Helen. – Wszystko, co powiedziałaś mi na temat Seamusa, dotyczyło też Dominika. Znajdziesz kogoś o nieco lepszego niż on.

Zamknęłam oczy i poczułam, jak ktoś życzliwie ściska mnie za

ramiona. Miałam okropne przeczucie, że to Joe. Nie chciałam, by się nade mną litował. Na scenie nadal brylowała Sally.

– I... ostatnia nagroda tej nocy! Bądźcie wszyscy cicho! Zamknijcie się! Pamiętajcie, że wciąż pracuję nad budżetem na przyszły rok!

Zapadła cisza.

– Jak na kobietę w średnim wieku w niebieskiej lycrze nieźle panuje nad tłumem – powiedziała z uznaniem Gemma.

– Możesz przenocować u mnie. Na rozkładanej sofie. Dopóki nie zdecydujesz, co dalej. – Helen wróciła do tematu.

Otworzyłam oczy z przerażenia. Mieszkanie! Umowa najmu kończyła się za kilka tygodni. Gdzie ja będę mieszkać? Zrobiło mi się niedobrze.

– ...ta jest dla złoczyńcy w przebraniu superbohatera! A nominowani to... Marc Lucas za udział ekipy sportowej w programie Couch to 5k^[8], Karen Moore za tort z sierścią kota, który doprowadził do zatrucia pokarmowego działu produkcji...

Goście zawyli głośnym – OooOOoooOOOoohh! – a ja pozazdrościłam im radości.

– Nie wiem, czy powinniśmy im na to pozwalać – powiedziałam, odzyskując nagle zdrowy rozsądek. – To nie będzie wyglądało zbyt profesjonalnie.

– Za późno – odpowiedziała Helen, krzyżując ramiona na piersi. – Należało mu się.

Wstrzymałam oddech. To nie spali mostów pomiędzy mną, Dominikiem i jego medialnymi koneksjami, to wysadzi je wszystkie w powietrze.

– ...nagrodę otrzymuje... Dominik Crosby za przywłaszczanie sobie najlepszych żartów swojej dziewczyny i noszenie tych samych gaci przez trzy dni z rzędu, mając gdzieś nastawienie prania, i za nieodróżnianie merlota od malbeca.

Tłum oszalał, powinnam napawać się zwycięstwem, ale jakoś nie mogłam. Teraz na pewno zostałam singielką. Największą singielką w dziejach branży ślubów, na Gwiazdkę, na przyjęciu firmowym,

z perspektywą nocy na niewygodnej rozkładanej sofie u najlepszej przyjaciółki, tylko dlatego, że nie mogłam się zdobyć na powrót do mieszkania, w którym nigdy nie czułam się jak u siebie. Musiałam chyba pobić rekord beznadziei.

Gdzieś, na pewno, jakaś piosenkarka country stworzyła o mnie całą płytę.

Rozdział osiemnasty

Dołując szybko poszła moja wyprowadzka z mieszkania Dominika. Dwa dni po Najgorszym Przyjęciu Gwiazdkowym Wszech Czasów w ciągu czterech godzin spakowałam wszystkie swoje rzeczy, łącznie z brudami z kosza w łazience. Dominika nie było, recenzował jakieś południowoafrykańskie grillowe miejsce w Covent Garden.

Helen wspierała mnie, przypominając, jak zła powinnam być po takim upokorzeniu. Ot tak, by utrzymać mnie przy życiu.

– Pomyśl o tych wszystkich obrzydliwych rzeczach, które kazał ci jeść – dopingowała, otwierając szafki i wrzucając rzeczy do worków na śmieci. – Pomyśl, już nigdy nie będziesz musiała jeść chleba z mlekiem jaka i myśleć, jak opisać go na trzy fascynujące sposoby.

– Chleb mi nie przeszkadzał, to mątwy nie mogłam przełknąć. – Z bólem serca wzięłam do ręki fotografię z wakacji w Szkocji, wyglądaliśmy na tak szczęśliwych. Dominik strasznie nie chciał na nim być; miałam tylko cztery ładne zdjęcia nas obojga razem, podczas gdy Helen była z Wynnem tylko kilka tygodni i już była na tapecie jego telefonu.

To powinno ci coś powiedzieć, powiedział głos w mojej głowie.

– Wykorzystywał cię do jedzenia kałamarnic! – zawyła Helen. – I do spłukiwania się na czynsz na większe mieszkanie, mała oślizgła kanalia!

Wróciła złość i chęć zemsty.

– Tylko tym dla niego byłam. Sposobem na większą łazienkę – zagotowałam się.

– Miał szczęście, że chciałaś z nim być – zgodziła się. – Wszyscy wiedzieliśmy, że do pięć ci nie dorasta. A ta broda? Na miłość boską. To coś, co możesz wyhodować w celach charytatywnych, nie na serio i nie na zawsze! A on to zrobił, by ukrywać podwójny podbródek – zdajesz sobie

z tego sprawę, prawda?

– Ja nawet ją lubiłam – wyznałam drżącym głosem – dodawała mu uroku...

Helen przysunęła się bliżej: – Seryjnego mordercy chyba? Czy może Kapitana Haddocka? Wyglądała, jakby chował w niej jedzenie na później.

– Nie! – Skrzywiłam się. – Naprawdę wszyscy tak myśleliście? To znaczy to wasza sprawa, ale mogłaś to zatrzymać dla siebie, aż będę trochę mniej... trochę mniej upokorzona?

Helen spojrzała na mnie przeprasząco: – Przepraszam, Rosie. Ale szczerze, sama mi kiedyś powiedziałaś, że pewnego dnia się obudzisz i dotrzesz do mnie, że to była najlepsza rzecz, jaka mogła ci się przytrafić.

– Czuję się, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch. – Wzięłam do ręki przewodnik po Francji. Przypomniała mi się wycieczka po winnicach, na którą mieliśmy jechać, ale jakoś nigdy nie starczyło czasu, by ją zarezerwować.

– To normalne – tłumaczyła Helen. – Ale nie zapominaj, jaką jest świnią. Spróbuj czerpać energię z gniewu. To oczyszcza. Ja musiałam trzymać maseczkę na oczach w lodówce przez miesiąc, bo za każdym razem, gdy myślałam o Seamusie, płakałam tak bardzo, że dostawałam zapalenia spojówek. A ty powinnaś być wściekła, bo zasługujesz na więcej, niż on kiedykolwiek mógłby ci dać.

Jak mogłam się tak pomylić? Nie mogłam uwierzyć. Jak ja mogłam nie zauważyć faktu, że Dominik bardziej cieszył się z faktu kupna nowego mieszkania niż z dzielenia go ze mną. Czy widziałam tylko te części naszego związku, które chciałam widzieć? Te myśli były zbyt bolesne, by się w nie zagłębiać.

– Popatrz na mnie! – naciskała. – Jak tylko pozbyłam się toksycznej energii, poznałam naprawdę cudownego faceta, dzięki któremu jestem szczęśliwa! To dla twojego dobra, Rosie. Naprawdę. Związki nie muszą dawać ci ciągłego bólu głowy. Miłość powinna być przyjemnością. A, bądźmy szczerze, żadna z nas nie miała przyjemności w poprzednich związkach, prawda? Byłyśmy nieszczęśliwe.

– Mmmm... – Ciągle nie byłam przekonana, że Dominik należał do tej samej kategorii chłopaków co Seamus. Byli jak mandat za parkowanie i spowodowanie śmiertelnego wypadku samochodowego: niby obydwaj przestępstwa samochodowe, ale na różnej skali.

– Czy to toster, który kupiłaś temu pucołowatemu dupkowi na Gwiazdkę w zeszłym roku? – Podniosła piękny toster marki Dualit. – Powinnaś go wziąć, jest przepiękny.

– Tosty to jedyne, co Dominik je w domu – powiedziałam smutno. To dlatego mu go dałam. A on mi dał... zachmurzyłam się. Co on mi dał?

– No to będzie musiał nauczyć się jeść coś innego. – Helen wrzuciła Dualit do pudełka z moimi kubkami, razem z dwiema ładowarkami i moim drogim żelazkiem, które Dominik zniszczył, próbując prasować chleb, gdy toster był w naprawie. – Wynn? Kochanie, mógłbyś to wziąć?

– Oczywiście. – Wynn cały czas czekał cierpliwie przy drzwiach. Helen zaoferowała jego volvo do pomocy w mojej nieoczekiwanej przeprowadzce; był mobilną wersją samego Wynna – duży i rozsądny samochód, z bagażnikiem, w którym zauważyłam buty do dalekich wędrówek, rakietę tenisową i atlas samochodowy z 2009 roku. Innymi słowy, normalny samochód normalnej osoby. Była w nim też para fioletowych kaloszy, które, jak mniemam, należały do niegdyś bojącej się natury Helen.

Wynn nie mówił wiele z szacunku do mojej mokrej, czerwonej twarzy, ale od czasu do czasu, kątem oka, widziałam, jak on i Helen posyłają sobie w uwielbieniu intymne półuśmiechy, myśląc, że nie widzę; wtedy moje serce kuliło się jak zmięta serwetka. I znowu ogarnęła mnie złość, że zmarnowałam dwa lata mojego życia z kimś, kto nie miał nawet czelności, by użyć mojego prawdziwego imienia w felietonach. A mogłam te dwa lata spędzić z mężczyzną tak uroczym jak Wynn.

Ta kombinacja rozpacz i gniewu była naprawdę, naprawdę męcząca. Zdążyliśmy upchnąć ostatnie pudło do przepastnego bagażnika volvo, gdy zauważyłam ruch na końcu ulicy, tam gdzie metalowe barierki zakręcały na rogu Hebden Terrace.

Wiedziałam, że to Dominik. Odgadłam po błysku mosiężnych guzików przy jego płaszczu, według niego wyglądał w nim jak kapitan U-boota, według Helen jak skrzypek z podrzędnego wioskowego zespołu.

Poczułam przyływ złości. Jak długo tam czekał, podglądając nas, aż skończymy, by nie musiał spojrzeć mi w oczy. Mnie, kobiecie, z którą dzielił życie, mieszkanie i felieton przed ponad dwa lata. Tak bardzo mu na mnie nie zależało, że nawet nie chciał się ze mną pożegnać, jak należy?

Powstrzymałam się, jako że głos w mojej głowie podkreślił, że Dominik praktycznie nie dzielił mieszkania. Czy życia. Nawet nasze rzeczy były bardzo łatwe do podzielenia: jego szuflady, moje szuflady; jego półki, moje półki; nie było nic, co kupilibyśmy wspólnie w ciągu tych dwóch lat, ponieważ prawie nie bywaliśmy w domu. To było jego mieszkanie; byłam jak współlokatorka, z którą się sypia. On tak się migał od kupna czegoś razem – dlaczego ja tego nie widziałam?

Ponieważ nie chciałam tego widzieć. Byłam tak bardzo pochłonięta ideą naszego związku, że ignorowałam wszystkie wskazówki, nawet te, które widzieli inni. Zrobiło mi się gorąco ze wstydu i gniewu, bardziej na siebie niż na niego. A myślałam, że Helen żyje ułudą. Ja byłam dużo gorsza.

– Rosie, jesteś gotowa? – zawołała Helen z samochodu.

Mosiężne guziki błysnęły delikatnie, jakby figura, do której były doczepione, wycofywała się chyłkiem do cienia, byle tylko nie stanąć ze mną twarzą w twarz. Co za tchórz.

Nie chciałam z nim rozmawiać. Nie wiedziałabym nawet, co mu powiedzieć. Szwedzka Betty była tym, czego mu trzeba.

– Tak – powiedziałam głośno, patrząc w ciemność. – Jestem gotowa.

I przerzuciłam klucze przez murek śmietnika.

Przez te wszystkie lata uczestniczyłam w cotygodniowych spotkaniach pracowników Bonneville i nigdy nie udało mi się sprawić, by co do jednego zamilkli i spojrzeli prosto na mnie. Nawet gdy powiedziałam, kogo znalazłam w wannie w penthousie i z kim (z kim – w liczbie

mnoziej, nie, naprawdę nie mogę powiedzieć, wybaczcie).

Tym razem udało mi się uciszyć spotkanie jednym prostym zdaniem. Skumulowana energia osłupienia mogłaby zasilić żyrandol w sali balowej i kilka kinkietów, mało mnie to obchodziło. Wszystko mało mnie obchodziło. Pomimo wesołego nastroju przepełniającego hotel, ogromnych świątecznych wieńców na zewnątrz czy *Christmas with the Rat Pack* grającego w środku mogłam koncentrować się na rzeczach tylko w dziesięciominutowych okienkach, gdy kofeina przestała działać i zmałał wpływ czekolady. Nosiałam ze sobą kubek termiczny i Twixa, by mieć pewność, że takie sytuacje nie będą zdarzać się zbyt często.

Helen zapytała bezgłośnie ponad stołem *Wszystko w porządku?*, zmuszając mnie do słabego uśmiechu i sprawiając, że Laurence'a zatkało. Założył nawet okulary, by mi się lepiej przyjrzeć.

– Możesz powtórzyć? – Konsjerż Sam teatralnym gestem włożył sobie palec do ucha i nim poruszał. – Chyba mi się słuch pogorszył.

– Szybko! Szybko! Zapisuj, zanim zmieni zdanie! – ponaglał Dino, machając do Gemmy robiącej notatki.

– Powiedziałam, że nie mam nic przeciwko dyżurowi w Boże Narodzenie i Sylwestra – powtórzyłam. – Zresztą wpisz mnie na cały tydzień. Biorę wszystko.

– Ależ Rosie! – Jean, nasza gospodyni, była oburzona. – Twój rodzice! Czy nie oczekują, że ich odwiedzisz w święta? – Pochyliła się nad stołem, obdarzając mnie widokiem jej północnych obszarów macierzyństwa, z których większość spoczywała teraz na wynikach pracy Delphine, na całe szczęście dzisiaj nieobecnej. – Czy twojej mamie nie przydałaby się pomoc przy robieniu obiadu?

– Nie – powiedziałam zgodnie z prawdą. – Jadę na rejs z moim bratem i jego rodziną. Dookoła Wysp Skandynawskich. Jesz, ile chcesz. Zawsze tam jeżdżą. To ich coroczne wyzwanie. Mój tata czeka na to od Wielkiego Postu.

Jean wyglądała na smutną, co było niesamowite, gdyż zwykle to ona zgłaszała się na ochotnika w Nowy Rok, by ograniczyć swój pobyt

w Keighley do minimum.

– Co? – oburzyłam się. – Co jest dziwnego w tym, że rodzice wyjeżdżają na święta? Jakby wszyscy zostawali w domach, to ten hotel przestałby zarabiać na świątecznym obiedzie, a to jeden z najbardziej zajętych dni w roku!

– Więc zgłaszasz się do pracy zarówno w pierwszy dzień świąt, jak i w Sylwestra? – powtórzył Laurence. – Bo wiesz, ja biorę wolne w drugi dzień świąt. Mamy rodzinny obiad z Ottonem i Ripley, Ellie też dołączy.

Rozpromienił się ponad stołem, ale widziałam, że Helen, Tam, Sam, Jean i Dino, wszyscy spięli się w tym samym czasie. Każdy z innych powodów, chodziło o srebrne pokrywy, włączony alarm w kuchni, bilety na *Króla Lwa*, zsypanie na pranie czy kandyzowane wisienki, do wyboru. Ostatnia wizyta Ripley i Ottona długo odbijała się czkawką. A prawdę mówiąc, wizyta Ellie też nie była wizytą królowej. (Chociaż w głowie Ellie było to jedno i to samo).

– Tak – powiedziałam. I powtórzyłam w kierunku Gemmy, by mogła zanotować – Tak.

– Ja pomogę Rosie – dorzucił Joe. – I tak tu będę.

– Ale nie w pierwszy dzień świąt – przypomniał Laurence. – Czeka cię dobra zabawa z bratem i siostrą.

Joe nawet nie mrugnął, czym zdobył moje uznanie, tylko powiedział „Oczywiście”, po czym dodał bezgłośnie *Pomogę ci*, jak tylko Laurence wrócił do omawiania pozostałych punktów.

Uśmiechnęłam się sztucznie. Nie chciałam jego pomocy. Nie chciałam niczyjej pomocy. Chciałam mieć pełną listę obowiązków, zasypana terminami i dostarczaniem jedzenia do pokoi, jeśli będzie trzeba, by siłą rozpędu wejść w Nowy Rok i spotkać Nową Siebie – z czasem na myślenie o jedzeniu, pisarzach, krytykach, krytykach kulinarnych piszących o jedzeniu ograniczonym do minimum.

Wiem. To zabrzmiało jak diabelski rehot złośliwego skrzydła Szatańskiego Zarządu Piekieł. I wpadłam na to osobiście.

Jak tylko wszyscy wybiegli, Laurence poprosił, bym wpadła do jego gabinetu. Goście byli wyjątkowo hojni o tej porze roku i nikt nie chciał stracić okazji na gest wdzięczności, nawet szefowie działów.

Miałam nadzieję, że to nie zajmie długo, cokolwiek to było. Potencjalna październikowa panna młoda przyjeżdżała na jedenastą i chciałam się z nią uporać przed lunchem, kiedy to słońce ciągle jeszcze świeciło mocno, a Palm Court nie był wypełniony oszalałymi zakupowiczami wpływającymi z Piccadilly, by ulżyć swoim stopom.

– Ach, Rosie. Siadaj, tak – powiedział mniej radośnie niż zwykle. Kiedy usadowiłam się w fotelu naprzeciwko niego, Laurence strzelił palcami (małe skrzywienie ze względu na artretyzm) i przyjął zmartwiony wyraz twarzy, nie zaniepokojony typu „chyba mój komputer się zawiesił”, którego oczekiwałam.

Zdenerwowałam się trochę. Właściwie to nigdy nie omówiliśmy zajścia na gwiazdkowej imprezie w odniesieniu do mojego życia prywatnego. Dominik nie był na tyle głupi, by skarżyć się na ewidentną podmianą kopert, a pismaki wydały dwukrotnie więcej na alkohol, niż oczekiwano, ale wiedziałam, że to, co się stało, nie było dobrym odbiciem moich zdolności managerskich. Laurence był zbyt dobrze wychowany, by o tym wspomnieć, ale byłam prawie pewna, że wiedział. A Caroline wiedziała na pewno. Ona w końcu o wszystkim się dowiadywała.

– Rosie – powiedział z miną osoby, która przełyka kielki stojące na drodze słów – być może to nie mój interes, ale... chyba aktualnie nie dzieje się u ciebie zbyt dobrze, prawda?

Zamrugałam. Skąd on to wiedział? Zastanawiałam się, czy to Joe mówił coś na temat pracy ze mną. Ostatnio trochę lepiej się dogadywaliśmy, odkąd przeniósł się do cateringu i nie przesiadywał u mnie w biurze, zadając głupie pytania o to, dlaczego panny młode mają podarunki panien młodych/trzy rodzaje drухen/ciasto owocowe; ale dzięki ciągłym żądaniom Flory ciągle wpadał do mojego biura prawie codziennie z jakąś irytującą obserwacją na temat mojego sposobu organizacji.

– Joe coś mówił? – zapytałam ostrożnie. – Ponieważ Flora jest bardzo

zadowolona z...

– Co? Nie, nie, to oczywiste, że coś się z tobą dzieje. Zgłaszasz się do pracy w święta i w Nowy Rok. Puszczasz płazem komentarze Sama na temat drujen. I wyglądasz, jakbyś od tygodnia nie spała. Nie chcę być niegrzeczny, ale wyglądasz trochę... cóż, nie jesteś tak czepliwa jak zwykle. Może mógłbym ci zarezerwować wizytę u lekarza?

Uniosłam moją (pełną pryszczycy od stresu) brodę i próbowałam sobie wmówić, że to był komplement mojego dotychczasowego wizerunku.

– Wszystko w porządku – powiedziałam. – Tylko że nocuję teraz u Helen, a ona nie ma za dużo miejsca.

– Dlaczego nocujesz u Helen? – Laurence wyglądał na zszokowanego.
– Tylko nie mów, że znowu odkażają twoje mieszkanie. Dominik chyba nie wie o bażantów w szafce?

Westchnęłam. Zapomniałam o tym. To był nasz żart.

– Nie, to nie to.

Musiałam mu powiedzieć. On – tak jak reszta Londynu, prawdopodobnie – dowie się o tym wcześniej czy później, gdy ten cholerny Dominik oświadczy w swoim felietonie, że Stara Betty nie żyje, niech żyje Nowa Betty. Szwedzka Betty pewnie już pakuje swoje szwedzkie na rewelacyjne noworoczne jedzenie dziczyzny i pieczonych na ognisku pianek z przyjaciółmi Dominika. Moimi starymi przyjaciółmi. Znajomymi raczej.

– Dominik i ja nie jesteśmy już razem – powiedziałam i niewidzialna pięść uderzyła mnie w pierś. – Helen zaproponowała mi sofę, zanim nie znajdę czegoś nowego.

– Och, Rosie. Tak mi przykro. Naprawdę.

Nie miałam odwagi spojrzeć. Współczująca twarz Laurence'a by mnie dobiła. Na razie zagryzałam dolną wargę tak mocno, że już zaczynała drętwieć.

Nie wiem, jakiej odpowiedzi od niego się spodziewałam – pewnie zbyt intymnego wyznania o tym, że Ellie chciała go wykopać z jego własnego

hotelu. Zamiast tego powiedział: – To bardzo dobrze się składa, bo i tak miałem ci zaproponować, ponieważ chcesz pracować w święta, żebyś przeprowadziła się tutaj.

– Do hotelu? – Popatrzyłam na niego zdumiona. – Ale wszystkie pokoje są zajęte.

– Nie, do apartamentu pracowników. Wyjeżdżam na kilka dni...

– Tak?

– Jadę na oczyszczanie – powiedział nabożnie. – Nie jest duży, jak wiesz, i Joe zajmuje swój dawny pokój, ale jest przytulny i jesteś w nim mile widziana.

A potem popsuł nastrój, mówiąc: – W każdym razie większość czasu i tak spędzisz na dole, pracując.

Zaintrygował mnie, poza hojnością propozycji. Tylko kilka razy byłam w apartamencie Bentleya Douglasa. Bardzo się różnił od reszty hotelu. Był jak podróż w czasie do 1964 roku, kiczowata tapeta w słoneczniki, okleina, jako że wszystkie rodzinne pieniądze szły na odnawianie hotelu, a nie mieszkania. Zawsze myślałam, że Ellie się tym zajęła, jako że miała zamiar zmienić styl całego hotelu na bardziej neutralny, i teraz wygląda jak beżowa kraina.

Tak czy owak, był sercem hotelu i była to jedyna część, której do tej pory nie dane mi było poznać, a jeśli chciałam kupić własne mieszkanie, liczył się każdy odłożony grosz.

Mieszkanie. Miałabym szczęście. Z moją pensją nawet znalezienie czegoś tak małego jak kawalerka Helen, leżącego wewnątrz M25, graniczyło z cudem.

– Dziękuję, to bardzo miło z twojej strony.

– Doskonale. – Laurence zatarł ręce. – Przywieź swoje rzeczy, kiedy tylko chcesz. Mamy Wi-Fi – powiedział to, pokazując gestem cudzysłów, jakby nie do końca w to wierzył. – Niestety tylko podstawowy pakiet. Joe próbuje przekonać mnie, by go zwiększyć.

Uśmiechnęłam się, poruszona jego przezornością. Jakby był moją

rodziną. Dominik się mylił. Zawahałam się: – Laurence, yy, nie powiesz nikomu, dlaczego się wprowadzam, dobrze? Nie chcę, by wiedzieli, jeszcze nie teraz.

O ile mogłam przeżyć litość Laurence’a, o tyle ze strony Sama, Dino czy innego szefa działu byłoby to nie do zniesienia. Albo by o mnie plotkowali, albo próbowaliby mnie przekabacić, bym dołączyła do kółka pokera po godzinach dla wiecznie samotnych pracowników hotelu.

– Oczywiście, że nie – obiecał. – Jak mawiał mój adwokat rozwodowy, to tylko i wyłącznie twoja sprawa.

Byłam prawie przy wyjściu, trzymając wysoko głowę, gdy dodał: – Rosie, mam nadzieję, że się nie pogniewasz, ale mam nadzieję, że twój następny chłopak będzie cię bardziej cenił niż ten pretensjonalny dupek.

Musiałam wyjść bardzo szybko, by nie zobaczył mojej drżącej wargi.

Jeśli nawet Laurence zauważył sposób, w jaki traktował mnie Dominik, naprawdę musiało być źle.

Gdy wprowadzałam się do apartamentu Laurence’a następnego wieczoru, wnosząc ze sobą trzy torby mojego dobytku, jego nie było. Poszedł na świątecznego drinka ze „starą znajomą”, którą przedstawiłam mu ponownie w poprzedni weekend, po dyskretnych wskazówkach Caroline. Przywitał mnie za to Joe.

Właściwie to siedział przy żółtym laminowanym stole kuchennym, zajadając ciastka z bakaliami, jak zwykle nie przejmując się ani kaloriami, ani okruszkami, czytał listę, trzymając w ręku długopis. Rozpoznałam pismo Flory – była zatytułowana: *Druhny, Długa Lista* i podzielona na *Blondynki, Brunetki, Rude* i *Dzieci*. Obok leżała kopia magazynu *Tatler*, pełna małych karteczek z notatkami.

– Tylko nie mów, że Flora wybiera druhny według koloru włosów? – nie mogłam się powstrzymać.

Joe zwrócił się w moim kierunku: – Ale tak jest. Jedno z pytań w kwestionariuszu dla druhny brzmiało „Czy miałybyś coś przeciwko zmianie koloru włosów?”.

– Nie. – Postawiłam torbę na kuchennym stole i przyjrzałam mu się uważnie. – Wkręcasz mnie.

– Nie. I tak musiałem ją przekonać, by zrezygnowała z pytań o wzrost i wagę. Więc jestem coraz bardziej taktowny, widzisz? – Wyszczrzył się. – Flora jest prawie tak samo czepliwa jak ty, jeśli chodzi o szczegóły. Myślę, że ty też byłabyś skłonna poprosić druheny, by przefarbowały włosy...

Przerwał, przypominając sobie nagle, dlaczego się wprowadzam. Ponieważ byłam w najdalszym możliwym punkcie od posiadania druchen.

– Taktowny – powiedziałam – a tak gwoli ścisłości, nie żądałabym od moich druchen ufarbowania włosów. Ogoliłabym im głowy, by być najpiękniejszą kobietą na imprezie. Czy to nie jest główna reguła Panny Młodej z Piekła Rodem, o którą mnie zawsze męczysz?

– Hej, pozwól, że przyniosę twoje torby – powiedział, unosząc się z krzesła. – Witamy w Casa Bentley Douglas. Możesz wybrać pokój, dwa są wolne.

Podążyłam z nim do wąskiego beżowego hallu/półpiętra, dotkniętego, jak mi się wydawało, dekoratorskim zapalem Ellie. Ściany były „biskoptowe”, nie przeforsowała jednak zmiany krzykliwego dywanu, z maziąjowatym wzorem radosnych lat sześćdziesiątych, ani przysadzistych mebli, które tak długo były poza modą, że znowu do niej wracały. Po czystych liniach i stonowanych kolorach reszty hotelu czułam się, jakbym weszła przez szafę do Narnii.

– Pomyślałem, że będziesz wolała pokój dla gości niż Ripley i Ottona – powiedział Joe, otwierając drzwi do przytulnej sypialni z dywanem koloru terakoty, o bladopomarańczowych ścianach i zasłonach, które wyglądały, jakby zrobiono je z krawatów hipsterów z Carnaby Street. – Jeśli myślisz, że to jest fatalne, pomyśl, że Ripley przechodzi właśnie fazę różową, więc drugi pokój wygląda jak wnętrze Świnki Peppy.

– Jest super – zerknęłam na wystrój. Na szczęście będę spać przez większość czasu. Jeśli zasnę przy tych zasłonach.

– Łazienka jest na dole, prysznic miewa humory, od dawna suszę głowę

tacie, by go naprawił, ale wiesz, jaki on jest – zawsze możesz się włamać do 219, jest najbliżej.

Wycieczka po mieszkaniu zajęła nam tylko kilka minut i zanim się obejrzelśmy, staliśmy znowu w kuchni, patrząc się na siebie niezręcznie, gdy dotarło do nas, że jesteśmy od teraz współlokatorami, wtajemniczonymi w prywatne nawyki drugiej strony.

– Więc... – powiedział Joe, patrząc na swoje „domowe” spodnie od dresów. Zauważyłam, że ma gołe stopy. Ciągłe opalone, z małą gwiazdką wytatuowaną na dużym palcu. To mi przypomniało o jego innych wytatuowanych miejscach. Tych mniej dostępnych.

Przełknęłam i spróbowałam znaleźć bardziej neutralny temat.

– Więc, eee... – powiedziałam, wskazując na stół – jakie masz plotki o druhnach Flory? Ktoś sławny?

Mój udział w weselu Flory koncentrował się teraz głównie na sprawach związanych z cateringiem. Joe zajmował się podarkami, preferowanym personelem, oczekiwaniami Flory, by Photoshop był używany w czasie rzeczywistym na rzeczywistych ludziach i tak dalej.

– Oj, prowadzi teraz przesłuchania, dosłownie. Pokażę ci listę – odparł.

O ósmej zapytał, czy nie jestem głodna, a gdy przytaknęłam, zadzwonił do kuchni i przekonał, by upiekli dla nas pizzę. A potem powiedział, tak po prostu: – Słuchaj, ja mówiłem serio o pomaganiu ci w czasie świąt. I tak tu będę.

– Nie jedziesz na narty? Snowboard? – Nie mogłam przestać patrzeć na wszystko w kuchni; jedyne duże okno wychodziło na dachy Piccaddily, pod nim, wzdłuż ściany mnóstwo AGD z lat siedemdziesiątych, jakie widziałam tylko w starych odcinkach *Hotelu Zacisze*. Czy tam był też automat do herbaty Teasmade?

– Nie, mam do wyboru pracę tutaj lub we Wragley Hall z mamą. Twierdzi, że muszę pracować w czasie świąt, by zyskać szacunek pracowników. Jeśli zostanę w Londynie, mogę przynajmniej wyjść na miasto, jeśli pojedę do Wragley – Alec nie da mi żyć. Jest straszny

w czasie świąt. Instaluje pułapki w kominach, w razie gdyby Święty Mikołaj zdecydował się do nas wpaść. Nie żartuję.

– Wiem, słyszałam o reniferze.

W każdym razie Londyn jest fajny w czasie świąt – kontynuował, wyciągając swoje długie nogi pod stołem i ziewając. – Nigdy jeszcze nie byłem na tym lodowisku przy Sommerset House.

– Dużo ludzi. Ale tak, jest tam ładnie.

I nagle cofnęłam się do zeszłego roku: Dominik recenzował kawiarnię niedaleko. Nie jeździliśmy jednak na łyżwach – ja nie chciałam się wygłupić, on nie chciał ryzykować złamania ręki, którą pisał – ale i tak było świątecznie. Wspólny moment w Londynie.

Nie chciałam myśleć o Dominiku i o życiu, które straciłam, ale spadł mi poziom kofeiny i energii, więc bolesne myśli przebijały się niczym drzazgi.

– A chciałabyś pójść? – zapytał Joe, uśmiechając się zachęcająco. – Mamy jedno popołudnie wolne pomiędzy dzisiaj a Nowym Rokiem, prawda? Zabiorę cię z przyjemnością.

Czy Dominik też pójdzie w tym roku z Nową Betty? Kupiłam czapkę specjalnie na tę okazję, futrzaną uszankę w Topshopie. Chciałam się poczuć jak w Nowym Jorku. I trochę tak się tam czułam. (Wyjaśniam: nigdy nie byłam w Nowym Jorku). Dominik skarżył się na letnią czekoladę, ale w nawet zabawny sposób.

– Rosie? – Poczulałam dotknięcie na ramieniu, a gdy spojrzałam w górę, zobaczyłam niepokój w oczach Joego. Jego nieoczekiwanie przyjazna mina sprawiła, że poczułam ciepło w środku, a zaraz potem smutek.

– Przepraszam? – mrugając, pozbyłam się łez i uśmiechnęłam przesadnie. Praca, to pomagało rozwiązywać problemy, dużo pracy. – Więc! – Przyciągnęłam listy bliżej siebie. – Co Flora planuje na wieczór paniński?

– Ech. Zadzwoń na dół po kolację. Koniec pracy na dzisiaj. – Niebieskie oczy Joego nadal wpatrywały się we mnie z niepokojem. –

Słuchaj, jeśli...

– Jeśli chcemy, by jej wesele było godne nagłówków w gazetach, nie mam nic przeciwko nadgodzinom – kontynuowałam. Atmosfera pomiędzy nami się zmieniła. Niby to była praca, ale jakbyśmy nie pracowali. Poczułam, jakby teraz patrzył na mnie trochę inaczej. Gdyby zapytał, co myślę o Dominiku, chyba nie mogłabym przestać mówić.

Spojrzał na mnie zabawnie: – Okej, ale dopóki, dopóty nie przyniosą pizzy.

I tak mijały dni do Gwiazdki. Rozmyte girlandą, kolędami, jemiolą, podchmielonymi gośćmi, szampanem i końcem pracy o drugiej nad ranem. Aż w końcu znalazłam się – niespodziewanie – w restauracji Bonneville w dzień Bożego Narodzenia, bardziej chętna do pomocy w roznoszeniu brukselki w sali wypełnionej gośćmi niż do siedzenia w pustym mieszkaniu mojego szefa, oglądając *Christmas Top of the Pops* z 1978 roku. W pokoju, który też należał do tamtych czasów.

Na dole restauracja na jeden dzień przeistaczała się w radosne, lekko kiczowate czerwono-złote miejsce. Na początku grudnia ekipa Helen dodała kilka świątecznych dekoracji, pasujących do morskiej kolorystyki sali, ale na święta przechodzili samych siebie, porzucając dobry gust i umiar.

Złote girlandy mieszały się z gałęziami świerków na parapetach, czerwone chińskie lampiony wisały pod sufitem, a ja wędrowałam wraz z innymi kelnerami, rozdając brukselkę i desery. Muszę przyznać, że mi się podobało. Podczas przygotowań do dzisiejszego dnia opanował nas rodzaj grupowej głupawki i teraz już otwarcie obgadywaliśmy rodziny, które zdecydowały się spędzić święta w hotelu zamiast w domu.

Najdziwniejszą grupę stanowili Bentley-Douglasowie usadowieni w rogu sali.

Joe, Laurence i poważny mały Otto założyli na swoje blond głowy (nie mogli się wyprzeć pokrewieństwa) papierowe kapelusze, Ripley z kolei uparcie trzymała się różowego kasku do jazdy konnej, a Ellie – również uparcie – odmawiała założenia na głowę czegokolwiek, co mogłoby

zniszczyć jej nową fryzurę a la Kate Middleton. Co w połączeniu z włochatym beżowym sweterkiem, mini od Chanel i sznurowanymi kozaczkami wyglądało bardziej, jakby wyskoczyła z porannego przedstawienia z *Dziadka do Orzechów na Lodzie*.

Ekipa kelnerska czekała za stołem, a Ripley wskazywała na wszystko magiczną różdżką, różową oczywiście. Otto wpatrywał się w cztery ugotowane jajka leżące na talerzu przed nim. Ellie męczyła kelnerów o każde danie od momentu, gdy przestąpiła próg. A wystudiowany uśmiech Laurence'a świadczył o przedawkowaniu dziurawca.

Tylko Joe wydawał dobrze się bawić, czytając żarty znalezione w Christmas Crackers, namawiając Ottona do zjedzenia jajek, robiąc z siebie głupka – w ten sam sposób, za który kochały go młodsze druhny, fotografowie i histeryzujące bobasy.

Próbowałam przypomnieć sobie, jak wyglądał, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy: wymęczony, skacowany, nieogolony, rozwalony na łóżku w apartamencie panny młodej niczym zużyty ręcznik.

Trudno było uwierzyć, że to ten sam mężczyzna, którego teraz miałam przed oczami. Coś na pewno się zmieniło, ale ciągle nie wiedziałam, co doprowadziło go do stanu, w jakim był na początku. Bo to nie był tylko jet lag. Czułam, że znam go teraz dużo lepiej, jednak ciągle nie mogłam się zdobyć na odwagę, by zapytać go, co przysłoniło jego słoneczną naturę niczym gradowa chmura.

Ktoś trącił mnie w żebra: – Nie podawałabym do tamtego stołu nawet za potrójną stawkę – wyszeptała jedna z kelnerek, przeciskając się z pustą tacą. – Widziałaś, jak pani BD wszystkich obserwuje?

Zauważyłam, że Ellie mi się przygląda, ale dla mnie była byłą recepcjonistką, nie byłą żoną.

– Można by pomyśleć, że to ona i Joe są rodzicami, prawda? – kelnerka mówiła dalej. – Biedny Laurence, musi tego wszystkiego wysłuchiwać.

Joe rysował twarze na talerzu Ottona, robił kapelusiki z serwetek dla nieszczęsnych czterech jajek, podczas gdy Laurence wydawał się słuchać narzekań Ellie. Śmiesznie to wyglądało. Przez wszystkie lata pracy dla tej

rodziny i ich hotelu nie zdawałam sobie sprawy, jak wygląda ich Boże Narodzenie. Ludzka strona wielkiej maszyny rozrywki.

Nagle pomyślałam, że dużo lepiej by się bawili w przestarzałej kuchni na górze, rozrywając Christmas Crackers i śmiejąc się, wspominając dawne czasy. W każdym razie Laurence i dzieciaki na pewno. Jeśli byłaby tu Caroline, serwująca wielką niedzielą pieczeń.

Joe napotkał mój wzrok i uśmiechnął się w udawanej desperacji. Odwzajemniłam uśmiech.

– Będę wdzięczna, gdy to wszystko się skończy i wrócę do domu na kolację – westchnęła kelnerka. – Też idziesz na kolację po pracy?

– Taaa... – odpowiedziałam, myśląc o podwójnej porcji świątecznego puddingu czekającej na mnie w lodówce. Zamierzałam go zjeść w łóżku, relaksując się w piżamie.

. . .

Tej samej nocy Laurence wyjechał na swój detoks w Klinice Mayo.

– A teraz, jeśli chodzi o imprezę sylwestrową – stosuj się proszę do instrukcji, które zostawiłem na...

– Wiem – odpowiedziałam, podając jego torbę taksówkarzowi wiozącemu go na lotnisko. – Robiłam to już trzy lata z rzędu, poradzę sobie.

Spojrzał na mnie, mówiąc: – I weź sobie kilka wieczorów wolnego. Należy ci się odpoczynek.

– Wezmę.

Laurence wyglądał, jakby miał powiedzieć coś jeszcze, ale tylko skinął kierowcy, by jechał. I pojechali.

Na górze Joe sadowił się właśnie wygodnie na skórzanej sofie z wielką michą chipsów i butelką dietetycznej coli.

– Myślałam, że wychodzisz? – powiedziałam zaskoczona.

Pokręcił głową: – Niby gdzie miałbym pójść?

Nie miałam na to odpowiedzi: – Do znajomych?

– Nie. Jak mógłbym cię zostawić samą w bożonarodzeniowy wieczór? To nie byłoby zbyt rycerskie. Mam trochę lodów z kuchni i VOD Ripley. Obawiam się, że to głównie filmy ze stepowaniem. Jak wiesz, ma teraz bzika na tym punkcie.

– Tylko przed publicznością bez wyjścia. – Uśmiechnęliśmy się na to wspomnienie.

– Wiem. Słuchaj, to bardzo miłe z twojej strony, ale... – planowałam długą kąpiel z nową książką i wczesne pójście spać. Z drugiej strony, wizja lodów była bardzo kusząca.

– Nie zostawiaj mnie samego z *Deszczową piosenką* i lodami w bożonarodzeniowy wieczór – poprosił. – Nie jestem Bridget Jones.

– Ja też nie – powiedziałam na swoją obronę.

– Cieszę się, że to ustaliliśmy – powiedział. – A teraz przynieś trochę paróweczek z lodówki. Ty i ja jesteśmy dzisiaj odpowiedzialni za dojadanie resztek. I jeśli to nie wprawi cię w bożonarodzeniowy nastrój, to nie wiem, co innego może.

– Dobra. – Poddałam się.

W zeszłym roku spędziłam święta, zmuszając się do siedmiodaniowego posiłku z rodzicami Dominika, potem grając w wymyślne szarady, a potem walcząc z niestrawnością w hotelu, pracując jednocześnie na nocnej zmianie. Dominik obiecał mi weekend w spa w prezencie, który się nigdy nie zmaterializował, a ja wykosztowałam się na przepiękny toster.

W tym roku oglądałam *Deszczową piosenkę*. A potem *Czterdziestą Drugą Ulicę*. Joe dał mi działający cuda krem na zmęczone stopy, a ja jemu *Przewodnik po Zielonym Londynie*. Razem podtuczyliśmy się paróweczkami, lodami i mieszanką cukierków; i żadne z nas ani razu nie poskarżyło się, że chciałoby być gdzieś indziej. A potem, późną bożonarodzeniową nocą, oboje zasnęliśmy przy starodawnym elektrycznym kominku.

To były jedne z najlepszych świąt w moim życiu.

Rozdział dziewiętnasty

Moją najbardziej ulubioną nocą w hotelu była nieskończenie długa noc sylwestrowa. A mówię to jako osoba, która z gruntu nie lubi całego zamieszania wokół Nowego Roku.

Pożegnanie starego roku w Bonneville było inne. Tradycję tę zapoczątkowała babka Laurence'a – Maude – w 1923 roku, by oficjalnie „dać ludziom nadzieję podczas świąt spędzanych z rodziną”. Laurence powiedział mi kiedyś, że wróciła do tej tradycji po wojnie, by pomóc samotnym koleżankom, których nie było stać na snobistyczne bale debutantek szukających męża. Za to polubiłam ją jeszcze bardziej.

Pożegnanie starego roku było hitem od początku, a wszystko dzięki wyjątkowym gościom. W 1927 roku księżę Walii miał podobno tańczyć na podium dla orkiestry z dwiema rozwódkami. W niedługim czasie było to miejsce, do którego przyjeżdżało się, jeśli narty, polowania czy spotkania z rodzinnym prawnikiem nie wchodziły w grę. Nawet gdy hotel podupadł nieznacznie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, pożegnanie nadal przyciągało kolorowe ptaki ze wszystkich obszarów życia. Artystów, aktorów, piosenkarzy, kucharzy, dziwnego biskupa – każdego, kto musiał pracować w czasie świąt, ciągnęło, by pożegnać stary rok pod majestatycznym kryształowym żyrandolem i setkami balonów wypełnionymi brokatem, opadających, gdy zegar wybił dwunastą.

Nigdy nie przeszkadzała mi praca w Sylwestra, dla mnie był to magiczny czas wypełniony duchami z przeszłości, które tańczyły między nami o północy. Inny rodzaj blasku opadał wtedy na Bonneville, bardziej perlisty, księżycowy i szykowny niż radosne błyskotki Bożego Narodzenia. Kilka lat temu, po odejściu Caroline, kiedy to Laurence powierzył mi organizację pożegnania, spędziłam mnóstwo czasu, przeglądając stare fotografie z lat trzydziestych – szukałam inspiracji – schody udekorowane wielkimi srebrnymi gwiazdami, wybałuszające oczy

stałe bywalczyńnie obwieszane błyszczącymi koralami, wpatrzone w przymknięte oczy partnerów w smokingach, kubelki z szampanem stojące, gdzie się da. Wtedy, tak jak teraz, zespół jazzowy w idealnie skrojonych marynarkach zaczynał grę o dziewiątej i grał do ostatniego gościa mogącego utrzymać się na nogach, czyli bardzo długo, dzięki dużej ilości alkoholu i kanapek z bekonem serwowanych w ogromnych ilościach na srebrnych tacach o drugiej nad ranem dla podtrzymania sił życiowych.

W tym roku, od momentu wystrzału pierwszego szampana, przyjęcie było tak huczne jak za najlepszych czasów w latach dwudziestych, a ja rzuciłam się w wir pracy, pilnując, by wszystko poszło bez zarzutu do północy. Nie mogłam się doczekać, by pożegnać stary rok – nie okryłam się chwałą na jeszcze jednym przyjęciu gwiazdkowym, tym razem dla firmy prawniczej. Na końcu byłam tak rozkojarzona, że nie zauważyłam narastającego napięcia i doprowadziło to do bójk, kilku niefortunnych złamań i krechy u Laurence'a – chciałam na nowo zacząć starania o awans.

Nadeszła północ, opadły srebrne balony, wszyscy wiwatowali, przytulali się i całowali, gdy rozległy się dzwony Big Bena. A ja stałam sama przy stole z drinkami, czując ukłucia bólu, że nie ma nikogo, kto by chciał mnie pocałować. Wiedziałam, że to kompletna głupota. Od lat pracowałam przy organizacji tej imprezy i nigdy nikt do mnie nie podszedł. Tylko że w tym roku bardzo mi tego brakowało.

Pospieszyłam się z kieliszkami, starając się być tak zajęta, jak to tylko możliwe, dopóki Big Ben nie skończy, wtedy wpadła na mnie rozpędzona Gemma, zgniatając mnie w noworocznym uścisku.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – wrzasnęła, próbując przekrzyczeć petardy. Euforia tak jak dramat uderzała jej prosto do głowy.

Ponad jej gładkimi, ciemnymi błyszczącymi włosami, po drugiej stronie sali, zobaczyłam Joego. Uśmiechnął się, lecz nic nie powiedział, wydawało mi się jednak, że wyczytałam z jego warg *Szczęśliwego Nowego Roku*. Uśmiechnęłam się w odpowiedzi i ból samotności zniknął.

Nigdy nie będę całkiem sama, nie w hotelu.

O wpół do piątej rano Tam odprowadził ostatnią rozhulaną parę do czarnej taksówki czekającej przed wejściem. Potrafił być niesamowicie delikatny jak na studwudziestokilogramowego byłego gracza rugby. Gdy tylko odmeldował się po balu, Gemma, Joe i ja zaczęliśmy sprzątać pobojuwisko, tak by ekipa sprzątająca hotelu, która miała przyjść o szóstej, zdążyła dokończyć dzieło. I mimo że dawali niesamowite przedstawienie, niczym wściekła armia mrówek, czyszcząca bałagan i zostawiająca tylko czystość za sobą, to nie mogliśmy zostawić sali balowej w takim stanie na noc.

Wydawała się zbyt cicha bez muzyki i śmiechu, które wypełniały ją jeszcze godzinę temu, a przy zapalonych światłach bałagan był mocno dołujący.

Wzięłam się w garść; Caroline nauczyła mnie, że najlepiej wziąć się za najgorszą część przed pójściem do łóżka, plus musiałam policzyć butelki, by wiedzieć, ile szampana zniknęło tajemniczo wraz z pracownikami z agencji.

– Wkładajcie butelki do skrzynek, a kieliszki stawiajcie na stół – powiedziałam, zabierając się za najbliższy stół, pełen klejącej plątaniny serpentyn, gwizdków i serwetek.

– Gdzie chcesz zrobić „biuro rzeczy znalezionych”? – Gemma uniosła srebrny pantofelek jedną ręką, w drugiej trzymała parę koronkowych majtek. – Mam rzucać do kąta?

– Wrzuć na Twittera – powiedział Joe. – Czy rozpoznajesz te majtki? Znaleziono na pożegnaniu starego roku w Bonneville. Oznacz hashtagiem FunTimes. Genialna reklama!

– I znowu klasyczny image, który chcemy wypromować, prawda? – Nie miałam już sił na sarkazm.

– Ale serio, wziąć jakieś pudło czy coś? – Gemma znalazła jeszcze więcej bielizny i parasolkę. – Jakoś to opisać? Założyć książkę rzeczy zagubionych?

Może i był to dowód, jak dobrze wszyscy się bawili, ale na mnie spadł nieoczekiwane ciężar poprzednich miesięcy. Nie chciało mi się teraz dyktować Gemmie listy zgubionych majtek i telefonów. Miałam na to cały rok.

– Po prostu włóż to wszystko do skrzyni i idź do domu. Rano się tym zajmiemy – odpowiedziałam.

Gemma spojrzała na mnie, jakby w moich słowach ukryty był jakiś haczyk: – Jesteś pewna?

– Tak, jestem pewna. Idź do domu. Weź taksówkę – odpowiedziałam, dodając automatycznie: – Pamiętaj, żeby przynieść rano paragon.

– Paragon? Raanyy. – Joe sięgnął do kieszeni i wyjął portfel. – Gem, masz jakąś gotówkę? Nie? Słuchaj, mam trzy dychy. Jak daleko mieszkasz?

– W Nowy Rok? – Gemma uniosła brew. – Jakies sześć dych stąd.

– Hej! Nie wykorzystuj faktu, że on ewidentnie zapomniał, gdzie co jest w Londynie – ostrzegłam ją. – Mieszkasz w Clapham, nie Cheltenham.

Joe roześmiał się i dorzucił jeszcze dychę.

– Jesteś pewna? – Patrzyła to na mnie, to na Joego. – To nie jest jakiś test z zarządzania? A ja powinnam odpowiedzieć: „Nie, Rosie, zostanę, dopóki to miejsce nie będzie kryształowo czyste?”.

Byłam w szoku: – Nie, oczywiście, że nie! Nie jestem tak bezdusznym zarządcą niewolników, za jakiego mnie masz.

– Nie komentuj tego – rzucił Joe, patrząc na mnie uśmiechnięty, a potem obrócił się do Gemmy. – To w jej języku znaczy dziękuję. Wykonałaś świetną pracę. Tworzycie superzespół.

Gemma stłumiła ziewnięcie: – Fajnie było, prawda? Dużo fajniej niż na weselach.

– Przecież uwielbiasz wesela – powiedziałam.

– Tak, ale ty wtedy bardziej świrujesz – odparła i spojrzała na mnie zawstydzona. – To znaczy, nie chcę powiedzieć, że ty... chciałam powiedzieć, że jesteś wtedy bardziej denerwująca... to też nie dobre słowo,

yy...

– Wie, co masz na myśli... – powiedział Joe, zanim wymyśliłam komentarz do słów Gemmy. – A teraz zmykaj.

Gemma pomachała i wybiegła. Całą pupę miała w brokacie, wyglądała trochę jak królik z ogonkiem. Ale postanowiłam nic jej nie mówić.

Spacerowałam po sali balowej, próbując nie zwracać uwagi, jak nędznie wyglądała w świetle jasnych lamp. Kilka połączanych krzeseł musiałam oddać do malowania, zasłony z bliska też nie były tak pluszowe, jak myślałam. To było wspaniałe w byciu gościem, pomyślałam; wychodzisz z nietkniętą iluzją nocy.

– Chciałabym tu kiedyś przyjść jako gość – powiedziałam.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – Uniosłam rękę w kierunku srebrnej kuli. – By się tym nacieszyć, jak należy. Zobaczyć wszystko, jak należy.

Było coś romantycznego w atmosferze dzisiejszego wieczoru. Chemia jednej z par, przy stoliku blisko lodowej rzeźby, o mało jej nie stopiła. On ani razu nie oderwał od niej wzroku. Ona promieniała, drżąc na myśl, że coś się zaczyna, że w jej życiu pojawiają się iskierki nowych możliwości i obietnic. Flirtowali od pierwszego drinka, ani razu nie wstając z miejsca, wpatrzeni w swoje oczy; a o północy zniknęli, pozostawiając puste krzesła.

Zastanawiałam się, czy dane mi będzie zobaczyć ich wesele w sali balowej, w której się poznali. Poczułam ukłucie zazdrości.

Przestań.

– Chodź – usiadźmy na chwilę. – Joe pomachał w moim kierunku butelką szampana, kapiąc na podłogę lodowatą wodą z kubelka na lód. – Napijmy się. Ktoś otworzył – szkoda byłoby zmarnować.

Zaczęłam oponować i zaraz przestałam. Byłam zbyt zmęczona. Potrzebowałam tego uniesienia, które może dać tylko szampan: – Dawaj.

Joe z jękiem usiadł na scenie, na której jeszcze niedawno zespół grał klasyki Sinatry: – Tak lepiej. A teraz, nareszcie, czas na drinka.

Wytarł butelkę lnianą serwetką i zdałam sobie sprawę, że zamierza pić prosto z butelki.

– Co ty robisz? Poczekaj. – Rzuciłam się w poszukiwaniu czystych kieliszków, znalazłam pół tacy pod fortepianem. Ktoś wsunął ją tak głęboko, że nie mogłam łatwo dosięgnąć, musiałam się więc schylić i wsunąć się tam oparta na łokciach. Gdy wysunęłam się ze zdobyczą, natrafiłam na wzrok Joego, przyglądającego mi się w rozbawieniu.

– Zawsze musisz robić rzeczy w najtrudniejszy z możliwych sposobów? – Pomachał butelką. – Nie mam nic, co mogłabyś ode mnie złapać, wiesz.

– Nie o to chodzi. – Podałam mu kieliszki do napełnienia zgrabnym ruchem ręki – jak przystało na kogoś wychowanego w hotelu. – Chodzi o to, by robić rzeczy, jak należy. Chcę zacząć ten rok tak jak należy, z odrobiną stylu, by mógł cały taki być.

Joe uniósł brwi, lecz nie powiedział ani słowa, gdy brał oferowany kieliszek i gdy usiadłam obok niego.

Patrzyliśmy na parkiet i żałowałam, że nie zgasiłam mocnych świateł. Kradły urok tego miejsca.

I dobrze, upomniałam siebie, szybciej posprzątasz.

– Więc jakie są twoje postanowienia noworoczne? – zapytał Joe.

– Ach, to co zwykle. Ciężej pracować, schudnąć. Kupić mieszkanie. Wydębić od Dino przepis na martini. A twoje?

– Wszystkie z wymienionych. Plus maraton.

Zaśmiałam się niezręcznie, nie będąc pewna, czy żartuje.

– Poczekaj chwilę – powiedział, ześlizgując się ze sceny. – Muszę zgasić część świateł, chociaż na dziesięć minut. Zanim zdążyłam ochłonąć z wrażenia wywołanego romantycznym gestem, dodał: – Soczewki mi przez nie wysychają.

– Tylko na dziesięć minut. – Starłam się ukryć ulgę. – Nie chciałabym zasnąć.

I po chwili lub dwóch mocne światło halogenu zgasło, zostawiając

tylko poświatę żyrandola, która sprawiała, że wszystko nabierało cieplejszych, jasnoszarych i żółtych odcieni.

Srebrna kula nadal leniwie wirowała pod sufitem, rzucając błyszczącą siatkę światła na salę, teraz wypełnioną aksamitnym światłem. Opalizujące diamenty prześlizgiwały się po białych obrusach stołów, po wielkich anielskich skrzydłach zrobionych z setek kwiatów kalii, po pustym parkiecie.

– Tak lepiej – oznajmił Joe, rozwiązując muchę i przecinając parkiet z powrotem na scenę.

Nawet on wyglądał teraz lepiej, bardziej w nieładzie niż zmęczony, czarno-biały, nie kolorowy. Pociągnęłam łyk szampana, czując, jak bąbelki rozchodzą się po moim ciele.

– Więc – powiedział, sadowiąc się obok mnie – jakie naprawdę są nasze postanowienia noworoczne?

– Przecież ci powiedziałam.

– Taa. Ale co naprawdę chciałabyś osiągnąć do końca tego roku?

– Od miesiąca siedzisz w tym kraju i nadal nie zorientowałaś się, że bezpośrednie pytania uważane są tutaj za niegrzeczne? – opowiedziałam, nie do końca żartując.

Joe uśmiechnął się, napełniając swój kieliszek. Ja przykryłam mój dłoń. – Jak możesz poznać ludzi, nie zadając im pytań? To znaczy, nie musisz mi odpowiadać, nie, jeśli to coś w stylu „przejmę kontrolę nad hotelem i przekształcę pralnię w miejsce kultu”. Daj spokój. Co byś chciała dla siebie w tym roku?

Na te słowa nowy rok rozciągnął się przede mną niczym górską ścieżką, wiodącą pod górę i wypełnioną serią ślubów, poniedziałkowych spotkań i poleceń zapłaty. Nawet nie dróżka z poręczami i stopniami. Raczej taka wiodąca na zamglony szczyt, po której idziesz bez mapy i w niewygodnych butach. Zadrzałam na samą myśl samotnej wspinaczki po czymś takim. Bez Dominika, bez mieszkania razem. Bez przyjęć, bez felietonu w gazecie, bez szansy na wyrobienie marki dzięki wielkiej

impresie *Reportera...*

Zamrugałam z całej siły i słowa same wystrzeliły ze mnie, wypełniając ciemną salę. Skierowane bardziej do mnie samej niż do Joego.

– Zamierzam osiągnąć postawiony cel i dostać awans i zamierzam pieniądze z awansu przeznaczyć na zaliczkę na własne mieszkanie.

– Łoo, poszybowałaś – skwitował. – Jaki cel i jaki awans?

Upiłam kolejny łyk szampana. A był to bardzo dobry szampan. Miło było go pić w tym szykownym, cichym miejscu.

– Tego lata zawarłam z Laurence’em umowę, zanim przyjechałeś. Jeśli osiągnę zamierzone cele finansowe dla działu eventów do końca czerwca, rozważę moją kandydaturę na stanowisko dyrektora hotelu.

– I myślisz, że to zrobi?

– Tak. – Sądząc po jego tonie, nie miałam pewności, czy zakładał, że to jemu należy się to stanowisko. Zastanawiałam się, czy wie, jakie plany ma względem niego Caroline.

– A jak blisko jesteś? – zapytał. A potem zamilkł na moment. – To chyba afery z odwołaniem ślubu Stephanie Miller ci nie pomogła. Przepraszam.

– No nie pomogła. – Powinnam powiedzieć mu wszystko? Nie byłam pewna. Jedynymi ludźmi, którzy znali szczegóły mojego układu z Laurence’em, byli: Laurence, Caroline i ja. I nie byłam pewna, jak inni szefowie działów zareagowaliby na taką wiadomość.

– Daj spokój, przecież nikomu nie powiem – powiedział Joe. – Musi być źle. Dino mówił, że musiał podwoić zamówienia w barze, tyle zarezerwowałaś wesel na ten kwartał.

– Jak dotąd przebijam cel – przyznałam. – Ślub Flory naprawia szkody poniesione przy Stephanie. Wszystko przez dodatkowe usługi, które rezerwuje. Jednak nie chodzi tylko o pieniądze, ale też o reklamę, jaką dzięki niej zyskujemy. Rezerwacje mniejszych uroczystości poszły w górę, a opcja popołudniowej herbaty stała się naprawdę popularna.

– Poczekaj, aż zobaczą suknię – powiedział Joe. – Aż trzech

projektantów jest na tapecie. Jeden z nich ma być ogromną niespodzianką. – Uniósł brwi w udawanej ekscytacji, a potem roześmiał się. – Ona myśli, że ja żartuję, gdy mówię, że nie mam pojęcia, kogo ma na myśli.

Poczułam przyływ wdzięczności. Byłam niesamowicie zmęczona, ale zajmowanie się Florą byłoby wykańczające do kwadratu: – Muszę przyznać, że to wszystko twoja zasługa. Masz do niej tak dużo cierpliwości.

– Nie ma problemu. Flora jest dość miła dla tych, którzy pamiętają, że sześć lat temu była o stopę wyższa od wszystkich, których znała w Downe House, i miała ksywkę Roadrunner.

– Naprawdę? – Obróciłam się do niego, a on przytaknął. – Sama ci to powiedziała?

Joe wzruszył ramionami.

– Tak jak mówiłem – jeśli nie zadajesz pytań, jak możesz mieć pewność, że dajesz ludziom to, czego chcą? To nieuniknione, że bardziej ich poznajesz. Wyczuwasz ich marzenia. A przynajmniej powinnaś, jeśli chcesz im pomóc przeżyć to, czego naprawdę chcą.

Miałam wrażenie, że to, co mówi, ma sens. Zacisnęłam tylko wargi i spojrzałam na elegancką salę przed nami.

– Czy to nie magiczne miejsce? – zapytałam. – Sala balowa po północy. Z jej duchami i tajemnicami.

– Ty chyba nigdy nie widziałaś *Lśnienia*?

– Ha, zabawne. Nie każdy ma tyle szczęścia, by wychowywać się w miejscu takim jak to – odpowiedziałam, patrząc, jak kręci się szklana kula. – To musiało być niesamowite, gdy byłeś dzieckiem, te korytarze, zapachy, niczym maszyna za sceną.

– Fajnie było mieć basen w piwnicy, no i o każdej porze mogłaś poprosić o koktajl, a poza tym... – Upił łyk z kieliszka. – Przez większość czasu byłem w szkole z internatem. I nie jestem pewien, czy małżeństwu moich rodziców wyszło to na dobre.

– Przecież oboje kochali to miejsce.

– To prawda. Ale to oznaczało, że zawsze było ich troje w tym małżeństwie, mama, tata...

– I hotel. – Wiedziałam, że Laurence nie doceniał Caroline, lecz nigdy nie patrzyłam na to z punktu widzenia chłopców.

– Pani Bonneville to bardzo wymagająca kochanka – powiedział ironicznie Joe.

– Ale też wyjątkowa? – Machnęłam ręką w kierunku parkietu, wyglądającego jak na starej fotografii – skąpanego w szarościach i fioletach, z plamami białego światła odbijającego się od kwiatów. – To więcej niż hotel. To jest jak... mieszkanie w bańce historii. Historii twojej rodziny.

– Chyba jedyną pozytywną rzeczą było to, że oboje pracowali za ciężko, by wplątywać się w romanse. Zdziwiałam, jak znaleźli chwilę, by zrobić mnie i Aleca. – Napełnił mój kieliszek. Bardzo szybko rozprawialiśmy się z tą butelką. – Wiem, że tata chce, bym go przejął, ale... – Wzruszył ramionami. – Nigdy nie chciałem, by coś tak bardzo absorbowало moje życie. To nie jest zdrowe.

No raczej. Było oczywiste, dlaczego Joe nie chciał tu pracować, pomyślałam, wstydząc się, że najbardziej oczywiste rzeczy często są tak trudne do zrozumienia. Czy dlatego wolał uciec z kraju, niż być zmuszony wyrzutami sumienia do pracy nad czymś, co przyczyniło się do rozpadu małżeństwa jego rodziców?

Milczeliśmy przez chwilę, po czym Joe powiedział:

– To dlatego ty i Dominik musieliście się rozstać? Bo to miejsce za bardzo cię angażowało?

Bezpośredniość tego pytania wcale mnie nie zaskoczyła. Być może była spowodowana faktem, że nie patrzyliśmy na siebie, a dookoła panował półmrok, albo że przez ostatnie kilka dni wspólne oglądanie telewizji po pracy rozmyło granicę między nią a życiem prywatnym?

– Być może – przyznałam i na dźwięk słów, które do tej pory pojawiały się tylko w mojej głowie, przeszedł mnie dreszcz. – Ale Dominik też miał

dziwne godziny pracy, gdy zbliżał się termin oddania recenzji. To nie było tak, że kończył o piątej. Podobało mu się, że oboje lubimy późno chodzić spać, że rozumiemy tę samą branżę.

– Ale na pewno był dla ciebie ważniejszy niż praca? Kochaliście się przecież.

Siedziałam wpatrzona w moje stopy bujające się nad podłogą. Na beżowe pantofle na niewysokim obcasie. Zdecydowanie nie takie, jakie powinna mieć kobieta w moim wieku na imprezie sylwestrowej. Powinnam mieć niebotycznie wysokie obcasy. Błyszczące szpilki. Złote sandały. Seksowne, kuszące buty. Zrzuciłam lewy pchnięciem stopy, a potem zrobiłam to samo z prawym i rozsypały się po podłodze.

Tak było lepiej. Mogłam zobaczyć mój krwiście czerwony pedicure prześwitujący przez rajstopy. Rozsądne rajstopy. Helen zafundowała mi ten pedicure na Gwiazdkę, by mnie rozchmurzyć. I nawet jej się udało.

Cisza między nami rosła, ale nie była nieprzyjemna. Czułam go siedzącego obok, pijącego szampana, jego usta na delikatnym szkle kieliszka. I zastanawiałam się, czy patrzy na moje stopy i widzi czerwony lakier pod rozsądnymi rajstopami.

Chciałam, żeby widział. Żeby zobaczył, że nie zawsze jestem Rosie z Listą Rzeczy Do Zrobienia. Byłam ciekawa, czy zauważył mojej czerwone paznokcie, gdy chodziłam po mieszkaniu, tak jak ja zauważyłam mały tatuaż na jego ramieniu.

– Czy Dominik był Tym Jedynym? – zapytał. – Naprawdę?

– Nie – nareszcie wyrzuciłam to z siebie. – Nie był Tym Jedynym.

Musiałam się z tym zmierzyć: jego niechęć do dzielenia się ze mną jego prywatnym życiem powinna była mi coś powiedzieć. I to jak nie lubił ślubów, i to jak... wzdrygnęłam się w środku. I to, że nigdy, sam z siebie, nie powiedział mi, że mnie kocha. Był współlokatorem. Z którym się sypia. I miałam szczęście, że uciekłam od niego, zanim wzięliśmy wspólny kredyt.

– Czyli jesteś o krok bliżej znalezienia prawdziwej Drugiej Połówki.

Prychnęłam: – Czy nie jesteśmy trochę za starzy, żeby wierzyć w Drugie Połówki?

Joe próbował napełnić swój kieliszek, lecz butelka była już pusta, potrząsnął nią i odstawił na scenę.

– Nie wierzysz, że gdzieś tam czeka na ciebie ta jedna, idealna osoba? – zapytał, nie podnosząc wzroku.

– Nie. Wierzę, że jest wielu ludzi, którzy mogą dać ci szczęście. Ale nie wierzę, że ktokolwiek z nas jest idealny. Zwariowałabym, jak te wszystkie kobiety, z którymi się spotykam na co dzień, które są przekonane, że jeśli nie znajdą dekoracji w odpowiednim odcieniu fioleto, ich małżeństwo zakończy się fiaskiem.

– Jesteś bardzo nieromantyczną organizatorką ślubów.

– Event Managerem.

– Event Managerem, obojętne. Wyobrażałaś sobie kiedyś swój ślub?

Nastrój był tak intymny, a szampan tak cudownie uspokajał, że prawie się przyznałam. Tak, byłam zaręczona. Prawie wyszłam za mąż. Doszłam nawet tak daleko, że stałam ukryta za filarem przez długie pięć minut Przybycia Królowej Saby. Miałam też niebieską podwiązkę i bukiet gotowy, by nim rzucić, plan posadzenia gości oraz listę prezentów u Johna Lewisa, do którego musiałam się udać, by je zwrócić.

Wspomnienia wróciły do mnie niczym hulaszczy taniec pijanych gości. Od dawna nie myślałam o moim nie-weselu. Udało mi się je upchnąć pod górą innych rzeczy.

Zastanawiałam się przerażona, czy Laurence lub Caroline cokolwiek wspomnieli. Chyba by powiedział, gdyby tak było?

Ponownie przysypałam to wspomnienie mnóstwem innych rzeczy: pracą, hotelem, kwiatami, terminami, rozstaniem.

Dominik. Jego też musiałam czymś przysypać: Flora Thornbury, cel Laurence'a, projekty Caroline. Przegrywałam sromotnie na tym froncie.

Lubiłam Joego. Nie chciałam, by znał taką Rosie.

– Nie – powiedziałam. – A ty?

Myślałam, że też powie nie, tak jak ja, lecz kiedy obróciłam głowę, by zobaczyć jego minę, patrzył w dal na parkiet. Wyglądał na zagubionego i zaskoczyła mnie jego bezbronność.

– Przepraszam – zaczęłam, ale w tym samym czasie on powiedział: – Myślę, że jeśli uda ci się znaleźć tę wyjątkową osobę...

Oboje zamilkliśmy zażenowani.

– Udało ci się? – rzuciłam kierowana nagłym ukłuciem... czegoś.

Nie odpowiedział. Kula kręciła się nadal i przestraszyłam się, że dotknęłam czegoś bardzo osobistego. Może to za bardzo dotyczyło małżeństwa jego rodziców. Nigdy nie zastanawiałam się, jak czuli się Joe i Alec pośrodku tego wszystkiego. Mieszkając z Joem, odkrywałam zupełnie inną stronę życia w hotelu. Widziałam nie służbową stronę, nie tylko Joego, lecz także Bonneville. Widziałam dom, nie tylko miejsce pracy.

A potem on zeskoczył ze sceny i wróciliśmy do rzeczywistości. Głowa pękała mi od szaleństwa tych ostatnich dni.

– Nie trzeba było pić tego ostatniego kieliszka – powiedziałam gorzko.

Podał mi rękę: – Chodź Kopciuszk.

– Zapraszasz mnie do tańca? – zażartowałam.

Nie potrafiłam tańczyć, ale miałam na to ochotę. Joe, w smokingu, z rozwiązaną muchą, zmierzwionymi włosami, stojący tu w czerni i bieli, niczym gość pożegnania z 1979 roku, który powrócił na parkiet dzisiejszej nocy.

Spojrzał na mnie i w moim żołądku przefrunął pijany motylek.

– Nie, głupia, pomagam ci zejść ze sceny, jako że wydajesz się wstawiona – powiedział. – A chciałaś zatańczyć? Możemy... – i zamiast zacząć romantycznego walca, niezdarnie sparodiował twista, żartując sobie ze mnie. I nastrój zniknął.

Romantycznego walca? Czuję, jak oblewam się rumieńcem. O czym ja myślałam?

– Nie ma potrzeby, poradzę sobie. – Zeszłam na podłogę i pochyliłam

ostrożnie w poszukiwaniu butów. Moich nudnych butów.

– Wiesz, jakie powinno być twoje postanowienie noworoczne? – zapytał Joe.

Nagle zapragnęłam iść do łóżka w gościnnej sypialni na górze i zapaść się w otchłań. Nie myśleć o ślubno-weselnych problemach, które przychodziły mi do głowy.

– Nie pić tak dużo?

– Nie, wyluzować – głos Joego odbił się echem w przepastnej sali. Nie brzmiał na tak pijanego, jak ja się czułam, pewnie dlatego, że cały wieczór opychał się kanapkami. – Wyluzuj i poczekaj na to, co przyniesie los. Przestań robić listy. Zaczynaj żyć chwilą.

Cel, awans, mieszkanie. Na tym powinnam się skoncentrować. Nie na życiu chwilą. I zdecydowanie nie na miłości.

Skrzywiłam się. Miłości? A to skąd się wzięło?

– Rosie?

Znalazłam i szybko założyłam buty, i zaczęłam iść w kierunku drzwi. Buty piły mnie niewyobrażalnie, ale prędzej umarłabym, niż dała to po sobie poznać.

– Chcę, żeby cały rok był taki jak jego początek – powiedziałam. – Dużo pracy, mało snu.

Rozdział dwudziesty

Szybko poznasz ludzi, dzieląc z nimi lodówkę. Nawet gdy praktycznie ich nie oglądasz, dzięki dziwnym godzinom pracy, jedna półka jest w stanie wiele o nich opowiedzieć. W przypadku Laurence'a była to półka pełna czterech różnych probiotyków. Joe trzymał na niej zapas czekoladowych jajek Cadbury.

Jak się okazało, Joe nie był tak wykręcony na punkcie zdrowego odżywiania, jak myślałam. Albo wpadł w ciąg, odkrywając ponownie brytyjską czekoladę. Odkryłam też, dzięki łączącej nas ścianie sypialni, że tak jak ja lubi piosenkarzy z lat sześćdziesiątych; że robi siedemdziesiąt pięć pompek, zanim uda się pod prysznic (naprawdę nie podsłuchiwałam, on głośno liczy, a ściany są takie cienkie); że, tak jak ja, ma wyjątkowego fioła na punkcie układania naczyń w zmywarce.

– Wszystko sprowadza się do płukania – twierdził. – Jesteś pierwszą dziewczyną, którą poznałem, która naprawdę rozumie wstępne płukanie.

(Powinnam dodać, że zostawiał łazienkę w stanie, jakby wybuchła tam bomba, i nigdy nie uzupełniał papieru toaletowego. Zmywarka była jedynym nieflejtuchowatym przykładem).

To nie był do końca początek nowego roku, o jakim myślałam, niemniej jednak czułam, że zaczynam coś od nowa. Marzyłam o wiciu gniazdka z Dominikiem, planowaniu wspólnego życia. Zamiast tego znowu dzieliłam z kimś lodówkę i kłóciłam się o to, jak należy wyciskać torebkę z herbatą. Ale, z niewiadomego powodu, nawet pomimo tego, że dzieliłam mieszkanie z szefem i współpracownikiem, nie czułam się nawet w połowie tak dziwnie, jak oczekiwałam.

Joe i Laurence chyba czuli to samo. W każdym razie byli zbyt uprzejmi, by narzekać.

Dobra wiadomość była taka, że, jak sprawdziłam to w pierwszy poniedziałek nowego roku, mój Ślubimarz miał się lepiej niż dobrze.

Głównie za sprawą Flory Thornbury. Przyjęłam zaliczki nawet na październikowe terminy, a kalendarz spotkań był tak wypełniony, że musiałam odrzucać potencjalne klientki. Zaraz po świętach jedna z potencjalnych blond drухen Flory pojawiła się w reality show *Królowe z Knightsbridge* i zajęła prawie cały styczniowy czas antenowy, perorując o przyjaciółce supermodelce i jej niesamowitym apartamencie dla panny młodej oraz o tym, jak trafiła do finałowej trójki kandydatek na organizatorkę wieczoru panieńskiego.

Joe twierdził, oczywiście, że nigdy nie słyszał o *Królowych z Knightsbridge*. Twierdził też, że jest oburzony gradem prezentów reklamowych, jaki spadł na mnie po Nowym Roku, chociaż nie przeszkodziło mu to w wyjadaniu czekoladek.

– Czy oni myślą, że my nie mamy różowego szampana? – zapytał, otwierając pudełko pokryte poprzyklejnymi jedwabnymi płatkami róż. Było doręczone przez gońca jednej z agencji PR-owych, razem z pompatycznym zaproszeniem dla mnie, bym spotkała się z nimi i „pogawędziła o marce, której tak zagorzałą fanką jest Flora”. „Jesteśmy hotelem, który ma szansę dołączyć do grona Tajemniczych Barów Hotelowych Świata”.

Laurence (albo raczej Dino) przesunął Joego z cateringu do pięknego, wykładanego dębową boazerią baru, gdzie Joe spędził sporo czasu, poznając arкана sztuki koktajli. Potrafił już zrobić znośne martini Bonneville, połączone z praktykami po godzinach. Zaletą mieszkania nad barem było to, że byłam zapraszana na te „sesje”. Oczyszczanie, niestety, nie trafiło na listę postanowień noworocznych.

– A więc Dino o wszystkim ci opowiadał? A powiedział ci historię Deana Martina?

– No. I księcia Edynburga, i o tajemnym przejściu do Fortnum, i historię Masonów, i o złocie ukrytym w maszynie do lodu, i o Blitz. Lecz niestety nie podzielił się kompletnym przepisem na koktajl Nocy Poślubnej.

– Nawet ja go nie znam, a jestem tu od lat.

– Bo pewnie nie istnieje – powiedział. – Albo to witaminy w proszku. Damy tego szampana Florze?

– Nie! Zatrzymaj go w nagrodę za to, że musisz się z nią męczyć dwa razy w tygodniu.

Próbowałam znaleźć miejsce na Ślubimarzu na szczegóły ślubne Cressidy Connor, na drugi weekend października. Chciała sto pięćdziesięciu gości, tematykę wesołego miasteczka i „taki tort, jaki będzie miała Flora Thornbury!”.

– Przebiłaś założenia, co? – zauważył Joe. – Zamierzasz organizować ślub w każdym weekend?

– Nie, maksymalnie trzy w miesiącu. Nie chcę, żebyśmy wydali się zbyt łatwo dostępni – odsunęłam się krok do tyłu, przebiegając oczami po zestawie panien młodych i próbnikach kolorów. W tym roku przeważały szarości, makaroniki w jasnych odcieniach szarego i ramki na zdjęcia zrobione z kwiatów; beże, rękodzieło i pastelowe babeczki były passé. Już teraz patrzyłam na cztery wersje Panny Havisham na przełomie maja i czerwca, wszystkie w postarzanych koronkach; będzie trzeba przekonać Jessie Callum do powrotu do blad różowego.

– Powinnaś podwoić stawkę. – Joe odchylił się na krześle i położył nogi na moim biurku. Dzisiaj miał na sobie zielone converse’y, które zdecydowanie nie wpisywały się w moje wyobrażenie stroju odpowiedniego dla organizatorów zajmujących się ślubami o budżecie wystarczającym na kupno mieszkania w czwartej strefie.

Skrzywiłam się, ale to zignorowałam.

– To znaczy? I zabierz nogi z mojego biurka. I kup sobie porządne buty – powiedziałam.

– O, więc brogisy na biurku byłyby OK?

– Tak. Mówię serio. Ten hotel ceni sobie dobre buty i przyzwoity garnitur.

Stopy zostały tam, gdzie były.

– Powinnaś poprosić o dodatkową premię i gwarancję wakatu, jeśli

szybciej osiągniesz cel. Wydasz się bardziej pewna siebie. – Założył ręce za głowę: wzór pewności siebie. – A jeśli chcesz, by poważnie rozważył twoją kandydaturę na stanowisko dyrektora, musisz wyglądać na pewną siebie.

Zacisnęłam wargi, rozważając jego słowa. Miał rację, to będzie lepiej wyglądać. I premia przydałaby się na zaliczkę na kawalerkę, może nawet mogłabym się szarpnąć na pokój z kuchnią. O ile mieszkanie na górze było wygodne (i tanie), nie mogłam tam zostać na zawsze. – A co, jeśli się nie uda? Co, jeśli ktoś odwoła?

Joe wzruszył ramionami: – Najpierw wyznacz sobie cel, potem upewnij się, że go zrealizowałaś. U mnie zawsze działa. Pojechałem do LA z niczym, a już po sześciu miesiącach miałem firmę.

– No, ale to byłś ty. – Wpatrywałam się w niego ponad biurkiem. Ostatnio coraz częściej łapałam się na zwierzaniu się Joemu ze swoich tajemnic, czasami zupełnie niechcący. – A ja jestem bardziej planistą niż hazardzistą.

Przewrócił oczami. – Przecież powiedziałem ci, jakie powinnaś mieć postanowienie noworoczne. Częściej płyn z prądem. Niech świat sam się sobą zajmuje, będzie ci łatwiej.

Coś musiałam zmienić. Zaliczyłam ostatnio kilka wpadek, które nie były w moim typie: zrobiłam podwójną rezerwację na obiad po próbie ślubu, pomyliłam się w umowie weselnej i irytowało mnie, że teraz muszę jej dotrzymać. Ta cała sprawa z Dominikiem nadwątlila moją pewność siebie; nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo uspokajało mnie jego podejście, że „cała reszta to idioci!”.

– Rosie, dasz radę – powiedział z przekonaniem. – Musisz w to uwierzyć.

– Dzięki, Oprah. – Wypracowałam już tolerancję dla bałaganu, jaki robił w łazience, ale te jego frazesy ciągle mnie irytowały. – A teraz muszę cię przeprosić, ponieważ świat nie zechciał się zająć krzesłami na wesele Laury Southwell. I zabierz nogi z mojego biurka – dodałam pewnym tonem.

Joe postawił stopy z powrotem na podłodze.

To był dopiero początek. I oczywiście zadziałało, ponieważ gdy przekazałam moją ofertę Laurence'owi, zgodził się niemalże natychmiast. Zaczęłam się więc zastanawiać, czy był pewny, że podołam – czy może wręcz przeciwnie.

Nasz wielki podział obowiązków wokół Flory Thornbury polegał na tym, że Joe dostał szaleństwo, a ja matematykę. A wierzcie mi, przy weselach jest więcej matematyki, niż wam się wydaje. Goście podzieleni na stoły, pomnożeni przez kanapki, a to wszystko przez półtorej butelki wina... i tak bez końca. Szczególnie gdy ma się do czynienia z panną młodą, która cały czas przypomina sobie znajomych, którym winna jest zaproszenie, albo – jak w przypadku koszmarnego wesela w zeszłym roku – pannę młodą, która wysyła dwieście kartek z prośbą o rezerwację daty, a tylko sto pięćdziesiąt zaproszeń, doprowadzając do tabunu zawstydzonego tłumu pukającego do naszych drzwi, dzierżącego prezenty niczym dodatkowy Mędrzec oprócz Kacpra, Melchiora i Baltazara, którego Maria nie chciała zaprosić.

Na całe szczęście lubiłam arkusze kalkulacyjne; ich brak historii na temat szerokości wstążki działał na mnie kojąco. A arkusz Flory był złożonym arcydziełem. Julia Thornbury nie dorobiła się kolczyków z diamentami wielkości kostek lodu, ignorując matematykę, poprosiła mnie więc o bieżące informacje o sumach i kierunkach wydatków. Jako że ślub i wesele miały odbyć się już za pięć miesięcy, zaliczki zostały wpłacone na: kwiaty, catering, rezerwacje pokoi na dwóch piętrach hotelu, na niewiarygodnie zdobioną papeterię, zespół. Sumy już teraz przewyższały wydatki większości klientek na całe przedsięwzięcie, a nie doszliśmy jeszcze do obiadu po próbie ślubu.

Zaczynał się właśnie drugi tydzień stycznia i siedziałam pogrążona w nudnych danych dotyczących obrusów i serwetek dla Flory, gdy drzwi do mojego gabinetu otworzyły się z impetem i tanecznym krokiem walca wpłynęła Helen.

– Dzień dobry! – zaśpiewała. – I wszystkiego dobrego w nowym roku!

Nie widziałam się z nią od Gwiazdki, kiedy wzięła kilka dni urlopu i pozwoliła Wynnowi zabrać się w tajemnicze, romantyczne miejsce, nie wiedząc, gdzie ani za ile jedzie.

– Wszystkiego dobrego w nowym roku! – powiedziałam, odkładając pióro. – Opowiadaj, gdzie wywędrowałaś na tę swoją romantyczną wycieczkę. Po twoim esemesie w Sylwestra obstawialiśmy Nowy Jork.

Helen zawsze chciała zobaczyć wielką kryształową kulę na Times Square. Przez wiele lat próbowała namówić na to Seamusa, ale zawsze się wymigiwał, pewnie bał się, że psy celników z Heathrow by coś od niego wyczyły.

– Nie! – odpowiedziała, jakbym sugerowała jakieś szaleństwo. – Po co marnować tyle czasu w samolocie? Nie, spędziliśmy cudownie czas w Walii.

– W Walii? – Zamrugalam zdziwiona. Przez większość świąt padało w całej Wielkiej Brytanii, a w Walii w szczególności, widziałam nawet w telewizji, jak kajakami ratowali owce.

– Mhm. Przytulny hotel, kominki, niesamowite jedzenie. – Helen wyglądała na zbyt rozmarzoną jak na kogoś, kto najprawdopodobniej kilka razy przemoczył nogi w Sylwestra. Jedynym wytłumaczeniem była miłość. Potrafi cię rozgrzać. I wysuszyć.

– Cudownie. Powiedz, co Wynn dał ci na Gwiazdkę.

– Sama możesz się domyślić. – Przysiadła na brzegu mojego biurka z pogodnym uśmiechem, który przeszedł w uczniowski uśmiech od ucha do ucha. – Mam plotkę. Wiesz jaką?

– Znowu znalazłaś Delphine wiszącą głową w dół w chłodni?

– Nie.

– Laurence odkrył, że ma kamień na zębach? Nie, poczekaj – to akurat naprawdę ma. Czego on nie ma? Pryszczycy?

– Nie! Rosie, to dużo lepsza wiadomość.

– Poddaję się.

Helen zamachała dłońmi przed twarzą, jakby odgrywała bardzo

skomplikowany film, unosząc znacząco brwi?

– Przedłużałaś rzęsy? – zaryzykowałam.

– Nie! Specjalnie mi to robisz? – podniosła głos, kładąc obie dłonie na mojej klawiaturze. – Och, poczekaj, przekreślił się. Czasem tak robi.

Poruszała palcami i nagle oślepił mnie blask diamentów na jej lewej dłoni. Wyglądał jak trzy bryłki cukru sklezione razem. Był nawet większy niż Flory, a już nawet tamtemu brakowało pół karata, by mieć własnego ochroniarza.

– Wow! – krzyknęłam. – Wynn jest tajemniczym dentystą milionerem?

– Co? A, nie. Nie jest prawdziwy. Podróbka, której użył tylko, by mnie poprosić, bo nie był pewien, czy się zgodzę. Prawdziwy jest pamiątką rodzinną. – Uśmiechnęła się, patrząc na pierścionek, a potem spojrzała na mnie. Jej twarz promieniała bardziej niż podrabiane świecidełka.

Ciesząc się jej szczęściem, poczułam ukłucie zazdrości. Szybko je odepchnęłam i wstałam, by ją przytulić: – Gratulacje! Opowiadaj, jak to zrobił?

– Ah, Rosie, to było takie romantyczne. Zatrzymaliśmy się w pięknym hotelu w Abergavenny i na jeden dzień przestało padać na pół godziny, więc poszliśmy na spacer. Serio, kto by pomyślał, że chodzenie jest przyjemne? W każdym razie – Helen wróciła do sedna, widząc mój wzrok mówiący *nie przeginaj* – weszliśmy na szczyt wzgórza, słońce zachodziło za górami i powiedziałam: „Ach Wynn, jestem teraz taka szczęśliwa”, myśląc sobie: „Dzięki Bogu, że nie muszę organizować teraz lunchu dla grupy psycholi”, a Wynn obrócił się do mnie ze słowami: „Ja też jestem teraz bardzo szczęśliwy. Czy zechciałabyś uczynić mnie tak szczęśliwym na zawsze?”.

Zarumieniła się:

– I ukląkł na jedno kolano, i wyjął ten pierścionek z kieszeni! Powiedział, że nosi go od tygodni, ale chciał wybrać idealny moment, tak byśmy zawsze go pamiętali. Tylko my. Sami.

Trzeba było włożyć wiele wysiłku, by zaimponować mi oświadczeniami

– słyszałam już o wszystkim od zaręczynowego flash moba począwszy, przez pierścionek w truflach, po plantację tulipanów zaplanowaną wiele miesięcy wcześniej, by kwiaty ułożyły się w napis *Czy wyjdiesz za mnie?*
– ale to naprawdę mnie poruszyło. Było słodkie, oryginalne i mogłam sobie wyobrazić Wynna wymawiającego te kilka słów z jego miękkim walijskim akcentem, patrzącego na Helen wzrokiem pełnym napiętności, tak jak robił to, gdy myślał, że nikt nie widzi. Tym, który mówił „Ty. Tylko ty. Nikt inny”.

– A ty na to odpowiedziałaś...

Głos Helen zmienił się w emocjonalny pisk: – Tak.

– To cudownie! – Naprawdę tak uważałam. – Tak się cieszę.

Helen wzięła mnie za rękę: – Chciałam ci powiedzieć jak najszybciej. Bo jesteś moją przyjaciółką i... wiem, że to nie najszczęśliwszy czas w twoim życiu.

– To cudowny czas w moim życiu – odpowiedziałam z naciskiem – bo wiem, że spotkałaś dobrego i uczciwego mężczyznę, który cię uszczęśliwia. A wtedy i ja mogę być szczęśliwa.

– Wiem, co sobie myślisz. Że to bardzo szybko. Bo to jest szybko. Ale Wynn jest mężczyzną, na którego czekałam całe życie. Przy nim nie muszę udawać kogoś, kim nie jestem, cały czas czuję się jak idealna wersja samej siebie. Pasujemy do siebie, nie chodzi o wielkie sprawy, ale o małe praktyczne rzeczy. I nigdy bym go nie znalazła, jeśli szukałabym w miejscach, w których szukałam do tej pory, w których myślałam, że powinnam szukać – to jakby miłość sama nas znalazła. – Zamilkła na chwilę, ściskając moje ręce. – Przepraszam cię, że zachęcałam cię do marnowania czasu z Dominikiem, tak jak ja marnowałam czas z Seamusem, bo to nie musi tak być. Czeka cię coś wspaniałego, wiem o tym.

Chciałam coś powiedzieć, lecz oczy zaszczyły mi łzami.

– Chodź do mnie! – Helen także miała oczy pełne łez. Uścisnęłyśmy się mocno i poczułam, jak jej pierścionek wbija mi się w plecy – znowu się przekręcił. Nie przeszkadzało mi to.

Tak bardzo cieszyłam się jej szczęściem. Naprawdę. Po prostu nie byłam pewna, czy jest szansa, by i mi przydarzyło się takie uczucie.

Spotkanie zaręczynowe Helen i Wynna nie odbyło się w hotelu, jak przewidywałam, ale w nowo wyremontowanym pubie w Clapham, na końcu ulicy, na której mieszkał Wynn.

Pojechaliśmy tam z Joem w piątek wieczorem zaraz po pracy, po tym jak obiecaliśmy Laurence'owi, że nie wrócimy późno. I już przy drzwiach czekała na mnie pierwsza niemila niespodzianka.

– Nie mówiłaś, że to jest bar z karaoke – zwróciłam się oskarżycielskim tonem do Helen.

W rogu, przy staroświeckim pianinie, waląc stopami w pedały, siedziała kobieta w garniturze i modnych okularach w czarnych oprawkach i już przygrywała *Crazy in Love*. Albo szaleńczo zadeptywała ognisko. Coś z tych dwóch.

– Zgadza się – odpowiedziała Helen. – To uroczy lokalny bar, w którym w piątki jest karaoke.

– I to ma być reklama? To trochę jak powiedzieć, że jesteśmy herbaciarnią i torturujemy przez podtapianie.

Helen przewróciła oczami i stanęła mi na drodze: – Chodź, Rosie, będzie fajnie. Dają tu najlepsze burgery w Londynie, a wiesz, że się na tym znam.

– Jak mamy się relaksować przy ludziach wydzierających się, jakby coś utknęło im w gardle, i wymachujących rękami jak ludzie z *X Factor*? Wiem, że to wasz lokalny pub i naprawdę chciałabym w nim zjeść, ale czy nie moglibyśmy pójść gdzieś indziej, póki oni nie...

– Nie – odpowiedziała ostro Helen. – Nie moglibyśmy. Wynn i ja zarezerwowaliśmy przytulny kącik, napijesz się i obiecuję, że po pięciu minutach nie będzie ci to przeszkadzać.

– Jakiś problem? – Joe zmaterializował się za moimi plecami i żartobliwie postukał mnie w głowę. – Rosie próbuje się rządzić?

Zmusiłam twarz do uśmiechu. *Weź się w garść, Rosie*. Nie chciałam

być marudą psującą innym zabawę, ale karaoke wznosiło mnie na wyżyny trwogi.

– Nie ma żadnego problemu. I nie próbuję się rządzić – odpowiedziałam.

– Cześć, Joe! – przerwała mi Helen. – Dzięki, że zamieniłeś się na dyżur. Cudownie, że mogłeś przyjść.

– Za nic w świecie bym tego nie przegapił. O wow. – Twarz rozświetlił mu ogromny uśmiech, aż potrząsnęłam głową w niedowierzaniu, myśląc, że to do mnie, ale nie – gapił się na coś ponad moim ramieniem.

Spojrzałam za siebie, by zobaczyć, na kogo tak zareagował, i nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Szczęrzył się do jakiejś biurowej Beyonce, wiszącej na mikrofonie i tupiącej wściekle, jakby jej lewa noga zdrętwiała, a ona próbowała przywrócić przepływ krwi.

– Karaoke, niesamowite! – powiedział. – Uwielbiam! Jest taki niesamowity bar w Santa Cruz, do którego kiedyś chodziliśmy. Świetnie śpiewam Lenny’ego Kravitz’a.

– Świetnie! – odpowiedziała Helen. – Możesz być pierwszy.

– No chyba nie będziemy... – zaczęłam.

– Słuchaj, wejdz i poznaj wszystkich – Wynn i jego koledzy już tam są. Przedstawi cię, to fajni faceci.

Gdy to mówiła, Joe popychał mnie lekko w stronę kącika, który zarezerwowali i zanim się zorientowałam, brałam udział w zagorzalej dyskusji, kto jest najlepszym Bondem wszech czasów, kłócąc się z dwoma szkolnymi kolegami Wynna. Byłam strasznie nakręcona, a dodatkowym plusem było to, że nie słyszałam już śpiewania przy barze.

Wkrótce Helen i Wynn oznajmili, że są już wystarczająco wstawieni, by zaśpiewać.

– Mam nadzieję, że to coś krótkiego – wymamrotałam do Joego. – Już samo karaoke jest straszne, ale karaoke par powinno być zakazane poza domem.

– Czemu jesteś taka ponura? – Joe zaczął wstawać od stołu. – Daj

spokój, to jest twoja przyjaciółka, może potrzebować chóru.

Wynn i Helen stali już na scenie, dzierżąc mikrofony, i patrzyli na siebie łobuzersko.

Nigdy wcześniej nie widziałam, by Helen wyglądała łobuzersko.

Nagle wpadłam w szerokie ramiona kolegi Wynna, Gerainta. Również bardzo walijskiego. Wiedziałam już, że znają się od szkoły i że jest konsultantem IT mieszkającym w Shoreditch, że miał kiedyś psa imieniem Hammond i że według niego Maltesers są najlepszym słodyczem dla każdego. Żaden z przyjaciół Wynna nie miał problemu z rozpoczęciem rozmowy i żaden nie miał awersji do masowej produkcji chleba.

– Ach, to ty! To będzie dobre, patrz – powiedział do mojego ucha.

– Czemu? – zapytałam i w tym samym momencie z głośników popłynął wstęp do *Tylko cię chcę*.

Nie. Tylko nie *Grease*! Helen była zbyt opanowana.

A potem Wynn zaczął śpiewać i z dobrze wychowanego faceta w kardiganie na suwak popłynął niesamowity głos. I śpiewał głupekowate słowa piosenki z wielkim uśmiechem na twarzy, patrząc wprost w oczy Helen. I jakimś cudem sprawiał, że te słowa brzmiały świeżo i prawdziwie; a kiedy ona zrobiła nadąsaną minę z palcem przy ustach i zaczęła śpiewać, zabrzmiała zaskakująco dobrze. To z pewnością nie był ich pierwszy raz na karaoke – pomyślałam, co zszokowało mnie jeszcze bardziej niż wizja Helen brnącej po górach w strugach deszczu.

Większość ludzi w barze przestała pić i przyglądała się im z zachwytem, klaszcząc i co rusz przyłączając się do nich w „ooh-ooh-ooh”. Joe śpiewał razem z innymi, klaszcząc trochę nie do rytmu.

Geraint nachylił się i wykrzyczał: – On należy do chóru!

– Helen nie! – odwrzasnęłam. – Nie wiedziałam, że umie śpiewać!

– Kocha go, prawda? – Dokończył piwo i odstawił kufel na bar. – Miłość sprawia, że wszyscy śpiewają lepiej. A teraz ty i ja? Jakie znasz duety?

– Nie śpiewam.

– Daj spokój, kochanie, nie możesz mi odmówić tej przyjemności. – Udał zasmuconego. Nie był brzydki, z gęstymi, ciemnymi włosami i bezczelnym uśmiechem, ale mógłby być nawet Ryanem Goslingiem, a i tak nie poszłabym zaśpiewać.

– Nie śpiewam. No i ktoś musi pilnować naszych rzeczy – zauważyłam.
– O patrz, już kończą!

I zaczęłam ochoczo klaskać, przeczekując czas, gdy Geraint i jego kumple byli „namawiani”, by wejść na scenę i zaśpiewać *Flying without wings*.

By obronić się przed kolejnymi namowami wejścia na scenę, poprosiłam barmana o menu i zaczęłam je pospiesznie przeglądać.

– Goście są nieźli, prawda? – zauważył Joe, gdy przedzierałam się przez listę burgerów. – Wyglądają nawet jakby... zabawnie. Myślisz, że ktoś kiedyś będzie w stanie namówić cię na trochę... zabawy?

– Nieee, nie ma szans – odpowiedziałam, nie podnosząc wzroku. – Słuchanie tego to maksimum, co mogę z siebie dać.

– Cóż, to już i tak postępek – urwał, a po sekundzie czy dwóch podniosłam wzrok, by sprawdzić, dlaczego przerwał. To był jego trik, który zawsze na mnie działał. Joe patrzył na mnie z błyskiem w oczach.

– Co? – zapytałam wkurzona, że zrobiłam dokładnie to, czego oczekiwał.

– A nic, zastanawiałem się, gdzie się podziało to znamię z twojego czoła.

Podświadomie dotknęłam czoła: – Nie mam znamienia na czole.

– No nie masz, teraz zauważyłem. – Tak intensywnie wpatrywał się w moje czoło, że mógłby go równie dobrze dotykać, poczułam, że się czerwienię. – Tylko normalnie masz tam zmarszczkę.

I wtedy mnie dotknął, bardzo delikatnie, pomiędzy brwiami. Przeszedł mnie dreszcz i odskoczyłam.

Dziwnie było razem mieszkać. Byłam teraz dużo bardziej świadoma

własnego „ja” niż w grudniu. Zauważyłam też, że Joe był bardzo czuły, lecz znowu, w tej sytuacji, codzienne czułości wydawały się być oczywiste.

– A teraz jej nie ma – ogłosił.

– Czy to miał być dość pokrętny sposób, by powiedzieć mi, że jestem zrelaksowana?

– A nie, wróciła. Jestem pewny, że przed chwilą wyglądałaś na zrelaksowaną. Powinnaś częściej to robić.

Nienawidzę, gdy ktoś mówi, że muszę się zrelaksować. To najbardziej antyrelaksacyjne słowa, jakie można do kogoś skierować, zaraz po „Uspokój się” i „Rozchmurz się”.

– Jestem bardzo zrelaksowana – upierałam się.

Joe przytaknął: – Może to przez to, że od dwóch godzin nie wspomniałaś o hotelu i ślubach.

– Nie zawsze mówię o... – zaczęłam, a on już kręcił głową.

– Nie, jestem pewien, że to pierwszy raz, gdy tak długo o tym nie mówiłaś. Żałuję, że wcześniej nie wiedziałem, że wystarczy wspomnieć o filmach z Jamesem Bondem, żebyś przestała gadać o tym cholernym hotelu. Kto by przypuszczał, że masz tyle opinii na temat Pierce’a Brosnana? – Przyglądał mi się z takim zafascynowaniem, że czułam się trochę, nie do końca niekomfortowo, ale dość niepewnie.

– To nie fair, że jest niedoceniany – powiedziałam, wracając do menu. Paliły mnie policzki, pewnie dlatego, że było tu dość dużo ludzi. – Miał samopotępieńczy wyraz Moore’a, będąc odbiciem Connery’ego. No i miał najlepsze włosy.

– Nigdy nie zdawałem sobie z tego sprawy – zamyślił się. – Musiałem przeoczyć te części, w których był dobry. Widziałem tylko te, w których Brosnan wygląda, jakby wyszedł prosto z odcinka *Napisała: Morderstwo*.

Nie sposób się było nie zaśmiać ze sposobu, w jaki to powiedział, a próbowałam. – *GoldenEye* jest bardzo niedoceniany.

– W ten weekend – powiedział na to Joe – ściągnę z Internetu. Chociaż

chyba tata ma gdzieś całą kolekcję, pewnie jeszcze na wideo. Możesz mnie wprowadzić w temat. Będziesz coś jadła? Chyba widziałem recenzję tego miejsca nie tak dawno w gazecie; jedzenie powinno być niezłe.

Wzdrygnęłam się; wiedziałam, że to nie mogła być recenzja Dominika, bo ciągle się umartwiałam, czytając to, co publikował, w poszukiwaniu wzmianek o Nowej Betty. Na razie takowych nie było, co rozstrajało mnie jeszcze bardziej. Nie odzywał się. Ale co rano, wbrew sobie, przebudziwszy się, sprawdzałam telefon, łudząc się, że znajdę prośbę „wróć!”; na szczęście do lunchu Helen potrafiła przekonać mnie, że byłaby to Najgorsza Wiadomość Życia.

Wypchnęłam Dominika z głowy. Ciągle jeszcze nie schudłam na tyle, by zmierzyć się z nim triumfalnym wyglądem typu „Spójrz, co straciłeś!” podczas przypadkowego spotkania. Albo awansować – i też się tym pochwalić.

– Wezmę burgera – odpowiedziałam.

– Dobry wybór. Ciągle nie znalazłem w Londynie burgera, który dorównywałby tym...

– ...ze Stanów. Wiemy.

– Szacunek. – Uśmiechnął się, a potem przywołał barmana wzrokiem i złożył nasze zamówienie. Gdy dodawał „jakieś frytki czy krążki cebulowe”, objawiła się Helen i klepnęła nas oboje po ramionach.

– Chcesz coś zamówić? – zapytałam, chociaż wyglądała, jakby żyła tylko miłością.

– Nie, dzięki, przyszłam powiedzieć, że teraz twoja kolej! Zarezerwowałam ci miejsce na liście! Co chcesz zaśpiewać?

– Co? Nie, Helen...

– Och, daj spokój. – Zacisnęła ręce na naszych ramionach; ewidentnie przeżywała właśnie zabawę życia. – Nie rezygnuj, dlatego że nigdy tego nie robiłaś! Nie mogę uwierzyć, że tak długo się opierałaś!

– To jest fajne tylko wtedy, gdy umiesz śpiewać albo nie masz hamulców, by się publicznie skompromitować. – Pub był wypełniony po

brzegi, a mnie skręcało ze strachu, że ktoś mógłby mnie zobaczyć.

– Nikt nie będzie patrzył – skłamała. – Chodź, zrobimy to razem?

– No idź – dodał Joe, ale nie mogłam. Nawet dla Helen.

– Niech inni spróbują i przerwą dominację naszego stolika – zasugerowałam.

Spojrzeliliśmy wszyscy na scenę, gdzie trio mamusiek namawiało się wzajemnie, by wejść na scenę, ale walijski Westlife^[9] był trudny do przebicia.

– Za dwadzieścia minut – powiedział Joe. – Właśnie zamówiliśmy jedzenie, a potem kto wie?

Helen wyglądała na zawiedzioną: – Trzymam cię za słowo. Zamów mi cheeseburgera, dobrze? Pójdę sprawdzić, czy z Wynnem wszystko w porządku.

– Na pewno – wymamrotał Joe, gdy blond głowa Helen zniknęła wśród tłumu. – Wynn wygląda na najszcześniejszego faceta w Londynie.

– Wiem. Ma szczęście. Ona ma szczęście. Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek zobaczę ją tak szczęśliwą. Daje nadzieję nam wszystkim, nie?

Joe nie odpowiedział, spojrzał tylko w dół, na menu. Chciałam powiedzieć coś optymistycznego, ale nie wiedziałam co.

Geraint, Morgan i Ellis wracali do stolika w towarzystwie Suzie i Michelle, dwóch higienistek, by coś zjeść. Po chwili, gdy kilkoro ludzi zebrało się przy barze, Joe nachylił się do mnie ponad stołem, mówiąc: – To co? Może zaskoczmy Helen i coś zaśpiewamy?

– A było tak miło – starałam się, by zabrzmiało beztrosko. – Nie.

– Słuchaj, mogę zdradzić ci sekret? Ludzie naprawdę nie zwracają na ciebie tak dużo uwagi, jak myślisz – powiedział Joe. – To jest Londyn. Mogłabyś wyjść na scenę w lateksowym stroju kota, a nie przestaliby pić. A nawet gdyby patrzyli? I tak ich więcej nie spotkasz. W przeciwieństwie do Helen, która jest twoją przyjaciółką i zapamięta ten wieczór do końca życia. Zrób to dla niej.

Patrzyłam wprost na tę jego irytującą, szczerą twarz i tłumiałam ripostę. A cienki irytujący głosik w mojej głowie powtarzał, że on ma rację. Niestety.

– A nawet jeśli nie chcesz tego robić – kontynuował, patrząc na mnie i mówiąc głosem tak cichym, by nikt inny nie mógł usłyszeć – jak już przebrniesz przez trzy żenujące minuty – aż trzy, ojej – pomyśl, jak dobrze poczujesz się, zaskoczywszy samą siebie. Nie lubisz zaskakiwać samej siebie?

– Nie – odpowiedziałam.

– Oj, daj spokój. Każdy lubi zaskoczyć samego siebie, od czasu do czasu. Nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego noszę te śmieszne koszule? – Coś na kształt uśmiechu pojawiło się w kącikach jego ust.

Coś poruszyło się w otchłani mojego żołądka. Nie byłam pewna, czy to przez sposób, w jaki na mnie patrzył, czy przez atmosferę, czy dzięki smacznej kolacji. Ale poczułam srebrzyste drżenie podniecenia – być może z powodu pomysłu, by zaskoczyć samą siebie.

– OK, a może zaśpiewamy wszyscy razem? – pokazałam na siedzących przy stoliku kolegów Wynna, którzy byli, musiałam im to przyznać, dużo zabawniejszymi dentystami, niż się spodziewałam. – Moglibyśmy zaśpiewać jakąś piosenkę z *Grease*, na przykład tę śpiewaną przez wszystkie dziewczyny i facetów. Jestem pewna, że mielibyście ochotę, prawda? – dodałam w ich kierunku.

– Taak! – odpowiedzieli chórem

I w tym momencie naprawdę nie miałam wyboru.

Myślę, że pozostałym klientom podobało się, gdy dwanaście osób, różnych kształtów i rozmiarów, wdrapało się na maleńką scenę i zaczęło śpiewać *Summer Nights* do czterech mikrofonów.

Wynn i Helen, w głównych rolach, oczywiście, my zmienialiśmy się w zależności od postaci i gdy nadeszła moja kolej – słowa obojętnej Rizzo, oczywiście – spodobało mi się na tyle, by nie myśleć o patrzących ludziach.

No dobrze, może „podało” to za dużo powiedziane. Ale trema zmieszała się z oszalamiającym wpływem „drużyny” (to było coś nowego) i sprawiła, że bawiłam się lepiej, niż oczekiwałam, więc kiedy Joe poprosił, bym zaśpiewała z nim w duecie, byłam zbyt oszołomiona, by odmówić.

Rozpoznałam „oom-pah-pah” – wstęp do *I Got You Babe* i uśmiechnęłam się do niego. Joe już bujał się w takt z błogim wyrazem na twarzy. Zrobiło mi się trochę niedobrze. Nie wiedziałam, jak wysoko będę musiała śpiewać. Aż się spociłam ze strachu.

A potem Joe obrócił się do mnie i zaczął śpiewać uroczystym tonem hipisa i musiałam postarać się z całych sił, by się nie roześmiać. Uniósł brwi, pomagając mi wejść rytm i jakimś cudem słowa popłynęły same, na wpół śpiewane, na wpół mówione, to wystarczyło, by mógł kontynuować.

Byłam bardzo spięta, ale po zwrotce czy dwóch nagle zorientowałam się, co on robi. Nie miał zamiaru zrobić z nas gwiazd jak Wynn i Helen czy nawet koledzy Wynna. Wyglądał się, by nikt nie śmiał się ze mnie. By ludzie gapili się na niego, nie na mnie.

A potem otworzył oczy, bladoniebieskie jak stare jeansy, z długimi płowymi rzęsami, i mrugnął do mnie konspiracyjnie i zapomniałam na chwilę, jak irytujący bywa w codziennym życiu.

Zaśpiewaliśmy prawie całą piosenkę, a Helen i Wynn patrzyli na nas objęci i radośni, i już zaczynałam myśleć, że Joe może mieć rację, gdy przyjemność z wieczoru skończyła się niczym zgrzyt po winylowej płycie i wybuchła kolejna niespodzianka.

Do baru wszedł Dominik i... Nowa Betty, uwieszona na jego ramieniu.

Zauważyłam znany brodaty kształt przedzierający się przez tłum, gdy z moich ust wydobywało się właśnie klimatyczne *I got yooooooooo* i zmroziło mi mózg i zacisnęłam mikrofon tak mocno, że białały mi kostki rąk.

Joe zorientował się dopiero po chwili, że coś jest nie tak. Wyglądał się do słów piosenki i dopiero moje drżące „yooooooooo” go zaalarmowało. Spojrzał w miejsce, gdzie utkwiony był mój wzrok, i przeklął pod nosem,

po czym bez słowa objął mnie ramieniem i zaczęliśmy bujać się, przestępując z nogi na nogę.

– *I got you, babe!* – śpiewał za nas oboje i sprawił, by widownia śpiewała razem z nim. Słyszałam głos Helen i Wynna, Gerainta. Mojego nie. Wyszło mi w gardle. A potem nagle odzyskałam głos.

Nie wiem, jak słowa piosenki wyświetlane na ekranie wydobywały się z moich ust, ponieważ mój mózg wysyłał jedynie: *On tu jest z nią, kim ona jest, to ta Szwedka, ta nowa, jak on śmie?* przelatujące mi przed oczami niczym rozszalałe napisy pod tym, co widziałam. Ścisnęło mnie w żołądku, lecz jakimś cudem, z pomocą silnego ramienia Joe, przesuwającego mnie niczym pacynkę, dotrwałam do końcowego *I got you*.

A potem, bez ostrzeżenia, Joe objął mnie mocno, uniósł w powietrze i obrócił, tak bym nie mogła widzieć Dominika, nawet gdybym chciała.

Wszyscy klaskali, Helen gwizdała na palcach, słyszałam ryk walijskich gardeł; ale przede wszystkim słyszałam bicie własnego serca, gdy trzymał mnie w ramionach.

Dominik pomyśli, że jesteśmy parą, pomyślałam i przeszła przeze mnie fala przyjemnego uczucia.

Gdy Joe postawił mnie na ziemi, tyłem do tłumu, wyszeptał: – Zaskoczyłaś samą siebie?

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam.

Tak.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Każdy w Bonneville uwielbiał Walentynki i cały tydzień poprzedzający tę datę. Każdy, oprócz mnie. No i może Delphine, która twierdziła, iż robienie pastelowych makaroników w kształcie serca było profanacją jej paryskiego kunsztu cukiernictwa.

Dino kochał go za tabuny flirtujących par zamawiających bez opamiętania jego klasyczne koktajle, opuszczających bar, by zjeść obiad w naszej restauracji – zwalniając miejsce kolejnym parom – i powracających na wieczornego drinka.

Helen – za restaurację wypełnioną po brzegi flirtującymi parami Dina – chętnymi wydawać duże sumy na jedzenie – oraz małżeństwami, które chciały zaszyć się w luksusowym miejscu i nie musieć odzywać się do siebie nawzajem.

I Laurence go kochał, ponieważ czasami flirtujące pary albo małżeństwa, które stać było na opiekunkę, wynajmowały pokoje i zostawały do rana, do walentynkowego śniadania.

A ja kochałam połowicznie, ponieważ zawsze znalazł się ktoś chętny na ślub w dniu św. Walentego; moja połowiczna nienawiść spowodowana była fiaskiem w życiu prywatnym – tego dnia zawsze dopadała mnie antynastrojowa chandra. Dorosły odpowiednik marzeń, by Mikołaj przyniósł ci lalkę barbie razem z domkiem, i rozczarowania, gdy w pudełku znajdujesz książkę dla dzieci i mandarynkę. By potem odkryć, że twoje koleżanki nie tylko dostały barbie i domek, ale jeszcze konia do tego.

W tym roku nie oczekiwałam niczego. Zaraz na początku lutego, by uwolnić się od Gemmy i Joego, poinformowałam ich, że będę się zajmować rozliczaniem wydatków. Następnie zrobiłam sobie kawę i stworzyłam listę powodów, dla których bycie singlem w Walentynki jest lepsze od spędzania ich z Dominikiem.

Po pierwsze, na dwunastą miałam zaplanowany ślub (mała ceremonia, druga runda dla obojga, krótka lista gości, popołudniowa herbata, o piątej wszyscy wracają do domu, by odebrać dzieci od opiekunek). Dni poprzedzające Walentynki były pełne pracy, dogrywania terminów oraz upewniania się, że siostra panny młodej nie ukradnie jej show porodem – jak obawiała się panna młoda.

Po drugie, nie musiałam tracić czasu na poszukiwanie zabawnej, ale nie za bardzo romantycznej kartki dla Dominika. A nie byłoby łatwo znaleźć taką, która nie podsumowywała naszego związku w sposób agresywny lub przesadny.

Zasepiona gryzłam długopis. Wszystkie kartki od niego przedstawiały komiksy z *New Yorkera*, raczej oczywiste przesłanie „miłosne”.

Po trzecie, nie musiałam biegać jak oszalała, ścigając listonosza i dostawcę kwiatów, licząc, że to, co przynoszą, jest dla mnie, mimo że nigdy nie było. Co więcej, nie ryzykowałam, że stanę się pośmiewiskiem jak w roku poprzednim, gdy wyrwałam bukiet z rąk Jean – szefowej pokojówek, będąc przekonaną, że widzę tam napis Rosie, gdy jak wół widniało Róże.

Po czwarte...

I tu skończyły mi się pomysły. Ale trzy to i tak niezły wynik. Najważniejsze było to, że byłam już tak nieszczęśliwa, że Dominik nie mógłby tego pogorszyć, nawet dając mi tłuczek do mięsa i baton mleczny. Od wieczoru w pubie ani go nie spotkałam, ani o nim nie słyszałam, lecz wciąż nie pozbyłam się nawyku porannego sprawdzania wiadomości z malusieńkim – malutkim – żalem o poranku. Nie, oczywiście, że nic nie przyszło.

Mniej oczekiwanym efektem ubocznym przeobrażenia Helen w propagatorkę łatwych związków było jej niemalże religijne oddanie sprawie znalezienia nam wszystkim drugich połówek. I zanim się obejrzałam, nasze sekretne przerwy na kawę na schodach pożarowych zmieniły się z grupy wsparcia w wirtualne szybkie randki. Zwłaszcza teraz, gdy poznałam już większość kandydatów.

– Iskrzyło między tobą i Geraintem tamtego wieczoru! – powiedziała, przechodząc wprost do rzeczy i wyciągając telefon, by pokazać mi jego profil na facebooku. – Jest naprawdę zabawny i uwielbia teatr.

Spojrzałam na nią lekceważąco. Miłość do teatru to coś, czym ludzie chwalać się na portalach randkowych, i to też tylko w Londynie. W, no nie wiem, Ross-on-Wye nigdy nie spotkasz kogoś, kto będzie się pysznił miłością do teatru, a pewnie chodzi równie często, co przeciętny londyńczyk.

– A co to ma do rzeczy? Ja nie kocham teatru – przypomniałam jej. – *Króla Lwa* widziałam raz i tylko dlatego, że Sam zdobył bilety i Laurence wysłał nas, by się nie zmarnowały.

– Teatr to wymarzone miejsce na randkę – powiedziała. – To coś nowego i nie musisz rozmawiać, masz za to o czym dyskutować po sztuce – dobre miejsce, by wyjść ze swojej strefy komfortu.

– A co złego jest w mojej strefie komfortu? Już nazwa jest pozytywna. W każdym razie już wolałabym chodzić po górach. Akurat ty powinnaś wiedzieć, co czuję.

– Ale Geraint jest świetnym...

– Helen, to naprawdę urocze, że próbujesz mi kogoś znaleźć, ale mogłabyś przestać, proszę? – mówiąc to, przełamałam niechcący kruche ciasteczko na pół i skrzywiłam się, widząc symbolikę tego faktu. – Dobrze mi samej. Nie potrzebuję chłopaka. Koncentruję się na pracy.

– Nie, bo są faceci, którzy potrzebują twojego towarzystwa.

– Mogłabyś wymyślić jakiś mniej kiczowaty komplement.

– Co robisz w Walentynki? – zapytała.

– A co? – Nieforemny kształt podwójnej randki majaczył w oddali.

– Myśleliśmy z Wynnem o zorganizowaniu imprezy w pubie dla mnóstwa singli, takie poznawanie ludzi bez zobowiązań. Tak po prostu, nie tylko dla związku – dodała – zawsze dobrze jest poszerzać horyzonty. Sama wiesz, jak trudno poznawać nowych ludzi, pracując tak jak my – ludzie, z którymi mamy do czynienia, już z definicji są zajęci. Trzeba iść

na ilość. Ten jedyny może być znajomym znajomego.

– A skąd wiesz, że już się z kimś nie umawiam?

Oczywiście, że z nikim się nie umawiałam. Po prostu nie spodobało mi się założenie, że jestem aż tak beznadziejna w te klocki, że będę całować po rękach za randkę z facetem, który lubi teatr, albo wieczór singli w pubie.

– A umawiasz się? – Wydawała się zaskoczona, a potem uważniej mi się przyjrzała i zapytała ponownie: – No umawiasz się z kimś czy nie?

– Mogłabym – odpowiedziałam sucho. – Mogłabym być na początku znajomości i chcieć utrzymać ją w tajemnicy przez jakiś czas.

Patrzyła na mnie jeszcze sekundę, po czym sięgając po drugie ciastko, powiedziała: – Czyli nie? Wolisz pracować.

– Skąd wiesz? Widziałaś grafik?

– Nie musiałam. Cały czas pracujesz. Teraz nawet więcej, odkąd mieszkasz na górze i Laurence płaci za twoje nadgodziny na recepcji.

Temu nie mogłam zaprzeczyć, ale Helen nie poddawała się tak łatwo, nawet gdy zebrałam kubki i zesłam ze schodów z powrotem do luksusowych wnętrz czwartego piętra. Nadal zachwalała „śpiewanie z przyjaciółmi i rozluźnienie się!”, gdy winda zatrzymała się, wypuszczając nas w foyer. Mogłybyśmy zjechać do wnętrza Ziemi, a mówiłaby o tym samym.

– ...musisz przekalibrować twoje oczekiwania względem facetów – zakończyła. Nareszcie.

– Skończyłaś?

Przytaknęła i zanim zaczęła, znowu powiedziałam: – Helen, proszę cię, nie zmuszaj mnie do spędzenia Walentynek przy śpiewaniu Toma Jonesa z Klubem Miłośników Pora w Clapham.

– Brzmi nieźle – powiedział Joe, przechodząc obok z naręczem obrusów. – Można się wprosić?

– Joe! – Helen przeskoczyła na niego, patrząc na mnie wyzywająco. – Masz jakieś plany na sobotę?

– Yy, na sobotę?

– Tak, na Walentynki – przypomniała mu. – Nie masz tego zaznaczonego w kalendarzu?

– Ach, Walentynki – powiedział z niezwykłą jak na niego rezerwą.

Joe, tak jak ja, padł ofiarą swatania Helen. Któregoś wieczoru, przy herbacie, wyznał mi, że czuje się prawie jak panda w londyńskim zoo, tylko on nie ma jaskini, by się ukryć.

– Bo jeśli nie masz planów – Helen parła do przodu niczym zdeterminowany opiekun w zoo z torbą podszytego afrodyzjakiem bambusa – to współlokatorka mojej siostry, Kate, ma wolny bilet na *Hamleta* w Barbican Center, który z chęcią odda...

– To Kate też kocha teatr? – zapytałam. – Nie miałam pojęcia, że obracasz się w tak teatralnych kręgach.

Zignorowała mnie:

– ...i może miałbyś ochotę pójść? Jest bardzo miła.

– Jestem pewien, że jest bardzo miła – odpowiedział. – Lecz nawet gdybym nie miał planów, a mam, *Hamlet* to nie moja bajka.

– Wiem. To nie do końca randkowa sztuka – tłumaczyłam. – Zwaśniona rodzina, niedobre małżeństwa, dwóch nie najfajniejszych mężczyzn w historii literatury angielskiej. A panna młoda traci umysł i się topi.

Joe spojrzał na mnie żartobliwie: – Wiem, ale dziękuję za streszczenie. W każdym razie dlaczego miałbym iść do teatru, gdy mogę to wszystko obejrzeć w zaciszu własnego domu?

– Jesteście siebie warci – powiedziała Helen, machnąwszy ręką dla żartu; potem jednak wróciła do tematu, znowu. – Ale masz randkę w sobotę? Ponieważ myślałam o zrobieniu imprezy...

Joe zerknął na mnie, a ja pospiesznie powiedziałam: – Na mnie nie patrz, ja wychodzę.

Sama nie wiem, czemu to powiedziałam. Zignorowałam słabe westchnięcie Helen i dodałam: – Już wieki temu zaplanowałam wolny

wieczór.

Po chwili milczenia Joe powiedział: – Baw się dobrze. Ja też.

Helen była wyraźnie zaintrygowana: – Kto jest tą szczęściarą?

– No właśnie, kto? – Zdałam sobie sprawę, że wpatruję się w niego, więc zakasłam.

– Przepraszam, ale myślałem, że muszę uzgadniać wolne wieczory z tatą, a nie z całym komitetem randkowym – powiedział Joe. – A teraz, wybaczone mi proszę, muszę odwiedzić Florę od pomysłu wypuszczenia setki londyńskich gołębi, gdy ona i Milo złożą przysięgę.

– A jak zamierzasz to zrobić? – zapytałam.

– Zamierzam się z nią zgodzić, że to piękne widowisko, po czym zapytać, ile mam zakupić parasoli, by ochronić jej znanych gości przed rozbryzgującymi się gołębimi kupami. Bo to dobry znak. Na szczęście. Gołębie kupy.

Przytaknęłam: – Powinieneś też pewnie wcześniej je nakarmić, by mieć pewność, że to będzie bardzo szczęśliwe wesele. Może dobrze by było o tym wspomnieć? A potem, jako plan awaryjny, oczywiście, zasugerować białe płatki róż sypane z okien nad ogrodem. Łatwiejsze w sprzątaniu i mniej śmierdzi.

Joe wskazał na mnie palcem – wkurzający nawyk, którego miesiące starań nie były w stanie wykorzenić (choć teraz ubierał się bardziej normalnie, kolorowe koszule zastąpiły te surferskie) – i błysnął uśmiechem: – Ależ para. Dam wam znać, co powiedziała.

Helen i ja nie spuściliśmy z niego wzroku, póki nie dotarł do baru, gdzie odbywało się większość spotkań z Florą. Nie mogła się zdecydować na koktajl firmujący jej ekskluzywne afterparty, więc ciągle umawiała się na degustację.

– Ciekawe, z kim Joe idzie na randkę? – Zamyśliła się Helen. – No chyba nie... z Florą.

– Wątpię – odpowiedziałam. Jeśli Joe się z kimś spotykał, to naprawdę robił to po cichu. Mieliśmy trochę prywatności, mieszkając razem, ale

z pewnością zauważyłabym, gdyby z kimś rozmawiał lub pisał esemesy. O nikim też nie wspominał. Chyba powinien, skoro rozmawialiśmy na tak wiele różnych tematów.

Zdałam sobie sprawę, że czuję się z tym... nieswojo.

Nagle Helen złapała mnie za ramię, jakby coś właśnie przyszło jej do głowy: – Rosie! Myślisz, że to ktoś z Ameryki? Dziewczyna?

– Caroline twierdzi, że nie było dziewczyny w Ameryce – odpowiedziałam bez namysłu. Chociaż w Sylwestra coś chodziło mu po głowie, gdy mówił o tej jedynej osobie...

Ukłucia w piersi stały się silniejsze. A jeśli kogoś poznał? I sprowadził ją tutaj? Jak już wspominałam, ściany były dość cienkie.

I jeśli nawet Joe kogoś znalazł...

. . .

– To musi być ktoś nowy. – Oczywiście Helen wyszły niemal z orbit. – Może poznał kogoś na weselu? Może jedną z druhen Flory? Całe zastępy chodzą za Florą, gdy pojawia się w barze, by próbować koktajle.

– Naprawdę nie wydaje mi się! – zapiszczałam tak wysoko, że nawet Helen zwróciła na to uwagę.

Nie miałam czasu na głupoty. Trzeba było organizować śluby. Sprawdzić, co u urzędników stanu cywilnego na zwolnieniu z powodu grypy. Zamówić więcej krzeseł: – Przepraszam, nie chciałam. Nie wiem. I, zanim poprosisz, nie, nie będę szpiegować go w mieszkaniu, by sprawdzić kto to.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała. – Przecież będziesz na swojej randce, czyż nie?

Nie wiedziałam, jak uprzejmie zareagować na jej słowa, więc uśmiechnęłam się tylko i wymaszerowałam, by zająć się połamanym zagłówkiem w apartamencie nowożeńców.

Oczywiście, że nie miałam żadnej randki w Walentynki, ale za nic w świecie nie przyznałabym się do tego ani Joe, ani Helen.

Zamiast tego, jak tylko państwo młodzi odjechali w siną dal, a kilku ociągających się gości wepchnęłam w ramiona Dina, udałam się na randkę z samą sobą. Po raz pierwszy miałam szansę na relaks w mieszkaniu na górze: z Joem na tajemniczej randce, Laurence'em na cyklicznym spotkaniu z „kolegami od brydża” w klubie Maufair.

Częścią mojego nowego planu Nowej Mnie było trzymanie się zabiegów kosmetycznych. Wykosztowałam się na liczne specyfiki, o których od lat słyszałam od klientek, łącznie z odżywką do włosów, która według dziewczyn z naszego spa miała przekształcić moje włosy w grzywę równą tej na głowie Flory. I na maseczkę na twarz ze szwajcarskiego błota. I gdy to wszystko położyłam na siebie, włączyłam sezon duńskiego serialu kryminalnego, którego do tej pory nie miałam kiedy obejrzeć, a który oglądali wszyscy dookoła. A potem planowałam położyć się wcześniej spać. Czyli zrobić coś, na co nie miałam czasu od miesięcy.

Joe był w łazience, gdy weszłam do mieszkania, oddawszy obowiązki w ręce nocnego managera. Słyszałam, jak rozlewa wodę i robi bałagan, jak zawsze. Czułam też ilości wody po goleniu i dezodorantu, jakimi się oblewał, co jeszcze bardziej mnie zdołowało.

Nie chciałam zobaczyć go wychodzącego z łazienki w samym ręczniku, świeżego i pełnego nadziei, podczas gdy ja byłam Ostatnim Singlem w Londynie. Poszłam więc do swojego pokoju, przebrałam się i czekałam, aż zamkną się za nim drzwi. Gdy tylko ucichło gwizdanie, wparowałam do łazienki, pacnęłam maseczkę, wczeszałam odżywkę, włączyłam DVD i wraz z butelką wina rozsiadłam się na starej skórzanej sofie.

To było nawet przyjemniejsze niż pójście na randkę, nie musiałam tkwić w drogiej restauracji, zmuszając się do rozmowy i unikania wzroku innych par. Nie musiałam jeść żadnej kałamarnicy ani myśleć, jak inteligentnie ocenić menu.

A najlepsze było to, że mogłam obejrzeć całe *The Killing* bez Dominika zrzedzącego o błędach w tłumaczeniu, pomimo że nie mówił po duńsku; i bez jego sarkastycznych komentarzy na temat fabuły.

To ostatnie już rekompensowało cenę całego sezonu na DVD, pomyślałam, nalewając kieliszek wina.

Jak się okazało, problem w oglądaniu duńskich seriali kryminalnych tkwił w uważnym śledzeniu napisów. Po dwóch odcinkach byłam tak skupiona na czytaniu ich i śledzeniu akcji, że nie byłam przygotowana na nieoczekiwany ruch, który zobaczyłam kątem oka, dokładnie w momencie, gdy duński morderca zakradał się do nieświadomej niebezpieczeństwa ofiary.

– Aaaaaaa! – wrzasnęłam przestraszona.

Serce mi waliło i wyskoczyłam z sofy, jakby się paliła, wylewając przy tym spektakularnie wino na dywan ogromnym łukiem.

– Co tu się dzieje, do diabła? – rozległ się znajomy głos. – Rany! Cały jestem w... Jezu, coś ty zrobiła z włosami? I Jezu Chryste! Twoja twarz! Wszystko w porządku?

Gapiłam się na niego, ciężko dysząc. Miał na sobie ubrania do biegania.

– Nie słyszałam, jak wszedłeś. Myślałam, że jesteś na randce – powiedziałam oskarżycielsko.

– Nie, powiedziałem wam, że wychodzę. I wyszedłem pobiegać, a teraz wróciłem. To ty miałaś być na randce.

Czułam, jak moja twarz robi się czerwona pod maseczką: – Tak powiedziałam?

– Tak. Tak powiedziałaś. – Joe przyglądał mi się uważnie.

– Ale słyszałam cię w łazience.

– Jakby ci to powiedzieć, nie jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy tu mieszkają.

Zrobiło mi się słabo. Siedziałam, podsłuchując własnego szefa, który śpiewał, kąpiąc się w wannie, a później oblewając się dezodorantem.

Zapadła niezręczna cisza, a potem drwiący uśmiezek zagościł na twarzy Joego: – Więc ty też właśnie wróciłaś?

– Właśnie tak. – Uniosłam brodę i odpadło z niej kilka strzępków zeschłego błota. – Ee, to była... tylko randka na drinka. Szybko się

skończyła.

– OK, co oglądasz? – Podniósł pudełko z płytami. – O, to jest to skandynawskie mordowanie, o którym wszyscy mówią? Chciałem to obejrzeć? Mogę z tobą?

Zdałam sobie sprawę, że odrzucając ofertę Helen i *Hamleta*, zgodziliśmy się właśnie na wspólne oglądanie duńskiego zabijania, byłam ciekawa, czy Joe też to zauważył.

Nawet jeśli, to nie dał po sobie poznać: – Super... Zadzwoń do kuchni i zapytać, czy mogliby coś przynieść?

– Czemu nie? To przecież tylko najbardziej pracowita noc w roku. – Wiedza Joego o biznesie pełna była dziur.

– Ekstra. – Zatarł ręce. – Nie bierz tego do siebie, ale myślisz, że mogłabyś zmyć to coś z twarzy? Nie mam ochoty czuć się, jakby ofiara morderstwa siedziała obok mnie.

Popatrzyłam na niego złośliwie. Dobrze robiły mi komentarze takie jak ten, nie pozwalały mi zapomnieć, że pomimo przeblysków wrażliwości to ten sam irytujący Joe, co wcześniej.

Wstałam, zmierzając do łazienki, by zmyć i zeszkrobać pozostałości maseczki, gdy usłyszałam jego głos.

– Rosie?

– Co? – Przygotowałam się na złośliwy komentarz na temat stanu mojej skóry.

Patrzył na mnie, nie ruszywszy się z miejsca, ciągle stał oparty przy ścianie obok telefonu. Wyglądał na zawstydzonego i knującego coś w tym samym czasie. – Nie powiemy o tym Helen, dobrze? O... randkach?

Odpowiedziałam mu dopiero po chwili.

– Praktycznie rzecz biorąc... – przerwałam.

– Co?

Powinam mu powiedzieć? Usłyszałam dźwięk własnego głosu rozchodzący się po mieszkaniu:

– Praktycznie rzecz biorąc, jesteśmy na randce. Tak jakby. Po prostu nie powiem jej, z kim byłam, ty też się nie przyznasz.

Milczał przez chwilę, a potem uśmiech zaczął pojawiać się na jego ustach, powoli, jakby docierało do niego, co powiedziałam.

– Randka w tajemnicy – powiedział w końcu. – Podoba mi się.

Nieoczekiwanie ścisnęło mnie w żołądku, na pewno z głodu.

Kevin przysłał nam pizzę z szynką parmeńską, mozzarellą i dodatkowym sarkazmem pół godziny później. Joe i ja połknęliśmy ją wraz z butelką wina i czterema odcinkami *The Killing*. Był dużo miłszym towarzyszem niż Dominik.

– Przykro mi, że masz tak beznadziejne Walentynki – powiedział. – Pizza, DVD i wkurzający stażysta.

– No nie wiem – odparłam ułagodzona pizzą i winem. – Jest lepiej niż w zeszłym roku. Anglo-afgańskie fusion na Old Street i kłótnia z szefem kuchni o to, czy nazywanie koktajli nazwami broni jest w dobrym guście. Odjechaliśmy taksówką, a ja pamiętam, że czułam ulgę, że to nie samochód policji.

– Ha. – Lubiłam śmiech Joego. Jakby prychnięcie połączone z chichotem.

– I jak to ocenisz w skali walentynkowych randek? – zapytałam.

– Hmm. Ja w zeszłym roku piłem drinki Mimozy i grałem w bilard z naj... – przerwał i zapatrzył się w pusty kieliszek, po czym napełnił go ponownie.

Poczułam wielki kamień w piersi. Tego nie oczekiwałam. Oczekiwałam raczej historii o nagich skokach ze spadochronem w Wielkim Kanionie albo czegoś w tym guście. A więc jednak była jakaś dziewczyna. Jakżeby inaczej.

– No powiedz. Z naj...

Joe nadal wpatrywał się w kieliszek.

– Nie powiem Helen – zapewniłam. – Jestem niezła w dotrzymywaniu tajemnic. Dokończ, jak zaczęłaś. Z kim grałaś w bilard?

Joe wahał się przez chwilę, a potem powiedział: – Z najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Spotkaliśmy się na imprezie na plaży. Wiem, że to zabrzmiało kiczowato, ale pamiętam, że wyglądała jak syrena. Miała przepiękne włosy. – Joe pokazał rękoma długie, falowane włosy, a na jego twarzy pojawił się ból. – Pamiętam, że pomyślałem, że są jak ogień, rude, ciemne, ale z blond przebłyskami. Wilgotne po kąpieli w oceanie. Wszyscy inni byli opaleni, tylko ona była z piegami na przedramionach. Była jedyną dziewczyną na przyjęciu, która nie miała na sobie skąpego bikini, tylko długą białą sukienkę, a i tak wszyscy patrzyli tylko na nią.

Coś targało mnie w środku i nie byłem pewna co. Zazdrość? Sposób, w jaki o niej mówił. Jak gdyby była tu razem z nami. To nie była zazdrość o nią i o Joego, tylko o wrażenie, jakie na nim wywarła. Pragnęłam, by ktoś o mnie tak opowiadał.

– Udało ci się z nią porozmawiać? – zapytałam półżartem.

– Oczywiście, że tak. – Joe myślnymi był kilometry stąd, na plaży. – Była zabawna. I miała niesamowite oczy. Zielone.

– Co było potem?

– Powiedziała mi, że nigdy nie surfowała, więc zaproponowałem, że ją nauczę. Pojechaliśmy surfować, potem w góry, wszystko robiliśmy razem.

– I?

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili: – A potem ze mną skończyła.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Było cudownie. Całe dni spędzaliśmy razem, a potem, nagle... prttph... – Machnął ręką w dół. – Planowałem wspólny wyjazd, na deskę, a ona po prostu... powiedziała, że dłużej nie może. Nigdy więcej jej nie widziałem. Zablokowała połączenia ode mnie, wszystko. Nie mam pojęcia czemu.

Chciałam zapytać o jej imię, ale patrzył na mnie z takim bólem, że nie śmiałam.

– Przykro mi – powiedziałam, zamiast pytać. – To brzmi niesamowicie. Lepiej kochać tak przez chwilę, niż nigdy nie przeżyć takiego uczucia.

– Dzięki.

– Czy pomoże, jeśli powiem, że następnym razem będzie łatwiej?

– Nie – powiedział krótko. – Nie, po czymś takim nie można się pozbierać.

– Och, uwierz mi, że można.

Spojrzał na mnie z ukosa z cynicznym uśmiechem. – Rosie, nie zrozum mnie źle, ale fakt, że po kilku tygodniach w pracy i zamianie w pracoholika przeszło ci po Dominiku, świadczy o tym, że to nie było dokładnie to samo. To zmieniło moje życie.

– Dominik nie był pierwszą osobą, która złamała moje serce. – Uniosłam brodę.

Joe wyprostował się i zamienił się w słuch.

– Zostałam porzucona u ołtarza – powiedziałam. Wino sprawiło, że zrobiłam się szczerą, nie podobała mi się też aluzja, że nie wiem, co to Prawdziwa Miłość. – Tuż przy ołtarzu, przed wszystkimi, których znałam. I pozbierałam się po tym. Więc myślę, że ty też dasz radę pozbierać się po letnim romansie.

Joe już chciał mi przerwać, gdy napełniał mój kieliszek, ale przy słowach „u ołtarza” ręka mu zadrżała i spojrzał na mnie zdziwiony.

– Co? Jak? Kto? Nic o tym nie słyszałem. Mama i tata też przy tym byli?

– Oczywiście, że byli. Wszyscy tam byli, na tym polega ślub. Przysięga przed wszystkimi, których znasz.

Joe podał mi kieliszek. Teraz miał zupełnie inny wyraz twarzy, zaniepokojony, lecz pełen współczucia: – Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Wzruszyłam ramionami.

– Klasyka gatunku. Chłopak ze studiów. Oświadczy w wieku dwudziestu czterech lat. Lokalny kościół. Narzeczony w ostatniej chwili zdecydował, że nie da rady.

– I?

– I mój tata musiał stanąć przed wszystkimi i powiedzieć im, że ślubu nie będzie i że powinni iść do restauracji i najeść się do syta, bo wszystko zapłacone – przerwałam na chwilę. – Obawiam się, że gdy dotarliśmy do restauracji, powiedziałam wszystkim, żeby udali się do baru, bo płaci za to Anthony, no i podałam im szczegóły jego karty kredytowej, którą obciążały zamówienia z baru.

– Oj.

Zdobyłam się na słaby uśmiech: – Nigdy nie widziałam mamy w takim stanie. Była tak wstrząśnięta, że powtarzała tylko: „Robię to dla ciebie, kochanie” i wlewała w siebie kolejną brandy. Na końcu musieliśmy siłą ściągać ją z parkietu.

– To były tańce? Na twoim nie-weselu?

– Dlaczego nie? DJ już był na miejscu z rozłożonym sprzętem. W końcu nie wziął od nas ani grosza, w geście współczucia, wszyscy byli pijani i chętni do zabawy.

Joe był pod wrażeniem.

– I dobrze – powiedział.

– Co innego miałam zrobić? – Zamilkłam, wracając myślami do tamtego wieczoru. Kolejny dzień był straszny, nigdy wcześniej nie czułam takiej pustki. Nie mogłam oddychać. Mama była bliska dzwonienia po karetkę. Zacisnęłam usta. – Każdego dnia bolało troszeczkę mniej, aż do dzisiaj... dzisiaj dziękuję Bogu, że nie poślubiłam mężczyzny, który nie chciał ze mną być, bo to byłoby o wiele gorsze.

Patrzyłam się na kominek, ale go nie widziałam. Przed oczami miałam Anthony’ego. Jego ciemne włosy, okulary w drucianych oprawkach, jego znajomy kształt wyłaniający się z tłumu. Każdy zorganizowany przeze mnie ślub odpychał te wspomnienia trochę dalej. Zaskoczona, zdałam sobie sprawę, że nie pamiętam koloru jego oczu. Były niebieskawe? Szarawe? Nie mogłam sobie ich przypomnieć. W przeciwieństwie do Joego, który wciąż pamięta oczy tamtej kobiety.

Już miałam zapytać go o jej imię, gdy nagle sięgnął po moją dłoń i uściskał krótko.

– Przepraszam, że powiedziałem to lekceważąco, to wcześniej. Nie wiedziałem. To niesamowite, że się z tego otrząsnęłaś.

– A co innego mogłam zrobić? – Spojrzałam na niego, by widział, że mówię prawdę. – Wszyscy o tym wiedzieli. Wiedzieli też, że zajmuję się ślubami. O ironio. Ha ha ha.

– Więc nie zostałam organizatorką ślubów, by sobie poradzić z tym, przez co przeszłaś?

– Byłam i jestem Event Managerem – podkreśliłam – więc wystarczy domowej terapii, dziękuję. Chodzi o to, że ból z czasem mija. Idziesz dalej. Jesteś trochę inną osobą niż wcześniej, ale to w porządku.

Joe westchnął. – Wydaje mi się, że tylko raz w życiu spotykasz osobę, która tak na ciebie działa. Jedno wielkie bum w sercu.

– Ale Joe... – zaczęłam, dziwnie urażona.

Spojrzał mi prosto w oczy: – Co?

Boże, ależ był przystojny. Szczególnie teraz, z tą nową wrażliwością w oczach. Prawdziwie niebieskich, z malutkimi złotymi kropeczkami dookoła tęczówki, te długie rzęsy...

Oboje usłyszeliśmy drzwi wejściowe w tym samym czasie, podskoczyłam tak mocno, że prawie wylałam wino.

Wszedł Laurence, wyjątkowo zadowolony z siebie. Gdy zobaczył nas na sofie, na jego twarzy pojawił się wyraz twarzy niczym u ucznia podstawówki, który coś przeszkrobał.

– Mieliście wyjść. Nie razem oczywiście.

– Oczywiście – odpowiedziałam. – Wyszliśmy, a potem wróciliśmy.

– O której to się wraca? – zapytał Joe, stukając palcem w szybkę zegarka.

– Trochę wcześniej jak na niecny brydżowy wieczór, prawda? Jeśli oczywiście byłeś tam, gdzie miałeś być? Co?

Pomyślałam, że Laurence wygląda podejrzanie – i o ile bardzo chciałam kontynuować rozmowę z Joem, o tyle nie bardzo chciałam słuchać tłumaczeń własnego szefa. Postanowiłam więc udać się do siebie.

– Pójdę spać. Dobranoc panom.

Nikt, ale to nikt, nie powinien być świadkiem wivisekcji walentynkowego wieczoru własnego szefa.

Rozdział dwudziesty drugi

– Więc co o tym myślisz? – zapytałam. – Przesunąć obrzeża na pozycję A, pod wiśnię, o tak, czy B bliżej fontanny? O tak?

– A – odpowiedział Joe. – Jeśli przesuniesz starszych gości bliżej fontanny, to może mieć nefajne konsekwencje. Słabe pęcherze i takie tam.

Nie przyszłoby mi to do głowy. Typowe, że było to pierwsze, o czym pomyślał Joe. – Hmm. Nie myślisz chyba, że istnieje niebezpieczeństwo ze strony spadających płatków róż czy ptaków na drzewach... no wiesz?

– Czyli wybieram pomiędzy płatkami róż a nietrzymaniem moczu ciotki Doris? – Uniósł brwi.

– Dzięki za zrozumienie – powiedziałam, przesuając krzesła z powrotem pod drzewo.

Musiałam wcisnąć dodatkowych czterdziestu gości na ślubie Marianne Trelawnay pod koniec miesiąca, jako że całe jej towarzystwo myślało, że zaprasza ich z osobami towarzyszącymi, a ona była zbyt miękka, by im powiedzieć prawdę. Ze starego pudełka po butach zrobiłam sobie model ogrodu, by móc wszystko lepiej widzieć, co rozbawiło Joego na potęgę, dopóki nie zrozumiał, że to na poważnie.

– No i nie wiem, co zrobimy z jedzeniem – powiedziałam na kolejny model, tym razem restauracji. – Nie mogę umieścić czterdziestu osób w oddzielnej sali, to będzie wyglądać, jakby ona nie pochwałała sposobu, w jaki jedzą.

Uniósł brwi: – Albo po prostu zadzwoń do Marianne i powiedz jej, że powinna mieć szwedzki stół podczas wesela. Nie będzie jej to przeszkadzało. Ludzie czują się bardziej swobodnie, gdy stoją i rozmawiają. Wyluzuj, Rosie.

– Wyluzuj? Co to w ogóle znaczy? – zapytałam poirytowana.

– To oznacza tylko tyle, że masz przestać świrować z tą swoją kontrolą nad wszystkim. Mam zadzwonić do Marianne?

Odkąd udało mu się namówić Florę na osiemnaście zamiast dwudziestu sześciu druchen, miał się za negocjatora ONZ.

– Mam wszystko pod kontrolą. Czy to nie pora, byś poszedł na spotkanie z Jean na zajęcia ze ścielenia łóżka? – zapytałam. – Pamiętam, że w przeszłości nie za bardzo ci to wychodziło.

– O jedenastej, ciągle mam dziesięć minut – powiedział, patrząc na zegarek.– Pomóc ci jeszcze w czymś? Czy mam wyjść, byś rozluźniła pośladki?

Patrzyłam na niego gniewnie. Wiedział, że mam mnóstwo pracy. I użył słów „rozluźniła pośladki” tylko dlatego, że wiedział, że ich nie cierpię, prawie tak samo jak „nie spinaj się”.

Rozległ się szybki stuk do drzwi i pojawiła się Gemma.

– A, w samą porę! – powiedziałam – Zdecyduj. Wolałabyś siedzieć pod drzewem czy obok fontanny?

– Albo może stać z kieliszkiem szampana, by zwiać, gdy będzie nudno? – dodał Joe.

– Zignoruj opcję C – powiedziałam.

Ale Gemma nie wpadła jak zawsze niczym burza do mojego biura, nawet pomimo patery babeczek Delphine, przygotowanych na degustację Sadie Hunter. Zamiast tego ciągle tkwiła przy drzwiach i przeskakiwała z nogi na nogę.

Skrzywiłam się: – Wejdz, robisz przeciąg.

– A my musimy szybko podjąć decyzję, bo inaczej Rosie zadzwoni do Marianne i zmusi ją do wywalenia części gości – dodał Joe.

Gemma skrzywiła się i wyrzuciła z siebie: – Coś się stało i myślę, że powinnaś o tym wiedzieć, a ja bardzo nie chcę być tą osobą, która to powie, ale też nie chciałabym, żebyś dowiedziała się od kogoś innego, ale naprawdę nie *chcę*.

– Zaczyna się – powiedział Joe. – Ktoś pewnie poprosił o *Angels*

Robbiego Williamsa jako pierwszy taniec i Rosie wpadnie w panikę, bo to nie jest rekomendowana przez nią piosenka, a potem zaplanuje interwencję.

Zabiłabym go wzrokiem, gdybym mogła.

– Eh, wy dwie kochacie panikować – powiedział. – Zauważyłem, że dla Rosie McDonald żaden ślub nie może się odbyć bez małej wpadki, którą tylko ona może naprawić, by było idealnie.

– A wyglądam, jakbym panikowała? Dobrą stroną mojego spinania jest...

– Jędrna pupa, o którą można odbijać monetę?

– Nie, jest to, że umiem rozwiązywać problemy, zanim się wydarzą. I robię to ze spokojem – zwróciłam się z powrotem do Gemmy.

Szczerze mówiąc, wcale nie byłam spokojna. Ale nie chciałam mu dać satysfakcji. Wystarczy, że wewnątrz przedzierałam się przez własny składzik podręcznej paniki.

Jędrna pupa, o którą można odbijać monetę? Poczułam spóźniony rumieniec oblewający mi twarz.

– Rosie, chodzi o... – Gemma zerknęła na Joego. – Chodzi o Florę.

Joe odchylił się na krześle, splatając dłonie za głowę.

– A, to w porządku. Wiem, o co chodzi – na której platformie społecznościowej umieścić odliczanie do ślubu. Już się tym zająłem. Hashtag BezPośpiechu. Hashtag DobraRobotaJoe.

Gemma nie zareagowała. Zamiast tego przenosiła powoli wzrok to na mnie, to na Joego. – Widzieliście dzisiejszą prasę?

Laurence był jedynym pracownikiem, który miał przywilej otrzymywania świeżego egzemplarza *Daily Mail* razem z poranną kawą, gdy reszta z nas biegła jak oszalała, zajmując się jego hotelem: – Nie, oczywiście, że nie. Nie mieliśmy czasu.

Gemma powoli położyła gazetę na stole.

– *Wzrosną ceny mieszkań w Londynie?* – przeczytałam wielki nagłówek. – *Ciało księżnej Kate w bikini.* Nie mam czasu na głupoty,

mam masę rzeczy do zrobienia.

– Daj poczytać o ciele księżnej Kate w bikini – powiedział Joe, ale zanim chwycił gazetę, Gemma miała ją w rękach i próbowała odnaleźć właściwą stronę. Nie trzeba było długo czekać, by podała nam złożoną na pół gazetę.

Powędrowałam oczami po stronie – to był dział plotek. Byłam w połowie strony, tam gdzie zwykle piszą o nowych (darmowych) samochodach albo „o żarciu” na imprezie firmy PR-owej.

– Nie widzę... Oj, zobaczyłam...

Znany uśmiech Flory skierowany był wprost do mnie, otoczony równie znaną grzywą blond włosów. To była Flora w obcisłym garniturze bez koszuli, trzymająca kieliszek szampana jedną ręką, a narzeczonego – drugą. Milo miał na sobie bladoniebieski garnitur, na szczęście z koszulą, i bardzo zadowolony z siebie uśmiech. Nawet bardziej niż zwykle.

– O, to o nowym kontrakcie z M&S? – powiedziałam. – Słyszałam o nim. Ależ ona ma ładny garnitur, Bianca Jagger?

– Yyy, nie... – powiedziała Gemma. – Przeczytaj uważnie.

– Wiem, widziałam nagłówek: *Dzwony weselne dla Flory*. Prosiłam ją, by wspominała o hotelu, gdzie się da. „Modelka Flora Thornbury, od dziewięciu miesięcy zaręczona z milionerem – handlarzem sztuki Milo McKnightem”, bla bla bla, „plany, by urządzać ceremonię w jednym z najbardziej luksusowych hoteli w Londynie”. Świetnie, Flora! Chociaż mogłaś wspomnieć nazwę. Bla bla bla...

Moje oczy przesuwają się niżej i niżej.

Ups.

– Bla bla bla? – podrzucił Joe.

Zrobiło się tak cicho, że można było usłyszeć spadającą szpilkę. Dosłownie słyszałam, jak Gemma próbuje nie oddychać zbyt głośno.

Czytałam dalej, jak na autopilocie.

Tak więc znajomi i rodzina byli zaskoczeni, gdy długonoga piękność oświadczyła, że... ona i Milo pobrali się w ekskluzywnym Tribeca

Rooftop na Manhattanie...

Zamknęłam oczy, ale kiedy je otworzyłam, gazeta wciąż tam była, gdy przyjrzałam się bliżej, gigantyczny pierścionek Flory również.

Mroczki pojawiły mi się przed oczami i myślałam, że zemdleję. Flora wyszła za mąż. Nasze plany, wszystkie moje obliczenia... Wesele roku w Bonneville miało nie dojść do skutku. Nie. Nie ogarniałam tego. To było za dużo.

Staralam się zobaczyć sedno sprawy. Moje prognozy, obliczenia, nagła strata medialnego szumu, który tak ładnie otaczał nasz hotel...

I znalazłam. Dostałam prosto w twarz.

O mój Boże, Flora odwołała wesele.

Zacęłam się krztusić, aż Gemma skrzywiła się z niepokojem.

– Cholera jasna! – ryknęłam. – Od samego początku wiedziałam, że będą z nią problemy, ale nie myślałam, że aż takie. Myślałam, że założy po prostu fatalną sukienkę, wyrzuci swoje druhny i do ołtarza zaprowadzi ją pies albo coś równie szurniętego, ale to...

– Tylko spokojnie, Rosie – powiedziała Gemma automatycznie, a potem spojrzała przepaszająco.

Odwróciłam się do niej: – Jak ja mam się uspokoić? Cały rok mojej pracy właśnie poszedł w diabły.

– Twojej pracy? A co z moją pracą? – Joe zabrał nogi z biurka. Oto jak się przejął. – To ja musiałem jej wyperswadować budowę lodowiska w sali balowej albo przekonać, że Nelson Mandela nie może poprowadzić ceremonii, bo nie żyje.

Patrzyłam na niego oniemiała, zaskoczona ilością jadu w jego głosie. Oczekiwałam raczej „uspokój się”, chociaż z drugiej strony, muszę przyznać, że ten drgający kącik jego ust dostarczył mi trochę przyjemności.

Dobrze. Dobrze. Teraz wiedział, jak się czułam przez większość czasu.

– Czy to oznacza, że nie wezmą u nas ślubu? – zapytała z niepokojem Gemma. – Czy nie podpisywała kontraktu?

– Podpisaliśmy umowę, ale to tylko oznacza, że zatrzymamy zaliczkę – powiedziałam wyraźnie. Nie to, żebym sprawdzała, czego trzeba, by Joe pękł. Wcale nie. – Do ślubu zostały jeszcze cztery miesiące, więc nie będzie tego wiele. Nie zmusimy ich do ślubu tutaj.

– Ale czy nie mogliby, jakby to nazwać? Uczcić ślubu tutaj i zrobić wesele dla znajomych?

Gemma naprawdę się starała.

– Nie sędzę – powiedziałam, napawając się dźwiękami „rodzącej kobiety”, które wychodziły z Joego, gdy oddychał, robiąc wdech nosem, jak pewnie nauczył go jakiś guru od jogi na plaży. – Jestem pewna, że będzie chciała uczcić to wydarzenie z przyjaciółmi dużo szybciej niż za cztery miesiące.

– Och nie. – Oczy miała teraz idealnie okrągłe. – Czy to oznacza, że stracimy bardzo dużo pieniędzy?

– No. Miała rezerwację na całe dwa piętra i cztery przyjęcia.

– W tym dwa w przebraniach i wieczór kawalerski – jęknął Joe prawie niesłyszalnie.

– Ale chodzi o to, Gem – kontynuowałam sadomasochistycznie – że to nie tylko pieniądze, ale także szum medialny przez nią generowany. Także godziny planów i przepychanek i fakt, że mamy teraz wolną najbardziej pożądaną datę na ślub, którą mogłam sprzedać już sto razy – ale której teraz nikt nie weźmie, bo cztery miesiące to o wiele za krótko, by zaplanować drogie wesele.

Popatrzyłyśmy na Joego. Mężnie sobie z tym radził, na czoło wyszły mu zmarszczki, tak bardzo starał się myśleć pozytywnie, wybaczać, by móc żyć chwilą i wszystkie inne bzdury, którymi starał się mnie karmić, gdy ja naprawdę nie potrzebowałam zachęty, by się uspokoić.

Gemma już chciała coś powiedzieć, ale podniosłam palec do ust w geście nakazującym milczenie.

Po mniej więcej trzydziestu sekundach Joe nie wytrzymał.

– Argh! – Schował głowę w dłonie. – Cały ten czas załatwiałem te

cholerne przebiśniegi, by zakwitły w czerwcu, by ona hajtnęła się w Nowym Jorku na jakimś cholernym – cholernym dachu? W okropnym garniturze bez stanika!

Wzmianka na temat mody mnie zaskoczyła. Nie wiedziałam, że zwraca uwagę na takie rzeczy. Pchnęłam pucharek z cukierkami w jego kierunku. – Te duże to miętówki, te małe to ibuprofen.

– Dawaj. – Joe wyciągnął rękę i wziął po dwa z każdego rodzaju.

– Ale słuchajcie, nie jest tak źle, jest wzmianka o nas – powiedziała Gemma, czytając dalej artykuł. – „»Planowanie ślubu w najlepszym hotelu w Londynie sprawiło mi ogromną przyjemność, jednak Milo uznał, że nie zniesie kolejnych czterech miesięcy rozmów z moją mamą na temat usadzenia gości, więc porwał mnie w ramiona i zaskoczył kompletnie, gdy byliśmy w Nowym Jorku!« – powiedziała Flora, nowa twarz kolekcji bielizny Queen and Country”.

Gemma podniosła oczy znad gazety: – Oooch nie. Jej mamie się to nie spodoba.

– A to już problem nowego zięcia – powiedziałam dokładnie w momencie, gdy odezwał się dzwonek mojego telefonu. – Terapii nie serwujemy. Chociaż może powinniśmy. Pozwólcie, że odbiorę.

Sięgnęłam do torby po telefon: Julia Thornbury, komórka. Świetnie. Ciekawe czy najpierw zadzwoniła do Laurence’a i on przekierował ją do mnie, czy nie.

– To Julia – jęknęłam. – Myślicie, że czekała do dzisiejszego poranka, by mi to powiedzieć?

– Nieee. – Joe pochylił się w moim kierunku i odrzucił połączenie. – Jak znam Florę, to Julia właśnie sama otworzyła gazetę. I w takim razie lepiej niech zostawi wiadomość, a my do niej oddzwonimy, jak tylko wymyślimy, co z tym zrobić.

Uniosłam brew. Brzmiał dużo bardziej biznesowo niż zwykle. Dość władczo nawet. – Co? Nie oddzwaniać od razu, by służyć wsparciem?

– Nie – odpowiedział bez emocji. – Nie tym razem.

Napotkałam jego wzrok. Zastanawiałam się, czy powinnam czuć się podekscytowana, czy winna, że w końcu zmusiałam go, by myślał tak jak ja.

– Dziesięć minut – powiedział, czytając z mojej twarzy. – Potem do niej zadzwonię i będę służył wsparciem, jeśli ty nie dasz rady.

– Więc co robimy? – zapytała Gemma.

– Niewiele możemy zrobić. Nie możemy zmusić Flory, by wzięła u nas ślub – powtórzyłam. Wstałam, podeszłam do Ślubimiarza i zerwałam fotografię Flory z 20 czerwca. Jako jedyna z moich klientek miała profesjonalne zdjęcie, które wkraczało na pole biednej Jessie Callum (maj) i Violet Hartley (lipiec). Obie natychmiast zaczęły wyglądać dużo ładniej, bez twarzy Flory za milion dolarów.

– Masz – dałam je Joemu. – Możesz dorysować wąsy.

Zaczął mówić, że nie chce, potem jednak zmienił zdanie i z bezwstydną przyjemnością wziął do ręki czarny flamaster z biurka.

Odwróciłam się do tablicy i westchnęłam. Dziura po Florze, zaznaczona śladem po masie mocującej, wydawała się gigantyczna. Teraz już nie miałam szans, by ją zapełnić. Każdy, kto planował ślub na 20 czerwca, zarezerwował go wieki temu. W zeszłym roku miałam mnóstwo zapytań o tę datę, wszystkie z pełnym nadziei stwierdzeniem – „pewnie jest już zajęta” – i wszystkie musiałam odrzucać. Nikt nie pytał o czerwiec od września.

– Och... – powiedziałam.

Ciągle nie w pełni zdawałam sobie sprawę z powagi sytuacji. Najbliższe kilka godzin pewnie tego nie zmieni. To tak, gdy uderzycie się w palec u nogi, a wasz mózg hojnie raczy was kilkoma sekundami czasu, byście zrozumieli, jak okropny będzie ten ból, który nadejdzie.

Może to niespodziewane zachowanie Joego tak wybiło mnie z rytmu, pomyślałam. Oglądanie go tak wkurzonego było nawet przyjemne. Widać było, że zależy mu na hotelu. Poczulałam miłe ciepło w środku.

Siedzieliśmy w ciszy przez mniej więcej dwie minuty, a potem Gemma

sapnęła.

– Poczekajcie! Mam genialny pomysł! – wykrzyknęła, klasnąwszy w dłoń jak małe dziecko. – Moglibyśmy zrobić z tego nagrodę! W radiu! Możemy zaoferować komuś tę datę, komuś, kto ma się dopiero oświadczyć dziewczynie – lub chłopakowi! – jeśli tylko pobiorą się tego dnia w czerwcu! – Oczy jej błyszczały. – To będzie genialna reklama dla hotelu! I takie romantyczne.

Pomyślałam nad tym przez chwilę: – To nie byłby taki zły pomysł.

– To będzie dość oczywiste, że ktoś odwołał. – Joe spojrzał w górę znad swojego dzieła przemalowywania twarzy Flory na zdjęciu.

– Ludzie odwołują śluby – przypomniała Gemma. – Każdy ma znajomego, który rozmyślił się w ostatniej chwili. Jak Stephanie Miller na przykład! Pamiętacie? Ta, z którą rozmawiał Joe, i potem odwołała? Zdarza się. To nie wina hotelu, że ludzie tchórzą.

Wpatrywałam się swoje stopy. Joe wyglądał na zmieszanego.

Przełknęłam i powiedziałam, jakbym nigdy nie odczuła porzucenia przed ślubem na własnej skórze: – Stephanie i Richard przełożyli ślub. Jestem pewna, że pewnego dnia...

– Taa, przełożyli. – Gemma przewróciła oczami. – Daruj sobie i im. Dziwne, że wcześniej nam się to nie przydarzyło. Ale serio, noc przed? Raczej wiesz, czy chcesz wziąć z kimś ślub, czy nie. To nie spada na ciebie nagle jak...

Au. Tym razem się skrzywiłam i pomimo że udałam, że sprawdzam coś w kalendarzu, złapałam wzrok Joego. Gdy nasze oczy się spotkały, odwrócił wzrok, ale wcześniej zdążyłam zobaczyć w nim współczucie.

Moje policzki płonęły. Wiedziałam, co robię, nie zwierzając się wielu ludziom z mojej tajemnicy.

– Wpiszę to na listę, Gemmo – powiedziałam raźnie. – Dobrze to wymyśliłaś. Jak jeszcze coś będziesz miała, daj mi znać.

– Może mogłaby zrobić u nas jakieś przyjęcie? – Gemma się rozkręcała. – Oooh. Może baby shower? Może Flora pobrała się

wcześnie, bo wpadła?

Uniosłam gazetę. Flora uśmiechała się do nas ubrana w obcisłą marynarkę: – Nawet jeśli, to nic nie widać.

– Dosyc – powiedział Joe, wypychając się z fotela. – Doprowadziłyście mnie do tego, że pójde na korepetycje ze ścielenia łóżek. Jest aż tak beznadziejnie.

– Jeśli przyjdzie ci coś genialnego do głowy, jak będziesz to robił, to daj mi znać – rzuciłam, gdy wychodził.

– Wow – powiedziała Gemma. – Joe naprawdę się przejął.

Przyjrzałam się jej. – Skąd wiesz?

Skinęła na paterę pełną ciastek stojącą pomiędzy moim biurkiem a drzwiami i wyglądającą niezwykle kusząco. Próbki smaku tortu dla Sadie Hunter, na dzisiejsze popołudnie; była pełna i nietknięta: – Nie próbował ukraść ciastka, gdy wychodził.

Miała rację.

Koniec końców spędziłam ponad pół godziny, rozmawiając przez telefon z Julią Thornbury, powiedziawszy może dwadzieścia słów w ciągu dziewięćdziesięciu sekund, gdy nie wrzeszczała, wyła albo mówiła, co ojciec Flory zrobi temu Milo McCholernemuKnightowi, gdy go dopadnie.

(Słyszałam głos, który brzmiał jak krzyk niezadowolonej głównej drużyny/młodszej siostry Abigail: „Uścisk dłoni i powodzenia na pożegnanie”).

Joe miał rację, Julia dowiedziała się mniej więcej w tym samym czasie co my, spędzając czas z przyjaciółmi poza miastem. I delikatnie mówiąc, nie była zachwycona.

– Ależ oczywiście, że obwiniam za to Florę – zapewniła mnie. – Tobie nie mam nic do zarzucenia, absolutnie. I niezmiernie mi przykro z powodu zaistniałej sytuacji. Przekaż też proszę moje przeprosiny Joemu – dodała z głębokim westchnieniem. – Proszę, przeproś też ode mnie Laurence’a. Był taki pomocny.

– Jestem pewna, że będzie równie rozczarowany jak my wszyscy.

Może... – doznałam olśnienia. – Może mógłby zaprosić cię na lunch, może moglibyście omówić przyjęcie, jakie moglibyśmy dla niej wydać, być może...

– Och, to bardzo miło z twojej strony, że o tym pomyślałaś. Mogłabyś przełączyć mnie do jego asystentki, byśmy mogli się umówić?

I dobrze. Przynajmniej pochwalę się Caroline, że załatwiłam lunchową randkę dla Laurence'a. Dobrze i to.

Resztę dnia spędziłam, wisząc na telefonie z dostawcami i – ponieważ nie lubię, gdy ktoś odwala swoją robotę – na robieniu listy ludzi, którzy już dostali zaproszenia od Flory, tak by mogła zamówić specjalne kartki typu „ups, zrobiliśmy to wcześniej”. Może zaistnieją w kolumnach plotkarskich chociaż z litości.

O piątej byłam zdołowana na całego i ogłosiłam fajrant.

Laurence wybył na spotkanie ze swoim kręgarzem, przygotowując się być może na spotkanie z Julią Thornbury, a Joe był ciągle maglowany pościelą. Więc przynajmniej mieszkanie miałam dla siebie. Śmieszne, ale nie zauważałam już jego wystroju; był nawet kojący, jak powrót do domu mamy. Nawet pachniał jak dom czyjejs mamy: ciasteczkami, dywanem i miękkim kocem. Nic dziwnego, że oparł się próbom Ellie, by go zmienić.

Przebrałam się w domowe ubranie, otworzyłam francuskie drzwi do kuchni i wyszłam na balkon, by spojrzeć na dachy Piccadilly. Widok londyńskiego nieba zawsze podnosił mnie na duchu, a widok z kuchni Laurence'a był wyjątkowy, szczególnie po zmierzchu, gdy panoramę rozświetlała łuna niczym w filmie.

To nie do końca był balkon, raczej coś na kształt schodów ewakuacyjnych i szkieletów choinek, które według Laurence'a „rozkładały się tam w sposób naturalny”. Jednak była tam też solidna barierka, trochę jak na statku. Czułam się, jakbym płynęła ponad dachami miasta. Kochałam tę tajemniczą stronę hotelu: proste okna niczym kropki rozświetlające lub nie (w zależności od tego, czy zaciągnięto zasłony) tylne ściany budynku, dachy w różnych kolorach

i kształtach i płaskie powierzchnie ścian otaczających budynków. Ulice lśniły istic królewską elegancją na poziomie parteru, lecz były zwykłe i często zaniedbane na wyższych piętrach, kanciaste i ciemne niczym podwozie samochodu, czysto funkcjonalne i praktyczne.

Patrzyłam na tylne światła samochodów na skrzyżowaniach i przy centrum handlowym i powtarzałam sobie, że odwołanie ślubu przez Florę to tylko komplikacja. Nic, czego nie mogłabym ominąć. Że pojawi się coś nowego. Nadal jednak byłam zdołowana.

Było mi też przykro z powodu Joego. Włożył tyle serca w ten projekt, nie tylko w godzinach pracy, ale i poza nimi – godzinami rozmawiając z Florą, próbując dociec, czego naprawdę chce. Miałam wyrzuty sumienia, że na początku jego rozczarowanie sprawiało mi przyjemność. Ostatnio próbowałam naśladować jego podejście do życia, najgorsze było to, że często było mi z nim lżej.

Słyszałam, jak otwierają się drzwi wejściowe i ktoś włącza radio w kuchni. Miałam nadzieję, że Joe pozwoli mi jeszcze chwilę побыć samej, jednak po kilku minutach drzwi na balkon otworzyły się i poczułam coś ciepłego na moim ramieniu.

Nie tyle ciepłego. Gorącego. Aua. Naprawdę gorącego.

Podskoczyłam i potarłam piekące miejsce. To był kubek... czegoś.

– Kakao – powiedział Joe. – W takich chwilach pijasz kakao, prawda? W każdym razie coś z dziewiętnastego wieku.

Nie pachniało jak kakao. Nie miałam pojęcia, co Joe wsypał do wody, ale wydawało się czekoladowe, więc wzięłam, bardziej by ogrzać ręce niż się napić.

Dołączył do mnie, opierając się o barierkę: – Jako dzieci lubiliśmy się tu wymykać. Mama zabroniła nam jednak po tym, jak któregoś lata Alek próbował zejść w dół jak Spiderman. Dotarł do pokoi niżej, potem zabrakło mu prześcieradeł.

– Z tak wysoka? Boże. To musiało być niezłym szokiem dla twoich rodziców.

– Nie takim jak dla gości w pokojach pod nami.

Zaśmiałam się i popatrzyłam na miasto.

– Uwielbiam ten widok – powiedziałam. – Te wszystkie okna. Dociera do ciebie, jak wiele dzieje się pod jednym dachem. Każdy pokój to inny gość, inny powód, by tu być, inne życie.

– Goście nie zdawali sobie sprawy, że zastępca managera hotelu obserwował ich każdy krok – wygłosił Joe głosem filmowego lektora.

– Wcale nie – zaprotestowałam. – Po prostu rozważam, jak długo moglibyśmy trzymać ciało Flory, zanim ktokolwiek by zauważył.

Roześmiał się: – Dostałem dzisiaj zdjęcie jej obrączki, dasz wiarę? Napisała, że wpadnie, by ci pokazać, jak tylko będzie w mieście. Ona nie jest świadoma chaosu, który narobiła.

– Przykro mi. Wiem, jak ciężko nad tym pracowałeś. To nie fair. Ale się zdarza.

Joe oparł podbródek o barierkę: – Pewnie tak. Pewnie dopadła mnie karma za to, że ci przygryzałem i zrzedziłem, że trzeba pozwolić klientom myśleć sercem, nie rozumem.

– To bardzo wyrozumiały sposób oceny sytuacji.

– Coś nowego się pojawi – odwrócił głowę w moim kierunku. – Musisz uwierzyć światu.

– Ha! Raczej nie. To jedyna rzecz, której nie zaufam – podejrzliwie wzięłam mały łyżeczek kakao. Miało dziwny posmak curry. – Z doświadczenia wiem, że świat specjalizuje się w robieniu rzeczy, których nie potrzebujesz, dokładnie w momencie, gdy nie masz czasu się nimi zająć.

– Czyli wszystko na twojej głowie?

– Wszystko na mojej głowie.

– Może powinnaś dać trochę miejsca światu.

Zanim byłam w stanie wymyślić wyjątkowo ciętą ripostę, Joe pokazał ręką coś przesuwającego się po niebie.

– Patrz! Szybko, tam!

– Gdzie?

Pomachał palcem: – Spadająca gwiazda. Życzenie, szybko.

– To nie spadająca gwiazda – prychnęłam. – To helikopter medyczny.

– Nie. Spadająca gwiazda – upierał się. – Pomyśl życzenie.

Już otwierałam usta, by powiedzieć mu, jak niedorzeczne jest to, co mówi, szczególnie że ta spadająca gwiazda błyskała czerwonym światłem – lecz coś w jego twarzy mnie powstrzymało. Połączenie szczerości, którą przez te kilka miesięcy nauczyłam się tolerować, i iskierki samopotępienia, jak gdyby zachowywał się w ten sposób tylko dlatego, że ja tego oczekiwałam.

– Nie każ mi mówić o wszechświecie – ostrzegł. – Popraw mi nastrój tak, jak ja ci poprawiam origami z papieru toaletowego.

Coś przyjemnie zafurgotało mi w żołądku i szybko spojrzałam w górę. „Spadająca gwiazda” leciała wprost do szpitala św. Marii, w Paddington, lecz kimże byłam, by się kłócić?

– Pomyśl odważnie, nie ograniczaj się. Bądź zachłanna i ambitna, niech podświadomość cię prowadzi...

– Dobra, dobra – odpowiedziałam. – Zgadzam się na to twoje szaleństwo ze spadającą gwiazdką, ale pamiętaj, że jestem Brytyjką.

Zamknęłam oczy i zaczęłam marzyć o kolejnym weselu z wyższych sfer, o dużym budżecie, który wyrównałby straty poniesione przez Florę. Marzyłam o hotelu wypełnionym śmiejącymi się, dobrze ubranymi gośćmi, zapachem perfum i tortu, o płatkach róż i konfetti w foyer. Marzyłam o małych druhenkach w balerinkach, które sypałyby kwiatki, o rolls-roysie zatrzymującym się przed hotelem, o blasku i szyku, o głośnym afterparty w hotelowym barze, a w środku tego wszystkiego wyobraziłam sobie siebie, mającą wszystko pod kontrolą, spokojną, odhaczającą każdy kolejny punkt na wszystkich moich sekretnych listach.

Mnie i Joego.

Zmarszczyłam czoło. Ci ludzie przed oczami to byliśmy ja i Joe.

Próbowałam go wymazać, ale się nie dało. Stał tam, obok mnie, uśmiechając się do gości, mówiąc mi, bym się uspokoiła i zrelaksowała i inne farmazony, które zawsze powtarza, dokładnie wtedy, gdy ja nie chcę się zrelaksować. Przepłynęło przeze mnie ciepłe, bardzo przyjemne uczucie, jakby wszystko miało być dobrze. Że coś nowego nadejdzie.

Joe w moim marzeniu objął mnie w talii ręką i uśmiechnął się, poczułam, że i ja uśmiecham się do niego. Moimi prawdziwymi ustami, w prawdziwym życiu.

Zaskoczona otworzyłam oczy.

Prawdziwy Joe stał na wyciągnięcie ręki, opierając się o barierkę i patrząc na moją twarz. Ale uczucie zostało, zwiewne, kaszmirowe uczucie komfortu otulające mnie delikatnie przytulnym objęciem.

Moje policzki płonęły; zastanawiałam się, czy jakimś cudem był w stanie zobaczyć, o czym pomyślałam. Samo wyszło. To było jak w dziwnych snach, kiedy widzisz siebie robiącą dziwne rzeczy swojemu optykowi i potem musisz wyczyścić okulary z powodu, o którym nie chcesz więcej myśleć.

– Pomyślałaś o czymś miłym? – zapytał Joe, a jego głos brzmiał inaczej niż dotychczas.

Zadrzałam i nie miało to nic wspólnego z lutowym powietrzem na balkonie: – Eee, tak.

Uśmiechnął się delikatnie i w kącikach oczu pojawiły się zmarszczki.

– Mam nadzieję, że nie zrobiłaś tej gwieździe prezentacji propozycji budżetu – powiedział, wskazując głową w stronę nieba.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Znowu zaczęło się furkotanie w żołądku.

– A ty, czy ty o czymś pomyślałeś? – zapytałam zamiast tego. – Widząc helikopter?

Spojrzał na mnie z trochę bardziej poważnym wyrazem twarzy niż przed chwilą. Furkotanie podniosło mi się wyżej, aż do serca, sprawiając, że podniosły się wszystkie małe włoski na przedramionach.

– Tak – powiedział. – Pomyślałem.

Patrzyliśmy na siebie i czułam, jak zaczyna brakować mi tchu.

– Joe? Joe! Joe! – ktoś wołał w środku mieszkania.

Laurence – poznałam po panice w głosie.

– Twój tata – powiedziałam.

– Wiem – odpowiedział Joe, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Brzmi, jakby był przerażony.

– Pewnie zostawiłem otwartą lodówkę. – Joe przygryzł wargę, jakby się zastanawiał, jak powiedzieć to, co chodzi mu po głowie, a mnie znowu przeszedł dreszcz, gdy patrzyłam jak jego piękne równe, białe zęby gryzą lekko delikatną powierzchnię dolnej wargi. – Rosie... – zaczął.

– Co wy tu robicie? – Laurence pojawił się w drzwiach. – Lodówka była otwarta na oścież! Ja tam mam witaminy wrażliwe na temperaturę!

– Gwoli ścisłości, to nie było to, o czym marzyłem. – Joe wciąż patrzył w moje oczy.

Drżał każdy włoszek na moim ciele. W półmroku Londynu był jeszcze bardziej przystojny. I ciągle zakochany w kimś innym. Coś rozdarło się we mnie z żalu i tęsknoty. Los zsyłał mi mężczyznę, który wiedział, jak kochać kobietę – lecz to nigdy nie miałam być ja.

– Wiem – powiedziałam i weszłam do środka.

Rozdział dwudziesty trzeci

Oczywiście wierzyłam w magiczną siłę spełniania życzeń równie mocno jak w rychłe zamążpójście po złapaniu bukietu czy w zapobiegające rozwodom moce niebieskiej podwiązki i sześciopensówki w bucie.

Zatem naprawdę nie oczekiwałam telefonu, jaki otrzymałam od Charliego Nevina – fotografa ślubnego, w piątek rano.

Byłam zajęta przygotowywaniem listy dla nowej panny młodej, którą wpisałam na zimowy ślub w grudniu i właśnie sięgałam po spis fotografów, gdy zadzwonił Nevin we własnej osobie.

– Nevin! – powiedziałam radośnie. – W samą porę.

– To dobrze – odpowiedział. – Chyba?

Nevin należał do moich ulubionych fotografów ślubnych, z którymi współpracowaliśmy, najczęściej go polecałam. Podzielał moją wiarę w planowanie do tego stopnia, że mieliśmy opracowaną strategię na wypadek burz, przerw w dostawach prądu, mżawki, śnieżycy oraz różnych kluczowych współpracowników, którzy mogliby nie przyjść do pracy. Częścią naszej umowy było to, że mógł pojawiać się na wstępnych spotkaniach z panną młodą, by móc omówić (zawetować) jej pomysły. Był uprzejmie bezpośredni, w sposób, który pozwalał porozumieć się z większością niezdecydowanych par. Jeśli był w okolicy i miał chwilę czasu, wpadał na spotkania i tak, pomagając w podjęciu decyzji.

– Pewnie nie miałbyś ochoty wpaść do nas na spotkanie z uroczą parą planującą ślub w grudniu, prawda?

– Byłbym zaszczycony. – Nevin miał również manierę mówienia, którą zachwycaly się wszystkie matki, brzmiał jak żywcem wzięty z *Dumy i uprzedzenia*. – Lecz dzwonię z prośbą o przysługę.

– Jeśli chodzi o powtórkę z sesji ślubnej, to oczywiście. Wiesz, że uwielbiamy nadgodziny i okazje, by się wystroić.

– Ha! Jednak to nie to. To jest bardziej zuchwała prośba – kontynuował – lecz dla wyjątkowego klienta – mówiąc krótko, zarezerwowali inny hotel, pełen pakiet, miesiąc miodowy też tam, pełna ceremonia, bez oglądania się na koszty – lecz nastąpiła pomyłka, ktoś coś pomieszał, kompletne szaleństwo i teraz ona i jej facet muszą na szybko znaleźć coś innego, jak najszybciej. Pewnie nie masz wolnych terminów w czerwcu, prawda?

W czerwcu? Najbardziej popularnym miesiącu ślubnym w roku? Już miałam powiedzieć *Chciałbyś*, gdy wtem zdałam sobie sprawę, że mam. Miałam cały weekend wolny. W czerwcu właśnie.

Serce zaczęło mi bić jak oszalałe.

– Planowali dwudziestego czerwca – mówił dalej z wyczuwalną nadzieją w głosie. – Zaproszenia już poszły, sukienka i kwiaty zamówione, większość spraw w ruchu, więc jeśli jakimś cudownym zrządzeniem losu masz tę datę wolną...

– Dwudziestego czerwca?

– Myślę, że będą skłonni wynagrodzić twoje zaangażowanie, jeśli ci się uda. Nie ograniczają się za bardzo z budżetem.

– Tak się składa, że dam radę ich wcisnąć. – Zaznaczyłam datę 20 czerwca w kalendarzu na komputerze i przygotowałam się do notowania szczegółów.

– Naprawdę? – Był pod wrażeniem.

– Dla ciebie, Nevin. Dla nikogo innego.

– Poczekaj, ale nie zostawiasz jakichś biednych ludzi na lodzie z tego powodu? – Był fotografem, lecz miał też skrupuły.

– Nie pytaj, Nevin, bo ci odpowiedzą.

– Cudownie. Jesteś zbyt miła – słyszałam uwielbienie w jego głosie. – Teraz mogę ci powiedzieć – dodał radośnie. – Panem młodym jest aktor – Benedict Quayle.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Benedict Quayle? Ten z serii *Dark Moon*? – Widziałam tylko

pierwszą część trylogii, ale Gemma była jego zagorzałą fanką. Nikt z nas nie zapomni dnia, w którym stała w kolejce za Lorenzo della Chiamo w dziale spożywczym Harrodsa. Głównie dlatego, że Gemma lubiła o tym przypominać przynajmniej raz w miesiącu lub przy każdej sałatce z makaronem, którą jadła („Lorenzo” kupował bezglutenowe świderki, więc musieli być bratnimi duszami).

– Tak! On. Jego narzeczona też jest aktorką, ale jeszcze nie sławną, nazywa się Emily Sharpe. A niedogodność polega na tym, że oboje pracują teraz w Ameryce. On kręci... jakiś nowy film z serii o księżycu.

– *Powrót światła.*

– Być może. Emily również w nim gra i jeszcze w jakiejś sztuce czy filmie, jak mniemam. Nie za bardzo się w tym orientuję.

– Dlaczego zaangażowali fotografa, by reorganizował ich wesele? Nie mieli organizatora?

– Nie, korzystali z usług organizatora ślubów w tamtym hotelu. Drużba i główna drużna są za to na miejscu, w Londynie, gotowi do pomocy, lecz Emily zwróciła się do mnie z prośbą o rekomendację miejsca. Jest tak zdenerwowana, jak tylko możesz sobie wyobrazić, ale wiem, że będziesz potrafiła ją uspokoić. Rosie, tylko ty potrafisz sprawić, by miała lepszy ślub, niż straciła.

– To bardzo miło, że o mnie pomyślałeś. Zrobię co w mojej mocy – zapewniłam go.

Byłam tak podekscytowana, że mogłabym skakać z radości po biurze. Nie tylko ślub, który wypełni czerwcową dziurę, ale ślub gwiazdy! I to gwiazdy, która popularnością bije Florę na głowę!

Mały wewnętrzny głosik z tyłu głowy zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, że ktoś zrobił podwójną rezerwację na termin zajęty przez gwiazdę, ale uciszyłam go natychmiast.

– Zawsze wiedziałem, że potrafisz czynić cuda, ale to jest fantastyczne – powiedział Nevin. – Mogę im podać twój numer? Pewnie nie muszę tego mówić, ale zależy im na prywatności. Nie mogę pisać słówka, że

najbardziej pożądanym wampir z Transylwanii bierze ślub.

– Istota zmiennokształtna. Z Wenecji – powiedziałam automatycznie, myśląc o ochronie wynajętej na ślub Flory. Genialnie. Nie będę musiała odwoływać. Nienawidziłam odwoływania ochrony.

W każdym razie, pomyślałam, odkładając słuchawkę z cichym „tak!”, będę potrzebowała przynajmniej dwóch ludzi, by trzymać Gemmę z dala od Benedicta. Kolejny dobry powód, by zatrzymać tę wiadomość dla siebie.

Wykonano telefony, wysłano emaile i pierwsze spotkanie z reprezentantami ślubnymi Benedicta Quayle’a i Emily Sharpe zaplanowano na koniec tego tygodnia.

Tak jak obiecałam Nevinowi, nikomu o tym nie powiedziałam. Nie mam pojęcia, co zrobiłaby Gemma, dowiedziawszy się, że w budynku jest ktoś, kto wie, jakie sałatki z makaronem lubi Benedict Quayle, albo ile nasłuchałabym się od Laurence’a, gdyby nic z tego nie wyszło. Ciągłe był na ziółkach uspokajających po stracie Flory i jej rezerwacji.

Część mnie chciała powiedzieć Joemu, by udowodnić, że jego blef ze spadającą gwiazdą zadziałał, ale od Flory wrócił do swojego starego podejścia „śluby są dla snobów, którzy chcą się popisać przed znajomymi” i całą uwagę przerzucił na zmianę sposobu prania w Bonneville, by było bardziej przyjazne środowisku – doprowadzając Jean do szewskiej pasji. Poza tym wyjątkową przyjemność sprawiało mu przypominanie nam o tym, że nie rozumie, dlaczego Gemma czyta na głos sekcję z zaręczynami magazynu Heat, skoro on nie ma pojęcia, kim są ci wszyscy ludzie.

I tak nie mogłabym nikomu powiedzieć, ponieważ podpisałam specjalny kontrakt przysłany mailem przez agentkę Benedicta Quayle’a. Ciągnął się bez końca. Missy Hernandez nie miała co prawda uczestniczyć w naszych spotkaniach osobiście, ale udało jej się bardzo zaistnieć w mojej skrzynce mailowej.

W dzisiejszy czwartkowy poranek przysłana przez nią wyczerpująca lista wymagań bezpieczeństwa pojawiała się w osobie pełnomocników

Bena i Emily: głównej druhny Chloe i drużby Magnusa. Nie byli razem.

– Nie jesteśmy razem, on i ja – poinformowała mnie Chloe, wskazując palcem przestrzeń pomiędzy nią i Magnusem, zanim zdążyłam przejść przez „Witajcie w hotelu Bonneville”.

– A byłabyś szczęściarą, słonko – powiedział Magnus, zanim zdążyłam zareagować na jej słowa.

– Nie, szczęściarą jestem już teraz. – Chloe była Amerykanką, ale świetnie wyczuwała brytyjski sarkazm. – I proszę bez „słonko”. Nie jestem sprzątaczką twojej matki.

– Przepraszam – odpowiedział Magnus i zamilkł z uśmiechem na twarzy. Wiedziałam, co zaraz nastąpi.

Chloe również:

– Nie mów też „maleńka” – dodała, nawet przez moment nie przestając się do mnie uśmiechać.

– Wybacz mi. „Kochanie”?

. . .

– Magnus. Czy ty widzisz, żeby to działało?

Pierwsza fala nerwowego bólu głowy zaczęła naciskać na moje skronie. Zanim ich poznałam, cieszyłam się, że Chloe i Magnus przychodzą jako para. Takie było też założenie, by każdy, kto zobaczy ich w Palm Court, myślał, że są parą planującą wesele w naszym hotelu. Iskry między nimi dodawały tylko autentyzmu. To nie było normalne iskrzenie w przypływie niepohamowanego miziania się za drzwiami. Bardziej jakby nie mogli się zdecydować, czy pokłócić się na poważnie i czym zacząć w siebie rzucać. Innymi słowy, rodzaj furii, jaka pojawia się po tygodniach przepełnionych kłótniami, która matka ma być w zielonym, a która ma mieć większy kapelusz.

Mimo wszystko udało mi się ich sprowadzić na bardziej pozytywne tory, jak tylko powitałam ich w Bonneville i wyraziłam współczucie z powodu niefortunnego zajścia z pierwszą rezerwacją.

– Wyszło na dobre. – Chloe zakładając nogę na nogę, wyglądała na oburzoną. – O Boże, wyobrażasz sobie, jaka mogła być z tego katastrofa, skoro już teraz była taka niezorganizowana? Współczuję klientom, którzy załapali się na tę datę. Ta kobieta jest niepoważna. Nie rozumiem, jak to mogło się stać.

Magnus wrzucił dwie kostki cukru do filiżanki i mieszał zawzięcie, dzwoniąc łyżeczką w ścianki naczynia, powodując teatralne mrugnięcia Chloe.

– Albo ktoś bardziej sławny przebił ich kasę. Mogę się dowiedzieć, znam, kogo trzeba.

Nawet nie obróciła głowy: – Magnus, zachowaj fason. To ważne, byśmy skoncentrowali się na rzeczach do zrobienia. Szczególnie teraz, gdy Emily nie może sama wszystkiego dopilnować. Myślę, że tym bardziej musimy upewnić się, że wszystko jest idealnie zaplanowane.

Jak się wkrótce dowiedziałam, Chloe była prawnikiem, młodszym wspólnikiem w firmie prawniczej specjalizującej się w prawie rodzinnym. Była bardzo przyjacielska, niestety jak nalewałam kawę, położyła na stole swój telefon z otwartą aplikacją zegara, jakby zamierzała mnie naliczyć za każde przekroczenie czasu. Zdecydowałam nie rzucić żartem, czy Emily i Benedict podpisali z nią intercyzę.

Magnus zajmował się czymś w nieruchomościach. Był przystojny, na swój nonszalancki chłopięcy sposób, niestety nosił też żółte skarpetki, które trochę przypominały mi Dominika. I ten sposób, w jaki śmiał się z własnych żartów i zwracał do Chloe i mnie. Może wyczerpała mi się tolerancja, odkąd Dominik zniknął z mojego życia.

– Długo się znacie? – zapytałam, by odepchnąć natrętne myśli o Dominiku.

– Znam Emily od szkoły z internatem – Chloe odpowiedziała na pytanie, na które chciała odpowiedzieć. – Mój tata jest Anglikiem i tu chodziłam do szkoły. Em i ja mieszkaliśmy razem w Londynie, jesteśmy bardzo blisko.

– Chociaż od dawna jej nie widziałas, prawda? – Magnus bawił się

ciasteczkami, dotykając każdego po kolei, decydując się w końcu na Bourbon Cream^[10]. Delphine piekła je osobiście, specjalnie upodabniając wzór, by wyglądały jak ze sklepu.

– Byłam strasznie zajęta pracą, latając w tę i z powrotem – wyjaśniła mi Chloe. – Oczywiście od roku Emily i Benedict są w Stanach.

– To teraz, odkąd stał się sławny, nazywamy go Benedictem? – zapytał Magnus. – Pomimo tego, że odkąd go znam, czyli przez jakieś dwadzieścia pięć lat, był Benem?

Chloe w końcu odwróciła głowę i spojrzała na niego z pogardą. – Skąd mam wiedzieć, ja go znam raptem od siedmiu lat, odkąd jest z moją przyjaciółką.

– W tę i z powrotem – powiedział Magnus. – Siedem lat w tę i z powrotem.

– Włączyłeś stoper?

Pozwoliłam sobie na wewnętrzny uśmiech i nalałam filiżankę herbaty, by go ukryć. Siedem lat z tą dwójką użerającą się jak teraz, dobry Boże. Nic dziwnego, że Emily i Benedict zdecydowali się wyjechać do Ameryki. Jeśli byli w Ameryce. Ja na ich miejscu pojechałabym do Glasgow, ustawiła zegar w mailach na odpowiednią strefę czasową i tyle, byleby tylko uciec od tych dwojga.

Daj spokój, Rosie, przełącz się na swojego wewnętrznego Joego. Zacznij się tym bawić. Docień ich iskrzenie. Wyobraź sobie, że robisz wielką awanturę o kolor krawatów dla drużbów...

W każdym razie... – powiedziałam, próbując powrócić do meritum. – Chciałabym was oprowadzić i powiedzieć kilka słów o tym, jak u nas wyglądają śluby, gdzie się odbywają, jakie są opcje przyjęcia. Możemy spróbować odtworzyć to, co Emily i... em... Benedict planowali, albo stworzyć coś zupełnie świeżego.

– Myślę, że to powinno być coś szytego na miarę – powiedziała Chloe zdecydowanym tonem.

– Szytego na miarę? To wesele. Nie trzyrzędowy garnitur – zaproponował

Magnus. – Dzięki Bogu Ben zamówił wcześniej smoking. Do rzeczy – dodał, puszczając do mnie oko. – Kawalerski będzie, jak był. Jazda po torze, potem paintball, a o reszcie nie wspominamy.

– Na razie – powiedziała Chloe złowrogo. – Chyba nie widziałeś opisu ryzyka rajdu przysłanego przez Missy? O niewspomnianej rzeczy nie mówiąc. Powodzenia z pogodzeniem tego z umową ubezpieczeniową Benedicta.

Spojrzałam na Chloe, potem na Magnusa i zobaczyłam tygodnie przed nami naznaczone sztucznymi uśmiechami. Po raz pierwszy w mojej karierze byłam wdzięczna za to, że do ślubu zostało tylko dwanaście tygodni.

– Może wiecie, czy Emily lub Benedict byli kiedyś w Bonneville? – zapytałam. – Jestem bardzo szczęśliwa, że mamy możliwość zorganizować ich ślub, tym bardziej byłoby miło, gdybyśmy mogli odtworzyć wspomnienia, jeśli je mają?

Chloe pokręciła głową: – Nie wydaje mi się. Ale Emily bardzo chce odbyć z tobą wideorozmowę i wszystko obejrzeć, jak tylko znajdzie chwilę. Chce poczuć to miejsce. Oczywiście będę nagrywać dla niej wszystkie nasze rozmowy.

Zerknęłam na telefon: – Naprawdę?

– Główne wątki.

– Dobrze! Cudownie! – Złapałam się na nachylaniu nad telefonem. – Cudownie!

Ups. Nie. Dziwnie wyszło. Usiadłam z powrotem, marząc, by Joe wszedł i roztoczył swój czar nad tą dwójką.

A potem sobie przypomniałam, że nikt nie może o tym wiedzieć. Kurde.

– Em ma nadzieję wrócić w przyszłym miesiącu. – Twarz Chloe rozjaśniła się i po raz pierwszy wyglądała na podekscytowaną. – Musi zagrać jeszcze kilka scen do rólki, którą ma w filmie Benedicta, więc jej kalendarz jest dość chaotyczny, ale trzymamy kciuki, by wróciła jak

najszybciej. Szkoda by było, gdyby ominęły ją najfajniejsze rzeczy, jak degustacje na przykład. – Uniosła kciuki schowane w pięściach.

Uśmiechnęłam się i uniosłam swoje.

Może spadające helikoptery spełniały tylko po pół życzenia. Na pozostałe pół trzeba było sobie zapracować.

Rozdział dwudziesty czwarty

Ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich, głównie jednak mojemu, majowy ślub Helen i Wynna nie miał odbyć się w hotelu, pomimo że Laurence zaoferował w prezencie darmową salę i restaurację, apartament nowożeńców i usługi najlepszego organizatora w mieście (mnie).

Helen przyjęła hojną ofertę najlepszego organizatora, podziękowała jednak za całą resztę, decydując się na ślub w małej walijskiej kaplicy w centrum, gdzie „należycie śpiewają” – zdaniem Wynna i jest piękne tło do fotografii – zdaniem Nevina, którego wynajęli „po starej znajomości”.

– To bardzo miłe ze strony Laurence’a – wyjaśniła Helen na pierwszym oficjalnym organizacyjnym lunchu w pubie niedaleko kaplicy – ale ja już i tak czuję się trochę poślubiona temu hotelowi. Nie chcę jeszcze zostać poślubiona w hotelu. A mamie Wynna zależy na prawdziwie walijskiej uroczystości. Cała rodzina przyjeżdża autobusem. Będzie też chór.

Wynn przytaknął. Wziął wolne przedpołudnie, by wybrać zespół, i już wyglądał, jakby miał dość. Jako że z natury był dobronudszym facetem, ukrywał swój nastrój, przytakując często i (prawdopodobnie) myśląc o swoim wieczorze kawalerskim, jako że Helen zgodziła się, by był to międzynarodowy mecz rugby.

– Będziesz zadowolona, gdy ci powiem, że Helen wybrała już swoją świtę – powiedział mi. – Nie będzie castingów czy ważenia.

– Będziesz tylko ty i Joe – potwierdziła Helen, wcinając swoją porcję steak pie. – Może jeszcze Gemma, jeśli obieca nie płakać, jak to robi na pozostałych ślubach. Takich sobie wymyśliłam druhów. Ustanawiam nowe trendy. Co? – Przyjrzała mi się, z widelcem ponad kruchym ciastem.

– Nie jesteś pierwszą panną młodą, jaką widzę, która je więcej po oświadczeniach niż przed – skomentowałam.

Na te słowa Helen prychnęła i sięgnęła po sos pomidorowy: – To był

długi poranek. Jestem głodna. Jaki sens iść na dietę w czasie, gdy najbardziej potrzebuję energii? Mamy marzec, wesele jest za niecałe dziesięć tygodni. I tak nic nie schudnę w tym czasie. A nie chcę być jak ta dziewczyna, którą zaszyli w sukienkę i karmili baklawą na siłę, a ona potem i tak zemdlą przy torcie.

Wynn był w szoku.

– Delphine dostała szału – wyjaśniłam. – Nie da się łatwo naprawić tortu z odciskiem twarzy na górnej warstwie.

– Ale przynajmniej dzięki francuskim przekleństwom szybko odzyskała przytomność.

– A ja chciałbym poślubić tę piękną kobietę, którą poznałem – powiedział Wynn. – Nie jakąś chudą podróbkę po solarium. – Przeszał uśmiechać się do Helen na chwilę wystarczającą, by mi się uważnie przyjrzeć. – Helen opowiadała, co się dzieje z kobietami, gdy wylądują na ślubnej taśmie produkcyjnej. Twoje zadanie jako głównej drużyny polega na tym, by ona się w ogóle nie zmieniła. Proszę.

– Ooo, dzięki, kochanie – powiedziała Helen, biorąc go za rękę.

– Błagam, przestańcie – poprosiłam słabo.

Wynn zostawił nas i wrócił do pracy, a my złapałyśmy autobus przez centrum. Był piękny wiosenny poranek, jeden z tych, gdy wszystko wydaje się świeże i radosne, gołębie błyszczą, odbijając skrzydłami światło, a ludzie uśmiechają się do siebie, idąc chodnikiem.

– Jesteś w dobrym humorze – zauważyła Helen, gdy wysiadłyśmy na Leicester Square i przedzierałyśmy się przez tłumy turystów, idąc w kierunku Piccadilly i hotelu.

– Tak?

– Tak. – Przyjrzała mi się krytycznie. – I wiem czemu.

– Czemu? – Uśmiechnęłam się dobrodusznie do stojącego japońskiego turysty i nie powiedziałam mu, że najważniejszą zasadą poruszania się po Londynie jest nie przestawać się poruszać, nawet gdy oznacza to chodzenie w kółko.

– Bo przeszło ci z Dominikiem.

Zaskoczyła mnie pewność w jej głosie. Oczekiwałam raczej „bo świetnie ci idzie w pracy” albo „bo Tatler napisał o ślubie Tiffany Noakes”. Jednak... miała rację. Minęło mnóstwo czasu, odkąd zajrzałam do recenzji Dominika, wbijając paznokcie w dłoń, widząc słowa Betty. Nawet zapomniałam, że dzisiaj powinien ukazać się kolejny felieton.

Kurczę.

– Widzisz? – Helen wskazała na mnie palcem. – Mam rację, prawda?

– Być może – powiedziałam i zdałam sobie sprawę, jak szczęśliwa jestem z tego powodu. Albo raczej że nie czuję się już smutna. Jakby odpadł strup, a pod spodem była tylko gładka, zagojona skóra.

Jak to się stało? Jak to możliwe, że te wszystkie dni wypełnione nieszczęściami tak po prostu zniknęły... prawie niezauważalnie?

– Myślałam, że dłużej to potrwa – westchnęłam głośno. – Ech.

– I wiem dlaczego – mówiła dalej.

Dotarliśmy do przejścia dla pieszych na skrzyżowaniu Piccadilly Circus i czekałyśmy na zmianę świateł, by czarno-czerwona wstęga czarnych taksówek i czerwonych autobusów pozwoliła nam zmienić stronę, uchylając się przed kurierami na rowerach.

– Jaki jest tego powód, twoim zdaniem? – Zerknęłam na nią. – Nie mów, sama powiem – praca. Pracowałam jak szalona i byłam zbyt zajęta, by zawracać sobie głowę głupimi recenzjami Dominika. To dobrze, więc chociaż raz nie dawaj mi wykładu pod tytułem „Za Ciężko Pracujesz, Zaczynaj Życ”.

Helen spojrzała na mnie pogardliwym wzrokiem, zarezerwowanym zwykle dla kelnerów, którzy nie potrafili nieść więcej niż trzech talerzy naraz: – Co? Przecież to w ogóle nie o to chodzi.

– Oczywiście, że o to.

– O miłość Boską... oczywiście, że nie.

– W takim razie o co? Zamierzasz powiedzieć, że to dlatego, że wcale nie kochałam Dominika?

Do tej pory Helen nie wpadła jeszcze w ton większości zadowolonych z życia narzeczonych i zamężnych innych szczęściem z powodu odnalezienia tego jednego, lecz zawsze jest ten pierwszy raz.

Patrzyła na mnie dłuższą chwilę; potem nad przejściem pojawił się zielony facecik i powiedziała: – Jeśli nie wiesz, ja ci nie powiem. Sama musisz do tego dojść.

– Co? A co to ma znaczyć? – Minęła mnie i mogłam tylko podziwiać jej nieskazitelną dobieraną warkocz z tyłu głowy. Gdy ją dogoniłam, zmieniła temat na woalki i to, czy wygłoszenie słów przysięgi po walijsku, by zaskoczyć Wynna, byłoby w stylu Grace Kelly.

. . .

I tak skończył się marzec, a zaczął kwiecień, zakwitły klomby w ogrodzie, kapelusze stały się mniejsze, a buty bardziej odkryte, a my nieuchronnie zbliżaliśmy się do pracowitych weekendów maja i czerwca.

Kobiety, które jesienią były zaręczone, w obliczu nadchodzących wydarzeń zachowywały się jak opętane: Jessie Callum tak poważnie podeszła do opracowania choreografii pierwszego tańca, że ona i jej narzeczony kończyli kurs tańca towarzyskiego, Daisy Wallace przeszła tak radykalną metamorfozę, że musiałam jeszcze raz zrobić jej zdjęcie do Ślubimarka, inaczej bym jej nie poznała na degustacji tortu (była na drakońskiej diecie, więc to ja musiałam jeść i opisywać wrażenia). Iście hollywoodzki budżet Bena i Emily oraz kilka imprez zamówionych na ostatnią chwilę naprawiły mój budżet. Zaczęłam szukać kawalerek, na które będzie mnie stać, gdy dostanę premię, ale robiłam to mało entuzjastycznie. Będę szczerą – nie spieszyłam się z wyprowadzką z mieszkania na piętrze.

Laurence, Joe i ja żyliśmy zgodnie, akceptując swoje dziwactwa. Laurence'a prawie nigdy nie było wieczorami, ponieważ albo spędzał czas z kolegami, albo w centrum medycznym. Joe i ja mieliśmy więc dużo

czasu dla siebie, chociaż jego wypadki na siłownię i moje godziny pracy sprawiały, że były to raczej spotkania późnym wieczorem, gdy nadrabiał zaległości w serialach telewizyjnych, które ominęły go, gdy był w Stanach. Ustawiliśmy wieżę z DVD tuż przy telewizorze, a płyty przesuwaliśmy w górę lub w dół, w zależności od pozycji w naszym prywatnym rankingu. Nie miałam nic przeciwko oglądaniu telewizji z Joem, tłumaczeniu kulturowych niuansów, które się pojawiły przez te wszystkie lata, i jedzeniu pizzy, gdy siedzieliśmy na sofie. On chyba też nie miał nic przeciwko mojemu towarzystwu. I chociaż nigdy więcej nie wspominaliśmy o moim porzuceniu ani o Dziewczynie, Która Złamała Mu Serce, rozumieliśmy się coraz lepiej, czasem nawet w tym samym czasie krzywiliśmy się na zerwania na ekranie czy dziwne pożegnania – nic jednak nie mówiliśmy. Czasami przyjaźnie polegają bardziej na tym, czego nie mówisz, niż na tym, co robisz.

Krótko mówiąc, życie wydawało się łatwiejsze. Nie wiedziałam jednak dlaczego. To mogło być przez pogodę, była połowa kwietnia i Green Park zalane było ludźmi spragnionymi lata. To mogło też być przez dwie panny młode z 2012 roku, które spodziewały się dziecka i zadzwoniły zapytać, czy mogłabym zorganizować również chrzest w Bonneville. (Oczywiście, że tak! Oferowaliśmy nawet specjalne zniżki z tej okazji). Przyczyna mogła też tkwić – tylko się nie śmiejcie – w helikopterach medycznych i zmywaniu – za każdym razem, gdy stałam przy kuchennym zlewie i widziałam na niebie światełka helikoptera, automatycznie wypowiadałam życzenie, myśląc o czymś przyjemnym. Cokolwiek powodowało ten przyływ słońca w moim życiu, skumulowało się pod koniec kwietnia, gdy trzy rzeczy wydarzyły się nieoczekiwanie.

Pierwszą z nich był dziwny telefon, który odebrała za mnie Gemma. Dzwoniła klientka, która przedstawiła się jako Janet.

– Janet? – Zdziwiłam się. – Naprawdę? Chyba nie mamy klientki o tym imieniu...

– Brzmiała, jakby cię znała – powiedziała Gemma. – Pytała konkretnie o ciebie. Chce się spotkać w Wolseley, jutro, o godzinie, która ci pasuje.

– Nie tutaj? Nie w hotelu? – Dziwiłam się.

– Tak powiedziała. Zadzwoń do niej i umów się.

Tak zrobiłam. Okazało się, że Janet nie jest potencjalną panną młodą. Nawet nie nazywa się Janet. Jak się okazało, przy stoliku ukrytym w rogu siedziała Mary Waters, szefowa HR hotelu, który zostawił Emily i Benedicta na lodzie.

– Pani McDonald, wiem, że jest pani niezwykle zajęta kobietą, więc przejdę od razu do rzeczy – powiedziała sucho i nie patrząc na kelnera, zamówiła czarną kawę bez cukru, jajka na grzance z sosem obok, bez masła. – Właśnie pożegnaliśmy się z naszą dotychczasową event managerką, Loren Symons, nowe podejście, nowe wyzwania, bla,bla, bla...

Wywalili ją po prostu na zbity łeb. No i naprawdę powiedziała „bla, bla, bla”. Oto jak Mary Waters zareagowała na stratę ślubu z pierwszych stron kolorowych pism.

– Bardzo mi miło poinformować panią, że przydzielono mi zadanie znalezienia kandydatki lub kandydata, który sprowadzi nasz kalendarz imprez na właściwy tor – kontynuowała Mary, odsyłając koszyk chleba z miną, jakby zawierał zużyte chusteczki. – Kogoś z wizją, ambicjami, kogoś, kto pchnie naszą markę na międzynarodowe rynki. Od dawna podziwiam to, co pani robi dla Bonneville, mając – powiedzmy szczerze – bardzo ograniczony budżet i zespół nie z pierwszej ligi. Jesteśmy w stanie zaproponować pani pracę w hotelu o znacznie wyższym standardzie, większy i oddany zespół, większą pensję i, oczywiście, pakiet dodatków na zachętę.

Aż chodziłam z podekscytowania, nikt nigdy nie chciał mnie podkupić. Również kawa była dużo mocniejsza niż w Bonneville.

– Czy byłabym odpowiedzialna za wszystkie wydarzenia w hotelu? – zapytałam spokojnym głosem, który wcale nie brzmiał jak mój własny. Próbowałam objąć rozumem wszystkie pojawiające się możliwości: byłam na ślubie w tym hotelu z Dominikiem i było to cudowne miejsce, na każdą uroczystość. Trzy sale ślubów, w pełni wyposażona sala konferencyjna,

kino, możliwość przyjęcia kilkuset gości, specjalna szklarnia przygotowująca kwiaty tylko i wyłącznie na potrzeby hotelu, restauracja nagrodzona gwiazdką Michelin... Spojrzałam na twarz Mary i dodałam łamiącym się głosem: – Czy tylko za śluby?

– Cóż, wydaje się, że specjalizuje się pani w konkretnym typie ślubów. Diabeł tkwi w szczegółach. Oczywiście, monitorujemy naszą konkurencję, więc wiemy, że cechuje panią niezwykła dbałość o szczegóły. – Spojrzała na mnie konspiracyjnie. – Wypytywałam pani klientki i wszystkie były bardzo zadowolone.

– Naprawdę? – O mały włos nie dodałam *Które?*

– Oczywiście. To najlepsze referencje. Dziwię się, że nie piekły panią uszy. Więcej niż jedna powiedziała, że wszystkie decyzje wzięła pani na siebie. – Skinęła z aprobatą. – Musi pani mieć znakomite wyczucie klienta. Nie ma nic gorszego od przyszłej panny młodej podejmującej decyzje pod wpływem impulsu.

Uśmiechnęłam się, lecz po jej słowach mój samozachwyty trochę zbladł. *Panna młoda podejmująca decyzje pod wpływem impulsu? Co?*

To brzmiało jak pełna kontrola. To była kontrola. Na pewno mówiłam o tym Helen. Powiedziałam też tak do Joego: lepiej prowadzić pannę młodą w kierunku decyzji, o której wiedziałam, że będzie dla niej najlepsza, niż zdać się na jej pozbawiony glukozy osąd. Oczywiście, żartowałam, mówiąc to, jednak...

Poczułam chłód. Mary brzmiała, jakby była bardzo zadowolona z siebie. Ja też tak brzmiałam?

Mary w ogóle nie wyglądała na zbitą z tropu. Przyniesiono jej jedzenie i zaczęła pałaszować je w pośpiechu, mówiąc: – Dyrektorzy chcieliby z tobą porozmawiać nieoficjalnie i omówić twoją potencjalną rolę w naszej organizacji. Jak wiesz, mamy siostrzane hotele w Nowym Jorku i Paryżu, miałybyś możliwość trochę pozowiedzać.

Zepchnęłam obawy na boczny tor. Na chwilę. W tym roku zmieniałam trochę styl ślubów. Może nie tyle zmieniałam, ile sam ewoluował.

– Czy mogłabym wziąć razem z sobą mój zespół? – Myślałam o Gemmie i – tak – Helen i Joem. Nawet o Delphine. To dzięki nim śluby w Bonneville były, jakie były. Rozumieliśmy się bez słów. Znali moje dyskretne gesty oznaczające „pijana drużna”, „zaginiony drużba”, „nagła sytuacja – panna młoda w toalecie”.

Przypomniało mi się zajście z rozhisteryzowaną panną młodą w wielkiej krynolinie, która przedawkowała szampana i nie mogła się zmieścić do kabiny. Helen ołśniło, by wziąć stary nocnik Ripley z mieszkania Laurence’a. Główna drużna zgłosiła się, by go przytrzymać, w zamian za uprzywilejowaną pozycję w pierwszym rzędzie podczas rzutu wiązanką. Na całe szczęście panna młoda widziała komizm sytuacji.

Głos Mary sprowadził mnie na ziemię.

– Mamy już zespół specjalistów w tym dziale – powiedziała i usłyszałam nie. Usłyszałam również *Hotel, który nie ma nocników w Teletubisie na podorędziu*.

Usiadłam wygodniej w fotelu.

– Muszę to wszystko przemyśleć – przyznałam. Nie potrafiłam być opanowana. To było zbyt niesamowite. Chciano mnie podkupić!

– Nie oczekuję decyzji w tym momencie. – Mary uśmiechnęła się w moją stronę, jak gdyby oferta była tak niesamowita, że nawet stary wyjadacz w tej branży musiał się zastanowić, by ją objąć. – Chciałam po prostu przedstawić ci ofertę osobiście. Przemyśl ją i odezwij się. Taka oferta daje mnóstwo możliwości. Jak wiesz, takie wakaty nie zdarzają się codziennie, zależy nam na znalezieniu odpowiedniej osoby. A wierzę, że ty, Rosie, jesteś taką osobą.

– Dziękuję – odparłam. Nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć.

Wracałam do hotelu powoli, spacerując słoneczną stroną Piccadilly. Wyobraziłam sobie siebie jako ekskluzywnego event managera. W eleganckim garniturze, bardziej w designerskim stylu Helen niż moim – z sieciówki, śluby o wielkim budżecie, delegowanie asystantkom nudnych zadań, jak liczenie krzeseł i ustawianie podarków dla gości...

Zachmurzyłam się. Chociaż czy na pewno? To były miłe czynności, na swój sposób. Lubiłam odhaczać je na liście. A pieniądze nigdy nie były czynnikiem decydującym; lubiłam, by wesele było warte każdego wydanego pensa, bez względu na wielkość budżetu – tak naprawdę to zawsze było wyzwaniem.

Oferta Mary bardzo mi pochlebiała, kusilo mnie, lecz jak tylko wyszłam z za rogu i zobaczyłam eleganckie okna Bonneville błyszczące w południowym słońcu, wygięte mosiężne ornamenty obrotowych drzwi, Franka, naszego nieocenionego odźwiernego, który pomagał właśnie starszej parze wsiąść do błyszczącej czarnej londyńskiej taksówki, poczułam ukłucie czegoś więcej niż tylko satysfakcji z pracy w hotelu ze „średniej półki”.

Tyle się tu nauczyłam. Wszystkiego, tak naprawdę. A teraz, w końcu, gdy wypracowałam sobie renomę i miałam szansę na awans, o którym zawsze marzyłam, nie mogłabym rzucić wypowiedzenia na biurko Laurence’a. Jeśli Mary Waters rozważyła moją kandydaturę na stanowisko event managera, to na pewno Laurence mógłby przyspieszyć swoją decyzję.

Co więcej, nie chciałam zostawiać Bonneville. Nie teraz. Nawet dla pracy w najbardziej eleganckim hotelu w Londynie.

Byłam w hotelu może od pięciu minut, gdy wydarzyła się kolejna nieoczekiwana, przyjemna rzecz.

Joe przerwał mi w Etapie nr 3: Awaryjne sprawdzenie potwierdzeń przybycia gości Daisy Wallace, przynosząc nowy biszkopt testowany przez Delphine. Z jakiegoś powodu był jedną z niewielu osób, którym pozwalała zabierać próbki wprost z cukierni.

– No chodź – zachęcał, gdy próbowałam go zbyć, mówiąc, że jestem zajęta. – Zrób sobie przerwę. Nawet nie wiesz, ile przeszedłem, by to zrobić. Powiedziała, że większość twoich panien nie zasługuje na te ciasta, nie mówiąc już o pracownikach.

Czy brakowałoby mi chłodu Delphine i jej rąk cukierniczego geniuszu? Zastanawiałam się, gdy Joe położył nogi na moim biurku i poczęstował

się blado zielonym biszkoptem, pokrytym włoskim kremem w kolorze kości słoniowej, sypiąc okruszkami na mój interaktywny model ogrodu.

Tak, najprawdopodobniej tak.

– Szukałem cię dzisiaj rano – powiedział Joe z ustami pełnymi ciasta – ale cię nie było. Gdzie byłaś? Godziłaś tę zwaśnioną parę?

– Większość par jest zwaśnionych. Biorą ślub. Musisz podać więcej szczegółów.

– Duży facet w żółtych skarpetkach i sztywna ciemnowłosa dziewczyna. Tylko z daleka ich widziałem. To ta para, z którą nie pozwoliłaś nikomu rozmawiać. – Zmrużył złośliwie oczy. – Chciałem o tym z tobą porozmawiać, wiem, że sknociłem z Florą, ale...

– Co? Nie sknociłeś! To nie była twoja wina.

Wzruszył ramionami i wyglądał na zakłopotanego.

– Mam wrażenie, że cię zawiodłem. Powinienem być coś wyczuć wcześniej. Ale czuję, że to mnie czegoś nauczyło i chciałbym znowu spróbować – spojrzał na mnie z nadzieją. – Może mógłbym pomóc ci przy tym? Jestem dobry w godzeniu zwaśnionych par. My jesteśmy w tym dobrzy.

Przełknęłam ciasto. Miał na myśli Chloe i Magnusa. Albo raczej Benedicta i Emily. Akurat tę jedną parę, z którą Joe – czy ktokolwiek – nie mógł mieć nic wspólnego, a szczerze mówiąc, bardzo przydałaby mi się jego pomoc.

– Eee... z nimi to już prawie załatwione – zabrnęłam. Byłam poruszona tym, że Joe chciał zadośćuczynić stracie Flory. Chciałam z nim pracować... tylko tym razem naprawdę nie mogłam. – Może, ee, mógłbyś przyjść na spotkanie, które mam w tym tygodniu, w sprawie grudnia? Chcą tematykę Gwiazdki z lat pięćdziesiątych.

Joe spojrział na mnie, jakby miał rentgen w oczach.

– Nie ufasz mi? – zapytał prosto z mostu. – Ja naprawdę się staram.

– Wiem – odpowiedziałam szczerze. – I jesteś świetny, i...

Zaczął dzwonić telefon na biurku. Zignorowałam go:

– I chciałabym... naprawdę chciałabym, żebyś – o na miłość Boską.

Joe uniósł brew: – Podnieś. Padniesz, jak tego nie zrobisz.

Tak zrobiłam. To była pełniąca dzisiaj dyżur na recepcji.

– Mam tu dwie znajome twarze do ciebie – powiedziała. – Czy mogę ich zaprosić do ciebie?

Stephanie Miller i Richard Henderson wpadli do hotelu, by zobaczyć mnie i, co zaskakujące, powód ich nieoczekiwanego i niezręcznego odwołania ślubu – Joego „Chcesz pływać nago w morzu? Jeśli nie, to dlaczego?” Bentleya Douglasa.

– Tak się cieszę, że złapaliśmy was oboje – powiedziała Stephanie, uśmiechając się do Joego, który miał na tyle przyzwoitości, by wyglądać na zakłopotanego.

– Mnie? Jesteś pewna? – powiedział.

– Oczywiście. Gdyby nie ten moment olśnienia w zeszłym roku, Rich i ja nigdy nie odbylibyśmy tej rozmowy, która kompletnie zmieniła nasz związek. Na lepsze – mówiąc to, Stephanie dotknęła ramienia Richarda, a on potwierdził jej słowa uśmiechem.

Zauważyłam, że tym razem nie mieli bliźniaczych golfów, był za to inny rodzaj porozumienia między nimi. Wydawali się bardziej zrelaksowani. Bardziej dostrojeni do siebie.

Odwróciła się znowu do nas, a jej twarz wprost promieniała szczęściem: – Chcemy ustalić kolejną datę ślubu. Co masz wolnego w listopadzie?

– Naprawdę chcecie się pobrać? To cudownie! – Zastanawiałam się, czy to nie zabrzmiało zbyt wylewnie? Czy nie wyszłam na zbyt zaskoczoną? – To znaczy, dokładnie na to miałam nadzieję – że wy – nie żebym wiedziała, że wy...

– Nie przeprasza! – Zaśmiała się Stephanie – W porządku. Potrzebowaliśmy kroku w tył. Wszystko było zbyt intensywne; koncentrowaliśmy się na małych rzeczach, nie rozmawiając o poważnych sprawach. To nas przerosło.

– A gdy odwołasz ślub, nie ma tematów tabu – powiedział Richard. – Więc rozmawialiśmy. Trochę od siebie odpoczęliśmy. Mieliśmy czas, by wszystko przemyśleć. Zrozumiałem, że Steph była najlepszą rzeczą w moim życiu. Wprowadziłem parę zmian. Wróciliśmy do siebie. I oto jesteśmy.

Nigdy nie usłyszałam od niego tylu słów w jednym zdaniu. Stephanie ścisnęła jego rękę, lecz patrzyła na mnie i Joego:

– Dziękuję – powiedziała. – Wasze wykolejenie naszego ślubu było najlepszą rzeczą, jaka nam się przytrafiła.

– W takim razie – powiedziałam, czując dziwną przyjemność – tym razem upewnimy się, że to będzie najlepszy dzień waszego życia.

– Chcecie spróbować ciasta? – spytał Joe.

Laurence przysłał szampana i wypiliśmy toast za ich ponowne zaręczyny. Lecz jak tylko Stephanie i Richard wyszli z hotelu, trzymając się za ręce, dopadła mnie dziwna melancholia. Nie byłam z tego dumna, bo to było samolubne, ale nie potrafiłam przestać o tym myśleć. Oni to naprawili. Sprawy Stephanie i Richarda potoczyły się najgorzej, jak tylko mogły, ale jakimś cudem oni je obrócili na swoją korzyść, omówili i, bądźmy szczerzy, teraz mogli stawić czoła wszystkiemu.

Mały głosik we mnie wyszeptał: *A gdyby...*

Odepchnęłam go, ale uporczywa myśl już utkwiała w mojej głowie: *A gdyby...?*

Nie, nie ja i Dominik – to było skończone. Byłam tego pewna, tak naprawdę nigdy nie było naszego początku. Ja i Anthony. Mój własny ślub, który się nigdy nie wydarzył. Czy można było tego uniknąć?

– Skąd ten grymas? – zapytał Joe. – Boisz się, że wpisałaś ich na czyjąś datę?

Pokręciłam głową i ruszyłam w stronę mojego biura, gdzie mogłam tworzyć listy i nie myśleć o tym wszystkim.

Joe nie chciał się odzepić, wprost kipiał energią: – Pozwolisz mi pracować z tobą przy tym ślubie, prawda? Czuję, że jestem im to winien.

A może zaczniemy oferować to jako usługę? Mocne przejścia przed ślubem!

– Nie! – Zatrzymałam się naprzeciwko alkowy wypełnionej wiosennymi kwiatami. W hotelu nie było sztucznych kwiatów – jedna z zasad Caroline.

– Powiedz mi, co myślisz – poprosił cicho po chwili przerwy i wiedziałam, że on wie dokładnie, co działo się w mojej głowie. Był jedną z niewielu osób, która wiedziała.

Nie odwróciłam się do niego, bo nie chciałam, by on, czy ktokolwiek inny, widział moją nieszczęśliwą minę. Udawałam, że sprawdzam kwiaty, a w miarę jak się przesuwałam, Joe obrócił się nieznacznie i tak, by osłonić mnie od przechodzących ludzi. Poczułam się bezpiecznie, przez chwilę.

– Nie duś tego w sobie – powiedział. – Powiedz mi.

Głośno przełknęłam ślinę. Nie chciałam płakać, ale gdy zaczęłam o tym wszystkim myśleć i po tym, jak dusiłam to w sobie przez tak długo, łzy same napłynęły mi do oczu.

– Myślałam, co by było, gdyby ktoś taki jak ty zmusił mnie i Anthony’ego do rozmowy, zanim on zdecydował się mnie zostawić – powiedziałam bardzo szybko. – Czy mielibyśmy szansę to wszystko przepracować, jak zrobili to Stephanie i Richard, gdyby ktoś miał odwagę zmusić go do przyznania się, że coś jest nie tak?

Wpatrywałam się w pomarańczowe paki dekoracji. Nie mogłam wyobrazić sobie nikogo z przyjaciół Anthony’ego, kto miałby na tyle odwagi – lub wyobraźni – by zrobić to, co zrobił Joe. A zerwaliśmy ze sobą tak nagle i ostatecznie, że nie wyobrażam sobie, bym mogła z nim o tym porozmawiać, o zapytaniu, czy ktoś mu to zasugerował, nie wspominając. Ale...

– Być może mogłabym coś naprawić – dokończyłam.

– Być może – odpowiedział Joe. – Albo oboje stracilibyście kolejne dwa lata na próbowaniu i próbowaniu, by być kimś, kim nie jesteście, aż

on poznałby kogoś nowego i odszedł. A ty nie miałabyś świetnej anegdoty i pijackiej dyskoteki. Nie wiedziałabyś też, jak świetnie poradzą sobie twoi rodzice w momencie kryzysu.

– Ale ja nadal nie wiem, co zrobiłam źle. – Łzy kłuły mnie w oczy, gorące łzy i czułam się bardziej zła niż smutna. Nie spodziewałam się ich w tym momencie, nie teraz, ale nagle poczułam się jak wtedy, zawieszona w niewiedzy. Zablokowałam to w sobie, będąc z Dominikiem, w pracy, ale teraz...

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał delikatnie.

Spojrzałam na niego. Joe zmusił mnie do zastanowienia się nad tak wieloma rzeczami. Nikt wcześniej tego nie zrobił.

– Moje życie mogło potoczyć się zupełnie inaczej – odpowiedziałam.

Przewrócił oczami:

– Taaa... Mogłabyś tkwić w małżeństwie z facetem, który z tobą nie rozmawia, czułabyś się nieszczęśliwa, ale nie wiedziałabyś dlaczego, rozmów byłoby jeszcze mniej, odkąd jakimś cudem na świecie pojawiłoby się dziecko... zamiast tego jesteś najlepszym event managerem w Londynie, masz u stóp cały świat, a nie masz nawet trzydziestu lat.

– Mam trzydzieści jeden.

– A nie wyglądasz nawet na dzień więcej niż dwadzieścia dziewięć.

– Dzięki.

Westchnął i przeczesał dłonią włosy, a potem spojrzał na mnie.

– Czas na szczerość. Dasz radę?

Przytaknęłam. Przynajmniej teraz ostrzegam.

– Może Anthony po prostu zdał sobie sprawę, że nie kocha cię wystarczająco mocno, a ponieważ jest Anglikiem i facetem, nie wiedział, jak ci to powiedzieć, by nie zniszczyć twojej pewności siebie na zawsze. Zdarza się. Zamiast tego zdecydował się upokorzyć cię publicznie. Ale to on wyszedł na dupka. Jednak ludzie się zmieniają. I dzięki Bogu zmieniamy się, dorastamy, pewne sprawy zostawiamy w przeszłości. I to jest jedna z naszych najlepszych cech. Inaczej tracilibyśmy czas,

beznadziejnie poszukując pierwszej osoby, w której się zakochaliśmy. I tak do końca życia. Możesz to sobie wyobrazić? Czterdziestka na karku, a ty wciąż desperacko poszukujesz tego nastolatka, w którym zabujałaś się w szkole.

Udało mi się uśmiechnąć.

– Gdyby Anthony teraz tu wszedł, pewnie nawet byś na niego nie spojrzała, ponieważ dałaś radę wyciągnąć się z tej gównianej sytuacji, stałaś się lepsza, bardziej odważna, mądrzejsza, niż byłaś, gdy odszedł – powiedział Joe. – Nie zaprzeczaj. Jesteś silna, jesteś niezależna, jesteś bardzo mądra. Zdecydowanie za dobra dla kogoś, kto nie potrafi być z tobą szczery. Albo nie widzi, jaką kobietą jesteś.

Już miałam powiedzieć „Dzięki” czy coś równie elokwentnego, gdy Joe położył ręce na moich ramionach i spojrzał mi prosto w oczy. Intensywność jego spojrzenia zaskoczyła mnie kompletnie; wyglądał, jakby chciał wypalić swoje myśli w moim mózgu. Zachwiałam się.

– I mogę ci powiedzieć – kontynuował powoli – że jeśli Anthony nie był w stanie docenić tego, co traci, to nie mógł być dla ciebie wystarczająco dobry. Powinnaś dziękować każdej szczęśliwej gwiazdzie na niebie, że jesteś wolna, więc ktoś inny poczuje się jak najszcześniejszy facet na ziemi, gdy zacznie z tobą życie.

Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, lecz nie wypłynęły z nich żadne słowa. Zamiast tego wciąż wpatrywałam się w jego niebieskie oczy, w jego przystojną, szczerą twarz. W brak skrupowania, ciepło i pozytywną energię, która zdawała się go otaczać. W jego jednoczesną znajomość i mrowiącą inność.

On też nic nie mówił. Po prostu na mnie patrzył.

. . .

I wtedy wydarzyła się trzecia niesamowita rzecz.

Zdałam sobie sprawę (z nagłą jasnością umysłu, gdy uniosła się kurtyna zamroczenia), że zakochałam się w Joem Bentleyu Douglasie.

Problem polegał na tym, że spędziłam z Joem tak dużo czasu, doświadczając jego hipisowskiej wiary w pokój i miłość, by wiedzieć, bez cienia wątpliwości, że powiedziałyby to samo Gemmie, Helen i każdej panie młodej wchodzącej do hotelu, dokładnie tak jak powiedział to mnie, równie szczerze.

– Dzięki – powiedziałam łamiącym się głosem. – Ja nigdy... ja wcześniej z nikim o tym nie rozmawiałam. Przepraszam, jeśli to trochę...

– Nie przepraszaj. Nie musisz się tłumaczyć. – Patrzył na mnie przez kolejne kilka długich sekund, a potem dodał: – Wierzę w to, co powiedziałem.

A potem, gdy moje serce wyskakiwało z piersi szaleńczymi saltami, pojawiła się Gemma z różowym telefonem i przedślubną paniką, skutecznie sprowadzając mnie na ziemię, by wywalić kolejną główną druhnę.

Rozdział dwudziesty piąty

Chloe i Magnus (lub Tralala i Trilili^[11] – Zamknij-Się-Gdy-Ja-Mówię, jak nazywała ich Helen) przyszli jeszcze dwa razy na początku maja, by sprawdzić, czy wszystkie przygotowania do ślubu Benily (Bena i Emily) idą, jak powinny.

Nie musieli; stworzyłam arkusz ponad arkusze, by być przygotowaną na wszystkie możliwe sytuacje. I naprawdę nie chciałam ich widzieć, ponieważ za każdym razem, gdy się pojawiali i zaczęli kłócić, musiałam walczyć z przemożnym pragnieniem zawołania na pomoc Joego, by zafundował im miłosną psychoanalizę, która zakończyłaby się romantyczną randką. A nie mogłam tego zrobić, ponieważ nie mogłam ryzykować, że jakikolwiek, nawet najmniejszy szczegół wycieknie na chwilę przed ślubem Benily.

Niestety Chloe i Magnus przychodzili, czy tego chciałam czy nie, pewnie dlatego, że tak jak ja byli spamowani niekończącymi się mailami od Missy – agentki, której najnowszym wymaganiem było uzyskanie od Nevina planu robienia zdjęć, by upewnić się, że nie pojawią się żadne wpadki w postaci uwiecznionego jedzenia czy picia. Plus Chloe czuła się w obowiązku upewnić się, że na weselu nie pojawi się fontanna piwna.

Być może Emily miała ich tak samo powyżej uszu jak ja, ponieważ w połowie maja napisała maila z zapytaniem, czy nie moglibyśmy odbyć wideokonferencji, gdy będzie miała chwilę pomiędzy zdjęciami, bym mogła „pokazać”, jak idą przygotowania.

„Tak bardzo bym chciała przy tym być!!!” – pisała. „To takie dziwne, gdy inni ludzie organizują mój ślub!!! To jakbym była w filmie! Jeśli wiesz, o co mi chodzi!!!”.

Nawet bez wykrzykników byłam zestresowana naszą nadchodzącą

rozmową. Flora Thornbury – nie mogę nawet przytoczyć, jak Helen nazywała ją od ucieczki i po tym, że nie raczyła się odezwać po całym zajściu. Była sławna w Londynie, nie różniła się jednak bardzo od innych chudych panien młodych z wyższych sfer, uczepiona telefonu i uroczo obojętna na cenę litra mleka. Emily z kolei była prawdziwą gwiazdą. W ciągu ostatnich tygodni zaczęłam zauważać jej twarz w kształcie serca wyskakującą ze stron magazynów plotkarskich, w miarę jak rosło zainteresowanie nową częścią Dark Moon, z jej jeszcze bardziej sławnym narzeczoną. Byłam tak zdenerwowana, że w dniu naszej rozmowy wstałam godzinę wcześniej, by zdążyć do fryzjera.

Plan był taki, by ją „oprowadzić” po ogrodzie za pomocą mojego telefonu, porozmawiać o szczegółach tortu, kwiatów i innych przyjemnych aspektach ślubu, o których wszystkie panny młode lubiły rozmawiać, nawet te w Hollywood.

Skradałam się, chodząc dookoła hotelu i ogrodu, czekając na jej telefon, chowałam się w alkowie, gdy tylko Gemma lub Laurence przechodzili obok, nawet gdy pojawiał się Joe. Miał ten swój „szukający czegoś” wyraz twarzy, który zmieniał się w „znalazłem”, gdy tylko mnie zauważył.

– Hej! – powiedział i pomachał.

Zatrzepotało mi w brzuchu, odkąd kilka dni temu mnie olśniło. Miałam motylki w brzuchu za każdym razem, gdy go widziałam, ale jako że nie miałam pojęcia, co mam zrobić z moim zauroczeniem – kolega z pracy, współlokator, szef syna, co by tu jeszcze wymyślić? – uczyłam się z tym żyć, tak jak uczycie się żyć ze zwichniętym kolanem czy alergią na pszenicę.

Gdy podszedł bliżej, powiedział: – Szukałem cię. – (Pojawił się drugi motylek). Wskazał mnie palcem.

Zdałam sobie sprawę, że wskazywał teczkę, którą trzymałam w ręku i która teraz się otworzyła, ukazując całą zawartość.

– Czy to ślubnateczka Helen? – zaczął. – Prosiła mnie, bym zerknął na listę drinków. Mam pewien pomysł na spersonalizowanego drinka. Czy

Walia ma jakiś narodowy alkohol?

– Porową brandy?

– Dobrze! – Przyjrzał mi się uważnie. – Wyglądasz jakoś inaczej. Bardziej... kolorowo?

– Pomalowałam usta.

– Ładnie wyglądasz. – Uśmiechnął się z aprobatą, po czym uniósł brew. – Wybierasz się gdzieś?

– Nie! To znaczy, nie? Po prostu lubię dobrze wyglądać w pracy.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon i musiałam wyciągnąć go z kieszeni, nie pokazując rozmówcy.

– Yy, powinnam odebrać.

– Poczekam – odpowiedział. – Muszę cię o coś zapytać.

– To może trochę potrwać – powiedziałam nieprzekonującym tonem. – Porozmawiamy później?

Od razu go to zaintrygowało (choć nie tak bardzo, jak by to zaintrygowało Gemmę albo Helen) i przycupnął pod portretem swojej praprababci, udając, że sprawdza coś w telefonie.

Dziwne.

Weszłam do ogrodu z Joem podążającym za mną i musiałam go odgonić.

Spojrzał na mnie dziwnie i zatroskany wyszeptał coś, czego nie zrozumiałam.

Dominik? Nie byłam pewna. Może Kto to? Pokręciłam głową i odeszłam w najdalszy kąt ogrodu, a gdy spojrzałam za siebie, jego już nie było.

Wzięłam głęboki wdech, odebrałam wideorozmowę i przeżyłam szok, widząc twarz na ekranie. O mały włos nie upuściłam telefonu.

To nie była twarz Emily, którą widziałam w Google. Ta twarz miała czerwone oczy i była otoczona burzą czarnych włosów – peruki – sięgających aż do pasa, miała też rogi wieńczące czoło.

– Cześć! – powiedziało to coś. – Dzwoni Los Angeles!

Musiałam wyglądać na zszokowaną, bo skrzywiła się i od razu dodała:

– O Boże, przepraszam, ciągle mam soczewki! Przepraszam! Powinam być teraz wampirem! Wtedy zmieniają się oczy! Przepraszam! Nie zwracaj na to uwagi! Jeśli dasz radę!

Jak widać, nadużywała wykrzykników nie tylko w mailach.

– To cudownie, że możemy porozmawiać – odpowiedziałam. – Dziękuję, że znalazłaś czas.

– Wiem! – Błysnęła olśniewającym, lecz przyjaznym uśmiechem. – Chociaż dzięki mailom czuję, jakbym cię znała od dawna! Są takie zabawne! I przemyślane! Uwielbiam to, że myślisz o wszystkim, a ja mogę decydować o prostych sprawach! – Przez krótką chwilę nie było wykrzykników. – Rosie, chciałabym ci to powiedzieć prosto z mostu, jestem niesamowicie wdzięczna za twój wysiłek, gdy zrzuciliśmy na ciebie wszystko w tak krótkim czasie. To mogła być katastrofa, a tymczasem ty obróciłaś to w przyjemność. To znaczy, chodzi mi o maile, które dostaję od Chloe... powinnam ci je przesłać któregoś dnia.

Nie mogłam umiejscowić jej akcentu. Wydawał się amerykański, chociaż im dłużej jej słuchałam, tym brzmiał bardziej angielsko.

My – to znaczy – ja obeszłam miejsce uroczystości, czyli nasz ogród dookoła (pokazując specjalny baldachim przygotowany na wypadek deszczu); następnie zabrałam ją do Palm Court, do naszej pięknej oranżerii i – po tym jak wysłałam Dina do piwnicy, po wymyślone na poczekaniu wino – szybką wycieczkę po hotelowej sali, w której organizujemy wesela.

Emily nie odzywała się od dłuższego czasu i gdy sprawdziłam, czy wszystko w porządku z połączeniem, zobaczyłam ją z rozmazanym makijażem i strugami łez spływającymi po twarzy.

– Przepraszam, bardzo przepraszam, Ben zawsze powtarza, że zbyt łatwo się rozklejam – westchnęła. – Jest idealnie! Zupełnie jakby to było nam pisane. Jakbyśmy mieli przejść przez cały ten stres z tamtym

miejscem! Dziwne jak wszystko się zmienia. Tak bardzo ci dziękuję.

– Nie ma za co – odpowiedziałam. Naprawdę nie oczekiwałam, że Emily będzie tak miłą osobą. Była o wiele przyjemniejsza we współpracy niż większość panien młodych, z którymi na co dzień mam do czynienia.

Usłyszałam pukanie do drzwi jej przyczepy; obróciła się i rozmawiała z kimś niewidocznym, potem zwróciła się do mnie.

– Muszę lecieć. Słuchaj, utknęłam tutaj z szalonym grafikiem zdjęć, który zmienia się każdego dnia, ale czy byłoby możliwe, gdyby udało mi się stąd wyrwać, żebym wpadła do hotelu zobaczyć to wszystko na własne oczy?

– Oczywiście – odpowiedziałam, przeczesując w głowie grafik ślubów od teraz do czerwca. – Jeśli powiesz mi odpowiednio wcześniej, będę mogła zamówić ochronę...

– Ach, nie będzie takiej potrzeby. – Zawstydziała się. – Missy pewnie wysłała ci wszystkie listy? Na pewno. Ma dużo pracy, jednak... Zawsze możesz mnie przeszmuglować jako kelnerkę czy coś. Wystarczająco długo kelnerowałam, by nie dać się przyłapać.

– Nie ma problemu, daj mi znać, kiedy tylko będziesz mogła – odpowiedziałam.

– Pewnie! Jeszcze raz dziękuję! Będę polecać wideokonferencyjnego organizatora ślubów każdemu, kto mnie tu zapyta! – Uśmiechnęła się, ukazując wampirze kły, i już jej nie było.

Gapiałam się na wyświetlacz, nadal drżąc od adrenaliny, i uśmiechałam się sama do siebie.

Jeśli potrzebowałam znaku, by odrzucić ofertę Mary Waters, to właśnie go dostałam.

. . .

Szalony grafik Emily oznaczał, że nie zdążyła ani na ślub Sadie Hunter i Jamiego Thomasa – styl vintage, ani na ten tydzień później, w stylu *My Fair Lady* – Jessie Callum i Czcigodnego Waltera Fitzgeralda.

Było mi przykro, że nie mogła ich zobaczyć, były to piękne uroczystości pełne słońca z harfistką lub dudami i najpiękniejszymi dekoracjami kwiatowymi, jakie w życiu widziałam. Powiedziawszy to, powinnam dodać, że nie żałuję, że ominął ją widok mnie łapiącej wiązanek i wyrzucającej ją w powietrze niczym pocisk prosto w ręce Joego. Joe z kolei cisnął ją w powietrze w ataku paniki i Gemma musiała ratować sytuację, rzucając się niczym na meczu siatkówki na plaży i odbijając kwiaty prosto w ręce najlepszej przyjaciółki Jessie – głównej drużyny i głównego celu rzutu bukietem.

Byłam przerażona, ale podobno zdjęcia wyszły przednie. Tak w każdym razie twierdził Nevin. Już po wszystkim sprawdziłam kartę pamięci jego aparatu i chytrze usunęłam wszystkie zdjęcia ze mną w roli głównej. Moje miny i to, jak strzelałam oczami na Joego – mówiły wszystko.

Nie muszę mówić, że nie zrobiłam nic z moimi uczuciami do niego, które nie tylko nie zniknęły w miarę upływu czasu, jak się tego spodziewałam, ale wzmogły się jeszcze pod wpływem wspólnej pracy i kameralnych chwil na kanapie z pizzą w ręku i serialem na DVD.

Nadal z nim mieszkałam. Jako że nie dostałam jeszcze podwyżki, nie stać mnie było na wyprawki, a przede wszystkim nie chciałam się na nią zdobyć. Ani Laurence, ani Joe mnie nie pospieszali.

Helen, oczywiście, zauważyła od razu. Twierdziła nawet, że wiedziała od początku.

– Musisz coś powiedzieć – powtarzała po raz milionowy. – Albo ja powiem. A wiesz, że dzisiaj mogę wszystko i nikt mnie nie powstrzyma? – dodała z radością o wiele za wielką jak na kogoś zasznurowanego w suknię ślubną.

Siedziałyśmy na stołkach w jej minimieszkanku, podczas gdy makijażystka i fryzjerka dokańczyły dzieła przemienienia jej w idealną pannę młodą. Udało im się nawet wygładzić moje włosy i uczesać w minikoczek oraz zrobić idealne kocie kreski na powiekach; byłam świadoma, że tak ładnie nie wyglądałam nigdy w życiu i że spędzę resztę

dnia, stojąc obok Joego i wykonując nasze „druhowe” obowiązki, nadzorując pracowników i wyjaśniając gościom niemówiącym po walijsku, która toaleta jest dla mężczyzn.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możesz czegoś powiedzieć – powiedziała, również po raz milionowy. – Nie żyjemy w dziewiętnastym wieku. A on cię lubi. To takie oczywiste.

– Joe wszystkich lubi. Typowy strzelec – jęknęłam. – A to może zepsuć tak wiele rzeczy. Pracę, moją sytuację mieszkaniową. Ludzie mogą pomyśleć, że zdobyłam awans przez łóżko...

– Zamknij się, Rosie – powiedziała Helen. – Posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Jeśli czegoś się nauczyłam przez ostatni rok, to tego, że jeśli cały czas myślisz o tym, co może się nie udać, to na pewno nie zauważasz tego, co się udaje.

– Założę się, że na wróżbie z ciasteczka brzmiało to lepiej.

Zignorowała mnie.

– Joe zawsze będzie tu pracował. A Laurence raczej nie może dać mu pracy po tobie, prawda? A co się stało z sześciomiesięcznym programem próbnym? On ciągle tu jest, bo lubi „robić wesela”... z tobą. Co więcej, nawet jeśli nic by z tego nie wyszło – to powiesz sobie, że jest wagabundą. On będzie nalegał na bycie przyjaciółmi i tyle.

– Ale...

Helen przekręciła głowę, by fryzjerka mogła przypiąć szykowną woalkę do jej znanego francuskiego warkocza, i spojrzała, przeszywając mnie wzrokiem: – Dlaczego choć raz nie pozwolisz sobie na odrobinę szczęścia? Spróbuj. Będę celować w ciebie wiązką dzisiaj po południu, a zanim Wynn i ja wyjedziemy do Paryża, masz do mnie podejść i oznajmić, że wykorzystyłaś chwilę z Joem.

– Ale jak? – Wzdrygnęłam się na samą myśl korzystania z chwili. Przez większość weekendów patrzyłam na pary „wykorzystujące chwilę” – śluby były jak shaker dla hormonów.

– Coś wymyślisz – powiedziała Helen i wstała, wygładzając satynową

suknię, gotowa, by wsiąść do rolls-royce'a czekającego na dole. – Zwykle ci się to udaje, to uda się i tym razem. A jak nie, to zawsze pozostaje szampan.

Ślub Helen i Wynna był piękny, chociaż połowy nie zrozumiałam. Prawdę mówiąc, najbardziej płakałam w tych momentach, których nie rozumiałam. Wtedy i podczas pieśni. Wszyscy wtedy płakali. Walia obroniłaby granicę z Anglią samym tylko śpiewaniem, kradnąc potem broń, gdy Anglicy ryczeliby w sposób niekontrolowany.

Po wszystkim nowo poślubieni Pan i Pani Davies wyszli przed kapliczkę, mrugając porażeni słońcem wprost w deszcz konfetti płatków róż, który zaczęliśmy razem z Joe. Nasze palce spotkały się, gdy oboje sięgaliśmy do koszyka z płatkami, i dreszcz przeszedł po moim nagim przedramieniu.

Powiedz coś, powiedziałam sobie, jednak nic nie przychodziło mi do głowy. Uśmiechnęłam się tylko jak głupia, on odpowiedział uśmiechem i nagle wszystko wydało się cudowne. Nie chciałam zepsuć chwili i nie zepsułam.

Nevin zrobił zdjęcia z podwójną prędkością, a potem Geraint i druzbowie załadowali nas do czerwonego londyńskiego autobusu. Ozdobiony był białą kokardą z przodu, a w środku znaleźliśmy mnóstwo jednorazowych aparatów i minibutelek szampana czekających na oryginalnych siedzeniach w kratę. Jak tylko Joe i ja z łoskotem godnym podekscytowanych uczniów wpadliśmy na górny pokład, odkryliśmy, że Helen zarezerwowała dla nas przednie siedzenia. Podróż do hotelu przez najstarsze ulice miasta, spędzona na sączeniu szampana, była magiczna. Kolejna chwila, której nie chciałam zepsuć.

Na pewno powiem coś na weselu, obiecałam sobie, gdy Joe zrobił selfie nam obojgu, nasze głowy przyciśnięte do siebie na tle katedry św. Pawła. Potem Strand. Potem Piccadilly Circus. Dużo selfie. I pełna klisza. Na większości miałam zamknięte oczy: zamykałam je, by lepiej zapamiętać jego zapach i dotyk jego twarzy.

Przemówienia były urocze, dość krótkie i, na szczęście, po angielsku;

następnie Helen i Wynn pokroili tort, który Delphine udekorowała małąkimi żonkilami z masy marcepanowej, i wszyscy udaliśmy się do ogrodu, by rozmawiać i cieszyć się popołudniowym słońcem.

– To najpiękniejszy ślub, na jakim byłem – powiedział Joe, odganiając gołębie z kutej metalowej ławki, byśmy mogli na niej usiąść.

– Prawda? Naprawdę do siebie pasują. A jednak. – Naszło mnie na zwierzenia. – Nie oczekiwałam, że Helen wyjdzie za faceta w typie Wynna.

– Nie?

Pokręciłam głową.

– Gdybyś rok temu powiedział mi, że da sobie spokój z niebezpiecznymi, wycieńczonymi kucharzami i poślubi walijskiego dentystę tylko ociupinkę niższego od niej, który lubi spacerować na łonie natury dla przyjemności...

Patrzyliśmy na Państwa Daviesów obchodzących rodzinę Wynna. Ciotki i kuzynki przytulały Helen, a ona śmiała się i rumieniła. Kochana, pomyślałam. Wyglądała na osobę, która jest *kochana*. To było to, co łączyło ją i Wynna; kochali siebie nawzajem. I, inne czy nie, ich życie razem będzie oparte na tym uczuciu.

– Mówiłem ci, że ludzie się zmieniają – powiedział Joe. – To nie znaczy, że wtedy nie miałaś racji, po prostu wszyscy dojrzeliliśmy. To naturalne. Idziemy dalej. Nie trzymaj się tego, co pasowało ci w przeszłości, skup się na tym, kim jesteś teraz. Zobacz, jak to działa na Helen.

Wpatrywałam się w kieliszek, nie otwierając ust, bałam się, że jeśli to zrobię, słowa kocham cię wylecą na światło dzienne.

– Jeśli myślisz o Dominiku, to przeszło mi całkowicie – powiedziałam zamiast tego.

– To dobrze – odpowiedział. Patrzył wprost na mnie, mrużąc oczy od słońca. *Światło słoneczne to jego naturalne tło, pomyślałam. Słońce i błękitne niebo.* – Dobrze.

Myślałam, że powie coś jeszcze, serce uniosło mi się w oczekiwaniu, gdy nagle zobaczyłam Amy, weekendową recepcjonistkę zmierzającą w naszym kierunku z przepaszającym wyrazem twarzy.

– Rosie, bardzo przepraszam, że przeszkadzam, lecz przyszła jedna z twoich klientek. Powiedziała, że co prawda się jej nie spodziewasz, ale może mogłaby zamienić z tobą słówko? Podobno dzwoniła do ciebie i zostawiła kilka wiadomości.

– Ojej, żadnej nie dostałam. – Włączyłam telefon, który natychmiast zaczął pikać.

– Co? Wyłączyłaś telefon na ślub Helen? – Joe udawał zszokowanego.
– To wielkie wydarzenie!

– Ależ oczywiście, że wyłączyłam telefon. – Spojrzałam na Amy; miałam nieodebrane połączenia od siedmiu panien młodych. – Kto to? Przedstawiła się? – Zaczęłam przeszukiwać w głowie listę klientek, które mogły się zjawić: większość z nich mieszkała w Londynie – pewnie Cressida Connor. Spędziła prawie cały zeszły tydzień na przekonywaniu mnie, bym wyrzuciła druhnę, która nie chciała obciąć włosów, by pasować do pozostałych trzech.

– Nie, nie podała imienia. – Amy zastanowiła się przez chwilę. – Miała na twarzy duże okulary słoneczne, jakby nie chciała, bym ją rozpoznała.

I już wiedziałam, kto mnie odwiedził – Emily. Przyspieszył mi puls. Genialnie! To był najlepszy możliwy ślub, jaki mogła zobaczyć – z łatwością mogłam ją wprowadzić, pokazać wszystko i może przedstawić Helen i Wynnowi. Helen byłaby zachwycona.

– Gdzie teraz jest? – zapytałam.

– Zaprowadziłam ją do twojego biura – odpowiedziała Amy. – Z filiżanką herbaty.

– Super! Oj... – spanikowałam. *Czy zanim wyszłam, odwróciłam Ślubimarz? I, co ważniejsze, czy zdjęłam pomazane zdjęcie Flory Thornbury z diabelskimi rogami i wąsami z szafki?*

Nie. Nie zdjęłam. Joe strzelał w nią gąbkowymi strzałkami Ottona

przez cały wczorajszy dzień.

Przekazałam mu kieliszek: – Wrócę za minutkę.

– Nie martw się – odpowiedział. – Nie pozwolę, by rzuciła bukietem bez ciebie!

Pospieszyłam do hotelu, pomknęłam wzdłuż korytarza i wparowałam do biura, żałując, że nie posprzątałam wczoraj wieczorem.

– Cześć! – Otworzyłam drzwi i zobaczyłam kobietę stojącą przy... Ślubimmarzu.

– O Boże, no to jest szokujące! – zagrzmiała Emily. – Zobaczyłam Magnusa i Chloe i zaczęłam się zastanawiać, czego mi nie powiedzieli?

Zaśmiałam się maniakalnie – musiałam przyczepić sfingowane zdjęcie Magnusa i Chloe jako pary do Ślubimmarzu. Zrobienie tego tutaj zajęło mi dziesięć minut, dzięki ich kłótni oczywiście, tym razem o to, czy Magnus powinien objąć Chloe czy raczej sobie darować. Dzisiaj mogłam podziwiać bardzo odmieniony wygląd Emily. Długa czarna peruka, którą miała podczas naszej wideorozmowy, zniknęła, jej prawdziwe włosy były jasnobrązowe i podkreślały idealny kształt jej twarzy, a jej prawdziwa cera była idealnie gładka i porcelanowa, nie ziemista, jak tamta ucharakteryzowana. Była ubrana w prostą, zieloną sukienkę, miała na sobie lekki makijaż i usta pociągnięte beżowym błyszczkiem, lecz przede wszystkim miała niesamowitą aurę, tę hollywoodzką wyjątkowość, dzięki której zapewne błyszczała na ekranie.

To było trochę surrealistyczne, widzieć Emily Sharp w moim biurze i normalnie z nią rozmawiać, pewnie dlatego wymknęło mi się coś tak głupiego jak: – Przepraszam, nie poznałam cię bez rogów.

Zaśmiała się i klepnąwszy się w czoło, powiedziała:

– I bez peruki! Nie zapominaj o peruce! Sama czuję się dziwnie. Jakby brakowało mi połowy głowy! Słuchaj, nie masz nic przeciwko, że wpadłam tak niespodziewanie?

– Wybrałaś świetny moment. – Zapewniłam ją, wskazując drzwi. – W ogrodzie odbywa się właśnie przyjęcie weselne mojej przyjaciółki.

– Twojej przyjaciółki! – Wyglądała na przerażoną. – Przepraszam! Wyciągnęłam cię z przyjęcia?

– Nie przepraszaj. Helen jest managerem naszej restauracji, z pewnością chciałaby cię poznać. – Poprowadziłam ją wzdłuż korytarza, cały czas mówiąc, podczas gdy Emily założyła ogromne okulary, by nie zwracać na siebie zbyt wiele uwagi. – W tym momencie serwujemy popołudniową herbatę w oranżerii, potem prywatne przyjęcie w hotelowym barze, podobne przyjęcia organizujemy dla naszych gości.

– Z personalizowanymi koktajlami? Bardzo mi się spodobał ten pomysł! Missy była przerażona, powtarzała tylko „Upewnijcie się, że są bezalkoholowe”. Ben i ja odpowiedzieliśmy tylko, by nie żartowała. Bezalkoholowe drinki w hotelu, gdzie Ava Gardner potajemnie piła z Frankiem Sinatrą. Daj spokój! O wow, to jest jak w *Wielkim Gatsbym!* Albo w *Wyższych sferach!*

Przystanęłyśmy na chwilę przy wysokich drzwiach prowadzących od łukowatego sklepienia hallu do ogrodów, tak by Emily mogła podziwiać widok w pełni okazałości: białe obrusy, na nich kieliszki i srebrne patery z ciastem, kwartet smyczkowy grający na podwyższeniu w ogrodzie różanym, Helen w długiej, prostej sukni koloru kości słoniowej, przechadzającą się z gracją pomiędzy gośćmi, wszystkie babcie i ciotki popijające herbatę z pięknych filiżanek z chińskiej porcelany.

Ten widok napawał mnie dumą.

Złapałam wzrok Helen, gdy przystanęła, by porozmawiać z Joem, i skinęłam na nią.

– To ta Helen, która przysłała mi menu? – zapytała podekscytowana Emily. – Ta sama, która skłoniła Chloe do złamania swojej diety paleo? Tylko nie mów Chloe, że ci o tym powiedziałam. Tak się cieszę, że mogę ją poznać!

Helen szła w naszym kierunku w towarzystwie Joego, który gapił się na nas bez skrępowania. Otworzyłam szerzej oczy, by dać mu do zrozumienia, by przestał – nie chciałam, by skierował uwagę innych na Emily.

Nie zadziało, wciąż się na nią gapił, zupełnie jak nie on. Nawet gdy zdarzało mu się rozpoznać gwiazdę na którymś ze ślubów, co zdarzało się niezwykle rzadko, starał się bardzo udawać, że nie ma pojęcia, kto to taki.

– Gratulacje! – Emily wyciągnęła rękę.

– Czy to...? – Helen spojrzała najpierw na mnie, potem na Emily i wydawała się zmieszana.

– Helen, poznaj Emily – powiedziałam dumnie. – Ona i jej narzeczony wezmą u nas ślub dwudziestego czerwca.

– Co? To nie Tralala i Trilili, Zamknij-Się – ups, przepraszam, cześć!

– Cześć! Ojej, przepraszam, to niegrzeczne z mojej strony, sekundkę. – Emily podniosła okulary, by uścisnąć rękę Helen i wtedy po raz pierwszy naprawdę zobaczyłam jej oczy. Nawet bez makijażu były niewiarygodne: w odcieniu butelkowej zieleni albo leśnych liści. Oczy, które były w stanie złamać serce jednym spojrzeniem i prześladować cię do końca życia.

Wow, pomyślałam oszołomiona. Prawdziwe oczy gwiazdy, jak u Liz Taylor czy Sophii Loren.

Coś przemknęło obok mnie, zdałam sobie sprawę, że to Joe. Nawet gdy Helen i Emily ścisnęły sobie ręce, wymieniając uprzejmości na temat krewetkowego dipu, na twarzy Joe pojawił się najmroczniejszy wyraz twarzy, jaki u niego widziałam, po czym odmaszerował, nie witając się z Emily.

– Joe? – powiedziała Helen, lecz jego już nie było, jego lniany garnitur zniknął w czeluściach hotelu.

Rozdział dwudziesty szósty

Głęboko w podświadomości zdawałam sobie sprawę z powodu jego zniknięcia dokładnie w momencie, gdy Emily uniosła okulary. Część mnie miała jednak nadzieję, że był inny powód. Naprawdę dobry, może jakaś zapomniana taksówka czy... czy...

Męczyło mnie to.

– Helen, muszę wrócić na chwilę do hotelu po papiery – improwizowałam, jak mogłam, chociaż żołądek podszedł mi do gardła. W nieprzyjemny sposób tym razem. – Nie miałabyś nic przeciwko, by pokazać Emily twój przepiękny tort?

Helen od razu zrozumiała, o co mi chodzi.

– Z przyjemnością! – Uśmiechnęła się. – Emily, nie zechciałabyś sprawić mojemu mężowi prezentu stulecia i się z nim przywitać? Jest wielkim fanem serii *Dark Moon*...

Odprowadziłam Helen i Emily do stolika z tortem, a potem pospieszyłam do hotelu. Było bardzo cicho, w uszach dzwoniło mi bicie własnego serca, gdy zaglądałam do każdego pomieszczenia po kolei, szukając Joego.

W końcu znalazłam go w pustym barze, z wielką butelką whiskey w jednym ręku i ciężkim kryształowym kieliszkiem w drugim. Opierał się o ciężki dębowy blat, trzymając twarz ukrytą w dłoniach. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że w pomiętym garniturze i z jeszcze bardziej pomiętym wyrazem twarzy i on miał wokół siebie hollywoodzką aurę.

O Boże, byłam tak inna od tych wszystkich ludzi o pięknych twarzach, z ich pięknym życiem pełnym głupiego dramatyzmu.

– Wszystko w porządku? – zaczęłam tak spokojnie, jak tylko mogłam.
– Chodzi o to, że kobieta, z którą przed chwilą rozmawiałam, to prawdopodobnie najbardziej sławna klientka, jaką kiedykolwiek będę

miała, a ty właśnie przemknąłeś koło niej, jakbyś co najmniej grał w *Dynastii*.

Joe nawet na mnie nie spojrział, zamiast tego napełnił ponownie kieliszek. Jakby korzystał z tego, że Dina nie ma w pobliżu i nie może go powstrzymać przed wypiciem najlepszej whiskey.

– Oczywiście, że nie w porządku. Doskonale wiesz, kto to jest – zaczął.
– Nie mogę uwierzyć, że mogłaś mi to zrobić. Że którakolwiek z was mogła mi to zrobić.

Otworzyłam usta ze zdziwienia. Zaczynałam mieć silne *déjà vu*. Gdzieś pomiędzy moim gniewem i wymiętą postawą Joego wróciliśmy z powrotem do apartamentu panny młodej, w którym się poznaliśmy. Nie miałam ochoty oglądać go w takim stanie po raz kolejny – złego, zgorzkniałego Joego, którego nie znam.

– O ile wiem, to Emily Sharpe, aktorka. Coś jeszcze powinnam wiedzieć?

Zbladł.

– To jest dziewczyna, o której ci opowiadałem. Ta, którą kochałem i przez którą miałem nadzieję być kochany. Ta, która mnie rzuciła i zniknęła. A teraz wymyśliła sobie, że weźmie ślub w hotelu należącym do mojej rodziny, jakby chciała mnie jeszcze bardziej upokorzyć, a ty bierzesz w tym udział, organizując wszystko za moimi plecami.

– A skąd ja do cholery miałam o tym wiedzieć? – Próbowałam się bronić. – Nigdy nie wspomniałeś jej imienia!

– Wspomniałem!

– Nie wspomniałeś! – Byłam urażona i wściekła, że pomyślał, że mogłabym być tak okrutna. – Myślę, że pamiętałabym, gdybyś choć słówkiem wspomniał, że była aktorką z Hollywood!

– Każda w Los Angeles jest aktorką z Hollywood. Po jakimś czasie nie zwracasz na to uwagi. – Odstawił kieliszek z hukiem i sięgnął po butelkę, chwyciłam go za ramię.

– Joe, proszę, nie myślisz chyba, że mogłabym ci to zrobić – zaczęłam,

lecz nie chciał słuchać.

Odrzącił moją rękę.

– Wiesz co, pieprz się. Organizuj wesele Emily, jak ci się tylko podoba, i baw się dobrze!

Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem i bólem, czując, jak ogarnia mnie fala rozczarowania. Po chwili obróciłam się do niego plecami i wymaszerowałam z sali, wracając do Emily i na wesele mojej przyjaciółki.

Pracując przy organizacji ślubów, uczysz się radzić sobie w niezręcznych sytuacjach – nie znałam panny młodej, która chociaż raz nie przeżyłaby załamania czymś tak pozornie bez znaczenia jak łyżeczki – ale udawanie, że Joe otrzymał właśnie „pilny telefon”, tak wytrąciło mnie z równowagi, że kolejna godzina z Emily Sharpe była męką.

Pół mózgu koncentrowało się na pokazaniu mojemu VIP-owi magicznego nastroju hotelu, który wybrała na miejsce ceremonii. Emily pragnęła usłyszeć wszystkie romantyczne historie związane z tym miejscem i wciąż wypytywała o znanych gości, ukryte przejścia, renowację zabytkowych części. Zmusiła mnie nawet do obietnicy, bym przeszmuglowała ją i Benedicta na Pożegnanie Starego Roku, jeśli zdążą przylecieć na czas.

W międzyczasie druga połowa mojego mózgu krążyła w kółko, próbując wykombinować, czy Joe miał rację i czy powinnam była do tego dojść sto lat temu.

Chyba musiałabym czytać w myślach. Zakładałam, że dziewczyna, o której opowiadał, była jakimś plażowym króliczkiem z Kalifornii. Ale dlaczego? Joe znał mnóstwo Brytyjczyków w Stanach, spędzali razem mnóstwo czasu, objadając się walkersami, sam mi to mówił. Pod peruką nie było widać jej czerwono-brązowych włosów, a grafika Google pokazywała ją we wszystkich fryzurach, w jakich kiedykolwiek grała.

Wskazówką były jej piękne oczy, myślałam, patrząc, jak zachwyca się marmurową łazienką, wzdychając nad jej oryginalnym wystrojem. Normalnie byłabym w siódmym niebie, że ktoś uwielbia ten hotel równie

mocno jak ja, dzisiaj jednak mogłam myśleć wyłącznie o Joem. Zaboląło, gdy przypomniałam sobie, jak o niej opowiadał w Walentynki. A teraz widziałam jej twarz odbitą we wszystkich lustrach: okolone gęstymi rzęsami najpiękniejsze oczy świata, o których nie dało się zapomnieć. Oczy, które przeniosą cię do innego świata, gdy tylko będziesz komuś o nich opowiadać wiele lat później. Ponieważ one nie tylko były piękne; były też miłe, inteligentne i zabawne.

I to był szkopuł, pomyślałam, gdy wskoczyła do taksówki z teczką moich notatek. Emily Sharpe nie tylko była przepiękną kobietą, o której można tylko pomarzyć; ona była naprawdę miła.

Wróciłam na wesele Helen, próbując ukryć inne myśli przebijające się przez mój smutek. Emily była miła, niemniej jednak zupełnie zignorowała Joego, gdy go dzisiaj zobaczyła. I było tak, jak mówił, zdecydowała się na wesele w hotelu należącym do jego rodziny. Jak można zrobić coś takiego, jeśli się kogoś naprawdę kochało? Ale może to był tylko przypadek. Można wierzyć w przypadki?

W głowie kręciło mi się od nadmiaru kłócących się głosów, byłam tak rozkojarzona, że gdy Helen rzuciła w moją stronę bukiet, zapomniałam go złapać.

– Rosie! – Ocknęłam się i zobaczyłam Helen stojącą przede mną z kwiatami z powrotem w ręku i kuzynką Wynna Sereną za plecami, która wyglądała na mocno wkurzoną, zupełnie jakby odebrano jej właśnie wygraną. – Nie byłaś gotowa – podkreśliła. – Rzucam jeszcze raz, okej?

Co gorsza, gdy już wciągnęła mnie do koła i rzuciła kwiaty, celując prosto we mnie, wcale nie chciało mi się ich złapać.

Zadziwiające, jak ciche może być mieszkanie ponad hotelem, gdy jest w nim tylko jedna nieszczęśliwa osoba.

Laurence wyjechał na weekend, a Joe nie wrócił na noc. Helen nie mogłam opowiedzieć o tym, co się wydarzyło, ponieważ była już w podróży poślubnej; i na pewno nie zamierzałam nic mówić Gemmie, która z wiadomych powodów nie wiedziała nic o Emily i Benie. Moja mama nie była najlepsza w udzielaniu związkowych rad – obwiniała

siebie za to, że nie odgadła, że Anthony planuje mnie wystawić i otwarcie poinformowała mnie, że więcej na temat moich związków wypowiadać się nie będzie, w razie gdyby znowu nie miała racji. A co do taty, no cóż, od czego by tu zacząć?

Jedyną osobą, z którą chciałam porozmawiać, nie było oczywiście w pobliżu.

Siedziałam więc na starej skórzanej sofie, patrząc bezmyślnie na ostatnią płytę *Broadchurch*, którą zaczął Joe, gdy dotarło do mnie, jak bardzo uzależniłam się od jego towarzystwa. Od krótkich rozmów wieczorem o najnowszych przypadłościach Laurence'a czy ilości mleka w lodówce. Od prywatnych żartów na temat rankingu płyt upchniętych przy kominku. Od tego, że wiedział, jaką kawę lubię; od tego, że wyciągał jego ubrania z pralki po trzech dniach od prania, by nie pleśniały. Mieszkaliśmy razem. Wiedziałam o nim więcej – nie o faktach z życia, ale raczej dziwactwach i przyzwyczajeniach – niż kiedykolwiek dowiedziałam się o Dominiku. Część z nich była irytująca. Część zaskakująca. Ale za każdym razem miałam ochotę wiedzieć więcej.

Kolejne filiżanki herbaty stygły obok mnie, gdy siedziałam, otulając kolana rękoma i czując bolesną pustkę rozchodząca się po całym ciele. Musiałam przyznać: gorzej być nie mogło. Po pierwsze, nadwyrężyło to naszą przyjaźń; po drugie, utwierdziło Joego w przekonaniu, że jestem wredna i ślub Emili uknułam specjalnie, by go zranić; po trzecie, okazało się, że on wciąż jest w niej zakochany.

Zabolało, lecz zmusiłam się, by to usłyszeć. Oczywiście, że wciąż był w niej zakochany. Jak mógłby nie być?

Dopiero w niedzielę rano otworzyły się drzwi do mieszkania. Zmuszałam się właśnie, by przełknąć kawałek tosta, gdy nagle poczułam niewyobrażalną ulgę. Skoczyłam na nogi i próbowałam ułożyć w głowie jakieś sensowne zdanie, gdy wszedł Joe, nieogolony, zmęczony, lecz tak seksowny, że moje myśli rozproszyły się jak stado gołębi.

– Przyszedłem tylko po torbę – powiedział sucho, zanim zdążyłam zebrać rozsypane myśli. – Przenoszę się do mamy. Organizuje konferencję

i powiedziała, że przydałaby się jej pomoc.

– Joe, proszę, porozmawiajmy.

– O czym tu rozmawiać? To tylko praca, prawda? Zamierzam przez jakiś czas popracować we Wragley Hall. Przesyłaj mi pocztę, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Wolisz być blisko Aleca i jego wybuchów niż tu?

– Taaa...

Poszłam z nim do jego sypialni. No, nie do środka wprawdzie, ale prawie. Stałam przy drzwiach, patrząc, jak wrzuca koszulki do skórzanej torby.

– Ja naprawdę nie wiedziałam – nalegałam. – To spadło nagle – mieli rezerwację w innym hotelu. To Nevin nas polecił. Emily nigdy o tobie nie wspominała.

Skrzywił się i poczułam się strasznie, w dość skomplikowany sposób.

– Wiem, że nie wiedziałas – powiedział szorstko.

– Przepraszam. Chcesz, żebym ją odwołała? – zapytałam. Nawet jak to mówiłam, wiedziałam, że to niewykonalne. Nie na tym etapie. Co innego mogłam powiedzieć?

– Oczywiście, że nie. To byłoby nierozsądne.

– Mogłabym zatrudnić innego organizatora? – powiedziałam, próbując wymyślić coś, co naprawdę mogłabym zrobić. – Mogłabym powiedzieć Emily, że przekażę ją Gemmie z powodu moich wcześniejszych zobowiązań? Zostawić moje notatki komuś innemu.

Przerwał pakowanie i otaksował mnie wzrokiem. Jego spojrzenie przesunęło się po mojej twarzy wprost do środka i rozchwiało mnie zupełnie, lecz ciągle nie mogłam się zdobyć na odwagę, by powiedzieć to, co czuję.

– Tego nie możesz zrobić – odpowiedział. – To przełom w twojej karierze. Zorganizujesz Emily idealne wesele, a ona opowie o tym wszystkim, których zna, ty osiągniesz cel, który wyznaczył ci tata, i dostaniesz awans. I żyli długo i szczęśliwie.

Mały głosik w głowie podkreślił, że Joe jako pierwszy wyszydziłby takie melodramaty u kogoś innego. Ale dałam spokój. Na razie. Bo jeszcze jeden taki tekst i...

– Zrobię to, jeśli nie uwierzysz mi, że nie uknułam tego za twoimi plecami.

Wydawało mi się, że walczy ze sobą, by coś powiedzieć, potem wrzucił kilka par bokserów do torby i zwrócił się do mnie:

– Słuchaj, ja wiem, że nie wiedziałaś. Ja po prostu nie mogę... – skrzywił się. – Po prostu nie dam rady.

Żadne z nas nie musiało mówić, że naprawdę leżało mu na sercu to, że Emily go nie zauważyła. Ja nie byłam częścią tej historii, niestety.

Nie wiem, co sprawiło, że to powiedziałam, ale tak się stało. Nieoczekiwanie w pokoju rozległy się słowa:

– To może nie jest najlepszy moment, by to powiedzieć – usłyszałam głos, który brzmiał jak mój własny – lecz te wszystkie rzeczy, które mówiłeś o mnie i o Anthonym były prawdą. Teraz to widzę. I wiem, że teraz tak na to nie patrzysz, ale ty i Emily spotkaliście się w momencie idealnym dla was wtedy. Przeżyliście coś pięknego, ale może to miało być piękne tylko przez ten jeden moment...

– Jak śmiesz to porównywać z tobą i Anthonym – powiedział ze złością.

– Joe?! – Oburzyłam się. On przeżył wakacyjny romans, a ja zostałam porzucona przy ołtarzu. – Przecież ja przeżyłam coś gorszego! Zostawił mnie w dniu ślubu, w kościele. Poradziłam sobie z tym, ponieważ się zmieniłam. Jestem teraz kimś innym. I ty też, Joe. Ten rok bardzo cię zmienił.

– Tak, ale ty... Rosie, ty i ja jesteśmy zupełnie różni. Ja wierzę w miłość, ty wierzysz... w listy.

Tym razem poczułam, jakby dał mi w twarz. Otworzyłam usta w niedowierzaniu i cofnęłam się o krok. Wydawało się, że Joe pożałował swoich słów, jak tylko je powiedział, lecz było już za późno. Zawisły

między nami, odbijając się echem w naszych głowach.

Potał twarz dłonią.

– Cholera. Nie chciałem, żeby tak wyszło... ja... Rosie? – W oczach miał żal, ale nie chciałem już na nie patrzeć. Moje własne wypełniały się właśnie gorącymi łzami.

– Świetnie – powiedziałam. – Rób, jak ci wygodniej. Pozdrów Caroline. Wróć, jak ci przejdzie.

I wyszłam do pokoju, który kiedyś należał do kogoś innego, zamknęłam drzwi i rozplakałam się na dobre.

Ironia losu polegała na tym, że Joe pojechał lizać rany w pięciogwiazdkowym hotelu, a ja musiałam wrócić do pracy przy organizowaniu wesela za niebotyczną kwotę, od którego zaczął się ten cały dramat.

Nadal nie mogłam wyjawić nikomu, czyja ceremonia odbędzie się w ogrodzie, więc Helen i Laurence byli jedynymi wtajemniczonymi ludźmi. Helen spędzała miesiąc miodowy w Paryżu, niedostępna po raz pierwszy od nie wiadomo jak wielu lat, a Laurence'owi musiałam przedstawić rozrastającą się listę wymagań Missy. Przeczytawszy, zbladł, usiadł i napił się shake'a z zarodków pszenicy.

Wymagania odnośnie do bezpieczeństwa rosły i rosły, poczynając od florystów, przez wymagania dietetyczne zaproszonych gwiazd, na skomplikowanych rezerwacjach pokoi kończąc. Musiałam nawet zająć się ustalaniem grafiku przymierzania sukni ślubnej z jej projektantką, podstępными telefonami dziennikarzy żądными sensacji, a na dokładkę jeszcze kilkoma wizytami Tralala i Trilili – Nawet-Na-Mnie-Nie-Patrz-Ty-Świnio, którzy byli jeszcze mniej uprzejmi wobec siebie po „wydarzeniach” wieczorów panieńskiego/kawalerskiego w Las Vegas, ale o których żadne z nich nie chciało mówić.

Caroline też oczywiście wiedziała o wszystkim, ponieważ była współwłaścicielką hotelu i Missy zmusiła ją do podpisania wszystkich dokumentów o ochronie tajemnicy, jakie podpisywał Laurence.

– To brzmi jak jakiś koszmar – powiedziała radośnie. – Radzisz sobie? Na pewno rezerwacje masz już do końca przyszłego roku.

– Nikt nie wie – odpowiedziałam. – Wszystko musi pozostać tajemnicą.

– Będzie tego warte – zapewniła. – Thornbury nie może się z tym równać, prawda? Nadal żadnych przeprosin od tego kanciastego wieszaka?

– Od Flory nie – odparłam. – A Julia była na kilku lunchach z Laurence'em. Najpierw na przeprosinowych, a teraz nie wiem, jak je nazywają. Najwidoczniej jest bardzo zainteresowana medycyną naturalną. I chodzą do tego samego kręgarza w Highgate, jest dobrze.

Czekałam na aprobujący rechot Caroline, lecz zamiast tego usłyszałam tylko *hmmm*.

Powinnam zapytać, czy nadal mam swatać jej byłego męża? Zastanawiałam się zagubiona. Nikt w Bonneville nie dawał mi jakichkolwiek jasnych wytycznych, oczekując jednocześnie, że wszystkiego sama się domyślę.

Na szczęście Caroline natychmiast zmieniła temat na jedyny, który mnie interesował, a o który nie mogłam pytać, z oczywistych powodów.

– Musisz być zadowolona, że Joe nie zawraca ci już głowy – powiedziała. – Muszę przyznać, że miło jest mieć go znowu w domu. Nawet jeśli jest troszkę... zdołowany.

– Zdołowany?

– Mmm. Chodzi z kąta w kąt ze zboląłą miną. Wychodzi na długie spacerki. Wykorzystuję to, dając mu psy moich gości, lecz nie po to go ściągnęłam do Wragley Hall. Wiesz, o co chodzi? Rosie, czy chodzi o jakąś dziewczynę w Londynie?

– Nie wiem, co mu jest – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Mnie na pewno nie powie – westchnęła. – Chyba będzie to musiał rozchodzić. Kimkolwiek była.

Nie to chciałam usłyszeć, nie pytałam więc dalej.

Przynajmniej organizowanie wesela Emily sprawiało mi frajdę.

Zastanawiałam się, czy Emily Sharpe wydawała się tak urocza, bo mogła ukryć swoją gadzią naturę za oceanem, lecz niestety doszłam do wniosku, że byłaby równie miła, gdyby przebywała w Londynie, a ja organizowałabym jej ślub z architektem, a nie z nieumarłą istotą, półwilkołakiem z renesansowej Wenecji.

Wróciła tydzień przed ślubem, by pomóc przy końcowym etapie organizacji, miałyśmy niewiele pracy. Musiałam wymyślić zupełnie niepotrzebną degustację tortu, by nie czuła się wykluczona.

Emily i ja siedziałyśmy w moim biurze w środowy poranek, próbując maleńkich kawałeczków pastelowego tortu (tak, była tak miła, że naprawdę jadła tort przed ślubem), gdy zawahała się kilka razy, zanim zdobyła się na odwagę zapytać: – Rosie. Już dawno chciałam cię o to zapytać. Kim był ten blondyn, którego poznałam na ślubie Helen? Ten, który tak mnie zbył.

– Joe? – Serce podskoczyło mi w piersi, ale postarałam się nie stracić naturalnego tonu głosu. – To był Joe Bentley Douglas. Syn właściciela.

– Joe – jęknęła Emily, zakrywając usta dłonią. – O mój Boże, to był on. Tak mi się wydawało, ale potem pomyślałam, że to byłoby zbyt dziwne, a potem odszedł, zanim zdążyłam zapytać... – Podniosła na mnie oczy i zobaczyłam, że jest naprawdę przerażona.

– Myślałam, że tylko w filmach pojawiają się takie dziwne zbiegi okoliczności, ale to przechodzi wszelkie wyobrażenie.

– Więc go znasz? – zapytałam, obracając nóż we własnym brzuchu, chociaż powinnam dźgać nim Emily.

Przytaknęła, potem na jej twarzy pojawił się grymas i powiedziała: – Znam. Mówił coś?

– To naprawdę nie moja...

Emily położyła swoją dłoń na mojej. Była niezła w takich teatralnych gestach.

Ach, daj spokój, powiedziałam sobie. Jest po prostu miłą, taktowną osobą. Jak Joe.

– Powiedział, że spotykaliście się w Ameryce – wyznałam. – I że go rzuciłaś i nie odbierałaś telefonów.

– Tak powiedział? – Spuściła przepiękne oczy.

– Mniej więcej.

Emily przygryzła wargę, potem schowała twarz w dłoniach i wydała z siebie stłumione: – Aarrggghhh...

– Rosie, to może być trochę za dużo danych – mamrotała zza palców. – Ale czy kiedykolwiek zdarzyło ci się zrobić coś gównianego, z czego nie jesteś dumna, i mieć nadzieję, że to nigdy do ciebie nie wróci i nie kopnie w tyłek – a zawsze wracało?

– Bo zawsze wraca, tylko dobre uczynki magicznie znikają niezauważone – odpowiedziałam.

Postukała się pięściami po głowie, wydając stłumione jęki, po czym podniosła na mnie wzrok: – Mówię ci to tylko dlatego, bo mam nadzieję, że może mogłabyś sprawić, by Joe mi przebaczył? To jest za dziwne i za przypadkowe. Wszechświat musiał maczać w tym palce.

– Joe jest wielkim fanem wszechświata – odpowiedziałam sucho. – Na pewno by cię w tym poparł.

Westchnęła i spojrzała na mnie. Staralam się utrzymać naturalny wyraz twarzy, choć z szalejącym pulsem nie było to łatwe.

– OK, więc poznałam Joego, gdy Ben i ja mieliśmy chwilę przerwy. – Emily zrobiła gesty w powietrzu, dając mi do zrozumienia, że wie, iż to frazesy. – Ben wyjechał kręcić film do Kanady; a ja zajęłam się ostatnimi projektami, w których chciałam wziąć udział, a które szybko straciłam. Niełatwo być aktorką i umawiać się z aktorem. W każdym razie moja przyjaciółka Amber bardzo chciała iść na przyjęcie na plaży w Santa Cruz. Mnie na nim nie zależało, jednak poszłam, by dotrzymać jej towarzystwa. I tak poznałam Joego. A on był... cóż, znasz go doskonale, prawda? Był uroczy.

Przytaknęłam. Uroczy to mało powiedziane.

Emily zerknęła na Ślubimarcz, lecz widziała historię, która działa się

gdzieś daleko poza nim.

– To był jeden z tych idealnych wakacyjnych romansów. Idealny czas, idealne miejsce. On uczył mnie surfować, ja uczyłam go robić naleśniki, całe dni spędzaliśmy razem, całe noce, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Lecz to było zbyt intensywne, by mogło przetrwać. Nie miało szans. Nawet gdyby Ben nie wrócił z Kanady i się nie oświadczył, co zrobił... – wyglądała na autentycznie winną.

– To dlatego nie odbierałaś telefonów?

– Taak. No wiem. Nie jestem z tego dumna, Ben musiał polecieć do Europy na zdjęcia, a i ja dostałam małą rólkę, więc poleciałam razem z nim. Nie wiedziałam, jak mam to załatwić. Wydawało mi się, że najłatwiej będzie schować Joego i to, co zaszło, do pudełka i zostawić w Kalifornii.

– I naprawdę nie miałaś pojęcia, że ten hotel należy do jego rodziny?

– Oczywiście, że nie! A myślisz, że bym tu przyszła, gdybym wiedziała? – Wyglądała na przerażoną. – On nigdy nie mówił, że jego rodzice mają hotel. Nawet nie powiedział, że ma podwójne nazwisko – to był po prostu Joe Bentley. Odniosłam wrażenie, że nie jest zainteresowany przejęciem rodzinnego biznesu w Europie i przyjechał do Stanów rozkręcić coś swojego.

I zamiast tego znowu wylądował tutaj, pomyślałam. W hotelu, w którym wcale nie chciał pracować, rozstawiany przeze mnie po kątach, by na koniec stanąć oko w oko z Emily. Nic dziwnego, że się wyprowadził.

– Biedny Joe – powiedziałam głośno.

– Cóż, jest też typem idealisty – przyznała szczerze. – Na pewno znasz go lepiej ode mnie, ale nigdy bym nie zgadła, że jest koordynatorem ślubów. Zawsze pogardzał małżeństwem. Niby mówił, że jest bez znaczenia, ale miał zupełnie nierealnego fioła na punkcie tej jedynej idealnej kobiety.

– Czyli ciebie.

Pokręciła głową: – Nie. Nie mnie. Jego idealna kobieta jest bardziej życiowa. On potrzebuje kogoś, kto będzie go tonował. A ja, daj spokój, przecież ja pracuję w filmach. Obie wiemy, że idealni ludzie nie istnieją. Nawet ja nie wyglądam jak Emily Sharpe przez większość czasu.

Dziubałyśmy w ciastkach w ciszy; potem Emily poprosiła: – Powiesz mi? Wyjaśnisz?

Poczułam, że twarz robi mi się czerwona:

– Ja chyba nie jestem odpowiednią osobą, szczerze mówiąc. Myślę, że on powinien to usłyszeć od ciebie.

– OK. – Zmarszczyła nos, mówiąc cicho, chyba raczej sama do siebie niż do mnie. – Tylko że... czuję się z tym tak źle. Czuję, jakbym nie mogła poślubić Bena, wiedząc, że... wiedząc, że mogłam złamać Joemu serce. A on był taki kochany... Wzięła się w garść i dodała. – A może napiszę do niego list? Myślisz, że to wystarczy?

– Myślę, że to mogłoby pomóc – odpowiedziałam. – Ale... – zawahałam się. – Bądź delikatna. Wiem, że to trudne, ale wasz związek wiele dla niego znaczył. Może jeśli mogłabyś wyjaśnić mu, ile znaczył dla ciebie, nic nie pomniejszając ani nie dając fałszywej nadziei. Wytłumaczyć, że się zmieniliście.

– Podoba mi się – odpowiedziała Emily. – Tak zrobię. Dzięki, Rosie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedziałam. Wcale tak nie było.

Rozdział dwudziesty siódmy

Podczas nieobecności Joego, z biurkiem pełnym papierów, skupiałam uwagę na pozytywnych, radosnych aspektach mojego życia. Gdyż przynajmniej raz wiodło mi się doskonale. Czerwiec był przyjemnie ciepły; Emily nie była primadonną; dostałam superzniżkę na kieliszki do szampana tylko dlatego, że nie chciało mi się negocjować do ostatniej krwi; lecz prawda była taka, że bez obecności Joego obok po raz pierwszy w życiu mój czternastogodzinny dzień pracy w Bonneville zaczynał się dłużyć.

Wkurzało mnie też, że Laurence nie doceniał mojego zaangażowania. Znowu zrobił się dziwny i zaczął spędzać dużo czasu poza hotelem, nie odbierając telefonu. Wiedziałam, że powinnam się martwić, w razie gdyby po raz kolejny wpadł w tę swoją zdrowotną paranoję, ale szczerze mówiąc, nie miałam na to siły. To, co mi zostawało po wypełnieniu obowiązków za Joego, Laurence'a i zastępowaniu Helen, zużywałam na uzalanie się nad sobą, gdy tylko miałam chwilę prywatności.

Co gorsza – i naprawdę nigdy wcześniej tego nie miałam – zazdrościłam pannom młodym, które wpływały do hotelu w oparach miłości i z błyszczącymi oczyma opowiadały o nadchodzącym wielkim dniu. A gdzie ja miałam to wszystko znaleźć, skoro o drugiej nad ranem naprawiałam kwiaty do butonierek czy ustawiałam dwieście złotych krzeseł, bo wszyscy inni dawno poszli do domu?

Nawet hotel przestał być mi bliski. Nigdy wcześniej nie wydawał się tylko czyimś intereselem jak teraz, gdy wspinałam się do jego pustego serca, na szczycie budynku, za drzwiami przeciwpożarowymi.

Czarę goryczy przelało pojawienie się drugiej pani Bentley Douglasowej z Ottonem i Ripley, na trzy dni przed ślubem Benily, gdy mój stres sięgał zenitu, a biuro było wypełnione ręcznie robionymi winietkami, kryształową zastawą i mnóstwem innych delikatnych

i drogich rzeczy.

– Tylko na dzień czy dwa. Zostawiłabym ich u Laurence’a, ale nie mogę go znaleźć, jak zwykle – powiedziała, gdy Ripley postępowiała w kierunku okna i zaczęła seplenić *All That Jazz*, jakby była w ekranie telewizora.

– Jest w hotelu – odpowiedziałam. – Sprawdziłaś pod biurkiem?

– Oczywiście, że tak – przekrzyzczała tupanie. – I w tym małym pokoiku obok biura również. Rosie, znam jego sztuczki, pomagałam mu się chować przed Caroline.

– W takim razie może dam ci numer do niani? – Byłam chyba bardziej niegrzeczna niż powinnam. – Bo chociaż uwielbiam spędzać czas z Ottonem i Ripley – uśmiechnęłam się szybko do Ottona, który siedział na wolnym krześle niczym sowa cierpiąca na zaparcia – teraz muszę się zająć dużą ilością szkła i byłoby wielce niefortunne, gdyby coś się potłukło.

Otworzyły się drzwi i wtoczyła się Gemma:

– Rosie, mam – uaaaa – próbowała się wycofać, ale było już na to za późno.

– Mamusiu, czemu ta pani jest taka gruba? – zapytał Otto, pokazując palcem Gemmę.

Gemma zaczęła wydawać z siebie dziwne dźwięki, ale mało mnie to teraz obchodziło.

– Moja asystentka zabierze was teraz do restauracji na lody! – ogłosiłam. – Prawda, Gemmo? Zabierzesz! Świetnie. Już was nie ma.

Gdy wypchnęłam całą trójkę z gabinetu i zamknęłam drzwi, Ellie zmarszczyła współczująco brwi. To znaczy, zrobiłaby to, gdyby jej czoło mogło się ruszać: – Rosie, mogę ci coś poradzić?

Ugryzłam się w język, przemilczając uwagę, że nie wiem, co mogłaby mi powiedzieć, jako że pracuję w tym biznesie i w tym hotelu od szesnastego roku życia. Ale nie chciało mi się.

– Jasne – odpowiedziałam. – Reszta może, dlaczego nie ty.

- Za ciężko pracujesz
- Nie, nie, jest w porządku...

– Rosie, nie młodziejiesz – powiedziała brutalnie. – I musisz w końcu zacząć o sobie myśleć. Laurence zamierza przekazać to miejsce któremuś z dzieci – zawsze tego pragnął. Gdyby tylko mógł, już teraz posłałby Ottona i Ripley do szkoły hotelarskiej. Funkcję dyrektora przeznaczył dla Joego i nawet jeśli zostaniesz, nigdy nie uda ci się objąć tej posady. Laurence cię wykorzysta, tak samo jak mnie i Caroline. Taki już jest.

Pomyślałam, że to przegięcie. Takie słowa z ust kogoś, kto miał właśnie zostawić dwójkę swoich dzieci z kobietą, w której rękach nawet storczyk z bilecikiem „Dziękujemy za zorganizowanie naszego wesela!” nie dożył do końca ich miesiąca miodowego. Nie skomentowałam.

Utkwiła we mnie wzrok.

- Na pewno zainteresowali się tobą headhunterzy, prawda?
- Mmmm...

Ellie była bystra; złapała drgnięcie na mojej twarzy.

– Cóż, nie bądź głupia, gdy ktoś zaoferuje ci lepszą pracę. Na miłość boską, bierz ją. A potem, jeśli będziesz musiała, zostaw ją i wróć. Ale nie bądź jak Caroline, która oddaje swoje serce i duszę nowemu hotelowi, bo stary rozpieprzył jej rodzinę. Rosie, w życiu chodzi o coś więcej niż o składanie czyichś rączników.

I nagle zobaczyłam, że ma rację. Coś zaskoczyło. Nie mogłam tu zostać, żałując, że nie wyszło z Joem. Musiałam zająć się własnym życiem. Otworzyć się na nowe możliwości.

– Zawsze możesz wrócić – powiedziała Ellie i dodała, wychodząc: – Chociaż nie wiem, po co miałabyś chcieć, skoro tutejsze SPA zeszło na psy.

Caroline i Laurence byli bardzo zaskoczeni moją prośbą o spotkanie w biurze Laurence’a w przeddzień ślubu roku.

Caroline przyjechała specjalnie z Oxfordshire, a Laurence odwołał przegląd dentystyczny, byśmy mogli się spotkać w jedynym wolnym

czasie, jaki miałam, pomiędzy odpowiadaniem na pytania o kaloryczność kanapek od Missy Hernandez, a załatwianiem manikiurzystek. Czuję ulgę na myśl, że nie mam czasu stresować się ani tym spotkaniem, ani tym, co powiem, bo serce i tak skakało mi to w jedną, to w drugą stronę. Lecz musiałam coś postanowić. Musiałam.

– Jeśli chodzi ci o twoją premię... – Laurence zaczął nerwowo.

– ...to wybrałaś dość mocny moment, by ją negocjować – dokończyła za niego Caroline. – Chociaż nie mogę powiedzieć, że nie jestem pod wrażeniem. Byłaś na jakimś nowym kursie managerskim?

– Nie o to chodzi. – Nerwowo bawiłam się zegarkiem. Zrobiłam notatki i prześledziłam dokładnie każdy zapisany punkt, ale teraz Caroline i Laurence siedzieli za biurkiem w sposób, który zapamiętałam z pierwszej rozmowy o pracę, otoczeni przez biało-czarne fotografie gwiazd filmu i pamiątki z najlepszych czasów hotelu. Już raz dali mi szansę, na początku. Wspierali mnie i zachęcali. Ale widziałam przecież, że pozwolili, by hotel zapanował nad ich życiem i zniweczył małżeństwo. Więc pomimo szacunku, jakim ich darzyłam, nie mogłam pozwolić, by i mi się to przytrafiło. Musiałam być ponad to. Mieć życie poza hotelem.

– Nie wiem, jak to ująć – zaczęłam. – Ale zaoferowano mi wyższe stanowisko w innym hotelu. Postanowiłam je przyjąć. Składałam wypowiedzenie z poniedziałkową datą. Zajmę się naszym dużym weselem i oczywiście postaram się znaleźć zastępstwo, by moje odejście nastąpiło tak gładko, jak to możliwe.

Moja pewność siebie zachwiała się, gdy zobaczyłam szok na twarzy Laurence'a i rozczarowanie na twarzy Caroline.

– Ale my planowaliśmy cię awansować! – powiedział Laurence.

Poczułam ukłucie winy; wiedziałam też, że i tak zwiększyłyby mi cele bliżej końcowego terminu. Laurence zawsze tak robił.

– Od dawna obiecujesz mi awans i ciągle podwyższasz poprzeczkę – odpowiedziałam. – A ja ofertę mam teraz. I nie ma w niej haczyków.

– Ach, Rosie – odezwała się Caroline. – Co moglibyśmy ci zaoferować,

byś została? – Obróciła się, by mieć oko na Laurence'a, który siedział skulony w fotelu. – Mam nadzieję, że nie byłeś skąpy, negocjując jej premię za zrobienie zysku? – Znowu odwróciła się do mnie. – Podwoimy ją, jakakolwiek była. A jeśli byśmy już teraz zaproponowali ci posadę dyrektora? Ponieważ należy do ciebie.

– Nie o to chodzi – odparłam. To była katorga. – Po prostu uważam, że... może nadszedł czas, bym wyznaczyła sobie nowe zadanie. Uwielbiam pracować w Bonneville, ale... – przełknęłam. Byłam bliska łez. – Chciałabym poczuć, że ktoś docenia to, co robię.

Laurence odkaszlnął: – Miałaś ciężki rok, wiem, że niewystarczająco pokazuję, jak cię doceniam. Ale Rosie, ty rozumiesz ten hotel. Dajesz tyle z siebie.

– Być może na tym polega problem. Czuję, Laurence... – Było już za późno. – Mam wrażenie, że dla ciebie to oczywiste, że każdy kocha ten hotel tak bardzo, że poświęci mu wszystko. Życie towarzyskie, związek, wolny czas, awans...

Zerknęłam na Caroline. Laurence już stracił jedną kobietę, która dobrze go rozumiała, bo pozwolił, by to hotel był na pierwszym miejscu, a nie ich małżeństwo. A ja już teraz zamieniałam się w robota, który wmawia pannom młodym, jaki ślub powinny mieć, by pasował do profilu hotelu. To Joe mi to uświadomił.

– Bonneville to cudowne miejsce – mówiłam – ale nie powinno być ważniejsze niż ludzie. Nic nie powinno być ważniejsze.

Caroline wyglądała na urażoną, lecz potem na jej twarzy wystąpił smutek. Laurence był po prostu urażony.

– Rozumiem, co mówisz – powiedziała delikatnie. – Czy możemy zrobić cokolwiek, żebyś została?

Możesz sprawić, by twój syn wrócił, pomyślałam. I pomachać magiczną różdżką. I wypełnić niebo magicznymi helikopterami spełniającymi życzenia.

No pewnie, że tego nie powiedziałam. Pokręciłam głową, próbując

wyglądać na wygadana profesjonalistkę, którą wcale się nie czułam.

I nagle, ku zdziwieniu wszystkich, w drzwiach pojawił się Joe. I gdy zobaczył całą naszą trójkę, szczególnie mnie, przystanął zdziwiony, lecz, to muszę mu oddać, nie wycofał się. Stał w przejściu, wypełniając je sportową koszulą w kratę i jeansami.

– O, proszę bardzo, kto raczył nas zaszczyścić – powiedziała sarkastycznie Caroline. – Wszędzie go szukają, a on tu. Gdzie byłeś? W Wragley Hall pięć psów czeka na ciebie i twoje spacerki.

Joe przecesał dłonią swoje rozczochrane włosy. Były dłuższe niż ostatnio, wpadały mu w oczy. – Taa, sorry, mam, potrzebowałem trochę przestrzeni.

– Matka się martwiła – powiedział Laurence.

– I potrzebowała pracownika – dodała Caroline. – Do tego stopnia, że musiałam poprosić Aleca, by oprowadzał gości. I wiesz co, jednak nie wezmą u nas ślubu. A to niespodzianka, prawda? Chociaż pan młody przyjedzie na survivalowy weekend kawalerski dla odważnych.

– Tak, no cóż, dlatego tu jestem – powiedział Joe, patrząc wprost na mnie, i przeszedł mnie dreszcz. – Wiem, że Rosie ma za mało ludzi na to wesele w weekend, odkąd ja – odkąd ja odszedłem, więc wróciłem, by pomóc.

– Nie musisz – powiedziałam od razu, czerwieniąc się na twarzy. – Wszystko jest pod kontrolą.

– Nie, to jest bardzo dobry pomysł – powiedziała Caroline. – Musisz nauczyć się od niej tyle, ile się da, póki jeszcze tu jest.

– Póki jeszcze tu jest? – Spojrzał zaskoczony. – Czemu? Wybiera się gdzieś? Podkupiłaś ją, mam?

– Chciałabym. – Caroline naprawdę miała smutek w głosie. – Z przykrością muszę ci powiedzieć, że Rosie wręczyła nam właśnie wypowiedzenie.

Joe zwrócił się do mnie z wyrazem twarzy, którego nie mogłam odczytać, ale jego oczy przesuwają się po mnie w szalonym tempie, jak

gdyby chciał powiedzieć coś więcej, lecz nie wiedział jak.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział sztywno. – Mam nadzieję, że to nie przez... nas.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Po prostu oferta była nie do odrzucenia.

W pokoju zapadła niezręczna, smutna cisza i próbowałam wymyślić coś, co powiedziałyby Ellie albo Helen. Albo Emily. Emily powiedziałyby coś czarującego, by zmniejszyć napięcie. Chciałabym być choć trochę jak Emily.

– Więc... – Laurence otworzył barek w kształcie globusa. – Ktoś reflektuje na pędy pszenicy? Bo ja tak.

– Jeśli pozwolicie, ja chciałabym wrócić do pracy, muszę wykonać kilka telefonów – powiedziałam i wyszłam z pokoju.

Usłyszałam otwarcie drzwi i szurające kroki doganiające mnie w korytarzu.

– Rosie? Poczekaj.

Zatrzymałam się, nie obracając, i poczułam dotyk ręki Joego na moim ramieniu. Poczułam dreszcz na skórze, w miejscu, którego dotykał. On chyba też go poczuł, bo cofnął ją natychmiast.

– To nie ma nic wspólnego ze mną, prawda? – zapytał. – Proszę, nie odchodź z mojego powodu. Ja i tak rozważam powrót do Stanów.

– Tak? – Poczułam wszechogarniające zimno. Zmusiłam się, by na niego spojrzeć z radosnym wyrazem twarzy.

Przytaknął, przygryzając lekko wargę: – To jedna z opcji.

Wiem, że powinnam była coś powiedzieć, ale nie wiedziałam co. On też wydawał się szukać odpowiednich słów. Moje poczynania w tej materii były tak godne pożałowania, że mogłam tylko pogorszyć sprawę.

– Nie musisz mi jutro pomagać – powiedziałam. – Naprawdę wszystko mam pod kontrolą. Wiem, jak bolesne to by musiało być dla ciebie...

– Nie zamierzam przerwać ślubu, jeśli o to się martwisz.

– Nie o tym myślałam – skłamałam.

Czy Emily napisała do niego, tak jak zamierzała? Przesyłałam mu część poczty do Wragley Hall, nie zauważyłam jednak nic, co mogłoby być zmieniającym życie listem miłosnym.

– Chcę tu być i ci pomóc. – Joe bardzo długo patrzył mi w oczy. – Wezmę rozkład jutrzejszego dnia od Gemmy.

Po czym odwrócił się i odszedł. Żadnych przeprosin, żadnych wyjaśnień, nic.

Urocze.

Dobrze zrobiłaś. Przekonywałam się. To była dobra decyzja.

. . .

Wiem, że mówiłam, że lubię, gdy maleńkie detale na ślubie idą źle, bym mogła się wykazać i je naprawić. Jednak tak polerowałam każdy możliwy szczegół ślubu Emily Sharpe, że kiedy nadszedł wreszcie dzień uroczystości, nie było najmniejszej rzeczy, która mogła pójść źle.

Nie. Tylko te wykręczone, wielkie i gigantyczne.

Dzień zaczął się wprost cudownie, już gdy sprawdzaliśmy razem z Helen i Dinem alkohole, które zostały przeznaczone na wieczór – odkryliśmy bowiem, że dostawcy przywieźli dziesięć skrzynek likieru orzechowego, a nie ekskluzywnego tokaja, o który prosił Benedict, a który miał być podany wraz z puddingiem. Dino dostał załamania nerwowego w wyjątkowo włoskim stylu, w związku z czym Helen musiała wytrzasnąć skądś to wino, które okazało się niezwykle rzadko spotykanym i – skracam, zdajecie sobie z tego sprawę, oczywiście – koniec końców Wynn i jego godne zaufania volvo zostali wysłani, by odebrać butelki wprost z magazynu w Wembley.

To była pierwsza wpadka, wszystko przed specjalnym śniadaniem dla Emily i jej drухen, które składało się ze świeżych rogalików i kawy podanej na srebrnej zastawie. Podczas gdy panie przygotowywały się do wielkiej chwili pośród chichotów i łez, osobiście zawiozłam tace na górę, częściowo, by życzyć wszystkiego dobrego, lecz też, by sprawdzić, czy

wszystko przebiega tak, jak powinno.

(Poza delikatną wysypką na tle nerwowym u siostry Emily i zaginioną parą butów wszystko było w porządku. Zabroniłam używać telefonów w apartamencie, co również pomogło na poziom stresu).

Przez resztę poranka kręciłam się po hotelu, przygotowując Nevina do przedślubnej sesji, wprowadzając zespoły odpowiedzialne za makijaż i fryzury, utrzymując pokój pomiędzy Tamem i wynajętą ochroną i już myślałam, że znowu mam wszystko pod kontrolą, gdy kolejna wpadka wsunęła swoją brzydką głowę do środka.

Wracałam właśnie do apartamentu Emily z kolejnymi dzbankami kawy, gdy usłyszałam dwa głosy dochodzące znikąd. Gniiiiieewne głosy. Tak jakby hotel nagle nawiedziły Wściekłe Duchy Rozwodowej Przeszłości albo najgorsze portrety z Hogwartu.

– Hallo? Hallo? – Grzmiał brytyjski męski głos. – Nie, przestało. Chyba jest zepsute.

– No chyba! Tak się dzieje, gdy wciśniesz wszystkie przyciski jednocześnie, ty kompletny... ty kompletny...!

– Tylko nie mów, że skończył ci się zasób słów?

– Tych uprzejmych, owszem.

Zatrzymałam się mimo woli.

– Magnus, gdzie masz telefon?

– W kieszeni...

– Nie zamierzam grzebać w twoich kieszeniach, jeśli na to miałeś ochotę. Dawaj! Musimy poprosić o pomoc.

– Gdybyś mi dała dokończyć, to byś usłyszała, że jest w kieszeni mojego smokingu, który z kolei jest w moim pokoju.

– To nie jest smoking, tylko garnitur.

– Smoking, widzę, że nie zdarzyło ci się nigdy być na ślubach na odpowiednim poziomie? W każdym razie ty nie masz swojego?

– Czy ta sukienka wygląda, jakby było w niej miejsce na telefon?

– Chcesz, żebym sprawdził?

Postanowiłam wybawić Chloe z kłopotliwej sytuacji.

– Hall? – krzyknęłam w kierunku drzwi od windy. – To ja, Rosie. Przepraszam was bardzo, nie wiem, jak to się mogło stać, ale wyciągniemy was w mgnieniu oka. Tylko spokojnie i nie...

Właśnie powiedziałam dwojgu ludzi, by byli spokojni. Dwojgu ludzi, którzy poza mną byli najmniej skłonni prawidłowo zareagować na tę sugestię.

– Eee, weźcie kilka głębokich wdechów, a ja zaraz wracam – powiedziałam.

Pomimo pokusy, by ich zostawić tam jeszcze na chwilę, pomknęłam, by znaleźć kogoś, kto mógłby ich wypuścić, zanim poduszka się nawzajem albo pogodzą z taką siłą, że zepsują windę na zawsze. I tak, chciałam, by Joe był tu ze mną i się tym zajął. Potrafił zamienić kryzys w anegdotę, zanim zdążyłeś powiedzieć „hashtag niezręcznie”.

. . .

Zeszłam na dół, by zadzwonić po serwisanta windy – który akurat wyszedł, by naprawić windę sąsiadów – gdy pojawiła się Gemma przerażona jak nigdy. Jeśli coś zszokowało ją, gdy wyczekiwała pod apartamentem Emily, aż w oparach lakieru i pisków przemknie ekipa od włosów i makijażu, musiało to być coś złego.

Oparłam czoło o mahoniowy blat. *Poddaję się, pomyślałam. To wesele nie ma szans być idealne. To będzie totalna katastrofa.*

Jak to mówił Joe? To małe rzeczy sprawiają, że ślub każdej pary jest wyjątkowy? Że coś zawsze pójdzie nie tak i to jest to, co będzie się najczulej wspominać, w przeciwieństwie do tego, co poszło idealnie i nikt o tym nie pamięta?

Jak tylko to pomyślałam, śmieszny spokój rozlał się po moim ciele. Taki sam, jaki ogarnia cię, gdy po całym dniu zdejmiesz ciasne buty.

Ten ślub nie będzie idealny, bo już nie był. Ilu ludzi o tym wiedziało?

Niewielu.

– Rosie? – dotarł do mnie przejęty głos Gemmy.

Podniosłam głowę, wzięłam się w garść i wyjęłam pióro, by dopisać kolejną rzecz, którą należało załatwić przed popołudniem. – Co się stało?

– Flora Thornbury – wyszeptała. – Ona tu jest.

– Co? – Długopis wypadł mi z ręki i niezręcznie próbowałam go podnieść. Od miesięcy o niej nie słyszeliśmy i pojawiła się właśnie teraz, żądając, by traktować ją jak gwiazdę w dniu, który spieprzyła?

– Co ona tu robi? Nie było jej na liście.

– Nie. Jest w barze.

– Dlaczego? – Było dopiero po dziesiątej. – Zapomniała, że nie bierze ślubu? Ta głupia żyrafa nie wykasowała wydarzenia z kalendarza i przyczłapała tu mimo wszystko?

– Nie wiem. Nie ma z nią Milo. Ciągle pyta o Joego – Gemma zniżyła głos. – Myślę, że jest trochę... wstawiona.

– No super – powiedziałam. Ostatniej rzeczy, jakiej mi brakowało, gdy musiałam zająć się prawdziwymi gwiazdami światowego kalibru, była napruta podrzędna brytyjska modelka rozbijająca się po kątach. A potem powiedziałam z większym entuzjazmem – No super. – Ktoś tak chudy jak Flora nie wytrzyma wielu drinków. – Dajcie jej jeszcze dwa drinki Dina, najmocniejsze, jakie się da, a potem wsadźcie do taksówki. Z Joem, jeśli będzie trzeba. Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

Jakoś odruchowo mi się wyrwało. Już w połowie zdania nie byłam pewna, czy chcę, by Joe był poza hotelem. Potrzebowałam go tutaj, by pomógł mi, nie tracąc zimnej krwi. Ścisnęło mi serce. Potrzebowałam Joego przy mnie, a nie mogłam mu tego powiedzieć.

Weź się w garść, Rosie.

– Naprawdę nie znajdziemy dla niej pokoju? Mówiła coś o reklamie dla hotelu? – Gemma wyglądała, jakby miała nadzieję. – Zauważyłam, że jest z nią kilka osób...

– Gemma, pomyśl. – Rzuciłam jej spojrzenie mówiące Serio? – Pijana

supermodelka, która wbija się na ślub hollywoodzkiej megagwiazdy – czy to jest reklama, na jakiej nam zależy?

– Nie.

– No właśnie. Więc się jej pozbadź. Teraz. Niech Tam ma ją na oku, by nie wywalili jej ludzie Emily, potem pozbadź się jej. – Wróciłam do telefonu, dowiedziałam się, że serwisantowi „zejdzie się jeszcze przynajmniej dwie godziny” i wpadłam na pomysł. – Gemma, poczekaj, zanim zrobisz to wszystko, czy Tam ma jeszcze numer do tego gościa z SAS? Oni są nieźli w wyciąganiu ludzi z małych pomieszczeń, prawda?

Myślałam, że to już wszystko. Kiedy już wyciągnęłam Magnusa i Chloe z windy – wydawało mi się, że wyglądali na zaróżowionych i rozczochranych, nie chciałam jednak wdawać się w szczegóły – postanowiłam przejrzeć moją listę i sprawdzić, co jeszcze może pójść źle. Tylko przelotnie widziałam dzisiaj Joego, pomagał ustawiać krzesła i nosić wino; Emily też o nim nie wspominała, lecz kiedy przyniosłam jej wiązanekę i kwiaty do wpięcia we włosy, uśmiechnęła się do mnie i ścisnęła dłoń. Wiem, miałam nadzieję na histerię primadonny, by zobaczyć ją w akcji, ale nic takiego się nie stało. Nawet gdy dostała SMS od Missy, która przypominała, by zrobili tę samą pozę „czoło do czoła”, którą wszyscy znali ze sławnej sceny ślubu w *Dark Moon*.

Ceremonia miała zacząć się dokładnie o trzeciej, w związku z tym o drugiej trzydzieści zeszłam na dół, by spotkać się z urzędnikami prowadzącymi ślub. Zwykle przyjeżdżali na godzinę przed, by wszystko przygotować i wchłonąć tyle jedzenia, ile się da. Oddelegowałam do nich Gemmę, która potrafiła rozmawiać o niereligijnej, lecz ciągle uduchowionej muzyce znacznie lepiej ode mnie.

Po drodze zostałam zaczepiona przez parę zagubionych gości, następnie przez Laurence’a, który twierdził, że nie czuje się dobrze, więc kiedy wreszcie odnalazłam Gemmę błądzącą gdzieś pomiędzy ogrodem a hotelem, było za dwadzieścia trzecia.

– Gdzie są urzędnicy? – zapytałam, patrząc na listę. Goście już zajmowali miejsca przy akompaniamencie kwartetu smyczkowego

grającego klasyczne wersje muzyki z komedii romantycznych. – Muszę z nimi omówić kilka rzeczy.

– Jeszcze ich nie ma.

Mrowiące uczucie przebiegło po moich kościach: – Co? Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? Dzwoniłaś do nich?

– Oczywiście, że dzwoniłam – odpowiedziała. – Od drugiej do nich dzwonię. Nie powiedziałam ci wcześniej, bo wiedziałam, że się wkurzysz.

Złapałam się za głowę. – Jakim cudem obydwójce nie byli w stanie tu dotrzeć?! Czy nie mieli jechać oddzielnie, by uniknąć sytuacji takiej jak ta? Tak jak rodzina królewska?

– Jadą oddzielnie. Freda utknęła w autobusie, a do Jana nie mogę się dodzwonić. Pewnie jest w metrze. Uspokój się, Rosie...

I tym przegięła. Niestety.

– Uspokojenie się nie wchodzi grę! – ryknęłam. – Właśnie wyciągnęłam dwójkę ludzi z windy, używając tajnych i pewnie nielegalnych sposobów SAS, i załatwiłam, że warte siedem tysięcy funtów wino deserowe jedzie teraz przez Mayfair w volvo należącym do Wynna! Nie pokona mnie londyński cholerny system transportu miejskiego!

Oczy Gemmy rozszerzyły się, gdy za moimi plecami przeszło dwóch gości.

– Przepraszam, przepraszam – wymamrotałam. – To... chyba dodali coś do kawy.

Nagle zza dwumetrowej dekoracji z lilii i róż zmaterializowała się Helen z telefonem w jednej, a rachunkiem za wino w drugiej ręce.

– Wynn wyładowuje gorzałkę z Dinem i dzwoni do ciebie Freda. – Zatkła sobie ręką ucho, niczym dziennikarz BBC relacjonujący z miejsca wydarzeń. – Gdzie jesteś, Freda? Wsiadła z dziewiętnastki i idzie... jest prawie na Shaftesbury Avenue!

– Cudownie! – skomentowała Gemma.

– Shaftesbury Avenue to dwadzieścia minut drogi stąd! – Była za piętnaście trzecia, spociałam się ze stresu.

– Freda, jakie masz buty? – zapytała Helen – Normalne. No tak. Możesz w nich biec? No, może chociaż... truchtem?

Patrzyłyśmy na nią całe w nerwach.

– To może chociaż iść troszkę szybciej? – mówiła Helen przymilnym tonem. – Wiem, że ostroga piętowa jest bolesna. Biedactwo. Tylko wiesz, my tu właśnie mamy ze czternaście gwiazd Hollywood, a trzy z nich płacą za parking dla helikopterów w City, więc... O, to cudownie. Załatwimy ci wielką misę lodu, gdy będzie już po wszystkim. Dzielna dziewczynka!

Rozłączyła się: – Zaraz będzie.

Spojrzałam na zegarek, potem na fontannę, przy której czekał już Benedict z Magnusem, a wraz z nimi rodzina, przyjaciele i kilka wampirów wysokiego szczebla.

Musiałam pędzić do Emily, która była już pewnie gotowa, a jeśli trzymała się grafiku, już pewnie była w windzie.

Helen złapała mnie za ramię: – Stój – powiedziała. – Oddychaj. Będzie dobrze. Jeśli ktoś będzie musiał zaśpiewać lub zatańczyć, by odwrócić uwagę gości, masz tu mnóstwo profesjonalistów, którzy chętnie to zrobią. Nie dasz rady kontrolować wszystkiego.

Spojrzałam na nią, rzeczową i elegancką, w jej bladoniebieskim garniturze na hotelowe uroczystości. Gdy powiedziałam jej, że złożyłam wypowiedzenie, popłakałyśmy się. Prawdę mówiąc, to był chyba jedyny moment, gdy zastanawiałam się, czy dobrze zrobiłam. Wiedziałam, że bardzo będzie mi brakować pracy z moją najlepszą przyjaciółką. Lecz Helen przekonała mnie, że powinnam odejść i dała kolejny wykład pod tytułem „pozwól sobie na życie”.

– Chcę, żeby to był najlepszy ślub, jaki zorganizowałam – powiedziałam. – Chcę odejść w euforii.

– Wiem. – Wzięła mnie za rękę. – Lecz to się nie uda, jeśli dostaniesz zawału, prawda? Freda i Jan będą, jak przyjdą. Zdarza się. To przecież nie państwo młodzi, prawda?

Wzdrygnęłam się i wzięłam głęboki wdech. Miała rację.

– Musimy jakoś opóźnić Emily – powiedziałam. I już jak to mówiłam, usłyszałam pisk Gemmy i wiedziałam, co się stało.

Odwróciłyśmy się wszystkie trzy bardzo powoli, a tam jeszcze częściowo schowana w przejściu do foyer, oparta na przedramieniu ojca, stała Emily w kremowej sukni stylizowanej na baletnicę, w grubym wianku krwistoczerwonych róż na głowie, niczym w koronie, i z przeszczęśliwą miną rozświetlającą jej idealnie kształtną twarz. Śmieszne było to, że po skończonej pracy makijażystki większość panien młodych wyglądała jak gwiazdy filmowe. Emily, będąc gwiazdą, wyglądała jak najpiękniejsza dziewczyna z sąsiedztwa na świecie. Chociaż była w sukience od Vivienne Westwood za dziesięć tysięcy funtów.

Chloe stała tuż za nią, ciągle oddychając głęboko niczym na zajęciach jogi i rzucając gniewne spojrzenia w stronę ołtarza i Magnusa; dwie druhenki z kwiatkami bawiły się koszyczkami i płatkami; a za nimi wszystkimi stał Nevin, robiąc zdjęcia.

Pospieszyłam do nich tak nonszalancko, jak tylko mogłam, by nie zdradzić się przed gośćmi. Pięć minut spóźnienia było okej, po dziesięciu goście zaczęli wiercić się nerwowo, przy piętnastu ożyje twitter, mimo że Gemma osobiście wprowadziła zakaz telefonów, kierując się ścisłymi wskazówkami Missy.

– Emily, wyglądasz niebiańsko – powiedziałam. Jak mogłam przypuszczać, że Joe kiedykolwiek o niej zapomni? To była kobieta, którą spotykasz raz w życiu.

Uśmiechnęła się promiennie: – Przepraszam! Wiem, że jestem za wcześnie! Nie mogłam się doczekać! Musiałam zejść na dół!

– Jestem bardziej zdenerwowany niż ona – przyznał jej ojciec. Był z Birmingham. – Ten fotograf! I ktoś upudrował mi głowę. Nie wiem, jak ona to znosi, że tylu ludzi na nas patrzy. Serce o mało nie wyskoczy mi z piersi.

– W takim razie nie spieszmy się. – *O dzięki, dzięki.* – *Może...* – Przekierowałam ich stanowczo w stronę zielonego holu. – ...napijcie się

po kieliszku szampana na ukojenie nerwów? Mamy pięć minut. Harfistka ciągle gra.

Emily zerknęła w stronę ogrodu.

– Nie martw się, Ben już tam jest! Wszystko w porządku! – Pokazałam kelnerom, by przynieśli szampana i najmniejsze, najmniej tłuste kanapeczki. – Rozluźnijcie się przez chwilę, ja zaraz wrócę...

Wyszłam na zewnątrz, teraz już nawet Helen wyglądała na zaniepokojoną: – Ciągle nic.

– Gdzie Joe?

– Nie wiem.

Dlaczego jestem taka spanikowana? Przerazona zrozumiałam, że potrzebowałam przy mnie Joego. Potrzebowałam jego słów otuchy, czegoś rozważnego, czegoś... wkurzającego, bym przynajmniej wiedziała, co z tym zrobić.

Helen dotknęła mojego ramienia: – Rosie, musisz im coś powiedzieć. Powiedz im, że jest opóźnienie z powodu urzędników.

– Nie mogę, to nie mój hotel. Gdzie jest Laurence?

– Chory.

Obróciłyśmy się jak na komendę. Znikąd pojawił się Joe. Miał na sobie lniany garnitur, w którym wyglądał, jakby był prawdziwą gwiazdą filmową albo i lepiej. Serce waliło mi w piersi. Jego blond włosy, ciemniejsze niż w zeszłym roku, gdy przyjechał wprost z plaży, były zaczesane do tyłu, a biała koszula – rozpięta pod szyją, ukazywała delikatną skórę w zagłębieniu jego szyi. Wyglądał jeszcze bardziej brytyjsko; i jeszcze bardziej poza moim zasięgiem.

On i Emily – teraz to zobaczyłam. Widać było wyraźnie, dlaczego ich romans był tak niezwykły. Oboje byli tacy piękni.

Przełknęłam i spróbowałam się skoncentrować: – Ojej, wszystko w porządku?

Joe skrzywił się nieznacznie: – Nie bardzo. Daj spokój, musi być źle, skoro nie ma go tutaj i nie spoufala się z Meryl Streep.

– To nie Meryl Streep – powiedziała Gemma. – To jest...

– Gemma, wiesz, że mało mnie obchodzi, kim są ci ludzie – odpowiedział.

– Joe, mamy problem, urzędnicy nie zdążyli na czas. Musisz coś powiedzieć – oznajmiła Helen. – Jesteś następny w kolejce, po Laurensie.

Następny w kolejce? A ja co? Trzecia? Po tylu latach pracy?

To mnie wkurzyło.

– Jeśli ktoś tutaj jest drugi w kolejce, to jestem to ja – powiedziałam i ruszyłam do przodu. Za plecami usłyszałam słowa Helen, że tylko tak można mnie było skłonić do akcji, ale miałam to w nosie. Nie mogłam ryzykować, że Joe tam pójdzie i... Odłożyłam tę myśl na później i skoncentrowałam się, by iść prosto, nie wywróciwszy się na nowych, bardzo wysokich obcasach.

Szło mi świetnie, dopóki nie dotarłam na miejsce i nie zobaczyłam pierwszych pięciu twarzy, które od razu rozpoznałam z okładek magazynów plotkarskich. Zapomnijcie o tym, że mówią o gwiazdach, że są wystylizowane i po solarium. One naprawdę tak wyglądają w prawdziwym życiu. To naprawdę wkurzające.

– Proszę państwa – zaczęłam łamiącym się głosem, potem odchrząknęłam i poszło lepiej. – Przepraszam państwa bardzo, obawiam się, że mamy małe opóźnienie z powodów technicznych...

Kilka osób wyjęło telefony z kieszeni. Zamarłam. Mówiłam Gemmie wyraźnie, by prosiła gości o pozostawienie telefonów w specjalnych koszykach. Emily nie życzyła sobie zdjęć pojawiających się w Internecie. Ktoś zrobił mi zdjęcie i wzdrygnęłam się. Śmieszne, bo mój największy dotychczasowy koszmar, czyli wystawienie przez Anthony'ego, został właśnie bezkonkurencyjnie pobity przez to teraz, gdy znowu byłam w centrum uwagi.

Zaschło mi w gardle i język przykleił się do podniebienia, gdy absolutnie każda twarz z tłumu obróciła się w moją stronę w oczekiwaniu. O Boże. Zabrakło mi słów. Jedyne, co słyszałam, to szum w uszach, który

nie miał nic wspólnego z moim toczkiem.

Ku mojemu przerażeniu Joe zbliżał się do ołtarza. Szedł inaczej niż zwykle: rozluźniony, profesjonalny, panujący nad sytuacją. W moim kierunku.

Uśmiechnął się i dołączył do mnie, potem poczułam, jak dotyka mojego ramienia. Ręką, która poklepała mnie po plecach i zdecydowanym ruchem przesunęła na bok.

– Panie i panowie – zaczął Joe z tą samą pewnością siebie, charakterystyczną dla obojga jego rodziców. – Zdaję sobie sprawę, że zgodnie z tradycją to panna młoda powinna kazać na siebie czekać, lecz dzisiaj chciałbym państwa bardzo przeprosić w imieniu hotelu. Nasi urzędnicy jeszcze nie dojechali. Cóż mogę powiedzieć? Jestem pewien, że wszyscy widzieliście filmy Richarda Curtisa wystarczająco wiele razy, by wiedzieć, jak ważną rolę w hollywoodzkich weselach odgrywa londyński transport publiczny!

Wodziłam oczami to w jedną, to w drugą stronę. O ironio, zupełnie tak samo robiło lustrzane odbicie Emily w ostatnim filmie, gdy hrabina Vittoria zmieniała kształt tuż za jej plecami.

– W każdym razie, podczas gdy czekamy... – Naprawdę zaczynał brzmieć jak Hugh Grant. Albo Colin Firth. Rozejrzałam się dookoła, wzrok wszystkich gości skierowany był na nas, zupełnie jakbyśmy mieli za chwilę zacząć śpiewać i tańczyć do *Love and Marriage*. – Jest coś, co chciałbym państwu powiedzieć o Emily i Benie.

I wiedziałam już, że ten dzień nie może bardziej wymknąć się spod mojej kontroli. I poddałam się.

Rozdział dwudziesty ósmy

Wszyscy zgromadzeni umilkli, a ja – zupełnie nieoczekiwanie – poczułam się lekka jak piórko, jakbym była jedną z nich i obserwowała rozwój wydarzeń z trzeciego rzędu. Prawie widziałam własną przerażoną twarz.

To było to. Nie tylko Joe Bentley Douglas rozwali moją wyszukaną ceremonię, z półsurową papką o roli wszechświata, ale pewnie jeszcze popłynię tekstem o wspaniałości Emily i o tym, jak ciągle ją kocha. Być może nie zrobi tego celowo, ale i tak przekaże wszystko mową ciała, tak więc równie dobrze już teraz mógł się rozebrać do naga i rzucić u jej stóp.

Jakiś wyższy instykt przetrwania nareszcie mnie dopadł. Może św. Ramada, bogini biznesu hotelarskiego. Musiałam go powstrzymać. Musiałam wytrwać do przybycia Fredey.

– Ee, nie, już w porządku – odkaszlnęłam. – Ja, ee, musiałam tylko ułożyć wszystko w słowa.

Spojrzałam na niego, a potem na ogród, Helen ukryła twarz w dłoniach, nie mogąc na to patrzeć. Patrzyłam więc w okna hotelu. – Zanim zaczniemy, chciałabym powiedzieć kilka słów o miłości.

Joe zerknął na mnie: – Ja też.

– Cóż, moja... opowieść o miłości jest... lepsza!

W środku umierałam z zażenowania, tylko jakaś dziwna siła sprawiała, że dawałam radę. Goście zachichotali. Pewnie z ich strony wyglądało to na zaplanowane przedstawienie komediowe, by zadać ceremonii Emily i Bena sznytu „najgorszego rozdania Oskarów ever”.

Joe otwierał usta, by zaprzeczyć; ja szłam w zaparte. Jeśli będę miała szczęście, urzędnicy przyjadą, zanim zabrnę za daleko i zacznę opowiadać, że „Małżeństwo jest jak paczka ciastek” – albo inne farmazony, które zawsze słyszymy z ust księży podczas ślubów.

Ale co by tu powiedzieć? Małżeństwo jest jak co? Poza ciastkami.

Strzeliłam zapięciem podkładki i mnie olśniło.

– Jestem wedding plannerką – zaczęłam – i mam listę wszystkiego, co trzeba zrobić, by ślub był idealny. Plan stołu, potwierdzenia. Pan młody jest – tik. Obrączki są – tik. I, ee, panna młoda jest, tak na marginesie, jakby ktoś się zastanawiał...

Rozszedł się szmer podziwu, który zauważyłam z ulgą, gdy zerknęłam na drzwi. Ciągle nie ma śladu Fredy lub Jana.

– Najwyraźniej trafiłam na lukę na mojej liście z urzędnikami – powiedziałam z desperacją. – Ale Emily i Benedict zaznaczyli każde okienko na ich listach. Emily przyznała mi wczoraj, że Benedict podarował jej w prezencie ślubnym karnet na mecze krykieta w Lord's Cricket Ground. Więc jeśli kobieta jest przygotowana, by wytrzymać pięciodniowy test, to zdecydowanie ma na swoje liście odhaczoną cierpliwość i zrozumienie najwyższych form miłości!

Kiepskie to było, ale się zaśmiali. Miałam już coś równie wyszukanego, gdy poczułam, że Joe odsuwa mnie na bok.

– Jednak – powiedział – to, co chciałem powiedzieć, to to, że pomimo heroicznego wysiłków Rosie, by wszystko poszło idealnie, dzisiejszy dzień nie jest idealny. I bardzo dobrze, że tak jest.

– Ja – co?

– W swojej krótkiej i wielce kolorowej karierze wedding plannerka poznałem wiele panien młodych – poinformował Joe tłum swobodnym tonem – i ich umysły są zafiksowane tylko na jednym – by ten dzień był idealny. Ku przerażeniu mojej koleżanki próbowałem je odwodzić od tego pomysłu, z różnym skutkiem. Ponieważ będąc facetem, zawsze wierzyłem w ludzkie niedoskonałości. W to, co sprawia, że jesteśmy interesujący, otwieramy się i dojrzewamy.

Zamknęłam oczy, próbując zachować spokój, przeczesując jednocześnie mózg w poszukiwaniu zabawnej riposty. Byliśmy dwa oddechy od roli wszechświata lub cytatu z Johna Lennona, ale przynajmniej nie brzmiało to jak dowcip zaplanowany przez pana młodego. Na razie.

– Nie wierzyłem, że istnieje ktoś taki jak idealna kobieta – kontynuował. – Lecz potem, zupełnie tak jak Benedict, poznałem kobietę, która ma w sobie wszystko, co idealna kobieta powinna mieć i to mnie zdmuchnęło. Zabawna, mądra, rozważna, inteligentna i przepiękna niczym gwiazda filmowa. – W miarę jak to mówił, chciałam wyczołgać się stamtąd i umrzeć. Lecz nie mogłam. Tkwiłam uwięziona na scenie na wprost dwustu ludzi i musiałam się uśmiechać jak oszalała pogodynka, gdy Joe opisywał Emily w niemalże hipnotycznym transie, który pamiętałam z Walentynek. Tym w rodzaju *ona jest ideałem*.

O mnie jeszcze nigdy nikt tak nie opowiadał.

– Ona nie jest idealna w nudny sposób – wyjaśniał, jakby kogokolwiek to obchodziło. – Ma swoje dziwactwa i przyzwyczajenia. Po pierwsze, pije za dużo kawy. I nigdy nie nauczy się surfować, bo boi się, że deska wybije jej wszystkie zęby.

Goście parsknęli śmiechem. Ja nie. Pomyślałam, że to bardzo rozsądne podejście, szczególnie dla gwiazdy filmowej. To był powód, dla którego ja nigdy nie surfowałam, a używam moich zębów jedynie do jedzenia, a nie do błyszczenia nimi na okładce *Vogue*. Emily i ja miałyśmy tak wiele wspólnego. Mogłybyśmy zostać przyjaciółkami, gdybyśmy poznały się w szkole.

– Ale najważniejsze jest to, że ta niesamowita, inteligentna kobieta, której nie da się opisać, tak obsesyjnie stara się, by wszystko było idealne, że kompletnie nie zdaje sobie sprawy ze swojej niezwykłości, ze wszystkimi niedoskonałościami. Jediną rzeczą, która mogłaby uczynić ją bardziej niezwykłą, byłoby, gdyby wpuściła kogoś do swojego życia, by w nim troszkę namieszał. – Joe z zażenowaniem przeczesał włosy. I pomimo serca ze stali poczułam skurcz pożądania. Będzie mi go brakowało.

– Bo przecież po to są faceci, a mężowie w szczególności – dodał i wszyscy zaczęli się śmiać.

Joe naprawdę panował nad tłumem, pomyślałam, patrząc dookoła. Niektóre pary wzięły się za ręce, niektóre kobiety oparły czoła na

ramionach mężów, na tyle, na ile pozwalały im udziwnione kapelusze.

W życiu nie czułam się bardziej samotna.

Kaszlnął i odgadłam, że nareszcie zbliża się do puenty.

– Więc gdy dzisiaj zobaczyłem Emily i Bena, pomimo tego, że są sławni i odnoszą sukcesy, i w oczach wszystkich ich życie jest idealne, mam nadzieję, że zachowają te drobne niedoskonałości, które połączone w całość sprawiają, że ich związek przetrwa na zawsze. Niczym wypustki puzzli lub bieżnik opony, który pomaga utrzymać się na drodze. Niedoskonałości, dzięki którym możemy trwać razem. I mieć przestrzeń, by oddychać, by rosnąć.

Przerwał i spojrzał na mnie, odpowiedziałam mu spojrzeniem, myśląc *Czemu się na mnie gapisz z głupkowatym wyrazem twarzy, jakbym miała dać ci pozwolenie, byś z nią uciekł jak w Absolvencie.*

– Mam nadzieję, że idealna kobieta, którą znam, pozwoli, by ktoś zrobił to samo dla niej – dokończył.

Ktoś w tłumie jęknął „Aaach”, a potem przyłączyli się kolejni.

Joe uśmiechnął się niepewnie, jakby skinąwszy na mnie głową, zupełnie jakby oczekiwał ode mnie reakcji.

– No co? – syknęłam nieuprzejmie, niestety.

– O tobie mówię. – I dodał pod nosem: – Ty głupia krowo.

O mnie. Joe mówił o mnie.

Otworzyłam usta, jednak żadne słowa nie wyleciały. (Dzięki Bogu).

Joe skinął delikatnie głową, cały czas patrząc mi w oczy: – Zdecydowanie o tobie.

Serce zaczęło mi walić w nagłym przypływie szczęścia, a potem jakby wyleciało z mojej piersi, wzbijając się w powietrze niczym balonik z helem lub chiński lampion. Coraz wyżej i wyżej, i wyżej, ponad drzewa, ponad okna, do góry, ponad balkon apartamentu nowożeńców. Patrząc w oczy Joego, czułam się taka lekka, że mogłabym odlecieć.

Czułam, jakbym odnalazła dom.

Urzednicy przyjechali dokladnie w momencie, gdy wziął mnie za rękę i sprowadził z podwyższenia, ale nawet nikt nie zauważył.

. . .

– To było bardzo nie na miejscu – powiedziałam, gdy ceremonia dobiegała końca i goście słuchali najlepszej sopranistki z Royal Opera House śpiewającej *My Heart Will Go On*. To było okropne, ale nie przeszkadzało mi w tej chwili. Była to ulubiona piosenka mamy Emily. – Ukraść komuś ślub.

Joe w ogóle się nie przejął.

– Coś ty, byli zachwyceni, to aktorskie typy – powiedział. – Trochę dramatu. Ktoś niedługo zacznie pisać o tym scenariusz, zobaczysz.

– Mam nadzieję, że zagra mnie ktoś znany – odpowiedziałam.

– Nie, wezmą jakąś aktorkę z sitcomu, żeby nagrała swój pierwszy film – odpowiedział Joe, czule wyjmując płatek róży z moich włosów. – Kogoś, kogo da się dobrze doszorować.

Siedzieliśmy pod drzewem, w kącie ogrodu, gdzie nikt nie mógł nas widzieć, a z którego ja mogłam monitorować sytuację i czuwać, by nie było kolejnej katastrofy. Nie to, żeby mnie to teraz bardzo obchodziło. Mało mnie obchodziło, poza ręką Joego obejmującą moją dłoń. Trzymał ją już od dziesięciu minut i trochę zaczynała mi się pocić skóra, ale to była kolejna rzecz, która mało mnie obchodziła. Opadło na mnie uczucie błęgiego szczęścia.

– Pewnie powinienem był cię uprzedzić, że zamierzam coś powiedzieć – mówił zamyślony – ale tego nie planowałem. Po prostu nagle moment wydał się odpowiedni.

– Myślisz, że Emily było przykro, że ukradłeś jej zainteresowanie gości?

– Szczerze... – Skrzywił się. – To była jej wina. Gdy byłem u mamy, dostałem od niej list – w którym pisała to, co ty wcześniej mówiłaś...

– Czyli to, co ty przedtem mi powiedziałaś.

– Ale ona zrobiła to w miłszy sposób. Że każdy potrzebuje takiego momentu, jaki my przeżyliśmy w przeszłości, by zrozumieć, jak niesamowita i silna jest miłość na co dzień. – Sięgnął do kieszeni, jakby chciał pokazać mi list, lecz powstrzymałam go ruchem dłoni. – Pisała, że to jak ferrari, którym jeździ w filmie przez dwa tygodnie, dzięki któremu docenia przejażdżki własnym autem, które nie zawsze odpala, ale które idealnie pasuje do jej codziennego życia.

– I ty byłeś takim ferrari? – Emily naprawdę potrafiła być miła.

Czy ona przyrównała swojego gwiazdorskiego męża do zwykłego auta? Muszę to powiedzieć Gemmie. Albo może nie.

– Tak. To znaczy widzę porównanie. Ale... – Joe obrócił moją twarz, bym patrzyła na niego, uniósł mój podbródek palcem i spojrzał głęboko w oczy. – Dostałem list, podekscytowałem się na dziesięć minut, a potem nagle dotarło do mnie, że chciałbym ci o tym opowiedzieć. A ciebie tam nie było. A potem naprawdę się rozkleiłem.

– Wiem – odpowiedziałam cicho. – Chyba miałam tak samo.

– Wragley Hall bez ciebie nie miał sensu. Okolica bez sensu. Hotele bez sensu. Jedzenie bez sensu. Chciałem ciebie i tego, żebyś mówiła mi, jak można by było to zrobić lepiej, inaczej.

– Zrządzenia.

– Nie zrządzenia. Dzielenia się. Mieszkania. – Rozchylił lekko usta, nie odrywając ode mnie wzroku, poczułam dreszcz, który przebiegł po całym ciele.

Serce naprawdę waliło mi jak oszalałe, sprawiając, że czułam się pełna życia i świadoma każdego oddechu.

– Byłem głupi – powiedział Joe. – Ale się uczę. Dasz radę wytrzymać z kilkoma moimi niedoskonałościami?

– Na przykład beznadziejnie posłanym łóżkiem? I okruszkami? – Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego ucha, opalonej skóry podbródka. To było niezwykle fascynujące, móc dotykać go tak po prostu, nareszcie. Musiałam się powstrzymać, by nie przesunąć palcem po linii jego kości

policzkowych, długiego nosa, szerokich ust. Tatuży u podstawy kręgosłupa. Tych długich nóg z blond włosami i widocznymi mięśniami. – Myślę, że dam radę. Reszta jest w porządku.

Joe wziął mnie za rękę i przyciągnął bliżej, oplatając ramieniem moją talię.

– Nie chciałem tego tutaj robić – powiedział. – Bo wiesz, generalnie nie przejmuję się głupią weselną etykietą, ale wiem, że to będzie bardzo nie na miejscu.

Z każdym słowem przysuwał się bliżej i bliżej, dopóki nasze nosy się nie spotkały. Tylko małeńki skrawek powietrza oddzielał nasze ciała, iskrzący od przepływającej energii. Czułam jego ciepły oddech na mojej twarzy, a serce biło mi tak mocno, że byłam zdziwiona, że nie było go widać.

– Co będzie bardzo nie na miejscu? – wyszeptałam.

– Dwoje ludzi całujących się na ślubie, zanim zrobią to państwo młodzi – wyszeptał i powoli nachylił swoją głowę do mojej, zamykając oczy i dotykając ustami moich zdziwionych warg. Jego usta były ciepłe i miękkie i tak zdecydowane, że zatonąłam w pocałunku, który był jednocześnie znajomy i nieznany, tak jak bliskość jego ciała i ciepło skóry bijące przez cienki materiał lnianej koszuli. Pozwoliłam sobie zatracić się we wszystkich wrażeniach naraz. Był cudowny. Idealny i cudowny.

– Flora Thornbury jest w basenie – rozległ się głos z zaświetów. Gemma, chyba.

– Co? W naszym basenie? – Powiedział inny nieznany głos.

– Tak, kompletnie naga!

Coś powinnam z tym zrobić, pomyślałam. Wysłać Tama z chłopakami z ochrony albo zadzwonić do Missy albo Laurence'a. Obojętne kogo.

A potem pomyślałam, *Nie. Mam lepsze rzeczy do zrobienia.* I wplotłam dłonie w gęste blond włosy Joe, przyciągając go bliżej, tak bym mogła pocałować go po raz kolejny.

KONIEC

(Lecą napisy; śpiewa operowa śpiewaczka)

Londyńskie Śluby

Relacja dzięki Rosie McDonald – konsultant ślubny, Hotel Bonneville.

Caroline Bentley Douglas, właścicielka Wragley Hall, Little Oaks, Oxon, oraz Laurence Bentley Douglas, właściciel Hotelu Bonneville, Londyn W1.

Jak się poznali: Na kolacji wręczenia nagród Brytyjskiego Przemysłu Hotelarskiego w 1984 roku, gdy refleks panny młodej uratował życie pana młodego po reakcji alergicznej na krewetki. Para pobrała się krótko później, wychowała dwóch synów, Josepha i Aleca oraz prowadziła wspólnie hotel. Rozstali się w 2007 roku. Jednakże ostatnie wydarzenia pozwoliły, by zbliżyli się do siebie, by odkryć, że tak jak nowo odnowiony hotel, niektóre uczucia z wiekiem stają się coraz lepsze.

Oświadczyń: Pan młody początkowo planował zaskoczyć pannę młodą podczas wyjątkowej kolacji w nagradzanej restauracji hotelu Żonkil, jednakże, dzięki nieoczekiwanej londyńskiej ulewie, poprosił ją o rękę pod drzewem w Green Park.

Miejsce ślubu: Ceremonia odbyła się w ogrodzie różanym hotelu Bonneville, obecnie zarządzanym przez starszego syna pary – Josepha – i jego narzeczoną – Rosie McDonald.

Suknia: Panna młoda miała na sobie pastelową satynową suknię do kolan, pasującą zdobioną narzutkę oraz nakrycie głowy od Philipa Treacy'ego. Jej „czymś starym” był pan młody; „czymś nowym” plany otwarcia nowego luksusowego SPA w Szkocji; „czymś pożyczonym” i „czymś niebieskim” był długopis pożyczony w ostatniej chwili od organizatorki ślubu, by podpisać dokumenty.

Druźbowie: Joseph Bentley Douglas – świadek oraz Alec Bentley Douglas.

Druhny: Druhen nie było. Panna młoda szła do ołtarza w towarzystwie swoich dwóch labradorów – Winstona i Horatio, prowadzona przez ojca Sir Devonalda Craiga- Lockarta.

Przysięga: Para napisała własne słowa przysięgi. Oprócz obietnicy, by kochać się i szanować, tym razem jak należy, pan młody przyrzekł wysłuchiwać każdego zdania do końca, należycie zaparzać herbatę, podczas gdy panna młoda obiecała nie przerywać panu młodemu i codziennie zażywać witaminy.

Goście: Gośćmi specjalnymi byli: modelka Flora Thornbury oraz para gwiazd Hollywood – Benedict i Emily Quayle'owie, jako że cała trójka odegrała ważną

rolę w zbliżeniu szczęśliwej pary po latach.

Kwiaty: Bukiet panny młodej zrobiono z niezapominajek, konwalii – które symbolizują „odzyskaną miłość”, a także bluszczu, który oznacza wierność i przyjaźń. Para wstąpiła w związek małżeński pod altaną z kremowych róż i mirtu. Sala weselna została udekorowana tak, by pasować do tematyki art deco.

Biżuteria: Panna młoda miała na sobie sznur pereł, prezent od babki pana młodego, Maude Bentley Douglas, założycielki hotelu i organizatorki słynnych Pożegnań Starego Roku.

Przyjęcie: Po kameralnym popołudniowym przyjęciu dla najbliższych nastąpiło przyjęcie dla trzystu osób. Odbyło się ono w sali balowej.

Muzyka: Jack Tempest Swing Orchestra. Późna kolacja składała się z ostryg, szampana i kanapek z bekonem, a flota czarnych taksówek rozwiozła gości do domów o trzeciej nad ranem.

Pierwszy taniec: *The Second Time Around* – Franka Sinatry, po nim flash mob *Oops I Did It Again* w wykonaniu Joego Bentleya Douglasa i Ripley Bentley Douglas Perkins.

Miesiąc miodowy: Po nocy w odnowionym apartamencie nowożeńców hotelu Bonneville państwo młodzi spędzili trzy dni w luksusowym SPA, po czym udali się do Kalifornii, by w zabytkowym sportowym samochodzie zwiedzać tamtejsze winnice.

Fotograf: Charles Nevin

Kamera: Kamer nie było, jako że najlepsze wspomnienia to te, które pozostają w naszym sercu (które po kilku drinkach bywa bardzo łaskawe).

Podziękowania

Na końcu zbioru „Porad dla Panien Młodych” autorstwa Rosie McDonald upchnięta jest lista wymagań ślubnej etykiety, a na jej samej górze widnieje rozkaz „Napisz Podziękowania. Przemyślane, prosto z serca i napisane odręcznie”. Te tutaj nie są napisane odręcznie (ani zbytnio przemyślane, wybaczcie), ale płyną prosto z serca.

Dziękuję mojej genialnej, cierpliwej i bardzo zabawnej redaktorce Kathryn Taussig z Quercus Books oraz Joe Dickinson za ogromne wsparcie i inspirację przez cały ostatni rok; również całemu zespołowi Quercus za ich niesamowity entuzjizm. Nie ma dobrego przyjęcia (ślubnego) bez wspaniałej głównej druhny, Lizzy Kremer, której przy rzucaniu wiązanek i podawaniu chusteczek zręcznie asystuje Harriet Moore i pozostali w David Higham Associated.

Wreszcie dziękuję Wam, moi przyjaciele, którzy przez te wszystkie lata zapraszaliście mnie na wasze śluby, dziękuję każdej przepięknej panie młodej. Przepraszam za kilkukrotne wybicie bukietu na out, bardzo przepraszam za tańce po godzinach i bardzo proszę, byście uwierzyły, że żadna z opisanych tu panien młodych nie była wzorowana na Was.

Przypisy

[1] Musical *Król Lew*, oparty na animowanym filmie Disneya, grany jest w londyńskim Lyceum Theatre od 1999 roku, nieprzerwanie cieszy się ogromnym zainteresowaniem, od ponad piętnastu lat grany jest przy pełnej widowni. (przyp. tłumacza)

[2] Heston Blumenthal – sławny brytyjski kucharz-celebryta, znany z naukowego podejścia do gotowania. Zwany „kulinarnym alchemikiem”, samouk, zdobywca trzech gwiazdek Michelin, właściciel restauracji The Fat Duck – ogłoszonej najlepszą restauracją świata w 2005 roku. Nosi okulary (przyp. tłumacza).

[3] Fortnum and Mason. Bardzo luksusowy dom towarowy zlokalizowany na ulicy Piccadilly w Londynie od 1707 roku (przyp. tłumacza).

[4] Center Parcs, popularny cel krótkich wakacyjnych wyjazdów w Wielkiej Brytanii. Świetnie zorganizowane centrum wypoczynkowe w środku lasu, będące połączeniem luksusowego spa, parku rozrywki i wakacji na łonie przyrody (przyp. tłumacza).

[5] Nieprzetłumaczalna gra słów, fragment piosenki *Happy feet* Caba Callowaya (przyp. tłumacza).

[6] Brytyjski raper pochodzenia nigeryjskiego.

[7] Chrapiący z nudów (przyp. tłum.).

[8] Znane na całym świecie wydarzenie dla biegaczy (przyp. tłumacza).

[9] Westlife – irlandzki boysband z końca lat dziewięćdziesiątych (przyp. tłumacza).

[10] Ciastka popularne w Wielkiej Brytanii, dwa prostokątne herbatniki przełożone kremem czekoladowym, ozdobione nazwą Bourbon Cream i kilkoma dziurkami (przyp. tłumacza).

[11] Tweedledum i Tweedledee – bohaterowie angielskiego wierszyka dla dzieci.